



Piotr
PATYKIEWICZ

Opracowanie graficzne Tomasz Piorunowski
Ilustracja na okładce Karol Dziewulski

Copyright © by Piotr Patykiewicz, Warszawa 2006

Redakcja Danuta Górską

ISBN 83-7054-186-0

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o.
Biuro Handlowe
ul. Nowowiejska 10/12
00-653 Warszawa
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny Mirosław Kowalski

Druk i oprawa: WZDZ – Drukarnia LEGA, Opole

Kruszyna obudziła się i podniosła głowę. Przeszła z czerni w czerń, bo ani we śnie, ani na jawie nie istniały barwy. Od razu, od pierwszej chwili po otwarciu oczu była czujna. Jeszcze nie wstawała, ale jej ścięgna i mięśnie już były gotowe do skoku. Nasłuchiwała. To był najpierwotniejszy odruch, równie bezwiedny jak oddychanie. Musiała sprawdzić, co wokół niej zmieniło się, kiedy spała. Od tego mogło zależeć, czy pomiędzy tym snem a następnym uda się jej coś zjeść. A nie ma przecież ważniejszej rzeczy niż jedzenie.

Każdy z dźwięków, który docierał do jej wrażliwych uszu, musiała szybko rozpoznać, ocenić jego natężenie i określić źródło. Zwykle to nie było trudne. Najgłośniejszy był szum jej własnego oddechu, który odbijał się od ścian i sklepienia korytarza, żeby powrócić do niej wzmagającymi się i milknącymi porywami, jak podmuchy czarnego wiatru. Był ciągle obecny, więc Kruszyna nauczyła się go nie słyszeć. Wychwytywała inne, ukryte pod nim odgłosy. Kapanie wody przy źródle, kropla po kropli, w równomiernych odstępach, takich samych od zawsze. Chrobot szczyrzych pazurów na kamieniu, potem pisk i krótka szamotanina, ale to wszystko za daleko, żeby poświęcić temu więcej uwagi.

Tuż za jej uchem Dziecinka potarła nóżką o nóżkę. Szmer był tak cichy, że tylko Kruszyna mogła go usłyszeć i Dziecinka o tym wiedziała. Właśnie dlatego w ten sposób wyrażała radość. Sama nigdy nie spała. Czuwała bez ruchu, uczeplona ściany nad głową Kruszyny, a czasem, jeśli jej się sprzyrzyło, schodziła niżej i muskała owłosionymi nóżkami jej zamknięte powieki.

– Chodź, Dziecinko. – Kruszyna usiadła, rozsunęła włosy na karku i poczekała, dopóki nie poczuła na szyi leciutkiego dotknięcia. – Niech cię przytulę.

To były jedne z tych bardzo niewielu słów, jakich używała. Powtarzała je zawsze wtedy, kiedy chciała, żeby Dziecinka przeszła ze ściany na jej kark, chociaż najczęściej mówiła to tylko w myśli. Nie lubiła burczenia w krtań, które towarzyszyło wydawaniu dźwięków. Zawsze lepsza jest cisza niż hałas. W ciszy można się schować, można w nią uciec. Kiedy się mówi, nie można słuchać. A źle jest przestawać słuchać, nawet na chwilę.

Przykucnęła na lekko rozstawionych nogach i wysikała się. Ciepły strumień popłynął między jej stopami, a potem dalej, spadkiem korytarza w dół. Słyszała, jak mocz porywa ze sobą małe kamyczki, toczy je przez jakiś czas i pozostawia, wsiąkając z sykiem w spękane podłoże. Wstała, wysunęła głowę do przodu i przez jakiś czas łapała w rozdęte nozdrza ostre zapach. Wiedziała, że szczury jeszcze długo będą omijać to miejsce, więc po powrocie od poczynnie tutaj spokojnie, bez obaw, że we śnie poszarpią jej uszy.

Ruszyła w górę czarnego korytarza. Jeszcze nie wzbierało w niej to dziwne podniecenie, jakie zawsze odczuwała, ilekroć szła w stronę Nieba. Nie spieszyła się. Starannie badała przed sobą podłoże szeroko rozstawionymi palcami stopy, a dopiero potem stawiała stwardniałą podszewę. Tutaj, w pobliżu Nieba nie zapuszczała się zbyt często i nie знаła tak dobrze każdego kamienia jak niżej, u siebie. Gdyby przez nieostrożność zraniła sobie nogę, musiałaby wracać do matki z niczym. Nie odważyłaby się walczyć o mięso, nie mogąc biegać i skakać. A na następny raz może trzeba będzie czekać bardzo długo. Znowu

pozostanie jej odwalanie wielkich płaskich kamieni i szkanie palcami w wilgotnej ziemi robaków, które nawet przegryzione na pół wciąż jeszcze przebierały cieniutkimi nitczkami odnóży i przy przetykaniu taskotały w gardło. Po takim jedzeniu brzuch się wzdymał, żołądek bulgotał, a głód wcale nie znikał.

Więc szła bardzo ostrożnie.

Kiedyś, dawno temu, to matka chodziła po mięso. Kruszyna niewiele pamiętała z tamtych czasów, ale jeśli bardzo się postarała, umiała sobie przypomnieć własny strach. Najpierw znikał szelest oddechu matki, długo potem milknął w górze korytarza pogłos toczących się kamieni, które potraçała, idąc. Na samym końcu, kiedy nie już nie było słyhać, rozpuszczał się w ciemności jej zapach. Kruszyna zostawała całkiem sama. Siadała pod ścianą, podciągała kolana pod brodę i obejmowała nogi rękami. Tak skulona umiała czekać bez ruchu, chociaż bolaly ją plecy i pośladki. Czasem drzemała, częściej trwała w odrętwieniu.

A potem była tylko ciepła dłoń matki na policzku, a zapach świeżego mięsa i ciche słowa przy uchu:

– Chodź, niech cię przytulę.

Wtedy było dobrze. Bardzo dobrze.

Kruszyna zwołniła. Odetchnęła głębiej, chociaż wiedziała, że nie zdola pozbyć się chłodzącego ją od środka niepokoju, który wbrew woli rozlewał się od żołądka po całym ciele. Nie mogła tego uniknąć. Szła teraz bardzo cicho, krok za krokiem, i czekała, kiedy zaczną ją boleć oczy.

Czerń wciąż jeszcze była czernią, ale już zaczynała się zmieniać. Kruszyna odczuwała to tak, jakby powietrze w inny sposób dotykało jej gołej skóry, powodując swędzenie i ciarki. W dole oczu nabrzmiały jej dwie lzy i spłynęły wzdłuż nosa. Miała wielką ochotę zacisnąć powieki, ale nie uległa pokusie. Wiedziała, że zyskałaby ulgę jeszcze na kilkadziesiąt kroków, ale przeciw wreszcie musiałaby otworzyć oczy. A wtedy cierpienie odebrałoby jej wszystkie siły i nie poradziłaby sobie z niczym.

Nie znała określenia na to, co się działo. Matka, póki

jeszcze nie przestała się do niej odzywać, znała takie słowo, ale to było tak dawno, że Kruszyna nie mogła sobie przypomnieć. Dyszała głośno, pod puchnącymi powiekami klula ją coś, jak ostre ziarenka zwiru. Przygarbiła plecy i przygięła kolana, żeby zrobić się mniejszą, ale i tak czuła się jak ślimak wydłubany ze skorupy, który wolno pełźnie po gołej ścianie. Gdzieś od przodu, spadkiem korytarza bezszelestnie splywało coś, co było przeciwne zwykłemu porządkowi rzeczy. Rozgarniało ciemność, targało ją na czarne klaki i upychało w wilgotnych pęknięciach ścian. Nie miało kształtu ani zapachu. Było obce. Napływało, wciąż napływało.

Dziewczynka na ramieniu Kruszyny zakręciła się niespokojnie. Wplątała się jeszcze głębiej w jej włosy i Kruszyna przez chwilę zazdrościła jej z całej mocy, że jest na tyle mała, żeby znaleźć dla siebie skrawek ciemności. Ona nie zdołałaby się wcisnąć w żaden ze skalnych załomów. Zrezygowała nie przyszła tutaj po to, żeby się chować. Przyszła, żeby zapolować.

Coś połaskotało ją w tyłek, zaraz potem poczuła dotknięcie zimnego nosa. Wycwiczonym odruchem podniosła nogę, wstrzymała oddech i nagłym wyprostowaniem kolana opuściła stopę właśnie tam, gdzie powinna. Poczuła pod piętą szorstkie włosie i usłyszała trzask pękającego kręgosłupa. W ciemności szeszur może zdołałby się jeszcze wywinąć, ale tak blisko Nieba nawet on miał przytępione zmysły. Kruszyna słyszała, jak wiele innych szeszurów przemyka się z obu jej stron, szorując gołymi ogonami po ścianach korytarza. Wyprzedzały ją, popiskiwały, trątały się gnane nadzieją, że jeśli jej się nie powiedzie, to mięso zostanie dla nich.

Z każdym krokiem była bliżej. Spocona ze strachu, z głową wysuniętą do przodu na napiętej szyi, wkraczała w świat, w którym rzeczy niespotykane stawały się możliwymi. Na przykład poznawanie przedmiotów bez dotykania ich. Na tym właśnie polegała tajemnica, żeby nie ulec trwodze, nie przestraszyć się bólu oczu, cieni szeszurów pod ścianami i widoku własnych rąk i nóg, które poruszały się w szarości jak obce, blade stworzenia. Nie wolno

było odrzucać tego dziwnego daru Nieba, ale trzeba było go wykorzystać. Lepiej, szybciej i sprawniej niż szeszury.

Korytarz zaczął zakręcać łagodnym łukiem. Nie musiała tego sprawdzać, nasłuchując odbijających się od ścian odgłosów. Mogła to zobaczyć przez mgłę łez. Rozpoznała szeroką rysę na murze, którą sama kiedyś wyszczerbiła ostrym kamieniem. Dla pewności wyciągnęła przed siebie rękę i dotknęła brzegów rysy końcami palców. Widziała własną dłoń, która oddalała się od niej tak bardzo, jakby już nigdy nie miała wrócić. Opuściła głowę i spojrzała na stopy. Były tam, na dole, jedna przy drugiej, białe i nieruchome. Zawirowało jej przed oczami, zachwiała się, ale w samą porę poderwała głowę i zacisnęła szczęki. Ruszyła do przodu. Wiedziała, że od rysy zostało już tylko dziesięć kroków.

Po pierwszych pięciu resztki ciemności spłynęły po jej plecach, niknąc z tyłu. Po dwóch następnych korytarz wypełnił się żółtymi, czerwonymi i zielonymi plamami, które kręciły się wokół jej głowy albo w środku, albo i tu, i tam jednocześnie, pęczniąc i kurcząc się razem z uderzeniami krwi. Kiedy stawała dziesiąty krok, zanurzyła się w pełny blask Nieba.

Niebo miało kształt okrągłego otworu, szerokiego na rozwarcie ramion, który rozpostarł się nad głową Kruszyny w sklepieniu korytarza. Zwykle było ciemne i niewidoczne, ale od czasu do czasu rozplamięło się pełnią blasku. Jak teraz. Tu, w tym jednym, jedynym miejscu, mogła przez króciutką chwilę poczuć, jak jest tam, wysoko. Za włosy szarpnął ją zimny przeciąg, do twarzy przylgnęło powietrze o całkiem innym zapachu i smaku niż ten, jaki znała. No i głosy. Głosy przede wszystkim. Stukoty, chroboty, świsty, a między nimi, od czasu do czasu, coś jak cichutki, kojący, niebiański szepet. Trochę podobny do tamtego zapamiętanego, matczynego. Może dlatego taki piękny.

Kruszyna zrobiła jeszcze krok naprzód, pokonując w sobie zal za tym, od czego musiała odejść. Nad jej głową znów zwarło się mroczne sklepienie, urwał się wiatr i ucichł szepet. Podeszła do ściany, przyłożyła do niej czoło

i bardzo długo chłoneła w siebie jej wilgotny spokój. Potem usiadła bokiem, tak żeby nie patrzeć wprost na wędrujące po podłożu rozbliski Nieba, ale żeby cały czas mieć je w kąciuku oka.

Czekała.

Wokół niej podniecone strachem i głodem szczury gryzły się nawzajem w chude grzbiety, wypełniając korytarz zmieszanyymi piskami.

Najważniejszy w Niebie był Ojciec. Kruszyna знаła jego imię, ale poza tym nie wiedziała o nim nic pewnego, bo matka niechętnie go wspominała. Raz czy dwa razy była bliska tego, żeby powiedzieć coś więcej – Kruszyna czuła wtedy pod policzkiem napięte mięśnie jej ramienia, do którego się przytulała – ale nigdy nic z tego nie wychodziło. Po długiej chwili milczenia wzdychała głęboko, opuszczając głowę, a jej długie włosy łaskotały Kruszynę po nosie.

– Kiedyś sama poznasz Ojca – szeptała matka, dotykając czołem jej skroni.

Tak to było. Później, z biegiem lat, wszystkie te niedokończone myśli wywietrzały jej z głowy. Ojciec stał się technieniem zimnego powiewu ciągnącego od Nieba, skrzypleniem liny i nadzieją na mięso. Tak, był dawcą mięsa i to była najważniejsza rzecz, jaką należało o nim wiedzieć.

Drgnęła. Tutaj, pod Niebem, nigdy nie zasypiała, ale umiała zanurzyć się w dziwny stan trwania, kiedy myśli pływały swobodnie, owiewane wiatrem i oślepięone jasnością, a ona sama siedziała skurczona i nieruchoma, jak wyziębiony szczurzy noworodek. Tylko uszy nie przestawały czuć. Przesiewały dźwięki i szumy, czekając na ten jedyny odgłos, po którym wszystko się zaczyna.

Odgarnęła włosy opadające na twarz. To było to. Pojedyncze uderzenie, a potem bardzo długi, głęboki pogłos, który schodził z Nieba, odbijał się od ziemi i wprawiał ściany korytarza w drżenie, które Kruszyna czuła pod plecami. Powoli wstała, odczekała, aż w zdrętwiałych nogach zacznie krążyć krew. Nie musiała się spieszyć, ale nie powinna też zwlekać. Miała tyle czasu, ile trzeba.

Zanurzyła rękę we włosach. Dziecinka posłusznie we-

szła na jej dłoń, a potem przesunęła się dalej, na przedramię. Kruszyna przyłożyła łokieć do ściany i palcem drugiej ręki leciutko pchnęła Dziecinkę w wielki zadek. Nie opierała się. Szybko przebiegła po chropawym kamieniu i ukryła się w szczelinie między ścianą a sklepieniem.

Teraz Kruszyna musiała bardzo uważać. Dobrze pamiętała swoje pierwsze samotne polowania, kiedy matka nagle przestała przynosić mięso. Nawet jeszcze teraz, jeśli tylko chciała, umiała poczuć pod językiem tamten gorzki smak klęski, kiedy wracała na dół głodna. Od tego czasu zrobiła się większa i silniejsza, bardzo dużo się nauczyła, ale i tak przed każdym polowaniem czuła ciarki między łopatkami.

Z bardzo wysoka cicho skrzypnęła lina. Kruszyna wiedziała, że jeśliby teraz stanęła w pełnym blasku Nieba i podniosła głowę, we wzmagającym się powiewie wyczułaby zapach potu i moczu. Zapach strachu. Lubiła wciągać przez nos takie powietrze, które było zapowiedzią sytości, ale nie robiła tego już od dawna. Lepiej było cofnąć się kilka kroków w tył, gdzie gęstniał cień. Miejsce na rozbieg dawało przewagę.

Czekała. Lina skrzypiała coraz głośniejsze. Szczury miały o wiele wrażliwszy węch od niej i napływająca woń pobudzała je do niespokojnych pisków, chociaż mięso opuszczano z wysoka i bardzo powoli. Jeszcze trzymały się w pewnej odległości, migając z mroku ślepiami, ale już z głębi korytarza napierały następne, spychając te pierwsze w zasięg światła. Miotaly się, gryzły i wyskakiwały wysoko w górę. Walczyły między sobą o dobre miejsce, chociaż coraz więcej z nich przestawało zwracać uwagę na to, co się dzieje dokoła. Stawały na tylnych łapkach i wyciągały ostre pyski w górę, skąd coraz mocniej bił zapach rozniecający w szczurzych łebkach szaleństwo.

Kruszyna usłyszała dobiegający z góry jęk i zmarszczyła czoło. To nie był dobry znak. Zwykle oprócz odgłosu opuszczanej liny nie było słychać nic. Ale kilka razy zdarzyło się już tak, jak teraz. Jakiś jęk, pojedyncze słowo wciśnięte między chrapliwe oddechy. To zawsze zapowiadało trudniejsze polowanie niż zwykle. Mięso mogło się

bronieć, a zjadłość szczurów jeszcze się wzmagala i bywało, że zawodziły wszystkie zwykłe sposoby.

Okragłe odbicie nieba pod nogami zmąciło się ruchomymi cieniami. Mięso było już blisko. Szczury stłoczyły się jeszcze gwałtowniej, ich piski zlały się w jeden głos, od którego powietrze zdawało się gęstnieć. Te, które w tym kłębowisku znalazły się na samym dole, ginęły uduszone. Ogony się prężyły, pazury wydrapywały ślepią, klaki szarego włosa wystrzeliwały aż ponad głowę Kruszyny.

Było już bardzo blisko. Wiedziała, że chwila dogodna do skoku będzie krótka. Przygięła kolana i lekko wychyliła się do przodu. Patrzyła. Teraz właśnie był ten czas, kiedy trzeba było bardziej wierzyć oczom niż uszom. Z miejsca, w którym stała, widziała tylko jedną krawędź koła Nieba. Ale to musiało wystarczyć, teraz nie mogła podejść bliżej. Szczury ogryzły jej nogi do kości. Cienie w jasnej smudze zakotywały się mocniej. Jeszcze chwila. Jeszcze. Szczury rozszarpały się nawzajem, ale na miejsce jednego zagryzionego pchały się trzy następne. Jeszcze nie, jeszcze trochę. Na jasnej krawędzi otworu pokazała się czarna skaza. Kruszyna wstrzymała oddech. Wiedziała, że to jest stopa, i czekała na drugą. Jest! Nogi nie zwisały luźno, ale rozpaczliwie szukały w próżni pod sobą oparcia. Jeszcze, jeszcze. Łydki, kolana. Oddech, jęk. Szczurze szaleństwo. Nogi, czarne w niebiańskiej poświacie, zginają się i rozprostowują, jak dwa bezbronne robaki szukające schronienia.

Teraz!

Krok, drugi, trzeci najdłuższy. Odbicie. Goły ogon szczura chlasnął ją po pięcie, ale zęby jej nie sięgnęły. Krótki lot w smudze światła, ale zarazem bardzo długi, wypełniony splątanymi myślami i oczekiwaniem. Wreszcie można zamknąć oczy, teraz nie będą potrzebne.

Udało się. Zderzyła się w powietrzu z mięsem zwisającym na linie i w tej samej chwili oplotła je ramionami i nogami. Od razu poczuła, że nie będzie łatwo – mięso było silne, czujne i gotowe walczyć o życie.

– Jezu! – Mięso zapłakało, ale Kruszyna nie wiedziała, co to jest płacz. – Jezu!

Trafiła na jego plecy i dzięki temu nie musiała uważać, żeby jej nie ugryzł. Gwałtownymi szarpnięciami próbował uwolnić przyciśnięte do boków ręce, ale Kruszyna spodziewała się tego i jeszcze mocniej zwarła ramiona. Lina ciągle się opuszczała, a pod nią, teraz już całkiem blisko, szczurze piekło wciąż przybierało na sile. Nie zwalnając uścisku, Kruszyna wysunęła głowę ponad jego ramieniem. Wszystko zależało od tego, jak szybko uda jej się znaleźć na jego szyi odpowiednie miejsce. Wil się, próbował tyłem głowy uderzyć ją w twarz. W dole zgrzytały szczurze zęby. Kruszyna podkurczyła nogi, zrobiła jeszcze jeden wysięk i dotknęła wargami jego mokrej skóry, pokrytej twardymi włoskami. Wyczuła silne, nierówne tętno i przymknęła oczy. Wbiła zęby. Nie rozwarła szczęk tak długo, póki nie zaczęła się dławić buchającą krwią.

Przestał walczyć prawie od razu. Kruszyna musiała podciągnąć się na nim trochę wyżej, bo zrobił się śliski i nie mogła się utrzymać. Ale wszystko było w porządku. Struga gorącej krwi zlewała się w dół, zlepiając włosy na szczurzych grzbietach i wypełniając zagłębienia między kamieniami. Najpierw ledwo dostłyszalnie, a potem coraz wyraźniej piski zaczęły zamierać. Przemieniały się w pospieszne, łakome chleptanie.

Nie było czasu na odpoczynek. Chwila spokoju, którą zyskała, była tylko jedna i nie udało się jej powtórzyć. Lępkimi palcami poszukiwała węzła na linie. Mocowała się z nim przez jakiś czas, ale kiedy udało się go poluzować, dalej poszło łatwo. Mięso wysunęło się z pętli i padając, głucho uderzyło o kamienne podłoże. Kruszyna zachwiała się na linie, nasłuchując chrobotów na dole, a potem zeskoczyła miękko, na ugięte kolana.

Od razu musnęły ją w stopy cieniutkie wasy, ale nie zważała na to. Ślizgając się w kałużach krwi, pochyliła się nad mięsem, chwyciła go jedną ręką pod kolano, a drugą pod łokieć i mocnym szarpnięciem zarzuciła sobie na plecy. Stęknęła pod ciężarem. To było dużo, bardzo dużo mięsa. Gdzieś blisko, wśród chleptania, rozległ się pojedynczy pisk. Upojenie krwią zaczynało już mijać.

Teraz czekał ją długi, wyczerpujący bieg w dół koryta-

rza, z brzemieniem na plecach. Zanim ruszyła, podeszła do ściany i ruchem głowy odrzuciła włosy na bok.

– Chodź, Dziecinko – powiedziała. – Niech cię przytulę.

Pobiegła. Nie zatrzymywała się tak długo, póki jej oddech nie zaczął się rwać, a w skroniach poczuła klucie.

Zawsze po polowaniu obiecywała sobie, że zacznie jeść dopiero wtedy, kiedy wróci do matki, ale nigdy jeszcze nie udało się jej dotrzymać tego postanowienia. Podniecenie walką, zmęczenie po biegu i bezpieczna otulina mroku pobudzały głód. Nie zwracała już uwagi na cichnące piski w górze korytarza. Teraz szczury nic nie mogły jej zrobić. Wprawdzie do miejsca, poza które nigdy się nie zapuszczały, został jeszcze kawał drogi, ale to nie miało znaczenia. Przegrały i musiały to uznać. Układ, jaki dawno temu zawarła z nimi matka, ciągle obowiązywał. Przynajmniej tak długo, jak długo Kruszyna go nie naruszała.

Z ulgą zrzuciła mięso z pleców. Po wykrwawieniu było nieco lżejsze, ale i tak sporo ważyło. Otarła w zgięciu ramienia pot z czoła i przykucnęła. Szybko i sprawnie zdarła z mięsa wierzchnią, niejadalną warstwę skóry, która zaczynała już twardnieć od krzepnącej krwi. Nigdy nie lubiła tego dotykać. Wiedziała, że to ubranie, bo matka też miała coś takiego, ale nie umiała zrozumieć, do czego jest potrzebne. Zwykle schodziło w dwóch kawałkach, tak jak teraz, chociaż czasem tworzyło kilka osobnych warstw. Zmiała to wszystko i rzuciła za siebie, na zer szczurom.

Teraz dotknęła spodniej skóry, gładkiej i już zimnej. Nacisnęła lekko tu i tam i uśmiechnęła się w ciemności. Gruby podkład tłuszczu ugiął się pod palcami, a potem wolno wracał do poprzedniego kształtu. Kruszyna poczuła pod językiem gwałtowny napływ śliny. Pochyliła się. Odnalazła odpowiednie miejsce i nadgryzła skórę. Wsadziła w szczelinę dwa zagięte kciuki i niecierpliwym szarpnięciem poszerzyła rozdarcie. Wepchnęła do środka całą dłoń. Tak długo przebiegała się przez fałdy tężejących mięśni, póki nie poczuła pod palcami znajomego kształtu wątroby. Wyrwała ją. Kiedy usłyszała odgłos mokrego młasnica, przyjemny dreszcz zbiegł jej od karku wzdłuż

pleców. Podniosła śliski ochlap do warg. Poczuła, jak na twarzy skrapla jej się parująca wilgoć, i odchrząknęła z zadowolenia.

Zjadła łapczywie i pozwoliła, żeby jej się głośno odbiło. Westchnęła. Wreszcie miała w brzuchu pełno. Tak pełno, że aż ciężko. Ciepła fala senności otuliła jej głowę, nogi zrobiły się miękkie, a ręce ciężkie. Dobrze byłoby teraz podłożyć dłoń pod policzek i zasnąć sytym snem, bez nagłych przebudzeń i burczenia w żołądku. Ale jeszcze nie mogła. Słyszała, jak szczury rwały na strzępy ubranie, ale wiedziała, że gdyby choć na chwilę przestała pilnować mięsa, na pewno by tego nie przegapiły. Zostawiłyby jej tylko kilka potrzaskanych kości, ze szpikiem wylizanym tak głęboko, jak daleko mogły sięgnąć ich wąskie języki.

Otrząsnęła się i uderzyła otwartymi dłońmi w oba policzki. Ruszyła dalej. Ciężar już nie przyginał pleców tak mocno, jedzenie dodało jej nowych sił. Wracła do siebie, do ciszy i ciemności, żeby jeść i spać, jeść i spać, i nie myśleć o niczym więcej.

Niewidzialna granica nie różniła się niczym od reszty korytarza. Wprawdzie pod ścianą na płaskim kamieniu szczyrzyła zęby wysuszona szczurza czaszka, ale Kruszyna pamiętała, że to matka ją tam położyła. Wcześniej w tamtym miejscu nic nie było, a przecież i tak żaden szczur, nawet największy samiec samotnik nie zachodził nigdy dalej. Tutaj kończyły się ślady ich pazurów. Kilka dziesiąt kroków niżej nikł smród odchodów, a jeszcze głębiej cichły ostatnie echa pojedynczych pisków.

Tu zaczynał się dom.

Kruszyna wyprostowała plecy i wciągnęła pełne płuca powietrza. Całe napięcie, niepewność i strach, wszystkie te złe myśli, które wkradły się do głowy, kiedy wyruszyła na polowanie, zostawały z tyłu. Na spotkanie płynął czarny, cichy i ciepły spokój. Mogła się nim cieszyć, mogła się w nim pławić, pozwalając sobie na rozluźnienie mięśni i przytępienie uwagi.

Korytarz zmieniał się. Przez całą drogę od Nieba Kruszyna miała pod stopami szorstkie kamienne płyty. Teraz szła po gołej ziemi, chociaż jeszcze gęsto usianej skalnymi

odłankami. Ściany przestały być twarde i zimne. Kiedy przykladało się do nich policzek, można było poczuć pieczęć wilgotnego ciepła, a jeśli wstrzymało się oddech na wystarczająco długi czas, słychać było szmer ukrytego, pełzającego pod ziemią życia. Co kilkanaście kroków sklepienie podtrzymywały drewniane podpory. Niektóre z nich były tak zmurszałe, że sypały się pod dotykiem, ale większość trzymała się jeszcze dobrze, od czasu do czasu wydając głośnie trzaski.

A potem korytarz nagle się urwał i pomimo mroku wszystko stało się inne. Ściany uciekły gdzieś na boki, sklepienie wzniosło się ponad zasięg ręki, a to oznaczało to samo, jakby go nie było w ogóle. Wielka pusta przestrzeń w inny sposób oddawała każdy dźwięk, rozciągając go w czasie i powtarzając go wielokrotnie, coraz ciszej i ciszzej. Nawet powietrze się zmieniło, powodując szum w uszach i lekki zawrót głowy. Szmer płynącej wody wydawał się dochodzić prawie spod stóp, chociaż Kruszyna wiedziała, że do strumienia pozostał jeszcze kawałek drogi.

Teraz mogła iść o wiele szybciej. Na ścieżce prowadzącej od wylotu korytarza do miejsca, gdzie czekała matka, na pewno nie było niczego, o czym by nie wiedziała. Przez te wszystkie lata wygładziła drogę własnymi stopami, oczyściła ze zwiru i większych kamieni tak, że nogi niosły ją same. Szum wody wciąż przybierał na sile, ale nie burzył spokoju. Jakby wcale nie był hałasem, a tylko inną postacią ciszy. Bliskość strumienia przesycała ciemność świeżością. Podłoże, które zaraz za korytarzem opadało bardzo stromo, teraz powoli zaczynało się wyrównywać. Nisko, na wysokości kolan, snuły się chłodne przeciągi.

Matka siedziała tam, gdzie zawsze. Była pogrążona w ciszy i bezruchu, ale jej obecność była tak oczywista, że Kruszyna czuła ją o wiele wcześniej, niż mogła dotknąć palcami jej czoła.

Czekała. Zawsze czekała i zawsze będzie czekać.

– Jestem – powiedziała Kruszyna, podchodząc bliżej i zwalając mięso nad strumieniem.

Przez chwilę czekała na odpowiedź, chociaż matka nie odzywała się do niej od tak dawna, że prawie już zapo-

mniała, jak brzmiał jej głos. Ale nie umiałaby jej nie przywitać, zwłaszcza po polowaniu. Bo z matką było przecież inaczej niż z Dziecinką. Obie milczały, ale Dziecinka nigdy wcześniej nie powiedziała ani jednego słowa. A matka tak. Matka pierwsza wypowiedziała każde ze słów, jakie istnieją. Nazwała wszystkie rzeczy, które są, i nawet wiele z tych, których nie ma. Dlatego zawsze trzeba było oczekiwać, że może jeszcze kiedyś się odezwie.

Kruszyna miała teraz przed sobą dużo pracy. Musiała oprawić mięso i tak je pokawałkować, żeby potem nie trudzić się już przed każdym jedzeniem. Lubiła to zajęcie. Dawniej, kiedy jeszcze oprawiała mięso razem z matką, takie chwile jak ta napępniały ją spokojem i dawały poczucie beztrości. Teraz było trochę inaczej. Chyba dlatego, że ciągle jeszcze pamiętała zapach przesiąkniętych potem włosów matki i czasem za nim tęskniła. Ale też umiała cieszyć się tym, co jest. W końcu mięso było mięsem, a pełny żołądek odpędzał zmartwienia.

Sięgnęła ręką za siebie i natrafiła na rząd równo ułożonych kamieni. Każdy z nich z jednej strony był tak wygładzony, żeby pasował do dłoni, a z drugiej kłut ostrą krawędzią. Podniosła największy, taki do grubej roboty. Drugą ręką chwyciła mięso za włosy, odgięła jego głowę w bok i podniosła kamień do ciosu.

Znieruchomiła. Z głębi ziemi dotarł chrobot kopacza. Był ledwo wyczuwalny, ale pomimo to jakoś wsiąkał przez skórę i wzbudzał strach.

Kruszyna powoli odłożyła kamień, tak żeby nawet nie stuknął. Usiadła na piętach i położyła obie dłonie na kolanach. Kiedy kopacz ryje w głębi ziemi, trzeba być cicho, bardzo cicho. Wyloty ich nor były na drugim końcu podziemnej jaskini, za strumieniem, ale Kruszyna wiedziała od matki, że przez takie długie i ciasne korytarze każdy dźwięk niesie się bardzo daleko. Może nawet do samego środka ziemi. Wprawdzie za jej pamięci żaden kopacz się tutaj nie zbliżył, ale kto może wiedzieć coś pewnego o rzeczach, które dzieją się w ukryciu? Lepiej przeczekać to w ciszy.

Dziecinka wysunęła się zza włosów i musnęła przed-

mi nóżkami obojczyk Kruszyny. Chrobot kopacza zawsze sprawiał, że ze strachu zaczynała wyczesywać sobie z odwłoka krótkie włoski.

– Nie bój się, Dziecinko – Kruszyna podstawiła jej dłoń i wstała. – Idź, schowaj się u matki.

Poczekala, aż Dziecinka przejdzie wszystkimi ośmioma nóżkami na skroń matki. Z cichutkim szelestem zesłała niżej, a potem wsunęła się w pustkę jej lewego oczodołu. Matka milczała.

•
Nie mógł im uciec, miał za krótkie nogi. Jego jedyną bronią była czujność. Cokolwiek robił, musiał mieć na oku zakręt polnej drogi przy zagajniku, skąd zawsze nadchodzili. Jeśli udało mu się wypatrzeć ich odpowiednio wcześniej, zanim oni zobaczyli jego, mógł znaleźć sobie jakąś kryjówkę. Przyczajał się w nadrzecznych trzcinach, brodząc po pas w wodzie, albo wcisnął się do spróchniałego wnętrza starej wierzy i nie wylazł tak długo, póki sobie nie poszli. Słyszał ich głosy, ich śmiechy i żarty, kiedy rozganiiali kopniakami krowy po całym pastwisku.

– Gdzie jesteś, śmierdzielu? – wolali. – Nie chowaj się przed nami! Chcemy się tylko przywitać!

Próbowali go szukać. Obrzucali kamieniami trzciny, ciągnęli krowy za ogony, żeby żalonym muczeniem wywabily go z kryjówek, ale on wstrzymywał oddech i czekał. Staral się nawet nie mrugać oczami. Na szczęście chłopaczyska szybko się nudzili. Jeśli go nie dopadli od razu, nie mieli na pastwisku nic innego do roboty. Pluli ze złości pod nogi, na odchodnym jeszcze rozrzucaли chrust ułożony w stosie przed jego szalaszem i wracali do wsi. Ich pokrzykiwania cichły powoli, a potem nagle urywały się, kiedy droga skręcała za zagajnik.

Wtedy wychodził. Ledwie rzucił okiem na piaszczystą ścieżkę, nie miał czasu na ulgę. Musiał biec, żeby pozaganiać krowy z powrotem. Gdyby tak któraś zaginęła albo weszła za głęboko w rzekę i spłynęła w dół porwana nurtem, pewnie nie doliczyłby się własnych siniaków. Soltys umiał bić i lubił bić. A już jego, pokurcza, lubił bić szcze-

gólnie. Chwytał pas, kij, psi łańcuch, cokolwiek miał pod ręką. Chociaż najgorzej było nie wtedy, kiedy targany wściekłością tłukł na oslep, ale kiedy wymierzał karę z rozmysłem. Najpierw ucinął sobie leszczynową witkę, nie za grubą i nie za cienką, taką w sam raz. Potem kazał mu odstąpić plecy i objąć ramionami pieniek. Świsł powietrza, piekąca pręga na ukos przez plecy, chrapliwe stękanie soltysa i kropelki jego śliny na karku. Tak, on umiał bić najlepiej w całej wsi.

– Łaciaaata, Uszaaata, Rogaaata! – głos mu jeszcze trochę drżał ze strachu, żeby chłopaczyska nie wrócili, ale krowy uspokajały się na jego widok i bijąc się ogonami po bokach, zaczynały skubać trawę. – Chodźcie, bydłaczki, chodźcie. Już jest dobrze.

Ufały mu. Czasem zdawało mu się, że krowy potrafią zrozumieć każde ludzkie słowo, a gdyby tylko bardziej się postarały, umiałyby nawet mu odpowiedzieć. Ale nie dziwił się, że tego nie robią. Uznawał, że w tym właśnie tkwi krowia mądrość. Zuć zielsko i patrzeć na świat wodnistymi ślepiami, ale nade wszystko nigdy nie zdradzić się z tym, co się widziało i co się wie. Traçały go w ramię mokrymi pyskami, ocierały o niego swoje wystające zębra. Pocięszaly go. Same nie miały lekkiego zycia, ale w końcu były tylko bydlem i wiedziały, że innym krowom nie powodzi się lepiej. A on? Nie był krową, chociaż czasem tego chciał. Ale człowiekiem też nie był. Przynajmniej nie takim, jak inni ludzie.

Był odmieńcem.

Wiedział, jak wygląda. Wiele razy widział swoje odbicie na wodzie w zakolu rzeki. Malutkie oczy osadzone bardzo blisko siebie i wepchnięte głęboko pod wypukłe czoło, wielkie uszyska porośnięte kępami włosów i grube wargi. Jego lysa głowa tak naprawdę nie była większa od głów innych ludzi, ale przez to, że reszta ciała przestała rosnąć, kiedy miał dziesięć lat, wydawała się ogromna. Nogi i ręce miał krótkie i grube, palce kołkowate, a brzuch wzdęty. Kiedy szedł przez wybujałą trawę pastwiska, kiwając się na boki i zadzierając wysoko podbródek, z daleka musiał wyglądać jak jakieś dziwaczne zwie-

rzę. Był przerażająco brzydki i dobrze sobie z tego zdawał sprawę. Mógł swoją szpetotę rozpoznać za każdym razem w oczach ludzi, którzy musieli na niego patrzeć. Słyszał to w tonie głosu, jakim do niego mówiono, nawet wtedy, kiedy nie były to wyzwiska. Budził swoim wyglądem strach u dzieci i odrzęz u ich rodziców. Budził złość tym, że nie umarł zaraz po urodzeniu, że przetrwał i że teraz pęta się po obrzeżach wioski, należąc do wszystkich i do nikogo. Rozumiał tę złość. Rozumiał nawet to, że chłopaczyska muszą tutaj przychodzić, żeby go dręczyć. Wierzył, że to nie ich wina, tylko jego. Zasłużył sobie na to. Nie powinien tak wyglądać. Nie powinien żyć.

I tylko krowom to wszystko nie przeszkadzało. A może udawały, że im nie przeszkadza. Były mądre i dobre.

Rogata zapędziła się najdalej, prawie pod sam las. Stała sobie w cieniu buków, rozgarniając pyskiem przyzółcone po brzegach paprocie, i strzygła uszami w stronę pachnącego mokrymi liśćmi półmroku. Żeby się do niej zbliżyć, odmieniec musiał przedrzeć się przez gęstniejące poszycie, które sięgało mu powyżej ramion.

– Ciii, już sobie poszli. – Wyciągnął rękę w górę, żeby poklepać ją po szyi. – Wracamy.

Od razu wyczuł, że coś nie jest w porządku. Rogata zamłóciła kopytami w miękkiej ziemi, zarzuciła łbem. Bała się. I to nie był strach przed kopniakami wiejskich wyrostków.

– Co, Rogata? Co?

Spojrzała na niego jednym łzawym okiem. Znal się na krowach jak nikt inny i właśnie dlatego siła jej strachu zaniepokoiła go.

– Co tam jest, Rogata? Co czujesz? – wspiął się na palce i ponad rozchwianymi jęzorami paproci spojrział w głąb lasu. – Rys? A może wilki?

Zawróciła tak gwałtownie, że uderzeniem zadu zwałała go z nóg. Słyszał oddalający się łomot jej kopyt, a kiedy udało mu się wyplątać z kolczastych krzewów jeżyny, Rogatej już nie było. Zostało po niej tylko kilka tłustych much, które głośno bzycząc, zataczały koła w nagrzanym powietrzu.

Chciał za nią pobiec, ale nie ruszył się z miejsca. Powoli odwrócił głowę i jeszcze raz zapatrzył się na las. Przed chwilą, kiedy stał bokiem, kiedy widział kątem oka korony drzew i skrawek nieba między nimi, był pewien, że coś zobaczył. Nie ruch, raczej jakiś nieruchomy kształt, którego nie powinno być w tym miejscu, wysoko, pomiędzy rozgałęzionymi konarami. Teraz, kiedy patrzył wprost, wrażenie się ulotniło. Lekki wiaterek poruszał liśćmi, a słonce rzuciło na pnie drzew rozmigotane plamki. Drgnął, kiedy ruda wiewiórka przeskoczyła z gałęzi na gałąź. Przez jakiś czas z zadartą głową wpatrywał się w tamto miejsce, ale nic więcej nie wypatrzył na spękanej korze.

Opuścił skraj lasu bez wyraźnego pośpiechu, ale też nie miał ochoty oglądać się za siebie. Przez całe dotychczasowe życie unikał ludzi i uciekał przed nimi, ale teraz po raz pierwszy ogarnęło go uczucie dziwnego niepokoju na myśl o tym, że najbliższą noc musi spędzić sam.

Znalazł Rogatą na pastwisku, razem z innymi krowami. Kiedy do niej podszedł, obrzuciła go swoim najwykleszszym, obojętnym spojrzeniem. Potarł stłuczone przy upadku biodro i zrobił ruch, jakby za karę chciał wytargać ją za ucho, ale rozmyślił się. Westchnął, pokręcił głową i rozkiwanym krokiem odszedł w stronę szalasu.

Do wieczora zapomniał o wszystkim. Wiedział, że chłopaczyska na razie się wyszumiełi i dadzą mu teraz odechnąć przez kilka najbliższych dni. Sołtys wczoraj zaprzął konie do wozu i pojechał na targ, a nikt inny i tak nie zaglądał na to odłudzie. O świcie przyjdzie po mleko Gruba Jagna, ale nią nie trzeba się przejmować. Zabierze cebryki, poburczy pod nosem i pójdzie. Zapowiadał się spokojny czas, a dla odmienca spokój był jedną z tych niewielu rzeczy, o jakich ośmielał się marzyć.

Nadoił sobie trochę tłustego mleka, przyniósł z szalasu miskę pełną dzikich śliwek i wyciągnął się na miękkiej trawie. Zapatrzył się na czerwieniejące słońce. W miarę, jak zbliżało się dolną krawędzią do linii lasu, wydawało się coraz bardziej splaszczać. Wzmógł się wiatr i czuby drzew zaczęły się chwiać na tle ciemnego nieba.

Łaciata zamuczała, Rogata majtnęła ogonem. Odmie-

niec usiadł i zmrzył oczy. Między pniami drzew już zgęstniała noc. Nagle, bez wyraźnej przyczyny, ale całkiem jasno zrozumiał, że ten dzień był całkiem inny niż wszystkie poprzednie. Coś się wydarzyło. Nie wiedział, co to było, i nawet nie chciał tego wiedzieć. Ale czuł, że idzie zmiana.

Tej nocy nie spał. Leżał na plecach, z rękami pod głową, i patrzył na gwiazdy.

Kiedy na zakręcie drogi pokazały się siwe lby sołtysowych koni, odmieniec zerwał się na nogi i odruchowo rozejrzał za jakimś schronieniem. Powstrzymał chęć ucieczki, zagryzł wargi i czekał. Niedobrze było chować się przed sołtysem, bo prędzej czy później i tak trzeba było wyleźć, a wtedy mogło być jeszcze gorzej. Czerwonawa twarz sołtysa robiła się sinozielona, a na wargach pokazywała się piana. Ręce mu się trzęsły i to trochę osłabiała siłę bicia, ale za to jego zawziętość i pomysłowość nie miała granic. Ludzie szeptali o nim, że za młodu był wojem w książęcej drużynie, ale za jakieś tam niegodziwości pognali go stamtąd precz. Złość i żal zapiekły się w nim od tego czasu. Może wypali się w nim ta zgrzyzota na starość, a może wyciągnie ją dopiero ziemia.

Tym razem nie zapowiadało się aż tak źle. Odmieniec odetchnął, kiedy zobaczył kilku wieśniaków idących po obu stronach wozu. Kiedy wielkie jak pół chłopca koła grzęzły w piachu, doskakiwali i podpierali wóz barkami. Konie prężyły szyje z wysiłku, a sołtys na koźle wywijiał batem nad ich grzbietami i kłął tak głośno, że było go słychać z daleka. Wóz trzeszczał pod ciężarem, osie skrzypiały.

Odmieniec wspiął się na palce i wytężył oczy. Za plecami sołtysa stała przytroczona sznurami ogromna, zbita z grubych desek skrzynia. Za każdym przechytem wozu jakiś wielki ciężar przewalał się w środku z łomotem, a wtedy wieśniacy odskakowali na boki. Odmieniec pozwolił sobie na jeden leciutki uśmiech do samego siebie, póki ludzie byli jeszcze na tyle daleko, że nie mogli tego

dostrzec. Nie musiał się niczego obawiać, przynajmniej nie dzisiaj. Dzisiaj to oni potrzebowali jego pomocy. I dobrze wiedzieli, że nikt inny nie może go w tym wyręczyć.

Wóz jazdząc przeciążonymi piastami zjechał z drogi i odciskając w trawie dwie równoległe krechy, zatrzymał się przed szalasek. Sołtys zwinął bat, zeskoczył z koźła i z ulgą potarł pięścią obolale krzyże. Nastroszył rzadkie brwi i patrząc spod oka na odmieńca, pokazał kciukiem za siebie, na drewniane pudło.

– Jest dla ciebie robota, pokurczu.

Ściany skrzyni jęknęły, kiedy coś kilkakrotnie uderzyło od środka z wielką siłą. Kilka gwoździ odprysnęło i błyszcząc w słońcu, śmignęło im nad głowami. Wszyscy odsunęli się, tylko odmieńiec podszedł do wozu i położył obie dłonie na szorstkim drewnie.

– Długo tam siedzi? – zapytał cicho.

– Nie twoja sprawa. Siedzi tyle, ile trzeba.

– Czy ktoś go karmi?

– Zgłupiałeś do reszty? Gdyby się wy dostał, rozniósłby połowę targu. – Sołtys wsadził bat pod pachę i oparł pięści na biodrach. – A ty nie mędrkuj, bo nie za to dostajesz od wsi zarcie, tylko za robotę.

Podniosła się chmura kurzu, kiedy wieśniacy spuścili skrzynię po pochylni na ziemię. W pośpiechu otrzepali ręce i nie oglądając się za siebie, wskakiwali na pusty wóz. Sołtys usiadł na koźle ostatni. Podrapał się końcem bata po podbródku, zebrał w garści lejce. Cmoknął na konie. Jeszcze się obejrzał, kiedy koła już wgrzyzały się w piach.

– Nie waż mi się otwierać, póki nie stracisz nas z oczu! Został sam. Krowy zbiły się w stadko na odległym krańcu pastwiska i patrzyły w jego stronę, nie przestając przeżuwać. Czekają, co będzie dalej. W skrzyni było teraz całkiem cicho. Obluzowane przy upadku deski nie przystawały już do siebie tak ściśle, a ze szpar między nimi bił dobrze mu znany, ostry zapach. Poczuł w gardle przyjemne mrowienie, po policzkach rozlało mu się ciepło. Lubił te chwile. To zawsze był czas próby. Pora pokazywania tego, co naprawdę wie i co umie. Nie wątpił, że sobie poradzi. Kiedy jutro przyjdzie Gruba Jagna, już będzie po

wszystkim. Ale wiedział też o tym, że jeśli coś poszłoby nie tak i o świcie znaleźliby jego ciało wdeptane w ziemię, nikt nawet nie wrzuciłby z tego powodu ramionami. Szybko napatoczyłby się ktoś inny na jego miejsce. Miska owsianki co dzień, na niedzielę okraszona skwarkami i jeszcze do tego pajdka chleba, a na zimę wiązka siana i ciepły kąk w oborze, to już bardzo dużo. Dla kogoś takiego jak on może nawet zbyt wiele.

Uderzeniem dłoni wybił jeden skobel, dalej drugi i trzeci. Zazgrzytały rdzewiejące zawiasy i kłapa z przodu skrzyni odchyliła się na pół łokcia. Odmieniec odbiegł tyłem kilka kroków. Ciemna szpara była na tyle szeroka, że trochę słonecznego światła wślizgnęło się do środka i rozproszyło zatęchły mrok.

Przez chwilę było całkiem cicho. Uchylona kłapa kusiała, żeby podejść bliżej i jednym szarpnięciem otworzyć ją szeroko. Ale odmieniec nie ruszył się z miejsca. Kiedyś, jako dziecko, widział pastucha, który uległ takiej pokusie. Uderzenie kłapy urwało mu głowę. Nigdy tego widoku nie zapomniał i być może to właśnie było powodem, że był tak dobry w tym, co robił.

Stulił wargi jak do pocatunku i bardzo cichutko gwizdał.

Kłapa odskoczyła z hukiem, wyrwijając zawiasy. Z furkotem przeleciała wysoko nad nim i upadła gdzieś daleko za jego plecami. W półmroku wnętrza skrzyni bladezaświeciły dwie plamki ślepi. Syk powietrza wypuszczanego z nozdrzy ogolocił główki dmuchawców na kilka kroków dookoła. Skrobnęło na drewnie kopyto.

A potem nagle, bez ostrzeżenia, zadudniła ziemia.

Czarny byk, z rogami jak lydki Grubej Jagny, wyskoczył naprzód jak dżgnięty ostrogami. Odmieniec miał bardzo niewiele czasu, żeby mu się przyjrzeć. Załedwie mgnienie oka. Ale i tak zdążył poczuć zaskoczenie. To było ogromne byczysko, największe z tych, z jakimi miał dotąd do czynienia. Jego łopatki sterczały tak wysoko ponad pochylonym łbem, aż odmieniecowi zatańczyły z wrażenia mroczki przed oczami. Na szczęście przy swoim ogromie byk musiał dłużej się rozpędzić i to pozwoliło odmieniecowi

rzucić się w bok, prawie w ostatniej chwili. Przekoziłkował kilka razy, ale kiedy się zatrzymał, zrobił to od razu na proste nogi, twarzą do byka.

Właśnie nawracał, sapiąc ze złości i wyrzucając spod kopyt kępy trawy. Uniósł łeb, ale tylko na tak długo, póki znowu nie zobaczył odmienca. Natarał jeszcze zajądziej. Wokół czubków jego rogów zawirowały zassane pędem powietrza muszki. W miarę, jak nabierał prędkości, zdawało się, że jego kopyta ledwo muskają ziemię, a łomot spada prosto z jasnego nieba.

Odmieniec gwizdnął jeszcze raz. Teraz inaczej, przeciągle, z językiem przyciśniętym do zębów. Człowiek nie mógłby tego usłyszeć, ale byk tak. Jego łeb drgnął nieznacznie, ale to wystarczyło, żeby się potknął jednym z przednich kopyt. Przez jakiś czas biegł jeszcze przechylony, jakby spychał go na bok potężny wiatr. Kiedy zarył pyskiem w ziemię, grudy ziemi wystrzeliły wysoko w powietrze. Przeszorował jeszcze na grzbiecie spory kawał, zanim się zatrzymał. Patrzył na chmury nieruchomym, przekrwionym okiem. Jego jęzor wisiał z boku pyska, jak coś całkiem niepotrzebnego.

Udało się! I to za pierwszym razem.

Podszedł powoli, ale tak, żeby przez cały czas być w polu widzenia byka. Tylnie kopyta wierzgnęły dopiero wtedy, kiedy był już całkiem blisko. Byk spróbował podnieść swój ciężki łeb, ale ogłuszenie upadkiem jeszcze nie minęło. Dyszał głośno. Odmieniec wyciągnął przed siebie rękę i jednym palcem dotknął miejsca pomiędzy jego rogami. Widział, jak czarne ślepie znowu nabierają życia, skupiając spojrzenie na jego twarzy. Wytrzymał ten wzrok tak, jak powinien, bez drgania powieki. Oparł na twardej czaszce całą dłoń. Teraz byk bardzo szybko odzyskiwał siły. Schował jęzor i uderzeniem ogona rozgonił muchy. Jeszcze był ogłupiały, ale odmieniec wiedział, że za chwilę znowu rozplomieni się w nim gniew.

Wstrzymał oddech. Był gotów.

Jednym szarpnięciem ciała byk dźwignął się w górę, opierając się na ugiętych kolanach przednich nóg. Ręka odmienca ześlizgnęła się pomiędzy jego oczami. Dokład-

nie w chwili, kiedy poczuł pod dłonią wilgotne chrapy, rozcapierzył szeroko dwa palce i pchnął. Trafił prosto w nozdrza. Docisnął głębiej, zagiął palce i przytrzymał.

Byk zwiótczał jak przekłuty rybi pęcherz. Jego tylne nogi rozjechały się na boki, a muchy znowu obsiadły mu pysk. Nie śmiał nawet poruszyć uchem, boki podnosiły mu się w przyspieszonym oddechu. Cierpiał i czekał.

Najtrudniejsze było zrobione, ale dla odmienca jeszcze nie nadszedł czas na rozluźnienie. Wnętrze nozdrzy było ciepłe i śliskie. Musiał bardzo uważać, żeby palce przypadkiem się nie wyslizgnęły. Stał szerszej na nogach i powoli, ale bez wahania zaczął przyciągać do siebie rogaty łeb. Gruby kark prawie nie stawiał oporu. Kiedy zobaczył czarną jamę ucha na wysokości swoich ust, obliznął wargi.

Gwizdnął cichutko, jak piskłę.

– To jest moje pastwisko. Ja tu rządzę. – Wbił paznokcie głębiej w nozdrza i zagwizdał znowu.

Byk łypał na niego z dołu owczymi ślepiami.

•

Zobaczył rozchwyany szereg dalekich ogni i w pierwszej chwili pomyślał, że to ciągle jeszcze jest sen. Nie chciał się budzić. Lubił ten ulotny stan tuż przed otwarciem oczu, kiedy pod powiekami jeszcze nie całkiem dogasty strzępek marzeń, a świadomość już czuwa. Wtedy było mu naprawdę dobrze. Był panem własnego strachu, a ułomność nie miała żadnego znaczenia. W tym stanie ciało nie było mu do niczego potrzebne. Unosił się, szybował, grzał w ciepłe wielobarwnych zórz. Wiedział, że jeśli będzie miał trochę szczęścia, to uda mu się zapamiętać to uczucie na całą resztę dnia.

Ale tym razem coś było nie tak. Ogniki, na które patrzył, rozdzielały się i łączyły, wznosiły i opadały, ale ich światło było zimne. Nie rozprasały chłodu, który wciskał się pod nogawki, pod rękawy i za kołnier. Lodowate paluchy dotykały jego skóry. Ognie wciąż rosły, mógł teraz zobaczyć ich żółtoczerwone języki i kopający dym. Sen wcale mu się nie podobał. Chciał przestać śnić, ale nie po-

trafił. Usiadł, a kiedy spróbował otworzyć oczy, zrozumiał, że już od dawna nie były zamknięte.

Zerwał się na nogi, gwałtownie przytomniejąc. Miał dreszcze. Przypomniał sobie, że o zmroku położył się przed szalase, bo noc zapowiadała się ciepła i bezdeszczowa. Ale potem od północy zaczął wiać zimny, porywisty wiatr i zaciągnął niebo chmurami. Miał zgrabiałe dnie i stopy, bolała go głowa, ale teraz nie miał czasu tym się zajmować. Mrugając strząsnął z rzęs kilka kropli śpiącego deszczu i wpatrzył się w noc.

Za rzeką, na drugim brzegu, stali ludzie. Każdy z nich trzymał w ręku pochodnię, a pomarszczone smugi światła kładły się na nurt. Słyszał, jak rozmawiają między sobą, ale nie podnosił głosów i nie mógł zrozumieć słów. Z ich ruchów, z pospiesznej krzątaniny domyślił się, że chcą się przeprowadzić na tę stronę. Szukali w trzcinach jakiejś łódki, a kiedy nie znaleźli, kilku z nich zrzuciło buty i weszli w wodę.

Pierwszym odruchem odmienca była ucieczka, jak zawsze. Przestraszona Łaciata zamuczała głośno i to trochę przejaśniło mu myśli. Ludzie, którzy zostali na brzegu, też musieli ją usłyszeć, bo wszyscy naraz rzucili pochodnie do rzeki. Nagle zrobiło się całkiem ciemno. Pluskała rozgarniana ramionami woda, słychać było wyraźnie przyspieszone oddechy płynących. Jeszcze chwila, a pierwsi z nich zaczęli wychodzić na brzeg. Bose stopy zakłaskały na mule, potem zaskrzypiały w piasku. Odmieniec czekał bez ruchu, póki nie usłyszał ich kroków na trawie. Teraz czuł się już pewniej. Znał na pastwisku każdy krzak, każdy kreci kopiec i gdyby chciał, mógłby ich wodzić w ciemności za nosy do samego świtu. Musieli przyjść z sąsiedniej wsi, a to znaczyło, że przebyli nocą spory kawał drogi przez pola. Tylko po co?

Przekrzywił głowę, żeby lepiej nastawić włochate ucho. Jakiś czas trwała cisza, a potem usłyszał nagle trzask pękającej pod piętą gałązki. Znieruchomiał. Kroki wcale nie zmierzały w stronę szalasu. Oddalały się i cichły, jakby ludzie szli do lasu.

To było o wiele dziwniejsze niż wszystko, co wydarzyło

się dotąd. Odmieniec spróbował wyobrazić sobie jakiś powód, dla którego ktoś chciałby nocą wchodzić do lasu. Nie udało mu się. Cicho wrócił do krów i szepcząc uspokajające słowa, pogładził każdą z nich po szyi. Zdawało mu się, że drzewa szumią o wiele mocniej niż zwykle, jakby puszcza zaczynała się zaraz za jego sztalasem.

Od pierwszego kroku, który postawił w tamtym kierunku, wiedział, że nie powinien tego robić. Nigdy nie wtykał nosa w nie swoje sprawy i chyba dzięki temu udało mu się przeżyć tak długo. Lepiej było dla niego nie przypominać ludziom bez potrzeby, że pod ich bokiem zagnieździł się taki parch jak on. Ale tym razem nie mógł się powstrzymać. Chciał się dowiedzieć. Miał pewność, że to jest ważne, choć opierał ją tylko na niejasnych przeczuciach. Bardzo ważne. Może nawet najważniejsze ze wszystkiego, z czym miał w życiu do czynienia.

Nie musiał się bać, że ich zgubi. Ludzie w mroku starali się iść cicho, ale byli tylko wieśniakami i nie umieli się skradać. Czasami któryś z nich parzył sobie w pokrzywach gole łydki, a wtedy od ściany lasu odbijało się głośne syczenie z bólu. Długo błądzili po obrzeżach pastwiska, gdzie trawa była gęsta i wysoka, szukając dogodnego przejścia. Nie mogli go znaleźć, nawet za dnia trudno było do niego trafić. Odmieniec odczekał chwilę. Myślał, że może jeszcze zawrócą, ale zaraz usłyszał trzaski łamanych gałęzi. Ludzie wchodzili w las tak, jak stali, wygniatając sobie drogę w gąszczu własnymi ciałami. Pośpiech musiał być dla nich ważniejszy niż zachowanie ciszy.

Kiedy dobiegł do miejsca, gdzie zaczynała się ścieżka, zawahał się. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek zdarzyło mu się podchodzić tak blisko puszczy po zmierzchu. Coś zimnego poślaskotało go po czole i pod gardło podszedł mu chłód, póki nie zrozumiał, że to tylko liście. W ciemności ktoś potknął się i zaklął. To dodało mu otuchy. Odsunął gałęzie na bok, zwilżył wargi językiem i ruszył przed siebie.

Wrażenie było takie, jak przy zanurzeniu się w wodę. Urwał się łagodny powiew wiatru, zrobiło się zimniej. Dźwięki rozchodziły się tutaj całkiem inaczej, nawet sze-

lest jego własnych kroków prawie od razu grzął w gęstwinie. Szybko stracił poczucie kierunku. Szedł wolno, tak jak pamiętał przebieg ścieżki, i miał nadzieję, że jej nie zgubi, zbaczając między drzewa. Teraz nie styszał już ludzi, jakby wszyscy naraz zatrzymali się, nastuchując. Cisza była gęsta, czarna i obca. Pokusa, żeby zawrócić, pojawiła się gdzieś w głowie jakby mimochodem, ale bardzo szybko urosła do rozmiarów, które przeszkadzały myśleć. Oddech stał się płytki, nogi zapadały się w ściółce gnijących liści. Powód, dla którego oddalił się od sztalasu, coraz bardziej tracił na znaczeniu.

Nagle coś zachrobotało. Z boku, bardzo blisko. Jakby ktoś tarł drewnem o drewno. Krótka przerwa, w czasie której strach przyczajał się na dnie żołądka, jeszcze nie całkiem pewny, czy to już jego pora. I znowu chrobot.

Odmieniec zatrzymał się. Próbował nie oddychać, ale wtedy serce zaczynało tłuc się tak głośno, że pewnie było je słychać na kilka kroków dookoła. Przycisnął dłoń do lewej strony piersi, dla dodania sobie odwagi odetchnął kilka razy przez nos i obrócił twarz w stronę, skąd dochodził dźwięk.

Od razu poczuł, że coś tam jest. Tak, jak czasem się czuje czyjeś natarczywe spojrzenie na karku albo jak można odgadnąć cudzą myśl, zanim zostanie zamieniona w słowo. Coś ukrywało się w poszyciu, które w tym miejscu sięgało odmiencowi po szyję, odcinając się od nocnego tła lasu jeszcze głębszą czernią. Czaiło się tam w całkowitym bezruchu, do jakiego nigdy nie byłby zdolny żaden człowiek.

Nie musiał znać nazwy tego, co miał przed sobą, żeby wiedzieć, że każdy zbyt gwałtowny ruch może skończyć się źle. Jeśli chciał odejść, musiał to zrobić powoli, płynnie i bez pokazywania pleców. Przeniósł ciężar ciała na lewą nogę, a prawą przesunął w tył.

Bezruch drgnął, zasłona ciemności uległa zmaczeniu. Rozszerzone strachem źrenice odmiencia widziały teraz o wiele lepiej niż zwykle. Podłużne cienie krzyżowały się, nakładały na siebie i oddalały. Ponownie usłyszał ten sam chrobot, co przedtem, ale tym razem bliżej. Brzmiał

tak, jakby pochodził z kilku źródeł naraz. Odmieniec dostawił lewą nogę do prawej i to było ostatnie pół kroku, jakie udało mu się zrobić.

Poczuł stuknięcie w czoło. Nie było silne, ale i tak zachwiał się na miękkich kolanach. Znowu, w pierś i w brzuch. Jakby ktoś dźgał go usztywnionym paluchem. Wpatrzył się w ciemność. Wydawało mu się, że coś dostrzegł, i zamrugał powiekami. Dwa długie proste wąsy, grube jak lodygi słonecznika, chwiały się przed nim na boki. Unosiły się i opadały. Dotykały go i cofały się, ocierały się o siebie nad jego głową, a po chwili znowu były na wysokości jego twarzy. Szukały. Badały. Poznawały.

Zniknęły bez szmeru, kiedy za jego plecami ktoś sucho zakaszłał. Zaszleściły liście, chłodne powietrze owiało mu czoło. Niespodziewane przecucie zawodu, że na tym wszystko mogłoby się skończyć, pchnęło go naprzód. Wbił się w gęstwinę, chowając twarz w zgięciu ramienia. Machał rękami na oślep, próbując chwycić cokolwiek. Udało mu się. Natrafił palcami na coś szorstkiego i twardego. Mógłby to być pień młodej brzoźki, gdyby nie to, że kiedy zacisnął na nim dłoń, pień spróbował się wyrwać. Odmieniec przewrócił się, szorując policzkiem i brzuchem po ziemi, ale nie puścił. Dwa bardzo mocne szarpnięcia sprawiły, że poczuł ból w barku. Jego palce zaczęły się ześlizgiwać. Podniósł oczy i wtedy zobaczył nad sobą światło.

Płomień pochodni zwęglił końcówki jego włosów. Ostatni, najsilniejszy zryw niemal podrzucił go do góry. Coś trzasnęło i zaraz potem poczuł, że to, co ma w ręce, już się nie wyrzywa. W oddali cichł szelest krzaków.

Pochodnie rozkwitwały jedna po drugiej. Wieśniacy otoczyli go i pochylali się nad nim. Ich twarze, oświetlone czerwono, drgały cieniami. Odmieniec usiadł, spojrzął na swoją dłoń i powoli rozchylił palce. W miarę, jak zaczynał rozumieć, na co patrzy, robiło mu się coraz bardziej duszno.

To wyglądało jak wielkie owadzie odnoże. Miało trzy stawy i zagięty pazur na końcu. Wyśliznęło się z jego spotniałej dłoni, upadło na ziemię. Usłyszał ciche skrobanie i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że oderwane odnoże wciąż jeszcze zgina się i prostuje, coraz słabiej i słabiej.

– Anielichy tak robią. – Jeden z wieśniaków wyprostował się i podniósł pochodnię wyżej. – Odrzucają nogi, jeśli je mocno złapać. Ale za kilka dni wyrosnie jej nowa i będzie biegła na wszystkich sześciu.

Odmieniec wstał. Nie wiedział, czy to wyjaśnienie jest dla niego. Nie wiedział nic. Miał pustą głowę i drżące kolana.

– Teraz już jej nie dogonimy. – Pochodnie zakolysały się. – Trzeba się modlić, żeby zatrzymała się jak najdalej stąd.

Gruba Jagna była jedyna z całej wioski, do której nie bał się odzywać nie pytany. Nie chodziło o to, że była powolna i pewnie nawet nie umiała go dobrze uderzyć. Nie miało znaczenia, że sołtys tłukł ją prawie tak samo często, jak jego. Nienawidziła męża, ale przecież zawsze mogła mu się poskarżyć na odmieńca, a sołtys nie przepuszczał takich okazji.

Ale odmieniec wiedział, że się nie poskarży.

Była wobec niego tak samo burkliwa i oschła, jak wobec wszystkich innych, i chyba to właśnie pozwalało mu czuć się przy niej bezpiecznie. Innym ludziom, kiedy rozmawiali między swojakami, od czasu do czasu zdarzał się uśmiech albo choćby tylko przyjazne spojrzenie. Jej nigdy. Kiedy mówiła do sołtysa, krzywiła się całkiem tak samo jak wtedy, kiedy przychodziła po mleko do odmieńca. Bo Gruba Jagna nie lubiła ludzi. Niezależnie od tego, czy byli starzy, czy młodzi, piękni czy brzydzy, postawni czy pokurcze. Odmieniec gotów był przyjmować każde jej gniewne prychnięcie wdzięcznym sercem, bo to oznaczało, że baba patrzy na niego jak na człowieka.

Jej wydłużony wstającym słońcem cień był tak niepodobny do niej samej, że kiedy wysunął się na drogę zza zakrętu, odmieniec musiał się uśmiechnąć. Cień pełził i pełził, załamał się na przydrożnym rowie i uwiązał w zaroślach, a Grubej Jagny ciągle jeszcze nie było. Słyszał sapanie, skrzyknięcie piasku pod jej ciężarem i stukot pustych cebrzyków. Kiedy wreszcie wyłoniła się zza drzew,

tęga i spocona, jej cień na chwilę zatrzymał się w miejscu, jakby wahał się, czy iść dalej. Poczekał, aż Gruba Jagna minie zakręt, i dopiero wtedy powlókł się ospale za nią.

Odmieniec patrzył w milczeniu, jak się zbliża. Zwykle ze sobą nie rozmawiali, bo nie było o czym. Gruba Jagna podchodziła do szalasu, stawiała na ziemi puste cebrzyki i szybko przeliczała wzrokiem krowy. Czasem klepnęła po grzbiecie tę czy tamtą, bo o krowach miała o wiele lepsze zdanie niż o ludziach. Całkiem jak odmieniec. Bywało, że wymieniali między sobą kilka pomruków, kilka kiwnięć głowami i wrzuseń ramionami, które oznaczały, że Łaciata coś kuleje, a Rogata chyba ma sraczkę. Ale rzadko. Komuś, kto miałby ochotę przyglądać im się z daleka, mogłoby się wydawać, że tych dwoje nawet się nie zauważyło, chociaż stoją obok siebie.

Ale nikogo takiego nie było.

Mala miska kaszy z wetkniętą w środek pajdka chleba wyglądała w łapach Grubej Jagny jak łupinka orzecha. Podawała mu ją bez słowa, podnosząc górną wargę i marszcząc spocony nos, jakby brzydził ją zapach jedzenia albo odmieńca. Mógłby się bez tego obejść. Wszystko, co potrzebne do życia, dawała mu rzeka, las i krowy. Nie siedział tutaj przecież z powodu tej garstki szarych ziarenek kaszy. Siedział dlatego, że pastwisko było jedynym miejscem na świecie, które mógł nazwać swoim. Często go kusiło, żeby na oczach Grubej Jagny rozsypać kaszę w trawie i pozwolić rozdziobać ją wróblom. Ale nigdy tego nie zrobił. Brał miskę i oddawał pustą, starając się nie podnosić oczu.

I już, to wszystko. Gruba Jagna wsunęła pod chustkę popielate kosmyki włosów, które wymknęły się, swawoląc na wietrze, schyliła się po cebrzyki z mlekiem i stękając, wyprostowała plecy. Obróciła się w miejscu, przesuując obrzęknięte łydki. Zaczęła iść powoli, drobnymi kroczkami, bo pięty ślizgały się jej na piasku.

Wtedy, całkiem nagle, odmieniec się przestraszył. Przyszło mu do głowy, że jeśli nie zapyta jej właśnie teraz, to nie zrobi tego już nigdy. To była dziwna myśl, która wypłynęła sama z siebie, niczym nie poparta. Ale była. Utkwi-

ła jak drzazga, a wokół niej ropiął strach. Odmieniec wstał i zrobił za Grubą Jagną kilka kroków. Zatrzymał się, bezradnie potarł palcami nasadę nosa.

– Gruba Jagno?

Jej rozbujane biodra pod ciasno opiętą spódnicą nie od razu znieruchomiały. Musiała minąć trochę czasu, zanim zrozumiała, że mówi do niej. Jeszcze paru chwil potrzebowała na to, żeby postanowić, czy przystanąć, czy iść dalej.

– Gruba Jagno!

Nieznacznie zmyliła krok. W cebrzykach zachlupotało mleko, żółtawa piana przelala się przez brzegi.

– Czego? – zatrzymała się, ale nie odwróciła głowy.

– Ja... – odchrząknął i nabrał głębiej powietrza. – Chcę cię o coś zapytać.

Nie odpowiedziała. Jej szeroki kark poczerwieniał, barki podnosiły się i opadały w nierównym oddechu. Była zaskoczona. Odmieniec musiał to wykorzystać, jeśli miało mu się udać. Podszedł bliżej, ale nie tak blisko, żeby poczuła się zmuszona do odwrócenia w jego stronę.

– Kim są anielichy?

Postawiła cebrzyki w piasku. Podniosła do twarzy dłońie i kilka razy rozprostowała palce przecięte siną pręgą od kablączków.

– Jesteś pastuchem. – Odwróciła trochę głowę, choć nie na tyle, żeby mógł zobaczyć jej oczy. Stał z wyciągniętą do przodu szyją i patrzył na łuk jej pleców. Czekał, co powie dalej, póki nie zrozumiał, że to była już cała odpowiedź. Czuł, że zaczynają go piec policzki.

– Chcę wiedzieć, kim są anielichy! – Ze zdziwieniem słuchał brzmienia własnego głosu, trochę płacznego, ale bardzo mocnego. – Muszę to wiedzieć.

Nie dałby się już zbyć, wszystko zaszło za daleko. Gruba Jagna mogła teraz zrobić tylko dwie rzeczy. Odejść bez słowa, zostawiając go na środku drogi z czerwonym nosem i wilgotniejącymi oczami, albo odpowiedzieć. Kiedy się do niego odwróciła, najpierw twarzą, potem ramionami, a na końcu całą resztą, już wiedział, że wybrała to drugie.

– Nie kim, tylko czym. Nie mów o nich jak o ludziach.

– Patrzyła na niego tak, jak patrzy się na zajęcze bobki, które przykleiły się do podeszwy.

– Ale... – Zatrzepotał rękami w rozpaczliwej próbie podtrzymania rozmowy, byle tylko Gruba Jagna nie uznała, że już wszystko zostało powiedziane. – Czy one są złe?

Zmarszczyła czoło, jej chustka zjechała głębiej na oczy. Znowu przez dłuższą chwilę musiała skrywać zaskoczenie.

– Złe? – powtórzyła za nim, jakby nie od razu umiała pojąć znaczenie tego słowa. – Pytasz, czy anielichy są złe?

– Słyszałem, że są ludzie, którzy rzucają wszystko, żeby tylko z nimi... żeby z nimi... – znowu zaczynał się jąkać, przeciął powietrze niecierpliwym ruchem ręki. – Żeby z nimi być. I nie ma dla nich większego szczęścia, niż to. A znowu inni ich nienawidzą. No to jak to jest? Są złe czy dobre?

– Nie są ani takie, ani takie. Zły czy dobry może być tylko człowiek. One jedynie dają szczęście. Krótkie i złudne, ale szczęście.

– To wszystko?

Poprawiła pod brodą węzeł chustki, ani na chwilę nie spuszczając z niego oka. Zamyśliła się chyba nad czymś, bo z jej twarzy spłynął grymas niechęci.

– Wszystko. – Pokiwała głową, chociaż myślami ciągle była gdzieś daleko. – Ale tę chwilę szczęścia trzeba bardzo drogo opłacić.

– A jeśli nic się nie ma?

– Każdy coś ma. Czasem się o tym nie wie, ale każdy ma.

– Nawet ja?

Jej źrenice się poszerzyły, kiedy nagle wróciła do przytomności.

– A co to za głupie klaskanie ozorem? Może masz za mało roboty? Powiem sołtysowi, to na pewno ci coś wymyśli! Czas, który udało mu się wyrwać podstępem, właśnie mijał. Dostał więcej, niż się spodziewał. Ale spróbował jeszcze raz.

– Słyszałem, że...

– Dużo słyszysz jak na kogoś, kto żyje na odludziu – przerwała mu twardo i schyliła się po cebrzyki. – Nie lu-

bie takiego gadania. W ogóle nie lubię gadania. A gadania o anielichach nie lubię po trzykroć.

Zakreśliła się tak mocno, że ochlapała sobie mlekiem spódnicę. Odchodząc stawiała wielkie kroki, jakby biegła. Odmieniec nie spodziewał się, że coś jeszcze od niej usłyszy. Dlatego drgnął, kiedy na zakręcie zajaśniała z daleka jej okolona chustą twarz. Słowa przyleciały ciche, ale wyraźne.

– To nie jest żadne wyjście. Nawet dla kogoś takiego jak ty.

Długi cień wyplątał się z krzaków, prześlizgnął przez rów i zniknął za drzewami.

Kiedy odkrył, że Łaciata będzie miała cielaka, z radości zaczerwieniły mu się końcówki uszu. Widział od paru dni, że byczek robi swoje, ale nie spodziewał się, że to stanie się tak szybko. A jednak nie mógł się mylić. Sama do niego przyszła, trącąc go w plecy pyskiem. Sposób, w jaki patrzyła na niego swoimi okrągłymi, spokojnymi oczami, powiedział mu wszystko.

– W samą porę! – Poglaskał ją po brzuchu, gdyka mu skakała ze wzruszenia. – Jeszcze by we wiosce pomyśleli, że umiesz tylko młócić trawę bez żadnego pożytku.

Poczuł wielką ulgę. Już od dłuższego czasu było wiadomo, że Łaciata jest pierwsza pod nóż. Nawet gdyby nie powiedziała mu o tym Gruba Jagna, domyśliłby się tego ze zmarszczonych brwi sołtysa i z jego kręcenia głową nad każdą wiązką trawy zgarniętą jęzorem. Odmieniec z początku chciał, żeby Łaciata też o tym wiedziała, ale w końcu się rozmyślił. Nic jej nie powiedział. Co by to zmieniło? Jeszcze by ze strachu przestała dawać mleko, a wtedy rzeźnik nie czekałby nawet jednego dnia.

– Teraz już wszystko będzie dobrze. – Sam nie wiedział, czemu mówił do niej szeptem. – Jeszcze sobie pożyjesz.

Chwycił ją za rogi i przyciągnął łeb do siebie. Oparł czoło na twardej wypukłości między jej oczami. Chciał, żeby mogła dzielić jego radość. Łaciata machnęła ogonem i cierpliwie czekała na to, co jej powie.

Obejrzał się na drogę, żeby sprawdzić, czy ktoś nie nadchodzi. Zawsze bardzo starannie pilnował tego, żeby nikt nie dowiedział się prawdy. To, co potrafił, było zbyt dziwne, żeby pokazywać to kmiociom. Nie rozumieliby. Wiedzieli, że odmieniec zna się na krowach, i to im wystarczało. Jedna Gruba Jagna może czasami czegoś się domyślała, ale nawet ona nie miała pojęcia, jak daleko to wszystko zaszło. Gdyby ktoś przypadkiem podpatrzył go z ukrycia, choćby jeden, jedyny raz, byłby z nim koniec. Póki ludzie czuli do niego zwyczajną pogardę, pozwalali mu żyć w pobliżu swoich chat. Ale jeśli zaczęliby się go bać, nie mógłby tutaj zostać ani dnia dłużej. Zaszczuli by go, jak się szczuje wściekłego lisa.

To się zaczęło, kiedy był jeszcze całkiem mały. Mógł mieć wtedy trochę ponad trzy lata, a przecież wciąż pamiętał wszystko bardzo wyraźnie. Chwila po chwili. Nie mógł sobie przypomnieć, co było przedtem, ani nawet wielu rzeczy spośród tych, które wydarzyły się później. Tylko to jedno wspomnienie przychodziło mu na myśl, kiedy próbował wnikać w przeszłość. I chociaż robił to niechętnie, a z biegiem lat coraz rzadziej, wspomnienie wcale nie wietrzało.

Była zima. Szedł pustą drogą, a z szarego nieba spływały mu na głowę i na ramiona wielkie płatki śniegu. Pod stopami chrzęścił lód. Za nim i przed nim, wszędzie wokół, szklila się zmrózona pustka. Nie było drzew i krzewów, tylko od czasu do czasu sterczał z ziemi czarny wypalony kikut. Mróz, cisza i osamotnienie. Bał się, ale był jeszcze zbyt mały na to, żeby odczuwać prawdziwe przeżalenie. Nie wiedział, dokąd idzie, chociaż rozumiał, że musi iść. Miał poczucie straty. Jakby zgubił coś, czego już nigdy nie uda mu się odzyskać.

Zatrzymał się. Chciał zaczekać na kogoś, kto weźmie go na ręce i ogrzeje jego twarz własnym oddechem. Wiedział, że ktoś taki istnieje. Musi istnieć. Oglądał się za siebie, ale światło odbijające się na skutej lodem drodze raziło go w oczy. Wydawało mu się, że cały świat umarł. Tylko obłoczki pary, w jakie zamieniał się jego oddech, wciąż świadczyły o życiu. Chciał iść dalej, ale to było bar-

dzo trudne. Stracił czucie w nogach, a stopy ślizgały się na błyszczącej gładzi. Nieustępliwie zaczynała ogarniać go senność. Wiedział, że to będzie całkiem inny sen od wszystkich poprzednich. Jeszcze udawało mu się podnosić ciężące powieki, chociaż już przestawał rozumieć, po co to robi.

Jakiś cień cicho poruszył się obok niego. Było mu obojętne, co to jest, ale spojrzął w tamtą stronę. Przy drodze stał siwy wilk. Miał chudy grzbiet, podkulony ogon i patrzył prosto na niego. Boki zapadały mu się głęboko po każdym oddechu. Wyglądał, jakby był bardzo osłabiony wielodniowym głodem. Zdawało się, że czeka, aż dziecko samo się przewróci, żeby nie tracić sił na zabijanie.

Serce odmieńca kilka razy uderzyło mocniej, rozgrzewając krew. Wrócił strach. Chciał uciec, ale potknął się już przy pierwszym kroku. Upadł. Z trudem dźwignął się na kolana, podpierając się rękami. Kiedy podniósł głowę, ślepia wilka były tuż przed nim, na wysokości jego oczu.

Wtedy to się stało. Nigdy nie zrozumiał, czemu ani jak, ale to na pewno była ta chwila. Wilk odstąpił kły, na jego karku podniosła się sierść. Zawarczał, przysiadając na tylnych łapach.

- Nie zjesz mnie. Nie wolno ci.

Gdyby na głos wypowiedział to, co pomyślał, musiałoby zabrznieć właśnie tak. Patrzył w nieruchome zwierzęce ślepia, a jego strach zamieniał się w obłoki pary i razem z oddechem ulatywał do nieba. Wydawało mu się, że umiał to robić od zawsze, ale teraz w końcu przyszedł taki dzień, kiedy naprawdę tego chciał.

- Musisz mi pomóc.

Wilki zakreślił się w miejscu na ugiętych łapach, z pyskiem nisko nad ziemią. Wyglądał jak szczeniak, który nagle przestał rozumieć, co się dzieje. Warknął, zaskowyczał i przetoczył się bokiem przez grzbiet. Dopiero teraz odmieniec zobaczył, że to suka. Jej sine wymiona były ponaciągane, chyba miała do wykarmienia liczny miot.

- Zabierz mnie ze sobą. Nie zostawiaj mnie tutaj. Chcę być twoim szczeniakiem - wychylił się do przodu i przyłożył twarz do jej szyi. Miała twardą sierść, ale pod

spodem była ciepła skóra, która miała zapach życia. Wilczyca zeszywniała, leżąc na boku i strzygąc uszami. Odmieniec oddychał równo, wciągając przez nos zimne powietrze. Przestał go dławić smutek, jakby uczucie zagubienia zbliżyło się w nim raz na zawsze.

Wilczyca nagle wysunęła się spod jego głowy, uderzył czołem w lód. Ciepło roztrzaskało się na tysiące mroźnych iskier. Spróbował wstać, ale już nie mógł. Sennaść wróciła, jeszcze bardziej natarczywa i wszechogarniająca.

To, co było potem, nie utrwaliło się we wspomnieniu. Za każdym razem, kiedy później o tym myślał, przypominał to sobie inaczej.

Kiwał się swobodnie jak szyszka, uniesiony w górę za skórę na grzbiecie, i czuł na karku mokry dotyk jej dźwięseł. Nie było mu zimno, zdrętwiał i stęzał. Białe łaty śniegu na lodzie uciekały w tył pod jego stopami. Potem ciemność, wleczenie na plecach i chłodne grudki ziemi wpadające do uszu. Ostra woń powodująca zawrót głowy. Piłki. Ciasnota. Drobne pazurki szarpające włosy. Poruszył głowę i natrafił wargami na mokre wymię. Zaczął ssać, a kiedy ciepła ciecz spłynęła mu do gardła, zamknął oczy. To wszystko.

– Wolno ci całować się z bydem, ale nie posuwaj się za daleko. – Śmiech sołtysa zabrzmiał tak, jakby się krtusił. Odmieniec odskokzył od Łaciatej, odgarniając włosy z oczu. Wydawało mu się, że zamysłił się tylko na chwilę, ale to musiało trwać o wiele dłużej. Tyle, ile trzeba na przejście drogi od zagajnika do szałasu.

– Ja tylko... – Z trudem pokonywał opór zdrętwiałej szczęki. – Bo ona...

– Zamknij się. – Sołtys klepnął się dłonią w udo, jakby chciał utłuc komara.

Razem z nim był jakiś człowiek, mały i zwiędły jak ususzona śliwka. Odmieniec znał jego twarz, ale dopiero po chwili przypomniał sobie, skąd. Wtedy pobladł.

– Która to? – zapytał obcy.

– Ta. – Sołtys ruchem głowy wskazał Łaciatą i wzruszył ramionami. – Nic już z niej nie będzie.

Obcy zatarł dłonie, przypatrując się krowie uważnie spod opuszczonych rzęs.

– Ile? – zapytał krótko.

– Dogadamy się.

Odmieniec miał wrażenie, że ziemia pod nim kołysze się jak tratwa. Kilkakrotnie przełknął ślinę, zanim udało mu się wydobyć głos.

– Ona jest cielna. Nie może iść na rzeź.

Sołtys powoli odwrócił głowę w jego stronę. Miał tak zaciśnięte wargi, że były prawie białe.

– To czemu ja nic o tym nie wiem? – warknął.

Rzeźnik podszedł do Łaciatej i pomacał ją po brzuchu. Próbowała odejść, ale chwycił ją za ogon i mocno pociągnął.

– E, nic tu nie ma – pokręcił głową. – Coś się pastuchowi uroiło.

– Mojej babie też kiedyś się zdawało, że jest brzemienna, a potem się okazało, że tylko naźarła się niedojrzałych jagód i brzuch jej wybito – gruchnęli śmiechem, aż im się trzęsły policzki. Pierwszy uspokoił się sołtys i kciukiem otarł łzę spod oka. Odmieniec wbił wzrok w kołyszące się nad rzeką trzciny, starając się powstrzymać łkanie.

– Ona naprawdę jest cielna. Jestem pewien – powiedział tak cicho, że nie słyszał nawet sam siebie.

Uwiązali jej postronki na szyi i pociągnęli za sobą, w stronę wsi. Kiedy jej kopyta zagłębiły się w piachu na drodze, obejrzała się na odmieńca. W jej oczach było zdziwienie.

•

Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, żeby na pastwisko nad zakolem rzeki trafił ktoś obcy. Do najbliższej chaty był stąd spory kawał drogi, a i w samej wiosce nieczęsto widywano jakieś nowe twarze. Czasem zajeżdżał ktoś w gości do proboszcza, a czasem, rzadziej, do sołtysa. Bywało, że odprowadzało się jakieś huczniejsze weselisko albo chrzciny u bogatych gospodarzy i wtedy schodziło się trochę więcej ludzi. Choć i to wszyscy z pobliskich wiosek, prawie swojacy. Ale żeby tutaj? Do krów, do pokurcza? Nigdy.

Był chłodny ranek. Odmieniec siedł nad rzeką, żeby

zanurzyć twarz w wodzie i jakoś otrząsnąć się z lepkiej pajęczyny senności. Czuł się otepiały, bolała go głowa. Udało mu się na krótko zasnąć dopiero wtedy, kiedy mgielka rozjaśniona światłem wstającego słońca osiadła już rosą na trzcinach.

Dzień zapowiadał się pogodny, choć nie upalny.

– Sam jesteś?

Słowa zabrzmiały nad nim tak niespodziewanie, że aż odrzucił go o kilka kroków do tyłu. Zawadził piętą o kępę trawy, zamachał rękami i upadł na tyłek. Przed nim stał jakiś wysoki człowiek. Słońce wschodziło za jego plecami, więc głowa, szerokie ramiona i pierś były czarne na tle bezchmurnego nieba.

– Chyba nie jesteś głuchy? Uszy przecież masz jak nietoperz. Odpowiadaj.

Odmieniec spróbował wstać, ale poczuł, że trzęsą mu się nogi. Podniósł rękę, żeby osłonić głowę przed ciosem.

– Sam.

Minęła długa, męcząca chwila, nim uwierzył, że tym razem nie będzie bicia. Przynajmniej nie od razu. Podniósł się ostrożnie na kolana, potem stanął na nogach i pozwolił się wyprostować. Zanim odważył się znowu spojrzeć na obcego, ukradkiem obejrzał się na boki.

– Nie ma nikogo więcej! – w głosie przybysza zabrzmiała lekka kpina. – I nic ci nie zrobię. Możesz przestać puszczać wiatry ze strachu.

Stał na niedbale rozstawionych nogach, z rękami założonymi na piersi, i przyglądał się odmieńcowi, mrużąc oczy. Miał nierówną, zaniedbaną brodę, długie rude włosy przewiązane rzemieniem i gacie pełne dziur. Patrzył tylko jednym okiem, drugie miał przewiązane opaską. Gdyby nie nóż za pasem i pewne siebie spojrzenie, mógłby uchodzić za zebraka.

– Skradasz się jak złodziej i nawet wyglądasz jak jakiś obwieś. – Odmieniec chciał hardością wyprzeć własny strach, ale ledwie wydusił pierwsze słowa, zaciął się i tylko głośno przetykał ślinę. Obcy odczekał chwilę, wzruszył ramionami i uniósł do góry jeden kącik ust.

– Wcale się nie skradałem. Po prostu nie widziałem

cię wcześniej, bo ledwo sterczysz czubkiem głowy nad twarzą. A co do wyglądu... – Potarł kark. – Ty też chyba nie jesteś najprzystojniejszy w okolicy, co?

Odmieniec wyminął go bez słowa i zaczął schodzić na brzeg. Nie zrobił tego, żeby uciec, bo już przestał się bać. Odszedł, bo nie wiedział, co powiedzieć. To było dziwne. Nigdy wcześniej coś takiego go nie spotkało. Po raz pierwszy w życiu nie odczuwał nienawiści do kogoś, kto mu przypomniał, kim jest. I po raz pierwszy stał twarzą w twarz z kimś, kogo nie znał i kto nie znał jego. Przez mgnienie oka, choćby tylko do pierwszych słów, jakie między nimi padły, do pierwszego uważnego spojrzenia, mogli być sobie równi. Jak człowiek człowiekowi.

Złapał się na tym, że odczuł ulgę, kiedy za sobą znowu usłyszał jego kroki.

– Hej! Czegoś taki obraźliwy? Poczekaj!

Odmieniec uklęknął w nadrzecznym mule i nabrał wody w złączone dłonie, zwilżając czoło i policzki. Pomarszczone i rozchybotane odbicie obcego wypłynęło nagle ku niemu z głębi. Zamlaskał muł pod stopami.

– Jak się nazywasz?

Odmieniec czubkami palców dotknął swojego czoła. Zdawało mu się, że jest rozpalone. Obejrzał się, ale nie podnosił głowy. Mokre postrzępione nogawki oblepiały łydki tamtego.

– Nie wiem.

Przybysz poruszył się i przez jakiś czas nic nie mówił. Potem nagle z rozmachem kopnął grudę błota, która rozpadła się w powietrzu i pozaczyła powierzchnię wody setką małych kółeczek.

– Jak nie chcesz ze mną gadać, to nie musisz – jego głos stał się bardziej gardłowy. – Ale nie rób ze mnie głupiego, jeśli mamy się rozstać bez gniewu.

Odmieniec wstał i spod łuków brwiowych, grubych na dwa palce, spojrzął mu prosto w jedyne oko.

– Nie wiem, jak mam na imię. Nie wiem, czy w ogóle mam jakieś imię. Mówią na mnie pokurcz, śmierdziel, krwi placek. A najczęściej po prostu: odmieniec.

Nie liczył na to, że obcy zrozumie. A już na pewno nie

spodziewał się, że zrozumie tak szybko. Ale kiedy sfalowało mu się czoło i przez twarz przeleciał cień, jakby przez słońce śmignęła jaskółka, już wiedział, że nie będzie musiał tłumaczyć niczego więcej.

Wrócił do szalasu swoim najwykleszszym kaczym krokiem. Przybysz został na brzegu, wyprostowany i chyba zastuchany w pluskanie wody. Ale odmieniec nie miał wątpliwości, że przyjdzie. Bez pośpiechu rozgrzebał czarny krąg po ognisku i rozdmuchał zar. Zatknął na patyku dwie złowione dzień wcześniej plotki, przysiadł na piętach. Kiedy pierwsze krople wytopionego tłuszczu zaskwierczały na węglach, zaszeeściła trawa za jego plecami.

- To nie jest takie ważne.

- Co? - W pierwszej chwili nie zrozumiał.

- Imię. Nawet jeśli się je ma, nie trzeba się do niego przywiązywać. Ja już miałem ich w życiu kilka.

Odmieniec spojrział spod oka i odsunął się trochę, robiąc mu miejsce przy ogniu. Przełożył patyk z ręki do ręki, pozwolił rybce osmalić się z drugiego boku.

- A jakie było pierwsze? - zapytał.

- Nie pamiętam. To było zbyt dawno, żeby mogło zostać w głowie. Ale kiedyś ludzie wymyślili mi przezwisko i tak jakós przyłgnęło, że wcale nie żałuję prawdziwego imienia.

- Jakie to przezwisko?

- Rozpruwacz.

Odmieniec przekręcił patyk trochę zbyt gwałtownie i ryba zsunęła się w ogień, który strzelił snopem iskier. Nie próbował wydobyć jej z płomieni. Siedział sztywno i patrzył w dym.

- Czemu Rozpruwacz? - zapytał po długiej chwili milczenia.

- No, bo rozpruwam. - Przybysz wzruszył ramionami, patrząc z niepokojem na patyk. - Może porozmawiamy o tym później? Jeśli zmarnujesz też drugą plotkę, rozpoczne na czczo trzeci ranek z rzędu.

Odmieniec bez słowa oddał mu kij. Siedzieli przygarbieni, ramię w ramię, zajęci własnymi myślami. Rozpruwacz nie poczekał, aż rybka dobrze się wypiecze, zaraz

strząsnął ją sobie na otwartą dłoń. Sycząc przez zęby przerzucił ją z ręki do ręki, póki trochę nie ostygła.

- Jakós mi przeszła ochota - burknął odmieniec, kiedy napotkał jego pytający wzrok. - Jest twoja.

Rozpruwacz podniósł brwi, ale długo się nie namyślał. Zjadł rybkę w całości, razem z głową, kręgosłupem i ogonem. Potem westchnął, oparł się z tyłu na łokciach i wystawił twarz do słońca, które grzało coraz mocniej.

Niewydajone krowy rozmuczały się nagłaco, odmieniec wstał.

- Czas do roboty.

Rozpruwacz leniwie skinął głową, nawet nie rozklejąc powieki.

- Nie odmówię kilku łyków ciepłego mleka.

Odmieniec rozgniółł piętą czerwony żarek, który odtoczył się od ognia. Obejrzał się na pustą drogę.

- Gadałeś już z sołtysem?

Rozpruwacz znowu podniósł brwi. Odemknął oko, oparł się wygodniej i ziewnął.

- Jakim sołtysem?

- Naszym. Ze wsi.

- Nie byłem w żadnej wsi.

Odmieniecowi nagle zaschło w gardle, chociaż wiatr gnał dym w przeciwną stronę.

- Na pastwisko nie ma innej drogi, jak przez wieś.

- Ja bardzo rzadko chadzam drogami. Przyszedłem z lasu.

Odmieniec poczuł bicie własnego serca pod każdym paznokciem. Wyobraził sobie, że w ciemnej wstędze puszczy za jego plecami chowają się czyjeś oczy, które właśnie teraz wbijają wzrok w jego kark. Wiedział, że musi szybko coś powiedzieć, bardzo spokojnie i obojętnie.

- Powinieneś już iść. Niedługo przyjdzie Gruba Jagna po mleko. Jak cię zobaczy, zaraz rozgada między ludźmi. A we wsi nie lubią takich... jak ty.

- To znaczy jakich?

- Takich, którzy idą lasem, kiedy mogą iść drogą.

Rozpruwacz strzepnął z nosa upartą muchę i usiadł. Ostonił przedramieniem oko od słońca i spojrział prosto na odmieńca.

– Kogo ty się tak naprawdę boisz? Mnie czy ich?
 Odmieńcowi zdrząły wargi. Przez chwilę wyglądał tak, jakby zbierał się do powiedzenia czegoś ważnego, ale potem starł wierzchem dłoni wilgoć z oczu i odwrócił się do Rozpruwacza plecami.
 – Idź – powiedział tak cicho, że ledwie go było słycać.
 – Zostaw mnie w spokoju.

Tym razem go przechytzyli, chociaż przyszli całą gromadą, w kilkunastu. Zeszli z drogi jeszcze przed zakretem, zatoczyli wielkie koło przez pola i zakradli się na pastwisko trzcinami, wzdłuż rzeki. Kiedy ich zobaczył, byli już tak blisko, że zdążył tylko krzykiem rozpędzić krowy. Usiadł skulony przed szalasek i patrzył, jak nadchodzą, obstępując go kręgiem. Nie śpieszyli się, trącali się łokciami z krzywymi uśmiechami.

Gzik był z nich największy. Ciemnowłosey, z odstającymi uszami i czarnymi kropczkami pierwszego zarostu sypiącego się już na podbródku. Pochylił się, opierając dłoń na kolanach, i świsnął przez zęby.

– Ciężko cię zastać, skrzacie. Boisz się nas czy co?
 Zarechotali wszyscy naraz i skupili się wokół odmienca jeszcze ciałniej. Poczzerwieniały im policzki, zaszurali w trawie bosymi stopami. Wymyśliłi coś nowego, na pewno. Coś, z powodu czego gotowi byli nadłożyć tyle drogi, byle tylko znowu im się nie schował.

– Odpowiadaj, krowi cycku, kiedy cię grzeczniej pytają.
 Odmieniec skinął głową i jednocześnie wzruszył ramionami. To mogło oznaczać wszystko i miał nadzieję, że zawarł w tym ruchu taką odpowiedź, jakiej oczekiwali.

– Jadłeś już dzisiaj? – Gzik wyprostował się i zmienił ton na prawie przyjazny. – Sołtys chyba nie za bardzo cię tuczy, co?

Odmieniec podniósł wzrok, ale tylko na wysokość ich kolan. Wiedział, że widok jego twarzy bardzo często wywołuje u ludzi gniew. Podciągnął nogi bliżej siebie, żeby móc zerwać się w każdej chwili. Chłopaczyska położyli sobie ramiona nawzajem na barkach i zasłonili sobą słońce.

– Nie muszę dużo jeść – starał się to powiedzieć spokojnie, nie za głośno, ale i nie za cicho.

– No pewnie. Jesteś pokurczem! – Chudy Szczawik rozchichotał się urywanym piskiem. Miał na twarzy rój piegów, aż po linię rudawych włosów. – Ale coś przecież musisz jeść. Słyszeliśmy, że jakoś sobie radzisz. Pokaż nam.

Z początku nie zrozumiał. Chwilowa ulga, że nie zaczęło się od razu od kopniaków, rozwiewała się bardzo szybko. Poruszył się niespokojnie.

– Co mam wam pokazać?

– Pokaż nam, co jesz.

Wstał, bezwiednie otrząpiał tylek z trawy. Przesunął wzrokiem po ich twarzach i poczuł na skroniach prawdziwe, zimne dotknięcie strachu. Chłopcy byli podnieceni, ich oczy lśniły.

– Ryby, mleko, dzikie jabłka. Różnie, jak się zdarzy.

– A jak się nie zdarzy?

– To chodzę głodny.

– Nie! – Gzik wysunął się do przodu i dużym palcem stopy trącił go w pierś. – My wszystko wiemy, ktoś cię podejrzwał. Pokaż nam to, gównojadzie.

Zaczął do niego docierać, co chcą z nim zrobić. Przypominał sobie jakieś zasłyszane, ulotne strzępki plotek o sobie, które kłuły się pod strzechą karczmy albo po prostu w chatach przy piecu w deszczowe dni. Czuł, jak obrzydzenie powoli zaczyna wypełniać mu żołądek, sięgając gardła.

– To nieprawda! – mówił teraz bardzo szybko, zacinając się. – Jem to samo, co inni. Ktoś to wszystko sobie wymyślił.

Mały Chwostek zgiął się w pół i wysunął się tyłem ze splecionego ramionami koła. Był najmłodszy, ale może właśnie przez to najzłośliwszy. Został po nim prześwit między Gzikem a Szczawikiem, za mały, żeby odmieniec mógł spróbować ucieczki, ale wystarczająco duży, żeby widzieć, co się dzieje. Chwostek pogrzebał w stosie chrustu i wyciągnął stamtąd krótki kijek. Trochę pokręcił się po pastwisku, pochylony jak bociek szukający żaby. Trawa

tam była wysoka, ale i tak szybko znalazł, co trzeba. Przykucnął, dźgnął patykiem i zakręcił.

– Nie zmuszajcie mnie do tego! – Odmieńcowi zrobiło się duszno, mówił z trudem – Bijcie. Ale nie to!

Już się nie śmiali. Czuli nad sobą ich zagęszczone oddechy. Pragnęli jego strachu, napawali się nim. Chwostek wsunął się w szczelinę i wyciągnął przed siebie patyk, którego koniec oblepiony był krowim łajnem.

– Żryj – wyszeptał Gzik.

Gdyby odmieniec miał czym, pewnie by zwymiotował już teraz. Gwałtowne mdłości szarpnęły nim kilka razy. Nogi miał miękkie.

– Żryj!

Chciał ich błagać, ale już nie wiedział, jak. Zamiast słów wyrzucał z siebie jakieś dziwaczne, świszczące pocharkiwanie. Chwostek potrząsnął patykiem i podsunął mu go pod sam nos. Ktoś chwycił go za włosy i siłą odciągnął jego głowę do tyłu. Zacisnął wargi, ale nie zamykał oczu. Przez łzy niebo wydawało się dalekie i zimne.

I wtedy nagle krąg chłopaków rozpadł się. Palce wczepione we włosy odmienca puściły, na twarzy poczuł dotyk słońca. Ale nie poruszył się jeszcze. Przetykał ślinę raz za razem, czekając, aż lekki powiew wiatru zabierze ze sobą smród.

– Który z was to wymyślił?

To był głos Rozpruwacza. Odmieniec wstał i starł rękawem resztki łez z policzków. Chłopaczyska rozproszyli się po pastwisku, uciekając we wszystkie strony naraz, ich brudne pięty migaly z daleka. Tylko Gzik ze Szczawikiem ciągle jeszcze tu byli. Rozpruwacz okręcił ramieniem szyję każdego z nich, tak że odmieniec widział tylko czubki ich głów sterczące spod jego obu pach.

– Który? – Rozpruwacz był blady, oko miał podbiegnięte krwią. Poruszył barkami, zbliżył ich głowy i stuknął nimi o siebie, aż poszedł głuchy pogłos. – Gadać!

Odmieniec wspiął się na palce i rozejrzał się za krowami. Były daleko, ale żadnej nie brakowało. Rwały trawę, jak zawsze rozsądne i obojętne. Opadł na pięty, odetchnął i niecierpliwie machnął ręką.

– Puść ich.

– Uciekną! – Rozpruwacz zmarszczył czoło.

– Niech uciekają. Puść.

Rozpruwacz zaklął, jeszcze raz trzasnął głowami i rozluźnił uścisk. Gzik ze Szczawikiem opadli na ziemię, jak zwiedłe liście. Ale pozbiali się dosyć szybko i nie oglądając się za siebie, odbiegli w stronę wioski. Odmieniec patrzył za nimi, jak zataczają się i klną, póki nie zniknęły za zakrętem.

Pociągnął nosem, poprawił gacie.

– Miało cię tu nie być.

Szeroki uśmiech Rozpruwacza ostygł, jego oko zwięzło się.

– Bywało, że dziękowano mi wylewniej za pomoc.

– Wiesz, co teraz będzie? – Odmieniec podszedł do niego tak blisko, że musiał zadzierać głowę, żeby patrzeć na jego twarz. – Do wieczora rozgada się o tobie cała wieś.

– No to co?

– To, że sołtys oskarży mnie o sprowadzenie na pastwisko obcego i pognają mnie precz! Wszystko stracę. Nawet te szmaty nie są moje, tylko ich. – Skubnął nogawkę zbyt długich gaci.

– Boże! Co ty gadasz? Oni przecież chcieli się nakarmić gównem! Gdyby mnie tutaj nie było, już byś kończył przetykać.

– I przelknąłbym. Robilem już gorsze rzeczy. A oni w końcu sami by sobie poszli. A tak? Diabli cię tu nadal!

Patrzyli na siebie w milczeniu, zacinając zęby. Odmieniec miał nadzieję, że powiedział wystarczająco dużo. Czekał, kiedy Rozpruwacz odwróci się na pięcie i odejdzie. Może jeszcze splunie przez ramię, a może tylko odkopnie w jego stronę patyk oblepiony łajnem. Wiedział, że będzie tego żałował. Długo, może przez całe lata. Ale tak będzie lepiej. Z sołtysiem może jeszcze jakoś się uładzi, a potem...

– Nigdzie nie idę. Polubiłem cię i nie pozwolę tym gnojkom, żeby cię dłużej dręczyli.

Rozpruwacz kiwał głową sam do siebie, jak ktoś całkowicie przekonany o słuszności swojego zdania. Odmieniec

cofnął się, unosząc ręce, poszukiwał w głowie najpluga-
wszych wyzwisk, jakie znał, i zacerpnął oddechu.

Ale nic nie powiedział. Patrzył przed siebie szeroko
otwartymi oczami, a kiedy poczuł na głowie dłoń Rozpru-
wacza, rozplakał się. Cicho, bez głosu, po swojemu.

Rozpruwacz wrócił ze wsi późnym wieczorem. Niebo
było bezchmurne i gęsto skropione żółtymi iskierkami
gwiazd. Szedł rażno, pogwizdując sobie nierówno, a w
przydrożnym rowie cichły rechoty przestraszonych żab.
Kiedy odmieniec wygrzebał z zaru kilka opieczonych ryb,
ich zapach rozlał się szeroko po pastwisku. Rozpruwacz
przestał gwizdać i przyspieszył kroku. Bez słowa usiadł
przy ogniu, chwycił za ogon pierwszą rybę z brzegu. Pa-
rzył sobie wargi, ale nie przestawał jeść, póki nie odrzucił
za siebie splachetka ogona.

Odmieniec podał mu kubek mleka i usiadł naprzeciw
niego. Ich twarze, pokryte ruchomą siatką blasków i cie-
ni, wydawały się bardzo podobne. Poczekał, aż Rozpru-
wacz wydłubie z zębów łuskę, i odchrząknął.

- I jak?

- Dobra, ale przydałoby się trochę soli.

- Nie o to pytam. Jak... we wsi?

- Al! - Rozpruwacz sięgnął po następną rybę i położył
się wygodnie, oparty na łokciu. - Złatwione.

Odmieniec nachylił się do niego nad dogasającym pli-
mieniem.

- Byłeś u sołtysa?

- Byłem. Jest dosyć opryskliwy, ale raczej rozsądny.
Zostanę tutaj tak długo, jak trzeba, i nikt z tego powodu
nie będzie cię oskarżał.

Odmieniec wpatrywał się w niego przez długą chwilę.
Rozmigotane światło sprawiło, że nie mógł dostrzec, czy
uśmiech tamtego jest wesoly, czy tylko szyderczy. Opuścił
głowę i zaczął rzucać na czerwone węgielki pojedyncze
żdźbła trawy, patrząc, jak się skręcają.

- Zapłaciłeś mu?

Rozpruwacz pokręcił głową. Wsadził palec pod poli-
czek, próbując dosięgnąć jakaś zagubioną ość.

- Groziłeś mu?

Ość musiała utkwic głęboko, bo Rozpruwacz odkaszl-
nął, usiadł i wypluł na złączone dłonie wszystko, co miał
w ustach.

- Cholera jasna, coś ty taki dociekliwy? Daj mi chociaż
zjeść w spokoju!

Odmieniec cisnął na zar całą garść trawy, aż zasyczał
gryzący dym.

- Myślę, że kłamiesz. Wcale u niego nie byłeś. Sołtys
takich jak ty bez długiego przepytывania zamyka na noc
w komórcę.

- Takich jak ja? To znaczy jakich?

- Włóczęgów, żebraków i w ogóle różnych takich... nie
wiadomo co.

- A mnie nie zamknął. Nawet grzecznie odprowadził
do furtki. - Rozpruwacz z ulgą przejechał językiem po
dziąsłach. - To może nie jest ze mnie takie wielkie nie
wiadomo co?

Ucichli. Prześwitująca między kępami traw rzeka peł-
gała odbitym światłem gwiazd. Od wody powiało chłodem.
Odmieniec rzucił na zar parę gałązek chrustu i przy-
kładając policzek do ziemi, rozdmuchał ogień. Przyniósł
z szalasu dwa koce i jeden rzucił Rozpruwaczowi.

- Przepraszam - powiedział, nie patrząc na niego. -
Nie chciałem cię obrazić. Ale mówisz o sobie tak mało, że
już sam nie wiem, co myśleć.

- Nie przejmuj się. Zdaje się, że żaden z nas nie jest
bez winy. No to jak? - rozłożył ręce. - Spróbujemy jeszcze
raz?

Odmieniec owinął się kocem po czubek głowy, zosta-
wiając tylko wąską szparę na oczy i usta.

- Dobra - powiedział wolno. - Na początek, czym ty
się właściwie zajmujesz?

- No wiesz... Mówiłem ci już. Rozpruwam.

- A poza tym?

- Tropię. - Twarz Rozpruwacza zastygła w namyśle,
ale zaraz rozpogodziła się. - Tropię, żeby znaleźć i roz-
pruć.

Odmieniec zmusił się do zrobienia pięciu głębokich,

pełnych oddechów. Ale i tak jego głos zabrzmiał o jeden ton wyżej niż zwykle.

– Co tropisz?

Rozpruwacz poprawił się, jakby mu było niewygodnie, i wzruszył ramionami.

– Czy naprawdę musimy o tym gadać?

– Nie musimy. Wydawało mi się, że chcemy.

Rozpruwacz wstał i kilka razy przeszedł się wokół ognia. Odmieniec słyszał trzaskanie suchych drewniek pod jego stopami i bicie własnego serca. Kiedy się zatrzymał, gwiazdy zebrały się nad jego głową w wianuszek.

– Powinieneś sam się domyślić. Zabijam anielichy.

Odmieniec nie poruszył się. Było mu dziwnie lekko, oddychał swobodnie. Powinien sam się domyślić? Moze powinien, ale nie chciał. Teraz, kiedy już wiedział, prawda wydała mu się całkiem zwyczajna.

– Myślałem, że tak naprawdę one nie istnieją. Jak zmarli wychodzący z grobu albo coś takiego.

– Pewnie, że istnieją. – Po sposobie, w jaki Rozpruwacz przymknął oko, odmieniec poznał, że z niego też zeszło całe napięcie. – A co do zmarłych, to dalbys głowę, że nie wychodzą?

Znowu milczeli. Odmieniec siedział pod kocem i próbował przypomnieć sobie choćby jedno z tych wszystkich bardzo ważnych pytań, które chciał zadać. Zdziwił się, że można mieć w głowie tak zupełną, brzęczącą pustkę.

– Nie wyglądasz na kogoś takiego – powiedział w końcu.

– A na kogo wyglądam?

– Wyglądasz na...

– Wiem! – Rozpruwacz podniósł otwartą dłoń. – Już mówiłeś. Ale to tylko dlatego, że od wielu dni nie wychodzę z lasu. No i obszarpańcy nie rzucają się tak bardzo w oczy, a ja nie szukam rozgłosu.

– Teraz rozumiem, czemu sołtys nie poszczuł cię psami. – Odmieniec nie mógł powstrzymać uśmiechu, ale zaraz spowaźniał. – I tutaj też tropisz?

– Wszędzie tropię. – Rozpruwacz uznał, że może już powrócić do nadgryzionej ryby. – Żyję z tego.

– Masz jakiś świeży ślad? – Odmieniec poczuł, że mo-

kra koszula klei mu się do pleców. Pozwolił kocowi zsunąć się na trawę.

– Nawet bardzo świeży. – Rozpruwacz zakreślił rybim łbem koło w powietrzu. – Jedna jest gdzieś tutaj. Całkiem blisko. Lada dzień ją znajdzie.

Odmieniec cieszył się, że jest ciemno. Nie był pewien, czy potrafiłby zapanować nad drżeniem warg.

– To dlatego tu jesteś. Wcale nie po to, żeby mnie... żeby... – zacisnęło mu się gardło. Musiał poczekać, aż to minie. Rozpruwacz odłożył rybę i wytarł tłuste palce o brzeg koszuli.

– Jedno wcale nie musi klócić się z drugim.

Tego wieczora nie rozmawiali już więcej. Odmieniec przysypał żar i na kolanach wpełzł do swojego szalasu. Jeszcze przez jakiś czas szeleściły kroki Rozpruwacza, raz bliżej, raz dalej, jakby szukał sobie miejsca do spania. Potem była cisza, choć odmieńcowi się zdawało, że słyszy odgłosy dojadania resztek. Zasnął źle, lekko i niespokojnie. Budził się kilka razy z twarzą mokrą od potu i nasłuchiwał. Wreszcie przed samym świtem zapadł w czarny, duszny sen, po jakim rano zostaje tylko zmęczenie.

Przebudził się nagle, z tętniącym sercem i z przekonaniem, że dzieje się coś ważnego. Wyczołgał się z szalasu, chociaż sam nie wiedział, po co. Porywisty wiatr chlupnął mu zimnem w rozgorączkowane czoło. Otrząpiał dłonie z rosy i wstał.

Było jeszcze ciemno, tylko na wschodzie szarzała zapowiedź dnia, ale zobaczył Rozpruwacza prawie od razu. Stał wyprostowany, z rękoma założonymi na piersi i wysoko uniesioną brodą. Wyglądał, jakby na coś czekał. Musiał słyszeć nieporadne stapanie odmieńca, ale nie drgnął. Dopiero wtedy, kiedy odmieniec stanął koło niego, przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę.

– Obudziła cię – powiedział szeptem najcichszym z możliwych. – Byłby z ciebie niezły zabójca anielich.

– Nic mnie nie obudziło, bo nic nie słyszę. Zachciało mi się pić i dlatego...

– Słyszysz. Tylko boisz się do tego przyznać sam przed sobą. – Rozpruwacz schylił się i ramieniem objął jego plecy. – Słuchaj.

Odczuł to tak, jakby po przeknięciu śliny nagle odepkały mu się uszy. Od karku po kość ogonową przeleciały mu ciarki. To, co słyszał, brzmiało tak, jakby ktoś włożył mu na ziemi coś bardzo ciężkiego. Gdzieś pod samym lasem albo już między pierwszymi drzewami.

- Jakies duże zwierzę pcha się przez zarośla - chciał tylko pomyśleć, ale okazało się, że powiedział to na głos. Rozpruwacz poklepał go po wystających łopatkach.

- Pomyliłem się. Nie byłbyś niezły, byłbyś bardzo dobry.

Rozpruwacz podwinął obie nogawki powyżej kolan i z chlupotem wkręcił się między trzciny. Zniknął odmieńcowi z oczu, ale chwijące się puchate kitki pokazywały, któredy szedł.

- Tam nic nie ma! - Odmieniec stał na brzegu z rękami na biodrach. - Musiałbym przecież coś usłyszeć.

- Ona umie chodzić bardzo cicho. - Pluski umilkły, ale tylko na chwilę. - Przekradłaby ci się za plecami, a ty nawet byś się nie obejrzał.

Odmieniec wyrwał pierwszą z brzegu trzcinę i ze złością schłostał zielonkawą wodę. Nie podobało mu się to wszystko, od samego początku. Rozpruwacz robił zbyt wiele zamieszania, a to mogło przynieść tylko nowe zgrzyoty.

- Wylaź! Byli tutaj już tacy, którzy szukali i nic nie znaleźli.

- Wiem. - Głos był teraz przytłumiony, jakby Rozpruwacz szedł nisko pochylony nad wodą. - Ale oni nie wiedzieli, czego szukać.

Odmieniec opuścił ręce. Tego się nie spodziewał.

- Skąd wiesz?

- Co?

- Skąd wiesz, że tu byli ludzie? Ja ci nie mówiłem.

- Czy ty naprawdę myślisz, że odbijam sobie pięty na bezdrożach dla przyjemności? Płacą mi za to. Wieśniacy nie umieli poradzić sobie sami, to wezwali mnie.

Odmieniec skrzywił się. To, co czuł, było dziwne. Pierwszy człowiek, który nie zwracał się do niego jak do zarabiającego psa, a wzbudzał w nim tyle niechęci. Ale nie mógł

na to nic poradzić. Drażnił go jego głos, jego wygląd, nawet sposób chodzenia. A najbardziej to, jak jadał.

- Czy to znaczy, że jesteś kimś w rodzaju szczurołapa?

- rzucił w stronę trzciny, które nagle przestały się chwiać. Cisza. Nad głową odmieńca zawisła duża wałka, furkocząc skrzydełkami. Odgonił ją, wywiercił piętą dziurę w błocie.

- Przepraszam. - Wiedział, że ton jego głosu wcale nie stał się bardziej przyjazny. - Ja po prostu wolę, żebyś poszukał zarobku gdzie indziej. Mam swoje własne kłopoty.

Łodygi trzciny rozsunęły się. Na twarzy Rozpruwacza, czerwonej i pokrytej kropelkami potu, jaśniał uśmiech.

- Mam - powiedział.

Wyszedł z wody tyłem, ciągnąc za sobą coś, co było bardzo długie i wiotkie. Wyglądało jak pasmo mokrych wodorostów, które zaplątały się w gęstwinie. Ostrożnie rozciągnął to na suchej trawie, a potem jeszcze rozłożył na boki sześć poprzecznych odrostów, po trzy z każdej strony. Odmieniec podszedł bliżej i przykucał. Nigdy nie podobnego nie widział.

- Za coś takiego ci zapłacą?

- Zapłacą mi za głowę anielichy, a to jest tylko jej wylinka. - Rozpruwacz opuścił nogawki i założył buty. - Ale teraz przynajmniej wiem, że ona naprawdę gdzieś tutaj jest.

- Wylinka? - Pod wpływem słońca ciemnozielone pasmo zrobiło się prawie przezroczyste. Schło szybko. Kiedy odmieniec wyciągnął rękę, rozkruszało się przy dotknięciu. - Jak u owadów?

- Podobnie. Od dawna nie było deszczu, a żeby liniec, anielicha potrzebuje wilgoci. Dlatego wytaplała się na płyciźnie.

Odmieniec wstał i popatrzył na las. Pomyślał o drzącym dotyku czulków na twarzy, o szeleście zarośli i o odevranym odnóżu, które zginało się i rozprostowywało w jego dłoni. Tracił nogą wylinkę.

- Owad. - Kivnięciem głowy upewnił sam siebie. - Wielki i dziwny, ale tylko owad.

- To samiec. Tak właśnie wygląda, kiedy wyjdzie z poczwarki. Nie jest groźny, raczej unika ludzi.

- A samica?
 - Z samicami jest inaczej. Dorosła anielicha wcale nie jest podobna do tego, co tu widzisz.
 - To do czego jest podobna?
 Rozpruwacz wzruszył ramionami.
 - Nie bój się. Jeśli kiedyś taką spotkasz, na pewno ją rozpoznasz.
 - I tak trudno ją zabić?
 - Gdyby było prosto, to wieśniacy nie oglądaliby się na nikogo, tylko chwyciliby za cepy i tłukli je tuzinami.
 - Jadowite są czy co?
 - Nie. Ale zabijanie anielichy... nie jest przyjemne. Trzeba się do tego najpierw przyzwyczaić.
 Po wyschnięciu wylinka zrobiła się tak lekka, że podnosił ją nawet najlżejszy wietrzyk. Odmieniec przydeptał ją blisko grubszego końca. Przyjrzał się lepiej i wtedy dostrzegł dwie okrągłe dziury, dokładnie w tym miejscu, gdzie powinny być oczy. Cofnął stopę. Wylinka łopocąc poleciała nad rzekę i miękko osiadła na wodzie.
 - A te wszystkie opowieści? - zapytał, kiedy już spłynęła z nurtem. - O uwodzicielkach, którym nie można się oprzeć? O ludziach, którzy zostawiają dla nich swoje żony i dzieci, byle być z nimi przez jedną noc?
 - Są prawdziwe. Widziałeś kiedyś, jak motyl wychodzi z poczwarki?
 - Każdy widział. - Wzruszył ramionami odmieniec.
 - No właśnie. To, czym ona się stanie po przepoczwazczeniu, wcale nie będzie podobne do tamtego tłustego robaka, którego słyszeliśmy w nocy. - Machnął ręką w dół rzeki. - A sądząc po wielkości larwy, zostało już bardzo niewiele czasu. Niedługo powinniśmy znaleźć świetlisty ślad.
 - Co?
 - Sam zobaczysz, jeśli starczy ci odwagi. Tylko samice zostawiają taki trop. Mało kto o tym wie, mówię ci to w zaufaniu. - Mrugnął okiem. - Gdyby wieśniacy sami umieli znaleźć poczwarkę, ceny za moją robotę od razu poleciałyby w dół.

Kiedy wracali do szalasu, z daleka wypatrzył ich byczek. Puścił się w ich stronę z łomotem kopyt, aż podrywały się muchy nad krowimi plackami. Rozpruwacz zwolnił i spłoszonym wzrokiem rozejrzał się dookoła.
 - A ten co? Czemu nie uwiązany?
 - Nie bój się. Tylko się przywita i da ci spokój.
 Byk zatoczył wokół nich koło. Potem drugie, ciałniej-
 sze. Rozpruwacz stanął wyprostowany, z rękami przyciśniętymi do boków i wciągniętym brzuchem. Kiedy byk był za jego plecami, przyknął oko.
 - Lepiej niech już skończy to powitanie, bo kręci mi się w głowie - mówił niewyraźnie, bo poruszał tylko jedną połową górnej wargi.
 Odmieniec gwizdnął. Byk zawrócił w miejscu, wrywając kopytami całe kawały darni, i prychając podbiegł do nich drobnym kroczkiem. Zwiesił łeb, a Rozpruwacz bezgłośnie otworzył i zamknął usta. Byk leciutko bodnął go w biodro. Potem otarł się pyskiem o jego pierś, odwrócił się wąskim zadem i odszedł bez pośpiechu. Na jego grzbiecie na przemian podnosiły się łopatki.
 - Uf! - Rozpruwacz bardzo długo wypuszczał powietrze. - Pierwszy raz zdarzyło mi się coś takiego. Jak udało ci się go oswoić?
 - Taki już był. - Odmieniec ruszył dalej, ucinając rozmowę. Ciekawość Rozpruwacza była ostatnią rzeczą, jakiej mógł sobie życzyć. Czuł, jak znowu nieustępliwie zaczyna lęgnąć się w nim złość. Był pewien, że za chwilę usłyszy to jedno, jedyne pytanie, na które nie chciał odpowiadać. Za jego plecami wzmogło się sapanie, póki Rozpruwacz nie zrównał z nim kroku.
 - No dobrze! Przyznaję, że wśród pastuchów jesteś jednym z najlepszych. - Rozejrzał się po pastwisku. - Ale chyba gdzieś zapodziała ci się jedna krowa? Były trzy.
 - Zdawało ci się.
 - Nie, jestem pewien, że...
 - Zdawało ci się! - Odmieniec był bliiski płaczu z wściekłości i żalu. Gdyby tylko mógł osiągnąć tak wysoko, uderzyłby go w twarz.
 Nie rozmawiali ze sobą do samego wieczora. Rozpru-

wacz kręcił się pod lasem, rozcierając nogą chaszczkę i opukując pnie drzew. Udawał, że go wcale nie obchodzi, co się dzieje przy szałasie. Ale kiedy odmieniec zaczął rozdmuchiwać żar, wrócił. Zatrzymał się kilka kroków od ognia i splótł dłonie na plecach. Odmieniec spojrzał na niego zza płomieni. Uśmiechnął się do siebie, kiedy zobaczył, jak niespokojnie oblizuje wargi.

– Słuchaj. – Rozpruwacz przestąpił z nogi na nogę. – Jutro będzie po wszystkim. Przyrzekam.

Odmieniec w milczeniu nabił na patyk grubą kostkę stoniny. Wystawił ją nad ogień tak starannie, jakby nie chciał jej za bardzo opalić.

– Odejdę i nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Przecież sam widzisz, że wolisz samotność.

Wielka kropla tłuszczu zbierała się bardzo długo, aż wreszcie spadła. Syk żaru i sapnięcie Rozpruwacza rozległy się w tej samej chwili. Odmieniec obrócił stoninę na drugą stronę i spojrzał na niego spod oka.

– W porządku, no to do jutra.

Rozpruwacz otarł przedramieniem wargi. Zapadał zmierzch i czerwony krąg ognia podszedł do jego stóp.

– Ale... Czy mógłbyś?... – zaplątał się i umilkł.

Odmieniec zbliżył stoninę do nosa i powąchał ją, mrucząc oczy. Potem wstał i rzucił Rozpruwaczowi patyk pod nogi.

– Tylko do jutra. I więcej żadnych pytań.

Trawa wyglądała całkiem zwyczajnie, nie było widać choćby jednego złamanego żdźbła. Ale Rozpruwacz nie namyślał się ani przez chwilę. Szedł skrajem lasu, przygarbiony i czujny, co kilka kroków osłaniając oczy dłońmi i podnosząc wzrok w górę, na korony drzew. Odmieniec ziajał za jego plecami jak zgoniony pies. Tam, gdzie Rozpruwacz przeskakiwał wybujałe pokrzywy, on musiał omijać je bokiem i potem jeszcze podbiegał, żeby nie zostać w tyle.

– Musimy tak gnać? – Muchy uparcie obsiadały jego śliski od potu nos. – Najpierw dajes jej pół nocy i cały ra-

nek na ucieczkę, a teraz biegasz, jakbyś miał rzepę w gaciach.

– Wcale nie biegam. – Rozpruwacz obejrzał się przez ramię, ale zwolnił. – Teraz już nie musimy się spieszyć. Mamy ją.

Odmieniec wściekle potrząsnął głową, ale muchy już przestały się bać. Musiał je postrzącać ręką, jedną po drugiej.

– Gdybym wiedział, że tak to będzie, sam poszedłbym do lasu z siekierej.

– Sam? W nocy? – Rozpruwacz mówił rozwickle, jak do dziecka. – No to sołtys musiałby poszukać sobie nowego pastucha.

– Masz mnie za niedojdę? Umiem sobie radzić ze zwierzętami.

– Wiem. – Rozpruwaczowi na chwilę zabłysło oko. – Patrzyłem z lasu, jak ujarzmiłeś byczka. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale podobało mi się. Tylko że anieli chy nie są zwierzętami.

Zboczyli w las. Kojący cień otulił im głowy pieszczołą. Bzykanie nagranych słońcem much zostało z tyłu, a pod nogami zamiast trawy pojawiła się wilgotna ściółka. Odmieniec odsapnął.

– Ludźmi też nie są. To, co słyszałem w nocy, nie lazło jak człowiek.

– Nie. Mówiłem ci, to była larwa. Wielka, tusta, biała larwa o grubej skórze, której nie da się przebić nawet nożem. Ale pomimo swojego ciężaru umie być bardzo szybka. No i jest żarłoczna jak nic innego na świecie. Nigdy nie podchodziłem do niej bliżej jak na dwadzieścia kroków.

Odmieniec obejrzał się za siebie, gdzie w oddali słońce paliło sterczące grzbiety krów. Pomyślał, że upał wcale nie jest aż tak nieznośny, jak sądził jeszcze przed chwilą. A muchy? Jak muchy. Przecież nie zęrrą człowieka żywcem.

– Coś nie tak, poskramiaczu? – Rozpruwacz przykucnął i zwiesił dłonie między kolanami. Patrzył spod oka, z uśmiechem, który nie mógł się podobać. Odmieniec pod-

ciągnął gacie obsypane leśnym śmieciem i prychnął lekceważąco.

– Nie boję się robaków, nawet największych. Pokaż mi tylko, gdzie ona jest, to ją rozdepczę.

Rozpruwacz pokiwał głową. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Prosto nad tobą.

Odmieniec odruchowo wciągnął głowę w ramiona, ale szybko się opanował. Odchylił się do tyłu głębokim skretem całego tułowia i spojrzął w górę. Zachwiał się, zamachał rękami i usiadł na kupie mokrych liści.

Była tam. Wysoko, bardzo wysoko, gdzie gałęzie już cieniły, ale były jeszcze na tyle grube, żeby utrzymać jej ciężar. Tkwiła nieruchomo, jednym końcem oparta na rozwidleniu konarów, a całą długością boku przylepiona do pnia. Z dołu wyglądała jak jakaś jasnoszara narośl albo wielka huba o dziwnym kształcie.

– Chyba masz za krótkie nogi, żeby ją rozdeptać.

Rozpruwacz podszedł i pomógł mu wstać. Drwił, ale jego drwina nie była szyderstwem. Odmieniec znalazł się na tym i dlatego nie cofnął dłoni, kiedy Rozpruwacz podał mu swoją.

– To nie wygląda jak larwa – mruknął.

– Bo już nią nie jest. Przyszedł czas i właśnie tej nocy stała się poczwarką. Jest całkiem świeża i tylko dlatego możemy ją zobaczyć. Do wieczora by ściemniała, a rano nabrałaby barwy kory drzewa. Gdybyśmy przegapili ten dzień, pewnie nigdy byśmy jej nie znaleźli.

Od patrzenia w górę bolał kark, ale odmieniec nie potrafił oderwać oczu. Właściwie nie czuł już strachu. Raczej niepewność, ale też zadowolenie, że dane mu było coś takiego zobaczyć.

– Jest tak blisko pastwiska – wyszeptał. – Gdyby nie ty, mogłaby tu wisieć aż do... aż do...

– Aż do przepoczwarczenia. – Rozpruwacz wyjął zza pasa nóż i przejechał po ostrzu paznokciem. – Każda anieliha zaraz po wyjściu z poczwarki musi sobie znaleźć człowieka. A ponieważ oprócz twójgo szalasu nie ma w pobliżu niczego innego, zapewne znalazłaby ciebie.

Odmieniec ostrożnie dotknął pnia. Wiatr przeganiał nad lasem obłoki, ale jemu się zdawało, że to czubek drzewa płynie po niebie.

– I co by się wtedy stało? – zapytał.

Rozpruwacz wzruszył ramionami, ale odmieniec tego nie widział. Cisza trwała na tyle długo, że wreszcie zarzępotał rżesami i rozejrzął się wokół siebie. Dla jego zwężonych jasnością nieba źrenic las był ciemny, prawie czarny. Przestraszył się, że Rozpruwacz po cichu odszedł i zostawił go samego, ale po chwili oczy przywykły do półmroku i dostrzegł go tuż za sobą.

– Czemu nie nic mówisz?

– Dość gadania, dzień ucieka. – Rozpruwacz podszedł do drzewa i odgarnął stopą spomiędzy korzeni gnijącą warstwę liści.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Bo nie ma dobrej odpowiedzi. Znam setki takich historii, ale żadna z nich nie nadaje się do opowiadania.

Wsadził nóż między zęby i wytarł spocone dłonie. Dotknął kory końcami palców, jakby sprawdzał, czy jest wystarczająco szorstka. Potem objął pień ramionami i udał. Zaczął wolno piąć się w górę, sapiąc i stękając. Czasem klnąc osuwał się kawałek, ale był coraz wyżej. Odmieniec musiał się odsunąć, bo drzewny pył sypał mu się do oczu. Przestąpił z nogi na nogę, roztarł bolący kark i znowu zadarł głowę.

Im bliżej celu był Rozpruwacz, tym wolniej się posuwał. Robił częste przerwy, widać było po nim coraz większe zmęczenie. Kiedy udawało mu się trafić stopą na jakąś gałąź, opierał na niej ciężar ciała i przez jakiś czas odpoczywał, zapatrzony w górę. Potem znowu się sprężał i sunął po pniu, jak niedźwiedź do miodu.

Wreszcie doszedł. Przełożył nogę przez gałąź, na której oparta była poczwarka, podciągnął się i usiadł okrakiem. Wyjął nóż spomiędzy zębów. Bardzo długo szukał odpowiedniego miejsca do cięcia, przekrzywiając głowę i niebezpiecznie wychylając się na boki. Znalazł. Kolnął kciukiem bok poczwarki, poprawił się na gałęzi i uderzył nożem.

Odmieniec nie spodziewał się, że będzie mógł to usłyszeć. Spłoszony cofnął się jeszcze bardziej. Odgłos przypominał trochę targanie grubego płótna. Rozpruwacz ciągnął ostrze z dołu do góry, równo i starannie, a w ślad za tym ruchem rozstępowała się czarna szczelina. Sięgnął najwyżej, jak mógł. Cięcie było już bardzo długie, prawie przez pół poczwarki. Rozpruwacz przesunął się trochę do tyłu, zerwał wiechę liści i zaczął czyścić ostrze.

W pierwszej chwili odmieniec pomyślał, że coś się nie udało. Brzegi szczeliny zawinęły się, wyglądała teraz jak półotwarte trupie usta. Ale nic więcej się nie działo. Chciał zawołać na Rozpruwacza, ale właśnie wtedy obryzgała mu nogawki jakaś ciecz. Wypływała powoli z rozdarcia, zbierała się w wielkie gęste krople i rozpryskiwała się na mchu. Zrobiło mu się niedobrze. Chciał odskoczyć, ale przedtem jeszcze raz podniósł głowę.

Tak już pozostał.

Z rozdarcia zwisało coś dużego i zielonego. Jeszcze nie oderwało się od poczwarki, ale osuwało się coraz bardziej pod własnym ciężarem. Wciąż jeszcze nie miało kształtu, co pozwalało odmienicowi odpychać od siebie natrętnie przeczcucia, ale kiedy zmrzył oczy i przypatrzył się lepiej, zadławił się strachem jak dziecko.

To było ciało, które wyglądało jak ludzkie. Wysuwało się z poczwarki głową na dół, z bezwładnie zwisającymi ramionami rozbujanymi przez wiatr i zielonkawymi włosami pozlepianymi w mokre strąki. Było na zewnątrz już do pasa i osuwało się coraz szybciej. Pokazały się chude uda i wystające kolana. Kiedy uwolniła się cała jedna noga i opadła na bok, krzywo i bezradnie, odmieniec zamknął oczy. Odwrócił się i zaczął iść przed siebie. Chciał biec, chciał płakać, ale miał drżące łydki i suche oczy. Spodziewał się odgłosu uderzenia o ziemię.

Kiedy go usłyszał, musiał przykucnąć i podeprzeć się rękami, żeby nie zasłabnąć.

Postanowienie zapadło w nim bardzo szybko, chociaż nie umiałby wskazać dokładnie chwili, w której to się sta-

ło. Może wtedy, kiedy zobaczył pomarszczone i mokre ciało anielichy, zwinięte na ziemi jak bezbronny, ślepy szczeniak. Albo wcześniej, kiedy zapytał Rozpruwacza, dlaczego trzeba ją zabić, i długo wsłuchiwał się w jego milczenie, które było odpowiedzią. A może przeczuwał wszystko już na samym początku, w dniu, w którym Łaciata uciekla na skraj lasu?

Jakkolwiek było, teraz już się nie wahał.

Trochę się bał, czy będzie umiał wystarczająco dobrze udawać obojętność. Ale okazało się, że niepotrzebnie się tym martwił. Rozpruwacz nie spojrzał na niego ani razu przez cały ten czas, kiedy szedł do drogi. W milczeniu przemysł czystą wodą wszystkie otarcia, których się nabawił wspinając się na drzewo. Potem bardzo długo czyścił nóż, oglądając ostrze pod światło. A kiedy wstał, odmieniec nie wytrzymał i podniósł na niego oczy.

– Idziesz?

Rozpruwacz zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, jakby wymagała głębszego namysłu. Popatrzył na chmury, które napływały z lasu, i pokiwał głową.

– Idę.

Ale wciąż tu stał. Przeciągnął ramiona, aż mu trzasnęły stawy. Odmieniec miał wrażenie, że coś jeszcze chce dodać. Dopiero po długiej, pełnej męczącego napięcia ciszy zrozumiał, że Rozpruwacz nie powie już nic. Nie spodziewał się, że odczuje to jako zawód. Ale tak właśnie było. Podniósł się i patrząc w bok, na krowy, wzruszył ramionami.

– Odprowadzić cię kawałek? – zapytał.

Nie usłyszał odpowiedzi i spojrzał na twarz Rozpruwacza. Drgnął, kiedy spotkał wzrokiem jego oko. Było lśniąco i skupione. Zmieszał się, ale strach przed utratą marzeń był na tyle silny, że zapanował nad sobą.

– Co cię tu trzyma? – Rozpruwacz nie spuszczał z niego wzroku. – Co masz tutaj takiego, czego nie można znaleźć gdzie indziej?

Odmieniec poczuł, że błędnie. Rozpaczliwie szukał w głowie słów, które pozwoliłyby odwiec kłębko choćby na krótko.

- No... ludzie, swojacy. - Suchość w ustach, płomień na czole. - Krowy.

- Ludzie? - skrzywił się tamten. - Przecież widziałem, jak cię kochają. Krowy? Wszędzie są takie same, do któregośkolwiek wioski nie zajdziesz. A byczek i tak poszedłby za tobą jak pies, prawie cię nie odstępuje. Nie, nie wierzę ci. Musi być coś jeszcze.

- O co ci chodzi? Jestem u siebie, nie potrzebuję żadnych zmian.

- Oczywiście, że potrzebujesz. Chcesz ich. Pragniesz bardziej, niż ślimak deszczu. Śnisz o nich. A pomimo to odrzucasz to, co chcą ci dać. Więc pytam: czemu?

Odmieniec ciągle jeszcze się bał, ale teraz silniejsze od wszystkiego było zdziwienie.

- Dać? Co ty mi możesz dać?

- Mówiłem ci, że poradziłbyś sobie w takiej robocie jak moja. Nauczyłbyś się wszystkiego szybciej, niż ci się zdaje. Ale ty nie chcesz! Wolisz być popychadłem dla wsio-wych gówniarzy.

Nadzieja w odmieńcu wybuchła tak gwałtownie, że przez chwilę był zamroczony. Jeśli tylko o to chodziło, to może wszystko będzie dobrze. Tylko nie wolno nic po sobie pokazać. Obojętność. Spokój, spokój...

- Nie podobaloby mi się takie życie.

- Czemu?

- Nie lubię lasu - zaczął nieskładnie wyliczać na palcach. - Nie lubię wysokości. Nie lubię noży. Nie lubię...

Przerwał. Jasne oko Rozpruwacza było nieruchome, jak mętna, zielonkawa kałuża. Odmieniec usztywnił kark i wytrzymał jego wzrok.

- Nie lubię ciebie - dokończył szeptem.

Rozpruwacz zmarszczył czoło. Tego się nie spodziewał i przez pewien czas jego wydłużona twarz była całkiem bezradna. Potem zacisnął wargi i zaciągnął pas o dziurkę dalej.

- No to bywaj.

Odchodząc, stawiał o wiele większe kroki, niż było trzeba. Wysoka trawa rozstępowała się przed nim z szelestem. Dalej, pod lasem, zieleni nagle się spiętrzyła, zakolysała liśćmi i wchłonęła go w swoje cieniste wnętrza.

Odmieniec znowu był sam. Teraz pozostawało mu tylko czekanie. Nie wiedział, jak długo to potrwa, ale wierzył, że kiedy nadejdzie odpowiedni czas, będzie umiał go rozpoznać.

Soltys przyszedł jeszcze tego samego dnia. Zwykle nie pojawiał się na pastwisku o tej porze, na długo przed zmierzchem. Był sam. Pod skórą z boku jego szyi sino wybrzuszała się gruba żyła. Odmieniec ludził się, że może chce tylko obejrzeć byka, ale soltys szedł prosto w stronę szalasu. Dłonie wprawdzie miał puste, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Wielka i ciężka sprzączka u jego pasa świeciła w świetle zachodzącego słońca.

- Poszedł? - Powiódł wzrokiem wzdłuż ciemniejącej ściany lasu i dopiero na samym końcu zatrzymał oczy na odmieńcu.

- Poszedł.

- Zabił ją?

- Zabił. - O mgnienie powieki spóźnił się z odpowiedzią, bo nie spodziewał się, że właśnie to będzie go ciekawić. Ale ta zwłoka wystarczyła, żeby soltys podszedł krok bliżej. Położył palce na sprzączce.

- Byłeś tam z nim?

Odmieniec nie odpowiedział. Znał ten ton. Wiedział, co znaczy lekki rozkrok, dłoń na pasie i wysunięta do przodu szczeka.

- Byłeś - soltys przytaknął sam sobie. - Zawsze łazisz, gdzie nie trzeba. Zostawiłeś bydlę bez opieki.

Poruszył kciukiem i trzpień sprzączki wyskoczył z dziurki. Nie spiesząc się, kawałek po kawałeczku zaczął wysuwać pas ze spodni.

- Bez opieki. - Obliznął wargi, głos zaczął mu lekko chrypieć. - Skaranie boskie z takim pastuchem!

Spodnie nie obsunęły mu się ani trochę, jakby pas w ogóle nie był mu potrzebny. Chwyił go jedną ręką przy końcu, a drugą w połowie długości, tak, że rozbujana sprzączka raz nabierała blasku, raz matowieła. W kąci-kach jego wąskich warg odkładał się biały nalot.

- To dla twojego dobra, pokrako. - Nabrał głęboko powietrza, jak przed ciężkim wysiłkiem. - Może w końcu nabierzesz rozumu.

Kiedy sprzączka wleciała do góry, zapalając się jak pochodnia, odmieniec rozluźnił mięśnie całego ciała. Teraz musiał zdać się tylko na odruchy. Wieleletnia nauka, przesiąknięta łzami i przypieczętowana krwawymi wybroczynami, nie szła na marne. Cała umiejętność polegała na tym, żeby nie uchylić się od ciosu, żeby przyjąć go tam, gdzie został wymierzony, ale żeby ból był jak najmniejszy.

Po sposobie, w jaki ułożył się nadgarstek sołtysa odmieniec poznał, że uderzenie pójdzie na głowę. W samo ciemnie. To był jeden z tych ciosów, przed którym trzeba było się zasłonić, żeby przeżyć. Szybki ruch przedramienia w górę, najlepiej w ostatniej chwili. Jeśli zrobić to sprawnie, można mieć nadzieję, że sołtys niczego nie zauważy. Odmieniec wyciszył uczucia i pozwolił mięśniom działać tak, jak powinny. Schował twarz pod pachę i czekał na smagnięcie bólu.

Ale ból nie następował. Jęknęło powietrze koło ucha i sprzączka wbiła się w ziemię.

To go przeraziło. Jak zawsze, kiedy sołtys wymyślał coś nowego. Bo to oznaczało, że będzie musiał znowu się uczyć. Czekał go nowy krwawy mozół, w którym nie ma miejsca na pomyłki.

- Tym razem ci daruję. Pod jednym warunkiem.

Nie od razu uwierzył w to, co usłyszał. Coś takiego nigdy się nie zdarzało. Nie miało prawa się zdarzyć. Wystawił spod pachy jedno oko. Sołtys owinął sobie pas wokół dłoni, na czole miał kropelki potu.

- Zaprowadzisz mnie tam.

Kiedy do odmienca dotarło znaczenie tych słów, powoli opuścił rękę. Czuł się jak ogłuszony, chociaż nie odebrał ani jednego ciosu.

- On... chyba... Chyba ją zakopał.

- To odkopiesz. - Sołtys postukał się sprzączką po dolnych zębach. - Chcę ją zobaczyć.

- Po co?

- Bo jestem ciekawy, czy naprawdę jest taka piękna, jak o niej mówią. - Zapatrzył się rozszerzonymi źrenicami na las, jakby na chwilę całkiem zapomniał o odmien-

cu. - Kiedy byłem młody, służyłem w księżęcej drużynie. Nie wiedziałeś o tym, co? Nikt nie wie. Byłem wtedy innym człowiekiem. Umiałem przeżyć każdy dzień tak, jakby należał tylko do mnie. Czulem, że mogę wszystko. A teraz? Szkoda gadać. Czasami rękami nawet nie chce się wystawiać lba za drzwi.

Odmieniec wcale nie chciał tego słuchać. Ale jeszcze bardziej nie chciał, żeby źrenice sołtysa znowu skupiły się na nim.

- To czemu osiadłeś na wsi?

- Osiadłem? - Sołtys wwiercił się małym palcem w ucho. - Nie rozśmieszaj mnie. Nigdy mnie nie ciągnęło do karmienia świń i skubania kur. To zesłanie. Książe skazał mnie na sołtysowanie w tej głuszy za karę. Tylko za to, że...

Odchrząknął, wyprostował się i zmarszczył czoło.

- Czemu ja właściwie z tobą gadam?

Kiedy się zbliżył do pierwszych zarośli, zdawało mu się, że las jest jakiś inny niż zwykle. Nie umiałby tej zmiany nazwać, ale odczuwał ją swędzeniem pięt. Drzewa szumiały jakoś inaczej, głębiej, a poprzerzynany świetlistymi pręgami półmrok nabrał nowego odcienia. Przyszło mu do głowy, że być może wszystko jest po staremu, a jedynie on patrzy na puszcę nowymi oczami. Ta myśl trochę go uspokoiła. Obejrzał się na pastwisko, gdzie krowy jęzorami zbierały wiązki trawy, od czasu do czasu patrząc za nim ze zdziwieniem i przyganą. Odwrócił twarz do chłodnego cienia. Powoli wszedł między drzewa, a gałęzie zwieszające się prawie do samej ziemi muskały mu skronie i barki.

Wydawało mu się, że to musiało być gdzieś tutaj. Las w obie strony rozciągał się taki sam, mroczny i omszały, ale skarlałe krzewy jeżyny rosły tylko w tym jednym miejscu. Bezwiednie dotknął draśniętego kolcami policzka i ominął jeżyny łukiem. Dalej znalazł brudzy w ziemi, które mogły być śladami kopyt Rogatej, ale nie był tego pewien. Przed świtem na skraj lasu często wychodziły losie. Odetchnął pełną piersią i zagłębił się dalej w gąszcz.

Zielono-brązowe sklepienie lasu, rozświetlane i przeblaskujące słońcem, wisiało tak wysoko, jak samo niebo. Czasem między gałęziami śmignął ptaszek, czasem po pniu przebiegła wiewiórka, ale żaden ruch i żaden głos, który pochodził z lasu, nie mógł naruszyć jego spokoju. Powietrze, ciężkie od oparów wstających z butwiejących liści, lgnęło do skóry, spowalniało bicie serca i rozwlekalo myśli. Z paproci sywał się złocisty pyłek i unoszony ledwo odczuwalnymi powiewami, wirował odmieńcowi przed oczami.

Zatrzymał się, kiedy zastawił już za plecami zbitą zapórę krzewów. Tutaj poszycie było o wiele uboższe. Co kilkanaście kroków prześwitywały tyse placki, wyścielone uginającą się pod stopami warstwą mchu, liści i igliwia. Jeśli się nie pomylił, stał teraz gdzieś koło tego miejsca, na które wczoraj patrzył ze skraju lasu. Podniósł głowę. Plamki słonecznego światła zatańczyły mu na czole i zmusiły do zmruczenia oczu.

Spodziewał się, że powtórzy się wczorajszy niepokój, wróci coś z tamtego zagubienia i niepewności. Nic takiego się nie stało. Mocniej zaszumił wiatr, strącając parę szypek. Bardzo powoli, odwracając się na pięcie, odmieńiec zaczął przesuwac wzrokiem po koronach drzew. Widział ptasie gniazda, dostrzegł wąską dziuplę, koło której krążyły pszczoły. Gdzieś wysoko wypatrzył na korze ślady po pazurach rysia. Ale nie znalazł nic, co mogłoby być podobne do tego, co zobaczył wtedy.

Albo tylko mu się wydawało, że zobaczył.

Poczuł zawód. Nie spodziewał się, że rozczarowanie będzie aż tak mocne. Podrapał się po nosie i zawrócił w stronę, z której przyszedł. Noga podniesiona do kroku na chwilę zawisła w próżni, a potem powolutku wróciła na swoje miejsce.

Przed nim, całkiem blisko, na ciemnozielonym mchu odcinała się jasna smuga. Ciągnęła się w poprzek drogi, którą pokonał. Uświadomił sobie, że musiał już raz przez nią przejść. Poczuł chłód na plecach, obliżał wargi. Zrobił dwa szybkie kroki do przodu.

Smuga zniknęła.

Na skroni połaskotała go kropla potu. Starł ją wierzchem dłoni i cofnął się na poprzednie miejsce. Kiedy kończył stawiać drugi krok, bladozółty szlak pokazał się znów, jakby wyłonił się z nicości.

Olśnienie przyszło tak nagle, że aż się zasapał. Światło! Promienie słońca musiały padać w odpowiednim nachyleniu, żeby smuga była widoczna. Miał szczęście, bardzo dużo szczęścia. O innej porze dnia mógłby tutaj krążyć z nosem przy ziemi i pewnie nic by nie znalazł.

Poczekał, aż przestanie walić mu serce, wymierzył odległość wzrokiem i ruszył naprzód. Smuga rozwinęła się, ale tym razem był na to przygotowany. Przedreptał szybko pustą przestrzeń i zatrzymał się w miejscu, w którym ją przedtem widział. Opał na kolana, wytarł mokre dłonie w uda, a potem opierając je na mchu pochylił się do przodu. Zbliżył twarz do samej ziemi, starając się oddychać najlżej, jak potrafił.

Z początku nic nie dostrzegł. Przekrzywił głowę w lewo i w prawo, przytulając do ziemi policzki, ale widział tylko zielone niteczki mchu i biegające między nimi mrówki. Parsknął z niechęcią i chciał wstać, ale właśnie wtedy poczuł ten dziwny zapach. Był leciutki, niemal niewyczuwalny, unosił się tuż nad powierzchnią ziemi. Nie był nieprzyjemny. Trochę przypominał woń, jaką wydają przejrzałe jabłka. Raczej zaciekawiał, niż niepokoił, przyciągał uwagę, nie pozwalając wyprostować karku. Odmieńiec przymknął powieki, a włochate dziurki w jego garbatym nochału rozwarły się szeroko.

Wtedy, poprzez rzęsy, zobaczył kropelki.

Były maleńkie jak pyłki kwiatowe, a może jeszcze mniejsze. Gdyby słońce na chwilę nie zapaliło w każdej z nich osobnego płomyka, nie dałoby się ich zauważyć. Drzały poprzyklejane do wątych łodyżek mchu, do liści i drobnych kamyczków. Odmieńcowi się zdawało, że parują pod jego ciepłym oddechem. Nadstawił paznokiec małego palca i spróbował podnieść jedną z nich. Nie wiedział, czy mu się udało, ale kiedy dmuchnął, na palcu zapaliła mu się zimna iskierka i zaraz zgasła.

Wyprostował plecy. Nie widział smugi, ale pozostał mu

w oczach jej obraz. Była szeroka na jakieś trzy kroki. Z prawej strony wychodziła z cienia pod spletanymi gałęziami gęstwy. Spojrzał w lewo. Prosty i goły pień topoli strzelał w niebo, przebijając dach lasu. Zbliżył się do niego nie wstając z kolan, węsząc głośno jak stary dzik. Przez długi czas przyglądał się korze z bliska, prawie łaskocząc ją rękami. Teraz wiedział, czego szukać, i w końcu dopatrzył się na pniu błyszczących kropelek. Spojrzał w górę. Tak daleko, jak sięgał wzrokiem, smuga wspiniała się po gładkim pniu, rozmywając się w mrocznej szarzyźnie. Wyżej skrzypiały poruszane wiatrem gałęzie.

– Dzięki. Bez ciebie nie znalazłbym tej drugiej tak szybko.

Rozpruwacz stał w półcieniu, z dłońmi niedbale zakniętymi za pas. Kiedy odmieniec zerwał się na nogi, uśmiechnął się bez radości, ale zaraz uciekł wzrokiem w bok.

– Dziękuję – powtórzył.

Odmieniec wiedział, że blednie, bo czuł krew odpływającą z twarzy. Nie myśląc schylił się i spomiędzy korzeni wyluskał duży kamień. Rzucił z rozmachu, zaciskając zęby. Gdyby Rozpruwacz w ostatniej chwili nie ugiął kolan, kamień trafiłby go w głowę.

– No, no! – syknął, podnosząc obie ręce. – Rozumiem, że to nie musi ci się podobać, ale...

– Czemu za mną łazisz? Oszukałeś mnie!

Rozpruwacz przygryzł dolną wargę i znowu wsunął dłoń za pas.

– A może to ty mnie oszukałeś? Mówiłeś, że nie widziałeś nic dziwnego w lesie.

– Nie muszę się przed tobą tłumaczyć!

– Wiem. I właśnie dlatego zmusiłeś mnie do podstępu.

Odmieniec z trudem przełknął ślinę, pokonując opór ściśniętego gardła. Jego wściekłość wypaliła się bardzo szybko, ustępując miejsca przerażeniu. Cofając się, dotknął plecami pnia.

– Co ty chcesz zrobić? – zapytał zachrypniętym głosem.

Rozpruwacz zabębnił palcami po rękojeści noża.

– Po co pytasz, jeśli wiesz?

– Nie pozwolę ci na to.

Oko Rozpruwacza były nieruchome. Jego grdyka bardzo wolno poszła w górę i w dół.

– A ja nie będę cię pytał o zdanie.

– Dobrze cię oceniłem, wtedy, na początku! – Odmieniec mocniej zaparł się nogami w mchu. – Jesteś obwiesiem. Ale tym razem nie pójdziesz ci tak łatwo. Nie przepuszczę cię.

– Tak? – Rozpruwacz błysnął dziąslami. – I jak to robisz? Obrzucisz mnie kamieniami?

Odmieniec wsadził do ust dwa palce i gwizdnął. Kilka ptaków zatrzepotało skrzydłami i wzbilo się ponad las. Rozpruwacz splunął przez ramię.

– Dostyc tego! – warknął. – Zejdź mi z drogi.

Zaczął iść w stronę odmieńca, z jedną ręką opartą na boku i zacisniętymi ustami. Był w połowie drogi, kiedy nagle zwolnił i zmarszczył czoło.

– Co to ma być?

Gdzieś z oddali dochodził dziwny odgłos, jakby pomruk wstającej burzy. Rozpruwacz zatrzymał się. Odmieniec oderwał mokre plecy od drzewa i niespodziewanie uśmiechnął się.

– Po co pytasz, jeśli wiesz?

Ziemia dudniła coraz wyraźniej. Z drzew zaczęło sypać się igliwie i szyszki. Rozpruwacz odwrócił się w tę stronę, gdzie poza przeredzającym się lasem było pastwisko.

– Odwołaj go! – rzucił, nie patrząc na niego.

Odmieniec skubnął wargę, jakby się namyślał.

– Przysięgnij, że dasz jej spokój.

– Odwołaj go!

– Przysięgnij.

Ostatnie słowo odmieńca Rozpruwacz mógł zrozumieć tylko z ruchu jego warg, bo głos uwiązał w narastającym dudnieniu. Rzucił okiem w górę, na wierzchołek topoli, a potem ze złością przeczesał brodę palcami. Pokiwał głową, podniósł dwa palce w górę i wyszeptał, jakby sam do siebie.

– Przysięgam.

Jej zgoda nie była mu do niczego potrzebna. W tym, co zamierzał zrobić, nie mogła ani pomóc, ani zaszkodzić. Ale chciał, żeby wiedziała. Ona jedna.

Nie bał się tej rozmowy. Nie układał sobie przedtem w głowie każdego słowa, nie starał się przewidzieć jej odpowiedzi. Nie martwił się tym, co będzie, jeśli się nie uda. Musiało się udać. Był tego pewien. Dostrzegł tę pewność wszędzie – w długim cieniu Grubej Jagny wylaniającym się zza zagajnika, w rozkolyśaniu jej bioder i w zmarszczkach wokół oczu. Wszystko było niby takie, jak zawsze, a przecież całkiem inne. Cebrzyki stuknęły o siebie, a odmieńcowi ten odgłos zagrał w głowie echem.

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

Wyszedł jej naprzeciw i stanął na samym środku drogi. Wiedział, że będzie zdziwiona. Zatrzymała się, opuściła cebrzyki w piach. Wtedy zaczął mówić, nie czekając, aż uda jej się zebrać myśli. Nie śpieszył się, ale też niepotrzebnie nie zwlekał. Robił tylko przerwy na zaczerpnięcie oddechu. Mówił, a jednocześnie słuchał sam siebie, jakby był jakąś trzecią osobą, która tylko się temu przygląda. Patrzył na jej twarz, nie starając się z niej niczego wyczytać. Dobrnął do końca i zamilkł.

Dopiero wtedy przestraszył się tego, co zrobił.

Gruba Jagna zamknęła oczy. Pomyślał, że może osłabła i zaraz osunie się na drogę, ale ona wciąż stała. Jakby wsłuchiwała się w szmer rzeki albo w samą siebie. Trochę zbladła, choć to mogła być tylko gra światła przebiegających zza chmur. Potem podniosła powieki, chwyciła za cebrzyki i zaczęła iść. Minęła go bardzo blisko, aż poczuł na policzku muśnięcie jej obszernej kiecki. Odwrócił się za nią, ale został na miejscu. Patrzył, jak Gruba Jagna stawia koło szalasu puste cebrzyki, podnosi pełne i wraca. Wydawało mu się, że idzie bardzo powoli, ledwo przestawiając nogi. Zbliżała się ze wzrokiem utkwionym w zakręt drogi. Nie zatrzymała się, kiedy była przy nim. Ale usłyszał jej szept.

– Zrób to.

•

Czy tak wygląda szczęście? Czy jest cichym biciem serca, mrowieniem w gardle i ciarkami przebiegającymi po kręgosłupie? Jeśli tak, to odmieńciec był teraz szczęśliwy. Nie myślał ani o sprzączce od pasa soltysa, ani o Łaciatej, ani o jej cielaku. Skupiał się na tym, co będzie. Położył się na brzuchu w wysokiej trawie i przycisnął czoło do ziemi. Jeszcze musiał poczekać. Dzień, może dwa. Ale w końcu to się stanie, a wtedy nie już nie będzie takie samo.

Zachlupotała woda. Napiął kark, ale nie podnosił głowy. Wiedział, co to znaczy, chociaż nie od razu przyznał się do tego sam przed sobą. Plusk powtórzył się. Ciężko dźwignął się na rękach, czując, jak w skroniach zaczyna mu łomotać tępy ból.

Na pomarszczonej powierzchni rzeki kotłowała się mała łódeczka. Odmieńciec stęknął, jakby powstanie na nogi kosztowało go wiele wysiłku. Przez krótki czas ludził się jeszcze nadzieją, że może Rozpruwacz tylko czegoś zapomniał, ale gorycz szybko pochłonęła tę myśl. Nie mógł nic zapomnieć, bo prócz noża i worka zatkniętego za pas niczego nie miał.

Zszedł na dół zgarbiony jak starzec.

– Zapłaciły, słomiane łby! Zapłaciły! – Rozpruwacz wyskoczył z dłubanki na brzeg, odepchnął ją nogą w trzciny i zatarł ręce. – Myślałem, że zaczną się chytryć, ale nie! Jak im wytrzępalem z worka na stół łeb anielichy, nawet nie pisnęły. Tęskniłeś?

– Jak za zarazą.

– Cóż, przyzwyczailem się do twojego dziwaczenia. Ale nic na to nie poradzę, że dalsza droga wypada mi właśnie tędy.

– Przejście masz wolne. – Odmieńciec zrobił krok na bok.

– Dzięki, chociaż nie lubię tak wpadać jak po ogniu. Przed wieczorem i tak nie wyjdę, bo słońce już nisko.

– Wyjdziesz! A jak nie, to...

– I po co od razu krzyki? Będzie, jak zechce los. – Rozpruwacz schylił się i wyciągnął zza cholewki zaśnieżony pieniążek. Położył go na paznokciu ciuka, pstryknął nim

do góry. Srebrny krążek przekościolkował w powietrzu kilka razy, błyszcząc w słońcu, i upadł na jego otwartą dłoń.

– Ha! Głowa księcia! Znaczy, zostaje.

Obrócił pieniążek w palcach i ruszył pod górę, ścieżką w stronę szafasu. Byczek na jego widok opuścił łeb i skrobnął trawę przednim kopytem, ale chyba go poznał, bo znowu zajął się skubaniem trawy. Odmieniec powlókł się za nim ze zwieszonymi ramionami. Czuł się bardzo znudzony, jak po nieprzespanej nocy.

– Zawzięłeś się na mnie czy jak? – jęknął płacziwie. – Co ja ci zrobiłem?

– Poza tym, że z gościnnością u ciebie raczej nędznie, to nic. Ale ja nie jestem pamiętliwy. Przeciwnie. Wróciłem, żeby ci pomóc.

– Nie chcę twojej pomocy.

– Jak się dowiesz, o co chodzi, to ci się zachce. – Podeszli do szafasu i Rozpruwacz od niechcenia zajrzał do garnka stojącego przy wejściu. Był pusty. – Zresztą możemy to nazwać inaczej, jeśli wolisz. Na przykład korzystnym dla nas obu układem.

Odmieniec schował garnek do środka i zastonił wejście plecami.

– Mów. Byle krótko.

– He, he! No proszę! – Rozpruwacz rozsiadł się wygodnie. – Od razu lepiej. Mądrzy ludzie zawsze się dogadają, nawet przy pustych żołądkach. Chociaż lepiej jest, kiedy...

Rozpruwacz wyduł wargi, pokazując, jak bardzo urażono jego dobrą wolę. Podniósł pieniążek wysoko w górę, trzymając go za krawędź między kciukiem i palcem wskazującym. Przymknął oko, jakby dopiero teraz mógł mu się przyjrzeć uważnie.

– Wiesz, co za to można kupić? – zapytał zniecka.

Odmieniec skrzywił się i odburknął coś niezrozumiale.

– Cały udziec barani. – Rozpruwacz chuchnął na pieniążek i wytarł go rękawem. – Albo tłustą kurę. Albo wolowe zeberka... – Złowił wrogie spojrzenie odmienca i dookończył bardzo szybko: – Albo kobietę.

Przez jakiś czas czekał na odpowiedź, pochylając się do przodu i zwycięsko unosząc brwi, ale odmieniec milczał.

Tylko keпки włosów wiszące z jego wielkiego nosa zaczęły drgać jak w przeciągu. Rozpruwacz zamknął pieniążek w dłoni i wruszył ramionami.

– No, nie na zawsze, oczywiście. Ale na jeden wieczór. A jak się dobrze potargować, to jeszcze zostanie z tego reszta.

Odmieniec szybko ciemniał na twarzy. Rozpruwacz uspokajającym ruchem wyciągnął przed siebie obie ręce.

– Nie ma się czego wstydić! Ja wiem, że z twoim wyglądem i w ogóle... Jest trudno. Ale od czego są przydrożne gospody? Sam czasami bywam, jeśli tylko mnie stać.

Wierz mi, że to o wiele pewniejszy sposób niż anieliha... – Przerwał, ale ponieważ odmieniec siedział ze zwieszoną głową, zaczął znowu: – Mówię ci, że to zwyczajna umowa.

Żadna litosc ani takie tam. Tak nastraszyłem kmiotków, że za głowę tamtej drugiej anielihy gotowi są dać mi podwójną cenę. I co? Ty skorzystasz i ja wyjdę na swoje. A jak już w górnej izdebce gospody zrobisz, co trzeba, zjedziesz na dół i jeszcze sobie razem popijemy jak bracia.

W ciszy, jaka zapadła, chrzęst młóconego w krowich zębach zielska przypominał odgłos kamiennych zaren. Odmieniec podszedł do Rozpruwacza, stanął okrzakiem nad jego wyprostowanymi nogami i z bardzo bliska zajrzał mu w oko.

– Teraz ty posłuchaj – mówił wolno, spokojnie i cicho.

– Już wiem, że póki druga anieliha jest żywa, ty nie przestaniesz się tutaj kręcić jak głodna wesz. Dlatego pozwolę ci zobaczyć, co z nią zrobie. Ale jeśli jeszcze raz będziesz chciał zawierać ze mną jakiś układ, zagwizdam na byczka. Jeśli spróbujesz mi przeszkodzić, zagwizdam. Jeśli po wszystkim nie odwrócisz się plecami i nie pójdziesz prosto w las, zagwizdam. I wiesz co? Będzie mi przyjemnie patrzeć, jak na jego rogach plątają się twoje bebechy.

•
– Radzę ci, przemysł to jeszcze raz.

Obrębiony złotą mgielką księżyc był tak bliski, jak nigdy. Kiedy patrzyło się na niego przez gałęzie i liście, zdawał się wisieć tuż nad samym lasem. Odmieniec był pewien, że gdyby zamknął oczy, mógłby poczuć jego zapach.

– Słyszysz mnie? – Rozpruwacz szedł za nim szeleszcząc suchymi liśćmi. – Będziesz tego żałował. Kiedy miną złudzenia, pozostanie ci tylko złość na własne zaślepienie. Ale wtedy będzie już za późno.

Słowa Rozpruwacza zlewały się w jedno z granie m świerszczy i trzepotem skrzydeł nietoperzy. Odmieniec nawet nie próbował się na nich skupić. Głęboko oddychał nocnym chłodem puszczy, było mu lekko i dobrze.

– Czy ty w ogóle rozumiesz, co do ciebie mówię? – Rozpruwacz uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Przez pół życia tępię anielichy, a wszystko po to, żeby nie zwodziły takich baranów jak ty. I co? Sam do niej leziesz, jak mucha do gówna.

Wilgotne zdźbła przyjemnie laskotały odmiencowi tydki. Między drzewami pokazało się kilka świecących robaczek. Pokręciły się trochę, zbliżając się do siebie i oddalając, a potem zniknęły. Rozpruwacz podbiegł wydłużonym krokiem, wyminął odmienca i zastąpił mu drogę. Rozłożył ręce, zastaniając sobą przejście między krzewami.

– Stój, głupcze! Naprawdę myślisz, że się na to zgodzę?

– To już przecież mamy za sobą. – Księżycowa poświata zbladła, a odmieniec nagle poczuł zniechęcenie. – Cemu po prostu nie dasz mi spokoju?

– Bo masz w głowie sieczkę! I nie myśl, że się boję tego twojego bydłaka. Gdybym chciał, mógłbym go zarznąć nożem.

Odmieniec obrócił się w stronę pastwiska i podniósł dwa palce do ust. Zanim zdążył zagwizdać, Rozpruwacz złapał jego rękę za nadgarstek i potrząsnął nim tak mocno, aż zadzwoniły zęby.

– Opamiętaj się, człowieku! Jeśli nie pozostawisz mi wyboru, będę musiał zabić także ciebie!

Odmieniec nie próbował wyrwać ręki. Wytrzymał jego wzrok tak długo, aż poczuł, że zacisnięte na nadgarstku palce zaczynają się rozluźniać. Wtedy spokojnie się wyśwobodził. Roztarł obolałe miejsce, kilka razy zacisnął pięść, żeby przywrócić krążenie krwi.

– Wydaje ci się, że tak bardzo kocham swoje życie? Dżgaj. Byłe celnie, w samo serce.

Rozpruwacz poglaskał się po karku i wzruszył ramionami. Czoło mu się wygładziło, ale nie ruszył się z miejsca.

– Wmawiasz w siebie, że przechodzi ci koło nosa coś, czego już nie odzyskasz – zaczął innym tonem, ostrożnie waząc słowa. – Ze tylko ona może ci dać to, co... No wiesz. Czego potrzebuje każdy chłop. Ale to nie jest prawda.

Odmieniec opuścił oczy. Nie spodziewał się, że to, o czym wiedzieli obaj, zostanie powiedziane głośno. Ale nie zraniło go to. Raczej poczuł ulgę.

– Nie? Dzięki, że otworzyłeś mi oczy. Jutro pójde oświadczyć się Marynie, córce piekarza.

– Widziałem ją we wsi. Jest szczerbata, gruba i ciągle się poci. – Rozpruwacz zniecierpliwiony machnął ręką. – Ale ja wcale nie ją miałem na myśli. Oprócz córki piekarza jest na świecie wiele innych dziewczyn.

– Wiem. Zdarzają się też ślepe, ale chyba nie w tej okolicy, bo nigdy żadnej nie spotkałem.

– No to rusz się stąd wreszcie! – Rozpruwacz znowu wybuchnął gniewem. – Idź między ludzi. Od litowania się nad sobą nikt jeszcze nie stał się szczęśliwszy.

– Pouczanie innych wychodzi ci całkiem dobrze. Ale mylisz się co do jednego. Ja wcale nie chcę anielichy dla siebie.

– Nie pouczam cię! Ja tylko... – Rozpruwacz nagle znieruchomiał. Z kąćka ust zwisła mu nitka śliny, ale jej nie otarł. – Co powiedziałaś?

Jego zdumienie sprawiło odmiencowi większą radość, niż byby gotów przyznać. Uśmiechnął się i splótł dłonie za plecami.

– Słyszałeś. I wiesz, co ci jeszcze powiem? To ty ich pragniesz, a nie ja. Zabijasz je tylko dlatego, że się ich boisz. Dusi cię strach, że kiedyś może przyjść taki dzień, kiedy któreś z nich ulegniesz. A teraz zjeżdż mi z drogi, bo wszystko popsujesz.

Rozpruwacz pozwolił się odepchnąć na bok jak słomiana kukła. Dalej poszli w milczeniu, odmieniec słyszał za sobą tylko jego ciężkie sapanie. Kręcił głową, kilka razy się potknął, chociaż noc była jasna. Wytrzymał do samej polanki. Kiedy rozgarnęły ramionami ostatnie zarośla

i strząsnęli z siebie liście i igliwie, położył na ramieniu odmieńca ciepłą dłoń.

– Kto to ma być?

Odmieniec nie odpowiedział od razu. Wyszukał pod krzewami dobre miejsce, suche i ocienione przed świetlistym pyłem księżycy. Usiadł, skrzyżował nogi i oparł ręce na kolanach.

– Tak trudno się domyślić? – powiedział, patrząc prosto przed siebie. – Przecież nie proboszcz.

Rozpruwacz ciężko opadł na ziemię obok niego. Zagryzł wargę, nie przestawał kręcić głową.

– Jesteś dziwniejszy, niż sądziłem. To, co chcesz zrobić, to jest... to jest...

– To jest moja zemsta. – Drzewo, na które patrzył, odcinało się od rozgwieżdżonego nieba głęboką czernią. – Do wyzwiask jestem przyzwyczajony. Bicie zniosę. Ale sołtys zrobił z Łaciata... Zrobił coś, czego mu nie daruję.

Znowu siedzieli w ciszy. Rozpruwacz w zamyśleniu skubał mech, skręcał z niego małe kuleczki i pstrykał nimi przed siebie. Odmieniec prawie się nie poruszał, śledząc wzrokiem gaśnięcie i zapalenie się gwiazd schwytanym w gęstą sieć listowia. Wiedział, z której strony wstanie świt, i myślał tylko o tym, żeby nie przegapić pierwszych smużek szarżyny na niebie. W pewnej chwili wydało mu się, że na wschodzie wypływa zza widnokregu jakaś chmura, i drgnął zaniepokojony. Ale zanim zdolał poczuć ukłucie zwątpienia, Rozpruwacz zbliżył usta do jego ucha.

– Idzie. Trochę się zatacza, chyba sobie wypił na odwagę. Minęło trochę czasu, zanim odmieniec też usłyszał kroki. Były nierówne, czasem głośniejsze, a potem znowu całkiem ciche. Kilka razy rwały się i wtedy obaj podnosili głowy, wstrzymując oddechy i nastuchując. Ale nie było wątpliwości, że ten, który szukał drogi przez gąszcz, był coraz bliżej.

Nagle tuż nad ich głowami, między najniższymi konarami, zaćwierkał ptaszek. Jego głos był taki ostry i niespodziewany, że w pierwszym odruchu odmieniec chciał zerwać się na nogi. Rozpruwacz szarpnięciem za kołnierza usadził go z powrotem.

– Spokojnie. To tylko świt.

Wschodnia połowa nieba bladła. Ptaki rozźwierkały się ze wszystkich stron naraz, ciesząc się słońcem, którego tutaj, na dole, jeszcze nie było widać. Ale jasność dnia uparcie wnikała coraz niżej, rozpraszając cienie i zapalając ogniki w kropelkach rosy. Ciągle jeszcze było zimno, choć cieplejszy wietrzyk już rozkotyssał paprocie.

Kilkanaście kroków od nich, na skraj polany, zatrzęsły się krzaki. Ptaki umilkły i zrobiło się tak cicho, że mogli wyraźnie usłyszeć świszający oddech i cedzone szepem przekleństwa. Kiedy błysnęła sprzączka u pasa, odmieniec mocno zacisnął zęby.

Sołtys wyrwał się z gąszczu, stracił równowagę i upadł na kolana. Był niespokojny, białka jego oczu błyskały w cieniu. Rozejrzał się szybko po polance, a potem nie wstając z kolan, przesunął się kawałek do przodu. Jedna połowa jego twarzy była prawie czarna, a druga ciemnożółta, lśniąc od potu. Odmieniec spojrział na wschód. Rozpalająca się między drzewami zimna świetlistość na chwilę go oślepiła.

– Patrz do góry! – Zdawało mu się, że Rozpruwacz krzyczy prosto w jego ucho. – Patrz na nią.

Podniósł oczy. Tam, wysoko, słońce grzało już mocno, osuszając z liści nalożone wilgoci. Poszukiwał wzrokiem anieli-chy. Serce mu zalomotało, kiedy jej nie odnalazł.

– Patrz. Patrz.

Zmrużył oczy, wysunął koniec języka. Czuł, że za chwilę pod powiekami zapieka go lzy. I wtedy ją dostrzegł. Była tam przez cały czas, ciągle w tym samym miejscu. Zmieniła barwę. Jej wąski kształt, przylegający płasko do pnia, nabrał brązowego odcienia, jaki miała kora. Wyglądała jak jakaś wydłużona narośl i wzrok ślizgał się po niej obojętnie. Jedyne na grzbiecie, tuż za zgrubieniem łba, była niewielka skaza. Czarne pęknięcie, krótkie, szerokie może na dwa, trzy palce.

– Czy to już? – zapytał szepem.

Nie usłyszał odpowiedzi, ale kątem oka wylapał kiwnięcie głowy Rozpruwacza. Jeszcze raz obejrzał się na sołtysa. Siedział na piętach, z zadartą głową, jakoś dziwnie przygarbiony. Wstrząsała nim czkawka, wyglądał załóżnie.

Odgłos rozdzierania grubej skóry wypłoszył ptaki z gniazd wokół całej polanki. Pęknięcie powiększyło się. Grzbiet poczwarki w tym miejscu zgrubiał, skóra napięła się i wygładziła. Z poszerzającej się szczeliny sterczała kępka mokrych włosów. Wypukłe guzy ślepi powoli zaczęły oddalać się od siebie. Wcepienie w drzewo pazury skruszyły korę, a potem odskoczyły na boki. Cała przednia część poczwarki wygięła się do tyłu, odstając od pnia, ale pozostałe odnóża trzymały mocno.

Rozpruwacz patrzył na to spod nastroszonych brwi.

– Wychodzi bardzo szybko – mruknął. – Jest silna.

Przez chwilę nic się nie działo, tylko poranny wiatr szarpał liście. Sołtysowi minęła czkawka i siedział teraz blady, z otwartymi ustami. Zamknął je dopiero wtedy, kiedy znowu usłyszał prucie.

Na grzbiecie larwy powiększało się kuliste wybrzuszenie. Coś napierało od środka, próbując rozepchać pęknięcie. Najpierw opornie, a potem coraz szybciej oba końce rozdarcia zaczęły się od siebie oddalać. Bulgot. Miałniecie. Przez brzęgi czarnej rany przelała się gęsta ciecz.

Jak kasztan wyluskany z osłonki, na wierzchu pokazała się głowa.

Odmieniec podniósł się na drżących nogach. Zarośla sięgały mu tylko do ramion i sołtys łatwo mógł go zobaczyć, ale w tej chwili wcale o to nie dbał.

– Boże! – jęknął.

Głowa wyglądała całkiem zwyczajnie. Nie była zielona i pokurczona, jak tamta poprzednia. Miała jasne, proste włosy, które przylepiały się do policzków i do szyi. Nie od razu zobaczył jej twarz. Widział pełne, rozchylone wargi, ale oczy chyba były zamknięte. Trwała przez jakiś czas bez ruchu, a potem niespodziewanie wydała dziwny odgłos, jakby się zachłysnęła. Zrobiła to jeszcze raz, i jeszcze, szarpnęła się i zaczęła rzeźić.

– Coś źle poszło! – krzyknął odmieniec niemal pełnym głosem. – Ona się dusi!

Rozpruwacz ściągnął go na dół, w gąszcz, i przytrzymał, póki nie przestał się rzucać.

– Nic jej nie będzie. Musi tylko złapać pierwszy od-

dech. A ty nie wrzeszcz, bo cię zobaczy i zamiast do sołtysa, przyleci do ciebie.

Kiedy odmieniec znowu spojrział w górę, anielicha już kończyła odkrztuszać śluz. Zrobiła kilka szybkich, bardzo płytkich oddechów, wysunęła się bardziej i zaczerpnęła pełne płuca powietrza. Odwróciła głowę w stronę wschodu, wystawiając twarz na słoneczne ciepło. Przez jakiś czas odpoczywała. Potem znowu się zawierciła i wydobyla na wierzch prawą rękę. Zwiesiła ją luźno, jakby nie wiedziała, co z nią zrobić, ale zaraz podniosła dłoń do twarzy i otarła z brody to, co przedtem wykrztusiła. Było w tym ruchu tyle człowieczeństwa, że odmieniec poczuł swędzenie między łopatkami.

– Wygląda jak każda inna kobieta.

– A jak ma wyglądać? – W głosie Rozpruwacza czuło było rozstargnienie, całą uwagę skupiał na anieliszce. – Dałbyś się uwieść owadowi?

Wyciągnęła drugą rękę. Oparła oba łokcie na twardych krawędziach pęknięcia i podciągnęła się do góry, aż po pas. Szybko sztywniejąca na słońcu powłoka zakoiła się pod jej ciężarem. Ruchem głowy odrzuciła do tyłu włosy i wtedy po raz pierwszy mogli zobaczyć jej twarz. Była jasna i piękna. Nawet z tej odległości było widać, że ma prosty nos, równe brwi i długie zawinięte rzęsy. Zbierała siły, jakby otwarcie oczu było trudniejsze, niż wydobyć się z poczwarki. Ale wrzeszcz to zrobiła. Nie rozglądała się, nie błądziła wzrokiem, tylko od razu spojrziała prosto w dół, na kłęczącego sołtysa. Wychyliła się do przodu. Odmieniec był pewien, że słyszy, jak sołtys puszcza wiatry. Wróciła mu pijacka czkawka, jego skronie były mokre pomimo chłodu.

Twarz anielichy rozjaśniła się czystym, ślicznym, kojącym uśmiechem.

– No i po sprawie. – Rozpruwacz ze świstem wypuścił nosem powietrze. – Przepadł, stary cap.

Anielicha podciągnęła obie nogi, przyciskając kolana do piersi. Spuściła sołtysa z oczu tylko na jedną chwilę, która była jej potrzebna, żeby przeskoczyć na najbliższą gałąź. Odwróciła się do nich bokiem i wtedy odmieniec

zobaczył na jej plecach coś, co wyglądało jak dwie szare smugi. Biegły z góry na dół, od karku do pośladków. Anielicha znalazła pewniejsze oparcie pod stopami, położyła dłoń na pniu drzewa i wyprostowała się. Odmieniec poczuł, że się czerwieni. Spuścił oczy. Rozpruwacz lekko klepnął go w tył głowy.

– Nie przejmuj się. To tylko znaczy, że w gaciach niczego ci nie brakuje.

Sottys wyglądał o wiele gorzej. Miał rozszerzone źrenice i przyspieszony oddech. Chciał wstać, ale nogi rozjeżdżały mu się na śliskiej trawie. Niezdarnie walczył z czkawką, próbował odwzajemnić uśmiech.

– Chodźmy. – Odmieniec poczuł pociągnięcie za rękaw. – Nie mamy tu już nic więcej do oglądania.

Podniósł głowę, żeby spojrzeć na nią po raz ostatni. Wyciągnął przed siebie drżącą rękę z wyprostowanym palcem.

– A to co?

Za jej plecami wyrosły dwa rozłożyste, ruchome cienie. Wiedział, że anielichy mają skrzydła, ale nie spodziewał się, że będą aż tak wielkie. Były postrzępione po brzegach, pokryte siatką białych włókien i łagodnie falowały równo z jej oddechem. Kiedy je rozpięła w pełni, łapiąc wiatr, wydawało się, że zasłoniły połowę nieba. Opuściła wzdłuż boku rękę, którą opierała się o pień. Uśmiechnęła się jeszcze raz, aż zwięzły się jej rozmięgotane oczy. Ugięła kolana i skoczyła.

Odmieniec miał w uszach szum jej skrzydeł nawet wtedy, gdy już przedarli się przez zarośla, wyszli z lasu i poczuli pod stopami miękką trawę pastwiska. Chciał się cieszyć tym, że wszystko poszło dobrze, ale nie umiał. Każde z pytań, które kotłowały się w jego głowie, parzyło jak rozgrzany węgiel. Zbliżali się już do szalasu, kiedy wreszcie zdobył się na odwagę zadania najważniejszego z nich.

– Czy to go będzie bolalo?

Rozpruwacz w pierwszej chwili nie zrozumiał. Szedł z rękami założonymi do tyłu i chyba nad czymś rozmyślał, bo kiedy spojrzął na odmienca, wyglądał, jakby dopiero się przebudził.

– Co?

– No, śmierć. Chcę wiedzieć, czy on będzie cierpiał.

– Jak mało kto, przyjacielu. Jak mało kto.

Więcej o tym nie rozmawiali. Odmienca prawie od razu ogarnęła senność, ledwo tylko usiadł w cieniu, opierając się plecami o szalasz. Miał jeszcze dużo do zrobienia przed przyjściem Grubej Jagny, ale po nieprzespanej nocy musiał się zdrzemnąć, choćby na krótko. Zamknął oczy i zwiesił głowę.

– Ruszaj się, nie mamy czasu.

Rozpruwacz nie powiedział tego głośno, ale jego słowa nieprzyjemnie wierciły w uszach. Odmieniec skrzywił się i nie podnosząc powiek, splunął przed siebie. Myślał, że to wystarczy, ale po chwili ciszy poczuł na twarzy oddech Rozpruwacza.

– Czy tobie naprawdę się wydaje, że po tym, co zrobiłeś, możesz zwyczajnie iść spać?

– Nie mam wyrzutów sumienia, jeśli o to ci chodzi.

– A ja mam. Ale to teraz nie jest najważniejsze. Musimy stąd uciekać.

Odmieniec poczuł złość. Chciał tylko spokoju, niczego więcej. Pragnął snu, który uładziłby jego myśli i pozwolił zostawić daleko za sobą to, co było. Otworzył oczy i wyprostował plecy.

– Przestań się o mnie troszczyć. Nie jesteś moim ojcem ani bratem, ani przyjacielem. Jesteś nikim.

Rozpruwaczowi drgnęła szczeka, ale poza tym jego twarz pozostała nieruchoma.

– Idę na zachód. Jeśli wyruszysz przed północą, może uda ci się mnie dogonić. Ale wątpię, bo łazisz jak pokraka.

Odmieniec nie patrzył, jak odchodzi. Wściekłość jeszcze długo buzowała mu w głowie, nie pozwalając pograć się w sennym odrętwieniu. Ale w końcu zmęczenie wzięło górę i z ulgą podłożył dłoń pod policzek.

Spał bez snów, głęboko, ale chyba bardzo krótko. Nie podnosząc powiek, zmarszczył czoło, próbując rozpoznać dźwięk, który go obudził. Kiedy zrozumiał, że słyży zbliżające się kroki, zniechęcony osunął się plecami po ścianie szalasu. Cień padł na jego twarz, kroki umilkły.

– Co, zapomniałeś się nazrec? – burknął. – Niepotrzebnie wróciłeś, bo ja nic nie mam.

Kopniak w żołądek zgiął go w pół. Stracił oddech, szeroko otwartymi oczami patrzył z bliska na wspinającego się po lodydze stokrotki żuka. Kiedy po długim czasie udało mu się unieść czoło, zobaczył przed sobą ubłocone buty sołtysa. Prawa noga zniknęła na mgnienie oka. Wiedział, co to znaczy. Kopnięcie w podbródek prawie podawało go na nogi.

– Pobudka, leniu! Kto wydoi krowy? Może ja?

Odmieniec przesunął językiem wylamany ząb pod policzek, żeby nie połknąć go razem z krwią przy następnym uderzeniu. Pomimo bólu musiał teraz bardzo jasno myśleć. Rozejrzył się spod czoła, nie podnosząc wzroku powyżej poziomu sprzączki u pasa sołtysa. Zaniepokojone hałasem krowy zarzucały łbami. Dalej, na skraju drogi, czekała Gruba Jagna. Puste cebrzyki stały obok niej.

– Miałem w nocy gorączkę i zasnęłem. – Zwykle lepiej było nic nie mówić, ale teraz milczenie mogło być najgorszym wyjściem. – Zaraz wszystko będzie gotowe.

Nie podnosząc stopy, przesunął prawą nogę w bok, szleszcząc piętą w trawie. Ale sołtys był czujny, chwycił go za włosy, odgiął jego głowę do tyłu i pochylił nad nim twarz.

– Powoli. – Białka jego oczu były tak przekrwione, jakby cienkie żyłki miały lada chwila popękać. – Przestańmi rozmawiać dopiero wtedy, kiedy sam ci o tym powiem.

Uderzył głową w jego nos, poprawił kolaniem w zebra. Był pobudzony jak nigdy. Odmieniec miał teraz jego źrenice tuż przed sobą i na ich dnie wyraźnie widział zamglone iskierki rozkoszy.

– Zostaw go! – Gruba Jagna nagle wsadziła między nich swoje tuste ramię. – Przed chałupą od świtu czekają na ciebie goście. Idź już. I ogarnij się po drodze, bo jesteś cały uświniony.

Nie odepchnął jej tylko dlatego, że zaskoczył go twardy ton jej głosu. Oprzytomniał, wypuścił z ręki włosy odmienna i rękawem wytarł zakrwawione czoło.

– Wszystko się rozlaź, kiedy sam nie dopilnuję. Jacy znówu goście?

– A bo ja wiem? – Gruba Jagna ustawiła się tak, że odmieniec znalazł się za jej szerokimi plecami. – Obcy, nie ze wsi.

Kiedy odchodził, ciągle jeszcze się zataczał, ale chyba bardziej ze zmęczenia niż od gorzały. Dla niego to była bardzo długa noc. Odmieniec dotknął puchnącego nosa i syknął.

– Był u niej, prawda? – Gruba Jagna jednym palcem podniosła jego brodę tak, że musiał na nią spojrzeć. – Powiedz mi.

Nie odpowiedział. Chciał się odsunąć, ale chwyciła go za ramię. Zaciśnięta palec tak mocno, że sprawiła mu ból.

– Muszę to wiedzieć!

Przytaknął samymi oczami. Puściła go i przez jakiś czas stała z opuszczonymi rękami, kiwając się w przód i w tył. Potem podniosła z ziemi puste cebrzyki i zaczęła iść w stronę drogi. Po raz pierwszy, odkąd odmieniec pamiętał, zapomniała o mleku. Zatrzymała się po kilku krokach, jakby coś jeszcze ją dręczyło. Obejrzała się przez ramię.

– Odejdź stąd. Jak ludzie się dowiedzą, co tu zaszło, chwycą za widły.

Odmieniec zerwał dwie garście trawy i przyłożył je sobie do twarzy. Od głowy do pięt tętnił w nim ból.

– Sołtys się nie przyzna, a ja nic nie powiem. Od kogo miałiby się dowiedzieć?

Gruba Jagna patrzyła na zakręt drogi. Sołtys, potykając się co kilka kroków, właśnie zniknął za drzewami.

– Ode mnie – powiedziała.

Mógł iść w którąkolwiek stronę, ale przyszedł właśnie tutaj. Sam nie wiedział, czemu. Może ta droga wydawała mu się mniej obca niż inne, a może po prostu był ciekawy. Chciał się dowiedzieć, jak to się stało. Nie dlatego, żeby miał nadzieję jeszcze coś naprawić, ale po to, żeby było mu łatwiej odejść.

Polanka otworzyła się przed nim tak samo cicha, pocięta pasami światła i cienia. Było bezwietrznie, z głębi lasu ciągnął chłód. Klaczki mgły, które snuły się tutaj o świcie, zniknęły. Zatrzymał się w tym samym miejscu co przedtem i spojrzal w górę. Poczwaraki już nie było. Mogła osunąć się pod własnym ciężarem albo rozwłóczyły ją kruki. Nie dostrzegł nic, żadnych śladów, choćby wygniecionej trawy czy zrytego mchu. Poczul zawód. Przestraszył się, że w tej leśnej ciszy jego własne wspomnienia będą się stawały coraz bardziej wyblakłe, aż wreszcie przyjdzie taki dzień, kiedy sam przestanie im wierzyć. A przecież wspomnienia były wszystkim, co teraz miał.

Coś błysnęło na tle gęstych zarośli, po przeciwnej stronie polanki. Zamarł w pół oddechu i ruchem samych oczu skierował wzrok w tamto miejsce. Nic. Zbita płatnina liści, a niżej, nad samą ziemią, mrok. Wyprostował kark. Znowu błysk. Już wiedział, co to jest. Przez dłuższy czas szukał odpowiedniego ustawienia głowy, łowiąc tylko pojedyncze migoty, jak lśnienia rybich grzbietów w zimnej wodzie. Ale wreszcie znalazł i znieruchomiał z dziwacznie wykrzywioną szyją.

Ciemnozielony krzew zaświecił w słońcu, jakby skropiony roztopionym srebrem.

Po pierwszym kroku wszystko zgasło. Spodziewał się tego i nie zatrzymał się. W miarę, jak się zbliżał, ciemność pod krzewami szarzała. Mógł zobaczyć miejsce, gdzie kończyła się trawa i zaczynała gola ziemia. Wydawało mu się, że kilka małych kamyków jest odwróconych wilgotną stroną do góry, jakby ktoś się tędy przeczolgał. Zwolnił, kiedy zobaczył ślad odcisniętej dłoni. Podeszedł do zarośli najciszej, jak umiał, i przykucnął. Pochylił się, opierając ręce na ziemi. Zajrzał w zatęchły półmrok.

Była tam. W głębi, o parę kroków, zobaczył podeszwy jej bosych stóp. Były gładkie i bez skazy, jak u niemowlęcia.

Wsunął się pod zarośla na łokciach i kolanach, wciągając w płuca mocny zapach grzybów. Nie czuł strachu, tylko niepewność. Mógł teraz zobaczyć wystające kostki u jej nóg i paznokcie podbiegnięte siną barwą śmierci. Ale kie-

dy dłużej skupił na nich wzrok, miał wrażenie, że oba duże palce prostują się ledwo dostrzegalnie, w jednakowych odstępach czasu, jakby w takt powolnych uderzeń serca. Opadł na brzuch i szurając łokciami, zaczął przesuwając się do przodu. Przeczolgał się bardzo blisko stóp, prawie muskając je ramieniem. Patrzył na chude łydki, kolana i uda. Jasna skóra anielichy była całkiem bezwłosa. Jakaś czerwonołowa stonoga próbowała wspiąć się po jej biodrze, ale spłoszona ruchem spadła na ziemię i schowała się pod jej plecami.

Odmieniec znowu pomyślał o śmierci. Zamknął oczy. Dźwignął głowę, żeby złapać głębszy oddech. Przez krótką chwilę, ale bardzo wyraźnie poczuł na prawym policzku ciepło idące od jej ciała. Kusilo go, żeby sięgnąć ręką i poczuć to pod palcami. Ale nie zrobił tego. Nawet nie otworzył oczu, tylko zagryzł dolną wargę i podciągnął się do przodu jeszcze tyle, ile trzeba. Poczul łaskotanie na nosie. Wiedział, że to jej włosy. Podniósł się na rękach i obrócił głowę w jej stronę. Kiedy otwierał oczy, wszystkie dźwięki, zapachy i barwy zlały się w jedno doznanie.

Wciąż była piękna. Leżała z głową odrzuconą do tyłu, patrząc nieruchomymi źrenicami na sklepienie liści, a na jej wargach osiadały maleńkie kropelki oddechu. Nie miał wątpliwości, że anielicha umiera, choć w wyrazie jej bladej twarzy nie było śladu cierpienia. Chciał zairzeć do jej oczu, żeby znaleźć w nich coś więcej niż tylko obojętność. Pochylił się nad nią tak nisko, że widział oddzielnie każdy zawinięty włoszek jej rzęs.

Czarne kropczki jej źrenic skupiły się na nim tak niespodziewanie, że aż się poderwał. Widział, że próbowała dźwignąć głowę, ale nie miała już na to sił. Pod skórą jej szyi napięły się dwa ścięgna. Chciał jej pomóc, wsadził dłoń pod jej kark. Uśmiechnęła się, kiedy znowu zaczął zbliżać do niej twarz. Rozchyliła wargi, pokazała białe zęby.

Odskoczył z krzykiem w ostatniej chwili. Coś było nie w porządku, ale w pierwszej fali strachu i obrzydzenia jeszcze nie wiedział, co. Źrenice anielichy rozszerzyły się, ściągając jego wzrok ku sobie. Wargi zwilgotniały. Znowu próbowała się uśmiechnąć i wtedy nagle to zobaczył.

Na samym końcu języka miała krótki kolec, jak żądło osy. Zrozumiał, czym naprawdę było to, co wyglądało jak próba pocałunku i przed czym udało mu się uchylić. Przejechał drżącymi palcami po swoich wargach, ale nie znalazł śladu ukłucia. Wycofał się tyłem, ślizgając się na opadłych liściach spoconymi dłońmi. Poczul na karku liźnięcie słonecznego żaru i dopiero wtedy udało mu się zapanować nad świszczącym oddechem. Przyłożył lewą skroń do ziemi i zajrzał w ciemność pod krzewami jeszcze raz.

Stopy anieli chy były trochę bardziej rozszerzone niż wtedy, kiedy zobaczył je po raz pierwszy. Długo patrzył na jej palce. Były całkiem nieruchome.

Wstał i nie oglądając się za siebie, obszedł gęstwina bokiem, wchodząc w cień drzew. Znalazł tam wąską i krętą ścieżkę, chyba wydeptaną przez zwierzęta. Nie był pewien, czy wiedzie na zachód, ale miał taką nadzieję. Przez pierwszych kilkaset kroków biegł, przeskakując grube węzły korzeni i pochylając czoło, kiedy musiał się przedzierać przez zaporę nisko zwieszonych gałęzi. Potem zwolnił. Rozplakał się jak dziecko, głośno, krztusząc się łzami. Ptaki milkły, patrząc na niego z góry z przekrzywionymi łebkami.

Gospoda stała tuż przy drodze. Zbita byle jak z grubych bali, ze spadziastą strzechą krytą słomą i szparami w ścianach pozatykanymi mchem, skrzyiała pod naporem wiatru. Nie była duża, miała jedną izbę, stryżek i przybudówkę dla świń, ale i tak przerastała wszystko, co odmieniec dotąd w życiu oglądał. Tkwił pośrodku drogi z otwartymi ustami i próbował sobie wyobrazić, jakim cudem ludziom udało się wznieść coś takiego.

Za uchylonych drzwi buchał dym. Gwar zmieszanych głosów, śmiechy i pijackie wrzaski odbijały się od ściany lasu, żeby potem rozlać się po szerokich polach. Uwiązane do zerdki koło wejścia konie sennie kiwały łbami. Jakieś łysawe psisko obwąchiwało próg. Nagle podkulilo ogon i uciekło na trzech łapach, znikając za rogiem.

Z gospody wyszła młoda dziewczyna. Jej jasne włosy lśniły od tłuszczu, na policzkach miała smugi sadzy. Wy-

stające spod polatanej kiecki bose stopy aż po kostki były obrośnięte skorupą brudu. W obu rękach dźwigała parujące gorącym wiadra. Omijając kałuże i psie odchody, podreptała wzdłuż ściany do przybudówki. Postawiła wiadra na ziemi, z ulgą rozprostowując palce. Potem chlusnęła do ciemnego wnętrza chlewa gęstą strugą śmierdzących pomoy. W środku się zakotłowało, aż jęknęły deski. Dziewczyna splunęła prosto w kłębowisko cieni, wytarła dłonie w pomietą na biodrach kiecki i odwróciła się.

Dopiero teraz zauważyła odmieńca. Pisenła ze strachu, zasłoniła dłońmi usta i rzuciła szybkie spojrzenie na drzwi gospody. Ponad zgiełk wzbil się jakiś bełkotliwy, nieskładny śpiew. To chyba dodało jej odwagi, bo odstawiła puste wiadra pod ścianę i powoli podeszła na skraj drogi. Patrzyła czujnie, mrużąc oczy.

– Wzięłam cię za biesa, który tu zabłądził z głuszy – roześmiała się głupawo. – Czego tak sterczysz? Albo wiaź, albo idź gapić się na kogoś innego.

Odmieniec podrapał się pod pachą, mieląc piętami błoto. Dziewczyna odzyskała całą śmiałość. Przez chwilę w zamyśleniu dębała paznokciem w zębach.

– To chociaż zamknij gębę, będziesz wyglądać mądrzej! – Odwracając się, zakręciła spódnica, aż zmarszczyła się od powiewu woda w kałuży. – Tutaj nic nie uzbrazsz. Co najwyżej ukradną ci ostatnie portki.

Ruszył za nią niepewnie, ale kiedy zniknęła w izbie, znowu się zatrzymał. Stał o pięć kroków przed progiem, wyciągając do przodu szyję i węsząc, jak przed chwilą pies. Od splecionych ze sobą zapachów jedzenia, koni i ludzkich wzyewów zaczynało mu się kręcić w głowie. Ostatnie słowo chrapliwie wywrzaskiwanej piosenki przeciągnęło się bardzo długo, podjęte przez inne głosy. Potem zrobiło się trochę ciszej, zastukały kubki i miski. Odmieniec zacisnął zęby i przestąpił próg.

Rozmowy urwały się tak nagle, jakby ktoś zatrzasnął mu przed nosem drzwi. Musiał przyzwyczać wzrok do zasnutego dymem półmroku, ale i bez tego mógł się domyśleć, że wszyscy na niego patrz. Przed sobą widział tylko kiwające się cienie i otoczony drzącą mgiełką plo-

mień paleniska. Zaświerzyły go lydki do ucieczki, ale zaczął iść przed siebie na drżących nogach, chwytając się nadziei, że wreszcie musi trafić na jakąś ławę albo stół. Macał przed sobą rękami jak ślepiec. Wydawało mu się, że wszędzie wokół słyszy przyciszone oddechy. Na chwilę przed tym, nim postanowił zawrócić, coś zaszurało pod jego nogami. Potknął się i chwiejnie przebiegł kilka kroków, próbując odzyskać równowagę. Miał zbyt miękkie kolana, upadł twarzą do przodu. Walnął czołem w klepsko, aż go zamroczyło.

– Ua, ha, ha! – Dziki śmiech uderzył pod samą strzechę. – Uwważaj, stworze, bo deptasz mi po odciskach!

Odmieniec przetoczył się na plecy i przyłożył do twarzy obie dłonie. Ból ustępował bardzo powoli, ale przytomność wracała. Rozchylił palce. Teraz widział już o wiele lepiej. Nad nim wisiła murszejąca powała, na ścianach kopciły knoty świec. Usiadł z trudem, starając się nie poruszać szyją i zapanować nad skurczami żołądka. Podniósł ukradkiem oczy, najpierw tylko na chwilę.

Wzdłuż biegnącego przez środek izby długiego stołu na ławach siedzieli ludzie. Niektórzy z nich wciąż jeszcze oglądali się na niego, parszkając ze śmiechu piwem, ale już powoli przestawali się nim zajmować. Ktoś znowu zapiał śpiewkę, inni przyłączyli się po kolei.

– Podłożył ci nogę, cuchnący grubas! – Dziewczyna ukłękła przy nim, kładąc dłonie na udach. – Cały jesteś?

Pokiwał głową trochę zbyt gwałtownie i pociemniało mu w oczach. Zachwiał się, ale dziewczyna w porę chwyciła go pod ramię.

– Chodź, bo jak się schleją do reszty, to cię tu zdeptają. Coś błysnęło w wycięciu koszuli pod jej szyją. To był chyba uwiązany na rzemyczku wisiorek. Odmieniec widział go tylko przez mgnienie oka, ale zdążył dostrzec, że przedstawiał maleńką, pięknie wyrzeźbioną główkę.

– Zawsze zaglądasz dziewczuchom za pazuchę? – Złowiła jego spojrzenie i szybko zebrała dłonią koszulę na piersi. Nie przyjrzał się lepiej, chociaż coś w wyglądzie wisiorka wzbudziło jego niepokój. Może kształt, może tylko ja-

kieś nietrwale wrażenie. A może po prostu to, że dziewczyna nie pozwoliła mu na niego patrzeć.

Pomogła mu wstać i podprowadziła w kąat izby, gdzie leżała rozrzucona słoma i jakieś szmaty. Płomyczki świec bezszelestnie tańczyły wokół jego głowy. Z jękiem osunął się plecami po ścianie. Wierzchem dłoni dotknął pęczniącego na czole guza.

– Kość chyba cała – odezwał się szeptem. – Ale w uszach ciągle mi coś piszczy.

– O! To ty umiesz mówić! – Przykucnęła przed nim, opuszczając dłonie między kolanami. – Jeszcze trochę, a uwierzę, że wśród twoich przodków oprócz wilkołaków byli też ludzie.

– Pójdę już. – Podciągnął nogi, żeby wstać, ale dziewczyna kładąc pięść na jego piersi przycisnęła go do ściany.

– Siedź! Jesteś za słaby, jeszcze mi się tu porzygasz. A tamci, jak zobaczą, że się zataczasz, znowu cię sponiewierają. Dla zabawy! – Pochyliła plecy, jakby chciała mu się lepiej przyjrzeć. – Chociaż po trosze sam jesteś sobie winien. Z taką gębą powinienes chyba nosić kaptur, czy jak.

Pod przeciwną ścianą, nad paleniskiem, na rożnach obracały się świńskie lby. Jakaś chuda kobieta, o wklęsłych policzkach i podkrążonych oczach, krzątała się przy bulgocących garnkach.

– Chciałem tylko coś zjeść. – Z trudem odklejał język od podniebienia. – Nie szukam nowych znajomych.

Dziewczyna z zaciekawieniem podniosła brwi, pociągając się lekko za ucho.

– Masz czym zapłacić?

– Nie. Ale mogę odpracować.

– Hi, hi! – Wstała i odrzuciła do tyłu włosy. – Lepiej nie mów tego mojej matce, bo ona nie zna się na żartach.

Kiedy odeszła, podłożył sobie pod kark zwiniętą szmatę i ostrożnie oparł głowę o belkę. Czuł się już lepiej. Minęły nudności i przestał mieć wrażenie, że coś od środka napiera na jego oczy. Nawet głód mniej szarpał, jakby też się zmęczył. Odmieniec przymknął oczy, zostawiając tylko małe szczelinki. Patrzył na izbę zza zastony rżes.

Ludzie, którzy siedzieli przy stole, na pewno nie byli kmięciami. Każdy z nich miał nóż, a koło niektórych stały oparte o ławę miecze i topory. Ale na wojów też nie wyglądali. Siorbali piwo, nie ocierając ściekającej po szyi piany, i rzucali kubkami za siebie, aż od ścian odłupywały się drzazgi. Darli zębami ledwo opieczone mięso, plując kawałkami skóry i kości. Co chwilę któryś próbował złapać dziewczynę, biegającą między nimi z jedzeniem i zbierającą kubki, ale ona zawsze wiedziała, jak się wywinąć. Raz jeden wielki brodac z szerokim karku i płaskim czołem objął ją w pasie i posadził sobie na kolanach, ale wtedy podniosła rękę i wymierzyła łokciem cios w dół, na ukos. Musiał być celny, bo brodac zgiął się w pół, czerwieniejąc z bólu. Podjudzona pokrzykiwaniami innych, wylała mu jeszcze na głowę pół dzbana piwa i pobiegła dalej.

Chuda kobieta patrzyła na to wszystko znad swoich garów, ledwo widoczna zza sinawych oparów. Mieszała w kotle długą chochlą, dorzucała do ognia. Czasem marszczyła brwi i poprawiała chustę na czole, czasem kiwała głową sama do siebie. Jej obojętność pośród tych wszystkich zapieczonych bełkotów przyciągała uwagę. Wydawało się, że nic ją nie obchodzi, ale odmieniec dostrzegł, że kobieta wydaje dziewczynie polecenia cichym głosem albo tylko ruchem samych oczu.

Rozmowy i krzyki, chociaż bardzo głośne, usypiały swoją jednostajnością. Odmieniec kilka razy podnosił opadającą brodę, ale szybko się poddał, wyczerpany głodem i strachem. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, był zapach gnijącej słomy.

Dochodził do siebie z trudem. Ktoś chyba długo szarpał go za ramię, ale teraz znowu był spokojny. Nie otwierając oczu, starał się zebrać myśli. Coś się zmieniło. Co?

Cisza.

Podniósł głowę i rozejrzał się po izbie. Było pusto. W kałużach piwa na stole odbijało się światło świec. Kusykający na trzech łapach pies, dławiąc się, wyzerał spod ław jakies ochłapy. Resztki dymu przecedzały się przez szpary w powale. Za otwartymi drzwiami stała mrugająca gwiazdami noc.

– Wynos się. Chcę tu trochę przewietrzyć, a ty śmiesz, jakbyś umarł przed tygodniem.

Chuda gospodyni stała nad nim z chochlą pod pachą. W chybliwym świetle wydawało się, że zaraz się przewróci. Ręce oparła na plecach, z łokciami wygiętymi do tyłu.

– No. – Trąciła go czubkiem stopy. – Za nocleg też trzeba zapłacić.

Odmieniec niepewnie stanął na nogach. Głód od razu wrócił z nową siłą. Na czole i plecach poczuł zimny pot.

– Nie chcę nic za darmo. Ale jeśli nie dasz mi jeść, na prawdę umrę.

Jej wydłużona twarz wyglądała, jakby wyschła nad paleniskiem. Patrzyła spokojnie, bez uśmiechu.

– Każdy kiedyś musi umrzeć. A dla ciebie chyba im prędzej, tym lepiej. Kilka dni temu moja głupia dziewczucha przywlokła skądś zdychającego szczeniaka... – Obejrzała się, a pies pod jej wzrokiem przypląszczył się do klepiska. – A teraz ciebie. Taka już jest. Ale ja z dwójga złego wolę psa. Przynajmniej nie odstrasza mi gości.

Odmieniec w zgięciu jej łokcia widział mały kawałek stołu. Między przewróconym kubkiem a ogryzionym gnatem leżał nietknięty świński ozorek.

– Nie chcę nic za darmo – powtórzył. – Wszystko odpracuję.

– Niby jak? Będziesz wynosił pijaków?

– Mogę cię wyleczyć.

Musiał podstawić sobie piének, żeby dosięgnąć kołowrotka. Złaził się, zanim postawił pełne wiadro na brzegu studni. Zebrał z powierzchni kilka utopionych much i zacerpnął wody dłonią. Była zimna i bardzo dobra. Zeskoczył na ziemię, chwycił za kablak i powoli przechylił wiadro w swoją stronę. Wystawił twarz na spotkanie lodowatej strugi. Czuł, jak woda splukuje z niego resztki męczącego snu. Zaduch izby szybko wietrzył mu z głowy.

– Zawsze tak robisz?

Nie usłyszał, jak podeszła. Wytrząsnął z uszu wodę, podniósł koszulę z trawy. Zanim ją założył, wytarł w nią mokrą twarz.

– Nie jestem przyzwyczajony do spania pod dachem. Nie za bardzo mi to służy.

Dziewczyna stanęła po drugiej stronie studni i z łomotem opuściła wiadro na sam dół. Uśmiechnęła się. Bez czarnych placków sadzy wokół nosa, ze spiętymi z tyłu włosami, wyglądała całkiem inaczej.

– A może ty jesteś upiorem? One też z daleka obchodzą ludzkie siedziby.

Nie odpowiedział. Jej docinki przelatywały mu mimo uszu, a zresztą nie wyczuwał w nich złośliwości. Przez chwilę widział jej gołe ramię i założone za ucho włosy. Jedyną kobietą, którą dotąd oglądał z bliska, była Gruba Jagna. Nie potrafiłby powiedzieć, czemu, ale to na pewno było coś całkiem innego. Wbił wzrok w sznur nawijający się na wał i słuchał skrzypienia kołowrotka.

– Nazywam się Ćmieluska. – Przeciągnęła wiadro przez brzeg studni i zestawiła je na ziemię. – A ty?

– Nazywaj mnie, jak ci się podoba.

Zaczynał rozumieć, że od tego pytania nie uwolni się tak długo, jak długo przyjdzie mu kręcić się między obcymi. Ale dziewczyna wcale się nie zdziwiła. Wzruszyła ramionami i podciągnęła kieckę powyżej kolan. Szybko opuścił głowę.

– W tej okolicy prawie każdy woli zapomnieć, jak się nazywa i skąd pochodzi. – Woda przelala się przez brzegi wiadra, kiedy weszła do niego obiema nogami – Ale jakoś przecież muszę do ciebie mówić. Czekaj, czekaj... Ogarek? Odrostek? Pryszczki? Nie. Nosacz! Nosacz będzie w sam raz. Dobre?

Rozłożył ręce, chcąc jej pokazać, że jest mu wszystko jedno. Ale drżały mu powieki i gdyby Ćmieluska przyjrzała mu się lepiej, nie umiałby ukryć zmieszania. To było pierwsze imię, jakie miał. I do tego brzmiało wspaniale. Odchrząknął, odruchowo potarł garb na swoim wielkim nosie.

– Coś tu dzisiaj u was pusto. – W przyplwywie śmiałości nawet zerknął na jej poobijane kolana. – Za wcześniej?

Skończyła myć nogi i wyprostowała plecy.

– E, gdzie tam. Tamci pchlarze zawsze chleją u nas po rozboju. Ale za to potem przez kilka dni nie wychylają się z lasu, póki nie ucichnie zamieszanie. A poza nimi pies z kulawą nogą tutaj nie zagląda. No, chyba że sama jakiegoś przywłokę – rozeźmiała się wychodząc z wiadra. Chlusnęła wodą na wydeptaną przy studni lysinę i odmieniec długo patrzył, jak czarne strumyczki wsiąkają w ziemię.

– Czy to znaczy, że oni są?... – Zawahał się, szukając odpowiedniego słowa.

– Zbójami – dokończyła za niego Ćmieluska. – Nożownikami. Zatrzaćcami bez sumień. Boi się ich każdy, komu droga wypada przez te lasy, od kupca po najostatniejszego ślepego dziadygę. A zarobić na nich umie tylko dwoje ludzi: kat i moja matka.

– Ale... Jak to? – Guz na czole odmienca pociemniał. – Jak wam się udaje tutaj... Same?

Opuściła spódnicę. Kiecka też była inna niż wczoraj, czysta i nie latana.

– Nie ruszaj nas – przeciągnęła się, wystawiając twarz do słońca. – Ta gospoda to jedyne miejsce, gdzie mogą zjeść i wypić jak ludzie. No, na tyle, na ile potrafią. A od czasu do czasu każdy przecież lubi poczuć się kimś lepszym, niż jest, prawda? Wiedzą, że jeśli matka się stąd zabierze, oni bardzo szybko przestaną się czymkolwiek różnić od zwierząt.

– No a... – znowu się zaciął, bezradnie próbując wykrztusić choćby jedno słowo więcej. Ćmieluska wygładziła spódnicę na udach i mrugnęła do niego.

– Zwyczajnie. Najczęściej po rozboju już im się nie chce, bo kupcy zwykle wożą ze sobą żony i córki. A poza tym matka zawsze każe mi utylać się w chlewiku. Sam widziałeś. Wtedy jakoś mniej pchają się z łapami. No, ale starczy tego gadania. Chodź za mną – kiwnęła na niego zgiętym palcem. – Matka na ciebie czeka.

Szła przodem, lekko kołysząc biodrami. Słońce grało coraz mocniej i brudny błota przed gospodą szybko twardniały. Odmieniec potykał się co kilka kroków. Myślał o tym,

czy nie powinien naciągnąć sobie jeszcze jednego wiadra zimnej wody. Na progu gospody Ćmieluska spojrziała na niego przez ramię, odrzucając na bok jasną kitę włosów.

– Lepiej patrz pod nogi, bo znowu rozbijesz sobie głowę.

W izbie było prawie rześko. Nad wygaszonym paleniskiem wisiał pusty kocioł, wymiecione do czysta klepisko przyjemnie chłodziło stopy. Przy długim, pustym stole, na samym końcu ławy, siedziała gospodyni. Z daleka wyglądała jak obciągnięty skórą kościel. Zamiast oczu miała dwa wielkie, ciemne zagłębienia rozlewające się na połowę twarzy. Dopiero w miarę, jak odmieniec się zbliżał, zapalili się w nich ogniki źrenic. Obszedł stół i zatrzymał się naprzeciw niej. Kątem oka widział, jak Ćmieluska siada na drugiej ławie.

– No dobra. – Gospodyni wyprostowała się i położyła obie dłonie płasko na stole. – Dawaj.

– Co? – Nie zrozumiał, niepewnie obejrzał się na Ćmieluszkę.

– Ziolo. Daj mi je, a ja już sama zrobię z tego wywar.

– Nie mam żadnego ziola.

Nachyliła się nad stołem, nie spuszczać z niego wzroku. Jej źrenice podeszły do góry, dołem pokazały się przekrwione od dymu białka.

– Wczoraj obiecałeś, że mnie wyleczysz. Wydawało mi się?

– Nie! – Pokręcił głową, próbując jednocześnie skinać. – Tak! Wyleczę cię. Ale ja nie znam się na ziołach. To będzie... inaczej.

– Inaczej? – Zamknęła oczy, otworzyła je, znowu zamknęła. – To znaczy jak?

Musiał jej to w końcu powiedzieć. Bał się, ale też wiedział, że przewlekanie nic nie da. Widział, jak zaczyna bieleć końcówka każdego z jej palców rozłożonych na stole.

– To, co cię męczy, siedzi u ciebie w brzuchu. Powiem... powiem mu, żeby sobie od ciebie poszedł. – Pomyślał, że dobrze będzie się przy tym uśmiechnąć. Jeszcze nie zdążył rozciągnąć warg, kiedy zrozumiał, że to był błąd.

Gospodyni bardzo powoli podniosła się z ławy. Teraz

odmieniec zobaczył, że między kolanami ścisnęła pogrzbacz. Uniosła go nad głowę i z rozmachu uderzyła w stół. Pękła deska, wzbil się kurz.

– Najpierw rozpalę to żelastwo w ogniu, a potem wsadzę ci do tyłka tak głęboko, aż spopiela ci się włosy w uszach. – Odmieniec pierwszy raz słyszał, że można mówić tak cicho, prawie samym oddechem. – Zastanów się bardzo dobrze nad każdym swoim następnym słowem.

Mimowolnie ugiął kolana, zwiirając nogi. Wiedział, że już nie ma odwrotu, ale poza tą jedną myślą w głowie miał dzwoniącą pustkę.

– Mówię prawdę, przysięgam! Znam się na zwierzętach.

Gospodyni wyszła zza stołu i stanęła między odmieńcem a drzwiami. Opierała się na pogrzbacz jak na lasce.

– Ćmieluska! – syknęła. – Krzesz ogień.

– Czekaj! – Odmieniec zrobił krok w stronę paleniska, jakby chciał ją uprzedzić i zjeść hubkę. – Uwiercie mi. Zwierzęta mnie słuchają. Nie wiem, czemu tak jest, ale jest. Zawsze tak było.

Gospodyni chwyciła pogrzbacz oburącz, za dwa końce, opierając go o kark. Namyślała się. Odmieniec osunął się na kolana i przysiadł na piętach. Bezsilnie zwiesił ramiona. Kiedy usłyszał głos Ćmieluski, z nadzieją podniósł głowę.

– On jest taki dziwny, matko, że sama już nie wiem... – Skubnęła dolną wargę. – Sprawdźmy to. Psotka!

Suczka musiała zacić się gdzieś blisko wejścia, bo od razu wstawiła pysk przez drzwi. Zastrzygła uszami, a kiedy się upewniła, że nikt jej nie wygania, na ugiętych łapach podbiegła do dziewczyny. Przewróciła się na grzbiet, zmiatając ogonem pył. Ćmieluska pieszczotliwie podrapała ją pod zębami dużym palcem stopy, a potem podparła się pod boki.

– Psotka mnie słucha tylko czasami, a matki nigdy. Zobaczmy, jak pójdzie tobie.

Ledwo narodził się cień ulgi, już zgasł, przytłumiony niepewnością. Odmieniec odetchnął, uderzył się dłonią w kolano. Suczka zwróciła na niego czarne ślepka.

- Chodź - powiedział łagodnie.

Z psami nigdy jeszcze tego nie próbował. Wiedział, że są inne od krów i całej reszty. Bardzo bystre. Prawie tak bystre, jak ludzie.

- No chodź - ponaglił ją, ale bez złości.

Psotka przydreptała nieufnie, wyciągając długą szyję i głośno obwąchując jego kolana. Ostrożnie wysunął przed siebie dłoń. Cofnęła się, choć nie uciekła. Patrzył w czerń jej ślepi, ale niewiele tam zobaczył. Przesunął rękę bliżej, prawie dotykając końcami palców krótkiej sierści. Nie mógł pozwolić sobie na błąd. Szybkim ruchem chwycił ją za ucho i przyciągnął do siebie. Nie próbowała gryźć, tylko zaskomlała przeraźliwie. Drugą ręką zebrał luźną skórę na jej karku i przycisnął jej pysk do klepiska.

- Co chcesz, żeby zrobiła?

Swędziały go skronie, po których służył pot. Teraz nie mógł go obetrzeć. Ćmieluska otworzyła usta, ale matka uprzedziła ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Rano znowu narobiła pod samym progiem - powiedziała głosem tak zimnym, jak kamienie na dnie studni. - Niech po sobie posprząta.

Odmieniec pochylił głowę, dotykając czołem psiego łba. Cieszył się, że nikt teraz nie może widzieć jego twarzy. Zacisnął powieki, od razu bardzo mocno. Musiał wszystko zrobić szybko, nie było czasu na żadne przygotowania. Gnany strachem wtargnął do psiej świadomości, łamiąc parciem woli wszelki opór. Macał na oślepie. Tu zapiekła, szczenięca trwoga. Tam ból i głód. Tutaj? Chęć do zabawy, równie silna jak nieufność. Dalej, dalej...

Jest.

Zawsze wyobrażał to sobie jak małe kuliste światełko, unoszące się w mroku. Sedno. Istota. Psia dusza. Skupił się, a potem pozwolił jednej ze swoich myśli oddzielić się, odpłynąć i rozpuścić w tym mdłym blasku.

Kiedy wypuścił Psotkę, od razu pobiegła w stronę drzwi. Zatrzymała się w połowie drogi i odwróciła do niego pysk, wywalając różowy język. Wyglądała na zagubioną. Wtuliła pod siebie ogon i przeskoczyła próg.

Koniec pogrzebacza zachwiał się odmiencowi przed

oczami. Potem usłyszał odgłos oddalających się kroków gospodyni. Skrzypnięcie drzwi. Kiedy kroki znowu zastukały na klepisku, były powolne i ciche. I długie, długie milczenie.

•

Nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać, ale na szczęście gospodyni sama mu pomogła. W milczeniu wyciągnęła się na wznak na ławie, opierając pogrzebacz w zasięgu ręki. Jednym zmarszczeniem brwi przegoniła Ćmieluszkę z izby.

- Zaczynaj.

Chuchnął w spocone dłonie i podszedł do niej ostrożnie, uważając, żeby nie przydeptać spódnicy zwieszającej się aż na klepisko.

- Będę musiał cię dotknąć.

Przekrzywiła głowę, żeby na niego spojrzeć. Chusta nasunęła się na jedno oko, ale nie poprawiła jej.

- No to dotykaj.

- Ee... Brzuch. Chodzi o twój brzuch.

Jej ręka drgnęła w kierunku pogrzebacza. Odmieniec słyszał, jak zgrzytnęły zaciskane zęby. Mocnym szarpnięciem rozpruła kieckę wzdłuż szwu na biodrze i przekręciła ją tak, że w rozdarciu pokazał się pępek.

- Wystarczy?

Bez słowa powiększył rozdarcie, odsłaniając cały brzuch. Spodziewał się mniej więcej tego, co zobaczył, ale i tak na dłuższy czas odebrało mu głos. Trudno było uwierzyć, że ktoś, kto wciąż żyje, może być tak wychudzony. Skóra na sklepieniu żeber wisiła tak luźno, jakby pod spodem była tylko pustka. Brzuch się zapadł i odmiencowi się zdawało, że widzi biegnące z góry na dół wypukłości wszystkich kręgów po kolei.

- Jeszcze miesiąc, dwa i całkiem by cię zamęczył. - Przycisnął łokcie do boków, jakby zrobiło mu się zimno. - Od dawna go masz?

- Nie wiem. Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby go zapytać. Rób swoje.

Jeszcze zanim dotknął czołem miejsca nad jej pępkiem,

wiedział, że się nie pomylił. On tam był. Tkwił w czarnej ciemności, długi i syty, zwinięty bezpiecznie i ufnie jak płód. Nigdy nie zasypiał i nigdy się nie budził, po prostu trwał. I jadł. Treścią jego istnienia było żarcie. Jedzenie było wszędzie wokół niego, jedzenie go unosiło, pieściło i kotysało. Więc chłonał je całym swoim miękkim ciałem, każdym członem, od główki aż do końca. Jedynym wysiłkiem, jaki musiał podjąć w czasie swojego istnienia, było mocne wbicie haczyków w śliską ścianę jelita. Potem było już tylko wchłanianie, wzrastanie i odrzucanie obumarłych członów.

Jego jestestwo było takie małe, jak isierka gasnąca w popiele. Odmieniec odnajdywał je z trudem, ale zaraz gubił, chociaż wcale się przed nim nie chowało. Jego wola była wobec tej isierki czymś tak potężnym, że aż niezauważalnym. Kiedy wreszcie się do niej dogrzebał i przez chwilę utrzymał przed sobą nieruchomo, nie musiał już robić nic więcej. Haczyki puściły, wszystkie naraz, a skurcze jelita zaczęły wypychać bezwładne ciało z ciepłego schronienia.

Gospodyni podbiła głowę odmieńca tak niespodziewanie, że przygryzł sobie język. Przewróciła się na bok i podkurczyła nogi, przyciskając sterzące kolana do piersi. Miała zamknięte oczy. Drżała.

– Coś ty mi zrobił? – Domyślił się pytania z ruchu jej warg.

– Wszystko dobrze. On zdycha. Teraz musisz tylko iść za chlewik, no i zwyczajnie... Pozbyć się go.

Opuściła stopy na klepisko, cały czas zgięta w pół. Pomości jej wstać i wolno doprowadzić ją do drzwi. Stawiała bardzo małe kroczki, jej oddech był płytki i przyspieszony. Całym ciężarem opierała się na jego barkach, ale była tak lekka, że prawie tego nie odczuł. Za progiem przyskoczyła do nich Cmieluska. Przeraziła się widokiem matki, ale kiedy odmieniec powiedział jej, co trzeba zrobić, wzięła ją na ręce jak dziecko i odbiegła za róg gospody.

Spotkali się znowu przed samym wieczorem, kiedy na polach z wolna zaczynał ścielić się już mrok. Odmieniec siedział na skraju drogi, z brodą opartą na rękach, i pa-

trzył w dal. Słyszał jej kroki, a potem szelest włosów na ramionach, kiedy przystanęła tuż za nim, podnosząc wzrok na gwiazdy.

– Jak z nią? – zapytał, ale się nie odwrócił.

– Śpi – w jej głosie znużenie mieszało się z podnieceniem. – Nie myślałam, że to może być aż takie wielkie. Miało chyba z dziesięć łokci.

– Wyszedł cały? Z główką?

– Z główką. Obrzydliwostwo. – Wzdrygnęła się i usiadła obok niego. – Naprawdę myślisz, że matka mogła od tego umrzeć?

– Pewnie. – Wzruszył ramionami, wsadził między zęby listek szczawiu. – A jak nie, to i tak porwałby ją w końcu jakiś silniejszy wiatr i tyle byś ją widziała.

Przez pobrudzone pola kicnął zając. Zatrzymał się, postawił słuchy i śmignął dalej. Cmieluska przechyliła się na bok, opierając łokieć w trawie. Odmieniec wiedział, że na niego patrzy.

– To chyba jednak dobrze, że się do nas przyplątałeś.

– Chyba tak.

Błysnęła jasna łydka, kiedy lekko pchnęła go piętą w bok.

– Z ludźmi też tak umiesz?

– Jak?

– No tak. – Kiwnęła głową w stronę gospody, oczy jej błyszczały. – Czy ja wiem? Mogłbyś na przykład teraz mnie przymusić, żebym zrobiła, co tylko chcesz.

Wysłał z listka cały sok, w ustach został mu tylko wygnięty paproch. Wypluł go i ukradkiem otarł z brody ślinę.

– Nie mógłbym. To działa tylko na zwierzęta, nie na ludzi.

– To aż taka wielka różnica?

– Wystarczająca.

– Jesteś dziwny. – Znowu usiadła prosto, ale teraz jakoś bliżej. Poczul dotyk jej biodra. – Niby głupek, któremu każdy może splunąć między oczy, a przecież jeśli tylko byś zechciał, to... – zawiesiła głos, podrapała się za uchem. – No bo weźmy żarcie. Przecież wcale nie musisz łazić po prośbie. Wystarczy, że poprosisz łasiczkę, a przyniesie ci w pysku piękne kurze jajeczko.

– A skąd ja mam wziąć łasiczkę?

– To tylko przykład – machnęła ręką. – Może być pies. Kazesz psu, żeby ukradł dla ciebie pęto kielbasy.

Spojrzał prosto na nią po raz pierwszy, odkąd przyszła. Zachodzące słońce podświetlało włosy na jej skroniach.

– Gdybym chciał ukraść, zrobiłbym to sam.

Powiedział to trochę zbyt twardo, niż chciał. Ćmieluska uśmiechnęła się samymi kącikami warg.

– Oho, ho! Jak cię wczoraj zobaczyłam na drodze, to wcale nie byłeś taki hardy.

Westchnął, zwiesił głowę. Wiedział, że zepsuł coś bardzo ważnego. Powinien się teraz odezwać, żeby to naprawić, ale nie znał właściwych słów. Na języku poczuł gorzki. Tę samą, co zawsze, wstrętą. Nie mógł jej ani przekonać, ani wykrztusić. Była w nim.

Kiedy poczuł na karku jej dłoń, skulił się jak przed uderzeniem. Pogłaskała go leciutko, przejechała palcami w górę i w dół. Wydawało mu się, że opuszki są gorące. Wyprostował plecy i odwrócił do niej twarz. Pochyliła się nad nim, jej zapach go odurzył. Musnęła wargami jego czoło.

Na chwilę zesztyniała, a potem szybko podniosła się na kolanach. Patrzyła gdzieś ponad głową odmieńca, wzdłuż drogi, gdzie już zalegał mrok.

– Ktoś idzie – wyszeptala.

Nic nie słyszał. Szum jego własnej krwi zagłuszał wszystko. Na czole wciąż jeszcze czuł wilgotne dotknięcie żaru.

– Trzeba budzić matkę, szybko!

Kiedy Ćmieluska wstała, wdarł się między nich zimny wiatr. To mu trochę rozjaśniło w głowie. Obejrzał się w stronę, gdzie ona patrzyła, ale widział tylko kołyszące się w ciemności krzewy.

– Pewnie sarna.

– Sarny nie pogwizdują sobie, kiedy idą!

Zebrała spódnice nad kolanami i odbiegła w kierunku złotej smugi, kładącej się na ziemi od niedomkniętych drzwi gospody.

Teraz i on to usłyszał, kiedy tylko został sam. Wydu-

zony krok i ciche świstanie przez zęby, jakby od niechcenia. Cofnął się pod las, gdzie noc była najgłębsza. Przystąpił w zaroślach. Czekał. Kroki zbliżały się, skrzypiało pod butami igliwie i trzaskaly szyszki.

Nagle urywane półwistywanie zabrzmiało głośnie. Odmieniec rozpoznał je i wściekłość prawie zwała go z nóg.

•

Gospodyni była jeszcze bardzo słaba, tylko z trudem udawało jej się utrzymać uniesioną głowę. Półleżała na ławie, oparta plecami na zwiniętej baranicy, i patrzyła na drzwi. Twarz miała białą, brwi ściągnięte.

– Tylko jeden? – Pociągnęła za rękaw Ćmieluszkę, nie odwracając wzroku od wejścia. – Pieszy?

– Chyba tak. Idzie i gwizdze, jakby chciał ściągnąć sobie na łeb wszystkich zbójów z tej części puszczy.

– Pomylenieć. – Gospodyni poprawiła chustkę na głowie i podniosła się trochę. – Albo sam zbój.

W błocie przed gospodą zachlupotały kroki. Pogwizdywanie było teraz ciche, coraz cichsze, aż wreszcie urwało się całkiem. W szparze niedomkniętych drzwi widziały tylko ciemność, ale ktokolwiek był po drugiej stronie, musiał zatrzymać się tuż przed progiem. Usłyszały, jak odchrząknął, a potem zrobił jeszcze jeden krok. Stęknął na wydechu i coś ciężkiego uderzyło w ziemię. Brwi gospodyni ściągnęły się jeszcze bardziej. Ćmieluska schowała się za jej plecami, wystawiając tylko ponad kościstym ramieniem szeroko otwarte oczy.

Najpierw skrzypnęły zawiasy, a dopiero po chwili dostrzegły ruch samych drzwi.

Noc wionęła do izby. W półkolu słabego światła przed gospodą pokazał się czubek czyjejs głowy. Był o wiele niższy, niż powinien.

– Wszy wam iskać, a nie prowadzić gospodę! Nawet wam się nie chce sprzątnąć psiego gówna sprzed drzwi! – Rozpruwacz przetoczył się przez próg na czworaka i usiadł, starając się obojętnie podeszwę buta o ścianę. – Mało nie zlamalem sobie nogi.

Gospodyni patrzyła w milczeniu, jakby chciała dokład-

nie policzyć cuchnące smugi, jakie zostawił na ścianie. Na chwilę zwięzły się jej oczy, kiedy dostrzegła za pasem Rozpruwacza nóż, ale kiedy się odezwała, w jej głosie była tylko sucha obojętność.

– Wołami cię tu nie ciągnęli. Trzeba było uważać, gdzie lałeś.

Rozpruwacz znieruchomiał z nogą zawieszoną w powietrzu i otwartymi ustami. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi i nie umiał tego wystarczająco szybko ukryć.

– Zawsze tak mówisz do gości? No to się dziwię, że w ogóle...

– Masz pieniądze? – przerwała mu w pół słowa, zaciśnięc palce na brzegach ławy i podciągając się do przodu. – Bo jak nie, to każę ci zlizać do czysta to, czym upaskudziliś mi ścianę.

Płatki ostrego nosa gospodyni rozszerzyły się, kiedy Rozpruwacz wstał bez pośpiechu i otrzepawszy siedzenie, brzdęknął wiszącym u boku woreczkiem.

– Coś nieoś mam. Zarobiło się tu i tam. Chciałem wydać u was, ale chyba już przeszła mi ochota. Idę do Grodziska, tam jest łatwiej o godziwy zarobek dla kogoś, kto nie ma siana w głowie. A co ważniejsze, w tamtejszych gospodach nie warczą na gości.

– Nie zatrzymuję. Najbliższa gospoda jest o trzy dni drogi stąd. Ale nie polecam, bo mają tam całą kupę rozrzeszczanych bachorów, które dla zabawy lubią nasikać do piwa.

Rozpruwacz bez przekonania obejrzał się na drzwi. Po ciemnym niebie skradały się chmury, po kolei gasząc gwiazdy. Na liściach zaczął szemrać drobny deszcz. Rozpruwacz wsadził paznokcie małego palca między zęby i odgryzł go z trzaskiem.

– Wygrałaś, stara miotło – mruknął bardziej do siebie niż do niej i ruszył w głąb izby. Sięgnął do woreczka, rzucił na stół dwa brudne pieniądze i ciężko usiadł na ławie. – Daj mi jeść. Cokolwiek, byle gorące. I odbij jakąś beczulkę.

Gospodyni położyła dłoń na pieniążkach, przysuwając je bliżej. Kolnęła łokciem gdzieś za siebie i Rozpruwacz

dopiero teraz zobaczył, że za jej plecami tłą się nieruchome oczy.

– Rozpał pod kotłem.

Kiedy Ćmieluska wyszła z ukrycia, wyprostował się. Obrócił za nią głowę jak słonecznik za światłem. Cmoknął głośno, a ona błysnęła zębami zza opuszczonych włosów.

– To twoja wnuczka? – zapytał szeptem, nachylając się do gospodyni przez stół.

– Córka. – Zauważył, jak zacisnęła wargi. – A tobie co do tego?

– Nic. – Przeniósł wzrok od gospodyni do Ćmieluski i z powrotem. – Chcę, żeby mi dzisiaj usługiwała. Dobrze zapłacić.

Gospodyni w zamysleniu objęła dłonią swoją chudą szyję, a potem wzruszyła ramionami. Rzuciła szybkie spojrzenie na leżący na ławie przy udzie Rozpruwacza woreczek.

– To się jeszcze zobaczy. Nie tacy jak ty przebierali do niej nogami. – Od niechcenia pogładziła końcami palców pogrzebacz. – A za te twoje miedziaki możesz sobie najwyżej popatrzeć. I to tylko z daleka.

Chciał odpowiedzieć, ale tylko zaklął, zrywając się na nogi. Podmuchał od gwałtownie otwartych drzwi przydusił płomień pod kotłem. Rozpruwacz zmrużył oko, próbując coś dostrzec w ciemności.

– To oszust!

Wargi odmieńca trzęsły się z gniewu, kiedy potykając się na progu wbiegł do gospody. Wokół błyszczących oczu miał czerwone obwódki. Zatrzymał się przy gospodyni, nie spuszczać wzroku z Rozpruwacza.

– Nawet z nim nie gadajcie! – jęczał, jakby błagał o litość. – Trzeba go pognać, póki jeszcze nie sprowadził na nas nieszczęścia!

– Na nas? – Gospodyni podniosła w dwóch palcach pieniądze i uważnie obejrzała go z obu stron. – Zapominaś się. Póki co, to moja karczma.

– Ha! – Rozpruwacz trzasnął pięścią w stół, aż zadzwonił mieszek. – Pytałem o ciebie każdego dziedziczącego bartnika, jakiego udało mi się wygrzebać z krzaków.

Wszyscy kręcili kudłatymi łbami i znikali, tylko się za nimi chwiała liście. Bałem się, żeś zmarł z głodu gdzieś pod jakąś smutną brzoźką. A ty co? Stołujesz się w gospodzie, jakby nigdy nic!

Odmieniec wysunął do przodu dolną szczękę i przez chwilę wyraźnie było widać jego ostre zęby. Miękkim ruchem chwycił za koniec pogrzebacza.

– Nie powinieneś się cieszyć. – Zaczął obchodzić stół. – Nikogo więcej już nie skrzywdzisz.

Rozpruwacz zmarszczył czoło. Przekreślił pas w taki sposób, żeby rękojeść noża znalazła się z przodu.

– To są bardzo mocne słowa, chłopcze. Jesteśmy znajomkami i tylko dlatego ci wybaczam. Ale nie obrażaj mnie więcej. Zwłaszcza w takim miłym towarzystwie. – Skłonił lekko głowę w stronę Ćmieluski.

Odmieniec rozumiał, co ten ukłon znaczy. Wydawało mu się, że pogrzebacz w jego dłońach nagle rozszarzył się sam z siebie.

– Rozwałę ci łeb!

– O! – Rozpruwacz stanął w niedbałym rozkroku, z dłońmi luźno opuszczonymi przy biodrach. – A jesteś pewien, że umiesz tak wysoko skakać?

Odmieniec dźwignął pogrzebacz w górę i rzucił się naprzód. Dusił go wściekłość, widział Rozpruwacza zza mgławicy czerwonych rozbłysków. Nie liczył na to, że mu się uda. Ale gdyby nie spróbował, musiałby stąd wyjść i zostawić je obie sam na sam z nim.

Na trzy ostatnie kroki zacisnął powieki. Z ochryplym okrzykiem zadał cios, wkładając w to wszystkie siły. Pogrzebacz odbił się od klepiska i wypadł mu z rąk. Zdażył jeszcze się obejrzeć i zobaczyć Rozpruwacza, który kopniakiem podciął mu od tyłu kolana. Upadł na bok, udało mu się ostonić głowę. Prawie od razu chciał wstać, ale wtedy ciężar nie do udźwignięcia przygniótł go do ziemi.

– Nie, przyjacielu! – Rozpruwacz okrakiem siedział mu na plecach, przyciskając kolanami oba jego ramiona. – Najpierw mi wytłumacz, co za bies namieszał ci w głowie.

Odmieniec widział kamienne obrzeżenie paleniska, pło-

mień i rąbek spódnicy Ćmieluski. Cały czas spokojnie pochylała się nad garnkami, jakby nic się nie działo. Słona kropla spłynęła mu po policzku i długo drżała na górnej wardze, póki jej nie zlizal.

– Straciłem przez ciebie wszystko – odezwał się niewyraźnie, z policzkiem wtulonym w ziemię. – Nienawidzę cię.

– Następnym razem, jak będziesz chciał kogoś zabić, pamiętaj, że nienawiść tylko w tym przeszkadza.

– Następnym razem dopadnę cię, jak będziesz spał.

– Tak robią tylko tchórze i komary. – Rozpruwacz na mgnienie oka zawiesił głos. – Powiesz mi wreszcie, czym sobie na to wszystko zastrzyłem?

Odmieniec wyprężył całe ciało, skrobął paznokciami klepisko, ale zaraz oklapł. Jego oddech powoli zaczął się wyrównywać.

– Mówiłeś, że on umrze.

– Soltys? Pewnie, że umrze. Ale nigdy nie twierdziłem, że anieliha od razu urwie mu łeb. Na to trzeba trochę czasu. A poza tym nie zapominaj, że to był twój pomysł, a nie mój. Chciałem cię od tego powstrzymać.

Odmieniec czuł, jak we wzmagającym się szumie deszczu rozpyływa się jego wola walki. Opuchnięte powieki zrobiły się zbyt ciężkie, żeby trzymać je uniesione. Chciał odpocząć, chociaż wiedział, że to nie jest możliwe.

Cisza pękła, kiedy wielka chochła uderzyła w brzeg kotła, jak dzwon.

– No – powiedziała Ćmieluska. – Polewka jest.

Odmieniec wodził dłońmi po szerokim pniu. Pod palcami czuł chłód mokrej kory. Chmury już się rozwiały, odsłaniając bladą połowę księżyca, ale deszczówka ciągle jeszcze skapywała z liści rozłożystego dębu. Każde uderzenie kropli w goły kark było jak nowe przebudzenie.

Wcale nie chciał robić Rozpruwaczowi krzywdy. Zrozumiał to od razu, jak tylko trochę ostygła mu głowa. Ćmieluska z gospodynią dźwignęły go pod ręce z klepiska i posadziły za stołem, stawiając przed nim miskę polewki i wciskając w dłoń łyżkę. Przełknął bezwiednie parę ły-

ków, ale szybko poczuł mdłości. Łapczywie siorbanie Rozpruwacza sprawiło, że skulona pod ławą Psotka zaczęła cicho skomleć. Odsunął miskę od siebie i poszukał wzrokiem Ćmieluski. Siedziała obok matki, cicha i jakby zamysłona, ale kiedy tylko łyżka Rozpruwacza zaskrobala o dno, podniosła głowę.

– Jeszcze?

– Jeszcze – nawet nie otarł brody, tylko odchylił się do tyłu i czknął z zadowolenia. – Robisz lepszą polewkę, niż jada sam książę.

Odmieniec widział, jak zaróżowiły się jej policzki. Ostrożnie postawiła przed Rozpruwaczem pełną po same brzegi miskę. Zawisła nad stołem w pochyleniu trochę dłużej, niż było trzeba.

– A skąd ty możesz wiedzieć, jak jada książę? – parsknęła mu w twarz i określiła się na pięcie jak dziewczynka.

– Wyczekujesz na odpadki pod oknami jego dworu?

Odmieniec zsunął się z ławy i cicho podszedł do drzwi. Kiedy skrzyknęły zawiasy, kusiło go, żeby się obejrzeć i sprawdzić, czy Ćmieluska za nim patrzy. Zwalczył tę chęć. Wzdrygnął się, gdy na twarz osiadła mu warstewka nocnej mżawki. Poszedł prosto przed siebie, nie wybierając drogi. Musiał coś wymyślić, zanim... Zanim to się stanie. A stanie się na pewno. Rozumiał to coraz lepiej po każdym rozchybieniu spojrzeń, jakie tamci dwoje wymieniali między sobą.

Wszedł pod gałęzie dębu, szukając suchego miejsca. Od razu wokół niego zrobiło się ciszej, a nawet jakby cieplej. Przykucnął między węzłastymi korzeniami i oparł dłoń na pniu. Strużki wody, szukając dla siebie drogi w pęknięciach kory, omywały mu palce. Zadarł głowę, wystawiając twarz na spotkanie spadających kropeł. Jedną z nich rozprysła się na samym grzbiecie jego nosa, przynosząc ośnienie.

Ratunek był właśnie tutaj. Przyczajony w ciemności. Czekal.

Gwar głosów w gospodzie na chwilę się wzmógł, światlista szpara w drzwiach poszerzyła się i zgasła. Ktoś wyszedł, goniony piskliwym chichotem. Zanim jeszcze od-

mieniec mógł rozpoznać ciężkie człapanie Rozpruwacza, już wiedział, że to on. Potykał się w mroku, rozgrzany ogniem, piwem i bliskością Ćmieluski. Przystanął, jakby zastanawiał się, gdzie dalej iść. Wtedy odmieniec stulił dłonie wokół ust i zawołał, starając się opanować drzenie głosu.

– Tutaj! Przynajmniej się nie przemocysz.

Rozpruwacz musiał być już mocno pijany, bo zatoczył się pod drzewo, chwytając się zwisających gałęzi. Kiedy odzyskał równowagę, podniósł w górę jeden palec, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego odbiło mu się. Oparł czoło o pień i zaczął rozpinać pasek.

– Uch... Wreszcie... – bełkotał, a między jego stopami szybko powiększała się parująca kałuża. – Cieniuchne to ich piwo. Tylko wiał i wylał. Próbowales?

– Nie.

Odmieniec błędził teraz myślą wysoko między konarami dębu, choć głowę miał opuszczoną, a powieki przyknięte. Nie mógł rozmawiać, każde słowo go rozpraszało. Ale na szczęście Rozpruwacz wcale nie oczekiwał od niego odpowiedzi. Kiwał się na piętach i z pijackim uporem usiłował znaleźć dziurkę od pasa w miejscu, w którym jej wcale nie było.

– Piwo chrzczone, a i ta polewka coś chyba podbierana świniom prosto z koryta! – Znowu czknął i zarechotał. – Ale powiedz coś takiego babie szczerze, to zaraz pogna cię jak psa.

Najtrudniejszy był początek. Musiał przeorać myślą zalegającą wśród liści dębu ciemność, żeby wyłuskać z niej to, czego szukał. Czarne kropeczki życia. Zawsze czujne, gotowe, żeby spaść zdradliwie jak przelotny wiosenny deszczyk i przywrzeć do ciepłej skóry. Kiedy znalazł pierwazę, migającą w jego głowie jak przyćmiona gwiazdka, już nie pozwolił jej zagasnąć. Tuż obok zapalił następną. Dalej poszło już o wiele łatwiej. Nie spodziewał się, że jest ich aż tyle. W ciągu następnych kilku chwil odnalazł ich jeszcze kilkadziesiąt, rozsianych bezładnie, podobnych do siebie i głodnych. Uznał, że to wystarczy.

– Co mi tu... Z tym paskiem! – Rozpruwacz szarpał za sprzączkę coraz niecierpliwiej.

Odmieniec powolutku, tyłem, wyszedł spod szumiących gałęzi. Bardzo nisko nad nim śmignął nietoperz, ale nie zmącił jego skupienia. Pomrukiwanie Rozpruwacza znów stało się niezrozumiałe, podobne do szmeru strumienia. Zaciął mocniej powieki i strącił pierwszą z iskier. Zsunęła się po liściu, odbiła od wiotkiej gałązki i osiadła miękko na ramieniu Rozpruwacza. Odmieniec wiedział, że nikt poza nim nie mógłby teraz jej dojrzeć, ale i tak odetchnął z ulgą, kiedy przesunęła się niżej, chwając się w bezpiecznym ciepłe pod ludzką pachą. Zebrał całą wolę i tchnął ją na drzewo jak krótkie, porywiste uderzenie wiatru. Zamiast suchych liści osypał się rój ogników. Wiele z nich spadło na ziemię i zagasło, nie mając siły, żeby szukać żywiciela, ale większość obsiadła Rozpruwaczowi włosy, barki i plecy. Jedna po drugiej zniknęły za jego kohnierzem i w rozpięciu koszuli pod szyją.

Otworzył oczy dopiero wtedy, kiedy cień Rozpruwacza wsiąkał już w jasność za drzwiami gospody. Poszedł za nim. Nie spieszył się. Zrobił wszystko, co było do zrobienia, i teraz mógł tylko czekać.

Gospodyni siedziała tam, gdzie przedtem. Nachylając nisko nad stołem spocone czoło, przesuwiała palcem z miejsca na miejsce pieniążki. To już nie były miedziaki. Lśniły na desce czystym srebrem, jak łyż na brudnym policzku. Była sama. Wokół stygnącego paleniska schły plamy rozlanej polewki.

– A, jesteś? – Spojrzała na niego koso. – Myślałam, że cię gdzieś poniosło na dobre.

– Za co ci zapłacił?

Wiedział, za co. Ale chciał to usłyszeć od niej. Mimo wolnie rzuciła okiem na kłapę od stryżku i zgarnęła pieniądże w fartuch.

– Co, zachciało ci się rozliczać moje utargi?

Podszedł do drabiny i postawił stopę na pierwszym szczeblu. Gospodyni zrobiła ruch, jakby chciała go zatrzymać, ale kiedy zobaczyła, że tylko stoi z zadartą głową, wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie mierz wyżej, niż możesz dosięgnąć. – Oparła się wygodniej na baranicy i potarła zmęczone oczy. – Uwier mi, że wtedy życie o wiele mniej boli.

Na górze było cicho. Tak cicho, że odmieniec zaczął się tego milczenia bać. Przecież powinien usłyszeć jakieś słowa albo śmiech, albo choćby tylko szelest siana. Przygryzł wargę i postanowił, że odczeka jeszcze pięć uderzeń własnego serca.

Przy czwartym zaciął na drabinie dłoń. Przy następnym dostawił lewą nogę do prawej.

Kłapa odskoczyła z hukiem. Klaki pomiętego siana sygnęły się prosto w jego szeroko otwarte oczy. Gdyby w ostatniej chwili nie rzucił się w bok, Ćmieluska złamałaby mu kark. Zeskoczyła ze stryżku na klepisko, opadając na ręce i nogi, jak kot. Twarz miała czerwoną, źrenice jak grochy. Podbiegła do matki i zadyszana szarpnęła ją za ramię, próbując jednocześnie drugą ręką wygładzić pogmiecioną spódnice.

– On chyba jest chory, matko! – jęknęła.

W otworze strychu pokazały się nogi Rozpruwacza. Schodził tyłem, bardzo ostrożnie i powoli. Stał na ziemi jakiś dziwnie, na samych piętach. Kiedy się odwrócił, odmieniec zobaczył, że z rozbitego nosa kapie mu krew.

– Ty mi to zrobiłeś? – spytał całkiem trzeźwym głosem. Krwawe krople ściekały mu na brodę, a potem skapywały dalej, powiększając rudą plamę na piersiach. Nie zrobił nic, żeby powstrzymać krwotok. Stał lekko pochyłony, z obiema dłońmi kurczowo zaciśniętymi na podbrzuszu, jakby się bał, że mogą mu opaść spodnie.

Odmieniec bez trudu wytrzymał jego wzrok. Sprawiało mu to przyjemność. Wiedział, że Ćmieluska na niego patrzy, i to też było miłe.

– Co? – zapytał.

– Sam wiesz co, ty spaczona gębo! – wrzasnął Rozpruwacz, aż z powały osypało się trochę kurzu. – Wyrwę ci zębami krtań, zdradliwa glisto!

– Zrób to. Ale wtedy już do końca życia nie ściągniesz portek przy żadnej dziewczynie. Będą cię z daleka wytykały palcami, jak trędowatego.

Kostki zaciśniętych pięści Rozpruwacza zrobiły się całkiem białe. Niewiele mu brakowało, żeby do reszty stracić nad sobą panowanie, a wtedy odmieniec nie miałby

raczej nadziei na przeżycie. Ale Rozpruwacz nie przekroczył tej granicy, poza którą było już tylko pragnienie zemsty. Wessał policzki między zęby, jęknął, jakby zbierało mu się na płacz, a potem nagle ramiona obwiły mu całym luźno. Stał przy drabinie złamany, bezradny jak zabrak, któremu każdy może bezkarnie napluć pod nogi.

Odmieniec nawet nie drgnął, kiedy usłyszał słowa Cmieluski. Stała teraz tuż za jego plecami i zanim się obejrzał, oparzył go w ucho jej oddech.

– Co to było? Wyglądało, jakby dostał nagle czarnej wysypki, ale tylko na... – Cmieluska przestąpiła z nogi na nogę. – Tylko w jednym miejscu.

Odmieniec nie odpowiedział od razu. Skupił się na tym, żeby jego głos zabrzmiał bardzo obojętnie.

– To są kleszcze. Takie zwyczajne, leśne, ale jest ich bardzo dużo.

– To straszne! Czy kiedyś mu to minie?

Jej przerażenie, które na początku wprawilo go w błogie zadowolenie, nagle zaczęło go drażnić.

– Jak się opiją jego krwi, to same poodpadają – wrzucił ramionami. – Tylko potem jeszcze przez kilka dni będzie go bolało przy sikaniu.

Podszedł do stołu, zajrzał do kubka z niedopitym piwem i podniósł go do ust. Rzucił znad jego krawędzi jeszcze jedno spojrzenie na Rozpruwacza. Tamten ciągle był przykurczony, jakby bolał go żołądek, ale teraz w pochyleniu jego pleców oprócz przygnębienia widać było ulgę.

– No i na dłuższy czas nic z tych rzeczy – wymruczał odmieniec między jednym a drugim łykiem.

•

Wydawało mu się, że bardzo długo kluczył po lesie, szukając jakiejś plamy słońca na burej podściółce opadłych liści, ale kiedy wreszcie ją znalazł i rozejrzał się wokół, zobaczył w oddali przeblyskujący zza gałęzi kawałek spadzistego dachu gospody. Zawahał się. Wprawdzie nie spodziewał się, żeby go szukali, chociaż chyba już zauważyli jego zniknięcie, ale chciał mieć pewność, że nikt nie będzie mu przeszkadzał. Przycupnął na powoli rozgrze-

wającej się ziemi, a wtedy słomiany dach schował się za małym wzgórkim, gęsto porośniętym paprociami. Ostrożnie postawił na płaskim kamieniu gliniany dzban i usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Słońce grzało teraz z tyłu, osuszając pot z jego karku i pleców. Chwył dzban za oba ucha i przechylił go do siebie. Chłupotanie piwa dochodziło przez wąską szyjkę jakby z oddali, z zimnej ochlani studni.

Po pierwszym łyku zdrewniał mu język, ale każdy następny był już tylko rozkoszą. Piwo było ciemne i gęste, dobrze przesiąknięte kamiennym chłodem piwniczki. Splukało z gardła gorycz, wypełniając żołądek rozleniwiającym poczuciem sytości. W głowie łagodnie narastał szmer, podobny do szumu lasu przy pogodnym wieczorze albo górskiego strumienia. Każde dotknięcie wargami chropawej krawędzi dzbanka wyzwało dreszcz. Żółtawa piana czasem zbierała podchodząc mu pod nos, ale nawet to było przyjemne. Prychał jak kot i pił dalej. Mile lechtala go pewność, że dno wciąż jeszcze jest bardzo daleko i można o nim wcale nie myśleć.

Zakrzusił się gwałtownie, kiedy poczuł na policzku ciepły dotyk. Wypuścił ucha, ale dzban nie przewrócił się, tylko postukując dnem na kamieniu, wrócił do pionu.

Psotka z bliska zaglądała mu w twarz, strzygąc uszami i śliniąc się radośnie.

– Czego? – Odepchnął ją łokciem, ścierając z policzka mokry ślad po języku. – Idź polubić kogo innego.

Chciał znowu przechylić dzban, ale napotkał opór. Zobaczył palce zaciśnięte na szyjce i kuląc się, podniósł wzrok. Cmieluska pochylała się nad nim, do końcówek jej włosów przylepiały się bąbelki piwnej piany.

– Peł tego nie wytłumaczysz, cały dzień wodzi za tobą ślepiami. Chyba nawet woli ciebie niż mnie.

Nie wypuszczając dzbanka z dłoni, usiadła naprzeciw niego, tak samo jak on krzyżując nogi. Odrzuciła włosy na plecy i spojrzała mu w oczy. Wtedy zrozumiał, że przez cały czas na nią czekał. Ukrywał się, ale tak, żeby mogła go znaleźć. Zagłuszał myśli piwem, choć ani na chwilę nie przestawał marzyć, że ją zobaczy.

– Co za diabli cię tu nadali? – burknął.

Uśmiechnęła się samymi oczami, przechyliła dzban na swoją stronę. Upiła zbyt duży łyk i dwie spienione strugi pociekły jej po brodzie.

– Matka wie, że to zabrałeś? – Wytarła brodę w spodnicę. – Dla gości mamy trochę inne piwo.

– Widziałem. I dlatego wolałem ukrąść to.

– Ach! Teraz już wiem, czemu matka od rana syczy przez nos i prąży nad ogniem pogrzebacz.

Odmieniec zakręcił się niespokojnie, jakby sprawdzał, czy pod nim nie ma mrowiska. Potem zmarszczył czoło, wyrwał dzban z jej ręki i pociągnął kilka bardzo długich łyków, na jednym oddechu.

– Wszystko mi jedno, już tam nie wrócę. Odchodzę.

– Tak? – Spojrzała na niego przeciągle. – Na razie widzę, że chcesz się upić.

– A co ci do tego?

– To, że się o ciebie troszczę. Zmartwiłam się, kiedy odszedłeś bez słowa.

Gdyby powiedziała to jakoś inaczej, bez tego cienia smutku w lekko wilgotnych oczach, nie poruszyłaby go aż tak bardzo. Ale ona patrzyła znad dzbana z taką ufnością i pokorą, że każde jej słowo mogło być tylko prawdą. Nie umiał jej nie uwierzyć. Właśnie dlatego nagle wżarła mu się w mózg wściekłość, jak ognista kula.

– A wczoraj wieczorem, na stryszku, też o mnie myślałeś? – Po raz pierwszy, odkąd przyszła, nie jąkał się, chociaż był wzburzony i krew huczała mu w skroniach. – Nie zatroszczyłaś się o mnie?

Wyprostowała się i milcząco poruszyła wargami. Pobladła. Wyglądała na zaskoczoną.

– Co ty gadasz? Co z tobą? – Oparła dłoń na trawie, gotowa zerwać się na nogi. – Zrobiłam ci jakąś przykrość?

Odmieniec wciąż na nią patrzył bez jednego mrugnienia, jak ryba, ale przez długą chwilę w ogóle jej nie widział. Przyszło mu do głowy, że może Ćmieluska naprawdę niczego się nie domyśla. Nawet nie przeczuwa, co działo się z nim wtedy i co dzieje się teraz. Ta myśl była tak nowa, że pociemniało mu w oczach, jakby dostał ko-

pnia w skroń. Potrząsnął głową, raz i drugi. Ustalo brzęczenie w uszach i wtedy usłyszał, że Ćmieluska cały czas do niego mówi.

– Powinnam była powiedzieć ci o tym wcześniej. – Patrzyła w ziemię, nakręcając na palec wiązkę trawy. – Ale nie spodziewałam się, że ty... Aż tak. Tutaj, w dziczy, ciężko żyć z samego pędzenia piwa. Czasem, jak trafi się ktoś z pełnym trzosem, to z nim idę... Muszę. Inaczej obie zdechłybyśmy z głodu. Ale to nie zdarza się często. – Przygarbiła się i dokończyła tak cicho, że ledwo ją słyszał. – I wcale tego nie lubię.

Gardło odmieńca kurczyło się raz za razem, chociaż bardzo chciał przełknąć ślinę. Wreszcie splunął za siebie, przez ramię, i przywarł wargami do dzbana. Chłptał głośno, prawie się dławiąc. Przerwał dla zacerpienia oddechu, ale wtedy dzban wysunął mu się z palców. W środku było już prawie pusto i stuknięcie o kamień zadźwięczało w brzuchatym wnętrzu jak przestraszona mucha.

Ćmieluska płakała. Wielkie łzy w całkowitej ciszy wypadały spod jej pochylonego czoła. Odmieniec przysunął się na kolanach i ostrożnie dotknął jej ramienia.

– No, hm... Co ty? – Każda z łez przez chwilę drżała w słońcu, a potem wsiąkała w suche liście. – Ja tylko tak... Nie wiedziałem. Przystań.

Na jej plecach poruszyły się łopatki, kiedy zdusiła łkanie. Odetchnęła przez usta, głęboko, jak po długim nurkowaniu. Podniosła oczy i odmieniec zobaczył, że są suche. Tylko lekko zaczerwieniony koniec nosa zdradzał, że przed chwilą zanosila się szlochom.

– Chodź tu – powiedziała.

Przekrzywiła głowę, zakładając włosy za ucho, i nachyliła do niego twarz. Położyła dłoń na jego policzku, a on zamknął oczy.

– Nie bądź głupcem. – Jej oddech polaskotał mu wargi. – Jak dziewczyna biega za chłopcem po lesie, to naprawdę znaczy, że jej na nim zależy.

Zabrała rękę, a on wciąż jeszcze czuł na policzku mrowienie. Wysunął brodę do przodu, układając wargi do pocałunku.

Był mokry i gorący, ale smakował inaczej, niż się spodziewał. Nagle, jak wrzask wrony zagłuszający śpiew słowika, do nosa wwiercił mu się smród. Otworzył oczy i zobaczył tuż przed sobą dwoje wypukłych ślepi Psocki.

– Tfu! – Podskoczył, upadł i znowu zerwał się na nogi, wycierając usta na przemian w oba rękawy. – Bie! Idź się lizać ze świniami, śmierdzieli!

Barwa spódnicy Ćmieluski niewiele się różniła od tła lasu, ale jeszcze udało mu się ją dostrzec, kiedy była już prawie na szczycie wzniesienia. Zatrzymała się, odwróciła i pomachała do niego ręką. Chciał do niej bieć, ale zobaczył, że osłoniła dłońmi usta. Zamarł w pół kroku. Jej słowa doleciały do niego jakiegoś postrzępionego, jakby po drodze musiały wyrwać się z cieniutkich, ale mocnych sieci pajęczyn.

– Póki matka się nie wyzłoci, lepiej się tam nie pokazuj! Zaczekaj w lesie. O zmierzchu przyniosę ci coś do jedzenia.

Jeszcze raz podniosła rękę, a potem zniknęła pośród gęsto rozsiansych pni młodej leszczyny. Psołka pobiegła za nią kawałek, zaskomlała, pokręciła się w miejscu i wróciła, sadząc długie susy.

Odmieniec rozkrzyżował ramiona i rzucił się plecami na grubą warstwę nawianych liści. Słońce podniosło się już wyżej i plama światła odpełzła w bok, ale nie przeszkadzało mu to. Kipiło w nim szczęście. Rozsadzała go chęć zrobienia czegoś, co pozwoliłoby mu dać upust tej wielkiej radości. Ale nie wiedział, co ludzie zwykle robią w takich wypadkach, więc leżał nieruchomo, patrząc w niebo. Psołka położyła pysk na jego brzuchu i przypląszczyła uszy. Nawet nie zauważył, kiedy zaczął sobie cichutko nucić pod nosem. Najpierw były to jakieś słowa bez związku, zrozumiałe tylko dla niego samego. Potem odchrząknął, podłożył ręce pod głowę i zaśpiewał głośniejsze.

– Pszczółki grają w słońcu, wiatr obłoki pędzi... – zakończył zbyt cicho i zamyslił się nad dalszym ciągiem. Psołka warknęła.

– Czekaj, przecież dopiero to wymyślałam. Dalej będzie lepiej. – Podrapał ją po luźnej skórze na karku. – Pszczół-

ki grają w słońcu, wiatr obłoki pędzi, Ćmieluska odeszła...

Psołka znowu warknęła. Kiedy na nią spojrział, była nastroszona jak stary wróbel. Usiadł i zaśpiewał pełnym głosem, wybijając palcami takt na jej wąskim łbie.

– Pszczółki grają w słońcu, wiatr obłoki pędzi, Ćmieluska odeszła, a mnie...

– A mnie dupa śwędzi.

Odmieniec zamarł. Chropawy głos dochodził z za jego pleców. Wcale nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, kto dokończył za niego piosenkę.

Słońce wpadało do chlewika tylko przez szpary między nierówno zbitymi deskami. Ciemność pocięta była świetlistymi pasami, pochrząkiwanie świni mieszało się z ciężkimi oddechami ludzi. W gęstym od smrodu powietrzu bzykały tłuste muchy. Zza ściany gospody dobiegały przytłumione odgłosy rozhułanej pijatyki.

– Chleją za moje, sucze syny! – Rozpruwacz szarpnął związanymi na plecach rękami, ale tylko zdarł sobie skórę na nadgarstkach. – A tamtemu chciwemu babsku jest wszystko jedno, byle tylko srebro zabrzęczało. Jej pogrzebac ma więcej przyzwoitości od niej samej.

Odmieniec na boku podczołgał się do ściany, zginając i rozprostowując spętane nogi. Długo trwało, zanim udało mu się usiąść. Był mokry od potu, a każda spływająca po skórze kropla powodowała nieznośne śwędzenie. Potari plecami o chropawe deski i odetchnął z ulgą.

– Nie trzeba było udawać głupiego, tylko od razu dać im wszystko, co miałeś. Wtedy może by nas nie zamknęli. A tak będziemy tutaj siedzieć przez całą noc, póki sobie nie pójda.

Rozpruwacz roześmiał się chrapliwie, w ciemności zabieliły się jego zęby.

– Oni nie lubią zostawiać za sobą ludzi, którzy mogliby niepotrzebnie mleć ozorem – odezwał się po dłuższej chwili milczenia. – Nigdy nie znalazłem nikogo, kto ich spotkał i potem żywy odszedł w swoją stronę.

Odmieniec jęknął. Zawilgocone sznury raniły skórę przy każdym poruszeniu. Ostrożnie obrócił głowę, na ile mógł, i przez szczelinę wyjrzał na zewnątrz. Widział kawałek studni, wiadro i wydeptaną dookoła ziemię.

- Ja ich już spotkałem. I nic mi nie zrobili.

- Bo cię wzięli za leśne dziwo, a nie za człowieka. Teraz już się nie wywiniesz.

- Ćmieluszka im powie... Nie pozwoli.

Śmiech Rozpruwacza zaświstał teraz jak rżenie starc. Stłoczone w przeciwnym kącie świni ucihły, następując zaniepokojone. Nachylił się do odmieńca i wtedy przez chwilę w jasnej smudze zaczerwieniły się jego opuchnięte z niewyspania oczy.

- Nigdy nie wierz żadnej babie. Jeśli koniecznie musisz komuś zaufać, to już lepiej zostań przy swoich krowach.

- Wolę wierzyć jej niż tobie! - Nie chciał tego, ale czuł, jak po kregostupie zaczyna mu się wspinać lodowata łapa strachu. - Ona jest inna.

- Twoja Ćmieluszka łasi się teraz do każdego z tych niedźwiedzi po kolei. Wie, lisczka, że mój mieszek tak czy tak jej nie minie. Jeśli ktoś może nas stąd wyciągnąć, to tylko ty.

- Niby jak?

- Nie wiem. - Rozpruwacz z powrotem oparł się plecami o ścianę, jego oczy zgasty w mroku. - Jakoś umiałeś spaskudzić mi wczorajszy wieczór. Wymyśl coś.

- Nie jestem żadnym czarodziejem. Umieję rozmawiać ze zwierzętami i tyle.

- Zauważyłem. - Rozpruwacz skrzywił się, pocierając kolano o kolano. - Zrób im coś równie wrednego, jak mnie, a na pewno machną na nas ręką.

Zgrzytnął studzienny łańcuch, zastukano wiadro. Odmieniec znowu przyłożył oko do szpary, wykręcając szyję aż do bólu.

- Ćmieluszka - szepnął.

Pochylona nad ciemną głębią studni kręciła kołowrotkiem. Miała na sobie tę samą polataną kieckę, w której zobaczył ją po raz pierwszy. Zdziwił się, że nawet nie

spojrzała w stronę chlewika. Przyłożył wargi do szczeliny i zawołał półgłosem:

- Ćmieluszka, tutaj!

Musiata go usłyszeć. Była tak blisko, że mógłby policzyc sterczące kawałki nitek na obrzeżach łat. Wydobyła wiadro, przelała wodę do dwóch mniejszych i spokojnie odeszła, patrząc prosto przed siebie. Odmieniec czuł, że piecze go skóra na całej twarzy. Zaskrzyptały drzwi gospody, pijacki gwar na chwilę wzmógł się, a potem znowu ucihł.

- Ćmieluszka... - poruszył wargami, ale tego nikt już nie usłyszał, nawet on sam.

Był wdzięczny Rozpruwaczowi za to, że o nic nie pytał. Potrzebował czasu, żeby znowu móc zapanować nad własnymi myślami. Nie czuł bólu w nadgarstkach ani wokół kostek. Wydawało mu się, że gdyby teraz ktoś przeciął mu więzy, nie ruszyłby się w stronę wyjścia. Raczej wolałby wczolgać się między świnię, żeby ukryć za ich szerokiemi zadaniami swoją rozognioną twarz.

- Nigdy nie będziesz szczęśliwy, dopóki się nie dowiesz.

Chmura oblekła słońce, pręgi światła rozwiły się i Rozpruwacz był teraz tylko głosem w mroku. Calkiem innym głosem, niż zawsze. Odmieniec usiadł prosto i mimo kłującego ucisku w skroniach podniósł głowę.

- Czego się nie dowiem?

- Kim jesteś. Czemu taki, a nie inny.

- Jestem odmieńcem.

- Dla wieśniaków nawet ten, kto ma jedno oko zielone, a drugie niebieskie, jest odmieńcem. Nie, przyjacielu. Ty jesteś kimś o wiele ważniejszym. Musisz tylko się o tym przekonać.

- Jak?

- Poznaj swój własny początek. Korzeń. Źródło. A kiedy poznasz, będziesz mógł zacząć żyć naprawdę. Jako ty, a nie jako dziwadło.

Pomimo ciemności odmieniec przymknął oczy. Pomyślał o tym dniu przed laty, kiedy musiał rozpychać się łokciami, żeby chwycić w zęby gorący sutek, o smaku wil-

czego mleka na języku. To wspomnienie nieoczekiwanie ukoilo chłodem jego czoło.

- Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze byłem sierotą.
- Więc powinienes zapytać kogoś, kto zna cię dłużej, niż ty sam.

- Nie ma nikogo takiego.

- Jest.

- Kłamiesz.

- Nie. Znam wiedznię, która jest najstarsza i najmądrzejsza ze wszystkich żyjących ludzi. Jeśli ona ci nie pomoże, możesz spokojnie iść się powiesić.

Odmieńcowi się zdawało, że pośród krzyków usłyszał głos Ćmieluski. Piskliwy, urywany, jakby z kimś się przekomarzała dla zabawy.

- Powiedz, gdzie ją znaję.

- Pewnie, że ci powiem. - Rozpruwacz na chwilę zawiesił głos. - Ale nie chcę, żeby to był ostatni dobry uczynek w moim życiu. Najpierw ty zrób swoje.

Świnie przestały pochrząkiwać, jakby przysłuchiwały się ich rozmowie. Odmieniec spojrział przelotnie w tamtą stronę, podciągnął nogi i popatrzył znowu, tym razem bardzo uważnie.

To chyba była maciora z młodymi. Stała prawie nieruchomo, z ryjem przy ziemi, gotowa osłonić swoim ciężkim cielskiem kłębiący się za nią drobiaz. Kiedy się przesunął w głąb chlewika, nie odrywając pleców od ściany, chrząknęła tylko raz, ale za to bardzo głośno. W jej małych ślepkach była czujność i obawa.

- Świnia? - Sposób, w jaki Rozpruwacz wymówił to słowo, zdradzał rozczarowanie. - Kiedy na widoku miałeś spódnice, umiałeś się lepiej postarać.

Odmieniec przesunął się jeszcze kawałek. Maciora odwróciła się do niego bokiem, przyciskając młode do ściany. Rozkwiczały się cieniutko i umilkły.

- Mamy jeszcze do wyboru twoje wszy i jedną małą myszkę. Nic innego tutaj nie ma.

- Myszka? Mogłaby przesiłzgnąć się przez jakąś dziurkę! - Rozpruwacz potarł tyłem głowy o deski. - Mogłaby pobiec do gospody i... i...

- Zdechła chyba wczoraj. - Odmieniec pociągnął nosem. - Albo nawet dwa dni temu. Leży w kącie, po twojej stronie. Chcesz, to sam z nią pogadaj.

- Żywa świnia nie jest wiele więcej warta.

- Jest. Na początek może przegrzyć nam więzy.

Tutaj, daleko od wejścia, docierało o wiele mniej skapego światła. Ostry zapach świńskiej szczeciny drażnił nos. Odmieniec wiedział, że jeśli maciora uzna go za zagrożenie dla młodych, natrze z całą rozpaczą i wściekłością. Ze związanymi rękami i nogami nie będzie mógł się przed nią obronić, świnia wdepce go racicami w gnój. Ale wciąż posuwał się dalej, najostrożniej, jak umiał.

- Ciii, tłuszczutka, nie bój się - szepnął do dwóch bledszych plamek pelgających nad ziemią, pośród cieni.

Był już bardzo blisko, wyczuwał jej ciepło. Wydawało mu się, że gdyby wstrzymał oddech, dosłyszałby przyspieszone bicie jej serca. Cicho odbił się plecami od ściany i przechylił tułów w tamtą stronę. Napiął mięśnie i sznur wbił mu się głębiej w skórę, kiedy coś uderzyło go lekko po nosie. Trwał przez chwilę nieruchomo w niewygodnym wychyleniu, zanim nie zrozumiał, że maciora tylko strzepnęła uchem.

Wyciągnął szyję jeszcze bardziej i dotknął czołem twardej szczeciny.

Nie wracał bardzo długo. Tak długo, że kiedy wreszcie się zbliżył, Rozpruwacz nie odezwał się pierwszy. Patrzył na niego z drżącymi wargami, szukając jego oczu. Czekał. Kiedy po długiej chwili milczenia odmieniec pokręcił głową, najpierw jedna połowa jego twarzy, a potem druga dostała się w pręgę światła. Kępki włosów na jego uszach były zlepione wilgocią.

- Nic z tego nie będzie.

- Jak to... Jak to nie będzie? Ze świniami coś nie tak?

- Nie z nimi. Ze mną.

- Jezus Maria, chłopie! - Rozpruwacz na chwilę zapomniał, że jest spętany, szarpnął się i prawie upadł. - Weź się w garść! Za dużo wypileś. Odpocznij trochę i spróbuj znowu.

- To nie piwo. Coś się ze mną stało. Coś... Nigdy tak

jeszcze nie było. Jakby... – Zmarszczył czoło, potrząsnął głową, a potem spojrział prosto na Rozpruwacza. – To jest tak, jakbyś wziął dziewczynę na siano, a potem nagle zapomniał, co masz robić dalej.

Na bladej twarzy Rozpruwacza czerniała krecha zaciętych ust.

– Rozumiem – powiedział.

•

Zasuwa odskoczyła ze zgrzytem i przez otwarte drzwi chlewika wpadło świeże powietrze. Świnie z kwikiem rzuciły się naprzód, czekając na codzienne wiadro pomyj, ale kiedy pierwsza z nich dostała kopniaka prosto w rzy, przestraszone skłębily się w najciemniejszym kącie. Jakiś człowiek schylił się i zajrzał do środka, wyciągając przed siebie rękę z płonącą pochodnią.

– No, wylazić, dzieci! – Czarne od brudu zmarszczki wokół jego oczu zgęstniały, kiedy się uśmiechnął. – Tylko szybko, bo zaraz podpalę tę budę!

Wypełzli jak robaki, brudząc sobie gnojem włosy i twarze. Noc była już blisko i opadające słońce odbijało się w kałużach czerwonymi smugami. Opierając się nawzajem o siebie barkami, podnieśli się na kolana. Było całkiem cicho, tylko smoliste krople od czasu do czasu kapły z pochodni i sycząc wypalały w trawie czarne kółka.

– Wiesz, czego najbardziej mi żal? – Rozpruwacz mówił cicho, ale i tak zdawało się, że jego słowa wypełniają całe zablocone obejście. – Że wtedy, na stryszku, udało ci się nam przeszkodzić.

Zbójce stali przed gospodą, kiwając się na piętach albo kucali wsparci na trzonach swoich toporów. Wydawali się całkiem trzeźwi, tylko ich rumiane twarze i spowolnione ruchy zdradzały, że dzisiaj pili. Patrzyli na jeńców z dziwnym rodzajem zaciekawienia, od którego odmieńcowi jeżyły się na karku włosy.

– Czemu się tak gapią? – głos mu zadrzał. – Czekają na coś, czy jak?

– Po prostu lubią sobie popatrzeć. Ludzie przed śmiercią różnie się zachowują. Czasem bardzo zabawnie.

Na środku podwórza stał pień. Odmieniec pamiętał, że przedtem widział go z tyłu gospody, niedaleko studni. Na wierzchu wyraźnie widać było ślady po ostrzu siekiery, pociemniałe od kurzej juchy. Nad pieńkiem, w szerokim rozkroku, stał brodac. Jedną ręką przytrzymywał przerzucone przez ramię toporzysko o bardzo długim trzonie. Kiwnął do nich zapraszająco głową, a pod skórą jego gołego ramienia napięły się mięśnie.

– Idź pierwszy. – Rozpruwacz łokciem związanej ręki próbował wypchnąć odmieńca przed siebie. – Jeśli chcesz czystego ciosu, nie wolno ci zmarnować ostatnich promieni słońca.

Odmieniec czuł, jak gdzieś z boku szyi miarowo bije mu tętno. Obejrzał się na zachód, gdzie na całej połowie nieba spody chmur oblane były ogniem. Brodac mruknął coś do zbójców, opuszczając kąci ust, jakby spotkała go jakaś przykreść. Dwoje ludzi ruszyło w ich stronę. Ich kroki grzmiały w głowie odmieńca jak zapowiedź burzy. Zamknął oczy, kiedy dwa wydłużone cienie padły mu na twarz. Któryś z nich pociągnięciem za włosy przewrócił Rozpruwacza na bok. Odmieniec usłyszał jego stęknięcie, a zaraz potem szuranie wlezonego ciała.

Zmusił się, żeby patrzeć. Pomyślał, że gdyby to jego wzięli pierwszego, chciałby czuć na sobie wzrok kogoś znajomego. Oddalające się pięty Rozpruwacza zostawiały za sobą w błocie dwie brudzy, do których szybko przesączala się woda. Poderwali go przed pniakiem na kolana i puścili. Zachwiał się, ale nie upadł. Odmieniec widział jego twarz z boku. Na białej skórze piegi odcinały się tak wyraźnie, jak grudki popiołu rzucone na śnieg. Brodac lewą ręką pogladził go po włosach, jakby uspokajał dziecko przed zaśnięciem. Potem przesunął dłoń dalej, na kark i przygiął go do przodu. Z daleka wyglądało, że robi to łagodnie, ale kiedy odmieniec zobaczył naprężoną z wysiłku szyję Rozpruwacza, zrozumiał, że stawia opór. Wtedy brodac pochylał się nad nim i przez jakiś czas szeptał mu coś do ucha. Po czole Rozpruwacza popłynęły niteczki potu. Zwiotczał i przyłożył policzek do pnia.

Brodacz pokiwał głową i prawie przyjaźnie klepnął go

otwartą dłoń w kark. Cofnął się o dwa kroki, postawił lewą stopę przed prawą i chwycił trzon mocno, obiema rękami. Wznosząc topór nad głowę, ze świstem nabral pełne płuca powietrza.

Stał tak przez chwilę długą jak całe życie, nie mrugnawszy nawet powieką. Nagle zaczął przechylać się na bok. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Uderzenie jego bezwładnego ciała w ziemię rozległo się pośród głuchoj ciszy.

Dopiero kiedy podbiegli do niego ludzie, odwracając go twarzą do ziemi, odmieniec zobaczył sterczący między jego łopatkami opierzony tyłek strzały.

– Który się ruszy, przestrzelę mu gardło!

Wydawało się, że słowa dobiegały ze wszystkich stron naraz, jakby gospoda była otoczona przez niewidzialnego wroga. Zbóje unieśli miecze i topory, ale nie ruszyli się ze swoich miejsc. Rozpruwacz dźwignął głowę. Na jego policzku była odcisnięta chropowata powierzchnia pieńka. Tuż przy jego kolanie leżała dłoń brodacza. Szeroko otwartymi oczami patrzył, jak końcówki palców powoli przestają drgać.

– Rzucić broń na kupę i włączyć do gospody!

Zbóje spojrzeli po sobie w milczeniu. Jeden z nich, niewysoki i barczysty, ostrzem miecza zatoczył w powietrzu półkole i zrobił kilka kroków w stronę lasu.

– A co z ciebie za baba, że boisz się wystawić łeb z krzaków? – zawołał.

Świsł strzały był króciutki, jakby trzmiel przemknął nad uchem. Zbój zrobił jeszcze dwa kroki przed siebie, a potem nogi ugięły mu się w kolanach. Zanim okręcił się na pięcie i upadł na wznak, każdy mógł zobaczyć strzałę, która przebiła jego szyję. Weszła z tyłu, przez kark i błysnęła grotem w jego otwartych ustach.

Wszystkie głowy, jak chorągiewki na wietrze, odwróciły się w przeciwną stronę.

– To tylko pogłos od lasu! – ktoś przez zęby wysyczał to, co w tej samej chwili zrozumieli wszyscy. – Strzela od pola.

Za drogą, nad rowem, rosła grusza. Gdzieś w rozwidle-

niu dwóch grubych konarów poruszyły się liście, chociaż nie było wiatru.

– Tam jest!

Grot strzały wysunął się zza gałęzi i zadrzał na napiętej cięciwie.

– Z takiej odległości nigdy nie chybiam. – Ten, który siedział ukryty wśród liści, już nie starał się krzyknąć – Mówię po raz ostatni. Rzućcie broń.

Wielki grubas, z przyszczałym czołem i zajęczą wargą, stopą odwrócił trupa brodacza na plecy. Zajrzał mu w twarz, jakby był ciekawy, jakie uczucie zamroziło się w jego zrenicach w chwili śmierci. Potem wyprostował się i splótł dlonie na krótkim karku.

– A ile masz tam jeszcze strzał, przyjacielu? – zapytał, nawet nie patrząc w stronę gruszy.

Grot przesunął się ledwie dostrzegalnie, wskazując czubkiem na podgardle grubasa.

– Wystarczająco dużo.

– To możliwe, chociaż wątpię. – Grubas wciągnął głowę w ramiona, policzki mu pobladły, ale na pięknej wardze ciągle miał ten sam wzgardliwy uśmiezek. – Ważniejsze jest co innego. Jak szybko zdołasz zmieniać strzały, jeśli zechcemy podejść i natrząć sobie gruszek? He? Milczysz? No to ja ci powiem. Jeśli masz dużo wprawy, to uda ci się naciągnąć cięciwę jeszcze dwa razy. A nas jest tużin.

– Mam dużo wprawy. – Głos odezwał się po króciutkiej zwłoce. – I obiecuję ci, wieprzu, że ty będziesz pierwszy z tej dwójki.

Zbóje poderwali się do biegu wszyscy naraz, jakby właśnie teraz nadeszła ta najważniejsza chwila, na którą czekali. Rozproszyli się na boki, chcąc obiec gruszę szeroko z obu stron i zewrzeć wokół niej krąg mieczy i toporów. Nawet się nie obejrżeli, kiedy cielsko grubasa padając zaryło się z rozpędu w miękkiej ziemi. Następny, któremu strzała przebiła brzuch, na mgnienie oka przedtem zdołał wziąć szeroki zamach, trzymając topór za koniec trzonka. Żelazne ostrze furkocząc przekoziołkowało nad głowami innych i wbiło się w pień, strząsając grad niedojrzałych owoców.

Udało im się zawęzić pierścień okrążenia tak, że mogli dotknąć się nawzajem. Wtedy się zatrzymali.

Z najniższej gałęzi zeskoczył jakiś człowiek. W lewej dłoni ścisnął strzałę, a huk miał przewieszony przez plecy. Zachwiał się po skoku, wyprostował kolana i bez pośpiechu podrapał się ostrzem strzały w tydkę.

– No i co, zajączki? – Zrobił krok do przodu, a krag zbójów natychmiast się poszerzył. – Czemu nic nie mówicie? Zastanawiacie się pewnie, czy nie podeszłście za blisko?

Wyglądał jak sama śmierć. Cała twarz, szyja, dłonie, każdy kawałek skóry, jaki prześwitywał spod ubrania, pokryty był czarnymi krostami. Bładoniebieskie oczy jaśniały w oszpeconej twarzy jak dwie gładkie grudki lodu.

– To zaraz! – Pierwszy nie wytrzymał łysy zbój o blisko osadzonych oczach i grubych wargach. Cofnął się zbyt gwałtownie i upadł na tylek, ale zerwał się od razu i zaczął uciekać w stronę lasu. Po drodze zgubił miecz.

– Najlepiej w ogóle nie oddychać tym samym powietrzem, co ja – ospowaty człowiek zawiesił głos i przez chwilę patrzył, jak zbójom przestają podnosić się piersi. – Ale to wcale nie jest ratunek. Wystarczy, że kichnę.

Schylił się i zerwał zdźbło trawy. Wsadził je do dziurki od nosa i zakręcił w palcach. Zbierał się do kichnięcia bardzo długo, ale kiedy wreszcie mu się udało, zrobił to z całej piersi, kończąc przytupem. W uszach bezładnie uciekających zbójów zabrzmiało to jak śmiech kostuchy. Odgłos kichnięcia wyprzedził ich, odbił się od lasu i wybiegł im naprzeciw.

Człowiek z krostami odrzucił trawkę i odwrócił się twarzą w stronę odmieńca, ale nie wymienili spojrzeń. Od samego początku, kiedy tylko tamten dotknął stopami ziemi pod gruszą, odmieńca nie odrywał wzroku od sprzączki jego pasa.

•

Słońce zgasto i nad lasem rozsunęła się poświata księżycowa. Chociaż zaczął śiąpić drobny deszczyk, soltys nie wszedł do gospody. Ledwie spojrzął na Rozpruwacza, któ-

ry w pośpiechu podczołgiwał się bliżej odmieńca. Ciężko usiadł na pienku, oparł łokcie na kolanach, a huk i strzały położył obok siebie. Mrok wczesnej nocy rozmył strupy na jego twarzy.

Rozpruwacz był półżywy, kiedy po długiej mordędze udało mu się dotrzeć pod chlewik. Nie miał już siły, żeby się podnieść, więc pozostał na boku, leżąc w błocie. Tylko na krótkie chwile z młasińciem odrywał policzek, żeby obejrzeć się na soltysa. Wyglądał jak ranna foka dogorywająca na brzegu morza.

– Jeśli dotąd nie oszalałem, to już chyba do końca życia nic mnie nie przestraszy. – Spróbował wytrzeć ubłoczone usta w ramię, ale nie potrafił tak mocno wykłębnić szyi.

Odmieńca błędził wzrokiem między drzwiami gospody a soltysiem. Wydawało się, że na coś czeka.

– Do końca życia? – burknął w roztargnieniu. – Może ten koniec będzie całkiem niedługo.

Rozpruwacz zdobył się na jeszcze jeden wysiłek, żeby się od niego odsunąć. Niedużo, ale wyraźnie.

– Wasze wioskowe klótnie mnie nie dotyczą – wskazał brodą siedzącego nieruchomo soltysa. – Od początku ci mówiłem, że lepiej było sponiewierać go byczkiem, niż mścić się w taki sposób.

– Przecież to nie ja go zaraziłem.

– A kto mówi, że on jest chory? To, co ma na głowie, wygląda strasznie, ale tak naprawdę to są tylko ślady po pocałunkach.

Odmieńca przypomniał sobie żądło na końcu języka anielichy. Zrobiło mu się nieswojo, a skóra na plecach zaswędziała go w kilku miejscach naraz.

– A na rękach?

– Też. Wszędzie. Na całym ciele – skrzywił się Rozpruwacz. – Przy anieliszce podobno nie czuje się bólu. Nawet porządnego człowieka potrafi doprowadzić do tego, żeby zapomniał o swojej zonie.

Na błocie rozścielił się iskrzący pas światła, kiedy powoli otworzyły się drzwi gospody. Soltys chwycił za huk. Na progu stanęła czarna postać gospodyn, owiana podświetlonymi oparami. Widać było jej kościste palce zacis-

nięte na pogrzebacz i wymykające się spod chustki kosmyki siwych włosów. Wyglądała jak wiedźma stojąca nad szczeliną piekła.

– Przepłoszyłeś mi gości. – Omiotła wzrokiem trupy zbójów, jakby chciała je przeliczyć. – Przez ciebie straciłam cały zarobek.

Sołtys odłożył łuk i wstał. Sprzączka jego pasa płonęła czerwonią.

– Poodrzynaj mieszki tym, którzy z nami zostali. Wyjdiesz na tym lepiej, niż gdyby chlali tutaj przez trzy dni.

Długa do ziemi spódnica zasłaniała jej stopy, więc kiedy gospodyni krążyła od trupa do trupa, wydawało się, że sunie ponad powierzchnią błota. Za każdym razem, kiedy prostowała plecy, trzymając nóż w jednej, a mieczek w drugiej dłoni, srebro cichutko pobrzękiwało. Sołtys szedł za nią krok w krok. Każdemu zbójowi jedną nogą przeddeptywał pierś, po kolei wyciągając swoje strzały.

– Jeśli połkniesz miedziaka, stara jędra gotowa wsadzić ci rękę w gardło po sam żołądek – szepnął Rozpruwacz do odmieńca jedną połową ust, a potem bardzo głośno odchrząknął. – Hej, panie sołtysie! Nie chcę się narzucać, ale skoro byłeś tak miły i ocaliłeś moją głowę, to może zechciałbyś jeszcze przeciąć mi więzy?

Sołtys wyciągnął ostatnią strzałę, wytarł grot wiechciem trawy i dopiero wtedy spojrzął po raz pierwszy w stronę chlewika.

– Jesteś tak samo niezwywy jak oni, tylko jeszcze tego nie zrozumiałeś. Więc zamknij się.

Rozpruwacz nagle odzyskał siły. Przekreślił się na plecy, usiadł i przysunął się do odmieńca tak gwałtownie, że prawie go przewrócił.

– O co mu chodzi? – Kropelki zaschniętego błota odpryskiwały z jego rozdygotanych warg. – Przecież nic mi nie zrobiłem!

Zdawało się, że odmieńca go nie usłyszał. Wciąż jeszcze patrzył w jasność otwartych drzwi, jakby tam szukał nadziei. Drgnął i pochylił się mocno do przodu, kiedy tuż nad progiem prześlizgnął się jakiś cień. Rozpoznał chudy grzbiet Psotki i bardzo powoli zamknął oczy. Suka zata-

czyła łuk wokół sołtysa, kuśtykając boki, jak wilk. Nieufnie typała ślepiami. Potem skoczyła do odmieńca i wtuliła pysk pod jego pachę.

– Ja go znam – wrócił do rozmowy, jakby nic się nie stało, tylko teraz mówił o wiele ciszej. – On jest zbyt dumny na to, żeby pozostawić przy życiu kogoś, kto widział jego upokorzenie.

– To rozumiem. Na jego miejscu od razu zarzuciłbym sobie pętlę na szyję, nie czekając, aż... – Przejechał dłonią po policzku, jakby chciał sprawdzić, czy pod zarostem jego skóra nadal jest gładka. – Tylko czemu w takim razie ratował mi życie?

Sołtys zbliżał się do nich. Świeżo natuszczona cięciwa łuku na skos przecinała jego pierś. Pióra strzał sterczały z kółczanu ponad lewym ramieniem. Ostatnią, którą wyrwał z gardła zbója, wciąż jeszcze trzymał w dłoni.

– Są dwie możliwości. – Z każdym krokiem sołtysa głos odmieńca cichł. – Albo ma chęć zamęczyć cię własnymi rękami, żeby mieć pewność, że cierpieś, albo...

Psotka wgramoliła się na kolana odmieńca, zakreśliła w miejscu dwa kółeczka i położyła się, opierając pysk na kikucie łapy. Rozpruwacz coraz głębiej wciągał głowę w ramiona.

– Albo? – ponaglił.

– Albo wcale nie chciał ratować ciebie, tylko mnie.

Kiedy sołtys był już całkiem blisko, pełgające w drzwiach gospody światło zniknęło za jego plecami. Odmieńca poruszył włochatymi końcówkami uszu. Nie czuł strachu. Nawet nie drgnęła mu powieka, kiedy ostrze strzały lekko zarysowało mu czoło, z lewa na prawo i z powrotem.

– Witaj, pokurczu. Ciężko było cię wytropić, ale wreszcie się udało.

Sołtys pochylił się, zniżając twarz. Lekki, ale wyraźny zapach zgnilizny sprawił, że nozdrza odmieńca na chwilę rozdziły się jak podgardle ropuchy.

– Nic miłego, co? – Sołtys przekrzywił szyję w taki sposób, żeby jego twarz znalazła się w smudze światła. – Nawet się nie dziwię, że kmiecie pogнали mnie ze wsi cepami. Sam mało nie naplułem z obrzydzenia do kałuży, w której po raz pierwszy zobaczyłem swoją gębę.

Każda krostka obwiedziona była czerwonym pierścieniem obrzmiałej skóry. Niektóre z nich, rozdrapane i pełne zbierającej się ropy, tworzyły cuchnące rany, które nie mogły się zagoić.

Odmieniec podniósł brwi. Jego głęboko osadzone oczy zdawały się same z siebie rozjaśniać cienie zalegające w oczodołach.

– Nie wiem, czemu zadałeś sobie tyle trudu, żeby mi to pokazać. Ale dziękuję. Nie myślałem, że jeszcze spotka mnie w życiu tyle radości.

Grot błysnął, przecinając skórę na jego czole. Czuł, jak gęsta krew ścieka po wystających łukach brwiowych, aż do nasady nosa. Sołtys pochylał się jeszcze niżej, jakby chciał przyjrzeć się ranie.

– Zmienileś się przez ten ostatni miesiąc. Zhardziałeś.

– Wszystko się zmieniło. – Wiedział, że sołtys czeka na jego strachu, i sprawiała mu radość myśl, że czeka na próżno. – Przedtem byłeś panem wszystkiego, co miałem. A dzisiaj? Dzisiaj jesteśmy tacy sami. Nawet jeśli zadłgasz mnie tą strzałą, kiedy później położysz się spać, znowu będziesz musiał oddychać własnym smrodem.

Sołtys podniósł głowę i jego twarz skryła się w ciemności. Ale zrobił to nie dość szybko i odmieniec zdążył zobaczyć jego rozlewające się źrenice, jak u człowieka, którego trawi wysoka gorączka. Albo dusi trwoga.

– Wyleczysz mnie – powiedział tak, jakby nie chciał zawrzeć w tych słowach prośby ani rozkazu.

– Nie jestem znachorem. Jeśli chcesz mojej rady, to wetrzyj sobie w każdą krostę szczyptę soli.

Zapach potu sołtysa nagle owiał go mocniej niż dotąd. Jego oddech stawał się urywany i chrapliwy. Odmieniecowi się zdawało, że ciemna postać przed nim chwieje się w przód i w tył.

– Ludzie, co wy robicie! – Rozpruwacz wpełznął się tyłem między nich, prostując i podkurczając nogi. – W ten sposób pozdychamy tutaj wszyscy, a potem nasza miła gospodyni spokojnie poobdziera nasze trupy. Przecież możecie się dogadać!

Sołtys milczał. Natłuszczona cięciwa cicho jęknęła, kiedy zdejmował łuk przez głowę.

– Jezu, czekajże, dziobaty narwańcu! – Resztki strachu Rozpruwacza spopieliły się w ogniu wściekłości.

Sołtys cofnął się i nałożył strzałę. Dwa zagięte na cięciwie palce zbiegły z wysiłku, kiedy napiął łuk. Przymknął jedno oko i przyłożył policzek do cięciwy. Odmieniec widział, jak drżący grot podnosi się coraz wyżej, mierząc w jego pierś, potem w gardło. Wreszcie zatrzymał się na wysokości ukrytego pod wypukłymi brwiami zagłębienia, dokładnie między oczami – i zastygł.

Drzwi trzasnęły, jakby ktoś otworzył je od środka kominakiem. Woda w kałużach zamieniła się w płynne złoto.

– Ja wiem, jak ci pomóc.

Sołtys musiał trochę popuścić cięciwę, żeby się obejrzeć. Grot strzały obniżył się. Ćmieluska wyszła kilka kroków przed próg i trzymając wysoko uniesioną głowę, rozsypywała kuszulę pod szyją. Nie mogła poradzić sobie z jakimś węzłem i zniecierpliwiona szarpnęła mocno, obiema rękami. Kuszula rozdarła się, odsłaniając obojczyki i gołe ramiona.

Na podbródek Ćmieluski spadało od dotu niebieskawe światło, łagodne i zimne.

Odmieniec bardzo długo rozcierał nadgarstki, zanim udało mu się poruszyć każdym z palców po kolei. Ale kiedy wstał, gospodyni musiała złapać go pod ramię, bo zachwiał się, jakby zamiast nóg miał szczudła.

– Musisz się powolutku rozchodzić. – Obejrzała się na Rozpruwacza i do niego też wyciągnęła rękę. – Trzymaj!

Rozpruwacz cisnął przecięte więzy do chlewika i wstał, opierając się na ścianie. Pozlepiane błotem kępki jego zarostu sterczały na wszystkie strony. Splunął gospodyni pod nogi i pokręcił głową.

– Łapy przy sobie, miłośniczko pogrzebacz! Kiedy sołtys trzymał cięciwę przy uchu, udawałaś, że patrzysz w inną stronę.

– A co? Myślałaś, że padnę mu do kolan? – wzruszyła ramionami. – Gdybym miała przejmować się każdym, komu przychodzi skończyć życie w mojej gospodzie, nie starczyłoby mi czasu na nic innego.

Kiedy dowlekli się do drzwi, wionęła im w twarze ciepła jasność. Weszli do środka i przystanęli tuż za progiem, żeby przyzwyczać oczy do światła, ale sołtys nie dał im na to czasu.

– Wy dwaj pod ścianę i ani ruchu! – Siedział na ławie okrakiem, łuk, kołczan i nóż położył na stole. – Jeśli coś pójdzie nie tak, zawsze zdąży ustrzelić chociaż jednego z was.

Przykucały w kącie, obejmując kolana ramionami. W milczeniu patrzyli na Ćmieluszkę, która stała koło ognia, zgarniając luźno rozpuszczone na plecach włosy. Nałożyła chustkę, związała ją z tyłu głowy i starannie wcisnęła pod nią każdy kosmyk, jaki pozostał na czole i na skroniach. Przez chwilę grzebała w stercie misek, garnków i osmalonych rożnów. Podniosła wysoko w górę drewniany, tepo zakończony tłuczek i przerzuciła go z ręki do ręki, jakby chciała sprawdzić jego ciężar.

– Jesteś pewna, że to przeżyję? – Sołtys patrzył na nią zaniepokojony. – Takie narzędzie chyba nie...

– Nie bój się – przerwała mu, z rozmachem uderzając tłuczkiem w klepisko, i ruszyła w jego stronę. – Był już tutaj kiedyś taki jeden, podobny do ciebie. Po wszystkim zwłócił się z ławy o własnych siłach. Jak ci się nie podoba, to poszukaj sobie jakiejś wiedźmy, która ci każe wdychać napar z kurzej łapki.

Póki stała przy ogniu, jej twarz lśniła czerwienią. Ale kiedy odwróciła się plecami do paleniska, sina poświata znowu powlokła jej policzki. Im niżej, im bliżej wycięcia koszuli, tym więcej niebieskawej mgiełki mieszało się z dymem i kurzem. Zdawało się, że Ćmieluska urwała kawałek nieba, nawlekła go na rzemyk i powiesiła sobie na szyi.

Podeszła do sołtysa i rzuciła tłuczek na stół, obok jego łuku. Bez słowa zaczęła podwijać oba rękawy powyżej łokci.

– Kto to był? – Sołtys siedział sztywny jak kij, sledząc każdy jej ruch. – Ten pierwszy?

Chwyła rzemyk samymi paznokciami i pociągnęła do góry.

– Ktoś na tyle głupi, żeby parzyć się z anielichą. I na tyle rozsądny, żeby nie zadawać zbyt wielu pytań, kiedy już usiadł na tej ławie.

Sołtys przysunął stopy bliżej siebie, jakby chciał wstać. Bezwiednie dotknął koncem języka krosty w kąciu ust.

– Powiedz przynajmniej, czy on jeszcze żyje.

– Nie. Ale nie martw się. Umarł zwyczajną śmiercią zbroja. – W miarę, jak wysuwała wisiorek, jej wargi traciły swoją barwę. – Powiesili go.

Zaplotła rzemyk na małym palcu i wyciągnęła rękę do przodu. Kościana główka zakolysała się tuż przed nosem sołtysa.

Odmieniec poczuł, jak gorąca fala spływa mu od policzków, przez pierś, do brzucha, a potem wraca, przybierając na sile. Kątem oka widział, jak Rozpruwacz gwałtownie wychyla się do przodu, mrużąc oko.

– Ale to jest... – jego głos chrypsiał, jakby miał wyschnięte gardło. – To wygląda jak...

Zamiast ostatniego słowa westchnął i pokręcił głową sam do siebie. Odmieniec milczał. Teraz, kiedy to wreszcie zobaczył, wydawało mu się, że spodziewał się tego od samego początku. Od tego pierwszego spojrzenia, które może wcale nie było zbyt krótkie, ale o którym po prostu chciał zapomnieć.

– Wygląda jak ty – dokończył szeptem Rozpruwacz.

Mimo oddalenia było widać, że biała główka miała płaskie czoło, fałdy nad oczami i szeroki nos. Obracała się teraz leciutko raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby chciała dobrze przyjrzeć się wszystkim ciemnym kątom izby. Puste dziurki oczodołów, wywiercone tuż przy sobie, po obu stronach nasady nosa, jarzyły się niebieskim światłem. To był dziwny blask, jaki czasem widuje się na mokradłach, kiedy zapalają się idące z głębin wyziewy, a przezrocyste ogniki skaczą tu i tam.

– Rozbieraj się! – Ćmieluska zatrzymała główkę palcami i wtędy na czole sołtysa ustaliły się dwie kropeczki niebieskiego światła. Zdjął koszulę przez głowę. Kiedy odkładał ją na stół, wyraźnie trzęsły mu się ręce.

– Dalej! Buty, gacie, wszystko.

Poplątały mu się nogawki i przez chwilę podskakiwał na jednej nodze, zanim wreszcie stanął na zimnym klepisku, odruchowo podkurczając palce stóp. Krosty, które miał pod ubraniem, wyglądały jeszcze gorzej. Ciągłe ocieranie o tkaninę powodowało, że jątrzyły się i ciekły. Odmieniec wyobraził sobie mękę, jaką soltysowi musiał sprawiać każdy ruch, i wzdygnął się, jakby od otwartych drzwi powiało chłodem.

– Teraz kładź się na ławie.

Odmieniec przypomniał sobie, z jakim ociąganiem niedawno to samo robiła gospodyni, i uśmiechnął się mimo woli. Ćmieluska chyba też o tym pomyślała, bo wydało mu się, że mrugnęła do niego okiem. Ale wargi miała zacisnięte. Skinęła głową matce. Gospodyni podeszła do ławy z drugiej strony, przerzuciła przez brzuch soltysa sznur i zanim zdążył coś powiedzieć, zaciągnęła pętlę.

– Nie mówiłaś, że to będzie aż tak bardzo bolało. – Soltys uniósł głowę, patrząc, jak Ćmieluska kępuje mu nogi. Uderzył potylicą w ławę, kiedy gospodyni wykręciła mu ramię do tyłu.

Leżał nagi, unieruchomiony i bezradny. Ćmieluska pochylała się nad nim, a dwie plamki światła zatańczyły na jego ciele.

– Nie kusi cię? – szepnęła Rozpruwacz i ruchem głowy wskazał leżący na stole nóż. – Jeden skok i mógłbyś odplacić mi za wszystko.

Odmieniec chciał mu odpowiedzieć, ale Rozpruwacz nagle stracił całą chęć do rozmowy. Odułpał ze ściany małą drzazgę i pracowicie zaczął wydłubywać sobie brud spod paznokci, jakby nic innego go nie obchodziło. Pod jego stopy bezszelestnie podpełzł wąski cień pogrzebacza. Gospodyni patrzyła na nich czujnie zza opuszczonych rzęs.

Ćmieluska uklękła przy soltysie, trzymając wisioręk w uniesionej ręce. Kościana główka już się nie chwiała, wisiła swobodnie. Odmieniec widział, jak wystające spod chustki na karku Ćmieluski włosy ciemnieją od wilgoci. Cały czas było cicho, ale raptem ta cisza jeszcze się pogłębiła, jakby wszyscy naraz wstrzymali oddechy.

Dwie plamki drżały teraz na brzuchu soltysa. Odmieniec zatrzepotał powiekami, bo zdawało mu się, że plamki zaczynają się do siebie zbliżać. Spotkały się ich brzegi, a wtedy zmienił się też odcień ich barwy. Powoli zlały się w jedno i pociemniały, jak woda w studni. Ześrodkowały się tuż nad pępkiem soltysa, dokładnie w miejscu, gdzie miał ropiejącą krostę. Poruszył się, jakby na brzuchu usiadła mu osa, ale plamka nie zmieniła położenia ani o źdźbło.

– Nie wierć się! – Na uniesionym przedramieniu Ćmieluski naprężyły się ścięgna.

Coś zaczęło się dziać. Krosta nabrzmiała i strzyknęła cieniutkim strumyczkiem cuchnącej cieczy. Soltys patrzył, przyciskając brodę do obojczyków. Jęknął, kiedy na czarnym wierzchołku krosty pokazała się mała, jasna wypukłość.

– Chodź, glisteczko! – Ćmieluska oblizała suche wargi. – Pokaż się!

Z owrodzonej rany wysunął się do połowy tusty robaczek. Wystawił czułki jak ślimak i zaczął macać pustą przestrzeń przed sobą. Ćmieluska ścisnęła go w palcach i wyrwała jednym szarpnięciem, rzucając na klepisko.

Soltys ze świstem wypuścił powietrze.

– Aj! – Krosta zwiotczała, a na jej miejscu szybko powiększał się bąbel gęstej krwi. – Mogłabyś trochę bardziej uważać. To szczypie.

Robak wił się pod ławą, szukając drogi ucieczki. Śmignął tłuczek w rękę gospodyni i na klepisku została tylko plamka śluzowatej mazi.

– Ech, wy chłopcy! – mruknęła stara pod nosem. – Co by to było, gdyby Pan Bóg kazał wam dzieci rodzić.

Dalej poszło sprawnie, chociaż bardzo powoli. Niebieska plamka przesuwiała się z krosty na krostę, a Ćmieluska coraz sprawniej chwytiała główki robaczków. Soltys zamilkł na dobre, tylko po każdym szarpnięciu lekko marszczył czoło. Było już dobrze po północy, kiedy Ćmieluska popuściła mu więzy i kazała obrócić się na brzuch. Od ciemienia po stopy pokryty był krwawymi cętkami, ale oddychał już o wiele spokojniej. Gospodyni zdjęła chustkę z głowy i otarła z potu twarz Ćmieluski. Pod jej nogami klepisko pstrzyło się śladami rozgniecionych robaków.

– Wytrzymasz? – zapytała Ćmieluszkę. – Może zrobimy przerwę?

Uniesiona ręka Ćmieluski drżała z wysiłku, ale kościana główka na rzemyku wciąż była nieruchoma.

– Tyle w nim tego paskudztwa, że nie ma na co czekać – jej głos brzmiał głucho, jakby mówiła na przydechu.

Szarzało, kiedy skończyły. Sołtys leżał z policzkiem opartym na złączonych dłoniach. Był całkiem rozluźniony, zdawał się drzeć. Ćmieluska trzęsącymi się rękami z trudem założyła rzemęk na szyję i wtedy odmieniec zobaczył, że bledłość jej twarzy niewiele się różni od barwy wisiorka. Oczodoły kościanej główki zgasty, znowu były puste i czarne.

Kiedy przez dłuższy czas trwała cisza, sołtys leniwie odemknął powieki.

– Te sznury były niepotrzebne – ziewnął szeroko. – Umieć znosić cierpienie jak mężczyzna.

– Przekonajmy się. – Gospodyni pochyliła się nad ogniem i podniosła pograbacz. Jego końcówka była rozgrzana do czerwoności.

Z sołtysa od razu uleciało całe rozespanie. Szarpnął się w sznurach i błysnął zębami, jak wilk złapany we wyniki.

– Co ty chcesz zrobić?

– Każdą z tych ranek trzeba wypalić. – Podchodząc do sołtysa, gospodyni zostawiała za sobą wąską smużkę dymu. – Inaczej nigdy się nie zagoją.

Po pierwszym wrzasku sołtysa odmieniec z Rozpruwaczem spojrzeli na siebie, a po drugim wstali i wyszli z izby, prosto w dżdżysty poranek. Mieli spuchnięte powieki, było im zimno z głodu i niewyspania. Stali przez jakiś czas nastrożeni jak wróble, w wciągniętych brzuchami, i tępo patrzyli przed siebie, słuchając dobiegających z gospody wrzasków i przekleństw. Wreszcie Rozpruwacz machnął ręką, opadł na kolana i bez słowa wczółgał się do chlewika. Odmieniec poszedł za nim. Maciora powitała ich przyjaznym chrząknięciem, jakim wita się starych znajomych.

•

Słońce przechyliło się już ku zachodowi, kiedy odmieniec się obudził. Wyczółgał się z chlewika rozespany, zły i wcale nie wypoczęty. Bolały go kości, a w środku głowy coś trząsało przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Z trudem rozkleił powieki. Miał dreszcze. Pomyślał, że dobrze byłoby posiedzieć jakiś czas w suchej izbie, przy ogniu, a może nawet udałoby się wyprosić od gospodyni kilka tyków grzanego piwa. Strząsnął z włosów źdźbła mokrej słomy i stłumił ziewnięcie. Zrobił pierwszy krok w stronę drzwi gospody i zastygł bez ruchu.

Cichy śmiech Ćmieluski dobiegał gdzieś zza chlewa. Brzmiał tak, jakby dziewczyna zastaniała usta dłonią, nie chcąc, żeby ktoś ją usłyszał. Odmieniec wytarł ciekłą nos rękawem, a potem powoli, opierając się jedną ręką o ścianę, obszedł przybudówkę dookoła. Tuż przed narożnikiem przyłgnął plecami do chropawych desek i ostrożnie wyjrzał.

Ćmieluska siedziała na brzegu studni, z gołymi nogami opartymi na odwróconym do góry dnem wiadrze. Obok niej stał Rozpruwacz. Nawijał sobie na palec kosmyk jej rozpuszczonych włosów i pochylił się nad jej karkiem, szepcząc coś do ucha. Słuchała, bezwiednie skubiąc rąbek zdjętej z głowy chustki. Miała rumiane policzki i błyszczące oczy.

Odmieniec chciał się wycofać, ale Rozpruwacz już dostrzegł na trawie jego cień. Odsunął się od Ćmieluski i wsadził dłonie za pas.

– Chodź, chodź, śpiochu! – zawołał, poprawiając opaskę na oku. – Już myśleliśmy, że tego dnia nas nie zaszczycisz.

Wychodząc zza rogu, odmieniec dotknął czoła. Było rozpalone. Ćmieluska spojrzała na niego przelotnie, związała chustkę pod brodą i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Wszystko w porządku? – Rozpruwacz rozłożył ręce. – Wyglądasz na chorego.

– Nic mi nie jest.

Zawadził stopą o kępę trawy i zatoczył się niezdarne. Dopiero teraz poczuł, że kolana ma miękkie i łydki drżą.

ce. Oparł łokieć o studnię, ale szybko go cofnął, bo kamienny chłód przenikał do wnętrza jego kości rwącym bólem.

Nie powinien tu przychodzić. Cisza, jaka zapadła między nimi, dusiła jak zmora. Był bliski tego, żeby po prostu uciec do lasu i schować się w gęstym poszyciu, nie czekając na nic i nie myśląc o niczym.

Rozpruwacz odkaszlnął i rozgrzebał piętą łachę błota koło studni.

- No! - Podniósł głowę. - Pójdę zobaczyć, co u sottysa. Gospodyni siedzi przy nim przez cały czas i biedak może potrzebować kogoś, kto przywróci mu nadzieję. Wprawdzie mierzył do mnie z łuku, ale zawsze to chłop.

Odwrócił się do nich tyłem, splunął, przyglądził włosy i odszedł.

Ćmieluska pochyliła się, jakby chciała zająrzeć odmiencowi pod szczecińskie brwi.

- Ty naprawdę nie wyglądasz dobrze.

- Tacy jak ja nigdy nie wyglądają dobrze. - Teraz, kiedy zostali sami, nareszcie odetchnął. - Powinnaś o tym wiedzieć.

- Och, wcale nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że...

- Co on ci mówił?

Musiał o to zapytać. Wiedział, że to jest najgłupsza rzecz, jaką może zrobić, ale nie potrafił się powstrzymać. Ćmieluska wyglądała na zaskoczoną. Zabębniła palcami stóp po dnie wiadra, w zamyszeniu założyła włosy za ucho.

- Jesteś zazdrosny? - zapytała nagle, patrząc mu prosto w oczy.

Kilka razy otworzył i zamknął usta, jak karp wyciągnięty ze stawu. Chciał zaprzeczyć, ale to byłoby zbyt jawne kłamstwo. Więc milczał.

Ćmieluska leciutko zsunęła się ze studni. Znowu na niego spojrziała, przgryzając wargę i kiwając głową, jakby coś sobie postanowiła.

- Na przyszłość pamiętaj, że dziewczyny bardzo nie lubią takich przepytywań. Ale na ciebie jakoś trudno się

gniewać. Chcesz, to ci powiem - uśmiechnęła się do swoich myśli. - Rozpruwacz namawia mnie, żebym z nim poszła do Grodziska.

Gdyby powiedziała to bez tego uśmiechu, trochę drwiącego, a trochę chępliwego, może nie zabolaloby aż tak bardzo. Ale teraz sam ton jej głosu wzbudził w odmiencu złość.

- To oszust! - Wzruszył ramionami, udając obojętność. - Nie zabierze cię nawet do najbliższej wsi. Chce cię tylko zbałamucić.

- Ejże! - roześmiała się, tym razem całkiem szczerze. - Ty chyba masz mnie za głupszą, niż jestem! Byle włożę nie może namieszać mi w głowie.

Podniósł na nią oczy, jak pies, który sprawdza, czy już minęła jego kara i wolno mu wyjść spod stołu. Prawie gotów był przyznać przed sobą i przed nią, że zachował się jak głupek. Ale wciąż brzmiał mu w uszach tamten jej chichot, przytłumiony i dziwny. Nie umiał o nim zapomnieć.

- A co takiego jest w tym Grodzisku, czego nie ma gdzie indziej?

- Dwór, targ, podgrodzie. - Podążyła wzrokiem za rozmawiającymi się chmurami. - Ludzie. Bardzo dużo ludzi.

- Tutaj przecież też są ludzie.

- Są. - Odruchowo obejrzała się na las. - I miejmy nadzieję, że zbyt szybko nas nie odwiedzą.

Za chlewika nagle wypadła Psotka. Pędziła, jakby gonila ją cała wataha wyposzczonych wilków. Na zakręcie niemal poplątały się jej trzy chude nogi. Przypadła do stóp odmiencia, zawróciła, skoczyła na Ćmieluszkę i znowu była przy nim. Ogon jej śmigał tak szybko, że czuli na twarzach lekki powiew.

- Gdybym nie wiedziała, co umiesz robić ze zwierzętami, byłoby mi teraz przykro. - Psotka obróciła się na grzbiet i Ćmieluska poczochnęła ją nogą po różowawym brzuchu. - Wita się z tobą, jakbyś to ty uratował jej życie, a nie ja.

Odmienciec zwiesił głowę. Na tych parę krótkich chwil, które właśnie się skończyły, zapomniał, że są na świecie

inne sprawy oprócz tego, co jest między nią a nim. Albo chociaż mogłoby być.

- Już tego nie umiem - mruknął.

- Jak to? - Zrobiła dwa kroki i nagle była tuż przy nim. - O czym ty mówisz?

Zaniepokoił się, bo wyraźnie poczuł jej strach. Psotka podwinęła ogon i przytuliła się z tyłu do jego tydek.

- Nie wiem. Po prostu nie umiem.

Przykucnęła przed nim. Przez dłuższą chwilę przyglądała się jego twarzy, a potem zdjęła przez głowę wisiorek.

Położyła go na otwartej dłoni i wyciągnęła rękę przed siebie.

- Dotknij.

Po raz pierwszy zobaczył go z tak bliska. Chyba był bardzo stary, pełen szczerb i zadrapań. Z tej odległości rysy kościanej twarzy traciły swoją wyrazistość, rozlewając się wśród przytartych przez czas wypukłości. Dno czarnych oczu wydawało się o wiele odleglejsze, niż można by sądzić po wielkości wisiorka.

Odmieniec wysunął do przodu swój krótki paluch, ale zaraz go cofnął. Był pewien, że w oczodołach dostrzegł dwa małe niebieskie pyłki, które zapaliły się i zgasły.

- Dotknij! - Ćmieluszka przysunęła wisiorek jeszcze bliżej, aż trudno mu było skupić na nim oczy.

Znowu je zobaczył. Wyglądały jak dogasające przed świtem gwiazdki. Wiedział, że gdyby tylko chciał, mógłby rozniecić z nich pożar. Ta myśl pociągała go, ale i przerażała. Wyobraził sobie, że tak musi czuć się stonoga, kiedy ktoś nagle odwróci kamień, pod którym się kryje. Musiał coś postanowić, tu i teraz. Albo poszuka sobie innego kamienia, albo zacznie nowe życie w pełnym blasku dnia.

Odskokzył do tyłu ze zduszonym krzykiem. Przez długi czas stał z przymkniętymi oczami, raz po raz wycierając w rękaw zimną wilgoć z czoła. Drżał, chociaż cień od lasu był jeszcze krótki. Spłoszona Psotka uciekała za chlew.

- Dostałam tę główkę od jednego parszywca, który bardzo chciał wprosić się na stryżek, choć nie miał czym płacić. - Rzemek znowu opinał szyję Ćmieluszki. - A on dorwał go w łapy, kiedy ograbił jakiś kupców z dalekiego kraju. Z początku nie zwracałam sobie nim głowy. Cza-

sami całymi dniami leżał w skrzyni, razem z innymi błyskotkami. Ale kiedy przywłókl się tamten pierwszy dureń pokąsany przez anielichę, ślepią zaświeciły. Płonęły ogniem, który nie parzy. Wiedziałam, jak należy go użyć. Sama z siebie wiedziałam. Jakoś tak od środka, jakby ktoś siedział we mnie i podszeptował. A kiedy matka rozgniotła ostatnią larwę, oczy zgasły.

Zmarszczyła czoło, jak ktoś, kto musi wracać do niemiłego wspomnienia.

- Wczoraj znowu zobłysły.

Odmieniec dopiero teraz podniósł powieki. Przeszał się hać nieba wypełnionego nadmiarem słońca, oddech mu się uspokajał.

- Bo przyszedł sołtys. U nas, we wsi, matki opowiadają dzieciom, że anielichy wylażą z piekła. Nawet jeśli to nieprawda, to ten wisiorek na pewno nie jest niczym dobrym. Ja bym tego nie trzymał.

- Jest jeszcze coś, o czym nie wiesz. Oczy wcale nie zaświeciły wtedy, kiedy przyszedł sołtys.

Odmieniec przygarbił się. Nie chciał, żeby to powiedział. Ale Ćmieluszka oparła dłonie na kolanach i zbliżyła twarz do jego twarzy.

- Zaświeciły, kiedy razem piliśmy piwo z dzbana. - Obliznęła wargi. - Kiedy go dotknąłeś.

Od miejsca, gdzie stała gospoda, dobrze ubity ksiączęć gościnnie szerokim zakolem obchodził rozległą potać puszczy. Prowadził prosto do bram Grodziska, jak rzeka do morza. Ale na jego skraj, wśród porozrzucanych kamieni, wila się ścieżynka. Tu zaczynał się leśny skrót, który wakała Rozpruwaczowi gospodyni. Chodziły nim sarny, zuby i zboje, ale za to można było skrócić podróż o całe dwa dni.

Rozpruwacz nie ufał do końca nikomu. Chciał wyruszyć wczesnym rankiem, więc jeszcze przed zmrokiem poszedł sprawdzić, czy gdzieś dalej ścieżka nie wsiąka w krzaki. Patrzyli na niego wszyscy zza płotu, jakby zapuszczał się Bóg wie gdzie.

Wydawało się, że minęła ledwie chwila, odkąd zniknął za zakrętem dróżki, a już był z powrotem.

– Zbrojni! – Wpadł na podwórze, kopniakiem odrzucając Psotkę na bok. – Konni i zbrojni! Cała kupa.

Powiódł wzrokiem po ich twarzach, jakby się dziwił, że wciąż jeszcze tutaj są.

– Trzeba uciekać! Chyba mnie nie zobaczyli, chociaż niewiele brakowało.

Sołtys poślinił dwa palce, sięgnął za siebie i wyciągnął z koczczanu strzałę.

– Ilu?

– To nie są zbóje, nie rozpiezchną się na widok twojej gęby! – prychnął z niechęcią Rozpruwacz.

Sołtys przyglądał każde pióro po kolei i podniósł na niego oczy.

– Ilu? – powtórzył.

– Wszystko jedno, durniu! To książęca drużyna. Do nich się nie strzela jak do wiewiórek.

– Jeśli jadą woje, to trzeba pochować w piwnicy, co tylko się zmieści! – gospodyni splunęła z niesmakiem. – Oni nigdy nie płacą. Idą skrótem, a to znaczy, że sprawa jest pilna. Pewnie zbóje ostatnio za bardzo dopieklili kupcom i książę chce tę hołotę trochę przetrzebić. Już tak bywało. Takie rzeczy trzeba po prostu przeczekać.

Skinęła na Ćmieluszkę i obie zniknęły za drzwiami gospody. Rozpruwacz podciągnął gacie i zapiął ciasniej pas.

– Szybko! W las.

– Porządni ludzie nie muszą się bać drużyny – sołtys patrzył na skraj lasu, gdzie nagle przestały ćwierkać ptaki.

– Tylko że zaden z nas nie wygląda na porządnego człowieka. A tacy jak oni nie zavracają sobie głowy próżnym gadaniem. Najpierw siekają, a potem pytają, kto zaciągnął ich do lasu. Ja wolę im zejść z drogi. Kto ma rozum, pójdzie za mną.

Obejrzał się jeszcze raz, nim pochłonął go cień za chlewikiem. Odmieniec zrobił dwa kroki w jego stronę, ale sołtys położył mu dłoń na ramieniu.

– Zostań. Jeśli to naprawdę woje, ja będę z nimi mówił.

Odmieniec szarpnął się, ale już było za późno na ucie-

czkę. Z lasu wyłaniały się zbrojni, kopyta cicho zagłębiały się w mech. Blżej gospody konie zwalniały, wybierając najwygodniejszą drogę w grząskim błocie. Bez słowa, jeden po drugim wjeżdżali na obejście, spychając sołtysa z odmieńcem końskimi piersiami pod plot. Byli zarośnięci i zdruzeleni. Mimo gorąca mieli na grzbietach kozuchy odwrócone włosiem do dołu, spod żelaznych szłomów płynęły strugi potu. Odmieniec próbował ich policzyć, ale zgubił się przy drugiej dziesiątce.

Ostatni, który wjechał, ściągnął wodze i zdejmując szłom nachylił się do nich nad końską grzywą.

– Gdzie wiedźma?

Sołtys za plecami miał plot, a przed twarzą czarne chrapy konia. Ale sztywny kark nawet mu nie drgnął.

– Nigdy nie byłeś wylewny, Stojgniewie, ale po tylu latach mógłbyś chociaż zapytać mnie o zdrowie.

Woj wyprostował się w siodle. Jedną ręką zaczesał jasne włosy do tyłu, a drugą wysunął do połowy trzona topór zza pasa.

– Zanim cię zabiję, chcę wiedzieć, skąd znasz moje imię – rzucił tonem, jakim rozmawia się o nadciągającym deszczu.

Odmieniec wiedział, że wśród wysokich pokrzyw jest prawie niewidoczny, ale dla pewności zrobił mały kroczek w bok. Konie parskały, przebiegając kopytami w miejscu.

– Tnij, suczy synu! – Białe włoski na karku sołtysa rzeźbiły się jak u kota. – A jak już sobie przypomnisz, z kim przehulałeś połowę swojej młodości, każ mi przynajmniej usypać ładny kopczyk.

Zachrzęściły popręgi i zadźwięczało żelazo, kiedy woj zeskokczył na ziemię. Na jego czole utworzyły się dwie głębokie bruzdy, wyciągniętym palcem kolnął sołtysa w pierś.

– Przybysław! – Czoło wyglądało mu się dopiero wtedy, gdy z bliska zjrzał sołtysowi w oczy. – Mówiono mi, że od dawna pielisz grządki. Co tu robisz?

Klepnęli się nawzajem po ramionach, ale raczej chłodno, bez serdeczności. Sołtys położył otwartą dłoń na chrapach konia, przyklnął oczy i wciągnął przez nos zapach skórzanej uprzęży, wilgotnej sierści i odchodów.

– To jedyny na świecie smród, do jakiego można tęsknić – burknął i potrząsnął głową. – Jak widzę, doczekałeś się na stare lata starostwa. Na kogo polujecie?

Stojgniew przez chwilę patrzył na ledwo zasklepione blizny na jego twarzy. Dwie bruzdy znowu wróciły mu na czoło, ale tym razem nie były już tak głębokie.

– Jakiś czas temu w Grodzisku wieszano zbroja. Zanim zdechl, dużo gadał. Czasem tak się z nimi dzieje, kiedy zobaczą pętlę. Mówił, że gdzieś w tutejszej głuszy żyje młoda wiedźma. Ma coś, co wzbudziło zaciekawienie we dworze. Podobno zna się też na leczeniu. Radzi sobie nawet z takimi przypadłościami, na jakie nikt inny nie zna sposobu.

Odmieniec właśnie przekradał się pod brzuchem konia na drugą stronę, ale na te słowa zatrzymał się. Rzucił przestraszone spojrzenie na sołtysa. Strupy na jego twarzy stały się bardziej widoczne, skóra lekko poczerwieniała.

– Dziwne. – Sołtys mówił teraz powoli, ledwo poruszając wargami. – Za moich czasów książe miał ważniejsze sprawy na głowie niż polowania na znachorki.

– To było chyba ze dwadzieścia lat temu. Czasy się zmieniły i książe też. Postarzał się. No, ale to już nie nasza głowa. – Przejechał dłonią po płaskim ostrzu topora. – Gdzie ona jest?

Sołtys spojrział ponad jego ramieniem i zaraz opuścił oczy. Ale to wystarczyło, żeby starosta obrócił się na pięcie. Podszedł do drzwi, stanął w rozkroku i zaparł się pod boki.

– Wylazcie!

Gospodyni wystawiła głowę, nim jeszcze przebrzmiał krzyk, jakby przez cały czas czekała za drzwiami. Nawet nie spojrziała na stłoczone konie i ludzi, tylko od razu skupiła wzrok na staroście. Wyszła przed próg, z ręką schowaną za plecami. Sołtys odchrząknął, ściągając na siebie jej uwagę i ledwo dostrzegalnie pokręcił głową. Gospodyni zacisnęła wargi i odstawiła pogrzbacz, opierając go o ścianę. Ruszyła śmiało do starosty i zatrzymała się dopiero wtedy, kiedy nie dzieliło ich więcej jak pół kroku.

Starosta jednym palcem uniósł wąsy i przez zęby strzyknął śliną.

– Jesteś za stara.

– Przecież nie namawiam cię na ślub. – Zdążyła jeszcze wzruszyć ramionami, ale zaraz potem cios pięścią w policzek odrzucił jej głowę do tyłu.

– Jesteś za stara – powtórzył starosta bez cienia gniewu. – A ja szukam młodej wiedźmy z wisiorkiem na szyi. Zawołaj ją.

– Tu nie ma żadnej wiedźmy. – Zlizła krew z rozbitej wargi. – Prowadzimy z córką gospodę dla podróżnych.

– Tak, słyszałem. Połowa wisielców w Grodzisku chwali się pod szubienicą, że u ciebie chlali po raz ostatni w życiu. Zdaje się, że lubisz podejmować szubrawców i złodziei.

– Lubię. – Spojrzała zimno. – Dlatego zapraszam cię w moje ubogie proggi.

Tym razem jej głowa poleciała w przeciwną stronę. Sołtys przecisnął się między końmi i podszedł do starosty. Słyszał, jak za jego plecami jakiś woj zeskokczył z siodła i ruszył za nim.

– Nie wtrącaj się! – Starosta stanął bokiem do gospodyni.

Sołtys wciąż trzymał w ręce tę samą strzałę, którą wyjął z kołczana, zanim jeszcze przed gospodę zwałiła się drużyna. Niedbale obrócił ją w palcach.

– Cieszę się, że książe zrobił cię starostą. Masz młodą drużynę. – Grotem strzały powiódł wokół siebie. – Pamiętam, że kiedy my byliśmy tacy młodzi, że jeszcze szczyпалиśmy się pod nosem, żeby nam szybciej rosły wąsy, dowodził nami Sulisław. Dobry był chłop. Cierpliwie przyuczał nas do konia, miecza, topora i łuku. Pokazał nam stwarstko, co jest potrzebne do wojowania. – Wzrok mu stwardniał. – Ale nigdy nie pokazywał, jak się tłucze babę.

Starosta uśmiechnął się, trąc kark.

– Zawsze byłeś gotów przygadać choćby samemu diabłu. I zawsze strzelałeś z łuku najlepiej z nas wszystkich. – Spróbował kciukiem ostrości grotu. – Dlatego pozwól, że mój chłopak pomoże ci ustrzec się przed jakąś głupią pokusą, kiedy będę rozmawiał z tą miłą niewiastą.

Z tyłu zagrztywał wyciągany z pochwy miecz, ale sołtys

ciągle patrzył w przeciwną stronę. Zza półotwartych drzwi wysunęła się Ćmieluska, przebiegła cicho wzdłuż gospody i skoczyła za chlewik. Starosta jej nie zauważył, ale kilku wojów pogoniło za nią konie.

Nie trwało to długo. Wrócili, trzymając ją za nadgarstki i wlokąc między sobą. Jej nisko zwieszona głowa chwiała się bezwładnie, włosy opadały na twarz. Staroście podprowadzono konia, postępując usadził się w siodło. Wjechał między gospodynią a sołtysa, roztrącając ich na boki i pochylił się nad Ćmieluszką. Zebrał w garści jej włosy i mocnym szarpnięciem podniósł głowę, odsłaniając szyję.

– Gdzie to masz? – Twarz mu pociemniała.

Gospodyni podbiegła, próbując podtrzymać z tyłu słaniającą się Ćmieluszkę.

– Mówiłam, że tutaj nie ma żadnej wiedźmy!

Starosta odepchnął ją kopniakiem i wciągnął dziewczynę na grzbiet konia, przewieszając ją przed sobą jak ubite zwierzę. Kiedy zataczał po obejściu ciasne koło, jej ręce i nogi objęły się o siebie.

– Gospodę przeszukać, a jak nic nie znajdziecie, jeszcze raz pokłonić się gospodyni. Potem spalić wszystko.

Bodnął konia piętami, ale wtedy nagle zobaczył na grzywie dwie zaciśnięte pięści. Zaklął, przechylając się nad końskim łbem.

– A to co znowu za licho?

Odmieniec trzymał się z całych sił. Kiedy koń podniósł łeb, ziemia uciekła mu spod nóg. Widział kiwające się bezradnie ramiona Ćmieluski, czerwone od napływającej krwi. Podciągnął się wyżej. Między uszami konia zobaczył skrzywione wargi starosty i zawieszony gdzieś wysoko w chmurach topór.

Potem już nic.

•
Myślała, że kiedy już wreszcie każą jej pochylić się nad tą czarną dziurą i pozostanie jej tylko czekać, aż ktoś pchnie ją w plecy, poczuje ulgę. Zdawało jej się, że poznała już wszystkie kształty strachu i udrczenia, więc dalej

może być tylko lepiej. Wyobrażała sobie, że będzie umiała z podniesionym czołem patrzeć na to, co ją czeka. Po tych wszystkich dniach i nocach spędzonych w zimnym lochu, po całej nawałnicy wyszukanego cierpienia, jakie jej zadano, było jej wszystko jedno. Znali się na tym, co robili. Bili tak, żeby nie mdlała, a jeśli już się zapędzili, to cucili ją wbijając pod paznokcie drzazgi. Ryczeli bulgoczącym śmiechem, kiedy krzyczała, że nie jest wiedźmą i nie potrafi zrobić nic z tego, czego od niej żądają. Co jakiś czas skrzypiały drzwi i na kamiennych schodkach stukaty kroki starosty. Brał ją pod brodę, świecił lucywym w zapuchnięte powieki i pytał o jakieś rzeczy, których nie rozumiała. Potem odchodził i znowu wyciągały się po nią spoczone łapska katów.

Kiedy przyszedł po raz ostatni, nie miała nawet tyle sił, żeby jęczeć. Pokiwała nad nią głową, westchnął i rzucił za siebie jakiś krótki rozkaz. Wiedziała, gdzie ją prowadzą. Od samego początku, kiedy zrzucili ją z grzbietu konia na ubitą ziemię dziedzińca, nikt tego przed nią nie tał. Powtarzali jej to po każdym uderzeniu, wykrzykiwali ochryplymi głosami prosto w ucho, tak długo, aż wreszcie przestało ją to przerażać. Nie umiała utrzymać się na nogach, więc ponieśli ją jakimś dusznym przejściem. Potem nagle owiało jej twarz świeże nocne powietrze, które przywróciło ją do przytomności. Zobaczyła starostę, kilku pacholków, a dalej łukowato wygięty zarys wału. Z loskotem przeciągnięto po ziemi coś bardzo ciężkiego.

Starosta objął ją ramieniem i podprowadził kilka kroków naprzód. Widziała, jak u jej stóp otwiera się czarniejsza od nocy pustka. Spodziewała się, że poczuje chłód, ale z dołu parowało ciepło.

– Byłaś bardzo dzielna, a ja cenię odwagę. – Starosta przycisnął ją mocniej do siebie. – Dam ci jedną dobrą radę. Tam, na dole, nie próbuj walczyć, bo to tylko przedłuży twoją mękę.

Chyba nawet jej nie popchnął, tylko po prostu puścił. Zatoczyła się bezwładnie i nagle poczuła, że pod prawą stopą nie znajduje oparcia. Podniosła ręce, stęknęła jak ktoś, kogo uderzono w żołądek, i runęła w przepaść.

Spadanie nie mogło trwać długo, ale dla niej przemieniło się w jeden, oślepiający jasny wybuch myśli, który trwał obok czasu. Wiedziała, że tak właśnie wygląda przedśmierć. Czekając na uderzenie o dno i nawet zdążyła się zastanowić, czy odczuje to jako ból.

Jasność roztrząsała się na tysiące iskier, ciało Ćmieluski wyprężło się i straciła oddech. Przez chwilę nie ruszała się, jakby czekała na coś jeszcze. Uderzyła głową o kamień, niezbyt mocno, ale właśnie to wyrwało ją z bezwładu. Poczula ucisk w piersi, zatrzępotało serce, a pod pachami narastał palący ból.

Spróbowała się poruszyć. Ostrożnie przekreśliła szyję w lewo i w prawo, choć tępe łomotanie pod czaszką tylko się wzmogło. Usłyszała swój własny, rżący oddech. Podkurczyła palce u stóp, ale kiedy chciała ruszyć ręką, nie mogła.

Wisiąca. Zrozumiała to, kiedy kamienna płaszczyna ściany dotknęła jej pleców i pośladków, a potem znowu odplynęła w tył. Lina, którą okrecili pod jej pachami, wpięła się głęboko w ciało. Ściśnięta obojczykami tchawica nie pozwalała na głęboki oddech. Zdawało jej się, że odcięta od dopływu krwi dłonie puchną, a potem przestała je w ogóle czuć. Miała zbyt małą swobodę ruchów, żeby podnieść głowę. To, co było wokół niej, spowijał mrok. Zaczęła się szamotać. Najpierw niezbyt gwałtownie, z przerwami na odpoczynek, ale z upływem czasu coraz rozpaczliwiej. Lina się rozchwiała i Ćmieluska kilka razy uderzyła o ścianę, o wiele mocniej, niż za pierwszym razem. Chciała podnieść ręce, chciała wspiąć się wyżej, a wreszcie chciała zrobić cokolwiek, co zmniejszyłoby ból. Odczuwała go tak, jakby ktoś wetknął jej pod pachy dwa rozżarzone pręty. Zaczęła płakać, chociaż przy płytkim oddechu łkanie tylko szybciej wysysało z niej siły.

W pewnej chwili poczuła, że nie uda jej się utrzymać dłużej moczu. Zmagala się z tym przez jakiś czas, chociaż nie miało to żadnego znaczenia. Kiedy poczuła ciepło na udach i łydkach, przestała się szarpać. Nie panowała nad własnym ciałem i było to dla niej ostatecznym powodem, żeby się poddać. Przestała walczyć o następny oddech

i nawet ból jakby osłabił, wchłonięty przez tężejącą drętwinę.

Drgnęła i otworzyła oczy.

Strumień moczu oplątywał siecią ciepłych nitek jej nogi, zbierał się przy obu piętach i skapywał w dół. Każde uderzenie kropli o kamienne podłoże natrętnie świdrowało w uszach.

Dno musiało być tuż pod nią.

Rozpacz zmieszana z nadzieją sprawiła, że targnęła się na linie z nową siłą. Coś trzasnęło w obojczyku i oba jej ramiona podniosły się do góry. Wciąż wisiąca, ale obsunęła się trochę niżej. Lina otarła czubek jej brody i zatrzymała się na nosie. Ulga w odciążonych pachach trwała tylko przez chwilę. Zaczęła się dusić. Wyprężła się i sięgnęła dużym palcem prawej stopy najniżej, jak mogła. Poczula coś, jakby łaskotanie w sam koniuszek palca, a zaraz potem leciutko skrobnięła paznokciem o kamień. Mokre nogi ziębił przeciąg. Czula, że zostało jej bardzo niewiele czasu. Spróbowała jeszcze raz. Tym razem postawiła na ziemi cały palec. Znalazła zaczepienie w jakiejś nierówności podłoża i przestała się kotłować, ale to ciągle było za mało. Serce biło coraz leniwiej, jakby musiało pokonywać opór gęstniejącej krwi. Resztki porwanych myśli spłotyły się jeszcze w pragnienie, żeby wrócić do tego, co było. Do bólu pod pachami, do rozpacz, ale też do oddechu.

Wstrząs, uderzenie i cisza.

Bardzo długo trwało, zanim uwierzyła, że leży na ziemi. Bała się, że to może być tylko złudzenie, bo wciąż czuła na sobie ucisk liny. Powoli poruszyła głowę, trąc policzkiem o chropawą powierzchnię. Czula ostry zapach moczu, a kiedy niepewnie się podniosła, musiała szarpnięciem odlepić włosy od podłoża. Gdzieś z boku głowy ciekła jej krew. Uwolniła się z pętli i po omacku, sztywnymi palcami przesunęła linę w dłoń do miejsca, w którym pękła. Przez dłuższy czas czekała nieruchomo, aż w jej głowie ustanie jednostajne huczenie.

Brzęgi pęknięcia były całkiem równe. Jak po cięciu.

Wstała. Oddech jeszcze sprawiał jej ból, ale chyba nie

miała zadnych złamań. Rozumiała, że teraz jej życie zależy od tego, ile spokoju uda się jej zawrzeć w tym, co powie. Odchrząknęła, taplając stopami w stygnącej kałuży.

– Nazywam się Ćmieluska. Dziękuję ci za pomoc.

Szeptala, a zdawało się, że krzyczy. Ciemność wciąż była tak samo nieprzenikniona, ale jakby zaczynała tracić swoją jednorodność. Lagodny powiew nadawał jej głębie, a powoli zamierające drzenie każdego dźwięku pozwalało domyślać się ścian i sklepienia. Nisko nad ziemią trwał jakiś ruch, raczej przeczuty, niż wychwycony szeroko otwartymi oczami. Jakby smoliste plamki przesuwały się w mroku, stapały się i rozdzielały, znikaly i pojawiały się w innym miejscu.

Ćmieluska wyciągnęła do przodu obie ręce i bardzo powoli obróciła się dookoła.

– Nic nie mów, jeśli nie chcesz. Nie będę ci przeszkadzać. Zaraz sobie stąd pójdę.

Zrobiła krok naprzód i zamarła. Króciutko, ale całkiem wyraźnie coś zimnego dotknęło jej łydki. Przykucała i gorączkowo zaczęła przeszukiwać całą przestrzeń, jaką miała w zasięgu rąk. Przesiewała w dłoniach drobne kamyczki, wsadzała palce w każdy załomek, na jaki natrafiła. Kiedy chwilami nieruchomiała, nasłuchując, ciemność zdawała się odpowiadać jej zwielokrotnionym oddechem.

Z trudem powstrzymała się od krzyku, kiedy dotknęła krótkiej, twardej sierści. Szczur nawet się nie odsunął, tylko musnął mokrym pyszczkiem wierzch jej dłoni, a potem pisnął. W jednej chwili mrok rozszemrał się chrobotem setek pazurków.

Toczyły się wszędzie, słyszała je z każdej strony, w którą się obróciła. Kładły przednie łapki na jej stopach i łydkach, taskotały ją wąsami, przeciągały między jej palcami swoje nagie ogony. Ze strachu zaczęła się pocić. Zdawało jej się, że z ciemności napływa ich coraz więcej i więcej. Były spokojne, ale Ćmieluska wyczuwała, że gdzieś na dnie tego bezładnego ruchu wrze oczekiwanie. Rozumiała, że potrwa to tylko tak długo, póki pierwszy szczur jej nie zadrasnie, choćby przypadkiem, i nie poczuję na języku kropli ludzkiej krwi. Wtedy obleżą ją po kolana, po

brzuch, po twarz. Może uda jej się zrobić krok albo dwa, a potem ugnie się pod ich ciężarem.

Nagle zrobiło się całkiem cicho. Gdyby nie gęsty, mdlący zapach, pomyślałaby, że szczury zniknęły.

– Chodź.

Głos zachrypiał jak rdzewiejący zawias. Wyraźnie usłyszała szelest odrzucanych do tyłu włosów, a potem oddalające się klaskanie bosych stóp.

Poszła. Szczury rozstępowały się przed nią jak suche liście zmiatane wiatrem.

•

Na początku najgorsza była ciemność. Nie taka, jak przy bezksiężycowej, chmurnej nocy, ani nawet nie taka, jaka czai się pod zamkniętymi powiekami. Inna. Całkowita. Nigdy nie rozproszona światłem słońca ani ognia, gęsta, stęzala i nieruchoma. Dotykała skóry miękką pieszczołą, która zamiast ukojenia przynosiła dreszcze. Męczyła oczy bardziej niż oslepiająca jasność. Zniekształcała dźwięki, czasem wchłaniając je jak bagno, a czasem wyolbrzymiając i powtarzając w nieskończoność, aż piekły uszy.

Bardzo długo Ćmieluska bała się każdego następnego kroku, to było jak skok do mętnej wody o nieznanym dnie. Szła wyprostowana, z usztywnionym karkiem i wyciągniętymi rękami, a końce jej palców nie przestawały leciutko drzeć. Starła się przesuwać stopy powoli, tuż nad podłożem, ale i tak kilka razy prawie upadła, potykając się na jakiejś przeszkodzie. Pilnowała, żeby słaby wiaterek cały czas owiewał jej twarz. Odgłos kroków, który słyszała przed sobą, czasami milkł, a wtedy ona też się zatrzymywała. Z tyłu dobiegał do niej bardzo odległy rwetes szczurzych wałk, niekiedy stukot jakiegoś większego kamienia. Ale tam, gdzie szła, mąciło ciszę tylko to nierówne człapanie. I głos.

– Chodź.

Szybko zrozumiała, że to musi być bardzo młoda dziewczyna, może nawet młodsza od niej samej. Nie mogła się mylić, choć nie umiałaby powiedzieć, skąd ta pewność.

Może to sposób chodzenia, a może jakaś szczególna barwa głosu przezierająca spod chropowatości. Prawie przestała się bać. Kiedy jej słuchała, w krótkiej chwili ciszy pomiędzy słowem a jego pogłosem wyczuwała napięcie, ale nie wrogość. Po jakimś czasie umiała już odróżnić w strumieniu przeciągającego korytarzem powietrza jej zapach. Był mocny, drażniący, ale bez żadnych wątpliwości ludzki.

Kiedy walczyła o życie, wypełnił ją gwałtowny przepływ sił, który teraz cofał się, ustępując miejsca znuzeniu. Była osłabiona biciem i głodem, a jednostajność kroków i brak czegokolwiek, na czym mogłaby zaczepić wzrok, działał usypiająco. Wciąż szła, ale coraz częściej musiała otrząsać się z odrętwienia, które w tej ciemnicy niewiele różniło się od snu. Ciężko przestawiała nogę za nogą, jakby brodziła po kolana w smole.

Zatrzymała się, pośliniła dwa palce i roztarła nimi skronie.

– Muszę odpocząć – powiedziała cicho w pustkę.

Człapanie urwało się. W uszach Ćmieluski rozdzwoniła się cisza, wypłukana nawet ze szmeru oddechów.

– Chodź.

– Mówię ci, że muszę odpocząć! – Czula, jak narasta w niej złość, której nie miała siły się przeciwstawić. – Jestem człowiekiem, a nie upiorem! Potrzebuję snu.

Znowu zastukało kilka kroków. Tym razem się zbliżyły, bo każdy kolejny był głośniejszy. Ćmieluska miała wrażenie, że ostra woń tężeje i zamyka ją w sobie.

– Niedługo. Chodź.

Pokiwała głową, jakby ktoś mógł to zobaczyć, i zmusiła się do następnego kroku. Przestała walczyć z opadającymi powiekami. Zdawało jej się, że idąc zrywa porozpinane w poprzek korytarza sieci pajęczyn, które oblepiają jej twarz i krępują ruchy. Nie wiedziała, czy utrzymuje właściwy kierunek, bo nie słyszała nic oprócz szumu własnej krwi. Nie wiedziała nawet, czy wciąż brnie do przodu, czy tylko kręci się w miejscu, ślamazarnie przebieierając nogami.

Chyba ktoś pociągnął ją za rękaw albo po prostu straciła równowagę. Poczula pod ramieniem ścianę i osunęła się na kolana.

– Śpij.

Miejsce było równe, odmiecone z kamieni i suche. Z ulgą położyła się na brzuchu, opierając czoło na grzbietach złączonych dłoni. Sen wciągnął ją od razu, jak czarny wir. Obudził ją głód.

Jeszcze zanim otworzyła oczy, czuła jego uporczywe ssanie. Kiedy usiadła i spróbowała się podnieść, fala mdłości podcięła jej kolana. Przeczekała ją, przyciskając policzek do chłodnej skały. Odetchnęła głęboko, z zalem wypędzając z siebie barwne, ciepłe resztki snu.

– Chodź.

Wstała, przytrzymując się ściany. Zawirowało jej w głowie. Miała dziwne uczucie, że nie umiałaby wskazać, gdzie jest góra, a gdzie dół.

– Wygląda na to, że jestem twoim gościem. – Skrzywiła się, bo coś głośno przelalo się w jej brzuchu. – Więc chyba powinnaś zatroszczyć się o śniadanie.

Przestraszyła się, kiedy zamiast odpowiedzi usłyszała oddalające się kroki. Podbiegła kawalek, ale po chwili przystanąła.

– Poczekaj! Ty chyba czasem też jadasz? No stój! Wiesz, co to jedzenie? Strawa? Jadlo? Żarcie?

Kroki nie umilkły. Dopiero później, kiedy Ćmieluska zdążyła już zetrzeć z policzków pierwsze łzy, na chwilę zmącił się ich takt.

– Mięso u matki. Chodź.

Niewiele zapamiętała z dalszej drogi. Rozgarniała ramionami ciemność i parła przed siebie, slaniając się z osłabienia. Korytarz wciąż opadał, czasem tak stromo, że musiała schodzić bokiem, żeby nie upaść. Ściany zbiegały się bardzo blisko, aż ocierała się o nie biodrami, żeby potem nagle odskoczyć.

Gdzieś niedaleko kropelka po kropelce ciekła woda i Ćmieluska wyciągnęła w tamtą stronę szyję, ale nie odważyla się szukać jej sama. Zagryzła do bólu wargę i skulona pobiegła dalej, za szeleszczącym w korytarzu głosem.

Straciła poczucie czasu. Może biegła tak przez cały dzień, a może tylko przez chwilę, wydłużoną przez brak

celu w nieskończoność. Przeszał ją męczyć głód. Zastąpiło go jakieś niespodziewane, beztraskie poczucie lekkości. Była pewna, że niedługo umrze, ale wcale jej to nie przerażało. Zdawało jej się, że wydłużonym krokiem pędzi przez mrok, a wiejący z trzewi ziemi wiatr rozwiewa jej włosy. Nie słyszała już w oddali kroków, ale tym też się nie martwiła. Wołała być sama. Nie chciała sobie przypominać, skąd biegnie i dokąd.

Czyjeś palce dotknęły jej czoła i nagle znowu znalazła się na ziemi. Nie leciała, nie biegła, ale wlokła się nogą za nogą. Miała odbite pięty, a palce u nóg pozlepiane krwią. Zrobiła jeszcze jeden krok i rozplakala się z bólu.

– Teraz będzie jedzenie. – Głos nigdy jeszcze nie był tak bliski, prawie laskotał jej twarz.

Wyciągnęła przed siebie dłoń, ale usłyszała dwa pospieszne szurnięcia i jej palce nie dotknęły niczego.

– Nazywam się Ćmieluska... – Przerwała, żeby posłuchać dobrzmiewającego gdzieś bardzo wysoko pogłosu własnych słów. – Nie musisz się przede mną chować, kimkolwiek jesteś.

Miała chęć zajrzeć jej w oczy, choćby tylko przez chwilę, w jakimś króciutkim błysku światła. Ale prawie jednocześnie ukłuło ją niepokojem przecucie, że nie znalazłaby w nich nic poza wyblakłą pustką. Opuściła rękę.

– Mięso. – Głos zawisł w próżni, jakby się zawahał, a potem dokończył, wyraźnie oddzielając słowo od słowa: – Jedzenie. Strawa. Żarcie.

Zapach surowego mięsa uderzył w nią tak nagle, że przez jakiś czas stała zamroczona. Puste kiszki zawarczały głośnie, jak zwierzę. Wydęła wargi jak do pocałunku i powoli pochyliła się naprzód. Dotknęła ustami zimnego ochłapu i znowu zamarła, pozwalając odurzyć się krwistym oparom. Nie wzięła go do ręki, tylko odgryzła mały kęs i starannie rozgniotła językiem na podniebieniu.

– Nigdy w życiu tak nie ucztowałam! – Było jej do brze, coraz lepiej. – Tylko skąd ty w tej norze wzięłaś mięso...

Sapnęła z otwartymi ustami, jakby kęs nagle stał się gorący. Zakrztusiła się nadmiarem śliny, upadła na kola-

na i bardzo długo pluła, wydubując paznokciem spomiędzy zębów najdrobniejsze włókienka. Potem wepchnęła palec głęboko w gardło i w bolesnym skurczu zwymiotowała wszystko, nawet żółć.

– Powiedz mi, że to było mięso szczura! – Usiadła na piętach i brzegiem sukienki zaczęła trzeć wargi, jakby chciała odrzeć je z naskórka. – Błagam cię. Sklam, ale powiedz, że to szczur!

Dziewczyna przykucnęła, stawy w jej kolanach trzasnęły cicho. Miały teraz twarze na tej samej wysokości i ich oddechy się zmieszały.

– Szczurów się nie je – mlasnęła, przesuwając językiem jedzenie spod jednego policzka w drugi.

Skurcz zołądka znowu złamał Ćmieluszkę w pół, na długo odbierając jej oddech. Kiedy wreszcie opadła na ziemię i drżącą ręką dotknęła czoła, było zimne i mokre od potu.

Dźwignęła głowę, podniosła się na łokciach i świszcząc przez wysuszone gardło zaczęła czołgać się naprzód, byle dalej. Kroki, które zachrzęściły za nią, były tak nie pewne, jakby wcale nie chciały jej dogonić.

– Zostaw mnie! – wrzasnęła. – To wszystko prawda, co o tobie mówili, tam na górze! Nie jesteś człowiekiem, tylko... tylko...

Nie dokończyła, znowu zdusiło ją łkanie, bardzo podobne do młodości. Z całej siły uderzyła głową w skałę, żeby to jakoś przerwać, ale pomogło tylko na chwilę. Z trudem obróciła się na plecy i od razu zapadła w chorobliwy półsen, chociaż nie przestawała nią wstrząsać czkawka i szloch.

Kroki oddaliły się, ciche jak złudzenie.

Pierwszą myślą, jaka świadomie rozjarzyła się w jej głowie, był zawód, że wciąż jeszcze żyje. Miała nadzieję na bezbolesną śmierć we śnie. Czuli, że to nie potrwa długo, bo nie miała nawet tyle siły, żeby unieść głowę, ale głód szarpał ją z tym większą zacieklnością, jakby ktoś gmerał paluchami w jej wnętrzościach.

Spojrzała zza rzęs i wstrzymała oddech.

Ciemność zmieniła się. Przestała być zwarta i jednolicie czarna, ale nabrała różnych odcieni, które nadały jej głębię. Ledwo uchwytny okiem odbłask niebieskawej poświaty sączył się gdzieś z tyłu, poza zasięgiem jej wzroku. Serce zabiło jej mocniej. Zaciśnęła wargi i spróbowała przekręcić się na brzuch.

- Mam jedzenie.

Znieruchomiła, podparta na łokciu, z głową ciążącą jak u niemowlęcia. Ciemność się rozmyła, kręcąc się dookoła wirum ruchomych smug, ale zaraz potem zestaliła się w zarys głowy, rozwichrzonych włosów i ramion.

- Mam jedzenie. - Głowa pochylila się niżej. - Dla ciebie.

Odrzuciła rękę, która wyciągnęła się do niej. Usiadła. Miała wrażenie, że jej gałkom ocznym jest za ciasno w oczodolach.

- Prędeż zdechnę! Zabierz to.

Przypomniała sobie wcześniejsze młodości i przez przełyk przebiegło jej mrowienie, tam i z powrotem. Miała ochotę chwycić tamtą za włosy i tak długo tłuc jej głowę o skałę, póki dziewczyna nie przestanie się ruszać. Bała się własnej złości, ale jeszcze bardziej bała się pokusy.

- Ty nie jesz mięsa, ja wiem. Mam dla ciebie inne jedzenie.

- Inne? - Oblała ją fala gorąca, od głowy po palce u stóp. - Jakże?

- Dłonie złączone w kołyskę znowu były przed jej twarzą. - Weź. Tylko uważaj.

- Czemu?

- Bo uciekniesz.

Zmusiła się, żeby o niczym nie myśleć. Po prostu wtknęła palce do wnętrza jej dłoni i złapała to. Było grube jak kciuk, miało bardzo wiele ruchliwych nóżek i wilo się, próbując wyrwać się z uścisku. Podniosła rękę do ust i zaciśnęła powieki.

- Ty też to zjadasz? - zapytała szybko.

- Ja nie. Ale Dziecinka zjada.

Myślała, że najlepiej będzie, jeśli polknie robaka bez

gryzienia. Ale nie było. Zapał się w gardle i zaczął ją lechtuć, szukając drogi ucieczki. Przepchnęła go dalej palcem, a potem długo patrzyła pustym wzrokiem w mroczną dal, ziając jak pies. Z następnymi poszło lepiej. Rozgniatła ich główki kamieniem, czekała, aż przestaną się ruszać, i wysysała sam őrodek, odrzucając pustą powłokę. Nie skrzywiła się już ani razu. Zjadła je wszystkie, co do jednego, a potem jeszcze oblizała lepkie palce.

- Dziękuję. - Nie czuła się ani trochę mocniejsza, ale uwierzyła, że to jeszcze nie koniec. - Jadałam już lepiej, ale doceniam, że się starasz.

- Kruszyna.

- Co? - nie zrozumiała.

- Ty jesteś Ćmieluska. Ja Kruszyna. Chcesz jeszcze?

- Nie, wystarczy. - Czula, jak od rozbudzonego żołądka zaczyna promieniować ciepło. - Wcale nie jest takie pewne, że zaraz nie wywałę tego z powrotem.

- No to wypuszczę ją do strumienia. - Kruszyna wstała, żeby odejść, ale Ćmieluska zerwała się na nogi zaraz po niej.

- Czekaj! - krzyknęła o wiele za głośno. - Co chcesz wypuścić do strumienia?

- Rybę - w głosie dziewczyny po raz pierwszy przebiło się coś bardzo podobnego do zdumienia. - W strumieniu żyją ryby.

- Dawaj!

Rybka była maleńka i chyba pozbawiona oczu. Ćmieluska polknęła ją razem z głową, kręgosłupem i miękkimi ościami.

- Nie mogłaś zacząć od tego? - jęknęła. - Spokojnie mogliśmy darować sobie... tamto.

- Ryba jest zimna. I śmierdzi. Robak lepszy.

Ćmieluska niecierpliwie machnęła ręką i potarła czoło. Spróbowała się skupić, jakoś powiązać bezładnie snujące się myśli. Żyła, ale musiała szybko coś wymyślić.

- Jestem pewna, że przedtem nie było tak jasno. - Podniosła oczy, jakby spodziewała się dojrzeć w górze gwiazdy. - Skąd ta poświata, jeśli tutaj nawet ryby są ślepe?

Wokół siebie czuła pustkę, zanurzoną gdzieś na krańcach w niebieskawej mgle. Ruszyła w stronę, gdzie ciemność wydawała się podświetlona pelgającym ogniem. W miarę, jak szła, coraz wyraźniej widziała źródła tego blasku. Tryskały z dołu ku górze świetlistymi słupami. Kiedy unoszące się w powietrzu drobinki wilgoci dostawały się w ich zasięg, na mgnienie oka rozblyskiwały sino-niebieskim żarem. Wysoko, u sklepienia, szczyrzyły się zęby kamiennych sopli.

– Lepiej tam teraz nie chodzić. – Dagoniła ją Kruszyna. – Lepiej nie patrzeć.

Ćmieluska nie zwołniała. Światło przyciągało ją jak ćmę. Chciała stanąć w jego strumieniu, żeby się obmyć, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

Weszła między niebieskie, przezroczyście pnie blasku, jak w las. Jedne z nich były grubsze, inne węższe, ale wszystkie strzelały prosto w sklepienie, odciskając na nim jasne cętki. Wyrastały z dużych okragłych otworów wydrążonych w podłożu, rozrzuconych na szerokiej przestrzeni, jakby wypalił je przed wiekami ognisty grad.

– Co to jest?

Wyciągnęła palec i powoli zanurzyła go w smudze światła. Było zimne i nieruchome, jak zatopione w lodzie. Choć przyglądała mu się z bliska, wcale nie raziło jej źrenic.

– Matka mówiła, że to okna piekieł.

Ćmieluska musiała się zmusić, żeby oderwać wzrok od światła i odwrócić głowę. Chciała tylko o coś zapytać, ale zapomniała, że po raz pierwszy między nimi dwiema nie leży mrok.

Zakryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

Kruszyna stała tuż poza obrębem świetlistego lasu. Była mała, chyba mniejsza od Ćmieluski o głowę. Jej włosy, pozlepiane zastarzałym potem i kurzem, sterczały na wszystkie strony jak kolce jeża. Nie miała żadnego ubrania. Jej skóra była całkiem biała, a spod niej przebijała jasnoblękitna siatka żył. W niebieskim blasku jej nieruchoma twarz wyglądała jak trupia. Oczy miała szeroko otwarte, ale mętne, jakby powleczone bielmem.

Powolutku z góry zaczął splywać cień. Najpierw okrył jej czoło, potem twarz, barki i ramiona. Dziury w podłożu gasły, wszystkie naraz, jakby gdzieś głęboko pod ziemią właśnie dopalał się piekielny żar.

Ćmieluska otrząsnęła się, choć wcale nie zrobiło się zimniej.

– Dlaczego twojej matki tutaj nie ma? – zapytała dopiero wtedy, gdy Kruszyna znów stała się tylko głosem i zapachem.

– Jest.

Tego się nie spodziewała. Bardzo ostrożnie podeszła bliżej, uważając, żeby nie trafić stopą do dziury.

– Gdzie?

– Tam, gdzie spałaś.

Wciąż miała pod powiekami resztki niebieskiego światła, ale nie żałowała, że zgasło. Nie uważała już, że ciemność jest najstraszniejsza.

– Nie słyszałam jej.

– Ona nie mówi.

– Ale ja nie słyszałam nic. – Własny głos brzmiał dla niej obco. – Ani jak chodzi, ani jak je. Ani jak oddycha.

Kruszyna milczała długo, jakby to była rzecz wymagająca przemyślenia.

– Matka jest... – Słychać było, jak niespokojnie zadreptała w miejscu. – Jest inna niż ty i ja. Chodź, zaprowadzę cię do niej.

Ćmieluska schowała za siebie ręce, jakby się bała, że Kruszyna pociągnie ją siłą.

– Nigdzie nie pójdę.

– Ale... Ona na ciebie czeka. Dawniej, kiedy jeszcze mówiła, opowiadała mi o tobie. Wiele razy.

– Co mówiła?

– Ze kiedy się tutaj pojawisz, nie zechcesz jeść mięsa. Ze będziesz miała ładny głos, ładny zapach i ładne włosy. Ze trzeba cię obronić przed szczurami, nie wolno zabić. Ze dzięki tobie pójdę do tych wszystkich miejsc, gdzie jest dużo dźwięków i gdzie bołą oczy. Ze odnajdę tam małego człowieka, który zabierze mnie do nieba. Ze...

– Wystarczy! – Ćmieluska przerwała ostro ten potok

słów. – Chcę stąd wyjść tak samo jak ty, a może nawet jeszcze bardziej. Ale nie wiem, jak! Nie jestem tą, o której opowiadała ci matka. Może ktoś taki w ogóle nie istnieje. Wymyśliła to, żebyś miała po co dalej żyć, kiedy ona już... Kiedy zostaniesz sama.

Oddech Kruszyny zrobił się szybszy, ale Ćmieluska tego nie zauważyła.

– Mówiła mi o tobie – powtórzyła uparcie. – Chodź. Ona czeka.

– Zrozumie wreszcie, ty goła glisto! – Przesławiała nad sobą panować, a głód i bezradność jeszcze bardziej podsyciły jej wściekłość. – Nigdzie nie pójde! Twoja matka oszalała w tym grobie i wcale się temu nie dziwię! I ja też oszalałam, jeśli w ogóle rozmawiam z kimś, kto wyjada ludziom bebechy!

Długo wysapywała złość. Kiedy się uspokoiła i wytarła pianę z warg, zaniepokoiła ją cisza. Bezwiednie sięgnęła ręką w czerń. Od razu znalazła twarz Kruszyny, opuszkami palców musnęła jej czoło i nos. Chciała opuścić dłoń, ale wtedy we wgłębieniach pod jej oczami wyczuła wilgoć.

– Płaczesz?

Kiedy Kruszyna zatrzepotała rękami, Ćmieluska poczuła na palcach ciepłe kropelki.

– Chodź.

•

Sołtys pochował gospodynię jak trzeba, usypał mogiłę i zbił nawet krzyż z osmalonych bali, które zostały po go spodzie. Nie znalazł żadnej odpowiedniej modlitwy, ale po chwili nad grobem w milczeniu, a potem z szacunkiem pochylał głowę. Nigdy przedtem nie spotkał takiej baby jak ona. Była całkiem inna od Grubej Jagny. Zauważał, że nie zdążył poznać jej lepiej.

Rozejrzył się po pogorzeliisku. Truchła świni leżały zagrzebane w zgłiszczach chlewa, a trzynoga psina między nimi, jakby do samego końca szukała jakiegoś schronienia. Osmalona i nikomu niepotrzebna studnia sterczała z popieliska. Wrony obsiadły żerdki pochylonego plotu i strosząc pióra, cierpliwie czekały, kiedy sołtys wreszcie sobie pójdzie.

Spojrzał w stronę zaciemionego skraju lasu, gdzie na podściółce z suchego igliwia położył odmieńca. Miał nadzieję, że już przestał oddychać. Kiedy podniósł go spod kornskich kopyt, jeszcze kołatało się w nim życie, ale to nie mogło długo potrwać. Jego twarz była rozorana toporem na ukos, krew zalewała mu usta i zlepiła powieki.

– A jednak nie był z ciebie taki zamrożony tchórz, za jakiego cię miałem – mruknął sołtys, podchodząc bliżej. – Nie każdy odważyłby się skoczyć z gołymi rękami na żelazo.

Zatrzymał się w pół kroku, kiedy zobaczył, że między drzewami ktoś stoi. Sięgnął po strzałę, ale kiedy lepiej wpatrzył się w półmrok, opuścił rękę. To była jakaś mała zasuszona staruszka, oburącz wsparta na sękatym kijku. Nie dostrzegł jej wcześniej, bo jej polatana kiecka była całkiem wypłowiała.

– Wylaż, babko, z krzaków! – zawołał. – Jeśli przyszłaś przewąchać, czy nie da się wygrzebać z popiołów czegoś dla siebie, to powinnaś siedzieć na płocie między wronami.

Podniosła głowę, ale tylko na chwilę, jakby sołtys wcale jej nie zaciekawil. Potem pochylała się jeszcze niżej, patrząc w zakrwawioną twarz odmieńca i w zamysleniu przebiegając palcami po kijku.

– Naciągnij mi wody ze studni – odezwała się nagle. Sołtys drgnął zaskoczony, ale pokrył zmieszanie pogardliwym uśmiechem.

– Może bym ci nawet pomógł, gdybyś poprosiła. Ale rozkazów nie słucham, odkąd mnie wyrzucili z drużyny.

– Naciągnij wody – powtórzyła, nie podnosząc głosu. – Trzeba mu obmyć ranę.

– Nie trudź się, nic z tego nie będzie. On nie dożyje nocy. Ale dobrze, że jesteś, posiedzisz przy nim, póki nie zgaśnie. Mnie tu nic nie trzyma, a on mimo wszystko nie zasłużył na to, żeby wilki dobrały się do niego żywcem.

Wrony poderwały się z łopotem skrzydeł, kiedy sołtys przewrócił nogą plot. Wyszedł na drogę, nie oglądając się za siebie. Jeszcze nie wiedział, dokąd pójdzie, ale na pierwszy nocleg chciał się zatrzymać jak najdalej stąd.

Prosta droga łagodnie wsuwała się w las.

Po pierwszych kilku krokach zmarszczył brwi. Stopy zagłębiły mu się w piachu po kostki. Nie przypominał sobie, żeby przedtem było tutaj aż tak grząsko. Zachwiał się, rozłożył ramiona i z trudem wrywając nogi ruszył dalej. Dobrnął do miejsca, gdzie na poboczu zaczynały się już pierwsze paprocie, i znowu przystanął. Zaklął, osuszył rękawem czoło.

– Diabli nadali taką drogę! – burknął do siebie – Szybciej będzie, jak znajdę jakąś sarnią ścieżkę.

Chciał zawrócić w stronę lasu, ale nie zrobił już ani kroku. Zbladł, kiedy spojrzął w dół. Ugrzązł powyżej kolan. Szarpnął się mocno, żeby uwolnić prawą nogę, ale zamiast tego osunął się jeszcze głębiej.

– Co to jest? – krzyknął, chwytając rękami powietrze – Wciaga mnie!

Żeby spojrzeć na pogorzelsko, musiał odwrócić się całym tułowiem. Wrony przyglądały mu się czarnymi, zimnymi ślepkami. Dostrzegł pod lasem staruchę. Wciąż stała nad odmieńcem i kiwała się lekko w przód i w tył, oparta na kijaszku. Miała zamknięte oczy i wyglądała, jakby drzemała.

– Hej! – wrzasnęła sołtys z całych sił. – Babciu! Podejdź tu szybko i podaj mi kij!

Nie ruszyła się z miejsca, ale przez chwilę w jej pomarszczonej twarzy załśniły zaszawione oczy. Sołtys miał wrażenie, że więcej współczucia wywołałaby u niej mucha taplająca się w becze smoly. Z otwartymi ustami patrzył, jak znika w piachu sprzączka jego pasa.

– Rusz się, lisa wydło! – Sięgnął po łuk i strzałę. – Pomóż mi albo zdechniemy tutaj razem!

– Mówiłam, żebyś naciągnął wody – odezwała się tak cicho, jakby wcale nie zależało jej na tym, żeby sołtys ją usłyszał.

– Ty to zrobiłaś! – Nagle zrozumiał to z całą jasnością, jakby w środku głowy rozbłysło mu nowe słońce. – Kim ty jesteś, stara wiedźmo?

– Wiedźma.

Nie zostało mu wiele czasu. Kiedy napinał ciętwę, już

szorował łokciem w piachu. Ale wypuścił strzałę starannie, na wstrzymanym oddechu, prosto pod ostry podbródek starej.

Nawet nie zauważył, kiedy ruszyła ręką. Przez jakiś czas patrzył w milczeniu na pióra strzały, która wbiła się w kijaszek. Słyszał, jak wokół niego z cichym szelestem osypują się ziarenka piasku. Odchylił głowę do tyłu, żeby jak najdłużej widzieć niebo.

Czuł już uścisk nagrzanego piasku wokół szyi, kiedy nagle zobaczył przed nosem koniec kija. Udało mu się wydobyc rękę i złapać za niego, ale w chwilę potem piasek zasypał mu twarz. Nie puścił nawet wtedy, kiedy zaczął się dusić. Wyczuwał obecność starej po drugiej stronie kija i modlił się w duchu, żeby nie namyślała się zbyt długo.

Wyciągnęła go tak łatwo, jakby był szczeniakiem, który wpadł do stawu. Wesoła się na skraj drogi, w cień drzew, a potem długo pluł piachem, trąc zaczerwienione oczy. Wstał niepewnie, szeroko rozstawiając nogi, jak na rozkołysanej łodzi.

– Jak to zrobiłaś? – Splunął na drogę, nie patrząc na wiedźmę. – Słyszałem o różnych czarach, ale żeby coś takiego...

– Nie zrozumiałbyś – pokręciła głową.

– Nie musiałaś tego robić.

– Musiałam. Należysz do tych mądrali, których najpierw trzeba trochę sponiewierać, żeby zaczęli słuchać.

Sołtys ostrożnie dotknął stopą piaszczystej nawierzchni. Wydawała się twarda jak ubita ziemia.

– Naniosę ci tej wody – westchnął. – Nigdy nie odmawiam pomocy miłym starszkom. Ale zaraz potem idę, choćby miała się pode mną rozstąpić ziemia.

Z rozmachem postawił wiadro na ziemi, rozchlapując wodę. Nie odszedł. Trzymał głowę odmieńca na kolanach, kiedy wiedźma przemywała mu twarz. W milczeniu patrzył, jak stara sączy w ranę ciemne krople jakiegoś wywaru, mruczając niezrozumiale. Kiedy odgarnął jego mokre włosy z płaskiego czoła, miał wrażenie, że powieki odmieńca lekko drgnęły.

– Może on naprawdę to przetrzyma? – odezwał się do

piero wtedy, kiedy słońce zachodziło już za las, a wiedźma odpoczywała, oparta plecami o pień drzewa. – Wydaje mi się, że ma trochę spokojniejszy oddech.

Stara w zamyszeniu grzebała kijem w mchu.
– Pewnie, że przetrzyma. Trzeba mu tylko troskliwej opieki.

– Nie mógł trafić lepiej, jak w twoje ręce.
– Może i nie mógł. – Wiedźma wstała, stękając z wysiłku. – Ale ja nie mam czasu. Muszę iść dalej.

Sołtys zgarnął pod głowę odmienca kupkę liści. Podniósł się i zastąpił starej drogę, jakby się bał, że mu ucieknie.

– Gdzie pójdziesz po nocy?
– Za nimi. – Wskazała łokciem spaloną gospodę.
– Za wojami? Po co?

– Muszę porozmawiać z dziewczyną.
– Z Ćmieluszką? – Sołtys rozłożył ręce. – Coście się tak wszyscy na nią uwzięli?

– Ma coś, co powinno było pozostać w ukryciu.
– Taak... Jeśli mówisz o tej kościanej główce, to nie musisz się spieszyć. Ćmieluszka już jej nie ma.

Wiedźma przygarbiła się mocniej, ale nie spuszczała wzroku z twarzy sołtysa.

– Jesteś pewien?
– Kiedy ją przywlekli zza gospody, już nie miała na szyi wisiorka. Woje długo szukali, ale nie znaleźli. Jest tylko jedno miejsce, gdzie mogła go ukryć tak szybko. – Spojrzał ponad głowę starej na pogorzeliśko. – Studnia.

Wiedźma przytuliła policzek do kija i zmrużyła oczy. Bardzo długo milczała, zując w bezzębnych dziąstach wargę. Kiedy się wreszcie odezwała, ostatnie czerwone błyski gasły już na zachodzie.

– Przed laty byłeś dzielnym wojem.
Sołtys poruszył się niespokojnie, ale po chwili uśmiechnął się w ciemności.

– Nie udawaj wieszczki. Domyśliłaś się tego, bo wdziałaś, jak strzelam.

– Każdy obwieś może się nauczyć strzelać. Ja mówię o innej dzielności. Tej prawdziwej.

– Powiedzmy, że nie smrodziłem w gacie z byle powodu. Wiedźma przysunęła się bliżej i poszukała w ciemności jego dłoni.

– Dzieje się coś bardzo złego. Nie wiem jeszcze co, ale czuję to przez skórę. – Mówiła teraz szybko, jakby nagle zaczęła się spieszyć. – Idę do Grodziska. Tam jest odpowiedz.

– Idę z tobą.
– Nie. Potrzebuję twojej pomocy tutaj. Ten wisiorek jest czymś o wiele ważniejszym, niż tylko lekarstwem na pocałunki anielichy. Pilnuj, żeby nikt podejrzany nie zaglądał do studni. To bardzo ważne.

– Albo przestaniesz gadać ze mną jak z głupim, albo radz sobie sama.

– Słyszałeś kiedyś o Matuli?
Sołtys skrzywił się. Pomimo ciemności zdawało mu się, że wciąż czuje na sobie jej wzrok.

– Każdy słyszał. Ale to przecież... bajka.
– Od dnia, kiedy pojawił się wisiorek, to przestała być bajka. W nim jest zamknięta część mocy Matuli.

– Bzdury.
– Dzięki tym bzdurcom nie stałeś się ojcem kilkuset małych anieliszek.

– Jeśli wisiorek pomaga ludziom, po co trzymać go w ukryciu?

– Zależy, kto go używa. Ale nie to jest najważniejsze. – Wiedźma przerwała na chwilę, jakby zawahała się, czy powinna mówić dalej. – W tego, kto nosi wisiorek na szyi, może wcielić się Matula.

– Zachowaj swoje strachy na kogoś innego. Widziałem w życiu zbyt wiele prawdziwej grozy, żeby bać się takich... takich...

– Przyjrzałeś się wisiorkowi? Wyrzeźbili go zatraceńcy, całe wieki temu.

– Zatraceńcy? – Sołtys poderwał głowę. – Jesteś pewna?

Wiedźma podniosła rękę i lekko dotknęła czoła sołtysa.
– Wygląda na to, że zatraceńcy nie są dla ciebie bajką.
– Spotkałem ich kiedyś, dawno temu – mruknął nie-

chętnie. – Była ich garstka. Do dzisiaj pewnie nie przeżył żaden z nich.

– Bądź pewien, że przeżyli. Jeśli Matula się wcieli, odwołują świat, który im odebraliśmy. – Stuknęła zaciśniętą pięścią w jego pierś. – Przypomnij sobie czasy, kiedy byłeś kimś więcej, niż tylko zgorzkniałym sołtysiem. Pomóż mi. Pilnuj wisiorka.

– Prosisz czy rozkazujeś?

– Proszę.

Skinął głową, sięgnął przez ramię i musnął palcami pióra strzał.

– A mały?

– Nie martw się. Zrobiłam wszystko, jak trzeba. Ty go tylko doglądaj, póki nie stanie na nogi.

– Lepiej poszukaj do tej roboty kogoś innego. Nie jestem nianką, a poza tym... – Zawahał się i po chwili milczenia niecierpliwie wzruszył ramionami. – Nie mogę na niego patrzeć bez obrzydzenia.

Wiedźma wypuściła jego dłoń. Stuknęła kijkiem w ziemię, gdzieś pod krzakami zatupał spłoszony jeź.

– W takim razie powiem ci coś, od czego minie ci obrzydzenie.

– O nim? Nie jestem ciekawy.

– O nim, o tobie. O was.

•

Dym dostał się do jego płuc przez nos, chociaż starał się przed tym obronić. Drapał w gardle i wyciskał łzy spod zamkniętych powiek. Było go coraz więcej i więcej, napływał gestymi kłębam i rozsnawał się wokół odmieńca, liżąc jego skórę. Spróbował unieść głowę i odkaszlnąć, ale nie miał na tyle siły, żeby dać ulgę obolałym płucom. Czuł, że długo tego nie wytrzyma. Zdawało mu się, że dym powleka sadzą jego ciało i spopiela go od środka. Zaczynał się dusić.

– Oddychaj, mały!

Chciał otworzyć oczy, ale udało mu się odemknąć tylko wąskie szparki. Zobaczył mdły półmrok i jakieś cienie. Miał uczucie, że tonie w tej kurzawie. Gwałtownie zamachał ramionami.

– Nie bój się – głos był cichy, szemrał tuż przy uchu. – To jest dobry dym. Odetchnij całą piersią.

Sparzył go gorący oddech, a potem poczuł ciepło na ramieniu. Czyjaś dłoń. Serce waliło mu mocno, każde uderzenie odbijało się aż w skroniach. Rozpaczliwie walczył ze swoją niemocą, ale coraz szybciej rósł w nim strach. Wciąż na nowo próbował zaczerpnąć oddechu i wciąż nie mógł. Skądś, z czerni, napłynęła myśl, że im prędzej się podda, tym szybciej skończy się męka.

– Oddychaj! – Coś bardzo mocno uderzyło go w pierś, aż podskoczyły mu pięty.

Najpierw szarość pod powiekami rozblęła czerwienią, a potem płuca skurczyły się nagle, jak dwa puste worki. Zakrztusił się, rozkaszał, krew uderzyła mu do głowy wściekłą falą. Odetchnął rżąc, zacisnął pięści i odetchnął znowu, tym razem głęboko, do samego dna. Od razu poczuł się lekki i swobodny, jakby udało mu się wyrwać z więzów własnego ciała. Dym ciągle był w płucach, ale już nie przeszkadzał. Nasycił krew, roznosząc błogie poczucie odprężenia aż po czubki palców.

Ogarnęła go senność.

Budził się jeszcze kilkakrotnie, patrząc w ciemność i nasłuchując ciszy, a potem zasypiał znowu. Wokół głowy bezgłośnie trzepotały mu wspomnienia, jak czarne ćmy. Mógłby je złapać, ale nie chciał. Było mu dobrze, nie potrzebował zmian. Czuł, że ktoś nad nim czuwa, i to mu wystarczało.

Ale zmiana przyszła sama. Otworzył oczy i światło spadło na niego tak znieca, że poczuł w tyle głowy kłujący ból. Zacisnął powieki i dopiero po bardzo długim czasie spróbował podnieść je znowu, tym razem ostrożnie i powoli. Udało mu się dźwignąć głowę i wcisnąć pod kark złęczone dłonie.

Nad sobą widział dach ze spletanych gałęzi, tak nisko, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby dotknąć suchych liści. Niedaleko za jego piętami ciemniało drewniane żebrowanie, obrzucone mchem i kawałami darni. Było mu gorąco pod ciężkim, podciągniętym pod samą brodę kożuchem, który w jasnych promieniach słońca pylił kurzem. Światło

dochodziło z tyłu, zza głowy. Chciał się odwrócić, żeby spojrzeć w tamtą stronę, ale wtedy piekący ból na twarzy niemal go ogłuszył.

– Leż, maty! – Głos zmieszał się ze światłem, kurz zawirował, pchnięty ruchem powietrza. – Nie od razu będziesz brykał jak dawniej.

Ból miał swoje miejsce i swój kształt. Zaczynał się na czole, nad lewym okiem, przechodził przez nos, zahaczał z prawej strony o wargi i kończył się gdzieś pod brodą. Jakby ktoś rozprowadził na jego twarzy kreskę żaru, prosto z paleniska. Podniósł rękę, żeby zrzucić to z siebie, ale zanim dotknął nosa, na jego nadgarstku zacisnęły się mocne palce.

– Nie rusz. Najgorsze za tobą, ale jak rozdrapiesz ranę, wróci gorączka.

Pocętkowana twarz sołtysa wpłynęła z tej samej strony, z której dobiegał głos.

– Masz bardzo twardą kość – uśmiechnął się, ale ponieważ jego głowa wisiała pod dachem odwrotnie, niż powinna, dla odmieńca jego uśmiech był tylko dziwnym grymasem. – Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś podstawił głowę pod wojacki topór i potem mógł o tym opowiedzieć.

Przez następne dni bardzo dużo spał. Nie lubił się budzić. Kiedy to się zdarzało, przewracał się pod kożuchem z boku na bok, siorbał gorący wywar z miski, którą sołtys przytykał mu do warg, i znowu szukał snu. Ból złagodniał, choć nie skończył się całkowicie. Czasem, kiedy odmieńiec zbyt gwałtownie ruszał głową, tracił wzrok, ale przeczekiwał takie chwile spokojnie. Dotykał grubej przęgi na twarzy i wodził po niej palcem, z góry na dół i z powrotem. Przechodziła tak blisko oka, że kiedy o tym myślał, cierpły mu plecy.

Nie rozmawiali ze sobą wiele. Sołtys często znikał na całe dnie, a kiedy wracał, siadał u wejścia do szalasu i milcząco grzebał patykiem w ogniu. Niechętnie odpowiadał na pytania, których przybywało w miarę, jak odmieńiec zdrowiał.

– Jesteś pewien, że była żywa? – Za każdym razem zaczynał od tego samego, a sołtys zawsze prychnął gniewnie, jakby usłyszał obrażę.

– Wiem, jak wygląda trup. Była żywa, tylko nieprzytomna.

Odmieńiec siadł owinięty kożuchem i kiwał się na boki jak starzec.

– Żywa – mruczał. – I trzymają ją gdzieś w Grodzisku?

– Była żywa, jak ją brali! – Sołtys patrzył na niego spod oka. – Jak z nią jest teraz, tego nie wiem.

– A Rozpruwacz?

– Uciekł. Od początku wyglądał mi na tchórza.

– Gospodyni?

– Zbili ją jak psa, a kiedy nic nie chciała powiedzieć o wisiorku, położyli jej głowę na pieńku.

Nie dziwił się. Kiwał głową, jakby to wszystko wydarzyło się zbyt dawno temu, żeby warte było zadumy. Jadł to, co sołtys mu przynosił. Czasem zająca, czasem ptaszka, a czasem tylko dwie garście podsuszonych jeżyn. Wychodził jedynie za potrzebą, ale nawet wtedy sołtys zaraz gnał go z powrotem do szalasu.

– Siedź, jak ci dobrze. Jeszcze masz czas.

Ale te krótkie chwile na zewnątrz wystarczały, żeby odmieńiec się domyślił, jak długo musiał tutaj leżeć bez przytomności. Była pełnia lata. Wiosenna zieleń liści zbrunatniała, woń grzybów przesycala rozgrzane powietrze. Zmierch zapadał późno, a rano rozlewał się po niebie niecierpliwie, zanim jeszcze pogasły gwiazdy.

Wyobraził sobie te wszystkie długie noce, pełne smrodu i jęków, które sołtys musiał nad nim przesiedzieć, i w zamyszeniu gładził świeżą bliznę. Spozierał na niego ukradkiem, jakby chciał się dopatrzeć w nim czegoś nowego.

– Po coś mnie brał? – zapytał wreszcie któregoś dnia, dodając sobie odwagi lykiem mocnego piwa warzonego na urzniętych czubkach sosen. – Trzeba było pozwolić mi zdechnąć.

Sołtys właśnie podnosił rękę z kubkiem do ust. Na mgnienie oka drgnęła mu dłoń, rozchlapał kilka kropel. Pił długo, do samego dna.

– Mogłem. – Splunął i otarł wargi. – Ale gdzie znaleźć lepszego pastucha?

– Dawniej mówileś inaczej. Pokazać ci ślady, jakie mam na plecach?

– Ja nie muszę nikomu pokazywać moich blizn, bo każdy je widzi. Więc ty też przestań się nad sobą uzalać. Z czasem odmieniec wychodził coraz częściej. Kręcił się wokół szałas, szeleszcząc w zwatach suchych liści. Zagłębiał się w las. Nie wiedział, gdzie jest, choć czasem zdawało mu się, że poznaje jakieś drzewo czy zakręt strumienia. Ale nie tęsknił za żadnym innym miejscem. Bywało, że kiedy zapatrzył się na przenikający przez liście słoneczny blask, myślał o Ćmieluszcze. Wspomnienia były świeże i wyraźne, wypełnione jej zapachem i szeptem. Nie poddawał się im. Wyrwał wtedy zdrewniałe łodygi wysokich traw i żuł je jedna po drugiej, ssąc gorzki sok.

Któregoś ranka, kiedy wyszedł przed szałas, zobaczył koło krzywej brzozy pochylone plecy soltysa, który przypatrywał się czemuś na ziemi. Odmieniec nie musiał o nic pytać. Wiedział, że to koniec spokoju. Soltys wyprostował się i spojrzał na niego, ale wzrok miał daleki.

– Stara nie zmyślała – mruknął. – Już tu są.

– Kto?

– Słuchaj! – Potrząsnął głową, jakby głos odmieńca wyrwał go z zamyślenia. – Muszę iść coś sprawdzić. Gdybym nie wrócił do wieczora, zabieraj się stąd.

– Dokąd?

– Wszystko jedno.

Kiedy za soltysem przestały chwiać się gałęzie leszczyny, odmieniec podszedł do krzywej brzozy. Przyklęknął na jedno kolano i końcami palców dotknął ziemi. Trop był ledwie widoczny, ale poznał go od razu.

Małe, błyszczące w słońcu ślady stóp anielichy prowadziły w las.

•
Księżyc świecił jasno i nie trzeba było nawet rozniecać pochodni, żeby znaleźć studnię. Jej kamienne obramowanie przysypane było grubą warstwą popiołów ze spalonej gospody. Soltys wylał przegniłe deski z zapadniętego daszku i ostrożnie nachylił się nad otworem. Gęsty smród

uderzył go w twarz tak zniecka, że musiał podnieść głowę. Pomyślał, że woje mogli wrzucić tutaj padłą sarnę albo dzika, żeby zatruć wodę. Zwykle robili tak tylko na wojnie i to we wrogich krajach, ale kto wie? Czasy się zmieniają.

Oparł o studnię grubą kij z hakiem na końcu i zdjął z pleców zwój liny. Przed sobą położył małe luczywo. Długo trwało, nim udało mu się rozniecić wąty płomyk, bo nocny wiatr zaczął z boku, porywając iskry. Przywiązał koniec liny do kołowrotka i szarpnięciem spróbował, czy dobrze trzyma. Cały zwój rzucił w dół, w czarną czeluść. Bardzo długo trwała cisza, zanim usłyszał daleki plusk.

Nie spodziewał się, że to będzie aż tak głęboko.

Lewą ręką podniósł luczywo, a wokół drugiego ramienia owinął sobie linę. Przelazł przez brzeg studni i opuszczył nogi do środka. Hak na końcu kija zadzwonił na kamieniach, kiedy przewiesił go sobie przez plecy na konopnym sznurze. Znowu owionął go smród. Tym razem był na to przygotowany, ale i tak zakręciło mu się w głowie. Czuł, że jeśli posiedzi tutaj dłużej, ucieknie. Z cichym westchnieniem, takim, jakie ludzie czasem wydają przez sen, zsunął się w głąb.

Wciąż był pewien swojej siły, choć od wielu lat nie robił nic, co wymagałoby wielkiego wysiłku. Myślał, że przy schodzeniu łatwo poradzi sobie jedną ręką. Ale kiedy zawisł na linie całym ciężarem, poczuł, jak spłoty wrzynają mu się w ramię, i zaklął z bólu. W pierwszym odruchu chciał odrzucić luczywo i pomóc sobie drugą ręką, ale powstrzymał się. Bez światła zostałby sam na sam ze swoim strachem, a wtedy bardzo łatwo o błąd.

Ścisnął linę udami i z wolna popuszczając uchwyt, zaczął schodzić w dół. Bardzo szybko zdarł sobie skórę z prawej dłoni, ale zacisnął zęby i brnął dalej w zimną gardziel. Rozglądał się uważnie, żeby nie myśleć o bólu. Gładkie, lśniące ściany studni w wielu miejscach obrosnięte były grubym na palec kożuchem mchu, jakiego nie spotyka się pod otwartym niebem. Kiedy uderzał o niego plecami, słyszał młasińcicę wyciskanej wilgoci. Ale gdy trafiał na kamienną łysinę i trącał ją żelaznym hakiem,

rozlegał się długo nie milknący, głęboki ton, jak we wnętrzu dzwonnicy. Jego własny chrapliwy oddech odbijał się od ścian i wracał spiętrzoną pogłosom. Zdawało mu się, że hałas musi być słyszalny na sto kroków wokół studni.

Nie patrzył w górę. Wiedział, że nad jego głową kurczy się okrągły wylot, usiany gwiazdami i cichy. Przyjdzie czas, żeby martwić się tym, jak do niego powrócić. Ale to jeszcze nie teraz. Teraz wpatrywał się w swoje bose stopy, które rozpychały pod nim mrok. Szedł stamtąd ziąb. Nieprzyjazne, zatechłe zimno, które nie pierzcha nawet w upalne dni. Smród był coraz większy, otepiając wolę i spowalniając każdy ruch. Owinięta wokół ramienia lina odcinała dopływ krwi, powodując drętwienie ręki. Ale dzięki temu żar w poranionej dłoni trochę przygasł. Palce wciąż zaciskały się i rozluźniały, choć sołtys poznał to tylko po tym, że jeszcze nie złamał karku na dnie.

Było coraz wilgotniej. Koszula lepila się sołtysowi do pleców. W świetle łuczywa mech na ścianach błyszczał kropelkami wody. Płomyk chybotął się i przygasał, zaczynało brakować powietrza. Zacisnął powieki. Widział dwa czerwone wirujące okręgi, które powiększały się i kurczyły w takt uderzeń serca. Zaczynał tracić świadomość. Zdawało mu się, że nad nim, na wąskim skrawku nieba rozlewa się świt, a zaraz potem znowu widział zapadający wieczór. Myślał, że spada, bo przestał już czuć cokolwiek. Obojętnie czekał na uderzenie o kamień. Miał nadzieję, że będzie wystarczająco silne, żeby go zabić od razu.

Otrząsnął się, kiedy poczuł, że traci oddech. Nieporadnie poruszył głową, ale to nic nie pomogło. Z całej siły napiął kark i dopiero wtedy udało mu się oderwać twarz od mchu. Mlący smród go nie opuszczał, choć sołtys prychnął jak kot. Poprawił łuczywo, które niemal wymknęło się ze zgrabiących palców. Poruszył barkami. Prawie się ucieczył, kiedy od czubków palców po łopatkę przeszył go ból. Lina była tak śliska, że wystarczyło lekkie zwiócenie dłoni, żeby zjechać dalej.

Przed oczami zrobiło mu się całkiem czarno i zaraz potem poczuł, że ma stopy w wodzie.

Z wielkim trudem dwukrotnie okręcił się na linie, tak

żeby odciążyć ramię. Zawisł bezwładnie, oplątany wokół nóg i tułowia jak mucha w pajęczynie, i przez długą chwilę odpoczywał. Ulga, jaka płynęła z odciążonego ramienia, była bliska rozkoszy. Tutaj, przy dnie, ściany studni już nie były takie gładkie i z łatwością udało mu się znaleźć szczyrbę, do której wcisnął łuczywo. Oparł palce stóp na wypukłościach chropawych kamieni i sycząc z bólu, kiedy urazał dłoń, przywiązał się jeszcze raz. Przewłócił linę pod pachami i w kroku, żeby mieć całkiem wolne ręce. Odbił się piętami od ściany i poleciał nad ciemną topiel.

To wyglądało jak gęsta maź, czarna i zdradliwa. Jak bagno. Pomyślał o przejrzystej wodzie, którą pił prosto z wiadra jeszcze całkiem niedawno. Gdyby nie pamiętał, że idąc tutaj styszał pod stopami chrzęst pogorzelska, przestraszyłby się, że wylądował na jakimś innym studni.

Obiema rękami chwycił kij i ostrożnie rozgarnął powierzchnię brei. W rozedrganym świetle zdawało mu się, że za przesuwającym się hakiem nie od razu zwierają się błotniste brudzy. Dźgnął pod siebie, w kilku różnych miejscach. Z oblepionego mazią haka zwisały długie wasy jakiegoś gnijącego zielska. Zanurzył go jeszcze raz, głęboko, do oporu. Sięgnął dna, kij tkwił zanurzony do połowy drzewca. Przekręcił się dogodniej, wysunął koniuszek języka i zaszurał żelazem po kamiennym dnie.

Wisiołek musiał gdzieś tutaj być. Leżał w tym śmierdzącym bloku, parę łokci pod nim. Nie było innej rady, jak cierpliwie przeszukać, kawałek po kawałeczku, całe dno. Ale to okazało się o wiele trudniejsze, niż mógł się spodziewać. Musiał wkładać wiele sił w każde poruszenie kijem, bo gęsta jak ciasto ciecz stawiała opór. Kiedy wydobywał hak, nie słyszał plusku, ale za to poruszona maź dymiała jakimś dusznym oparem, który osiadał na skórze cieniućką, śliską warstewką. Czas biegł i sołtys coraz bardziej kostniał z zimna. Obłoczek jego ciężkiego oddechu mieszały się z wyziewami studni i wznosiły do wylotu, ale zanim tam dotarły, wchłaniał je mech.

Nagle poczuł opór, silniejszy niż przedtem. Naparł mocniej, całym ciałem, ale kij tkwił nieruchomo. Nie ustępował ani w bok, ani do góry, jakby hak zakleszczył

się w jakiejś szczelinie. Sołtys zaklął pod nosem i puścił drzewce, żeby oddechem ogrzać zziębnięte dłonie. Zbliżył je do ust, ale nie chuchnął.

Kij powolutku i cicho zaczął się prostować. Nim sołtys się opamiętał, już był poza zasięgiem jego rąk. Sterczał przez chwilę, jakby na kpinę, a potem zaczął osuwać się w topiel.

Sołtys wierzgnął nogami i złapał kurczowo za sznur nad głową, żeby podciągnąć się wyżej. Strach, który dotąd siedział skulony w jakimś zakamarku jego głowy, nagle uwolnił się z pęt. Blask luczyna przygasł, kiedy powiew powietrza wywołany gwałtownymi ruchami przydusił płomyczek. Sołtys znowu znieruchomiał i patrzył szeroko otwartymi oczami, jak końcówka kija tonie, a powierzchnia mazi wygładza się leniwie.

Usłyszał coś, co brzmiało jak pęknięcie pęcherzyka powietrza. Pomyślał, że to jemu ze strachu przewraca się w brzuchu, ale odgłos powtórzył się. Rozdygotanymi palcami sięgnął po nóż i wsadził ostrze między zęby. Oparł stopy na ścianie, zacisnął dłonie na sznurze i natężył ramiona.

Od razu, przeraźliwie jasno zrozumiał, że nic z tego nie będzie. Lina była za śliska. Gnilne opary powlekły ją jak szadz.

W dole zabulgotało silniej, blocko się poruszyło. Tym razem usłyszał głośnie chlupot, podobny do mlaśnięcia diabła. Rzucił się w górę, thumiąc wrzask. Z jakichś głębin własnej pamięci, o których nawet nie wiedział, że istnieją, wyrwał się strzep wspomnienia z dzieciństwa. Patrzył, jak ojciec nabija na haczyk od wędkę wijącego się robaka, a potem zawiesza go nad zieloną wodą jeziora. Aż do tej chwili nie wiedział, że to właśnie wtedy po raz pierwszy się bał.

Mętna ciecz kotłowała się coraz potężniej, jak polewka w parującym kotle. Cuchnące bryzgi leciały mu na twarz, nie słysząc swoich krzyków. Ciągłe jeszcze walczył, wyrzucając ramiona wysoko do góry i ześlizgując się na skrawionych dłoniach, ale już nie myślał o ocaleniu życia. Walczył, bo tylko tak mógł nie myśleć o tym, co go czekało.

Jego nieprzemyślany skowyt wypełnił studnię, kiedy coś chwyciło go za łydkę. To był dotyk, który odbierał zmysły. Nóż wypadł pomiędzy szczękających zębów. Sołtys zachował tyle rozumu, żeby nie patrzeć na dół. Wpił się oczami w maleńki krąg nieba, pośrodku którego zółcił się księżyc. Zanurzył się po kolana w mazi, potem po pas. Dławił się krzykiem, krew łomotała mu w skroniach. Umilkł, kiedy błoto zalało mu twarz.

Okragły, jasny księżyc wysunął się cicho zza najeżonego wyostrozonymi balami wału i oświetlił drogę, która wpełzała po zboczu grodowego wzgórza. Niżej, w mroku, spało podgrodzie. W nadrzecznych trzcinach szumiał chłodny wiatr. W księżym dworze było cicho, tylko od czasu do czasu na wałach chrzęściły kroki straży. Drewniane ściany dworu, podmurowane okragłymi kamieniami wydobytymi z dna rzeki, w bladej poświacie księżycza powlekły się srebrnym nalotem.

Jeden z dwóch strażników, wysoki i chudy, przytupnął w miejscu kilka razy i roztań piętami powieki.

– Jeszcze nie ma północy, a mnie już ciągnie na siano! Tfu! Psia służba.

Drugi, niższy, ale za to z rękami zwieszającymi się po kolana, ziewnął głośnie.

– Wszystko przez to, że gnuśniejemy w grodzie. Trzeba się ruszyć, bo inaczej pozdychamy od własnego smrodu.

– Póki we dworze nic się nie zmieni, musimy chlać chrzczone piwo i obszczywać wały. – Wyższy odsunął szłom na tył głowy i poskrobał się po czole. – Nic nie poradzisz.

Długoreki oparł się łokciami na drewnianej palisadzie i zapatrzył się w dal, gdzie za podgrodzem, za rzeką, rozmrugały się gwiazdy.

– Nic się nie zmieni – mruknął cicho. – Każdy to wie. Ale księż się uparł i chyba będzie tak siedzieć, aż go te małe diabełka zamęcą.

Wysoki spojrział koso i splunął przez wał.

– Lepiej zachowaj dla siebie takie gadanie. Usłyszysz

ktos, doniesie i starosta przeciągnie cię za koniem dookoła grodu.

– Czasem sobie myślę, że wszystko lepsze niż to. – Zakreślił ręką półkole, jakby chciał w tym ruchu zawrzeć wszystko, nawet niebo i gwiazdy. – To dobre dla bab. Ja potrzebuję...

Urwał. Wprostował plecy, a potem przechylił się przez palisadę tak daleko, jak się dało. Kiedy znowu podniósł głowę, księżyc odbijał w jego oczach zdumione błyski.

– Ktoś tu lezie po nocy.

Na chwilę obaj wstrzymali oddechy, wpatrując się w gołe zbocze wzgórza, choć biała krecha drogi była jeszcze pusta. Ale kroki rozbrzmiewały coraz wyraźniej. Dobięgały z ciemności zalegającej między pierwszymi chatami podgrodzia. Długoręki zmarszczył czoło i zahaczył kciuk o pas na biodrze, gdzie sterczała rękojeść miecza.

– Pieszcy. Chyba obcy, bo żaden z kmiotków nie ośmieliłby się nocą bobrować pod wałami.

Odgłos kroków wydostał się spomiędzy opłotków i rozlał się po zboczu. Zaraz potem z cienia w księżycową poświatę wsunął się jakiś wędrowiec. Szedł ostrożnie, obstukując przed sobą drogę kijem, jakby nie dowierzał złudnym blaskom. Wyglądał na obdartusa, który chce zakolać do bramy z prośbą o odpadki po wieszery.

– Jeśli jest pątnikiem, to źle trafił. W tym grodzie nie ma nic świętego! – zachichotał wysoki. – A jeśli żebrak, to trafił jeszcze gorzej.

W milczeniu odczekali, aż idący zbliży się do wałów. Słyszeli, jak nierówno poświstuje przez nos. Szorujący po drodze kij wzbijał kurz. Zatrzymał się o kilka kroków przed bramą i przekrzywił głowę, jakby się dziwił, że wrota są zamknięte.

– No, co tam, dobry człowieku? – Długoręki splunął przed siebie, mając nadzieję, że przy odrobinie szczęścia plwocina spadnie na czoło obcego. – Nie możesz spać?

Pomyśleli, że nie zrozumiał, bo nawet się nie poruszył. Dopiero po chwili przełożył kij z ręki do ręki i zadął głowę.

– Czy tutaj jest dwór księcia?

Jego głos był o wiele mocniejszy, niż można było się

spodziewać. Wyższy ze strażników roześmiał się sucho i wzruszył ramionami.

– No przecież nie karczma! Dreptaj dalej, gryzgnacie, bo tutaj psy mogą oskubać ci łydki.

– Tego księcia, który ma kłopoty?

Strażnik jednym rzutem ciała przechylił się przez palisadę.

– Słuchaj, przyglupie! – syknął głośnym szepem. – U nas o takich rzeczach nie mówi się głośno, a najlepiej jest nie mówić wcale. Ostrzegam cię, żebyś potem nie skomlał, że nie wiedziałeś. A teraz znikaj, póki jeszcze możesz.

Obcy pokiwał głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał. Ale zamiast odejść, zrobił krok do przodu.

– Otwieraj – powiedział całkiem spokojnie.

Długoręki otworzył usta i nie zamykał ich tak długo, póki wysoki nie zakrzuszył się śmiechem.

– Chyba trzeba zejść i go opłazować! – Powoli się uspokoił, otarł wargi. – Albo chociaż spuścić pieski.

– Chcesz narobić hałasu? A kto będzie się tłumaczyć, jak obudzimy księcia?

– Tam w izbie jeszcze chleją, przecież słyszę.

– Tym bardziej. Książę lubi pić w spokoju.

Długoręki ściągnął przewieszony przez plecy łuk. Jeszcze raz rzucił okiem na człowieka u stóp wału, a potem pośnił dwa palce i nalożył strzałę na cięciwę.

– Zgtupiałeś? – Wysoki zakręcił się niespokojnie. – To tylko jakiś pomylenieć!

– I co z tego?

– Zabijanie pomylenieców przynosi pecha.

– Przynajmniej przez chwilę się nie nudzę! – Długoręki naciągnął cięciwę i przymrużył jedno oko. – Ale nie bój się. Tylko go postraszę.

Cięciwa świsnęła, strzała zmierzwiła włosy na czubku głowy obcego i wbiła się w ziemię aż po pióro, kilka kroków za jego plecami. Nie ruszył się z miejsca. Wolno, jakby z namysłem przyglądał dłonią włosy.

– Druga pójdzina w brzuch! – charknął długoręki, sięgając do koczana.

Jakaś poszarpana chmura zesłiznęła się z zielonozielonego kręgu księżycy i nagle zrobiło się jaśniej. Wędrowiec nie podnosił głowy, patrzył prosto przed siebie, na zamkniętą bramę. Każda kępka jego zarostu rzucała osobny cień.

– Wasz książe potrzebuje pomocy. Wy wszyscy jej potrzebujecie, więc otwieraj, chłopcze, bo od tego sterzenia zaczynają mnie boleć nogi.

Długoreki stęknął i naciągnął cięciwę do samego ucha. Musiał chwilę poczekać na uspokojenie oddechu. Kiedy grot strzały przestał się chwiać, skupił się na tym, żeby ostrzem uchwycić szyję obcego. Udało mu się. Czuł, jak zaciśnięte na cięciwie palce zaczynają drętwieć. Obcy wciąż stał nieruchomo, wpatrzony we wrota. Tylko światło księżycy zdradzało, że ma wilgotne skronie.

Strażnik nie usłyszał skrzypienia drzwi i nie zobaczył szerokiej smugi światła, która rozeszła się od dworu po wał. Dopiero ostry głos za plecami sprawił, że drgnęła mu ręka.

– Co robisz, gnido? – warknął od drzwi starosta. – Książe każe go wpuścić.

Strzała jęknęła koło ucha wędrowca i wbiła się obok poprzedniej.

•

Brama zaskrzypiała jak skarga wszystkich potępionych. Dziedzinec był pusty, ale w głębi płonął zarys otwartych drzwi. Obcy naciągnął na czoło kaptur i śmiało ruszył naprzód.

Zbroja starosty lśniła czystością, a płomień pozatykanych w ściany pochodni odbijał się w niej pożarem. Kiedy jego krok dźwięczał, jakby dźwigał na plecach worek gwoździ. Odemknął przyłbice, żeby przyglądzić nastrożone wąsiska.

– Dziękuj Bogu, że książe jeszcze się nie położył. – Ćwieki na jego rękawicy błysnęły, kiedy pokazywał drogę. – Nie odzywaj się bez pytania i nie próbuj żadnych wykrętów, a wtedy może wyjdiesz stąd cało.

Na końcu długiej sieni buchały światłem otwarte na

oścież dwuskrzydłe drzwi. Jednostajny gwar rozmów w izbie urwał się, kiedy kij przybysza zastukał na deskach podłogi. Rozejrzał się spokojnie. Pod ścianami, za długimi stołami, siedzieli biesiadnicy. Widział ich znużone czerwone twarze i kielichy w upierścienionych dłoniach, a wszystko to zza zasłony gorącej pary, snującej się nad zwałami mięsiva.

Na zarzuconym niedźwiedzią skórą podwyższeniu stał tron. Starosta krótkim warknięciem osadził przybysza w miejscu, na samym środku izby.

– Ten tutaj chciał cię widzieć, panie.

Książe wyglądał na roztargnionego, jakby wyrwano go z niespokojnej drzemki. Siedział głęboko osunięty na rzeźbionym oparciu, z przekrzywioną koroną i nogą niechętnie zarzuconą na nogę. Miał podpuchnięte oczy i powieki pokryte pajęczynkami czerwonych żyłek. Oparł policzek na dłoń i przyjrzał się obcemu niechętnie.

– Skąd oni się biorą? – mruknął do stojącego przy tronie wielmoży z brzuchem przelewającym się przez szeroki pas. – To już chyba piętnasty w tym miesiącu, którego wypadaloby powiesić za sam wygląd.

Podwójny podbródek wielmoży sfaldował się, kiedy wzruszył ramionami.

– Od początku ten pomysł mi się nie podobał, panie. Nie trzeba było rozgłaszać o twojej... – zawiesił głos. – O twojej sprawie po wszystkich dziurach tego kraju. Teraz różnym takim wydaje się, że się we dworze łatwo odpassą.

– Nie lubię, jak mnie pouczasz! – Książe jednym palcem poprawił koronę i rzucił głośniej w stronę włóczęgi: – Spodziewam się, że masz dobry powód, żeby mnie nachodzić po nocy. Jak się nazywasz i skąd cię diabli przynali?

Włóczęga poczuł na ramieniu ciężką dłoń starosty i przykleknął na jedno kolano. Spod kaptura widoczna była dolna połowa jego twarzy, ale w krzywym uśmiechu nie było cienia szacunku.

– Dostałbys odcisków na języku, próbując powtórzyć imię, jakie dała mi matka. Urodziłem się za morzem, ale żyję w twoim kraju od dzieciństwa. Ludzie nazywają mnie

Rozpruwaczem. Przeszedłem, bo mnie potrzebujesz... – Pozwolił sobie na krótki śmiech, podobny do kaszlu. – Wasza książęca mość.

Książę pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolana. Spłótł dłonie i zakreślił kciukami mylnka.

– Jesteś inny niż twoi poprzednicy. Nie powinieneś mieć kota? Albo chociaż paru samolówek, takich ze sprężynkami?

Rozpruwacz poklepał wierzch dłoni starosty i wstał, nie przestając się uśmiechać. Odrzucił kaptur na plecy, błysnął jednym okiem. Za jego plecami zachrobotaly blaszane naramienniki, ale nawet nie odwrócił głowy na ten dźwięk.

– Z kotami chodzą tylko naciągacze, a ja jestem prawdziwym skrzatolapem. Zresztą kot może się przydać tylko na samym początku, zanim te małe sukinyńy się nie rozplenią. No i raczej w niedużej chacie, ale nie tu. – Powiół kijem wokół siebie. – Samolówki? Nie, panie. Skrzaty wcale nie są takie głupie, na jakie wyglądają.

– Nie wiem, jak wyglądają, bo jeszcze żadnego z nich nie udało mi się zobaczyć. Za to zdążyłem poznać wystarczająco wielu oszustów. – Oczy księcia zwięzły się, pstryknął palcami. – Na szubienicę z nim.

Koniuszek miecza starosty ukłulił Rozpruwacza między łopatkami. Jego brwi powoli zeszyły się nad nosem. Szybkim, prawie niedostrzegalnym ruchem podniósł: opuścił przedramię. Ostrze noża zabrzączało w powietrzu jak trzmiel i wbiło się w drewniane oparcie tronu, tuż koło ucha księcia.

– Wydałem rozkaz... – Książę odchrząknął i oblizal si-
ne wargi. – Wydałem rozkaz, żeby przeszukiwać takich
jak on. Mógł mnie zabić, chybił o włos.

Starosta ciosem pięści w tył głowy powalił Rozpruwacza na kolana. Wziął zamach mieczem, ale książę podniósł drżącą dłoń.

– Zaczekaj! Porwał się na mnie, więc nie może umrzeć tak po prostu. Każ rozpalić pod kotłem.

Starosta uśmiechnął się szczerze, jak ktoś, kto dostaje niespodziewany upominek. Zakreślił się na pięcie, ale krzyk thustego wielmoży zatrzymał go na miejscu.

– Co to jest?

Wielmoża patrzył na nóż, świecąc białkami szeroko otwartych oczu. Książę podążył za jego wzrokiem. Na długi czas zastygł bez ruchu, jakby nagle musiał coś ważnego przemyśleć.

– Co to jest? – powtórzył za wielmożą, wrywając nóż i oglądając go pod światło.

Na ostrzu wisiał strzępek czerwonej tkaniny. Rozpruwacz podniósł się, pojękując i ostrożnie dotykając obolałego wżgórka nad karkiem.

– To była skrzacia czapeczka. – Czuł, jak rośnie guz. – Siedział sobie na twoim ramieniu, majdał nóżkami i głupio się uśmiechał.

Książę trzymał nóż przed oczami, a czerwone kłaczki poruszały się, owiane jego przyspieszonym oddechem.

– Stoisz zbyt daleko. Nie mogłeś go widzieć.

– Ty też nie mogłeś, panie, chociaż dmuchał ci w nos. Ważne jest to, że on tam był.

– A teraz gdzie jest?

– Uciekł.

Książę rzucił okiem za oparcie, wymiół stopą kurz spod tronu, a potem jeszcze podniósł się i zajrzał pod siebie.

– A więc to prawda? Umiesz je zabijać?

– Umiem wiele rzeczy. – Po raz pierwszy, odkąd wszedł, Rozpruwacz obrócił się do starosty. – A ty, blaszany zuczku, odłóż miecz, bo jeszcze kogoś pokaleczysz.

Stara służąca czekała na niego w sieni. Miała silnego zęza i wydawało się, że nieustannie wpatruje się w wielką brodawkę, przyczepioną do garbatego nosa.

– Witaj, śliczny! – Odwinęła w uśmiechu górą wargę, odsłaniając trzy poczerwiałe zęby. – Chodź, pokażę ci, gdzie się prześpisz. A jak będziesz miły, to może nawet przydarzy ci się coś więcej.

Rozpruwacz cofał się krok za krokiem, póki nie poczuł za plecami ściany.

– Powiedz mi tylko, gdzie. Jakoś sam trafię.

– Ech, wy, wolne ptaki! – zachichotała skrzekliwie, zdejmując chudą dłoń nitkę śliny wiszącą z kącika ust.
– Znam ją was. Niby nic, a tak naprawdę tylko jedno w głowie!

Zalotnie dotknęła językiem środkowego zęba i kołysząc kościstymi biodrami, zaczęła się zbliżać. Rozpruwacz bezradnie rozejrzał się na boki. Był gotów uciec do izby biesiadnej, paść księciu do nóg i błagać o zmiłowanie.

W zacięionej wnęce otworzyły się małe drzwi.

– Odsuść go sobie, Gładziuchna! – usłyszał dziewczęcą śmiech, mignął mu rąbek spódnicy. – Sama go zaprowadzę.

Rozpruwacz jednym skokiem wślizgnął się w szparę uchylonych drzwi, jak spłoszony kot między zerdki plotu. Przystanął w mroku, żeby ochłoniąć.

– Idź ostrożnie. Po drodze do izby gościnnej nie ma światła. Odkąd pamiętam, nie miewaliśmy gości.

Od razu polubił jej głos. Był czysty i rześki, przyjemnie łechtał uszy. Nozdrza zadrgały mu jak u zgonionego konia, który z daleka czuje strumień. Musiała być bardzo młoda. Umiał to poznać po sposobie, w jaki skrzyąpiła podłoga pod jej stopami. Mimo ciemności szedł za nią wyprostowany i zwawy, nawet nie ostukując przed sobą drogi kijem. Nastuchiwał szelestu sukni, a zapach jej odświeżonego karku macił mu w głowie jak wino.

– E, tego... – Wydawało mu się, że czuje ciepło jej oddechu, kiedy przystawała, żeby na niego zaczekać. – Mogłabyś mnie wziąć pod rękę, bo ciemno tu jak w grobie.

Spróbował przyspieszyć kroku, ale ona ciągle była przed nim. W ciszy, maćonej szuraniem nóg, wyczuł jej uśmiech.

– Łazisz bez pomocy nocą po lesie, to jakoś doczłapiasz do wyrika. Uważaj, próg.

Potknął się, w ostatniej chwili wspierając się na kiju.

– Książę oddał mi cię do postug, więc powinnaś mnie słuchać.

Nie odpowiedziała. Zabrzęczały klucze, a potem jęknęła jakaś dawno nie używana zasuwa. Nie zdążyła się odwrócić, kiedy doskoczył do niej w ciemnym przedśionku.

– Łapy przy sobie! – Trzepnęła go po łałcach, kiedy próbował ją objąć. – Nie dla psa kielbasa.

Zarechotał pod nosem, ale posłusznie wsunął dłonie za pas. Jęknęły zawiasy i w duszny mrok przesączyło się trochę światła.

– Tutaj będziesz spał. Pod oknem masz gąsiorek z winem. Jeśli jesteś głodny, zejdź do kuchni. Coś się tam dla ciebie znajdzie.

Miał wrażenie, że od bardzo dawna nikt w tej izbie nie mieszkał. Był tutaj tylko jakiś rozchwiany stół i wilgotny siennik, z którego tu i tam sterczała słoma. Stuknął kijem w niską powalę i próchniejące drzewo osypało mu się na czoło. Wciągnął w płuca zastarzałą stęchliznę, do tydek kleiły mu się nitki pajęczyn.

– Kilka dni temu wypadł mi nocleg w szataście pastuchów. Wprawdzie kozy gapiły mi się przez ramię i moczyły brody w mojej kaszy, ale i tak było tam o wiele milej. – Oparł się plecami o zamknięte drzwi. – Jak ci na imię, pięknotko?

Wyciągnął rękę i wierzchem dłoni pogładził jej policzek. Miała okrągłą twarz i trochę zbyt zadarty nos. Spod czepek uciekały jej na skronie kosmyki włosów. Splotła ramiona na piersiach i uchyliła się przed jego dotykiem.

– Dla ciebie nie jestem żadną pięknotką.

Odstawił kij do kąta, wyjął zatyczkę z gąsiora i bardzo uważnie ją obwąchał.

– No proszę, wiśniowe! – Z zadowoleniem pokiwiał głową. – I chyba nawet bez wody.

Schylił się po dwa poszczerbione kubki. Kiedy się odwrócił, dziewczyna właśnie kończyła przeszukiwać jego podróżny worek.

– Ooo! – Odstawił kubki, wyjął worek z jej rąk i starannie zaciągnął sznurki. – Chciałaś pomóc mi się rozgosić?

– Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia.

– Jeszcze nie masz. – Przesunął się bliżej. – Ale postaram się.

– Czy nikt nigdy ci nie powiedział, jak wyglądasz? Zejdź mi z drogi, nie mam czasu.

– No, przestań grymasić! – Nie zauważył, że zacisnęła wargi. – Przecież ja tylko... Uch!

Stracił oddech, kiedy kopnęła go kolaniem w krocze. Musiał odczekać jakiś czas, zanim udało mu się wyprostować.

– Mówiłam, żebyś zszedł mi z drogi. – Drzwi pisnęły tak przeraźliwie, jakby w szparze utknęła mysz. – A na imię mam Sławka, jeśli naprawdę cię to ciekawi.

Położył się na wznak na sienniku. Kroki dziewczyny przebrzmiały, potem bardzo długo była cisza. Pociągnął łyk wina, roztarł językiem na podniebieniu cierpkawy posmak. Znowu podniósł kubek do ust, ale zamiast się napić, ostrożnie odstawił go na stół.

Nastuchiwał.

Szmer pod drzwiami był tak cichy, że mógłby go spowodować przemykający w ciemności szczur. Przez długi czas nic nie słyszał, ale kiedy szmer się powtórzył, wstał. W szparze między drzwiami a progiem jarzyło się słabe światło. Położył dłoń na skoblu, głęboko odetchnął i szarpnął drzwi do siebie.

Za progiem stał książę. Miał ugięte kolana i przygarbione plecy, a jego uszy były całkiem czerwone. Podmuchał od uchylonego okna targnął płomykiem świecy, którą trzymał w uniesionej ręce.

– E... – odchrząknął. – To znaczy...

– Podłuchujesz mnie, panie? – Rozpruwacz odsunął się na bok, żeby zrobić mu przejście.

Książę wyprostował się powoli, ale nie podnosił oczu. Zawahał się, zanim przestąpił próg.

– Byłem ciekaw, czy śpisz. Podobno prawdziwe skrzatolapy nigdy nie śpiją.

– To bajki. Krótko i lekko, ale śpiją. Wciąż mi nie ufasz?

– No cóż... – Książę przysiadł na brzegu stołu. – Skradalem się najciszej, jak mogłem, a ty i tak mnie dosłyszales. Zaczynam wiązać z tobą pewne nadzieje.

– Pół życia spędziłem w lesie, a to bardzo wyostrza słuch. Spadający włos robi więcej hałasu, niż stapanie skrzata.

Książę kciukiem i palcem wskazującym pogładził nasadę nosa. Przy świecach zmarszczki na jego twarzy wydawały się głębokie jak u starca. Spojrzał krótko w oko Rozpruwacza.

– Czy wiesz, że jesteś pierwszy, który naprawdę mi uwierzył, że one tu są? Inni tylko udawali.

Rozpruwacz uśmiechnął się. Piętą zamknął drzwi, nalał wina z gąsiora i podał kubek księciu.

– Nieszczęście władców bierze się stąd, że ludzie rzadko mówią im to, co naprawdę myślą.

– Wiem. Czasem nawet mój starosta łże przy mnie jak pies. – Wypił duży łyk i westchnął. – Chyba podejrzewa, że sam to wszystko sobie wymyśliłem.

Rozpruwacz w milczeniu napełnił drugi kubek. Nie chciał go poganiać. Wiedział, że teraz dowie się tylko tyle, na ile książę będzie gotów.

– Zaczęło się zwyczajnie. – Książę przeszedł się po izbie, niespokojnie zacierając dłonie. – Nocami zaplatały koniom grzywy, chowały w dziwne miejsca różne moje drobiazgi. Czasem porozsypywały w kuchni mąkę. Nic wielkiego. Nawet myślałem, że to dzieciaki służby tak się zabawiają.

Bez korony, z kółkiem łysinki na samym czubku głowy, wyglądał jak obwoźny sprzedawca garnków. Jego poszarzała twarz zdradzała, że od bardzo dawna źle śpiał.

– Zawsze zaczyna się niewinnie – pokiwał głową Rozpruwacz. – Dopiero kiedy jest już naprawdę źle, ludzie przestają się wstydić i szukają pomocy.

Książę z ociąganiem przeniósł na niego przygnębiony wzrok. W jego źrenicach tliła się dziwna mieszanina nadziei i powątpiewania.

– Staczałem ciężkie bitwy, wiele razy byłem o krok od śmierci. Nie zalamuje mnie byle co. Ale to już trwa za długo... Życie stało się naprawdę nieznośne. Dasz wiarę, że one przychodzą do mojej sypialni, kiedy... nie jestem sam i... No wiesz... – Podrapał się za uchem. – Gapią się na mnie z każdego ciemnego kąta i chichotają cichutko. A wtedy od razu przechodzi mi ochota.

Wstrząsnął się, dopił wino i podstawił kubek do napeł-

nienia. Potem milczeli przez chwilę, słuchając dalekiego naszczekiwania psów.

– A rodzina, panie? – Rozpruwacz pierwszy przerwał ciszę. – Nie masz nikogo?

– Jestem wdowcem. – Książę skrzywił się, jakby nagle wino nabrało cierpkości. – Mam córkę, ale raczej mało ze sobą rozmawiamy. Jest w tym głupim wieku, kiedy jeszcze samemu się nie wie, czego się chce. Zresztą na pewno ją poznasz, bo ta moja Sławka bardzo lubi wtykać nos w nie swoje sprawy.

Rozpruwacz siorbnął z kubka trochę zbyt mocno.

– Księżniczka nazywa się Sławka?

– Wiem, że to kmiecie imię, ale nieboszczce księżnej się podobało. No, wystarczy! – Strzepnął resztkę wina na podłogę. – Od dawna nie mogłem z nikim pogadać po ludzku. Spraw się jutro dobrze, a do końca życia nie będziesz musiał się martwić o następne zlecenia.

Rozpruwacz wyjrzał za nim, kiedy odchodził. Ciężko powłóczył nogami, ciągnąc za sobą po ścianie wylbrzymlony cień.

Zaraz po tym, jak świt podświetlił chmury od spodu na różowo, po drugiej stronie drzwi usłyszał sapanie starosty. Nie spiesząc się dojadł resztki wystygłej polewki, jaką przyniesiono mu z kuchni, i ochlapał twarz zimną wodą. Kiedy wyszedł, starosta założył ręce na plecach, pogardliwie wydymając wargi.

– Masz czas do południa. Jeśli do tej chwili nic się nie zmieni, pozatujesz, że nie zostałeś prostym pastuszkciem.

– Książę tak powiedział?

– Nie. Ja tak mówię.

– To idź lepiej postraszyć wróble, bo ja jakoś się nie boję.

Wyminął go i zszedł schodami do sieni, nie oglądając się za siebie. Kroki starosty zadudniły za nim z dużym opóźnieniem. Dopadł go na dole i szarpnięciem za rękaw odwrócił w swoją stronę.

– A może ich w ogóle nie ma? – Zbliżył pociemniałą,

wykrzywioną gniewem twarz. – Może ktoś za plecami księcia knuje zdradę, a te wszystkie psoty są tylko po to, żeby uspić jego czujność?

Rozpruwacz nie odpowiedział. Przykucnął i wygarnął ze szpary między ścianą i podłogą gruby zwitek kurzu. Położył go sobie na otwartej dłoni i spojrział z dołu na starostę.

– Nie ma? – Dmuchnął na rękę, wzbijając popielaty obłok. – A co to jest twoim zdaniem?

Starosta pochylał się, marszcząc czoło. W brudzie wewnątrz dłoni Rozpruwacza leżało kilka małych, czarnych kuleczek.

– Nie wiem – splunął z obrzydzeniem. – Może mysie gówienka.

– Pewnie, że gówienka. Ale nie mysie.

– Bobki nic jeszcze nie znaczą.

– Nie? No to chodź ze mną. Może nauczysz się czegoś nowego na stare lata.

Na pierwszych, pobieżnych oględzinach dworu zesłał Rozpruwaczowi prawie połowa dnia. Wpuszczano go wszędzie, gdzie tylko chciał wejść – od wilgotnych piwniczek po opleciony pajęczynami strych. Posuwał się zabimi skokami, z jednego zakurzonego kąta w drugi, a starosta ciałął za nim. Jego sapanie z każdą chwilą stawało się coraz cięższe, musiał przystawać, żeby osuszyć mokrą od potu twarz. Służba podśmiewywała się z cicha, ale robiła wszystko, co Rozpruwacz kazał. Przesuwali ławy i stoły, zaglądali pod ciężkie łoża, zrywali ze ścian wyliniałe skóry. Rozpruwacz nie ominął niczego, nawet najmniejszej komóreczki. Wydhubywał końcem noża brud ze szpar między belkami, podważał progi i ostukiwał powałę. Kilka razy wyglądało na to, że coś znalazł, bo zatrzymywał się na dłużej, ale ledwo starosta zdołał się do niego dowlec, gnał dalej.

Kiedy wreszcie wyskoczył z dworu na zalany słonecznym blaskiem dziedziniec, dzień był już gorący. Starosta wytoczył się za nim, zawiadając o próg, i z westchnieniem oparł się plecami o ścianę.

– Robisz to umyślnie! – Kiedy wciągał powietrze, coś

świszczało mu w piersi. – Chcesz się mnie pozbyć, szubrawcze.

Na środku dziedzińca leżała wielka kamienna płyta. Wyglądała jak grobowiec, choć nie było na niej żadnych napisów.

– Przecież sam wolałeś o pośpiech. – Rozpruwacz odszedł do płyty, usiadł na niej i wystawił twarz do słońca.

– I co? Już skończyłeś?

– Jeszcze na dobre nie zacząłem. Ale i tak znalazłem więcej, niż się spodziewałem. Wszędzie pełno skrzachich odchodów. Prawie w każdej izbie pod podłogą wydrapały swoje przejścia. I jeszcze te ślady małych stópek w kurzu za beczkami z piwem. Wystarczy?

Starosta wzruszył ramionami. Popuścił pas o jedną dziurkę i spojrzął koso.

– Chodź ze mną do wychodka.

– Ja nie muszę.

– Ale ja muszę! – burknął. – A książe zabronił spuszczać cię z oka.

Z pochyłości wału stoczyła się grudka ziemi, uderzyła o kamienną płytę i rozsypała się w proch. Rozpruwacz ze starostą jednocześnie podnieśli wzrok.

– Idź, smoku, bo tak cię wezdmie, że do wieczora zabraknie ci dziurek w pasie. – Sławka patrzyła na nich ze szczytu wału, jej długi cień przeciął dziedzińiec na pół. – Ja zostanę z naszym... gościem.

Starosta odszedł, trzymając się za brzuch i klnąc pod nosem. Księżniczka uniosła spódnicę do kolan i lekko zbiegła na dół, pociągając za sobą lawinę kamyczków. Musiała chwycić Rozpruwacza pod ramię, żeby się zatrzymać.

– Witaj, nieprzyjacielu cnoty! – Odrzuciła włosy, które opadły jej na twarz. – Czy węszyłeś już wszędzie?

– Prawie. Zostało jeszcze jedno miejsce – uśmiechnął się. – Poza wychodkiem, rzecz jasna.

Sławka wciąż trzymała go pod rękę, chociaż już stała pewnie na nogach. Zajrzała mu w oczy.

– Naprawdę? Gdzie?

– Tu. – Uderzył piętą w płytę. Głuchy pogłos, jak z pustego kotła, rozszedł się po dziedzińcu.

Palce księżniczki mocniej zacisnęły się na jego łokciu. Jej uśmiech zamienił się w nieprzyjemny grymas, w którym było tyle samo podejrzliwości, co zaciekawienia. Gdzieś z drugiej strony dworu podniósł się nagły zamęt, nad którym górowały wściekle wrzaski starosty.

– Nie bądź zbyt sprytny – poruszała wargami powoli, jak na mrozie. – Pewność siebie zaślepia.

Odeszła bardzo szybko, jakby nie chciała usłyszeć jego odpowiedzi. Rozpruwacz patrzył za nią długo, aż do chwili, kiedy od tyłu ogarnął go gęstniejący smród. Odwrócił się i stanął nos w nos ze starostą. Na bokach jego szyi wyrosły dwie guły.

– Wierzę ci – wykrztusił.

– Co się stało? – Rozpruwacz cofnął się o krok, bo od obrzydliwej woni ćmiło mu się w oczach.

Starosta zgrzytnął zębami. Z suchym trzaskiem wyłamał sobie po kolei wszystkie palce.

– Ledwo rozpiąłem spodnie, a te gnidy w czerwonych czapczkach obrzuciły mnie z dziury łajnem! – Znowu się zbliżył, a wtedy Rozpruwacz wstrzymał oddech. – Teraz pójde się umyć. A kiedy wrócę, pomogę ci je wytluc. Co do nogi!

Krzywy wychodek stał wciśnięty między wał a szopę na siano. W niedbale skleconych ścianach ziały szpary grube na dwa palce, a przez dziury w pochyłym daszku zaglądały do środka wróble. Drzewiczki koślawo trzymały się na jednym zawiasie. Kiedy Rozpruwacz wszedł, kilka karaluchów przycupniętych na desce ospale poruszyło długimi wąsami. Zamknął drzewiczki na zardzewiały haczyk, spłoszył karaluchy i zajrzał do dziury. Snopki światła, które wpadały przez dach, grzęzły gdzieś w mrocznej głębi.

Usiadł na desce, nie opuszczając podni.

– Trzeba się spieszyć – odezwał się półgłosem. – Mam na karku starostę, nie mogę już dłużej czekać.

Poprawił opaskę na oku, jakby go uwierała, i przez chwilę słuchał ćwierkania wróbli. Potem znowu poruszył się niecierpliwie.

– To niech się postarają! Nie obchodzi mnie, że ciężko idzie. Ty za to odpowiadasz. A jak coś spaprzasz, to na kilka dni zapomnij o jedzeniu. Przeglodzę cię, to przestaniesz gadać bzdury!

Zamyslił się, bębniąc palcami po desce. Nie zauważył, jak płaski karaluch z małą główką wdrapał się na wierzch jego stopy i zniknął w nogawce.

– Co? – krzyknął. – Czemu dopiero teraz się o tym dowiaduję?

Jakieś dwa nastroszone wróbelki skoczyły na siebie z takim zapamiętaniem, że pod daszkiem aż zadudniło. Rozpruwacz odruchowo wytrzeptał ze spodni karalucha, który upadł na grzbiet, zgiął się w kabłąk i rozpaczliwie zaczął przebierać nóżkami.

– Trzeba będzie uważać – burknął. – Tylko, do diabła, każ im się pospieszyć! Spróbuję trochę przewlec sprawę, ale nie wiem, jak długo jeszcze dam radę mydlić oczy staroście.

Nagle ktoś pociągnął za drzewiczki wychodka z drugiej strony. Haczyk wygiął się, ale wytrzymał.

– Zajęte! – zawołał Rozpruwacz, zrywając się na nogi.

– Masz owsiki? – Starosta kopnął w ścianę i cały wychodek skrzywił się jeszcze bardziej. – Wylaź!

Kiedy otworzył, starosta podejrzliwie zmarszczył nos i zajrzał mu przez ramię do środka.

– Rozmawiałeś z kimś? – przymrugał oczy.

Rozpruwacz wyszedł, po drodze rozdeptując karalucha. Przestraszone hałasem wróble przypatrywały się im z daleka, przekrzywiając łebki.

– Rozmyślałem na głos. Zawsze tak mam, kiedy przesadzę z młodym winem na pusty żołądek.

Widziała wielu umarłych. W okolicy, gdzie wyrosła, nigdy ich nie brakowało. Znała ich zapach, znała barwę ich skóry, znała rozkład i gnicie. Odkąd pamiętała, nie bała się ich.

Ale tutaj było inaczej.

– Matka ci powie. – Szept Kruzyny parzył jej ucho. – Tylko podejdź. I patrz.

Ostatnie trzy kroki przeszła sama, niespokojny oddech Kruzyny pozostał z tyłu.

Nie wiedziała, czy to już jest właściwe miejsce. Przykucnęła, żeby zapanować nad drżeniem kolan. Chciała chociaż chwili ciszy, żeby zebrać odwagę, ale zęby klekotały jej tak głośno, że musiała włożyć całą siłę woli w zaciśnięcie szczęk.

Wyciągnęła dłoń.

Natrafiła palcami na kość, w dotyku zwyczajną, twardą i zimną. Powiodła samymi opuszkami po łagodnym wygięciu i zrozumiała, że to żebro. Bardzo długo siedziała nieruchomo, czekając, aż gwałtowna chęć cofnięcia ręki rozjeździe się ciarkami po krzyżu. Przykłęknęła na oba kolana i powolutku powiodła dłonią wyżej, żebro po żebro, aż do obojczyka. Znowu się zatrzymała, jakby potrzebowała odpooczynku.

– No i jestem przy niej, ale jakoś nam się nie układa rozmowa.

Chciała tylko upewnić się, że gdzieś w mroku za jej plecami wciąż stoi Kruzyna, ale pozalowała tego, jeszcze zanim wydusiła z siebie ostatnie słowo. Jej własny głos brzmiał obco, a powietrze zrobiło się duszne.

– Nie musisz się bać. – Kruzyna mogła być wszędzie, tuż za nią albo gdzieś bardzo daleko. – Patrz.

Ćmieluska z trudem podniosła powieki.

Zobaczyła dwie wielkie dziury oczodołów i nagle, wbrew wszystkiemu, przestała drżeć. To było tak, jakby strach wyrósł ponad miarę, przekroczył ludzkie granice i zapadł się w sobie pod swoim własnym ogromem. Skupił się w małą, gęstą plamę cienia, która cały czas wisiała gdzieś tuż poza zasięgiem wzroku i zniknęła, kiedy patrzyło się na nią wprost.

Oczodoły tliły się blaskiem podobnym do tego, który przedtem tryskał z głębi ziemi. Był bledszy, drżący, ale to na pewno był odprysk tego samego ognia.

– Ona patrzy na mnie! – tchnęła Ćmieluska.

Nie usłyszała odpowiedzi Kruzyny, ale tak naprawdę jej nie oczekiwała. Teraz każdym zmysłem odczuwała samą siebie. Na plecach powiększały się mokre plamy potu,

w kolana wgrzyzał się drobny zwir. Suche gardło kurczyło się raz po raz, odpowiadając na każde uderzenie serca.

Z trudem udało jej się wydobyć wzrok z sinoniebieskiej głębi.

Cienie wokół oczodołów powoli układały się w kształty. Zobaczyła zarys wysokiego czoła, wgłębienie po nosie i sterzącą kość zuchwy. Szczęki były zacisnięte, ale przez szczeliny między zębami sączyła się jasność.

Tam była odpowiedź. Musiała po nią sięgnąć. Czas, kiedy jeszcze mogła wybierać, został poza nią. Nie mogła by się już wycofać, nawet gdyby chciała.

Ale nie chciała.

Tym razem ręka jej nie drgnęła, kiedy sięgnęła do czaszki. Z boku, za prawym oczodołem wyszukała palcami staw zuchwy i lekko nacisnęła. Szczeka opadła, pyłki kurzu wzbity się cichym, podświetlonym rojem.

Jasność buchnęła jej prosto w twarz. Miała uczucie, jakby jej źrenice rozszerzyły się jeszcze bardziej, chłonąc światło. Nie drgnęła, nie próbowała odwracać twarzy. Blask wypełniał jej oczy, a niebieskawa mgiełka otulała skronie przynoszącym ulgę chłodem.

– Jakie to piękne – wyszeptowała.

Bez wahania włożyła dłoń między rozwarte szczęki. Odnalazła źródło światła samym dotykiem i bardzo ostrożnie zacisnęła na nim dwa palce. Było obłe i bardzo małe, jak kamysek wygładzony przez górski strumień. Wyjęła go i położyła sobie na otwartej dłoni.

– Piękne! – powtórzyła pochylając twarz, a każde jej słowo, przesycone poświatą, przemieniało się w obłoczek pary. – Nigdy nie widziałam nic piękniejszego.

Kruszyna poruszyła się w ciemności, ale nie podeszła bliżej.

– To jest kawałek pieśni Matuli. Kiedy na początku czasu ludzie ją spętali i nieśli na kaźń, śpiewała. – Kruszyzna mówiła z wolna, bez przerw i bez zająknięć, jakby to były słowa wyuczone na pamięć. – Jej pieśń wzbila się aż do nieba, zamieniła w chmurę, a potem opadła na ziemię świetlistym gradem. Niektóre odpryski przetrwały aż do naszych dni. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich szukać.

Ziarenko światła, nie większe od grochu, zdawało się prześwieślać dłoń Ćmieluski na wylot. Wokół końcówek palców utworzyły się obwódki błękitnej poświaty, jakby opuszki jaśniały same z siebie.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytała, nawet na chwilę nie odwracając oczu.

– Matka mówiła. Ona wszystko wie.

Ćmieluska przymrugała powieki. Przesiane przez rzęsy światło rozszczepiało się na wianuszek promieni. Każdy z nich był osobną obietnicą szczęścia i spokoju.

– Nie rozumiem cię. Czemu żyjesz w mroku jak kret, jeśli masz pod bokiem coś tak... tak...

– Matka zawsze trzymała to w ukryciu. Nawet wtedy, kiedy już przestała się ruszać.

Ćmieluska zamknęła oczy i lekko potrząsnęła głową. Długo czekała, zanim ślady światła pod powiekami zbladły, a potem zgasły. Zacisnęła dłoń w pięść i dopiero wtedy znowu spojrzała przed siebie.

Oparty o stos kamieni kościec osunął się trochę, czaszka przechyliła się na bok. Zuchwa wisiła jak złamane skrzydło gołębia.

– Chciała, żebym ja to zobaczyła pierwsza. – Prawie czuła, jak światło szuka ujścia pomiędzy palcami jej zamkniętej dłoni. – Czemu?

Czekała na odpowiedź, patrząc w ciemną pustkę oczodołów. Była pewna, że potrafi odgadnąć każde słowo, jeszcze zanim padło.

– Ta jasność urzeka. Kto ją raz zobaczy, zawsze będzie jej szukać.

W nagłym popłochu rozwarła palce. Pęcherz jasności wchłonął jej rękę po łokieć, ale światło było już o wiele bliedsze. Okrągłe ziarenko wydawało się o połowę mniejsze. We wgłębieniu dłoni zebrała się odrobinka szybko parującej wilgoci.

– Co się dzieje? – Kark jej ścierpl, liźnięty mrozem otepiającego żalu. – Gaśnie!

– Topnieje. Matka mówiła, że ziarenko nie przetrzyma ciepła ludzkiego ciała.

Upuściła gasnący sopelek, jakby nagle zaczęła ją pa-

rzyć. Oparła się na ugiętych rękach i wstrzymując oddech, zbliżyła twarz do ziemi. Ziarenko nie było teraz większe od zamierającej iskiery. Wokół niego na skale rozpryskiwały się gorące łyżki Ćmieluski.

Podniosła się, kiedy jednolita ciemność przygniotła jej plecy. Zawirowało jej w głowie, jak po zbyt szybkim rozbudzeniu się ze snu.

– Czemu mi tego nie powiedziałaś przedtem, zdradliwa suko? – jej szept rwał się po każdym słowie. – Zabiję cię!

– Matka mówiła, że będziesz wściekła. Może nawet spróbujesz mnie skrzywdzić, ale nie uda ci się. Mrok jest moim domem, a nie twoim. A potem...

Kruszyna zbliżyła się. Ćmieluska ugięła kolana, gotowa skoczyć w ciemność. Chciała tylko zacisnąć dłoń na jej szyi i wbić kciuki w jej krtań.

– A potem albo umrzesz z tęsknoty za tym światłem, albo pójdiesz w głąb, żeby oglądać Matulę twarzą w twarz.

Ćmieluska podbiegła dwa kroki, odbiła się z obu nóg i skoczyła. Zdawało jej się, że bardzo długo leci przez czarną pustkę, z wyciągniętymi przed siebie ramionami. Chyba otarła się łokciem o włosy Kruszyny, a zaraz potem uderzyła całym ciałem w podłoże. Bardziej ją to ogłuszyło, niż zabolalo. Na języku poczuła słodkawy smak krwi.

– Musiałabyś mnie zabić we śnie – głos Kruszyny szeleścił teraz prosto nad nią. – Ale nie możesz, bo kiedy ja śpię, czuwa Dziecina.

Poczuła na łopatkach jej dłoń. Zwarła szczęki, ale zaraz potem zwiotczała, przylegając policzkiem do skały. Od stłuczonego biodra zaczął promieniować przytłumiony wielkim znuzeniem ból.

– Jeśli zostało w tobie coś z człowieka, zrób dla mnie jedną rzecz... – mówiła samymi wargami, bo zęby wciąż miała zacisnięte. – Tylko jedną.

Kruszyna powoli, jakby niepewnie przesunęła dłoń z jej pleców na głowę. Milczała, ale Ćmieluska poczuła drżenie jej ręki.

– Słyszysz? – zakrzuszyła się krwią. – Weź jakiś duży kamień i roztrzaskaj mi łeb.

Wydawało jej się, że czarna cisza nad nią raz pęcznieje, a raz się kurczy. Zamknęła oczy. Po omacku, bez nadziei, szukała w sobie wspomnienia światła.

Wytrzymała bardzo długo. Tutaj, gdzie czas nie pocięty switami i zmierzchami włókł się prawie niezauważenie, jej walka z samą sobą zdawała się nie mieć początku ani końca. Ale w tych rzadkich chwilach, kiedy udawało jej się skupić myśli, odgadywała upływ dni po narastającym osłabieniu. Nic nie jadła. Z początku Kruszyna próbowała siłą wtykać jej między wargi jakieś miękkie kawałki, ale Ćmieluska odwracała głowę. Potem, kiedy już nie miała siły na opór, tylko warczała jak osaczony wilk. Za którymś razem ugryzła Kruszynę w palec, głęboko, aż do kości. Nie padło między nimi ani jedno słowo, ale Kruszyna więcej już nie podeszła. Nawet po to, żeby zwilżyć jej wysuszone wargi.

Najgorszy wcale nie był ból. Rozpełził się po całym ciele i kasał, czasem ostro, choć częściej tylko mzył, uparcie i niestrudzenie. Był wszędzie i nigdzie. Ale umiałaby go jakoś znieść, może nawet nauczyłaby się z nim żyć. O wiele bardziej dotkliwa była udręka, która wciąż na nowo kłuła się w samym środku jej głowy. Czasem była tęsknotą, czasem pragnieniem, a czasem palącym żalem po stracie, którego nie gasił czas. Wiedziała, że z tym sobie nigdy nie poradzi. To było w niej, ale nie było nią. Za każdym razem, kiedy się wzmagało, czuła na skórze krople chłodnego potu, a pod powiekami strzelały snopy niebieskawych iskieł.

Gdyby była sama, na pewno przegapiłaby tę ostatnią chwilę, kiedy jeszcze miała wybór. Chciała ją przegapić. Miała nadzieję, że tak będzie łatwiej. Ale Kruszyna nie pozwoliła jej na to. Podeszła cicho, od tyłu, kiedy płacz podobny do czkawki potrząsał Ćmieluszką jak szmacianą zabawką. Dotknęła stopą jej policzka.

– Teraz. Więcej nie wytrzymasz. Idź.

Ćmieluska z trudem podniosła się na łokciach. Chyba próbowała coś powiedzieć, ale rozedrgane wargi nie chciały układać się do słów.

– Idź. Musisz iść. – Kruszyna ujęła jej głowę w obie dłonie. – Matka mówiła, że...

– Pluję na ścierwo twojej matki! – Nagle udało jej się wcisnąć w przerwę między jednym a drugim skurczem gardła całą swoją wściekłość. – I na ciebie też! Jak mnie mają porwać diabli, to niech porywają, sama nie będę się do nich pchała!

Kruszyna wyprostowała kark, ale nie wypuściła z rąk jej głowy. Powoli, pokonując opór, przekroczyła szyję Ćmieluski, zmuszając ją do spojrzenia w bok.

– Jesteś ode mnie mądrzejsza. Widziałas wiele rzeczy. Słyszałas wiele słów. – Kruszyna nachyliła usta do jej ucha. – Ale tym razem mnie posłuchaj. Diabli są nad nami, a nie w dole.

W mroku, najpierw zwiwnie jak złudzenie, a potem coraz jaśniej zaczynały świecić słupy niebieskiej poświaty. Ćmieluska się zdawało, że są bardzo odległe, choć wiedziała, że dzieli ją od nich tylko kilkadziesiąt kroków. Poćmowały sklepienie jaskini i rozesłały za każdym kamieniem i występem skalnym długi cień.

Niespodziewana ulga rozplynęła się po całym ciele, od razu docierając do czubków palców u rąk i nóg. Przez krótką chwilę, może dwa, może trzy oddechy, ludziła się, że to wystarczy. Ale im bardziej rozgrzewały się błękitem jej źrenice, tym boleśniej odczuwała, jak bardzo się myli. Chłonęła w siebie światło, a gdzieś w tyle głowy już legło się brudne i oślizgłe przecucie kłęski.

– Kiedy zgasną? – zapytała tak cicho, jakby bała się spłoszyć poświatę powiewem swojego szeptu.

– Za chwilę. Zdążysz dojść. A jak nie, to... – Kruszyna puściła jej głowę i wycofała się w półmrok. – Lepiej dojdź.

Kiedy stanęła na nogach, prawie nie czuła ciężaru własnego ciała. Była jak pyłek kurzu, który byle podmuch może porwać, gdzie chce. Nie była pewna, czy porusza nogami, ale czasza półmroku wolno obróciła się wokół niej. Zamknęła oczy i zaczęła iść.

Nie musiała patrzeć, żeby rozpoznać tę chwilę, kiedy do zrobienia pozostał już tylko jeden krok. Czern pod powiekami wypełniła się pyłkami złotego kurzu, jak nocne niebo. Ogarnęła ją spokojna pewność, że szczęście jest bardzo blisko. Miała równy oddech śpiącego dziecka, kiedy przesunęła obie stopy kawałek do przodu. Pod piętmami jeszcze czuła oparcie, ale bosa podeszwy już lechtal chłodny, leciutki przeciąg.

Uśmiechnęła się i skoczyła.

Na początku w ogóle nie odczuła, że spada. Załopotana kiecka i podmuch szarpnął jej włosy, ale było to raczej jak nagłe uderzenie wiatru. Dopiero kiedy uchyliła powieki i oslepiły ją niebieskie smugi gnającego do góry światła, poczuła gwałtowne zawroty głowy. Chciała krzyknąć, ale pęd powietrza wtoczył jej z powrotem oddech do płuc. Odruchowo rozkrzyżowała ramiona i wierzgnęła nogami, jak tonący, który szuka oparcia. Jej dłonie zanurzyły się w błękitnie aż po nadgarstki. Próbowała sięgnąć dalej, do ściany, ale napór wichru wylamywał jej ramiona.

Skuliła się jak płód i schowała twarz w dłoniach. Świsł w uszach trochę ucichł, wolno uspokajały się zawroty głowy. Bezwiednie zaczęła oddychać przez nos, płytko i szybko, jak mysz. Kiedy przycisnęła czoło do kolan, zrobiło się prawie zacisznie. Przyszła jej do głowy dziwna myśl, że jeśli to spadanie potrwa wystarczająco długo, będzie mogła spotkać jego kres we śnie.

Ale zaraz potem coś zaczęło się zmieniać. Najpierw poczuła to wygiętymi w łuk plecami, jak lekki, choć wzmacniający się ucisk. Szybko zrozumiała, że jej kręgosłup trze o ścianę, i podświadomie czekała na parzący ból. Nic takiego się nie stało. Ucisk jeszcze wzrósł i przesunął się niżej, na krzyże i na pośladki. Powolotku wiatr zaczął zmieniać kierunek, przestał dźgać uszy wysokim jękiem, przechodząc w falujące pomruki.

Juz nie spadała, tylko zsuwała się plecami po miękkiej i bardzo śliskiej pochyłości. Taki pęd powinien zderzyć z jej pleców skórę, ale ogarniało ją tylko ciepło, jakby leżała w silnym strumieniu nagrzanej wody. Wyraźnie czuła, że stromizna, która na początku niewiele różniła się

od pionu, powoli łagodnie. Raz i drugi dotknęła tyłem głowy ściany, a potem na dobre przylgnęła do niej karkiem. Wyprostowała nogi, rozluźniła mięśnie i po raz pierwszy od długiego czasu głębiej zaczerpnęła powietrza. Góra i dół jeszcze nie ustaliły się na swoich miejscach, ale ich płynność nie wzbudzała już mdłości.

Z otwarciem oczu Ćmieluska poczekała do chwili, kiedy zaczęła zwalniać.

Smugi światła porozrywały się na migające strzępki, a potem zwały się w łagodną poświatę. Widziała gładką, zaokrągloną powierzchnię uciekającej w górę ściany, a kiedy lekko poruszyła głową i spojrzała w dół, zobaczyła ciemny obrys własnych stóp, które grzeły w świetle. Obsuwała się coraz łagodniej, a jednostajny szmer zmieniał ton. Znowu wyciągnęła przed siebie dłoń, tym razem mogła już dosięgnąć przeciwległej ściany. Coś miękkiego łatwo ustąpiło pod naciskiem palców, a kiedy cofnęła rękę i podniosła ją do oczu, na paznokciach miała warstewkę błyszczącego śluzu.

Pięty podskoczyły jej do góry, pochyłość się wyrównywała. Siłą rozpędu przeszorowała jeszcze plecami sporą odległość, zagłębiając się mocniej w gęstniejący śluz. Okręciła się kilka razy na plecach, nim zatrzymała się na dobre, z głową zwróconą w dół korytarza.

Długo zbierała siły. Mięśnie karku i barków, rozluźnione po długotrwałym napięciu, trzepotały w szybkich skurczach. Kregosłup piekł, w uszach szumiała nagła cisza. Podniosła się na łokciach i spróbowała wstać.

Głowa opadła, kiedy uderzyła czołem w ścianę.

W jednej chwili otrzeźwiała. Spadając nie zauważyła, kiedy skalna gardziel zaczęła się zwęzać. W popłochu rozstawiła łokcie, rozpychając warstwę śluzu. Trochę ustąpił, ale tuż pod nim była twarda i zimna skała. W uszach, jakby od środka, zadudniło jej bicie własnego serca. Przekręciła się na brzuch, podparta rękami i podciągnęła kolana na tyle, na ile się dało. Wparła się plecami w sklepienie. Starła się nie myśleć o tym, jak bardzo daleko nad nią zaczyna się świat żywych.

Przelknęła gorzką galę strachu, która utkwiała jej

w gardle. Pochyliła twarz i przyjrzała się z bliska śliskiej powierzchni skały. Zdawało się, że śluz wcale nie błyszczy odbitym światłem, ale lśni sam z siebie, jakby był przesiąknięty niebieską jasnością. Nie miał zapachu, ustępował pod naciskiem, ale kiedy cofała palec, zlewał się w tym miejscu bez śladu, jak woda. Chciała go posmakować językiem i pochyliła się jeszcze bardziej, ale szybko wyprostowała kark. Była pewna, że pod jej ciepłym oddechem śluz lekko zafalował.

Obejrzała się, przyciskając brodę do obojczyka. Zaczęła wolno posuwać się rakiem, zaciskając zęby. Przy każdym oderwaniu dłoni od podłoża słyszała ciche młśnięcie. Kolana się ślizgały, musiała szerzej rozstawić nogi, żeby nie upaść. Przestraszył ją jakiś dziwny dźwięk i zatrzymała się. Uplynęła długa chwila, zanim zrozumiła, że to jej własne łkanie.

Nie było powrotu.

Teraz widziała wyraźnie, że gardziel przed nią się zwęza. Gdzieś z daleka mrugała kolista plama światła. To mógł być koniec przewężenia. Wyjście z grobu. Albo złudzenie, jak widnokrag, który widać, ale do którego nie da się dojść.

Ruszyła przed siebie. Nie spieszyła się, rozważnie stawiała kolano za kolaniem. Wiedziała, że to jej jedyna obrona przed ogłupiającą trwogą. Nie oglądała się więcej, wbiła wzrok przed siebie, w krąg światła. Z tyłu przejście było szerokie, ale nie obiecywało nawet cienia nadziei.

Udawala sama przed sobą, że nie czuje, jak powoli przywala ją sklepienie. Opadła na łokcie, potem na pierś, ale po jakimś czasie znowu poczuła na łopatkach ucisk skały. Przestała poruszać nogami i dalej pełzła dzięki ruchom samych bioder, jak wąż. Niedługo potem, kiedy chciała otrzeć z potu policzki, już nie mogła zmienić położenia przyciśniętych do boków ramion. Pchała się dalej, charcząc rozpaczą i wkręcając się w ciasne przejście krótkimi wyprężeniami całego ciała. Potem jeszcze przez jakiś czas próbowała odpychać się palcami stóp. Kiedy z nosa puściła się krew, musiała obrócić głowę na bok, żeby się nie udusić.

Śliska skała, jak przylek olbrzyma, zwarła się wokół niej.

Ostatkiem sił, gnana narastającym huczeniem rozbuchanego strachu, próbowała posunąć się w przeciwną stronę. Paznokcie u stóp zabetały w służbie i znieruchomiała.

•

– Tu trzeba kopacza.

Miała piękne senne marzenie. Leżała na stryszku gospody, zakopana w sianie, i patrzyła na smugi słonecznego światła wpadające przez szczeliny między deskami. Słuchała dobiegających z izby odgłosów, bulgotania wody w kotle i zrzędzenia matki. Było jej dobrze i ciepło. Jakas ciekawska mysz zaszeleściła w sianie i otarła się o jej piętę.

– Hej! Zbudź się, śpiąca królowo!

Poczuła żal, kiedy marzenie zaczęło się rwać. Spróbowała ruchem nogi przepłoszyć mysz. Już myślała, że się udało, kiedy nagle mocne ukięcie w sam środek stopy przeszło ją bólem. Szarpnęła się, a wtedy twarda ciasnota znowu zamknęła się wokół niej.

– Nie wierzgaj, pannico, bo mnie sponiewierasz. Wciągnij brzuch, muszę się jakoś przecisnąć.

Głosik był cichy i piskliwy, ale dobrze rozumiała każde słowo. Mimowolnie spełniła polecenie, wstrzymując oddech i trzepotaniem powiek starając się spędzić z powiek resztki snu. Poczula łaskotanie na łydce, które powoli przesunęło się na udo i pośladek. Kiedy zesliznęło się na plecy, drgnęła.

– Tylko się teraz nie wierć, bo rozetrzesz mnie na skałę!

Małe łapki zatupotały szybko wzdłuż jej kręgosłupa. Odkąd wyparował sen, w głowie miała pustkę, w której dopiero zaczynały przeblyskiwać myśli. Pierwsza z nich była zdziwieniem, że zamiast czterech łapek czuje tylko dwie.

– Uhuhu! A kiedy to ostatni raz myliłmy szyję? – Dostała gęziej skórki, kiedy łaskotanie dosięgło karku, a zaraz potem urwało się gdzieś z tyłu głowy.

– No, mniejsza z tym. Zawsze uważałem, że ludzi

można lubić tylko do chwili, kiedy się ich pierwszy raz powącha.

Przed jej nosem stał skrzat. Od razu wiedziała, kim jest, bo wyglądał dokładnie tak, jak powinien. Miał rumiane policzki, długą siwą brodę z końcówką zatkniętą za pas i obwiedzione zmarszczkami ślepka. Przyglądał się jej w milczeniu, kiwając zbyt dużą głową, a wierzchołek jego czerwonej czapeczki przechylał się raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Taa... – W zamysleniu postukał paznokciem po przednich zębach. – Trzeba kopacza, tylko kopacza. Ugrzęzłaś na dobre.

Chyba nie oczekiwał żadnej odpowiedzi, bo zrobił ruch, jakby chciał odejść. Cmieluska prawie się zadławiła chęcią podtrzymania rozmowy.

– Czeka! Ja chciałam... to znaczy... – Ostrożnie odkaślnęła w bok, żeby go nie zdmuchnąć. – Jakiego kopacza?

– Jakiegokolwiek. – Wzruszył ramionami i koniec jego brody wysunął się zza pasa. – Pierwszego, którego znaję.

Pomimo bólu w karku skinęła głową, żeby jakoś zyskać na czasie. Gorączkowo próbowała odgrzebać w pamięci cokolwiek z tego, co słyszała o skrzatach, ale wciąż na nowo wracało do niej to samo niedorzeczne wspomnienie, że umieją wysysać przez słomkę jajka prosto spod kwok.

– Czy jesteś tutaj po to, żeby mi pomóc? – zaczęła znowu, teraz już spokojniej. – Co chcesz zrobić?

Przesunął czapczkę na tył głowy, przeczesał ręką brodę. U nasady każdego z krótkich paluszków miał mały dołeczek.

– Pomóc? – przeciągnął to słowo, rozdzielając je na dwa dźwięki. – Nie, panienko. Skrzaty nie pomagają ludziom. Jestem tutaj, żeby zrobić to, za co mi zapłacono.

– Ale... Nie kopacz! Słyszałam, że oni porywają ludzi i wciągają ich w otchłań!

– Przecież tego mniej więcej chcesz, prawda?

Bardzo dużo dałaby za to, żeby móc podrapać się między śwędzącymi łopatkami. Trochę pomogło, kiedy poczochręła się plecami o sklepienie.

- Kto ci zapłacił? Czemu?
 - Nie twoja sprawa. Nie wiem, jak dawno się tutaj zagwoździłaś, ale radzę tyle nie gadać. To odbiera siły.

Wsunął brodę za pas, przyklepał i odwrócił się na pięcie.
 - Nie zostawiaj mnie! - Powiew jej krzyku prawie zdarł mu czapkę z głowy. Przytrzymał ją obiema rękami, ale już się nie odwrócił. Jego postać szerniała na tle wypełnionego blaskiem prześwitu.

Patrzyła za nim bardzo długo, póki plama światła nie rozmasała się we łzach. Czasami wydawało jej się, że słyszy jego cichutkie stapanie, które rwało się, milkło i zlewało z głośnym jak wodospad szumem jej własnej krwi. Chwilami była prawie pewna, że tak naprawdę wcale go tutaj nie było. Wymyśliła go sobie, ulepiła ze strzępków niebieskiego światła, żeby jeszcze choć na krótko nie pozwolić zdechnąć dogorywającej nadziei. Bezradnie gniołła czołem służ i tarła stopą o stopę, jakby chciała jeszcze raz przywołać wspomnienie jego pierwszego dotknięcia.

Wrócił, kiedy już całkiem przestała w niego wierzyć. Wylonił się z głębi gardzieli cicho jak zjawą, utytlany w służie po kolana i z rozczochraną brodą. Jego źrenice były maleńkie jak dwa ślady po ukluciu pszczoły, ale Ćmieluska umiała dostrzec w nich niepokój.

- No, jeden tu idzie! - Ściągnął czapkę, przetaił wilgotną łysinę i nałożył z powrotem. - Prawie mnie capnął. Niby swoje już w życiu widziałem, ale kopacze... Nie lubię, nie lubię.

Wlaził jej na kark, czepiając się włosów. Zanim odszedł, uszczypnął ją lekko w płatek ucha.

- Powodzenia - usłyszała, a może tylko chciała usłyszeć.

Niedługo potem poczuła drzenie. Przestała oddychać, żeby sprawdzić, czy nie pochodzi od niej samej. Powtórzyło się, ucichło, a potem znowu przez ziemię przeszedł dreszcz. Przyłożyła ucho do skały. Brzmiało to trochę tak, jakby ktoś włókił wołami pień wielkiego drzewa. Po każdej przerwie, wypełnionej nierównym łomotaniem serca, wracało głośniejsze i bliższe.

Nagle zrobiło się ciemniej, jakby światło cofnęło się

w głąb gardzieli jak ślimak do muszli. Nie chciała spotykać tego, co do niej szło, w mroku. Zapięły ją oczy. Wokół niej ze ścian zaczęły odlatywać wielkie płaty służy, a skalny pył, który sypał się spod nich, wypełnił całą wąską przestrzeń. Drapał w gardle i wiercił w nosie, osiadając szarą warstwą na jej głowie i plecach. Wiedziała, że jeśli potrwą to jeszcze trochę, udusi się, ale ta myśl niemal sprawiła jej przyjemność. Była jak znajoma twarz w tłumie obcych ludzi.

Kiedy drzenie skał było już tak silne, że zadzwoniły jej zęby, nagle wszystko się urwało.

Długo leżała bez ruchu, jakby na coś jeszcze czekała. Kiedy wreszcie zdobyła się na to, żeby otworzyć oczy, zasłona pyłu już się przerzedzała. Poczerniałe strzępy służy wisiały z góry jak splecione kłaki starych pajęczyn. Niebieskie światło cierpliwie wsączało się w półmrok.

Kopacz był tuż przed nią. Zdrętwiała jak mysz przed wężem.

Wyglądał jak ogromna dżdżownica, z grubym cielskiem pociętym na człony, które lekko pęczniały w powolnym oddechu. Mogła go widzieć na długości kilkunastu kroków, a on ciągle jeszcze przewlekał się przez poszerzony prześwit, człon za członem. Poza szuraniem cielska po skale nie wydawał żadnego odgłosu. Nie miał zapachu, przyprószony pyłem wydawał się nie mieć nawet barwy. Jego okrągły pysk, obwiedziony kilkoma rzędami ostrych, ukośnych zębów, zwierzał się i rozwierzał jak u ryby wyrzuczonej na brzeg.

Mród przeniknął aż do wnętrza jej kości, kiedy spojrzała mu w ślepią. Były spokojne, uważne i bardzo podobne do ludzkich.

- Nie - wymówiła zaskorupiałymi od pyłu wargami. - Nie wierzę w to.

Zwisające strzępy służy zakolysały się, kiedy kopacz zaczął się cofać. Głowa Ćmieluski nagle zrobiła się zbyt ciężka, nie potrafiła dłużej utrzymać jej w górze. Wtulila twarz w miękką podkład pyłu, głęboko, aż ziarenka zatrzeszczały jej w zębach. Nie mogła oddychać, ale nie dbała o to. Ważniejsze było, że nie mogła też krzyknąć.

W uszach, w mięśniach, w całej sobie czuła cichnące drszce ziemi.

Nie ruszyłyby się z miejsca, gdyby mały odpryak skalny nie uderzył jej w głowę. Drugi, większy, upadł jej na tydkę. Poderwała twarz i gwałtownie zaczerpnęła oddechu. Z otwartymi ustami słuchała wzmagającego się dudnienia sypiących się odłamków. Wiedziała, co to znaczy.

Rzuciła się naprzód. Grad odpryskujących ze wszystkich stron odłamków znowu wzbil kurz, a z tyłu, jeszcze w oddali, ale coraz bliżej, z hukiem waliło się sklepienie. Musiała szarpnąć się trzy razy, zanim uwolniła ramiona, ale dalej było już o wiele łatwiej. Kopacz na tyle poszerzył przejście, że mogła podnieść się na kolana i na łokcie. Radość z tego, że znowu może poruszać rękami i nogami, przytłumiła strach i dodała jej sił.

Z głową wtłoczoną w ramiona, jęcząc, kiedy jakiś większy kamień siniaczył jej plecy, parła przed siebie. Za nią zawałał się świat. Czuła, że tak właśnie musi brzmieć odgłos brył ziemi rzucanych na wieko trumny, kiedy się go słucha od spodu.

Jednym zmarszczeniem brwi odpędziła tę myśl. Przed nią, przebijając się przez chmurę pyłu, wciąż tliła się jasność.

Trzciny obrastające małe, okrągłe jeziorko były wyższe od niego, ale i tak skradal się pochylony, brodząc po tydki w zamulonej zgniliznie. Kiedy od czasu do czasu przycichał wiatr, kucał nieruchomo między grubymi lodygami. Ruszał dalej dopiero wtedy, gdy czuby trzciny znowu zaczynały się chwiać, szemrać długimi liśćmi.

Ludzie, za którymi szedł, musieli być gdzieś bardzo niedaleko. Słyszał chłupot wody, kiedy się obmywali, słyszał szelest kropel rozsiewanych po trzcinach, kiedy otrzepywali włosy. Wyraźnie dochodziły do niego ich parkania i przyspieszone chłodem oddechy.

Nie miał wyboru. Musiał to zrobić, jeśli chciał dotrzeć do Grodziska. Przez pierwszych kilka dni, kiedy jeszcze żył złudzeniami, po prostu zaciskał zęby i szedł. Ale bar-

dzo szybko przekonał się, że to nie jest ten sam świat, jaki znał. Żeby dojść tam, gdzie chciał, nie wystarczała zwykła wytrwałość.

Gościńiec wiódł prosto, bez odnóg, rozwidleń i zakrętów, jakby ktoś przerażał go przez puszcę od jednego zamachu siekiery. Był tak szeroki, że nawet cienie najwyższych drzew o żadnej porze dnia nie kładły się na nim od krańca do krańca. Odmieniec spodziewał się, że na tak ogromnej drodze spotka wielu podróżnych, ale pierwszego dnia, od świtu do zmierzchu, nie minął go nikt. Kilka razy natknął się na kupy końskiego nawozu, a w miejscach, gdzie pozasychały w słońcu lachy błota, widział ślady kopyt i wozów. Nic więcej.

Po zmroku nie zatrzymał się, tylko szedł dalej, póki widział przed sobą w świetle księżyca jasną wstęgę drogi. Resztę nocy przedzierał skulony na poboczu. Spodziewał się, że rankiem będzie już mógł dostrzec na dalekim końcu gościńca grodowe wały. Z niecierpliwości co chwila się budził i wypatrywał na wschodnim skraju nieba zapowiedzi świtu.

Ale za dnia nic się nie zmieniło. Przymiony kres drogi, ściśnięty między ścianami lasu, wciąż był taki sam. Odmieniec zjadł ostatnie okruchy placka, jakie zabrał z szafasu, popił wodą i poszedł przed siebie.

Okolo południa usłyszał dochodzący z oddali tętent kopyt. Jakiś jeździec gnał środkiem gościńca w przeciwną stronę. Najpierw wyglądał jak czarna kropczka, potem jak zuczek, a w końcu jak wrona, z płaszczem rozpostartym w pędzie jak wielkie skrzydła. Odmieniec miał nadzieję zapytać go, czy jeszcze daleko do Grodziska, ale rozmyślił się w samą porę. Uskoczył prawie spod kopyt, obryzany gradem małych kamyczków. Jeździec nawet się nie obejrzał. Zmniejszał się szybko, cichł, wreszcie zniknął, wessany przez zwierający się w oddali las.

Pod wieczór, kiedy wyschnięte z pragnienia podniebienie zrobiło się szorstkie, a w brzuchu mdlił głód, odmieniec zobaczył smuzkę dymu. Na przesieczce, tuż przy gościńcu, stało kilka okopconych chat. Nie widział ludzi, tylko jakieś wściekle psisko miotało się przy budzie na

łańcuchu. Drewniany żuraw dziobał znad studni niebo, po którym przepływały białe chmury. Odmieniec skręcił na podwórze, oparł się o brzeg studni i z ulgą wystawił twarz na ciągnący z dołu chłód.

Gruda zaschniętej ziemi trafiła go między łopatki. Poderwał się przestraszony, odruchowo osłaniając głowę ramieniem.

– Precz, pokrako, bo zatłukę! – Barczysty chłop schylił się po następną grudę. – Urzekniesz mi wodę tymi kaprawymi ślepiami!

Uciekał tak długo, póki kłęby dymu za jego plecami nie wtopiły się w zapadający zmierzch. Po omacku znalazł pod lasem trochę lichych jagódek, roztarł twarde kuleczki językiem na działkach i zasnął na mchu, smakując wilgotną cierpkosć.

Przez następne dwa dni minął jeszcze kilka przysiódków. Każdy z nich obchodził lasem, starając się trzymać poza zasięgiem ludzkiego głosu. Jadł to, co znalazł w puszczy, pił wodę z przysypanych liśćmi źródłek. Na gościńcu znowu spotkał jeźdźca, ale tym razem już na niego nie czekał. Schował się w zaroślach, kiedy tylko usłyszał dudnienie kopyt. Pusta przestrzeń drogi, wypełniona słońcem i wiatrem, zaczynała budzić w nim strach. Czuł się tutaj jak mucha na pobielonej wapnem ścianie, samotny i wystawiony na cios. Zbaczał w las na każdy odgłos, którego nie mógł sobie od razu wytłumaczyć, a potem nawet wtedy, kiedy po prostu czuł się nieswojo i nie mógł znieść nad sobą otwartego nieba.

Był szary świt, przymglony i mokry, kiedy po raz pierwszy zobaczył zakapturzonych ludzi. Nie od razu zrozumiał, co wyrwało go ze snu. Był zziębnięty i już bardzo osłabiony głodem. Wygrzebał się do połowy z zarośli na zdrętwiałych łokciach. Otarł twarz z rosy, podniósł głowę i znieruchomiał.

Płynęli środkiem gościńca jak zjawy. Jeden, kilka kroków za nim drugi, a potem następny i następny. Spód długich do ziemi, polatanych płaszczy bielili się bosa stopy. Twarze ginęły pod głęboko nasuniętymi kapturami. Minęli go w milczeniu jak sen i zaraz potem wchłonął ich poranny opar.

Wyczołgał się z krzaków, wstał i zatoczył się na gościńca jak pijany. Przez długi czas patrzył w stronę, gdzie zniknęli, na rozsnuwające się smugi mgły. Załaskotało go w gardle dziwne uczucie, jakby tęsknota, a może tylko zażdrość. Chciał stać się taki, jak oni. Przezuwał, że ich nikt nie ugodzi kamieniem. Ani słowem. Ani nawet spojrzaniem.

Szedł za nimi tak długo, póki nie zboczyli z gościńca w cień drzew. Rozdętymi nozdrzami wciągnął ożywczy zapach wody, cicho wsunął się w gąszcz. Dalej, w trzinach, musiał brnąć przez błoto. Płoszył zielone zabki, nasłuchiwał. Opadł na kolana i zaczął pełzać, od czasu do czasu wystawiając nos ponad wodę dla nabrania oddechu. Gęstwina rzedła i coraz wyraźniej widział rozblyskującą słońcem, pomarszczoną powierzchnię jeziora. Posunął się jeszcze trochę, a potem zarył brzuchem w mul. Ostrożnie rozchylił ostatnie źdźbła.

Było ich kilkunastu. Stali zanurzeni po pas, czerpali wodę w złożone dłonie i powolnymi, jakby zniechęconymi ruchami polewali sobie głowy i twarze. Nie mógł przyjrzeć się im lepiej, bo słońce świeciło mu prosto w oczy i widział tylko ich czarne, wychudzone sylwetki. Wyglądali jak gromada zmęczonych starców, którzy chcą się orzeźwić w zimnej kąpieli.

Miał szczęście. Ich ubrania łopotały prawie nad jego głową, rozwieszane na czubach trzcin. Mógłby zerwać się na nogi, chwycić pierwszy z brzegu płaszcz i uciec, zanim tamci zdążyliby wydobyć stopy z grząskiego dna. Ale nie chciał, żeby go widzieli. Wędrowali w tę samą stronę co on i łatwo mógłby się z nimi jeszcze kiedyś spotkać.

Bez chłupotu przewrócił się na bok i zaczął tuż nad wodą nadgryzać najbliższą lodygę, która ugiwała się pod ciężarem zwisających szmat. Rozbolała go szczeka, bo trzcina była twarda i łykowata, ale nie przestawał. Za każdym zwarciem zębów czubek przechylał się w bok, a ciemne odbicie płaszczu na wodzie powiększało się. Kiedy lodyga pękła z cichym trzaskiem, przytrzymał ją, żeby miękko opadła na pływacz. Pospiesznie pociągnął ją do siebie, żeby płaszcz za bardzo nie namoknął. Udało mu

się to zrobić szybko i cicho. Szarą, grubą tkaninę czuć było potem i dymem z ogniska. Zwinął ją, wcisnął pod pachę i podniósł się na kolana.

Wtedy usłyszał dzwonięcie.

Przypominał sobie od razu, smagnięty oślepiającą błyskawicą strachu, że kiedy rankiem siedział skulony na poboczu i patrzył na nich, jak suną środkiem gościńca, każdy ich krok dźwięczał cichutko. Spojrzał w dół. Maleńki, przywiązany do płaszcza dzwoneczek lśnił w słońcu i pobrzękiwał przy każdym poruszeniu. Podniósł oczy, czując, jak zaczynają go palić uszy.

Odwracali się w jego stronę jeden po drugim. Z trudem pokonywali opór wody, rozkładając szeroko ramiona. Nikt nie krzyknął, nikt nie podniósł zacisniętej pięści. Wciągnęli brzuchy, skóra opinała się na ich wystających zębach. Stali i patrzyli.

Odmieniec zamknął dzwoneczek w dłoni i krok po kroku zaczął się cofać. Plecami rozpychał gąszcz trzciny. Przeskakiwał spłoszonym wzrokiem od człowieka do człowieka, jakby chciał w porę wyczytać z ich postawy, który pierwszy rzuci się w pościg. Z tej odległości ich twarze niemal nie różniły się między sobą. Wszystkie były wydłużone, zaróżnione i wielkookie. Długie ruchome cienie trzciny skakały po nich przy każdym powiewie. Było coś w sposobie, w jaki na niego patrzyli, co budziło strach. Chyba nie mogliby zrobić mu krzywdy, nawet gdyby chcieli, ale na samą myśl o tym, że stoi w tej samej wodzie co oni, czuł niepokój.

Znowu zabrzączał dzwoneczek. Musiała upłynąć chwila, zanim zrozumiał, że to nie ten, który trzymał w dłoni. Wrzasnął z przerażenia, kiedy ktoś dotknął jego pleców. Chciał skoczyć w bok i biec, nie oglądając się za siebie, ale nagle trzciny zrobiły się zbyt gęste, a dno grząskie jak bagno. Odwrócił się struchlały, z głową wciśniętą w ramiona. Zanim zmusił się do otwarcia oczu, poczuł mocną woń dymu z ogniska.

To był jeden z nich. Postrzępione brzogi jego długiego płaszcza moczyły się w wodzie. Końce sznura, którym był przepasany, kiwały się przy boku. Odmieniec zadart głowę

wę i wpatrzył się prosto w ocienione miejsce pod kapturem, gdzie powinna być twarz. Kątem oka widział, jak powoli podnosi się ręka wędrowca. Była dziwna, obwiązana szmatami i jakby trochę za krótka. Wsunęła się pod brzożę kaptura i odrzuciła go na plecy.

Odmieniec zachwiał się na nagle osłabłych nogach. Człowiek, z którym stał twarzą w twarz, nie miał nosa ani warg. W jego ciemnych, wielkich żrenicach zarzyła się gorączka. Drżącym ruchem wyciągnął przed siebie drugą rękę. Zniekształcona, pozbawiona palców dłoń musnęła czoło odmienna, a potem spoczęła na jego głowie. Bezwarownie usta wykrzywiły się w grymasie gorzkiego uśmiechu.

– Czy jesteś jednym z nas? – zapytał.

– Nieczyści! Nieczyści!

Dali mu płaszcz. Nie ten, który próbował ukrąść, ale bardzo podobny, znoszony i połatany. Kiedy wsunął ramiona w zbyt długie rękawy i okręcił się w pasie sznurkiem, przeleciał mu przez głowę cień strachu. Zdawało mu się, że każde otarcie szorstkiej tkaniny o barki i o biodra zostawia na skórze palący ślad. Chciał zapytać, co się stało z poprzednim właścicielem płaszcza, ale zamiast tego mocniej zacisnął zęby. Mogliby go odpędzić, a wtedy nadzieja na szybkie dotarcie do Grodziska pierzchłaby na dobre.

– Nieczyści!

Kiedy ruszyli, dołączył do końca długiego szeregu. Bardzo szybko zaczął bezwiednie naśladować ich cichy, posuwisty krok. Brzęczenie dzwoneczków rwało się, unoszone przez wiatr, i zamierało pod ciężkim okapem lasu. Parę łyżek zimnej, rozgotowanej owsianki tylko trochę przytępiło jego głód, ale szło mu się dobrze. Przymknął oczy i naciągnął kaptur na twarz. Zdawało mu się, że nie musi wkładać żadnego wysiłku w poruszanie nogami, jakby ktoś robił to za niego.

– Nieczyści!

Słyszał te szeptki. Nie musiał uchylać kaptura, żeby wiedzieć, że okolica robi się coraz ludniejsza, bo po obu

stronach drogi co chwilę zrywało się szczekanie psów, czasem przygluszone ochryplym pianiem koguta. Ale nikt nie próbował do nich podchodzić. Wieśniacy uciekali przed pochodem z drogi na pobocza i zapadali w rowy albo kryli się za luźnymi kępami krzaków. Matki kładły dzieciom palce na wargach, żeby były cicho, a ojcowie odwracali się plecami. Dzwoneczki mieszały się z ich zduszonymi, przestraszonymi rozmowami. Ośmielali się wyjść z ukrycia dopiero wtedy, gdy łopotanie płaszczy milkło w oddali, ale jeszcze długo chowali twarze w zgięciu ramienia, kiedy powiał z tamtej strony silniejszy wiatr.

Odmieniec poczuł zawód, kiedy około południa zatrzymali się, żeby odpocząć w cieniu drzew. Spodziewał się, że zobaczy wały Grodziska jeszcze przed zmrokiem. Patrzył na nich, jak w milczeniu obsiadają pień zwałonej topoli, podobni do stada wróbla na gołej gałęzi. Ten, który rankiem przyłapał go nad jeziorkiem, zbliżył się i rozszarpał przewieszony przez plecy worek.

– Jak chcesz dojść, musisz jeść. – Wydobył z worka suchy placek, rozłamał i podał odmienicowi ówiartkę. – Inaczej padniesz. A twój płaszcz weźmie kto inny.

Przyjął placek, ale starał się nie patrzeć na wysuwającą się spod rękawa dłoń. Powąchał, nadgryzł mały kawałek i ostrożnie zaczął rozkruszać go między zębami.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się, choć od razu sobie uświadomił, że w cieniu kaptura i tak nie widać jego twarzy. – Mam szczęście, że spotkałem w podróży dobrych ludzi.

Obcy podniósł swoją cząstkę placaka do ukrytych w mroku ust. Przez chwilę żuł w milczeniu.

– Nie jesteśmy ani dobrzy, ani źli. – Trzymał dłoń przy brodzie, żeby nie uронić na ziemię ani okruszyny. – Po prostu jesteśmy tacy sami jak ty. To wystarczy.

– Nikt nie jest taki jak ja.

Odmieniec dostrzegł, że oczy obcego zapaliły się i zgasły. Znowu ukłut go niespodziewany niepokój, ten sam, jaki poczuł przy wkładaniu płaszcza.

– Na początku każdy z nas myśli podobnie, kiedy od-

krywa, że jest zbrukany. Każdemu się zdaje, że jego własne nieszczęście musi być większe od nieszczęścia innych. Ale tak nie jest. Wszystkich nas owionął oddech tego samego diabła.

Odmieniec przestał ruszać zuchwą. Chciał jeszcze raz zobaczyć te wyblakłe, zmęczone oczy, ale obcy lekko pochylił głowę. Odmieniec powoli, kęs po kęsie wypluł wszystko, co miał w ustach.

– Nie wiem, o czym mówisz – wyszeptał.

Obcy długo patrzył na oblepione piaskiem kawałki placaka, które leżały u jego stóp. Potem schylił się, zebrał je na dłoń i wrzucił z powrotem do worka. Ci, którzy siedzieli na pniu, w milczeniu śledzili wzrokiem każdy jego ruch. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos był całkiem bezbarwny, jakby mówił sam do siebie.

– Nie jesteś nieczysty?

– Nie... – Odmieniec zawahał się, sam nie wiedział czemu. – Nie wiem. Jestem inny od reszty ludzi, tak jak wy. Ale wam kmicie schodzą z drogi, a mnie biorą na kije.

Obcy chyba pokręcił głową, bo nitki zwisające z wystrzępionych brzegów jego kaptura poruszyły się.

– Nie jesteś nieczysty – powtórzył, tym razem bez pytania. – Musisz odejść. Nie wolno mieszać tego, co powinno być rozdzielone.

Odwrocił się, ale odmieniec uczepił się obiema rękami szerokiego rękawa jego płaszcza.

– Nie odpędzajcie mnie! Nie będę dla was żadnym ciężarem, tylko pozwólcie mi iść dalej razem z wami.

Czuł na uniesionym czole, jak z czarnej pustki pod kapturem obcego tchnie ciepło nierównego oddechu. Płynęła chwila za chwilą, a odmieniec wciąż trzymał w uścisku jego rękaw. Kiedy nieczysty wreszcie się uwolnił, zrobił to łagodnie, jakby musiał odebrać dziecku zabawkę.

– Jak chcesz, nieszczęśniku. My nikogo nie odpędzamy. Zresztą kto wie? Może stałeś się już jednym z nas, chociaż sam jeszcze o tym nie wiesz.

Wzbili kurzawę pyłu, ruszając w dalszą drogę. Odmienicowi się zdawało, że każdy z nich, mijając go, zatrzymywał się na jedno mgnienie oka. Przepuścił ostatniego, wszedł na przetarty w piasku ślad i ruszył za nimi.

Już nie bał się tak bardzo, jak rano. Śmiało zerkał spod uchylonego kaptura na okolicę. Droga stała się jeszcze szersza, równiejsza, co sto kroków odmierzona kamiennymi słupami na poboczach. Las karłał i rzedł, a coraz częściej urywał się na szerokich wypaleniskach, gdzie po obsianych polach szybko przebiegały ciemniejsze fale, jak na wodzie. Mijali coraz więcej wsi. Chaty tu były porządniejsze od tych, jakie znał, płoty prostsze, a krowy tłuszczejsze. Ludzie na ich widok znikali w izbach i zatrzaśkiwali za sobą drzwi. Kilka razy zdarzyło się, że jakieś nie dopilnowane dziecko wybiegało na drogę, ale wtedy idący na przedzie zatrzymywał się i tak długo potrząsał dzwoneczkiem, póki któryś z wieśniaków nie odważył się złapać dziecka za włosy i odwiec za płot.

Z każdym krokiem, z każdym milczącym przysiółkiem, który zostawał z tyłu, odmieniec nabierał otuchy. Postanowił sobie w duchu, że nawet jeśli jeszcze nie jest nieczystym, to zrobi wszystko, żeby się nim stać. Spodobało mu się takie życie.

Wieczór przyszedł niepostrzeżenie, a potem długo jeszcze dogorywał, śląc gasnące czerwone blaski. Po niebie rozsypały się gwiazdy, jakby ktoś zdmuchnął popiół z niewygasłego żaru. Choć nie padło ani jedno słowo, wszyscy zatrzymali się. Nie szukali dogodnego miejsca na nocleg, tylko po prostu schodzili na pobocze i pokotem kładli się prosto w trawie, podkładając pod głowy zwinęte worki.

Odmieniec rozejrział się bezradnie. Nie czuł zmęczenia ani głodu, był zbyt podniecony, żeby spać. Przeszedł wzdłuż szeregu nieruchomych kształtów i dopiero na samym jego skraju dosłyszał znajomy suchy szelest oddechu. Usiadł, krzyżując nogi, zerwał źdźbło trawy i wsadził je między zęby. Zsunął kaptur na plecy.

– Nazywam się Gędek. – Łagodny głos obcego przypłynął razem z zapachem kaczęćców. – Przewodzę tej zgrai. A ciebie co tak gna? Masz tam kogoś?

Pytanie tak niespodziewanie wybiło go z zamyślenia, że nie od razu zrozumiał jego treść. Położył się z rękami pod karkiem i zaczął błędzić wzrokiem od gwiazdy do gwiazdy.

– Gdzie?
– W Grodzisku. Ciagnie cię jak wilka za rannym jeleniem.

– No... Jest tam taka dziewczyna.
– Dziewczyna? – Gędek trochę zbyt późno stłumił zdziwienie, które zabrzmiło w jego głosie. – Nie miej mi tego za złe, ale nie wyglądasz na kogoś, kto przez pół świata ugania się za spódnica.

Odmieniec wypluł źdźbło i przekreślił się na bok, plecami do obcego.

– Wiem, jak wyglądam. I za nikim się nie uganiam, tylko chcę jej pomóc. – Przez jakiś czas słuchał poświstywania śpiących ludzi, potem zapytał ciszej: – A wy?

– My? – Gędek odezwał się nie od razu, jakby najpierw musiał znaleźć odpowiedź w swoich wspomnieniach. – Jesteśmy zbrukani. Idziemy tam, żeby szukać oczyszczenia.

Odmieniec pomyślał o dłoni z tępymi kikutami zamiast palców, o nagich dżiąsłach pod strzępami warg. Wilgoć od trawy przesiąkała przez płaszcz aż do pleców, wzdrygnął się.

– Chcę się oczyścić? Jak?
– W ogniu. Co przejdzie przez ogień i nie zginie, będzie czyste.

Nie chciał wiedzieć więcej. Mimo rześkiej nocy zrobiło mu się duszno. Usiadł, odetchnął i oparł brodę na podciągniętych kolanach.

– Czy to jeszcze daleko?
– Nie. Moglibyśmy dojść o północy, ale nam nie wolno wędrować po zachodzie słońca.

Odmieniec chwiejnym krokiem wybiegł na środek drogi. Daleko, w miejscu, gdzie ciemnoszare niebo zlewało się z ziemią, drgała półkolistą kropla światła nad Grodziskiem. Chłonał ją rozszerzonymi źrenicami, jak ziszczony sen.

•
Podgrodzie było ogromne. Las urywał się nagle, a zryta kopytami droga z trudem wślizgała się między pierwsze

oplotki. Chaty prawie dotykały strzechami gałęzi ostatnich drzew, a dalej, gęsto upchane w zakolu rzeki, pokrywały piaszczystą równinę aż do stóp grodowego wzgórza. W niebo buchały setki dymników, a spleątany jazgot ludzi i zwierząt tłukł się w ciasnych, ciemnych zaułkach. Wały grodu wyglądały z tej odległości jak niewysoki nasyp, okalający płaski wierzchołek wzgórza. Dopiero kiedy uchyliło się jedno skrzydło bramy i wytoczył się zaprzężony w dwa woły wóz, odmieniec z wrażenia zmylił krok.

– Przecież za tą bramą zmieściłaby się cała wieś! – Zmrużył oczy, bo gdzieś na szczycie wału dostrzegł błysk żelaza. – Czy tam mieszka książę?

– Tam, ale lepiej nie zaprzężaj tym sobie głowy. – Gędek, który szedł przed nim, przynaglił go ruchem ręki. – Na nas czeka inna gościna.

Droga przerywała podgrodzie na pół. W miarę, jak posuwali się naprzód, cichł wokół nich gwar, ale ledwo przeszli kilkanaście kroków, codzienna krzątanina wybuchała na nowo za ich plecami. Zdawało się, że nawet świnię śledzą ich pochód, wciskając wąsące ryje między żerdki płotów. Przytłaczająca duchota mieszała się z wilgotnym powiewem od rzeki, kiedy weszli na okrągły plac. Przez jego środek ciągnęły się dwa równoległe stopy drewna i chrustu, długie na kilkadziesiąt kroków. Przejście pomiędzy nimi było tak wąskie, że pojedynczy człowiek tylko z trudem mógłby się przecisnąć.

– Co to jest? – W prześwicie między stosami odmieniec widział kawałek jasnego, kłującego w oczy nieba.

Nikt mu nie odpowiedział. Nad jakąś wysychającą w upale padliną szczura głośno brzęczały muchy. Odmieniec zakręcił się niespokojnie, ale ludzie w kapturach stali w miejscu, jakby na coś czekali.

Nagle muchy poderwały się buczącym rojem, migocząc w słońcu skrzydełkami. Za stosami zastukały czyjeś ciężkie kroki, a po każdym stąpieniu jeszcze przez chwilę brzmiało w uszach cichnące dzwonięcie ostróg. Kiedy na piasek wysunął się pękaty cień, odmieniec poznał go od razu.

– A, jesteście wreszcie! – Starosta nogą odsunął na

bok zdechłego szczura, ale nie podchodził bliżej. – Ilu was jest?

– Tuzin.

– Całkiem sporo w tym roku. – Starosta przesłizgnął się po nich wzrokiem, zatrzymując się na odmiencu. – A ten co? Nie wiecie, że dzieciom nie wolno się oczyszczuć?

Odmieniec wysunął się naprzód i odrzucił kaptur. Ktoś niezdarnie próbował złapać go z tyłu za płaszcz, ale wyrwał się i przystanął dopiero o dwa kroki przed starostą. – Nie jestem dzieckiem. Muszę rozmawiać z księciem. Zaświecił miecz i zimne ostrze dotknęło jego czoła. Spłoszone muchy wzniosły się jeszcze wyżej.

– Nie podchodzi! – W rozbieganych oczach starosty zatlił się strach. Odczekał chwilę, a kiedy nikt więcej się nie poruszył, znowu skupił wzrok na odmiencu. – Czy ja cię skądś znam?

Ostrze kłuło mocno, ale odmieniec nie cofnął się.

– Widzieliśmy się wiosną przy gospodzie.

– A, prawda! – Oczy starosty zwężyły się, końcem miecza musnął bliźnię na jego twarzy. – Pamiętam. To chyba było wtedy, kiedy braliśmy tę młodą wiedźmę. Jakim cudem przeżyła?

– Ja... Chcę prosić księcia, żeby...

– Złe czasy nastaty, jeśli byle robactwo takie butne. – Starosta poklepał go płazem miecza po policzku i ponad jego głową spojrzął na pozostałych. – No, wystarczy tego gadania. Wiecie, gdzie iść.

Odmieniec drgnął, kiedy sparzył go w kark gorący oddech. Szept był tak cichy, że ledwie zrozumiał słowa.

– Chodź z nami, chłopcze. On cię zabije. A jeśli chcesz jeszcze komuś pomóc, musisz żyć.

Dał się pociągnąć do tyłu jak bezwładna kukła. Poczul się tak, jakby właśnie teraz wyczerpały się wszystkie jego siły. Dwóch ludzi musiało wlec go pod ramiona, bo chwiał się na nogach. Zrobił jeszcze jeden wysiłek, żeby się obejrzeć, zanim całkiem pociemniało mu w oczach. Starosta wciąż stał tam, gdzie przedtem. Patrzył za nim, w zamyśleniu złościąc mieczem bruzdy w piachu.

Schodzili wąskim przejściem w dół, ku rzece. Płytkim rowem sączyła się gęsta, cuchnąca gnojówka. Chaty zostały gdzieś wyżej, a przed nimi zazieleniły się nadrzeczne łągi. Po wodzie przebiegały ruchliwe światełka. Spod opadających powiek odmieniec zobaczył jeszcze ciemny kształt stodoły, skrzypnęły drzwi. Poczł uderzenie w plecy, potknął się na progu i upadł.

Obudziło go pragnienie. Z trudem uniósł głowę i przesunął językiem po wyschniętym podniebieniu. Chyba jęknął, bo blisko siebie usłyszał szelest, a potem ktoś podłożył mu dłoń pod kark.

– Ciii... Wszystko dobrze. To już nie potrwa długo.

Poznał głos Gędka. Usiadł, przyciskając dłonie do tętniących skroni.

– Co mi jest?

– Nic. Po prostu przeliczyłeś się z siłami.

Otaczał go półmrok. Wsluchał się w niego, wstrzymując oddech. Byli tu wszyscy ci, z którymi przyszedł, zagrożeni we śnie albo w odrętwieniu. Był pewien, że mógłby dosłyszeć bicie serca każdego z nich.

– Chcę stąd wyjść.

– Nie możesz. Teraz już musisz dojść z nami do samego końca.

Dotknął palcem popękanych warg. Przelknięcie śliny sprawiło mu ból.

– Do jakiego końca?

– Do oczyszczenia. Do ognia. Kto przejdzie przez płomienie, ten będzie czysty.

Przypomniał sobie dwa stopy drewna i to wąskie przejście, jak droga do grobu. Przed jego oczami zaczęły kurczyć się i rozszerzać czerwone kręgi. Podniósł się na kolana, a potem niepewnie stanął na drżących nogach.

– Jesteście szaleni – szepnął.

– Nie, bracie. My tylko wytrwaliśmy w nadziei.

– Nie da się przejść przez ogień!

– Da się. To nie jest zwykły ogień. Rozniecają go z żaru, który od początku świata płonie we wnętrzu ziemi. Z tego żaru, który przed wiekami spalił Matulę. Trzeba tylko wiary.

– To niemożliwe! Skąd miałiby wziąć taki ogień?

– Nie wiem. Ludzie gadają, że przed laty wykradła go z samego piekła żona księcia.

– Po co?

– Kto to może wiedzieć? Niektórzy mówią, że sama była nieczysta. Jak tam było, tak było. Zdobyła ogień, ale moc Matuli ją przerosła. Nie mogła zostać między ludźmi.

– I co się z nią stało?

– Przepadła. Ale ogień pozostał, podsycają go gdzieś w ukryciu. Raz w roku rozpalają stos. Każdy, kto ma odwagę, może się oczyścić.

– Skąd wiesz? Widziałeś?

Gędek zebrał z ziemi garść pyłu i w zamysleniu podrzucił ją w zniekształconej dłoni.

– Nie widziałem. Ale wiem, że dawniej takie rzeczy się zdarzały. W tym miejscu, w tym dniu i w tym ogniu.

– Bzdury! – Odmieniec podniósł głos, aż kilku nieczystych poruszyło się przez sen. – Wy po prostu macie już dosyć życia. Oszukujecie samych siebie! Ale mnie to nie dotyczy, wychodzę.

Zatoczył się w stronę drzwi. Wsadził palce między szpary w deskach i pociągnął z całej siły. Obluzowana zasuwka podskoczyła, ale nie wypadła.

– Hej tam, otwierać! Ja jestem zdrowy! Wypuście mnie!

Po długiej ciszy zagrzynała zasuwka i pchnięte od zewnątrz drzwi odrzuciły odmieńca na środek szopy. Na progu stanął strażnik, jego postać odcinała się od dogasającego na niebie wieczoru.

– Wehódź, starucho! – rzucił za siebie. – Ale pamiętaj, że masz tylko chwilę.

– Nie marudź, synku! – Mały garbaty cień przesunął się koło strażnika i wtopił się w szarzyznę. – Za to srebro, które ci dałam, będziesz pił przez trzy dni. A teraz zostaw nas samych.

Drzwi trzasnęły, cienie podskoczyły i pierzchy. Jakaś stara kobieta, opierając się na kij i powłócząc nogami, podeszła bliżej. Odmieniecowi się zdawało, że pomimo ciemności uważnie przygląda się jego twarzy.

– Już się bałam, że cię nie odnajdę – stęknęła, podnosząc trzęsącą się głowę.

– Pomyliła się, babciu. – Rozłożył ręce. – Bierzesz mnie za kogoś innego. Ja nie...

– Zamknij się! – fuknęła, ale zaraz ściszyła głos tak, że tylko on mógł ją usłyszeć. – Nie mamy czasu na przekomarzenia. Wiem, kim jesteś i po co tutaj przywędrowałeś. Pomogę ci.

Odmieniec bez słowa poruszył wargami. Staruszka podała mu coś na wyciągniętej dłoni.

– Weź to. Uważaj! W tym dzbanuszku jest mazidło. Wysmaruj się w nocy bardzo dokładnie, po całym ciele, razem z włosami. Nie ma barwy ani zapachu, więc nikt nie powinien zauważyć.

Czekała na jego odpowiedź, ale kiedy kilka razy bezradnie odchrząknął, niecierpliwie stuknęła kijkiem w ziemię.

– Sluchaj! Potrzebujesz mnie, żeby przeżyć jutrzejszy dzień. Po prostu mi zaufaj i zrób, co mówię. Jeszcze przyjdzie czas, kiedy będziemy mogli sobie spokojnie wszystko wyjaśnić.

Uchylili się drzwi, strażnik wetknął przez szparę skudloną głowę.

– Wystarczy! – syknął. – Wylaź, bo zaraz przyjdzie zmiana!

Staruszka pokuśtykała do wyjścia. Przekraczając wysoki próg, obejrzała się. Odmieniec dostrzegł, jak siwe kosmyki na jej skroniach zabujały się, kiedy skinęła mu głową.

Wrócił na swoje miejsce na sztywnych nogach i usiadł ciężko. Gędek spojrzął na niego z boku, wciąż przesyppując pył.

– Kto to był?

– Nie wiem... Jakaś staruszka. Gadała od rzeczy.

Pękaty dzbanuszek ziębił mu dłoń.

•

Książę pił od samego rana. Siedział krzywo na tronie i machał przewieszoną przez podłokietnik nogą. Za każdym razem, kiedy widział w otwartych drzwiach przebiegającego przez sień Rozpruwacza, odzywała się na nowo jego pijacka czkawka.

– Przynajmniej się stara. Biega jak... jak... – Przeszedł machać nogą i poczekał, aż mu się odbije. – Jak szczur z podpalonym ogonem.

Wielmoże wymienili ukradkowe spojrzenia, kręcąc z powątpiewaniem głowami. Na twarzy księcia widzieli kilka nowych zadrapań, a jego siwiejące włosy pozlepiały się w brudne klaki. Dawnio nie zmieniane ubranie było wystrzępione i pełne plam.

Gruby wielmoża rozmazał palcem na stole kałużę wina i mruknął cicho do przysypiającego sąsiada, o wąskim nosie i capiej brodzie:

– Biega, nie biega, wszystko jedno. To już długo nie potrwa.

– Co?

– Wszystko – odpowiedział grubas niejasno, ale potrójnym podbródkiem wskazał księcia. – Wykańcza się.

W sieni znowu rozległ się śpieszny tupot. Gdzieś trzasnęły drzwi. Wąskonosy wielmoża skrzył w palcach szpakowaty kędziorek brodki i odezwał się ciszej, od niechcenia błędząc wzrokiem po ścianach:

– Tak ci się spieszy?

– Zamknij się! – Grubas nadął się jak ropucha. – Wszyscy macie zjełczałe mózgi, gnuśne wieprze!

– My? A ty co, Masław, jesteś lepszy od nas? Nigdy nie myślałeś o tym, co będzie... potem?

Grubas zajrzał do swojego kubka, parszkając jak kot nad zimnym mlekiem.

– Pewnie, że myślałem. Każdy myśli, kto tylko ma oczy i widzi, co się dzieje. Ale mam nadzieję, że zanim książę... zanim... Tfu! – Splunął przez ramię. – Ze książę zdąży wydać córkę za mąż i w razie najgorszego chociaż to jedno będzie jasne.

– Zdażyłby, na pewno. I to nawet z trzema zapowiedziami, jak należy. – Wąskonosy wyrwał z brody jeden włos i obejrzał go pod światło. – Ale ona się nie zgodzi. Jest zbyt harda jak na swój wiek. Sama wybierze sobie męża.

– Może i tak. W każdym razie to na pewno nie będzie ty, Przecławie.

- Niby czemu?
 - Jesteś zony.
 - Nigdy nic nie wiadomo - westchnął wąskonosy i skromnie opuścił oczy. - Moja pani małżonka od dawna słabuje.
 - Taa... - Masław poprawił się na ławie, jakby nagle zrobiło mu się niewygodnie. - Trudno nie zauważyć, że przyszły złe czasy na żony wielmożów. Padają jak muchy, przez ostatni miesiąc w ziemię poszły chyba ze cztery.
 - Przeclaw wykrzywił wargi w grymasie, który nie był ani uśmiechem, ani gniewem.
 - Ciekawe, jak byś teraz gadał, gdybyś od lat nie był wdowcem.
 - Zamilkli na dłuższy czas, pochylając karki i chowając nosy w kubkach. Książę belkotał coś sam do siebie, wrzeszcząc od czasu do czasu na służbę, aż wreszcie osunął się na oparcie i zasnął, z koroną opierającą się na nosie. Ośmielone pijackim hałasem psy wtykały pyski między ludzi i kradły mięso prosto ze stołów.
 - Słyszałeś o wiedźmie? - Masław nagle podniósł głowę, jakby o czymś sobie przypominał.
 - Na tym dworze słyszy się głównie o wiedźmach i innych leśnych dziadkach. - Przeclaw wzruszył ramionami, ale jednocześnie czujnie zmarszczył czoło. - Nazłaziło się tego zewsząd.
 - Ta jest inna. Starucha, choć jeszcze zwawa. Pomogła paru kmiotkom na podgrodzie, a komuś tam podobno nawet zdjęła bielmo z oka.
 - No to ją pewnie książę każe przywlec, a potem i tak skończy się jak z innymi.
 - Już kazał, ale ona zniknęła, jak tylko zrobiło się wokół niej za dużo ruchu.
 - To dobrze świadczy o jej rozumie.
 - Jest jeszcze coś. - Masław obejrzał się i przysunął bliżej. - Podobno bardzo ją ciekawiło wszystko, co dzieje się na dworze. Podpytywała kupców, służbę, nawet wojów.
 - Każdy jest ciekawy. Całe podgrodzie huczy.
 - Ale ona mówiła... - Masław zawahał się, skubnął dolną wargę, a potem machnął ręką. - Zresztą nieważne. Przeclaw odchylił się do tyłu, splatając dlonie na brzuchu. Jego wywinęta do góry warga wyrażała kpinę.

- Co takiego mówiła?
 - Wiem to od pacholka - zastrzegł się Masław, podnosząc otwarte dlonie. - Takie stare bajdy, znam je jeszcze od piastunki. Wiesz, o Matuli... Ze ona, no... Ze się budzi. Tak gadała. A ludzie stali wokół niej z porozdziawianymi gębami i słuchali jak biskupa na odpuscie.
 - Przeclaw powoli pokiwał głową. Dopił do końca wino, mlasnął i odstawił kubek.
 - Nie doceniłem cię - jego głos był zimny, każde słowo dęgało jak ościę. - Sławka jest prawie dzieckiem, więc chcesz ją uwieść bajkami.

Ze szczytu wału roztaczał się szeroki widok na okolicę. Po łagodnych stokach grodowego wzgórza splywało w stronę rzeki podgrodzie, nastroszone słomianymi strzechami chat i szczyrzące się żerdkami plotów. W wąskich przejściach tłoczyli się ludzie, psy, świnię i kury, a ich zmieszane wyciewy leciały w niebo razem z dymami palenisk. Dalej, aż po ciemny wał lasu, kołysały się na wietrze czekające na żniwa pola. Na piaszczystym brzegu rzeki suszyły się sieci, porozciągane na słupkach jak wielkie pajęczyny.

- Dziwne! - Rozpruwacz skupił wzrok na gromadce wieśniaczków, które plukały pranie w płytkim zakolu rzeki. - Wcale nie widać, żeby na tych ludzi spadła jakaś plaga.

Starosta parsknął lekceważąco.

- Kiedyś zezrą ich własne wszy! To jest jedyna plaga, jaka im grozi.

- Jak to? - Rozpruwacz próbował patrzeć jednym okiem równocześnie na niego i na rzekę, bo tam co chwila wybuchały śmiechy i chlapanina. - Skrzaty zwykle rozlają się na dobrych kilka wiorst dookoła. Jeśli nikt ich nie powstrzyma, bardzo szybko sprowadzają klęskę. Na tych polach co drugi kłos powinien być pusty, a gospodarze pod nioskami powinni znajdować puste wydmuszki zamiast jajek.

- Tutaj jest inaczej. Uwzięły się na księcia i bardzo

rzadko zaczepiają kogoś innego, chociaż i to się zdarza. – Schylił głowę i pociągnął nosem, jakby obwąchiwał sam siebie. – Nie słyszałem, żeby rozpetzły się na podgrodzie. Martwi cię to?

– Jeszcze nie wiem. Ale wolałbym mieć do czynienia ze skrzatami, które zachowują się jak skrzaty, a nie jak ludzie.

Starosta spojrział krzywo i chciał coś odpowiedzieć, ale nagle zatrzeszczała za nimi drabina. Ponad krawędź walu wysunął się garbaty nos Gładziuchny, a zaraz potem jej trójzębny uśmiech. Wlazła powolutku, trzymając się drabiny tylko jedną ręką, bo w drugiej trzymała parującą miche, a pod pachą gliniany dzban.

– Kasza ze stoninką i kwaśne mleko!

Nie od razu zgadli, do którego z nich mówi, bo wciąż była wpatrzona w koniec swojego nosa, ale kiedy podsunęła Rozpruwaczowi miche pod brodę, starosta ze złością szarpnął wąsy.

– Kto cię przystał?

– Nikt! – Wyprostowała się z godnością i wbiła w kociopek kaszy drewnianą łychę. – Ktoś przecież w tym dworze musi pamiętać, co to jest gościnność.

Zapach podsmażonej słoniny sprawił, że staroście gwałtownie podskoczyła grdyka. Połknął przekleństwo i odszedł, wrzeszcząc po drodze na strażę. Rozpruwacz z zalem odwrócił się od zakola rzeki, gdzie wieśniaczki wchodziły coraz głębiej w wodę, podkasując kiecki do bioder. Ale kiedy kłęby gorącej pary owiały mu twarz, rozpodził się.

– Dziękuję!

– Na zdrowie, soko! – Gładziuchna podniosła zimny dzban. – Wolisz kaszę pryskaną czy nie?

– No, nie wiem... Może spróbuję pryskaną?

Pociągnęła z dzbana długi łyk. Kiedy pochylała się nad miche, z białymi grudkami na wargach i wydętymi policzkami, Rozpruwacz zamknął oko. Z rozpaczą słuchał, jak Gładziuchna rozbrzyguje mleko, z odgłosem podobnym do prucia starych gaci. Robiła to bardzo długo i bardzo starannie.

– Yhm... Podzielę się ze starostą. – Trzymał miche w trzęsących się rękach. – On też biega od świtu bez zadnego posiłku.

– Nie martw się o niego. – Czule pogładziła go po wklęsłym brzuchu. – Jedz.

Jakiś czas grzebał łychą, zanim udało mu się nabrać trochę kaszy z samego dna. Przelknął szybko, bez zucia, próbując zająć myśli czym innym. Zamarł z łychą w połowie drogi do ust, kiedy znowu usłyszał jej głos.

– Nie schodź do skarbcza.

W jej oczach, w których przed chwilą lśniła tylko tkliwość, teraz iskrzyło się rozgorączkowanie.

– Widziałam, jak kręcicie się koło kamiennej płyty – mówiła bardzo szybko, bezładnym szepem, jakby chciała powiedzieć jak najwięcej na jednym wydechu. – Nie schodź tam, nie zaglądań i nawet się nie zbliżaj!

– Czemu?

– Bo tam...

Urwała, kiedy wrócił starosta, ale nagle cisza i tak wzbudziła jego czujność. Przyparł starą swoim wielkim brzuchem do palisady i spojrział na nią groźnie, unosząc jedną brew.

– Masz za mało roboty w kuchni?

Skulona przemknęła pod jego łokciem, wskazując na pierwszy szczebel drabiny. Zanim jej głowa zniknęła, złośliwie jeszcze wzrok Rozpruwacza.

– A co do kuchni, to właśnie tam powinniście szukać skrzatów, a nie gdzieś indziej. Koło garów kręci się tego tyle, że czasem się o nich potykam. Kradną więcej żarcia przez jeden dzień, niż cała służba przez miesiąc.

Patrzyli z góry, jak biegnie przez dziedziniec. Kiedy mijala kamienną płytę, odwróciła się i jeszcze raz błysnęła oczami.

– Uch, co za pyskate babsko! – starosta pogroził jej pięścią. – Dawno bym ją pognal precz, gdyby tak dobrze nie gotowała.

– Masz! – Rozpruwacz skwapliwie podsunął mu miche. – Jakoś nie jestem głodny.

Słuchał łapczywego mlaskania starosty, błędząc wzro-

kiem po znudzonych twarzach strażników, którzy kiwali się sennie z czołami opartymi na drzewach włoźni. Nagle zmrużył oko, przypatrując się któremuś z nich uważnie.

- Jak się nazywa ten mały, z rękami po kolana?
 - Plewek. - Starosta niechętnie oderwał się od kaszy.
 - Będę go potrzebował.
 - Po co ci woj? Lepiej posłę po jakiegoś pacholka.
 - Chcę jego. A jak nie dasz, poproszę księcia.
- Starosta odłożył lychę i gwizdnął, przywołując Plewka palcem. Strażnik podbiegł posłusznie, ale kiedy rozpoznał Rozpruwacza, zwołał kroku.

- Na rozkaz! - Niepewnie przelożył włoźnię z ręki do ręki.

Starosta wzruszył ramionami, skrobiąc o dno michy. Rozpruwacz zbliżył się do Plewka i po ojcowsku położył dłoń na jego ramieniu.

- Chyba poznaliśmy się wczoraj wieczorem, bracie?
- E... ciemno było... a może... - Plewek zakastał. - Nie wiem.

- Jesteś bardzo dzielny, podobasz mi się. Chcę ci powierzyć ważne zadanie. - Nie przestawał się uśmiechać.

- Jest pewna dziura, głęboka i ciemna, do której trzeba zajrzeć i trochę poszperać po zakamarkach. Myślę, że tam mogą być skrzaty.

Plewek zbladł, zwiotczał i osunął się po włoźni na kolana. Próbował wzrokiem wyzebrać ratunek u starosty, ale miarowy ruch lychy nie ustał ani na chwilę.

- Na jesień miałem się żenić! Tyle, co po zrękowinach.
 - Miał wielkie oczy i spękane wargi. - Złituj się, człowieku!
- Rozpruwacz poglaskał go po ciemieniu, zebrał jego jasne włosy w garść i uniósł mu twarz. Długo patrzył w szare źrenice. Było całkiem cicho, tylko między zębami starosty trzaskaty ziarenka kaszy.

- To trudniejsze niż strzelanie z wału do bezbronnego człowieka, prawda? - Poklepał go po policzku. - Możesz przestać się trząść. Znam się na ludziach i wiem, kto się do czego nadaje. Miałem na myśli inną dziurę. Nie ma tam potworów, ale za to utapasz się w gównie po sam nos.

•

Rozpruwacz czerpał wodę garnkiem ze stojącej w rogu kuchni beczki i po kolei wygaszał wszystkie paleniska. Zar syczał wściekle, ciężkie kłęby przesłoniły powagę. Mdle przedwieczne światło, które z trudem przesiewało się przez wąskie okienka, szybko ustępowało przed ciemnością.

- Zaczekaj! - Starosta zastąpił mu drogę, kiedy węgielki na ostatnim palenisku jeszcze skwierczały. - Przecież nic nie będziemy widzieć.

- Nie zobaczyłbyś skrzata nawet wtedy, gdyby nasikał ci do ucha. Z nas dwóch ty znasz się na waleniu ludzi po głowie, a ja na łapaniu skrzatów. Więc nie wtrącaj się.

Starosta zacisnął wargi, ale ustąpił.

- Nie igraj ze mną. Książę kazał cię pilnować i dał mi przy tym całkiem wolną rękę. Jeśli uznam, że coś knujesz, z przyjemnością wydłubię ci drugie oko.

Rozpruwacz chlusnął wodą i mrok nagle zgęstniał, jakby ktoś zatrzasnął im nad głowami wieko wielkiej skrzyni. Okienka czerwieńły się gasnącym blaskiem zachodu. Starosta dopiero po chwili, kiedy zamrugł oczami, zaczął rozróżniać zarysy stołu i pękatek kotłów. Usłyszał za plecami szelest kroków i wyuczonym odruchem okręcił się na pięcie, wyszarpując miecz.

- Spokojnie. - Głos Rozpruwacza dobiegał teraz gdzieś z boku. - Miałem wiele innych sposobności, żeby cię zabić. Podejdz tu.

Sypnęły się iskry, zaraz potem zatlił się knot małego ogarka. Rozpruwacz ostrożnie postawił go na brzegu beczki. Jego twarz, podświetlona od dołu, wyglądała jak pysk niewyspanego diabła. Starosta ruszył w jego stronę, płomyczek zachwiał się.

- Dostyc żartów! - warknął. - Gadaj, co chcesz zrobić!

Rozpruwacz sięgnął za pazuchę. Wydobył kłębek cienkiego sznurka i odmierzył łokciem odpowiednią długość. Jego oko błysnęło z głębi cienia, kiedy wyciągnął przed siebie ręce i naprężył kawałek sznurka między dłońmi.

- Jeśli już koniecznie musisz się bawić czymś ostrym, to tnij.

Usłyszał krótki świst i poczuł na obu kciukach lekki podmuch. Jego dłonie odskoczyły od siebie.

- No co? Ulżyło ci? - Zwinął resztę sznurka, schował kłębek i włożył na bezkę, opierając stopy na przeciwnych krawędziach. - Wiem, jak to jest. Jeden musi się napić, drugi idzie na dziewuchy, a tacy jak ty nie zasną spokojnie, póki kogoś nie...

- Cicho!

Starosta wsunął miecz do pochwy, równocześnie głośno wypuszczając powietrze przez nos. Rozpruwacz przewlokł sznurek przez belkę u powały i zeskokczył na ziemię. Koniec sznura kolebał się w półmroku tuż nad powierzchnią wody, pośrodku bezki.

- Przez chwilę miałem nadzieję, że chcesz się powiesić. - Starosta pokręcił głową z rozczarowaniem. - Co to ma być?

- My, skrzatolapy, w zasadzie nie zdradzamy nikomu tajemnic naszego fachu.

- Wy, skrzatolapy, w zasadzie jesteście zgrają kłamliwych naciągaczy. Gadać!

- Ktoś bystry łatwo mógłby się nauczyć paru sposobów, żeby potem psuć nam ceny. No, ale przecież ciebie to nie dotyczy. - Nie pozwolił staroście tego przemysleć i dokończył szybko. - Najpierw trzeba się dowiedzieć, gdzie jest skrzaci król.

- To one mają króla?

- Pewnie, że mają. Ale bardzo trudno go spotkać. Siedzi ukryty w jakiejś mysiej norze i nie wystawia stamtąd nosa.

- No to jak go znajdziemy?

- Wcale nie będziemy szukać. Złapiemy pierwszego lepszego skrzata i zapytamy go.

- Powie?

Rozpruwacz wsunął dłoń za cholewkę i wyciągnął długą igłę. Oparł ją o płonący ogarek i przez chwilę patrzył, jak jej koniuszek rozżarza się do czerwoności.

- Jeśli będziemy nalegać, to powie.

Starosta splunął w ciemność przez lewe ramię.

- Jezu, człowieku! Chcesz go tym dźgać? Jak byłeś mały, to pewnie dla zabawy nadmuchiwałeś zaby przez słomkę?

- Nie zmuszam cię, żebyś na to patrzył - wzruszył ramionami Rozpruwacz. - Jeśli po wszystkim masz mieć złe sny, to...

- Zostanę - uciął starosta i brodą wskazał sznurek. - Jak to ma działać?

- Bardzo prosto. Skrzata nie da się złapać, dopóki może swobodnie biegać. Są tak szybkie, że zwykle można je zobaczyć tylko kątem oka, jak rozmazaną smugę. Ale mają też jedną słabą stronę. - Umoczył palce w wodzie i zachlupotał. - Nie umieją pływać.

Starosta zakiwał się na piętach.

- Chcesz go złapać na wodzie?

Rozpruwacz pogrzebał w kupie odpadków na stole. Znalazł nadpleśniaty orzech i podrzucił go w dłoń.

- To najlepszy sposób. Będzie bezradny jak wesz na tysej pale. - Rozgrzył orzech i mlaskając jak pies, który złapał muchę, wyjął środek.

- Nie utopi się?

- Nie. - Położył pustą lupinkę wklęsłą stroną do góry i otrzepał ręce. - Nie pozwolimy mu na to.

Starosta przeszedł się parę kroków tam i z powrotem, z dłońmi splecionymi na plecach i zmarszczonym czołem.

- Ładnie pomyślane. Tylko po jakie licha skrzat miałby pływać w bezce na łupince orzecha?

- Bo tylko tak będzie mógł zdobyć to, co powiesz na końcu sznurka.

Staroście się zdawało, że Rozpruwacz przywiązał nad powierzchnią wody kawałek czerwonej szmatki, ale kiedy pochylał się i obejrzał to lepiej, zdumiony pokręcił głową.

- Czapeczka? Chcesz go skusić na czapeczkę?

- Dla skrzata czapeczka jest czymś o wiele ważniejszym, niż tylko nakryciem głowy. Skrzat bez czapeczki traci godność. To mniej więcej tak, jakbyś ty pokazał się na podgrodziu bez gaci.

- Rozumiem. - Starosta rzucił szybkie spojrzenie na nogawki. - Ale przecież oni już mają swoje czape...

Zawiesił głos i przez jakiś czas pozostał z otwartymi ustami.

- A widzisz! - Rozpruwacz poślinionymi palcami po-

prawił knot ogarka. – Jeden nie ma. I właśnie na tego jednego zapolujemy.

Schowali się za pusty kocioł i przycupnęli w ciszy.

Nie czekali długo.

Skrzat pojawił się na brzegu beczki tak nagle, jakby wcale nie musiał wdrapywać się do góry, tylko spadł gdzieś spośród cieni zalegających między belkami pod powatą. Starosta wstrzymał oddech i szybko zatrzepotał rżęsami.

– Spokojnie – szepnął mu Rozpruwacz prosto w ucho. – Nie możemy go wystraszyć.

Skrzat stał z ramionami rozrzuconymi na boki i chwiejnie łapał równowagę. Wpatrywał się w czapeczkę, jakby bał się ją spłoszyć. Miał krótkie, krzywe nóżki i o wiele za dużą głowę, jak na swoje rozmiary. Gęsta broda, żółtobiała jak kłaczek wehny, sięgała mu do opiętego na wzdętym brzuszku pasa. Jego bezwłosa czaszka świeciła żółtawo.

– No dalej, lysa gnidko! – stęknął starosta. – Zegluj!

Kiedy skrzat zepchnął nogą łupinkę do wody, usłyszeli cichy plusk. Ugiął kolana, oparł dłonie na udach i przez długą chwilę patrzył w dół, zbierając się na odwagę. Potem wyprostował się, podniósł ręce nad głowę i skoczył.

Starosta wypadł zza kotła, ale Rozpruwacz zdążył jeszcze złapać go za pas.

– Stój! – Z całej siły zaparł się piętami. – Niech najpierw kawalek odpłyynie!

Starosta go nie słyszał. Nie oglądając się, wymierzył za siebie cios łokciem i rzucił się naprzód, charcząc z wściekłości. Zanurzył w beczce obie ręce po łokcie i zamścił, ochlapując ściany.

– Zabijesz go, durniu! – Rozpruwacz próbował wcisnąć się między niego a beczkę. – Zabieraj łapy!

– Mam! – Starosta nagle odskoczył do tyłu, unosząc prawą rękę. – Złapałem!

– Ostrożnie, daj mi go.

– O nie! – Mokre włosy lepily mu się do czoła, wargi drżały ze wzruszenia. – Sam go zaniosę księciu. Niech wie, że nie trzeba żadnego włóczęgi, żeby... Au!

Zawył z bólu i gwałtownie strzepnął dłońią. Potrącił

biodrem beczkę, ogarek wpadł do wody i przytoczyła ich ciemność.

– Ugryź mnie! – wyzijał. – Nie mogłem go utrzymać! Czy one aby nie roznoszą jakiegoś choróbka?

W mrocznej kuchni przez długi czas było całkiem cicho. Starosta odpruł zębami potę koszuli, określił lekki od krwi palec i zaniepokojony wsłuchał się w milczącą czerń. Ale kiedy Rozpruwacz wreszcie się odezwał, jego głos był całkiem spokojny.

– Rozpal ogień.

Starosta trzęsącymi się rękami nałamał chrustu, skrzesał iskry i pospiesznie rozdmuchał na palenisku płomyczek. Wyprostował kark, ale kiedy spojrzał na Rozpruwacza, znowu przysiadł na piętach.

W jego wyciągniętej ręce, głową na dół, wisiał skrzat.

– Zawsze za nóżkę, przyjacielu – uśmiechnął się skrzatolap. – Nigdy inaczej.

•
Masław zagroził mu drogę swoim tustym brzuchem. Wypełnił sobą cały korytarz od ściany do ściany i dyszał jak zgoniony pies, wymierzyl w Rozpruwacza kołkowaty palec.

– Ani kroku! Sam jesteś?

– Sam, ale wcale nie starałem się urwać. Starosta zemdłał, kiedy wbilem skrzacikowi igłę w...

– To dobrze. – Masław popchnął go w tył, na schody. – Musimy porozmawiać bez tego koguta.

Wyszli na dziedziniec. Noc była tak cicha, że zza wału dobiegał plusk rzeki. Za każdym razem, kiedy Rozpruwacz chciał się odwrócić i o coś zapytać, wielmoża zagarniał go przed sobą brzuszykiem jak kwoka piskle. Rzęził, jakby miał umrzeć, ale uparcie dreptał naprzód. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy zagroził im drogę kamienny mur.

– Jeśli przymciesz mnie mocniej, uduszę się – stęknął Rozpruwacz. Spróbował wbić łokieć w napierający brzuch, ale nie mógł ruszyć ręką. – Puść, przecież ci nie ucieknę.

Masław cofnął się tylko na tyle, żeby Rozpruwacz mógł obrócić się twarzą do niego. Okragła, mokra twarz wielmoży świeciła jak drugi księżyc.

– Postawiłem na walach czterech huczników i jeszcze dwóch na dachu dworu. – Ze zmęczenia połykał końcówki słów. – Jeden twój skok w bok, a zrobią z ciebie jeża.

Rozpruwacz powiódł niespokojnym wzrokiem po szczycie wału. Widział tylko przechadzające się strażę, ale nie wątpił, że grubas mówi prawdę. Swobodnym ruchem położył dłoń na biodrze, bardzo blisko noża.

– Poskarżę się księciu. Robię, co do mnie należy, i niczym nie zasłużyłem sobie na takie groźby.

– Poskarżysz się katu, zaklamany łachudro! – Masław musiał się wycharzczeć, zanim mógł mówić dalej. – Przed wieczorem przybył goniec od grodzierzcy na Zalesiu. Chcesz poznać najnowsze wieści?

Kciuk Rozpruwacza musnął ręką noża. Wzruszył obojętnie ramionami, ale jednocześnie próbował uporządkować rozgorączkowane myśli. Zalesie? Jakże Zalesie?

– Powinno cię to zaciekawić. Pół roku temu grodzierzca wziął sobie młodą żonę, chociaż sam dźwigał już siódmy krzyżyk. Tuż po ślubie zaniemogła, jakby ją ktoś przeklął. Mało jadła, mało gadała, prawie nie wychodziła z izby. Naschodziło się zielarek i znachorów, ale nikt nie umiał jej pomóc. Udało się dopiero jakiemuś przybłędzie. Zaparł drzwi izby od środka, a potem przez trzy dni i trzy noce odczytał urok. Kiedy na koniec czwartego dnia rannem grodzierzczyni wyszła na słońce, była po dawnemu rumiana jak jabłuszko. Stary nie wiedział, jak dziękować, ale Zalesie to liche gródek i nie bardzo miał się czym wypłacić. I wiesz ty co? Nigdy nie można sądzić ludzi po wyglądzie. Przybłęda był obszarpany i źle mu patrzyło z jedyne go oka, ale machnął ręką. Powiedział, że już dostał swoją nagrodę, i tyle go widzieli.

Kiedy wielmoża mówił, Rozpruwacz oglądał z góry i z dołu swoją dłoń, jakby sprawdzał, czy należy do niego. Po kilku pierwszych słowach drgnął i zmarszczył nos w złym uśmiechu.

– Widać, że są jeszcze na tym świecie porządni ludzie. Ale po co mi to wszystko mówisz?

– Bo teraz brzuch grodzierzczyni jest prawie taki, jak mój. A w Zalesiu każdy wie, że jej chłop od dawna jest za stary na takie rzeczy.

W oczach Rozpruwacza po raz pierwszy błysnęło zaniepokojenie.

– Czy on wie, że... hm... że ja tu jestem?

– Jeszcze nie. Ale nic straconego, goniec jest gotów do drogi powrotnej. To młody chłopak. Rumielił się, kiedy opowiadał, co grodzierzca chce ci zrobić, kiedy cię dozwie.

Rozpruwacz postukał paznokciem w rękę noża, a potem westchnął i splótł ręce na plecach.

– Zdrowa dziewczyna przy takim starym capie musiała nabawić się zgrzyoty. Gdyby nie ja, kto inny by ją... – zakaszłał. – Wyleczył. Ale tobie wcale nie chodzi o nią. Mógłbyś mnie przyprowadzić grodzierzcy na łańcuchu, gdybyś chciał. Więc?

Kiedy Masław uśmiechnął się, w policzkach zrobiły mu się dwie dziurki, a oczy zniknęły w fałdach tłuszczu.

– Więc masz dużo szczęścia, że trafiłeś na mnie. Ja też kiedyś leczyłem tę biedaczkę. Chodź!

Tym razem sam poszedł przodem, wzdłuż półkolistej, kamiennego muru. Rozpruwacz położył dłoń na omszałej ścianie i dopiero teraz uświadomił sobie że zdumieniem, że to kościół. Był mały, okragły, z wąskimi okienkami pod samym dachem, który w ciemności wyglądał jak wojacki szłom z krzyżem zamiast kity. Ciężkie, ozdobne drzwi były zamknięte na glucho, ale Masław minął je bez słowa. Zatrzymał się dopiero na tyłach kościoła, gdzie pod murem plenili się wysokie do pasa pokrzywy. Rozgarnął je nogą, schylił się i zaczął czegoś szukać w ciemności. Znalazł, szarpnął. Słaby blask padł na włochate liście pokrzywy.

– Czy jest coś takiego, co szanujesz? – Nie wyprostował się, patrzył na Rozpruwacza spod pachy. – Bóg? Matka? Cokolwiek?

– No... Sam wiesz. Skrzaty nie gniezdzą się w kościołach, bo szkodzi im kadzidło, więc raczej mało bywałem w takich miejscach. Niewiele mogę powiedzieć o Bogu,

a o matce jeszcze mniej. Czasem szanuję samego siebie, ale tylko wtedy, gdy mam pełny brzuch.

– Niech będzie. Przysięgnij na swój ryży łeb, że nie wygadasz nikomu tego, co tu zobaczysz.

– A, o to chodzi! – Rozpruwacz wyraźnie się rozluźnił.

– Przysięgam, przyrzekam i ślubuję. Do mnie jak w grób.

– Żebyś sobie nie wykrakał – mruknął wielmoża i zapadł się pod ziemię.

Ukryte w chwastach wejście było niziutkie, prawie jak do psiej budy. Zaraz za progiem opadały w dół bardzo strome schody. W głębi pełgał małeńki płomyczek świecy, ale stężyły zaduch zdradzał, że nikt tutaj nie schodził od lat.

Rozpruwacz zatrzymał się w połowie schodów, kiedy ktoś zatrzasnął za nimi drzwi.

– Czy to przypadkiem nie katownia? – Płomyczek zadrdzał od podmuchu. – Styszałem, że w każdym grodzie jest takie miejsce.

– Pewnie, że jest, ale nie pod ołtarzem. Nie bój się, to tylko krypta.

– Od razu mi lepiej. – Rozpruwacz w ostatniej chwili powstrzymał się od splunięcia przez lewe ramię.

Schodził dalej noga za nogą, odurzony zmieszanymi zapachami mokrych ścian i topionego wosku. Miał uczucie, że zstępuje do jakiegoś innego świata, gdzie rządzi prawa i zasady, których nie zna. Nie umiał ocenić wielkości krypty, bo jasność świecy nie ogarniała jej w całości i ściany kryły się w mroku. Ale równie dobrze mogłoby nie być ich wcale, półkole chwiejnego blasku zdawało się wisieć pośrodku nocnego nieba. Gruba świeca, do połowy wypalona i opleciona warkoczami stygnącego wosku, przyciągała wzrok. Stała na brzegu potrzaskanego i zapadniętego do wewnątrz grobowca. Jakiś zakapturzony mnich kiwał się sennie nad mogiłą, szelest jego modlitwy łaskotał uszy.

– Nic tu po mnie, wracam! – Rozpruwacz wstał do krypty tylko jedną nogą, drugą trzymał na schodach. – To nie mój fach. Nie noszę żadnych osinowych kółków ani nic takiego.

– Cicho, tu nie knajpa! – Wielmoża położył palec na wargach, zamigotał czerwony kamień jego pierścienia.

Mnich przestał się kiwać i zapadła długa cisza, maćona tylko skwierczeniem knota. Kiedy wreszcie podjął modlitwę, Masław z widoczną ulgą wypuścił powietrze.

– Nie przeszkadzaj – zniżył głos do szeptu. – To jest grób ojca naszego księcia.

– Myślałem, że wladców grzebie się bardziej na widoku.

– Zwykle tak. – Grubaś podniósł jeden palec. – Na górze leży cała reszta, pięć pokoleń. Pierwszy z nich nawet tuż przed ołtarzem, chociaż za młodu jeszcze kłaniał się dawnym bogom i podobno był prostym bednarzem, stolarem czy innym kłodziejem.

– A ten tu co? Jakiś gorszy?

– Nie o to chodzi, miał zacne życie. – Wielmoża spuścił oczy. – Ale wstydliwą śmierć. Zabila go własna żona. Lepiej mu tutaj, niż żeby prostaczekwie chichotali nad jego grobem.

– Bardzo rozsądnie. – Rozpruwacz spod przymrużonej powieki przypatrywał się pochylonym plecóm mnicha. – Wolę nie pytać, gdzie pochowaliście żonę. Ale jeśli mówisz mi to tylko po to, żeby mnie przestrzec przed ożenkiem, niepotrzebnie się trudzisz. Nigdy nie miałem w tej sprawie żadnych wątpliwości.

Wielmoża potarł powieki, jakby gryził go dym. Oparł się plecami o wilgotną ścianę. Dopiero teraz Rozpruwacz zobaczył wielkie wory pod jego oczami.

– Nastają parszywe czasy. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek były gorsze – powiedział cicho, jakby tylko do siebie.

– Jeśli martwisz się o skrzaty, dam sobie radę. Jestem już bardzo blisko. Właśnie szedłem do księcia, kiedy ty mnie...

– Nie chodzi o skrzaty! – Machnął ręką wielmoża i zatrząsał mu się brzuch. – Dzieje się coś o wiele gorszego. Od jakiegoś czasu po wsiach zaczęli ginąć ludzie.

Rozpruwacz nie spuszczał oczu z mnicha. Z szerokiego rękawów habitu na chwilę wysunęły się starcze dłonie, ale twarz pozostała w głębokim cieniu.

- Ludzie zawsze znikali - wzruszył ramionami. - Mogę ci podać dziesiątki różnych powodów, dla których można chcieć zacząć życie od początku w innym miejscu.

- Nie mówię o zbiegach. Naprawdę znikają. Zostaje po nich tylko dziura w ziemi.

- Po każdym człowieku zostaje tylko dziura w ziemi.

- Na podgrodziu aż huczy od plotek, że coś ich łapie i wciąga do piekła.

Rozpruwacz tylko na chwilę przeniósł wzrok z mnicha na twarz wielmoży.

- Widział to ktoś?

- Podobno są tacy, którzy widzieli, ale nikt się nie przyzna. Biskup bardzo krzywi się na takie opowieści.

- Dobrze, że się krzywi, bo to łgarstwo.

- Tyle że od niedawna zaczęli znikać nieboszczycy. Myślisz, że też poszli szukać szczęścia gdzie indziej?

Rozpruwacz zrobił dwa kroki w stronę mnicha, ale zatrzymał się i położył dłonie na biodrach. Długo milczał, gryząc wąsa i kręcąc głową, jakby zaprzeczał swoim myślom.

- W takim razie macie tu obłąkańców, którzy wykopują zmarłych. Nie wiem, po co, i nie jestem ciekawy. Trzeba ich wylapać i powywieszać na wałach, ludziom na przestrożę.

- Też tak myślałem. Póki nie zdarzyło się... to... - Wskazał podbródkiem grobowiec.

- On też?

- Też. Drzwi do krypty były skute łańcuchem, od dnia pogrzebu nikt tu nie zaglądał. Ale wczoraj jakiś żebraczyna spał pod murem i usłyszał hałas. Dobrze, że powiedział mi, a nie komu innemu, bo już by wiedzieli o wszystkim ostatnie łajzy na podgrodziu. Pod grobowcem zrobiła się dziura, wielka i głęboka, nie widać dna. Strach zajrzeć, żeby nie blysnęły ślepie czarta.

Wielmoża mówił tak, jakby opowiadał o brzydkiej pogodzie, ale prawa powieka przez cały czas mu trzepotała jak skrzydełko motyla. Rozpruwacz pochylił się w bok, jakby chciał zajrzeć mnichowi pod kaptur.

- Książę wie? - zapytał nagle.

- Jeszcze nie. Powiem mu rano, jak będzie trzeźwy.

- Nie o to pytam. Czy wie, kogo sprowadziłeś do grodu? Masław oderwał plecy od ściany. Chciał coś powiedzieć, ale Rozpruwacz przerwał mu wyszarpując nóż i wskazując ostrzem przed siebie.

- Ten tu na pewno nie jest mnichem. Kruszy jakieś ziela do grobowca i kręci kciukami, zamiast się przeżegnać. Mało się na tym znam, ale dałbym się pokroić, że to, co mówi, nie jest modlitwą.

Wielmoża nie wyglądał na zaskoczonego. Nawet nie spojrzął na nóż, w którym mieniło się światło.

- Książę zapija się na śmierć, a wielmoże kąsają się po łydkach, żeby tylko żaden nie wysunął się naprzód w gonitwie po koronę. Co miałem robić? Musiałem poszukać pomocy tam, gdzie mogłem ją znaleźć.

Mnich podniósł głowę, zaróżowiły się wystrzępione brzegi jego kaptura. Wstał z kolan, opierając się na długim kijku.

- Teraz zostaw nas samych, wielmożo. - Szept zachwiał płomieniem świecy. Ostry nos Lubichy wysunął się z mroku pod kapturem, rzucając cień.

Na razie wystarczała jej sama świadomość, że jeśli tylko zechce, będzie mogła przetoczyć się na plecy, usiąść i wstać. Nie spieszyła się z tym. Przyłożyła czoło do miękkiej ziemi, wczepiła palce w trawę i pozwalała ciepłemu wiatrowi osuszać mokre od potu plecy. Nigdy przedtem nawet nie myślała, że dotyk pustki może być pieczęcią. Kiedy skupiała się na myśli, że nie już jej nie przyniata i nie ścisła, czuła lekkie zawroty głowy, ale jednocześnie błoga ulga aż drapała ją w gardle. Chwilami zdawało jej się, że nie leży, ale swobodnie szybuje, pozbawiona ciężaru, myśli i celu.

Niemal wbrew sobie podniosła się na łokciach. Przekonała samą siebie, że tylko raz otworzy oczy, na krótko, a potem znowu je zamknie i będzie leżeć tak długo, póki nie wyparuje z niej cały smród strachu. Ale kiedy tylko wpuściła przez rzęsy trochę błękitu, zrozumiała, że nie będzie mogła dotrzymać tej obietnicy.

W pierwszej chwili niebieskie światło wydało jej się oślepiająco jasne, ale kiedy usiadła i rozgniotła pięściami powieki, przestrzeń nabrała przyćmionego odcienia, jak letnie niebo tuż przed zachodem słońca. Zdarta skóra na kolanach, łokciach i biodrach dopiero teraz przypomniała o sobie liźnięciami gorąca. Podnosząc się, Ćmieluska syczała przez zęby, ale ból pomógł jej przewyciężyć chwilową słabość.

Długo spoglądała przed siebie, nieruchoma i wyprostowana, starając się zrozumieć to, na co patrzy.

Stała na łagodnym, płaskim zboczu, którego podnóże i wierzchołek kapwały się we mgłę. Daleko w dole mgła gęstniała w kłębiastą zastonę, przesiąkniętą rozproszoną jasnością. Zdawało się, że brudne wstęgi oparu są w ciągłym ruchu, jakby od spodu ktoś mieszał w nich ogromną łapą. Rwały się, spleływały w wiry, a potem wchłaniała je głębia. Czasem mgła wysuwała w różnych miejscach długie jęczory, które lizały zbocze, ale za każdym razem szybko rozszarpał je wiatr.

Z tyłu, wyżej, zbocze wsuwało się pod mierzwę zbitych, rdzawych chmur, które zdawały się wisieć bardzo nisko nad głową Ćmieluski. Mogłaby niemal dorzucić do nich kamieniem. Poczucie wyzwolenia i upojenie otwartą przestrzenią spłynęło jej do stóp, wsiąkając w ziemię. Przygarbiła się, jakby poczuła na karku wilgotny ciężar chmur.

Dwa kroki za nią czerniała w stoku nierówna wyrwa. Na krawędziach dziury lśniły rozmazane resztki śluzu, a wygnieciony w trawie szeroki ślad biegł na ukos po pochylności, rozmywając się w oddali. Trochę niżej dostrzegła następny otwór, bardzo podobny, obwiedziony kołem wyrzuconej z głębi ziemi. Wspięła się na palce i w zasięgu wzroku odnalazła jeszcze kilka ciemnych plam. Wzdrygnęła się, kiedy wyczuła pod stopami dalekie drżenie. Ruszyła przed siebie, w dół. Miała dziwne wrażenie, że szeszczący odgłos jej kroków nie cichnie od razu, ale jeszcze przez jakiś czas brzęczy uwięziony między sklepieniem chmur a ziemią.

Nie myślała o tym, co będzie. Po prostu szła w stronę

mgły, bo tylko tam mogła się ukryć. Na gołym zboczu czuła się jak mysz pośrodku klepiska, którą łatwo można rozdeptać. Każdą dziurę obchodziła z daleka, starając się ani na chwilę nie spuszczać z niej wzroku. Wyostrzone strachem zmysły zaczynały dostrzegać rzeczy takimi, jakie były naprawdę, a nie jakimi je chciała widzieć, według wspomnień przywleczonych z innego świata. Coraz lepiej rozumiała, jak bardzo się myliła. Chmury wcale nie były chmurami, ale jakimś plugawym wyziewem z wnętrza ziemi, który nie miał dokąd uciec. Wiatr nie był wiatrem. Przetaczał się po zboczu ciepłymi podmuchami w miarowych odstępach, jak wdech i wydech. Nawet trawa nie była trawą. Nie była zielona, ale nie była też inna, jakby czarna jak popiół ziemia wyszła z niej całą barwą. Kiedy żdźbła uginały się pod powiewem, zdawało się, że przez zbocze przelewa się błada fala, najpierw w górę, a potem w dół. Rozgrzane tchnienie zostawiało na działkach i na języku mdły posmak.

Powoli zaczynało wracać tamto żrące, opętające pragnienie, które przygnęło ją aż tutaj. Nie chciała się poddać, próbowała myśleć o czymś innym, ale z każdym krokiem było jej trudniej udawać, że tego nie ma. Tkwiło w niej, w samym środku głowy i znowu zaczynało rozpałać tęsknotę, którą musiała ugasić. Wciąż jeszcze nie wiedziała, jak i kiedy, ale już domyślała się, gdzie. W dole, za wałem mgły był kres i był początek. Gdzieś tam tryskało źródło wybawienia, nad którym musiała się pochylić. Musiała tam dotrzeć, choćby w chwilę potem cały świat miał się spopielić w wybuchu niebieskiego ognia.

– Zrobię to. Ale jeśli przeżyje, wróć, żeby cię udusić, goła wywłoko! – Pogroziła pięścią chmurom, a potem ruszyła znowu, jakby ta obietnica dodała jej siły.

Wydawało się, że ściana mgły wcale się nie przybliżyła, jakby spływała przed nią po zboczu. Robiło się ciepłej i duszniej, gorące podmuchy parzyły jej twarz. W miarę, jak szła, coraz wyraźniej dostrzegała wklęsłą krzywiznę zbocza. Zaczynała rozumieć, że schodzi w głąb jakiejś ogromnej, okrągłej niecki, o dnie zasłoniętym oparami i zboczach zrytych jamami kopaczy. Rdzawa powłoka wyzie-

wów ostaniała niekę jak pokrywa kocioł, a wyżej – kto wie? Skala i skala, a na niej cienka warstwa ziemi, którą ludzie skrobią swoimi sochami, nawet nie podejrzewając, że prosto pod nimi jest piekło.

Nie miała nadziei, że stąd wyjdzie. Spróbowała przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni myślała o czymś zwyyczajnym, ale nie udało jej się. Zamiast tego przez tzy zobaczyła twarz matki i prawie zdziwiła się, że ją jeszcze pamięta. To było jak cudze wspomnienie z całkiem innego życia. Potrząsnęła głową, żeby je rozwiać. Nie mogła teraz myśleć o tym, co było. Musiała iść w dół, za mgłę, i dojść.

Ostatnie kilkadziesiąt kroków pokonała biegiem. Strzępy kiecki plątały jej się wokół kolan, a włosy przygłębły do twarzy. Na karku czuła chłodny ucisk, jak czyjeś natarczywe spojrzenie. Nie obejrzała się. Zanim wbiegła w mgłę, wyciągnęła przed siebie obie ręce, chude i białe, ze zbyt długimi palcami i połamanymi paznokciach. Jak obce.

Myślała, że nic nie będzie widzieć, jak w zamulonej wodzie, ale było inaczej. Mgła, poprzytykana promieniami światła jak tkanina srebrną nitką, osiadała drżącymi kropkami na jej twarzy. Okazała się przejrzysta na kilkanaście kroków. Zlewała się łagodnie za plecami Ćmieluski, nie poddając się podmuchom. Zmieniała brzmienie jej kroków i oddechu. Wchłonęła ją, przyjęła, otuliła. Jeszcze przez jakiś czas Ćmieluska biegła siłą rozpędu, potem potknęła się i zwolniła.

Zanim przystanąła, rozumiała, że nie jest tu sama.

Póki co, ich obecność nie była niczym więcej, niż nagłym zawirowaniem mgły, które powstawały tuż za zasięgiem wzroku. Pewnie nie zwróciłyby na to uwagi, ale oni chcieli, żeby ich zobaczyła. Igrali z nią. Nie słyszała ich kroków, ale była pewna, że krążą wokół niej. Kilka razy, kiedy na dłużej skupiła wzrok w jednym miejscu, wydawało jej się, że widzi zarys jakiegoś cienia, ale za każdym razem wrażenie rozwiewało się. W pewnej chwili poczuła nawet za uchem świst czyjś oddechu, ale kiedy okręciła się gwałtownie, falowały przed nią tylko pasma poruszanej mgły.

Chciała wracać, ale zrobiła w górę zbocza tylko pół kroku. Przypomniała sobie ślepią kopacza, zagryzła dolną wargę i powoli odwróciła się.

Teraz pozwolili jej się zobaczyć. Było ich czterech albo pięciu, ich postacie szarzały prosto przed nią. Kiedy zachwiali się, pomyślała, że odchodzą, ale szybko zrozumiała, że to tylko falowanie mgły. Dźwignęła nad głowę drżącą dłoń.

– Nie róbcie mi nic złego. – Nie była pewna, czy ją usłyszeli, więc podniosła głos. – Nie jestem waszym wrogiem!

Chyba mieli po dwie ręce i nogi, a to już było coś. Ich bezruch ośmielił ją. Wyczuwała w nim bardziej ciekawość niż niepokój.

– Przyszłam... z góry. Nie wiem, co mam dalej robić. Pomóżcie mi.

Była bliska płaczu. Mgła znowu napłynęła mlecznoniebieskim kłębem i cienie zaczęły znikać. Zdusiła łkanie i zrobiła kilka niepewnych kroków w ich stronę.

– Jestem Ćmieluska! Odezwijcie się! Słyszycie? Ćmieluska!

Jeden z cieni poczeriał i nagle zobaczyła go tuż przed sobą. Ugięły się pod nią kolana, ale nie cofnęła się.

– Nie wrzeszcz. Wiem, kim jesteś. Ale nie wiem, do diabła, co tutaj robisz!

•

Nie wiedziała, jak długo ciągnęli ją w poprzek zbocza, trzymając pod ręce. Zwieszona głowa kiwała się jej na boki, a bezwładne nogi ciągnęły się za nią, podskakując na kępach wyblakłej trawy. Traciła przytomność i odzyskiwała ją. Wydawało się jej, że ma spuchnięty mózg. Szarpała nią gwałtowne mdłości, chociaż nie miała czym wymiotować. W krótkich chwilach, kiedy udawało się jej utrzymać głowę nieruchomo, widziała poprzez mgłę pochylone plecy ludzi, którzy szli przed nią. Czasami czuła na czole łaskotanie czyjś oddechu, jakby ktoś zaglądał jej w twarz, ale kiedy dźwigała powieki, nikogo nie było. Gorący podmuch ogrzewał jej raz prawy, raz lewy policzek, jak miechy w kuźni.

A potem nagle ucichło człapanie kroków i urwał się wiatr. Położyli ją w jakimś miękkim, suchym miejscu. Skuliła się jak dziecko, przyciągając kolana do piersi, i zasnęła od razu, nawet na chwilę nie otwierając oczu. Kiedy zapadała się w ciemność, słuchając szumu we własnej głowie, ktoś chyba zwilżył jej czoło.

Budziła się bardzo powoli, z uporem próbując z powrotem zatonać w sen. Ale to było jak łapanie przeciekającej przez palce wody. Wiedziała, że musi tutaj wrócić, między obce dźwięki, do cieni we mgle. Czuła pod policzkiem łaskotanie wyschniętej trawy, przez jej puste kiszki przelewał się głośny bulgot. Usiadła, przyciskając dłonie do skroni. Wielobarwny wir, który rozszumiał się w jej głowie, powoli wygaszał, a wreszcie zatrzymał się. Przejechała językiem po suchych, spękanych wargach i otworzyła oczy.

Sołtys siedział przy niej. Był odwrócony tyłem, ale poznała go od razu po cętkach blizn na odsłoniętym karku. Twarz miał ukrytą w dloniach i chyba drzemał, bo ramiona podnosiły mu się w spokojnym oddechu.

Kiedy wyciągnęła rękę, musiała drugą podeprzeć się, żeby nie upaść. Myślała, że tylko musnęła końcami palców jego plecy, ale odwrócił się od razu.

– A! Jednak uznalaś, że pora wstawać! – Oczy mu błyszczały spod sinych z niewyspania powiek. – To dobrze. Znam przyjemniejsze zajęcia niż pilnowanie wychudzonych panienek. Masz, pij.

Podał jej płaską misę, chyba wydrążoną w jednym kawałku drewna. Wzięła ją ostrożnie w trzęsące się dłonie i przez chwilę pozwalała gorącej parze skraplać się na pochylonej twarzy. Przytknęła wargi do brzegu miski i zaczęła pić, po kocieciu przymrużając oczy. Parzyła sobie język i gardło, ale tego nie czuła. Sytość, która od brzucha przenikała dreszczem całe jej ciało, powodowała przyjemne mrowienie.

– Dobre, co? Nic tak nie stawia na nogi, jak porządną rosółkę.

Ćmieluska długo siedziała z głową odrzuconą do tyłu, trzymając przechyloną misę nad otwartymi ustami. Każ-

dą kroplę, która plasnęła na język, przyjmowała głębokim westchnieniem. Potem dokładnie wylizła tłusty osad i bardzo ostrożnie postawiła pustą misę przed sobą, jakby bała się ją uszkodzić. Nie otarła ust. Zaczęła na przemian ssać górną i dolną wargę.

– Daj mi jeszcze.

– Nie tak od razu, mogłoby ci skrócić bebeczy. Wyglądasz, jakbyś po raz ostatni jadła jeszcze u siebie w gospodzie.

Widać od razu pożałował tego, co powiedział. Zakręcił się ze złością w miejscu, ale Ćmieluska nawet nie podniosła na niego oczu. Wpatrywała się w dno miski z żalem podszytym nadzieją.

– Przecież nikt cię tutaj nie chce zagłodzić, dziewczyno! – Wstał, otrzepując z kolan suche źdźbła. – Ale najpierw pozwól, żeby twój żołądek przypomniatł sobie, do czego służy. Daj rękę.

Podciągnął ją w górę, choć nie umiała utrzymać się na miękkich nogach. Odruchowo objął ją wpół. Kiedy spojrzała z bliska na jego twarz, zamrugła szybko powiekami, jakby dopiero teraz obudziła się naprawdę.

– Gdzie jestem?

– Wiem, co sobie myślisz – uśmiechnął się. – Ja parszewiec, a ty dziwka, czyli jesteśmy w piekle. Ale myślisz się. Spotkałem tutaj nawet całkiem porządną ludź.

Puścił ją ostrożnie, jakby stawał ślepa staruszkę na lodzie. Przez chwilę łapała równowagę, chwiejąc się na ugiętych kolanach, ale potem odrzuciła do tyłu włosy i stanęła prosto. Bardzo długo rozglądała się wokół siebie, bez głosu poruszając wargami.

To miejsce wyglądało jak obozowisko wędrowców, którzy rozłożyli się tutaj na dłużej niż jedną noc. Szerokie na kilkadziesiąt kroków, było wkopane w zbocze, a z wydobytej ziemi usypano wyższy od stojącego człowieka wał. Dziwaczne krzewy o powykręcanych gałązkach, które porastały jego grzbiet, przechylały się w równych odstępach czasu na obie strony, jak krag płaczek nad trumną. Ale tutaj, na dole, było cicho. Nawet mgła, która kotłowała się nad koczowiskiem, nie schodziła niżej. Podświetlona

od spodu rozedrganym światłem kilku ognisk, wydawała się przesiąknięta krwią.

- Kim oni... - Nie patrząc na sołtysa, Ćmieluszka znów odszukała jego ramie. - Kim wy jesteście?

To byli ludzie. Brudni, zarośnięci, poobwijani łachmanami, ale na pewno ludzie. Siedzieli wokół ognisk, obracając pozatykane na długich kijach kawałki mięsa, albo spali pod wałem, zagrzebani w kupach suchej trawy i liści. Niektórzy podnosili zalawione od dymu oczy i patrzyli na Ćmieluskę, ale bez natarczywości, raczej ze smutnym zaciekawieniem.

- Różnie, jak się komu przydarzyło - wzruszył ramionami sołtys. - Większość to kmiecie, jest paru wojów, jeden mnich i trochę łotrów, których nikt o nic nie pyta. No, a teraz jesteś ty.

- Same chłopcy? - Ćmieluszka z nagłym niepokojem obciągnęła strzępy kiecki, które płątały jej się nad kolanami.

- Same, ale nie bój się. Tutaj nikt cię nie tknie.

- Co do mnicha, mogę uwierzyć. Ale reszta? - Spod przymrużonych powiek powiodła wzrokiem po grzbiecie wału, oceniając jego wysokość. - Znam się trochę na tym.

- Sam bym nie uwierzył. - Sołtys nie podjął wyzwania, z jakim spojrziała mu w oczy. - Ale tak jest. Tkwiimy tu od wielu dni, niektórzy prawie od roku. Gdyby wszystko było jak należy, już dawno powinniśmy skakać sobie do gardeł, walcząc o ciebie. Tamci pewnie nawet by nie poczekali, aż staniesz na nogi. I co? I nic. Zamiast tego grzeją sobie tyłki przy ogniu.

- Czy to znaczy, że... - Ćmieluszka bezwiednie opuściła wzrok na jego pas. Sołtys zauważył to i gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, to nie tak! Żadnemu z nas nic nie brakuje. Po prostu nie kusi i już. Może to ta mgła, może coś w wodzie, którą pijemy. - Wypuścił przez usta powietrze, jakby zrzucił z pleców jakiś ciężar. - Właściwie czemu ja się przed tobą tłumaczę?

Dopiero jego nagle zagniewanie sprawiło, że mu uwierzyła. Znowu przyjrzała się ludziom, uważniej i bez strachu.

- Skąd się tutaj wzięliście?

- Gadasz jak mucha do muchy w pajęczynie! - Skrzywił się sołtys. - Tak jak i ty. Przywlokły nas tutaj te wielkie robale, z pyskami jak uzebiona dupa.

- Kopacze? - Założyła ramiona na piersi.

- Mogą być kopacze, jeśli ci się tak podoba. Poprzegryzały się do samej powierzchni i zasadzają się na ludzi. Tego capnęły w lesie, tamtego nad rzeką, a ten sam nie wie gdzie, bo był po chrzcinach i nie zdążył wytrzeźwieć. Mnie jeden z nich chwycił za nogę w studni. Myślałem, że odgryzie i zostawi, ale gdzie tam. Ciągnął i ciągnął, w dół i w dół, prosto w to czarcie gniazdo. Wywłóki na zbrocze i zostawił.

Jeszcze zanim skończył, Ćmieluszka podniosła rękę, jakby chciała go uciszyć. Przekrzywiła głowę i z bliska zajrzała mu w oczy.

- W tamtej studni?

- W tamtej.

- Masz to?

- Co?

- Dobrze wiesz, co.

- Nie - mruknął niechętnie. - Nie znalazłem.

Drgnęła, zmarszczyła czoło. Wyglądała, jakby zastanawiała się nad tymi słowami, ale kiedy podniosła głowę i założyła włosy za ucho, sołtys zrozumiał, że Ćmieluszka nasłuchuje.

- Co to jest? - zapytała szeptem cichszym od oddechu.

- Gwiżdże wiatr. - Zanim odpowiedział, przez chwilę słuchał razem z nią. - Tutaj nigdy nie przestaje dmuchać.

- Nie to! - Położyła palec na wargach. - Cicho.

Dźwięk był stabiutki. Czasem gubił się wśród powtarzających się tchnień gorącego wichru, ale przecież nie mógł być złudzeniem. Brzmiał jak bardzo odległe wycie samotnego wilka. Weale nie trzeba było chwycić go uchem, żeby poczuć, jak na duszę pada cień. Chwilami wyraźniej wybijał się ponad wiatr, a wtedy rozpryskiwał się na wiele oddzielnych głosów, podobnych do kwilenia mew nad pełnym morzem.

- Aaa, to... - Sołtys powoli pokiwał głową. - Nie wiem. Odzywa się co jakiś czas. Przywykliśmy.

Ćmieluska zbladła, jej oczy wypełniła czerń zrenic. Kilka razy próbowała coś powiedzieć, unosiła ręce, ale zamiast tego wysuwała koniec języka i nasłuchiwała z napięciem. Wielkie krople potu zaśliznęły niebieskawo na jej czole i skroniach.

Sołtys przyglądał się jej bardzo uważnie.

– Nie ma się czego bać. Powyje i przestanie, zawsze tak jest.

Zrobiła kilka kroków w stronę wału. Sołtys widział, jak trzęsą się jej kolana. Coś powiedziała, ale zbyt cicho, żeby mógł ją zrozumieć. Podszedł do niej i chwycił ją pod łokieć. Odwrócił do niego białą twarz.

– Zwiąż mnie.

Wysunęła ramię z jego dłoni i poszła dalej. Zabiegł jej drogę, mocno zacisnął obie ręce na jej nadgarstkach.

– Co ty wyrabiasz?

– Zwiąż mnie! – Zdziwiła go siła, z jaką próbowała się wyrwać, ale tym razem jej nie puścił. – Zwiąż mnie, szybko, bo za chwilę nie dasz mi rady!

Szarpnęła tak mocno, że przewrócili się oboje. Właził na nią, przyciśnięty całym ciałem, i gwizdnął głośno. Paru ludzi nabiegło od ognisk.

– Dawajcie swoje szmaty – stęknął z wysiłku, kiedy Ćmieluska wierzgnęła. – Pasy, rzemienie, wszystko!

•

– Już?

Przetoczyła się na plecy, ale pozlepiane potem i brudem włosy nie zsunęły się z jej twarzy. Nie widziała sołtysa, choć słyszała skrzypienie jego pasa, kiedy się nad nią pochylał. Dotknął jej czoła, ostrożnie rozgarniając włosy. Niebieskie światło łagodnie wypełniło jej oczy.

– Już. – Nie próbowała się podnosić, bo przy każdym poruszeniu więzy wpijały się głębiej w skórę. – Możecie mnie rozwiązać.

Jego ciemna postać wydawała się podpierać głową sklepienie z mgły. Zza jego pleców, nad prawym ramieniem, sterczało kilka strzał.

– Jesteś pewna? – Przykucnął, podpierając się pięścią-

mi. – Przed chwilą wrzeszczałaś, że poprzegryzasz nam wszystkim gardła.

– Nieważne, co wrzeszczałam. Nie byłam sobą.

– Możliwe, ale ludzie wzięli sobie twoje słowa do serca. Chcieli zakopać cię żywcem.

Z trudem dźwignęła głowę i mrużąc oczy, rozejrzała się po wykopie. Ludzie siedzieli milczącą gromadą w najdalszym kącie, ich nieruchome oczy bielily się w zarośniętych twarzach.

– I co, rozmyślili się? – zapytała.

– Nie. Ale ja mam łuk, a oni wiedzą, że umiem z niego strzelać.

Przeciął jej więzy kamieniem o zaostrej krawędzi. Długo rozcierała ciemnoczerwone pręgi na łydkach, zanim odważyła się wstać. Każdy mięsień drżał od napięcia.

– Dzięki.

Dmuchięciem rozpedziła włosy opadające na oczy. Sołtys zaplótł ramiona na piersi i wyduł wargi.

– Nie dziękuj. Miałem u ciebie pewien dług i właśnie go spłaciłem. Ale to wcale nie znaczy, że następnym razem nie będę pierwszym, który zacznie kopać ci dół. Chodź.

Odwrócił się, szybkim krokiem podszedł do wału i wdrapał się na jego grzbiet. Obejrzał się z góry przez ramię, niecierpliwie machając ręką.

– No chodź! Muszę coś upolować dla tej nienazartej zgrai, bo ich zaradność kończy się na tym, żeby srać z tamtej strony wału, a nie z tej. Ale nie ufam im na tyle, żeby zostawiać cię z nimi samą.

Nie mogła widzieć jego twarzy, bo na tej wysokości mgła już zaczynała gęstnieć. Ludzie stłoczeni w kącie odprowadzili ją ciężkimi spojrzzeniami, kiedy pomagając sobie rękami, włąziła na wał. Sołtys czekał na dole, z łukiem przy nodze i opierzoną strzałą w dłoni.

– Nie wiem, czy ci się przydam. – Przez chwilę usiłowała dostrzec coś w zamglonej pustce. – Nie znam się na polowaniu.

Bez słowa ruszył przed siebie wydłużonym krokiem, jakby znał drogę na pamięć. Szerokimi zakosami prowa-

dział w górę stoku, czasem mijając jakieś wyrwy w ziemi albo kępy zarośli. Chwilami Ćmieluska musiała podbiegać, żeby nie stracić z oczu jego pochylonych pleców. Po łydkach kąsały ją skurcze. Bala się zatrzymać, żeby nie zostać tutaj sama. Wołała, ale sołtys nie obejrzał się ani razu. Zaciskała zęby i szła dalej.

Mgła przerzedziła się, porzodziła na puszyste kłęby, a potem powoli zanikła, jakby rozpuściła się w błękicie. Biaława, podziurawiona powierzchnia zbocza otworzyła się przed nimi jak szeroka droga ku rdzawym chmurom.

– Nie widziałam tutaj żadnych zwierząt. – Ćmieluska usiadła w trawie krzyżując nogi i obejmując dłońmi obalane stopy. – Dalej nie idę, nie mam sił.

Sołtys przeszedł jeszcze parę kroków, ale potem zatrzymał się i zakreślił strzałę w palcach.

– Nie widziałas, bo słabo się przyglądałaś. Patrz.

Podniósł kamień i zważył go w ręce. Wsadził strzałę między zęby, rozejrzał się po stoku, a potem wziął kilka kroków rozbiegu i rzucił kamieniem w stronę jakiegoś bezlistnego krzaczka. Jeszcze zanim rozległ się odgłos uderzenia, sołtys zdążył nalożyć strzałę, naciągnął cięwę i przytrzymał jedno oko.

Coś zatrzepotało między gałązkami i wystrzeliło w górę. Mały rozwichrzony cień przemknął pod chmurami. Jęk cięwiwy, świst strzały, a po chwili ciszy wypełnionej narastającym szumem wiatru coś miękkiego zderzyło się z ziemią. Sołtys bez pośpiechu podszedł w tamto miejsce, rozgarnął stopą trawę i pochylił się. Skinieniem głowy przywołał Ćmieluszkę.

– Śmiga szybciej od kaczki, ale przy odrobinie wprawy da się ustrzelić. – Wyrwał strzałę i wytarł ją o nogawkę.

To, co leżało u jego stóp, nie przypominało ptaka. Wyglądało jak wielka ćma o wąskim, włochatym grzbiecie i szaroczarnych skrzydłach. Zwierzę wciąż jeszcze próbowało poderwać się do lotu, choć strzała przebiła ciało u samej nasady płaskiej główki. Z suchym szelestem składały się i rozkładały sztywne skrzydła.

– To się je? – Ćmieluska pilnowała, żeby trzepoczące zwierzę nie otarło się o jej nogi.

– Można, ale nie polecam. Smakuje jak glut z nosa. – Sołtys rozgniół piętą główkę i dopiero wtedy skrzydełka oklapły jak suche liście. – Chciałem ci tylko pokazać, że tutaj wcale nie jest tak pusto, jak ci się wydaje.

Zmusiła się, żeby przykucnąć i przyrzeć się lepiej.

– Ale co to jest? – Dotknęła patykiem krótkiej jak mech sierści. – Owad?

– Nie wiem. – Sołtys wsunął strzałę do kołczanu. – Trochę owad, trochę ptak. A pazurki ma całkiem jak u zwyczajnego gacka.

– Jest tu więcej takich dziwadł?

– Wszystkie stworzenia, jakie tutaj widziałem, są dziwadłami. Co do jednego. Niektóre są trochę podobne do tych, jakie żyją pod otwartym niebem, ale inne wyglądają tak niedorzecznie, że nie mogę zrozumieć, jakim cudem w ogóle żyją. Choćby to... – Wskazał na krzew.

– Gdzie? – Ćmieluska cofnęła się w poplochu, zagarniając spódnicę.

– No właśnie tu! – Chwycił ją za ramię, przyciągnął i zmusił do pochylecia się. – Przyjrzyj się dobrze.

Zrozumiała, o czym mówi, kiedy skupiła wzrok w miejscu, gdzie gałązka się załamywała. Zrobiła jej się słabo. Lekkie zgrubienie wyglądało jak obciągnięty ciemną skórą staw kolanowy. Było ich więcej, na każdej gałązce, oddalone od siebie w równych odstępach. Gwałtownie wyprostowała plecy. Przedtem wydawało jej się, że na końcach gałęzi są jakieś pąki, ale teraz dostrzegła, że to kopytka.

– Prawda, że to wygląda jak wystające z ziemi nóżki żrebaczka? – Sołtys zaśmiał się krótko za jej plecami. – Powiem ci więcej. Jeśli któraś z nich połaskotasz leciutko po pęczce, kopnie cię.

Ćmieluska rozejrzała się po stoku szeroko otwartymi oczami, jakby dopiero przed chwilą wydostała się z nory kopacza. W pobliżu rosło jeszcze kilkanaście takich krzaczków, a przy silniejszych podmuchach wiatru kopytka grzechotały jedno o drugie. Wyżej, otulona wianuszkami wyrosniętej trawy, wznosiła się jakaś prosta, samotna łądoga. Kwiat, który rozwinął się na jej czubku, z daleka wyglądał jak otwarta ludzka dłoń.

- To wszystko jest jak... jak...
 - Jak majaczenie szaleńca - dokończył za nią sołtys. - Bez ładu i bez celu. Jakby ktoś chciał naśladować Boże stworzenie, ale bez Bożej mądrości. Niczemu, na co patrzysz, nie możesz zaufać, że jest tym, na co wygląda.
 Ćmieluska zadrobiła stopami w trawie, jakby stała na rozsypanym żarze.
 - To robaki - odpowiedział jej z krótką zwłoką, czerpiąc z tego zadowolenie. - Małe, płaskie, białe, przyrosnięte do ziemi robaki. Nie bój się, nie gryzą. Nie robią w ogóle nic oprócz udawania trawy.
 Czula teraz między palcami stóp każde zdźbło z osobna. Ale nie opuściła wzroku, żeby przyjrzeć im się lepiej.
 - Teraz rozumiem, czemu tamci biedacy wolą siedzieć w swojej dziurze i nie ciekawi ich, co dzieje się za wałem.
 - Udują, że jak czegoś nie widzą, to tego nie ma. - Sołtys w nagłym przypływie złości odkopnął na bok wielką cme, aż zafurkotały skrzydelka. - Ale żreć chcą, byle tylko im nie mówić, co.
 Ćmieluska powrócił do ust smak rosółu, który dał jej sołtys. Powoli, jakby z namysłem mlasnęła językiem o podniebienie.
 - Mnie możesz powiedzieć.
 - Różnie bywa - wzruszył ramionami. - Strzelam do wszystkiego, co się nawinie i ma w sobie mięso. Ostatnim razem nawet mi się poszczęściło. Upolowałem krowę, taką prawie całkiem zwyczajną.
 - Prawie? - Ćmieluska czuła, jak po wargach biegają jej mrówki.
 - Prawie - rzucił sucho sołtys, ruszając dalej w górę zbocza. - Zamiast muczeć, śpiewała: „Radam ci, Jędrus, rada”.

•
 Nigdy przedtem nie widział tylu ludzi zgromadzonych na jednym miejscu. Stali wokół placu głowa przy głowie, obsiedli płoty i strzechy, nawet wślizli jedni drugim na karki. Dzieci wyściubiwały spoza ich kolan pobladłe twarze, o wielkich oczach i otwartych ustach. Przyszli tu

wszyscy, całe podgrodzie, a mimo to od wałów po las zalegała cisza. Ludzie nawet nie szeptali, tylko w milczeniu tręcali się łokciami i pokazywali sobie oczami wyrwę w tłumie, skąd wychodzili nieczyści.

Pierwszy szedł Gędek, jak zwykle. Nie było po nim widać żadnego wahanía, trzymał głowę w górze i stawał pewne kroki. Ale ci, którzy po nim wylonili się na plac, przynieśli ze sobą gęsty, prawie namacalny strach. Dreptali z bicia w ciasną gromadę, następując sobie na pięty i wypychając naprzód jedni drugich. Spod kapturów rozglądali się po twarzach ludzi, jakby chcieli znaleźć w nich chociaż cień nadziei. Potem znowu wbijali oczy w piach i kulili się jeszcze bardziej.

Gędek czekał na nich przy stosie. Obstąpili go jak kurczętą kwokę.

Odmieniec dołączył do nich ostatni, odprowadzany ciekawym wzrokiem tłumu. Wyróżniał się spośród reszty, ale tylko on jeden wiedział, jak bardzo. Wstydił się, że nie miał odwagi przyznać się do tego Gędkowi. Na razie to palące uczucie było silniejsze niż strach.

Uderzenia bębna zdawały się przenikać przez skórę prosto do krwi. Ludzie odwracali głowy i patrzyli na gród, ocinając dłońmi oczy. Na szczycie wału pokazał się księż. Poznali go po blasku słońca, jaki rozpałał się w jego posrebrzanym szyszaku. Patrzył na podgrodzie, jakby chciał się upewnić, że już wszyscy są. Potem podniósł wysoko w górę otwartą dłoń. Bęben umilkł, a tłum westchnął z podniecenia i zafalował jak łan.

Zza kręgu ludzi wyszło kilku księżących pacholków. Na głowy mieli ponaciągane płócienne worki z wyciętymi otworami na oczy, w rękach trzymały płonące pochodnie. Rozstawili się w równych odstępach wzdłuż obu stosów. Przy bezwietrznej pogodzie czarne smugi dymu leciały prosto w niebo i splatały się gdzieś wysoko w jeden kłęb.

Tłum poruszył się, piasek zaskrzypiał pod stopami. Człowiek w worku na głowie bez pośpiechu podszedł do nieczystych. Był ubrany jak reszta pacholków, ale odmiennie od razu poznał w nim starostę. Gacie nie dopinały mu się na tłustym brzuchu. W okrągłych dziurach jego przymrużone oczy czerniły się jak dwie kresczki.

– Dawaj łapy – burknął.

Gędek pierwszy wyciągnął przed siebie złączone ręce. Starosta ciasno omotał mu nadgarstki, aż posiniały kostki dłoni. Odmierzył na sznurze szerokość rozłożonych ramion i skinał głową na następnego.

– Teraz ty.

Odmieniec przemknął za plecy Gędka, wspiął się na palce i lekko pociągnął za koniec jego kaptura.

– Czemu nas wiążą? – zapytał cicho.

Gędek nieznacznie odwrócił głowę. Słońce świeciło prosto pod jego kaptur i odmieniec mógł widzieć połowę jego twarzy. Wydawało mu się, że zobaczył uśmiech.

– Z tej wędrowki nie da się zawrócić. Ale człowiek jest tylko człowiekiem. Sznur mamy po to, żebyśmy mogli nawzajem sobie pomóc, kiedy przyjdzie zwątpienie.

Przerwał, bo z tyłu coś zaczęło się dziać. Jeden z nieczystych, piąty czy szósty z kolei, wyciągnął do starosty rękę, ale zaraz schował je za siebie.

– Nie chcę! – krzyknął tak głośno, że jego słowa poleciały aż nad tłum. – Pójdę sam.

Starosta jednym spojrzeniem wywołał z tłumy dwóch pacholków. Każdy z nich dźwigał na ramieniu topór o bardzo długim trzonie. Stanęli za plecami nieczystego na szeroko rozstawionych nogach.

– Nikt cię nie zmuszał, żebyś tu przychodził. – W miejscu, gdzie starosta miał usta, worek zwilgotniał. – Mogłeś sobie po cichu zdechnąć w jakimś rowie.

Nieczysty upadł na kolana i zdarł z głowy kaptur. Między rzadkimi kępami włosów na jego czaszce jątrzyły się owrozdzenia. Jedno oko miał pokryte bielmem, ale drugie, wysadzone od środka, patrzyło z rybą trwogą.

– Myślałem, że... Że jakoś dam radę... – bełkotał, jakby drętwiał mu język. – Ale już nie chcę oczyszczenia. Błagam!

– Za późno. – Starosta podniósł sznur.

Nieczysty zerwał się na nogi i skoczył w bok, ale udało mu się przebiec tylko parę kroków. Jeden topór wbił mu się ukosem pod obojczyk, drugi zagłębił się między łopatkami.

– Co roku musi znaleźć się jeden, który sam nie wie, czego chce! – Starosta przekroczył powiększającą się kałużę krwi i warknął ze złością. – Następny!

Stęknęła ziemia, kiedy ktoś zemdlął w cizbie. Ludzie go podnieśli i podając sobie z rąk do rąk ponad głowami, posłali do tyłu. Szerbera w tłumie, jaka po nim pozostała, zablizniła się bardzo szybko.

Odmieniec nieporadnie wygrzebał dłonie z rękawów, kiedy przyszła kolej na niego. Przez chwilę patrzył na swoje ręce. Drżały, jakby ktoś nimi potrząsał, chociaż prawie wcale ich nie czuł. Starosta dwukrotnie okręcił mu sznur na nadgarstkach, zaciągnął węzeł i ciężko odsapnął, jak po skończonej robocie.

– Nie masz do mnie szczęścia, mały! – Zmarszczki widoczne w otworach wokół jego oczu rozciągnęły się w uśmiechu. – Mówi się, że najgorzej jest iść na końcu. Widać wszystko. I słychać. Nie ma siły, żeby się nie porać ze strachu. A to chyba niedobrze, jeśli to ma być ostatnia rzecz, jaką człowiek robi w życiu, nie?

Mimo woli odmieniec obejrzał się na stosy. W prześwicie, gdzie było widać niebo, gonili się jaskółki.

– Czy ona żyje?

– Ty znnowo o tej dziewczynie? – wyprostował się starosta.

– Powiedz mi. Przecież teraz już możesz.

– Nawet jak żyje, to nie ma przed sobą lepszej przyszłości niż ty.

Uchylił brzeg worka, splunął na trupa i odszedł.

Tłum wbił oczy w to miejsce na wale, gdzie płonął książęcy szyszak. Ludzie wstrzymali oddechy. Jakieś dziecko zaczęło kwilić, ale nikt tego nie zauważył. Książę dał znak. Znowu odezwał się bęben, ale teraz zagrzemiał szybko i nierówno, jak kopyta pędzącego konia. Pacholcy rzucili pochodnie na stos i cofnęli się pospiesznie.

Najpierw zgęstniał dym, okadzając suche szczapki i precedzając się przez wiązki chrustu. Krótco potem tu i tam zatańczyły pierwsze płomienie, łapczywie pożerając najcieńsze gałązki. Z wnętrza stosów zaczęły wydobywać się trzaski, z każdą chwilą coraz donośniejsze. Powoli,

uparcie ogień rozprzestrzenił się, liżąc coraz grubsze polana. Była chwila, kiedy wyglądało, że stopy się nie zajmą, bo czerwono-zółte jezory cofnęły się w głąb, a dym zakopcił jak z dopalającej się świecy.

Zupełnie nagle, bez ostrzeżenia, ogień buchnął z całą siłą. Drgające zarem powietrze uderzyło w twarze i tłum cofnął się o krok. Bęben już nie dudnił, ale warczał jak rozdrażniony pies.

Gędek ruszył prosto do wąskiego przejścia. Przestrzeń między stosami wypełniła się falującą zastoną ognia. Musiał schylić głowę, bo dosięgnął go palący powiew. Zatrzymał się, kiedy naprężona lina szarpnęła jego rękę. Człowiek, który powinien iść za nim, stał w miejscu, z głową wbity w ramiona. Gędek łagodnie, ale mocno przyciągnął go do siebie. Położył mu dłoń na głowie i chyba coś do niego szepnął. Dalej poszli razem, trzymając się pod łokcie.

Odmieńcowi zrobiło się słabo. Nie czuł nóg i bał się, że upadnie, ale kiedy zaczął iść, odzyskał równowagę. Nieczysty przed nim próbował zapierać się piętami, ale sznur ciągnął go naprzód. Chlipał jak dziecko, zostawiając w piachu dwa głębokie ślady. Odmieniec wychylił się zza jego pleców.

Wydawało mu się, że Gędek już stoi w ogniu, bo huczcząca jak wicher ściana płomieni wyrastała wysoko ponad nim. Ale nie, został mu do przejścia jeszcze kawałek, chociaż jego kaptur i płaszcz już obsypały iskry. Ten, którego prowadził, chyba zemdlął, bo obwisł na jego ramieniu. Gędek schylił się i zarzucił go sobie na kark jak zabity owcę. Ugiął się pod ciężarem, zachwiał się, ale ustał.

Natarł na ogień, jakby chciał przebiec przez cały stos od jednego skoku.

Odmieniec zamknął oczy. Sznur pociągnął go za rękę tak mocno, że potknął się i upadł na twarz. Podniósł głowę, wypluł piasek, a żar od razu osuszył mu łyż. Przez dłuższy czas szorował brzuchem po ziemi, później udało mu się podnieść na kolana. Myślał, że ktoś krzyczy, ale to tylko zawodził ogień. Ludzie słabli, przewracali się, a na

ich plecach i barkach rozkwitała czerwień i żółć. Sznur już dawno powinien się przepalić, ale wciąż ich wciągał do piekła. A oni nie stawiali oporu.

Ostatnią rzeczą, jaką odmieniec zobaczył, była twarz starej kobiety. Stała w tłumie, oparta na kij, i patrzyła prosto na niego.

Najtrudniej było pamiętać o tym, żeby nie otwierać oczu. Nie bał się, że się udusi. Umiał wstrzymywać oddech na bardzo długo, nauczył się tego jeszcze na pastwisku, kiedy nurkował w rzecę po raki. Dla pewności zaciskał w palcach nos. Ale od chwili, kiedy pierwszy płomień liźnął mu twarz, musiał zamknąć powieki, a wtedy opuściły go resztki odwagi. Chciał się cofnąć, dopiero opór sznura go otrzeźwił. Przestał się szarpać i po prostu pozwolił się wciągnąć. Posuwał się drobnymi kroczkami, głęboko pochylony do przodu, jakby zmagał się z przeciwnym wiatrem.

Huk był tak wielki, jak między dwoma wodospadami. Kusilo go, żeby zobaczyć, co się wokół niego dzieje, choćby jednym okiem, choćby przez małą szparę. Wiedział, że gdyby to zrobił, żar w jednej chwili wdarłby się do wnętrza jego głowy i wypalił mu mózg, ale ten odruch był tak silny, że musiał cały czas wyłączać uwagę, żeby mu nie ulec. Na początku liczył kroki, ale szybko przestał. Nie czuł gorąca ani nawet ciepła. Nie czuł nic. Po omacku poszukiwał wolną ręką sznura, ale już go nie znalazł. Przeraził się, bo nie był pewien, gdzie jest przód, a gdzie tył. Coś bardzo głośno trzasnęło, na chwilę ogień jakby przychichł, a zaraz potem z ogłuszającym chrzęstem zaczął zapadać się stos. Odmieniec skulił się i ruszył biegiem. Czekał, kiedy jakaś belka spadnie mu na kark i przygniecie go do ziemi. Potknął się o coś obiema nogami.

To był cud, że przewracając się nie otworzył oczu. Wcisnął głowę w ramiona i odruchowo obrócił się, dzięki czemu uderzył w ziemię barkiem, a nie twarzą. Upadek ogłuszył go i chyba już by nie wstał o własnych siłach, gdyby przypadkiem nie natrafił ręką na coś twardego. Wyczuł pod palcami wyszczerzone zęby i dwie ogromne, puste dziury po oczach. Zakwiczał przez zacisnięte usta,

przetoczył się na bok i ryjąc w popłochu jednym łokciem ziemię, zaczął się czolgać.

Nie umiałby określić chwili, w której przestał grzmieć nad nim pożar. Może stało się to dużo wcześniej, ale on tego nie zauważył, bo huk wciąż jeszcze trwał w jego głowie. Zdawało mu się, że jego serce bije bardzo wolno i z niepokojem czekał na każde następne uderzenie. W piersi, wypełnionej zużytym powietrzem, coraz wyraźniej wzmagał się bolesny ucisk. Kiedy uderzył czołem w kolejną przeszkodę, zabrakło mu sił, żeby ją wyminąć.

Pomyślał, że to koniec.

– Dwóch? Co to, psiakrew, znaczy? Nigdy jeszcze nie przelazło dwóch!

Nie wymyślił sobie tego, naprawdę to usłyszał. Poznał mrukiwy, nabrzmiwały niezadowolone głosy starosty.

– Wstawaj, parchu, bo zaraz każę cię wrzucić z powrotem.

Otworzył oczy. Ostre światło wschodzącego słońca oślepiło go, ale nie uchylił się przed nim. Pozwolił, żeby łzy wypływały sadzę z kącików oczu, i dopiero potem zamrugał powiekami.

Gacie starosty łopotały nogawkami na wysokości jego twarzy. Podniósł się na kolana i niezdarnie wstał. Czuł, jak suchy powiew od stosu rozgarnia mu włosy na karku.

– Długo tak możesz? – Starosta przyjrzał mu się z zacięciem. – Jeszcze trochę, a krew puści ci się uszami.

Dopiero teraz dotarło do niego, że ciągle wstrzymuje oddech. Z trudem oderwał rękę od twarzy, jakby palce przytępiły się do nosa. Skóra na wierzchu jego dłoni była ciemna, jak przyrumieniony bochen chleba, ale w miejscu, gdzie zaciskał palce, jaśniała bielą. Zachłysnął się pierwszym oddechem, aż zakręciło mu się w głowie.

– Masz, załóż portki, nie będziesz mi tutaj świecił przed ludźmi gołym tyłkiem.

Z płaszcza nie zostało nic, tylko parę spopielonych nitek snuło się za nim jak babie lato. Szybko wciągnął proste kmiące portki i przez głowę założył koszulę. Ukradkiem, spod czoła rozejrzał się po placu.

Dostrzegł Gędka o kilka kroków dalej. Był już ubrany,

ale sprawiał wrażenie, że nie wie, co się wokół niego dzieje. Klęczał z twarzą schowaną w dłoniach, kiwając się w przód i w tył. Odmieniec podbiegł i zawołał go po imieniu, a kiedy to nie pomogło, siłą rozwarł jego palce.

Odstąpił o krok i powoli się wyprostował. To była inna twarz. Bez blizn, bez zniekształceń i wrzodów, gładka jak u dziecka. Otwarte niebieskie oczy lśniły wilgocią.

– Mówiłem ci, przyjacielu! – Gędek uśmiechnął się i małym palcem dotknął swoich warg, jakby jeszcze raz chciał się upewnić, że je ma. – Trzeba tylko wiary.

Odmieniec nie wytrzymał jego wzroku, w którym jaśniała spokojna radość nowego narodzenia. Opuścił głowę i zgarnął stopą kupkę piachu. Chciał mu powiedzieć prawdę, ale jeszcze nie teraz. Nie w takiej chwili. Obejrzał się na stos. Ogień jeszcze płonął, kopiąc czarną grzywą dymu, ale już w nim nie było poprzedniej dzikości. W paru miejscach stos zapadł się, rozrzucając na boki zbielełe w zarze szczapki. W głębi, do połowy zagrzebana w popiele, dymiła pusta klatka czyichś zeber.

– A tamci?

Gędek wstał. Bardzo długo otrząpywał kolana, jakby nie chciał zostawić na nich najmniejszego pyłku.

– Wierz mi, że gdyby mieli pewność, jak to się skończy, i tak by to zrobili – odezwał się wreszcie cicho. – Komuś, kto nigdy nie był nieczysty, trudno zrozumieć, jak bardzo można pragnąć oczyszczenia. Choćby takiego.

Tum poruszył się. W stęzałej ciszy jęk otwieranej bramy zabrzmiał jak kwik zarzynanej świni. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę grodu. Na drodze pokazało się kilku jeźdźców, spod kopyt zadymił kurz.

– Hej, szaraki, dosyć tego szeptania! – Starosta zaczął kciuki o pas. – Zaraz będziecie mieli swoją wielką chwilę. Jedzie do was książę.

Odmieniec omiół spłoszonym wzrokiem plac, jakby chciał uciec, ale Gędek śmiało podniósł głowę.

– Nie bój się, taki jest zwyczaj. – Ujął odmięca pod ramię i przyciągnął bliżej siebie. – Oczyszczony ma prawo przedstawić księciu jedno życzenie.

Srebrny szyszak przybladł, kiedy słońce schowało się

za chmury, ale odmieniec i tak bał się podnieść oczy wyżej niż na pęciny konia. Wtulił się pod pachę Gędka jak kurczę pod skrzydło kwoki.

- Zyczenie? - wydukał. - I księżę je spełni?

- Podobno zwykle spełnia. Ważne, żeby prosić z umiarem i trafić na jego dobry dzień.

Kiedy jeźdźcy jeden po drugim wtaczali się na plac, z nieba zaczęły spływać leciutkie spopielone płatki, jak czarny śnieg. Konie niepokoiły się bliskością pogorzelska. Ten, którego dosiadał księżę, jeszcze dwa razy okręcił się w miejscu, zanim z gniewnym parsaniem pozwolił się osadzić. Księżę poklepał go po szyi i skiniem głowy przywołał starostę.

- To ci dwaj? - zapytał krótko.

- Ci. Chociaż ten mniejszy chyba by nie przeszedł, gdyby drugi nie przeciagnał go na sznurze.

Księżę rzucił na nich tylko jedno zniechęcone spojrzenie. Wyglądał jak ktoś, kto chce szybko spełnić jakiś uciążliwy obowiązek.

- No dobra. - Podniósł się w strzemiączach, żeby wszyscy mogli go usłyszeć. - Ogłaszam, że ci ludzie zostali oczyszczeni w ogniu i od tego dnia wolno im żyć tak, jak każdemu innemu człowiekowi. Nikt nie może zmuszać ich do noszenia płaszcza ani dzwonek, nikt nie może wypędzać ich z gospody ani odmawiać im noclegu, jeśli tylko mają czym zapłacić.

Opadł na siodło i zmarszczył czoło, oglądając się na starostę.

- Czy to wszystko?

- Jeszcze życzenia, panie.

- A, prawda. - Pochylił się w stronę Gędka. - Mów.

Głos Gędka był trochę drżący, ale równy i spokojny. Odmieniec zrozumiał tylko kilka pierwszych słów. W chwili, kiedy usłyszał za sobą cichy odgłos kijka wbijanego w piasek, cała jego uwaga skupiła się na tym, co było za nim.

- Nie odwracaj się! - Wiedźma widocznie stała bardzo blisko, bo świstała przez nos prosto w jego kark. - Wiem, o co chcesz prosić.

Nie poruszył się. Patrzył na srebrne strzemiona księcia, a trzęsący się szept wiedźmy szemrał mu w uszach.

- Nie rób tego, chłopcze. Tak jej nie pomożesz. Jak księżę się wścieknie, to tylko posle cię w ślad za nią. Nie odwracaj się! - Poczul ucisk kijka między łopatkami. - Poprzednio mi uwierzyłeś, więc teraz uwierz jeszcze raz. Czasami jest tak, że aby dojść do celu, trzeba zejść z najkrótszej drogi. - Kijek naparł mocniej, a potem się cofnął.

- Proś księcia o konia.

Czekał, czy wiedźma coś jeszcze powie, ale ona milczała. Może nawet już jej tam nie było.

Zdał sobie sprawę, że jest całkiem cicho. Poczul, jak Gędek trąca go łokciem, i podniósł wzrok. Księżę patrzył prosto na niego. Jego zmęczona twarz wydawała się obwisła jak pysk starego psa.

- A ty co, piękności? - niemal ziewnął. - Chcesz może moją córkę za żonę?

Jeźdźcy zaburczeli krótkim śmiechem. Odmieniec pobladł, ale nie uciekł wzrokiem w bok ani o włos.

- W zesze lato, przy gospodzie... To znaczy chcę prosić, panie... - Odchrząknął, przerwał, jakby wsłuchiwał się w samego siebie, a potem nagle dokończył całkiem innym głosem. - Chcę prosić o konia.

Księżę podniósł brwi. Jakiś ożywczy rozblask przemknął przez jego twarz, ale bardzo szybko zgasł.

- No proszę! To mi się podoba. Jeśli obiecasz, że nie będziesz nim orał, to coś się dla ciebie znajdzie.

Stara zaniedbana szkapina rozstawiła przednie nogi i zwiesiła łeb, ospale skubiąc trawę. Muchy obsiadały jej zapadnięte boki. Próbowwała je oganiać machnięciami ogona, ale podrywały się tylko na chwilę, bzycały rozdrażnione i przylepiały się do niej znowu.

- Wygląda, jakby nie miała przeżyć kilku następnych dni. - Odmieniec pogłodził ją po szyi. - Nawet na rzeź jej szkoda, bo pewnie mięso ma twarde jak lyko.

- Dla ciebie wystarczy - mruknęła wiedźma. - Zesli do podnóża skarpy brzegowej, nad samą rzekę.

Gwar niewidocznego podgrodzia przewalał się gdzieś nad ich głowami, a pojedyncze zawołania rybaków ślizgały się po wodzie. Wąski splachetek nigdy nie koszonej trawy odorzał ciężkim zapachem kwiatów.

– Do czego ma mi wystarczyć? – Położył dłoń na chrapach, potem obszedł klacz i obejrzał jej kopyta. – Chyba tylko do polewki na kościach.

– Zawiezie cię tam, gdzie trzeba.

Wychylił się zza końskiego zadu i przyjrzał się wiedźmie uważnie. Jej starczy głos miał w sobie tyle siły, że słowa brzmiały jak rozkaz.

– Nigdzie się stąd nie ruszę, póki nie dowiem się czegoś o Cmieluszcze.

– Nie dowiesz się niczego, jeśli nie zaczniesz mnie słuchać.

– Pomagasz mi czy grozisz? – Nastrozył się.

Z niespodziewaną wprawą wiedźma skosiła kijkiem kilka stokrotek. Jej zażwawione oczy nabiegły krwią.

– Jak to jest, że młodzi nigdy nie słuchają starych? – zatrzęsiała jak pochylony plot. – Wbij sobie raz na zawsze do tej bulwy, jaką nosisz zamiast głowy, że twój wybór jest bardzo prosty: albo ocalisz wszystkich, albo nie ocalisz nikogo.

Przestraszył się głębi, jaką zobaczył w jej źrenicach. Znalazł tam mądrość i doświadczenie, ale znalazł też coś, czego nie widuje się u innych ludzi. Jakby na samym dnie jej oczu zalegał mrok, którego nic nie może rozproszyć.

– Kim ty jesteś? – zapytał, jakby dopiero teraz dostrzegł ją taką, jaką była naprawdę.

Uspokajała się powoli. Usiadła, położyła kij w trawie i oparła się o piaszczysty stok skarpy. Poczul ulgę, kiedy znowu oceniła oczy siwymi rzęsami.

– Po prostu wiedźmą. Nazywam się Lubicha.

– O Cmieluszcze też mówią, że...

– Ja jestem prawdziwą wiedźmą. Nie taką, jak ta twoja karczmareczka.

– Słyszałem, że wiedźmom nie wolno żyć na podgrodzium.

– Dobrze słyszałeś. Ja żyję nad morzem.

– Nad morzem? – Z przejęcia wyskoczyły mu na policzki rumieńce. – Jakim cudem udało ci się przebyć taki kawał drogi? Przecież ledwo chodzisz.

– Są na to sposoby. – Mimowolnie spojrzęła na kij. – A nie ciekawi cię, co mnie tutaj przyгнаło?

Miał przeczucie, że zna odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć od niej.

– Powiedz.

– Ty.

Szkapina westchnęła prawie jak człowiek i zamiotła ogonem po bokach.

– Nie znasz mnie. – Odmieniec zaczął tucuchy z taką zaciętością, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. – Czemu miałbym cię obchodzić?

– Masz dar.

Między jedną rozgniecioną muchą a następną rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Już nie. To... uleciało. Nie umiem słuchać zwierząt.

– Ale umiałeś. Zresztą nie o to chodzi. To jest jak znamię, rozumiesz? Wyróżnia cię.

– Wyróżniam się i bez tego – spochmurniał. – Tak bardzo, że często ludzie w ogóle nie mają mnie za człowieka.

– Nie mylą się.

Ostatnia mucha, jaką złapał, była ogromna, a jej odwłok mienił się różnymi barwami. Zaciskał pięść tak długo, póki między palcami nie wypłynęła mu miazga.

– Uważaj na słowa, staruchu.

– Nie jesteś człowiekiem. – Patrzyła obojętnie, jak wiatr marszczy powierzchnię rzeki. – A raczej jesteś nim tylko w połowie.

Ze złości zatrzęsły mu się ręce. Ruszył na nią z zacięniętymi wargami i pochylonym czołem. Chwycił kij, a kiedy podniósł go do uderzenia, zaślepiła go czerwona mgła.

Dwukrotnie uderzył sam siebie po głowie, a potem poprawił jeszcze ciosem z dołu w zuchwę, aż nadkruszył dwa przednie zęby. Kij załomotał w trawie, kiedy wypuścił go ze zwiotczonych palców.

– Co... Co się stało? – Mgła rozwiła się z wolna, dotknął obolałej szczęki. – Kto tu jest?

- Nikt. - Zdawało się, że Lubicha ani na chwilę nie przestała śledzić lśniących fal. - Byłeś na tyle głupi, żeby porywać się na wiedźmę z jej własnym kijaszkiem. Następnym razem nie zapomnij, że ja i on jesteśmy ze sobą bardzo zzyci.

Odmieniec opuścił kącki grubych warg, jakby miał się rozpląkać. Na samym środku jego płaskiego czoła pęczniał guz.

- Czego ty ode mnie chcesz? - Rozłożył ręce i na wszelki wypadek przycisnął kij stopą.

- Chętnie bym ci powiedziała, gdyby to było takie proste. Sama jeszcze dobrze nie wiem. Jednego jestem pewna: szykuje się coś bardzo złego, a ty będziesz miał w tym swój udział. Dobry albo zły, to się okaże. Ale nie uciekniesz od tego.

Zajrzał jej w twarz. Była nieprzenikniona, jakby nie kryła się za nią żadna myśl.

- To ten wisiorek, prawda?

- To jedna z oznak. - Jej białe rzęsy podniosły się i opadły. - Zaginął całe wieki temu i lepiej by było, gdyby się nigdy nie odnalazł. Ale są też inne sprawy. Anielichy wyroiły się spod ziemi i mnożą się jak nigdy przedtem. Rozpytywałam trochę między ludźmi. Opowiadają, że coś złego dzieje się w dworze. Książę zaszył się za wałami i prawie nie wystawia stamtąd nosa. A poza tym... Znam się na tym. Czuję to w kościach, jak dziady czują zmianę pogody.

- A Ćmieluska?

- Zaplątała się w to wszystko przez przypadek, ale póki co, tkwi w tym o wiele głębiej niż ty czy ja.

- Mówiłaś, że mogę jej pomóc. Jak?

- Sam to odkryjesz, nikt cię w tym nie może wyręczyć. Odpowiedź znajdziesz na bagniskach.

Odmieniec poruszył uszami jak nasłuchujący lis. Przeklnął sline, żeby łatwiej zapanować nad drżeniem głosu.

- Po pierwsze, bagniska są na krańcu świata. Po drugie, tam nic nie ma. Po trzecie...

- Bredzisz! - Znowu zjeżyły się jej brwi. - Jeszcze rok temu Grodzisko też było dla ciebie na krańcu świata, a ja-

koś tu przyczłapałeś. To prawda, że bagniska są daleko, ale ja od tego jestem wiedźmą, żeby coś na to zaradzić. I wcale nie są takie puste, jak o tym ludzie gadają.

Zamilkła, bo ze skarpy osypało się trochę piasku. Z góry wielkimi krokami schodził Gędek. Na jego policzkach, które jeszcze rankiem były całkiem gładkie, już zaczynał ciemnieć nalot zarostu.

- Tu jesteś! Szukam cię po całym podgrodziu! - Z ukosa spojrział na Lubichę i zatrzymał się przed odmieńcem. - Myślałem, że odszedłeś bez pożegnania.

Wiedźma przyciągnęła kijaszek i oparła go o kolano. Gędek rzucił okiem na konia i pokiwał głową, jakby to było właśnie to, czego się spodziewał.

- Taa... - Złożył ręce na piersi. - Widzę, że księżę był szczodry także dla ciebie.

- A ty? Dostałeś, o co prosiłeś?

- Chciałem się tu osiedlić i wreszcie zabrać do jakiejś porządnej roboty, bo przez ostatnie lata to... Sam wiesz. Prosiłem o kawałek ziemi. Właśnie byłem ją oglądać - splunął przez ramię. - Piach, kamienie i jeden uschnięty krzaczek.

- Zawsze co swoje, to swoje.

- E, tam! Na miedzy leży gównno. Też jest moje, tylko co z tego? To już lepiej iść prosto przed siebie i szukać szczęścia gdzie indziej. A ty co zrobisz, jak już skończysz ogryzać końskie gnaty?

- On wyrusza w drogę. - Lubicha wstała tak cicho, że nic nie usłyszeli.

- Naprawdę? - ucieszył się Gędek. - Dokąd? A może byśmy tak...

- Za daleko dla ciebie. - Lubicha podeszła bliżej. - Lepiej idź w swoją drogę.

Gędek opuścił ręce. Powiódł wzrokiem od Lubichy do odmieńca i z powrotem.

- Nie wtrącaj się, babciu, kiedy nikt cię nie pyta.

- Zaczekaj! - Odmieniec zrobił krok w bok, stając między kijem a Gędkiem. - Ona mówi prawdę.

- Kiedy wyruszasz?

- No... - Obejrzał się na Lubichę, a ona przytaknęła samymi oczami. - Od razu.

Gędek podrapał nos, a potem nagle klepnął się w udo, aż z trzciny poderwały się kaczki.

– A niech tam! Nic mnie tu nie trzyma. Idę z tobą!

Wiedźma wyciągnęła pomarszczoną dłoń i dotknęła jego czoła. Poblądł, patrząc na nią nieswoim wzrokiem. Miał otwarte usta i nieruchome żrenice.

– Na pewno jesteś tym, za kogo się podajesz? – zapytała.

Przytaknął, bezwiednie jak kukła.

– Nie knujesz zdrady?

Zaprzeczył, powoli pokazując najpierw jeden, a potem drugi policzek. Wiedźma oparła na kiju splecione dłonie.

– Umiesz jeździć konno?

Potwierdził, a wtedy Lubicha strzyknęła cieniutką struzką śliny prosto w jego oczy. Otrząsnął się, wytarł twarz rękawem. Kiedy się podrapał po nosie, odmieniec już wiedział, że za chwilę klepnie się w udo.

– A niech tam! – Kaczki, które zniżyły się nad wodę, znowu zatrzepotały skrzydłami. – Nic mnie tu nie trzyma. Idę z tobą!

Lubicha pstryknęła palcami, a klacz przydreptała do niej od razu, dotykając chrapami jej ramienia.

– Ty siadaj pierwszy. – Ruch zmarszczek wokół jej ust chyba oznaczał uśmiech. – Mały za tobą.

Gędek wetknął palec w zagłębienie między końskimi zębami.

– Na nią? Padłaby pod ciężarem wróbla!

– Siadaj.

Lekko wskoczył na grzbiet szkapiny. Stęknęła, zakaszła dziwacznie, ale ustąpiła.

– Teraz ty. – Lubicha pchnęła odmieńca kijkiem. – Tylko dobrze się trzymaj.

Wdrapał się, objął Gędka ramionami w pasie i przylgnął policzkiem do jego pleców. Wydawało mu się, że słyszy, jak zatrzeszczał pod nim koński kręgosłup. W popłochu poszukiwał oczu wiedźmy.

– Chociaż powiedz, czego powinienem szukać. Powiedz cokolwiek.

– Moje słowa byłyby dla ciebie tylko ciężarem, a tobie trzeba odwagi i wytrwałości. No, wio!

Podniosła kij i smagnęła nim koński zad. Odmieniec w ostatniej chwili cofnął język spomiędzy zębów.

Książę obudził się prawie od razu. Wystarczyło, że Rozpruwacz lekko dotknął jego ramienia. Usiadł na łożu z otwartymi oczami i sięgnął po leżący na ławie miecz, ale Rozpruwacz uniósł w górę puste dłonie.

– Nie mam broni.

Od okna mżyła sina, księżycowa mgiełka. Książę opuścił bose stopy na podłogę, rozcierając pięściami powieki. Chwycił kielich z winem i patrząc na Rozpruwacza znalazł jego krawędzi, siorbnał głośno.

– Jak tu wszedłeś? Ten pierdziuch przed drzwiami zasnął?

– Nie. – Rozpruwacz skinął głową w stronę uchylonego okna. – Woląłem przyjść do ciebie tak, żeby nikt o tym nie wiedział.

Książę parsknął, zakrztusił się i strzyknął przez zęby ciemną strugą wina. Otarł wargi rękawem i wyrzucił kielich przez okno, w rozgwieżdżoną noc.

– Znowu mi, diabła, dosypały soli do wina! Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem albo piłem coś, co ma zwyczajny smak.

Schowwał twarz w dłoniach jak ktoś, kto jest bliski rozpaczki, ale kiedy znowu podniósł głowę, wzrok miał prawie obojętny.

– Znalazłeś coś?

– Znajdź nie zakłócałbym twojego snu, panie.

– Co?

– Sam to musisz zobaczyć.

Książę skrzywił się z niechęcią, ale wsunął obie nogi w wysokie cholewy butów. Skrzywił się znowu, tym razem z bólu, a potem wytrzymał z każdego buta po kilka kolczastych główek ostu.

– Chodźmy. – Owinął się płaszczem i przypasał miecz.

– Ale jeśli chcesz mi pokazać, że moje psy znowu są powiązane za ogony, zabiję cię.

Rozpruwacz zastąpił mu drogę, kiedy ruszył do drzwi.

– Lepiej będzie, jak stąd wyjdziemy po mojemu.
Zwarli się wzrokiem, ale to książe pierwszy odwrócił
oczy i lekko skinął głową. Otworzył szerzej okiennice,
usiadł na oknie i przeczcił nogi na zewnątrz. Zniknął
bez szelestu. Rozpruwacz zsunął się za nim, wciskając
palece i czubki butów w szpary między grubymi balami.
– Co dalej? – Książe czekał na dole, oparty o ścianę. –
To nawet zaczyna być zabawne. Pamiętam, jak za młodu
poznałem jedną ładniutką kuchareczkę i...
– Tędy! – Rozpruwacz błysnął jednym okiem i wsią-
knął w ciemność.
Szli w cieniu wału, unikając poświaty księżycy. Nie
rozmawiali ze sobą. Wysoko nad nimi, na wale, chrzęściły
kroki straży. Od czasu do czasu w stajni parsknął koń,
a cichnący pogłos długo jeszcze tłukł się po pustym dzie-
dzińcu. Książe z ulgą wdychał chłodny, rześki powiew
przedświt.
Nagle odbił się od pleców Rozpruwacza i od razu opad-
ł go codzienne, beznadziejne zniechęcenie.
– Co znowu? – warknął.
– To tutaj. – Rozpruwacz przykucał.
Książe pochylał się, chociaż ciemność u podnóża wału
była tak gęsta, że nie widział nawet własnych stóp.
Chciał zakląć, ale zamiast tego gwizdnął cicho i mocniej
ugiął kolana.
– Ten zapach – pociągnął nosem. – Znam go.
Rozpruwacz przesunął dłoń po ziemi, a potem podsu-
nął wyciągnięty palec prosto pod twarz księcia. Fala moc-
nej, słodkiej, prawie lepkiej woni sprawiła, że na chwilę
zakręciło mu się w głowie.
– Znam go – powtórzył ciszej. – Nigdy nie był aż tak
wyraźny, ale to na pewno jest to.
Rozpruwacz wytarł palec w nogawkę i usiadł prosto na
golej ziemi, oparty plecami o wał.
– Gdzie to wyczuwasz najczęściej, panie?
– Wszędzie. Gdziekolwiek bym nie był, przy stole,
w łóżku i w sraczu. Jakby to za mną laziło. Prześladowa-
mie – mówił bardzo powoli, z namysłem. – Co to jest?
Rozpruwacz nie odpowiedział od razu. Poczekał, aż

przetoczy się nad nim kolejny stukot kroków strażnika,
grzęznąc w szumie potężniejszego wiatru.
– Skrzacia miętka.
– Co? – Książe usiadł obok.
– Ziolo, bardzo rzadkie w tych stronach. Doświadczone
wiedźmy zbierają je po jakis zapomnianych jarach, suszą
i trą na proszek. To najlepszy wabik na skrzaty.
Przerwał, żeby wciągnąć do płuc przesycone zapachem
powietrze.
– Leżą do tego jak muchy do miodu. Przyprawiają so-
bie tym jedzenie, gotują wywary, a czasami po prostu
rzucają szczyptę na żar i wdychają dym.
– No to nie ma się co dziwić, że cały gród tym prze-
śmierdnął!
– Jest. Nigdy nie spotkałem skrzaciej miętki w takiej
ilości jak tu.
Książe poruszył się. Tym razem to on przeczekał stra-
znika.
– Czy to znaczy, że... – zawahał się.
– Tak. Ktoś je na ciebie, książe, szczuje.
Zrobiło się zimniej. Wiatr przygnał ciemne chmurzyska
i gwiazdy zaczęły znikać jedna po drugiej. Mrok gęstniał,
choć do świtu było już niedaleko.
– Ciężko w to uwierzyć. – Książe chuchnął w złączone
dłonie. – No bo kto? I po co?
– Ten, kto na tym skorzysta, panie. Zawsze tak jest.
Książe wstał. Długo patrzył prosto przed siebie, a w je-
go oczach odbijał się gasnący księżyc.
– Gdzie jest starosta? – zapytał nagle. – Miał cię pil-
nować.
– Pacholcy odnieśli go do izby. Zemdlął, kiedy rozma-
wiałem ze skrzatem. Chyba nie lubi widoku krwi.
– Za mną! – Książe zrobił ruch, jakby chciał pobiec,
ale zamiast tego zniknął Rozpruwaczowi sprzed oka. Zda-
żył jeszcze zakląć, a w chwilę potem jego ciało całym cięż-
czarem uderzyło o ziemię. Zebrał się dosyć szybko, choć
widać było po nim, że jest ogłuszony.
– Ta zgraja zasańców związała mi rzemyki u butów!
– Obmacywał sobie obolaty nos. – Zawsze to robią, kiedy

zbyt długo sterzę w jednym miejscu. Znowu zapomnieliem sprawdzić.

Rozpruwacz przeciął nożem węzeł i chciał mu pomóc wstać, ale książe ze złością odrzącił jego rękę. Ruszył do dworu wielkimi krokami, z głową odrzuconą do tyłu i dłonią przyłożoną do krwawiącego nosa.

Drzwi do izby starosty były zamknięte. Książe szarpnął mocno, ale nie ustąpiły. Hałas obudził kilku pacholców, którzy przybiegli na pomoc, mrużąc rozespiane oczy. Powstrzymał ich uniesioną ręką.

– Do tytu! – warknął. – Sam to zrobię.

Cofnął się pod przeciwległą ścianę, wziął kilka kroków rozbiegu i natarł na drzwi kopniakiem. Trzasnęły od razu, wpadając do środka razem z futryną.

Starosta siedział w łożu, z kocem podciągniętym pod samą brodę. Nie mógł widzieć, kto stoi w drzwiach, bo pacholcy zaświecili mu w oczy pochodniami.

– Co to ma być? – Obejrzał się za pasem z mieczem, który wisiał na kołku poza zasięgiem jego ręki. – Won!

Książe podeszedł bliżej, zatrzymując się w kole światła. Krew już mu nie ciekła z nosa, ale na brodzie i na wosach wisiły rude skrzepy.

– Wyskakuj z wyrka – powiedział bardzo cicho. – Musimy porozmawiać.

Starosta szybko naciągnął gacie i sięgnął po koszulę, ale książe wyrwał mu ją z rąk i wskazał brodą skrzynię stojącą pod ścianą.

– Wywalaj wszystko, co tam masz.

Żeby podejść do skrzyni, starosta musiał przejść koło miecza. Zmylił krok i drgnęła mu ręka, ale nie zatrzymał się. Podniósł wieko skrzyni i zaczął wyrzucać za siebie, na podłogę, swoje rzeczy. Jakies dawno nie prane szmaty, kości do gry, wyszczerbiony kielich. Kiedy skończył, odwrócił się do księcia i stopą popchnął to wszystko w jego stronę. Dolna szczeka mu drżała – ze strachu albo ze złości.

– Co moje, to twoje, panie – wychrypiał. – Weale nie musieliś psuć drzewi.

Rozpruwacz wychylił się zza pleców księcia i głośno pociągnął nosem.

– Jest – wyszeptał. – Mały czerwony woreczek, pod tymi dziurawymi onucami.

Książe podniósł woreczek w dwóch palcach, rozsuptał i wytrząsnął zawartość pod nogi. Jasny proszek, drobniutki jak pył, napenił izbę bardzo mocnym zapachem.

Starosta podniósł na księcia szeroko otwarte oczy.

– Nie wiem, co to jest. To nie moje.

Książe pobladł z gniewu. Wyrwał pacholce pochodnię i wziął zamach, ale Rozpruwacz w ostatniej chwili złapał jego rękę.

– Najpierw dokończmy jedno, panie – powiedział szybko. – W łożu chyba ktoś jeszcze się chowa.

Koc leciutko unosił się i opadał, jakby ktoś pod nim nierówno oddychał. Książe opuścił pochodnię. Pochylił się nad łożem, nasłuchując.

– Tu ich trzymasz? – Jego wrzący gniew ostygł w zdumieniu. – Sypiasz z nimi?

Chwycił za brzeg koca. Zanim go odrzucił, wydało mu się, że usłyszał cichy jęk.

Nawet nie poczuł, kiedy kropla czarnej mazi z pochodni spłynęła mu na dłoń. Stojący za nim Rozpruwacz widział, że włosy na jego karku zjeżyły się jak sierść kota.

– Sławka? – stęknął.

Wysunęła się z łoża, nie patrząc nikomu w oczy. Odruchowo wygładziła spódnicę, ale nie odgarnęła włosów, które zasłoniły jej twarz. Wybiegła z izby, przeskakując nad potrząskanymi drzwiami.

Książe odwrócił się za nią jakoś niezdarnie, szurając nogami. Ciagle był pochylony, jakby coś przeskoczyło mu w karku i już nie wróciło na swoje miejsce.

– Postawić przed jej izbą straż – rzucił w przestrzeń, marszcząc brwi. – A tego wieprza na łańcuch.

Brzask z wolna wsączal się w ciężkie od mgły powietrze. Skradał się jak złodziej, cichy i cierpliwy, rozświetlając snujące się nisko nad ziemią opary.

Książe przyłożył wargi do szyjki gąsiora i pociągnął bardzo długi tyk.

– Dobry dzień na wieszanie. – Spojrzał z ukosa na ciemniejącą we mgle postać starosty. – Najpierw jego, a potem się zobaczy. Kto wie, może nawet skończą na sobie.

Siedzieli na królewskim płaszczu rozścielonym na kamienną płytę i patrzyli na dwór. Wyglądał jak pleśniejące wspomnienie po minionej chwale, jakby dawno opuścili go wszyscy mieszkańcy.

– Twei wielmoże mają mocny sen, panie. – Rozpruwacz sięgnął po opróżniony do połowy gąsior. – Nocne wrzaski postawiły na nogi chyba pół podgrodzia, a oni ani zipną.

– Pozapierali się w izbach i smrodzą ze strachu, bo nie wiedzą, ile powie starosta. Każę przetopić koronę na podkopy dla kozy, jeśli połowa z nich nie siedziła w spisku po uszy.

Gruby słup, do którego przykuto starostę, moknął w mżawce o kilkanaście kroków od nich. Za każdym razem, kiedy więzień się poruszył, brzęczał łańcuch zwisający u żelaznej obręczy na jego szyi.

– Czemu to robił? Żle mu było u ciebie?

– On jest za głupi, żeby samodzielnie wymyślić taką rzecz. Zwyczajnie, dał się omotać babie.

W małym oknie u szczytu czworobocznej wieży na chwilę zabieliła się jakaś twarz. Zniknęła, kiedy tylko Rozpruwacz podniósł na nią oczy.

– Co z nią będzie?

Książę długo zaglądał w szyjkę gąsiora, jakby tam szukał odpowiedzi.

– Pójdzie między mniszki. Albo dam ją za żonę pierwszemu ksiądzku, które się zgłosi, byle nie targował się o posag. Niech jedzie w diabły, najlepiej za siedem mórz.

Przez pierzchającą zasłonę chmur zaczęły przebiegać się pierwsze, ukośne promienie słońca. Mgła znikła, rozgarniana cieplejszymi podmuchami.

– No, zostawmy to na razie. Co z twoją robotą? A może teraz wszystko samo się skończy, kiedy nie ma komu rozsypywać po kątach skrzaciej miętki?

– Nie, panie. Skrzaty łatwo sprowadzić, ale bardzo

trudno ich się pozbyć. Ale już jestem blisko. Wiem, gdzie ukrywa się ich król.

– Taa... Doniesiono mi, że ciekawi cię mój skarbiec. – Cane wino, jakie wypił, nie pozostawiło w jego spojrzeniu najmniejszego śladu. – Więc zjedźmy tam i złapmy go.

Pachołcy wysypali się z sieni na pierwszy znak, jakby czekali w cieniu. Podważyli płytę żelaznymi dragami i narparli ze wszystkich sił. Ustąpiła z przeciągłym zgrzytem, który przepłoszył z dachów ptaki. Zwalili ją na bok, odsłaniając czarną czeluść, z której powiało chłodem.

– Chyba nieczęsto tu się zagląda? – Rozpruwacz zepchnął nogą mały kamyczek i niepokojąco długo czekał na odgłos uderzenia o dno. – Można by pomyśleć, że niewiele dbasz o swoje bogactwa.

– Jest ktoś, kto dba za mnie. – Żrenice księcia zwęziły się prawie niedostrzegalnie. – Módl się, żebyś nie musiał poznawać mojego strażnika.

Starosta nagle szarpnął się jak wściekłe psisko na uwięzi. Nie mógł słyszeć, o czym rozmawiali, ale uważnie patrzył na ich twarze. Obręcz wpijała mu się w gardło.

– Nie pozwól mu na to, panie! – krzyknął. – Nie wierz zaprzańcowi!

Rozpruwacz nachylił się nad dziurą. Nie widział nic prócz kilku pierwszych, wpuszczonych w ścianę kołków, które prowadziły w głąb.

– Zejdę sam, panie. Tylko ja wiem, jak złowić skrzaciego króla.

Starosta miotał się jak szaleniec. Białka jego oczu nabiegły krwią, węzły zył puchły na wyciągniętych rękach.

– Nie pozwól mu, panie, on cię zdradzi!

Książę podszedł do słupa i stanął ze starostą twarzą w twarz. Odezwał się cicho, niemal szepetem.

– Wedle zwyczaju powinienes zawisnąć dopiero o zachodzie słońca. Ale jeśli jeszcze raz wspomnisz o zdradzie, złamię ten zwyczaj.

Wrócił, trąc w zamyśleniu oblaży kilkunniowym zarostem policzek. Przykucnął nad krawędzią otworu.

– Pójdźmy razem, bo beze mnie nie przeżyjesz na dole. – Splunął w ciemność, przywołał jednego z pachol-

ków i odezwał się do niego na tyle głośno, że wszyscy mogli usłyszeć: – Jeśli nie wrócę do południa, spuście z łańcucha starostę.

Książę owinał sobie sznur wokół lewego przedramienia i spłynął w głąb, jakby zanurzał się w przerębli. Płomień jego pochodni skwierczał i kopczył. Kiedy Rozpruwacz opuścił za nim nogi, wilgotny chłód wślizgnął mu się za nogawki, ziębiąc łydki. Odwijająca się z przenośnego kołowrotu lina zwiotczała, ludzie przy korbie prostowali plecy.

– No, dalej! Teraz ty.

Płomień pochodni drgał gdzieś bardzo nisko, kładąc na mokrych murach długie, błyszczące smugi. Odciążony kołowrót popiskiwiał za każdym obrotem, wracająca lina chwiała się od ściany do ściany. Kiedy Rozpruwacz zobaczył jej koniec, nachylił się jeszcze raz. Zwielokrotniony głos księcia uderzył go w twarz.

– Na dół!

Kołowrót zaskomlał pod jego ciężarem. Zdawało mu się, że pacholcy opuszczają go o wiele bardziej niedbale niż księcia. Zakał, uderzając plecami o ścianę. Zadarł głowę, ale pochylone nad otworem twarze były już zbyt odległe, żeby mógł je rozpoznać.

Dotknął ziemi tak niespodziewanie, że w pierwszym odruchu podkurzył nogi. Opuścił je ostrożnie, badając podszwami podłoże. Było nierówne i pokryte jakimiś skalnymi odpryskami, ale twarde.

– Witaj w grobie – głos księcia zadudnił mu w uszach, jakby dochodził z kilku stron naraz. – Zdejmuj buty.

– Po co?

– Zdejmuj. – Książę rzucił swoje skórznie za skalny załom. – Chodź za mną, tylko cicho.

Wzdrygnął się, kiedy stanął bosymi stopami na zimnym kamieniu, ale nie miał czasu na wahanie. Wysoki, choć wąski korytarz wiódł łagodnym spadkiem w dół. Ruszył za księciem, zagryzając wargi za każdym razem, kiedy nastąpił na ziarno żwiru albo szczyrzą kosteczkę. Z grubsza ociosane skały pochylały się nad nim z obu

stron, jakby łańcuch miał zwałić mu się na kark. Ostatnie szarawe odblaski dziennego światła dawno zgasły i gdyby nie pochodnia, zamknęłyby się wokół nich całkowita ciemność. Szli cicho, słyszeli szmer własnych oddechów. Wracal do nich spotężniały, jakby gdzieś w głębi mroku sapał przez sen jakiś zapomniany gnom.

– Musimy tak gnać? – Rozpruwacz potknął się i jęknął. – Poodbijam sobie piętę.

Książę przystanął. Trzymał pochodnię opuszczoną, jego twarz ukryta była w cieniu.

– To tutaj.

Podniósł rękę. Wydobycie z ciemności górne części ścian zdawały się do siebie zbliżać. Z prawej strony czerniło się wejście do niskiej odnogi korytarza. Rozpruwacz musiał się schylić, żeby wsadzić tam głowę.

– A co jest dalej? – Obejrzał się w stronę, skąd ziała pustką mroczna gardziel.

– Dalej nawet ja nie chodzę.

Od początku podejrzewałem, że wszystko, co ludzie opowiadają sobie o tych podziemiach, to tylko głupie wymysły. A ty je podsycasz, bo dzięki nim nikt nie ośmieli się kręcić przy twoim skarbcu.

Powiedz to tym, którzy słyszeli krzyki skazańców. – Książę przelożył pochodnię z ręki do ręki, cienie na ścianach poruszyły się i zamarły.

– Sam bym krzyczał, gdyby mi podgryzały łydki wygłodniałe szczury. – Rozpruwacz wsunął dłonie pod pachy.

– Ale wiem, że nic, co żyje w mroku, nie podejździe do ognia.

– Jesteś bystry, ale zbyt zadufany w sobie. Kiedyś cię to zgubi. – Książę zbliżył pochodnię do ziemi, blisko ściany. – Kto tutaj napaskudził, twoim zdaniem?

Rozpruwacz długo przyglądał się wysuszonym odchodom. Kiedy się podniósł, miał nieco bledszą twarz, ale z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Wygląda na ludzkie.

– A jak ma wyglądać? – Książę trzepnął go w ucho. – Taki duży chłopak i jeszcze wierzy w duchy?

– A buty? Po co się tak skradamy, jeśli ten... to boi się ognia?

– Bo żyje tutaj też coś, co się nie boi, za to bardzo dobrze wyczuwa drgania skał. Na przykład takie, jakie wzbudza obuty piechur. Kilka razy zdarzyło się, kiedy ludzie przeciągali tędy skrzynie, że coś małego wyskakiwało z ciemności i kąsało ich. Nie było to nawet bardzo bolesne, ale jad... – Machnął ręką. – Trzeba było widzieć, w jakich mękach umierali.

Rozpruwacz pochylił się i ruszył pierwszy ciasną odnogą, szurając karkiem po okopconym sklepieniu. Ostrożnie stawił stopy na spękany podłożu. Zastaniał sobą światło pochodni i musiał macać przed sobą drogę jak ślepiec, ale nie bał się, że zabłądzi. Na zgrzanym z wysiłku czole poczuł leciutki ruch powietrza, który laskotał go chłodną piśczołą o zapachu zgnilizny. Uśmiechnął się do siebie i dalej szedł już śmielej. Leniwy przeciąg wiał mu prosto w twarz. W szeleście kroków księcia odgadywał czujną podejrzliwość.

Dwie jasne kropki pojawiły się przed nim w mroku, zgasły i rozjarzyły się znowu. Wyglądały jak bardzo małe gwiazdeczki, drżące na nocnym niebie. Były tam, gdzie ich oczekiwali. Kiedy sklepienie podniosło się, nie zwalniając kroku wyjął nóż. Wiedział, że książę nie może dojrzeć światełek spoza jego pleców, ale musiał być gotów do działania. Chciał podejść najbliżej, jak się uda.

Nagle oddech księcia stał się urywany i świszczący. Władca potknął się raz i drugi, przystanął i burknął pod nosem przekleństwo.

– Coś jest nie tak – powiedział cicho. – Tutaj nie powinno wiać.

Rozpruwacz szedł dalej. Gwiazdki powiększyły się, nabierając zielonkawej barwy młodej trawy. Wisiały nieruchomo, bardzo nisko nad ziemią.

– Nie podoba mi się to! – Książę podniósł głos. – Wracam!

– Wszystko jest tak, jak trzeba. – Rozpruwacz zatrzymał się i uniół rękę z nożem. – A ty zrobiłeś, co trzeba?

– Co niby miałem zrobić?

– Nie mówię do ciebie, panie.

Książę wszedł za nim do skarbcza. Zielone plamki przy-

bladły, kiedy ogarnęło je światło drżące w przeciągu płomienia pochodni. Skarbiec nie był duży, zaokrąglone sklepienie podtrzymywała jedna gruba podpora. Pod nią, z rękami niedbale zataczonymi na piersiach, stał skrzat.

– Myślałem, że już się nie doczekam – powiedział.

Miał dziwny głos, trochę chrapliwy, od czasu do czasu przelatujący się w piskliwych tonach. Po jego skudłonej białej brodzie biegały płomienne blaski.

Zgrzyt wysuwanego z pochwy księżącego miecza odbił się od ścian skarbcza. Uniesiona ręka Rozpruwacza drgnęła, kiedy się odwracał.

– Wiesz, że umiem tym rzucać. – Szybko oblaźł wargi. – Odlóż miecz.

Twarz księcia, z wysoko uniesionymi brwiami i opadłą zuchwą, miała barwę zsiadłego mleka. Chciał coś powiedzieć, ale kiedy Rozpruwacz lekko odchylił rękę, odrzucił miecz. Łomot żelaza wypełnił skarbiec i umilkł.

– Co to ma być?

Rozpruwacz przerzucił nóż do lewej ręki, wytarł spoczną dłoń o spodnie i przymknął oko.

– Nic wielkiego, panie. Jesteś pechowcem. Na wsi mówią, że jak się komuś nie szczęści, to i w pięści mu chrzęści.

Podszedł do księcia z lekko zakłopotanym uśmiechem. Jednym kopnięciem podciął mu nogi, a kiedy książę upadł na twarz, przygniół kolanami jego barki.

– Byłoby o wiele lepiej dla nas obu, gdybyś pozwolił mi zejść tutaj samemu. – Wyciągnął z kieszeni kawałek sznurka i mocno związał mu ręce na plecach. – Poznałem w życiu kilku władców. Większość z nich to durnie, ale ciebie zdążyłem polubić.

Książę usiadł pod podporą, prz gryzając wąsy. Strużki wody, które ciekły po murze, wsaczały mu się za koszulę, ale nawet tego nie czuł. Patrzył posepnie na rząd ciężkich skrzyń, które wychylały z ciemności swoje okute rogi po drugiej stronie skarbcza.

– Jak mogłem dać wiarę tobie zamiast własnemu staroście? On jeden przejrzał cię od samego początku. Nie jesteś żadnym skrzatolapem.

– Jestem, panie. I to dobrym. Tylko bardzo dawno te-

mu zrozumiałem, że z samego skrzatolapstwa trudno wyżyć, a i robota nielekka. Pewnej nocy, kiedy uganiałem się po jakiejś śmierdzącej oborze za starym, upartym figlarzem, ołsnio mnie. – Pokazał kciukiem za siebie, gdzie skrzat obojętnie obgryzał paznokcie. – Dogadałem się z nimi.

– Ale... – Książę długo patrzył w tamtą stronę. – To znaczy, że...

– Że to ja ich na ciebie nastąpiłem. Wszystkich, co do jednego. A skrzacią miętę podrzuciłem staroście, żeby zyskać trochę swobody.

– Jezu! Ale po co?

– Skrzaty miały cię zmiękczyć. – Wzruszył ramionami. – Miały cię tak wymęczyć, żeby potem, kiedy już znikną, twoja wdzięczność dla mnie była głęboka i szczerą.

– To zмова! Chciałeś wyłudzić zapłatę za nic.

– Nie za nic, tylko za uwolnienie cię od kłopotów. A zresztą obaj wiemy, że wcale byś od tego nie zbiedniał.

– A one co z tego mają?

Rozpruwacz nachylił się do księcia, ostaniając usta do niej.

– Powiem ci w tajemnicy, że skrzaty są raczej głupawe. Mają mózdzki mniejsze niż wiewiórki. Dostają ode mnie po jednej nowej czapeczce na miesiąc i jeszcze sobie chwają. Ale najbardziej ich cieszy, kiedy mogą poszaleć do woli. Uwielbiają zadreć ludzi na śmierć.

Książę podciągnął nogi i wstał, szorując plecami po murze. Wyraz jego rozbieganych oczu świadczył, że był o krok od zrozumienia jakiejś bardzo nieprzyjemnej prawdy.

– To wszystko była przykrywka, co? Odwracanie uwagi. Tak naprawdę przez cały czas myślałeś tylko o tym, jak wejść do skarbcza – skinął głową w stronę skrzyń. – Jak dobrać się do tego.

– Nie, wejść było łatwo. – Rozpruwacz machnął ręką, jakby odpędzał sprzed nosa muchę. – Ważniejsze, jak stąd wyjść.

Lekki powiew poruszył obwisłymi końcówkami włosów księcia. Wodził szeroko otwartymi oczami po przeciwległej ścianie. Znalazł wreszcie to, czego szukał, i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Powiniem się tego domyślić, kiedy tylko poczułem wiatr! – Patrzył na okrągły otwór wielkości pięści, który czernił się w ścianie, pół łokcia nad ziemią. – Skrzaty to wydrążyły?

– Pośród ich wielu zalet jest i ta, że umieją rozmawiać ze zwierzętami. Zajęchały na śmierć kilkanaście kretów, ale zdążyły się przekopać.

– Nawet jeśli ta nora jest wystarczająco długa, że wychodzi poza wały, to przecież nie wciśniesz do niej nawet głowy!

– Wychodzi w samym środku lasu. – Rozpruwacz uśmiechnął się powściągliwie. – A ja wrócić tak samo, jak wszedłem. Tędy pójda tylko skrzaty.

Zagwizdał. W otworze coś zaszmerło, oсыpało się trochę ziemi, a potem pokazała się czerwona czapeczka. Skrzat zeskokczył na ziemię, otrzepał kusy kubraczek i nie patrząc na nich, pobiegł w stronę skrzyń. Za nim przepychały się następne.

– Bardzo sprytnie. – Książę odprowadzał wzrokiem każdego z nich. – Ale przez taką dziurkę nie wyniosą zbyt wiele.

– Mylisz się. Wyniosą wszystko, do ostatniego miska. Książę znieruchomiał z wyciągniętą do przodu szyją i zrenicami wielkimi jak grochy. Na jego skroniach zabłyszczał pot.

– Nie ośmielisz się. – Ledwo poruszył wargami.

– Wątpisz? – Rozpruwacz podszedł do skrzyń, których wyrzuczone wieka skrzypiały pod stopami skrzatów.

– A co powiesz moim ludziom na górze? – krzyknął za nim książę, ale dokończył całkiem cicho. – Co ze mną?

Rozpruwacz obejrzał się przez ramię, omijając wzrokiem jego oczy.

– Powiem im prawdę. Że zabiło cię zło, jakie sobie tutaj uhodowałeś.

To był ładny widok. Mieszki leżały w skrzyniach równiutkimi warstwami, każdy związany rzemyczkiem z książką pieczęcią. Wydawało się, że opróżnianie skarbcza po-

trwa bardzo długo, ale bogactwo topniało w oczach. Skrzaty po kolei zarzucały sobie mieszki na plecy i przycięte pod ciężarem znikwały w otworze. Książę z początku patrzył na tę grabież złym wzrokiem, ale szybko się poddał. Oparł czoło na podciągniętych kolanach i wyglądał, jakby zasnął.

Drgnął, kiedy Rozpruwacz zatrzasnął wieko ostatniej, pustej skrzyni. Kurz podniósł się szarym kłębem, a potem osiadał bardzo powoli, wirując wokół ognia.

– No, to by było na tyle.

Pochodnia w jego ręku zaczynała kopać czarnym dymem. Książę patrzył na nią jak umierający na gromnicę.

– Nie rób tego... – Poruszył związanymi nogami, ocierając sobie skórę na kostkach. – Po prostu mnie zabij.

Rozpruwacz tyłem cofnął się do wąskiego korytarza. Półkolista plama jasności na podłodze wsiąkała za nim w czarną dziurę.

– Masz mnie za zabójcę? Jestem na to zbyt łagodny.

Na samym końcu zniknął w korytarzu jego uśmiech.

Czerwona poświata spłynęła ze ścian, a potem jeszcze przez chwilę tliła się w korytarzu, błędąc po każdym milknącym w oddali kroku. Kiedy zgasła, mrok otulił księcia łagodnie jak sen.

Szarpnął się kilka razy całym ciałem, choć wiedział, że to nic nie pomoże. Sznurka starczyło Rozpruwaczowi tylko na związanie rąk, więc nogi spętał mu jego własnym pasem. Na koniec przytroczył go jeszcze do podpory jakimś starym zardzewiałym łańcuchem, który wygrzebał zza skrzyń. Książę słyszał kiedyś, że jeńcy z niektórych pogańskich plemion umieli się zabić, polykając język. Spróbował, ale nic z tego nie wyszło, tylko się niepotrzebnie oślinił. Mógł jedynie czekać i nie rozmyślać za wiele o tym, co będzie.

Łańcuch gniótł go pod zębami, a wykręcone na plecy ręce bolały coraz mocniej. Oparł głowę o podporę. Spróbował obliczyć, ile ona może mieć teraz lat. Zdziwił się, kiedy za drugim razem wyszło mu tak samo. Musiała być tylko trochę młodsza od Sławki, a on wciąż nieświadomie myślał o niej jak o dziecku. Skrzywił się gorzko. Wiele rzeczy mu się w życiu nie udało, ale córki szczególnie.

Gdzieś w oddali usłyszał cichy szelest. Wiedział, że gdyby tylko chciała, umiałaby go podejść jak ryś. Przegrzyłaby mu gardło, zanim zdążyłby poczuć prawdziwy strach. To była jego ostatnia, prawdziwa nadzieja. Prysła, kiedy szelest się powtórzył. To nie mogły być szczury, jeszcze było za wcześnie. Pojawia się, kiedy całkiem wywie-trzeje woń dymu z pochodni.

Znowu długo było cicho, jakby ktoś stał u wejścia do bocznej odnogi korytarza i węszył w mroku. Na tyle długo, że księciu zdążył uspokoić się oddech. Przeciąg od skrzaciej dziury muskał jego rozpalone czoło. Chciał poru-szyć cierpiącymi nogami, ale już tego nie zrobił.

Ciemność wypełniła się odgłosem kroków.

Brzmiały dziwnie, nierówno, jakby korytarzem zbliżał się ktoś pijany albo ranny. Kimkolwiek był, szedł bez po-spiechu, zatrzymując się co jakiś czas. Każde szurnięcie stopy wyrывało się z ciasnej gardzieli i jeszcze przez jakiś czas tknęło się pod sklepieniem skarbcu, zanim umilkło. Za każdym razem, kiedy księciu wydawało się, że zaraz poczuje na szyi ciepło oddechu, po męczącej chwili ciszy kroki odzywały się znowu. Niemal wyczuwał lekkie drze-nie ziemi. Powietrze zgęstniało jak przed burzą. Jęknął, pochylił się do przodu i z rozmachem uderzył tyłem głowy w podporę. Chyba rozciął skórę, ale nie stracił przyto-mności. Chciał spróbować znowu. Nie mógł zapanować nad drżącymi mięśniami brzucha i bezradnie zwiesił głowę.

Uświadomił sobie, że od dłuższego czasu trwa cisza. Zrozumiał, że już nie jest w skarbcu sam. Powoli podniósł głowę, jakby spodziewał się dostrzec w ciemności błysk oczu.

– Nie trzeba... – powiedział do czarnej pustki. – Ja je-stem... Możesz mieć więcej niż moje mięso. Słońce. Wol-ność. Co zechcesz.

Mrok był cichy i nieruchomy, ale księciu się zdawało, że wyczuwa ciepło czyjegoś ciała. Przemknęło mu przez myśl, że ona też nie może go zobaczyć i będzie musiała najpierw poszukać palcami jego gardła. Przelknął głośno ślinę, aż wzbudził pogłos.

– Słuchaj! Nie wiem, co ci nagadała twoja matka, ale

to wszystko było nie tak... Powiem ci. Na pewno chciała, byś się wszystkiego dowiedzieć.

Wyciągnął szyję i poczuł jej tchnienie na skroni. Zesztywniał. Kiedy zrozumiał, że to tylko przeciąg, zamiast ulgi ogarnęła go złość. Poruszył barkami i poczuł, że koszulę ma moką, jakby ktoś wylał mu na plecy wiadro wody.

- Zabij, poczwaro, albo wracaj do swojej nory! - wrzasnął nagle jak pomylenie.

Odstłonił zęby, gotów odgryźć palec, który go dotknie. Wiedział, że właśnie rozpętało się w nim szaleństwo, ale wcale nie chciał go okiełznywać. Rzucił mu na zęby całą swoją rozpacz i strach.

- Gdybym nawet nie wiedziała, że to ty, poznałabym cię po twoim przepitym chuchu. Nie wrzeszcz, bo jeszcze jakaś biedna szuczryca poroni ze strachu.

Najpierw zobaczył kulkę zielonego światła. Zawisła w mroku. Rozproszyła ciemność łagodnie, upychając jej resztki po kątach i pod sklepieniem, ale wcale nie raziła odzwyczajonych od światła źrenic. Zdawało się, że wydziela mile ciepło, które rozluźnia mięśnie i łagodzi ból.

- Ty nie jesteś... Nie jesteś nią. - Czuł, jak światło zmywa z niego trwogę.

Przy wejściu do skarbcza stała stara kobieta, jej garbaty cień rozlał się na połowie ściany. Patrzyła na księcia spokojnie, chociaż głowa jej się trzęsała, a siwe kłaki rozpuszczonych włosów opadały na oczy.

- Zatuujesz?

- Rozwiąż mnie! - Nagle zaczął mówić szybko, jakby się obawiał, że zjawa zniknie. - Nie wiadomo, jak długo twój patyk będzie świecił!

- Będzie świecił tak długo, jak mu każę.

Oparł się z powrotem o podporę. Musiał być spokojny. Nie wolno mu było podnosić głosu, choćby miał się zadławić swoją niecierpliwością. Starucha wyglądała na lekko pomyloną, ale na pewno była człowiekiem z krwi i kości. Mogła mu pomóc, jeśli tylko uda mu się ją obłaskawić.

- Kto cię tu wpuścił, babciu? - Miał nadzieję, że jego głos brzmi przyjaźnie. - Przecież zostawiłem na górze straż.

- Twoją straż właśnie bałamuci Rozpruwacz. Opowiada im takie rzeczy, że oglądają się na dziurę, jakby zaraz miał stamtąd wstawić łeb sam Lucyfer. Na pewno nie zjedzą tutaj wcześniej niż za kilka dni.

- Starosta! - Książę znowu krzyczał. - Kazalem rozwiązać starostę, gdybym nie wrócił!

Starucha roześmiała się skrzekliwie, a wtedy z chwającego się czubka kija osypał się świecący pył.

- Jesteś dość naiwny jak na księcia. Starosta siedzi teraz w jakiejś piwnicy z workiem na głowie i smrodzi ze strachu. Można go zamknąć, kiedy tylko się dowiedzieli, że cię nie ma. Tam na górze już zaczęła się kotłownina o twoją koronę, a droga do korony wiedzie przez łóżko księżniczki. Każdy wie, że starosta i ona...

- Milcz, wrono! - Targnął się i zaraz oklapł. - Czy przysłaś tu po to, żeby mnie dręczyć?

Podeszła bliżej, odsuwając kijem na bok większe kamienie.

- Przyszedłem, żeby zawrzeć z tobą pewien układ.

- Nie licz na to, że cię ozłocę - mruknął. - Właśnie zostałem najuboższym władcą w tej części świata.

- Jestem wiedźmą. Gdybym pragnęła bogactwa, moje kwoki niosłyby złote jajka.

Przyjrzał się spod oka jej pomarszczonej twarzy. Wzburzyła zaufanie, ale w jego położeniu nawet strzyga wyglądałaby poczciwie, gdyby tylko chciała mu pomóc. Nie miał wyboru, musiał jej wierzyć.

- Chyba mi o tobie coś niecoś mówiono. Nazywasz się Lubicha, prawda? - Ze zmarszczonym czołem próbował przypomnieć sobie coś więcej, ale pamiętał tylko, że ośmieliła się nie stawić na jego wezwanie. - Czego ode mnie chcesz?

- Drobiazg. Ocalisz świat od zagłady i rozejdziemy się w swoje strony.

- Zatuowane - powiedział szybko. - Uwolnij mnie.

Podeszła jeszcze bliżej, postawiła swój kijek koło jego stopy. Była taka mała, pokurczona i zgięta, że książę nie musiał podnosić głowy, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. Nie spodziewał się, że zobaczy w nich tylko chłodny namysł. Drgnęły mu brwi.

– Stoisz, synku, przed najważniejszym wyborem w swoim życiu, więc nie kpij. Drugi raz mnie nie zobaczysz, choćbyś przetrząsnął całe księstwo. Ten układ można zawrzeć tylko tu i teraz.

Czuł każde ogniwo wznajające się w skórę łańcucha, ale oddychało mu się coraz lżej. Nie bał się już wiedźmy i nie czuł do niej niechęci, chociaż rozmawiała z nim jak z pomocnikiem stajennego. Dobrze było patrzeć w jej zasuszoną twarz. Nawet jej oddech nie cuchnął, jak u innych starych ludzi, miał lekki zapach dojrzewającego we wrześnieowym słońcu sadu.

– A jeśli odmówię?

– Rozwiążę cię i wrócisz tam, skąd przyszedłeś. Będziesz mógł w spokoju powywieszać wszystkich, którzy cię tu żywcem pogrzebali.

Dopiero teraz zaczynał słuchać jej naprawdę. Jeszcze nigdy nikt nie mówił do niego w ten sposób. Zdawało mu się, że wiedźma wie o nim więcej, niż on sam.

– To brzmi całkiem dobrze – przyznał ostrożnie. – Ale co mi z tego przyjdzie, jeśli twierdzisz, że nadciąga jakaś zagłada?

– Nadciąga, ale nie przejmuj się tym. Nawet jej nie zauważysz.

– Jak to?

– Będziesz pijany.

Zaschło mu w gardle. Poczul się tak, jakby siedział przed nią goły.

– A przy tobie przestanę chlać? Zamkniesz mnie między mnichami czy jak?

Pokręciła głową, ale jej źrenice nie poruszyły się nawet o włos.

– Przy mnie nie będziesz miał czasu na głupoty. Ale nie o to chodzi. – Kostki jej zaciśniętej na kijek pięści wypukliły się mocniej. – Mogę cię ocalić przed twoim sumieniem.

– Moje sumienie jest bardzo paskudne, zwłaszcza na trzeźwo. – Chciał się uśmiechnąć, ale tylko nieznacznie poruszył kącikami ust.

– Bo źle się z nim obchodzisz. Pozwól mu działać.

Podciągnął się trochę wyżej. Łańcuch odcisnął mu na koszuli rdzawe koła. Nie mógł pozbyć się uczucia gorzkiego zawodu.

– To mógłby mi powiedzieć każdy odważniejszy klecha. Gadanie dobre dla hreczkosiejów, ale ja... Nie wiesz wszystkiego o moim życiu.

– Wiem więcej, niż ci się zdaje. Wiem, że kiedyś byłeś inny. Miałeś szacunek u ludzi i miłość żony.

– Nie mów o niej! – Wyszczrzył w złości zęby, jakby chciał ugryźć. – Nie wtrącaj się do czegoś, czego nigdy nie zrozumiesz!

– Nie wrzeszcz. Miałeś prawo zrobić to, co zrobiłeś. Musiałeś ją tutaj zamknąć.

– Byli tacy, którzy mi radzili, żebym ją spalił na stosie. – Książę beznadziejnie osunął się w więzach. – Wiele razy potem żałowałem, że tego nie zrobiłem.

– Litość nie jest słabością. Ocaliłeś dziecko, które nie było niczemu winne.

– Wiem, ale... – westchnął głęboko i przez jakiś czas przytrzymał w płucach powietrze. – Teraz to nieważne. Nic już nie da się naprawić.

– Nie mogę rozliczyć się za ciebie z twoimi własnymi podłościami, ale mogę ci pomóc zrobić pierwszy krok. Ten najtrudniejszy. Chcesz?

Nagle zrobiło mu się duszno. Wystawił twarz na przeciąg, ale prawie nie poczuł ulgi. Nie chciał dłużej patrzeć jej w oczy. Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać, czy jej słowa naprawdę znaczą to, o czym myślał.

– Chcę.

Odsuwała się na bok bardzo powoli, postępując i objając mu kijem stopy. Stchórzył, zanim przebrzmiała jego zgoda. Miał pochyloną głowę i kark sztywny jak z kamienia. Nie podniósłby go, gdyby wiedźma nie dotknęła świecącym końcem kija jego czoła.

Wyprostował się i spojrzal na wejście.

– E... – Przez chwilę ziemia chwiała się pod nim jak tratwa na wodzie. – Aleś wyrosła, córeczko.

Urządzili się całkiem znosnie. Wryli się w zbocze, obwąlowali od wiatru i czekali. Nie wiedzieli, na co, ale byli pewni, że to się w końcu zdarzy. Musi się zdarzyć, może już całkiem niedługo.

– To jest jak czekanie na Zbawiciela. Panie, przebac mi! – Mnich Cyryl przezeźwał się szybko, patrząc ukradkiem w górę, na mgłę. – Każdy wie, że nadejdzie, ale nikt nie wie, kiedy i jak.

Cyryl nie był jeszcze stary. Pierwsze kosmyki siwizny dopiero zaczynały pokazywać mu się na skroniach. Dużo się uśmiechał, a wtedy kąciki jego szerokich ust wydawały się podchodzić aż pod uszy. Ćmieluska polubiła go od samego początku. Za pierwszym razem, kiedy ją związali, był jedynym, który umiał wytrzymać jej krzyki. Nie przestraszył się, kiedy kwiczała jak wleczone pod nóż prosię, nie przepłoszyły go jej plugawe wyzwiska. Za drugim razem usiadł przy niej. Położył suchą dłoń na jej czole i trwał razem z nią, póki daleki śpiew się nie urwał.

– Cierpliwość to mnisza cnota. – Wyciągnęła wygodnie nogi, opierając się na łokciach. – Ale tamtych nie rozumiem. Siedzą jak kurczaki w kurniku, kiedy lisek już może węszyć pod plotem.

Cyryl usiadł koło niej, zaplatając długie palce na kolanach. Jego habit miał tyle lat, że trudno było zgadnąć, czy na początku był biały, czy czarny.

– Czemu się dziwisz? Dla wielu z nich to jest zmiana na lepsze po tym, co zostawili na górze. – Podniósł dłoń i zaczął wyliczać na palcach: – Nie cierpią głodu, bo jedzenia mają więcej, niż mogą upchać w brzuchach. Nie marzną, bo tutaj jest ciepłutko jak pod pierzyną. Ubrania noszą chyba tylko z przyzwyczajenia. Nie potrzebują bać się ciemności, bo tutaj nigdy nie gąśnie ten łagodny, niebieski zmierzch. No i chuć ich nie rozpiera.

Ćmieluska odchyliła głowę do tyłu i zapatrzyła się w mgłę. Wiedziała, że gdzieś tam wysoko sinobiałe kłęby mieszają się z otuliną chmur, a jeszcze wyżej jest tylko skała.

– Mówisz, jakbyś nie był jednym z nich.

Nie chciała, żeby to zabrzmiało jak drwina. Zmarszczy-

ła nos, szukając odpowiednich słów, ale Cyryl machnął ręką.

– Prawda. Za dużo się mądrzę. Ale gdybym miał same cnoty, zanudziłbym sobą Pana Boga na śmierć. – Nakreślił kciukiem mały krzyżyk na piersi. – Panie, przebac mi.

Uśmiechnęła się. Tak naprawdę wiedziała, że Cyryl jest inny niż reszta. On i sołtys, każdy na swój własny sposób.

– Możesz się dalej mądrzyć, mnie to nie przeszkadza. Tam, gdzie się wychowałam, nie zaglądali mnisi. Bardzo mało wiem o Panu Bogu.

Nie podniósł oczu, przyglądził ręką jakąś odpruwającą się łate.

– A jednak tutaj to ty jesteś najmądrzejsza z nas wszystkich.

Nie była zaskoczona. Wiedziała, że jeśli ktoś może domyślić się prawdy, to właśnie on. Sołtys był na to zbyt dumny, a całą resztę obchodziło już bardzo niewiele rzeczy.

– Przeceniasz mnie. – Podciągnęła nogi i chuchnęła na swoje poobijane kolana. – Dlaczego miałabym wiedzieć więcej od was?

– Może dlatego, że tylko ty jesteś tutaj z własnej woli. Parsknęła głośno i podsunęła mu pod oczy swoje nadgarstki, na których siniąły pręgi po rzemieniach.

– Sam widziałeś, gdzie kończy się moja wola.

– Widziałem – zgodził się spokojnie. – Ktoś cię urzekł. Znam się na tym, odczyliłem w życiu setki uroków. Ale ważniejsze jest co innego. Ona wcale cię tutaj nie weszwała, jak nas.

Tego się nie spodziewała. Wiedziała, że Cyryl na nią patrzy, chociaż teraz to ona opuściła wzrok. Musiała się najpierw upewnić, że go dobrze rozumiała.

– Ona? – zapytała krótko, żeby nie zdradzał jej głos.

– Ona. Matula.

Rzuciła szybkie spojrzenie na ludzi. Chyba niczego nie dostłyszeli, a nawet jeśli dobiegały ich jakieś strzępy rozmowy, nic ich to nie obchodziło. Dwóch krępych kmied

o grubych twarzach i małych oczkach spierało się o coś leniwie, ktoś nucił pod nosem jakąś głupią przyspiewkę. Sołtysa nie było, jeszcze nie wrócił ze swojej codziennej włóczędzy.

– Skąd o niej wiesz?

– Żeby dostać taki ładny habit jak mój, najpierw trzeba nauczyć się czytać. – Przyglądził kolejną łąkę. – A ja przeczytałem wszystkie księgi, jakie mają w tym zatechłym grodzie, o którym zapomnieli wszyscy święci. Panie, przebac mi!

Otworzyła ze zdumienia usta, przestała zważać na ludzi.

– Czy to znaczy, że w Grodzisku wszyscy wiedzą o Matuli?

– Nie, wszyscy nie. Ale biskup wie na pewno, książę też, może jeszcze paru wielmożów. Uważają te opowieści za stare pogańskie wymysły. Ja też tak myślałem. – Uśmiechnął się, ale bliżej niż zwykle. – Dopóki pewnego dnia na polnej drodze nie rozstąpiła się pode mną ziemia, a dżdżownica wielka jak koń uczepiła się poly mego habitu.

Ćmieluska wstała. Wiatr, który nie rozganiał mgły, przetoczył się nad wykopem.

– Czego ode mnie chcesz?

– Prawdy.

– Po co ci prawda? Nie już nie poradzisz na to, co ma się stać.

Podniósł się ciężko, jakby nagle zniedołężniał. Położył dłonie na jej ramionach.

– Powiedz, będzie ci lżej.

Gdyby dostrzegła w jego oczach odcień strachu, skłamałaby. Ale Cyryl wciąż patrzył na nią z uważnym, skupionym spokojem. Poddawała się, choć miała jeszcze siły, żeby walczyć.

– Ona się odradza – wyrzucała z siebie urywane, bezdźwięczne słowa. – Budzi się. A kiedy otworzy oczy, będzie potrzebowała pokarmu. Dużo pokarmu.

Jego twarz była całkiem nieruchoma, tylko zaciśnięte usta szybko zmieniały barwę.

– Nas?

– Was. To znaczy waszej siły. Męskiej siły. Jurności. Chuci.

Powoli, głęboko odetchnął, potem jeszcze raz. Skinął powiekami, jakby chciał dodać jej odwagi.

– Teraz rozumiem, dlaczego nas oszczędza. Jest tak, jak mówiłaś. – Kąciki jego ust drgnęły. – Kurczaki się tuczy. A potem do gara.

Ktoś krzyknął, ludzie bez pośpiechu wstawali ze swoich miejsc. Nad wałem pokazała się głowa sołtysa, w chwilę potem przrzucił do środka obie nogi. Jedną ręką przytrzymywał na barkach jakieś duże zwierzę, w drugiej ścisnął łuk. Kiedy Ćmieluska przeniosła wzrok na twarz mnicha, w jej oczach szklily się łzy.

– Nic mu nie mów – szepnęła.

Cyryl mocniej zacisnął palce na jej ramionach, aż poczuła ból.

– A ty? – szepnęła cicho, ale jej się zdawało, że jego słowa grzmiały od wału do wału. – Co z tobą?

Obawiała się, że złamie jej obojczyki, ale nie wyrwała się. Sołtys jeszcze ich nie widział, złaził tyłem, ciągnąc za sobą zdobycz.

– Nic mu nie mów – powtórzyła.

Brazowe oczy Cyryla wydawały się jednocześnie dalekie i bliskie. Zarzył się w nich chłodny namysł.

– Matula sama nie może tego zrobić, prawda? – Przyciągnął ją bliżej, mówił jej teraz prosto w twarz. – Po to tu jesteś. Bez ciebie sobie nie poradzi. Masz być jej kapłanką, tak? Kiedy nadejdzie czas, wezwiesz ją, a potem złożysz nas w ofierze.

Już go nie widziała, rozmasał się we łzach. Zachwiała się, kiedy ją puścił. Słyszała, jak sołtys zwała swój ciężar na ziemię koło ognia, potem jego zbliżające się kroki. Nie wiedziała, czy uda jej się wydobyć głos, ale miała nadzieję, że Cyryl patrzy na jej usta.

– Jeśli mu powiesz, on mnie zabije.

Kroki zamilkły. W ciszy, jaka zapadła, Ćmieluska wyraźnie słyszała, jak sołtys drapie się po zarosciu.

– Stało się coś? – Zmieniony ton jego głosu na pewno

oznaczał podejrzliwość. Cyryl zaszurał nogami, zaszleścił habit.

– Nic, o czym powinieneś wiedzieć.

– Powinieneś wiedzieć o wszystkim. O tym, o czym rozmawialiście, też.

Oczy Ćmieluski już wyschły, ale bała się podnieść wzrok. Widziała jedną stopę sołtysa i oparty koło niej łuk.

– Jestem mnichem – głos Cyryła stwardniał. – Może to dla ciebie nic nie znaczy, ale ja mam obowiązek dotrzymać tajemnicy.

– Tutaj nie ma tajemnic, mędrku! – Łuk zniknął z zasięgu wzroku Ćmieluski, zaskrzypiała cięciwa. – Gadaj.

– To była spowiedź.

Sołtys splunął, zaraz potem jego łuk znowu stuknął o ziemię koło nogi.

– To musiała być bardzo długa spowiedź. – Jeszcze raz strzyknął śliną przez zęby, zanim odszedł.

Czekała, czy Cyryl jeszcze coś powie. Dotknął kciukiem jej czoła, nakreślił krzyżyk i mruknął cicho:

– Panie, przebac mi.

•

Bardzo długo był spokój.

Czas mijal powoli, od snu do snu i od jedzenia do jedzenia. Nie działo się nic, co mogłoby rozproszyć ospałość ludzi i bezruch mgły. Sołtys zniknął od czasu do czasu za wałem, nie tłumacząc się przed nikim ani nie opowiadając po powrocie, gdzie był i co widział. Zawsze przywlekał ze sobą coś do jedzenia, a wtedy ludzie ospale gromadzili się przy wypalonych ogniskach. Łamali na podpałkę jakieś wyschnięte badyły, a Ćmieluszcze każdy trzask przypominał łamanie kości. Sołtys zwykle sam oprawiał zwierzę, zresztą nikt nie pchał się, żeby mu zaglądać przez ramię. Ćmieluska parę razy coś tam widziała – jakieś długie żabie nóżki z błoną między palcami, rogaty łeb z wypukłymi guzami ślepi. Nie koryciło jej, żeby przyjrzeć się lepiej. Mięso smakowało jak mięso i to było najważniejsze.

Chłonęła w siebie spokój, sytość i ciepło. Dużo spała,

a kiedy się budziła, po prostu siadała pod wałem i patrzyła – na człowieka, na płomień albo na chwiejący się na wietrze krzew. Czula, że szybko upodabnia się do innych, ale nie martwiło jej to. Rozumiała ich, rozumiała coraz lepiej. Nauczyła się od nich rozkoszować samym trwaniem, nauczyła się mało myśleć i dużo jeść. Kiedyś, dawniej, nuda miotałaby nią od wału do wału, ale teraz było inaczej. Nie pociągało ją nic, co wymagało wysiłku.

Prawie nie rozmawiała z ludźmi, a i oni coraz rzadziej rzucali na nią ukradkowe spojrzenia. Im więcej czasu upływało od chwili, kiedy po raz pierwszy rzuciła się na ziemię z pianą na wargach, spętana jak prosię, tym mniej ich ciekawiła. Wraśćała tu.

Cyryl trzymał się na uboczu, patrząc spod oka na twarze ludzi i szepcząc swoje pacierze. Ćmieluska nie lubiła, kiedy jego wzrok zatrzymywał się na niej. Za każdym razem kłuło ją jakieś nieokreślone poczucie winy, którego nie umiała się pozbyć. Pieкло ją jeszcze długo potem, kiedy mnich już odwrócił oczy. Czula, że coś zaniedbała, ale nie chciała sobie przypominać, co. Było dobrze, tu i teraz. We mgle.

Koniec przyszedł nagle. Gdyby od czasu do czasu rozmawiała z ludźmi, zauważyłaby wcześniej w ich oczach niepokój. Na długo przedtem, zanim poczuła na twarzy pierwszą kroplę deszczu. Była wielka, ciężka i prawie czarna. Spływając pozostawiała po sobie na skórze brudny ślad. Kiedy zakotyssała się na końcu nosa, Ćmieluska odruchowo złapała ją na język. Poczuła gorzki smak sadzy, otrząsnęła się i rozejrzała wokół siebie.

Ludzie stali z zadartymi głowami, patrząc, jak przybiegający na sile deszcz szarpie mgłę. Chwilami, kiedy pod naporem wiatru ulewa chłostata z ukosa, zasłona rozdierała się i było widać brudne brzuszyśka chmur. Miękką ziemią szybko zamieniła się w maź, jakby ktoś chlusnął wodą na popielisko.

– Mogliście tu sklecić chociaż jakiś daszek! – Ćmieluska poczłapała w błocie do sołtysa. – Jeszcze trochę po pada, a zamiast wykopu będzie staw.

– To nigdy długo nie trwa. – Zrobił krótką przerwę,

żeby otrzeć zgiętym ramieniem mokrą twarz, a w tym czasie ulewa urwała się tak nagle, jakby skończyła się woda w cębrze. – Znowu robale naruszyły jakąś podziemną strugę.

Ćmieluska patrzyła, jak nad jej głową szczerze zwierrają się opary, i wcale nie była pewna, czy odczuwa ulgę, czy żal.

– Dziwnie pomyśleć, że to woda studzienna leje się na łeb.

– Póki leje się woda, nie ma na co narzekać. Czasem kruszy się skała i wtedy wała się z góry kamienie wielkie jak ludzka głowa. Jeszcze nikogo nie zabiły, ale w końcu to się musi zdarzyć. – Soltys pokazał jej odłamek skalny wbity do połowy w wał. – A może prędzej sklepienie nie wytrzyma i pogrzebie nas razem z tym całym przeklętym zwierzyńcem.

Ćmieluska przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę między jednym a drugim uderzeniem wiatru. Zdawało jej się, że z daleka dochodzi głucho dudnienie, jak grzmot zamierzającej burzy.

– Myślisz, że mogłoby się zawalić? Musi być bardzo grube, jeśli przykrywa taką wielką kotlinę.

– Ale za to dziurawe, jak ściana stodoly przeżarta przez korniki. A robale wciąż ryją, nie przestają ani na chwilę. Przy każdym polowaniu znajdują na stoku nowe dziury. Kiedyś to musi runąć. Zapadnie się razem z grodem, podgroziem, najbliższymi wioskami i kawałem lasu. Może jutro, a może za pięć lat, ale runie na pewno.

Gorący wiatr bardzo szybko osuszał płytkie kałuże. Ludzie rozgrzebywali patykami paleniska, szukając niewygasłego żaru. Ćmieluska przygarbiła się, jakby już teraz poczuła na barkach ciężar, który nad nią wisiał.

– To znaczy, że nie ma ratunku?

Soltys przyjrzał się jej uważnie, jakby spodziewał się odnaleźć na jej twarzy coś, co próbowała ukryć.

– Tego nie powiedziałem. Zawsze jest jakiś ratunek dla tych, którzy naprawdę go chcą. Ja chcę. A ty?

Nie podobał jej się sposób, w jaki do niej mówił. Jego oczy były zimne i nieruchome jak u ryby. Obejrzała się za

Cyrylem, ale nie mogła go dostrzec wśród gromady krzątających się ludzi.

– Zostaw ich. – Soltys wskazującym palcem podniósł jej podbródek. – Oni chwalać sobie to, co mają. Umrą szczęśliwi. Ja pytam ciebie, bo wiem, że nie brakuje ci odwagi.

Nagle zrozumiała, że on zna prawdę. Poznała to po sposobie, w jaki zaciskał szczęki, po jego nastroszonych brwiach i poczerwiałych bliznach. Znal ją cały czas, może nawet wcześniej, niż ona sama. Wiedział o wszystkim, kiedy ją znalazł we mgle, a pomimo to nie pozwolił jej umrzeć.

– Czego ode mnie chcesz? – wyszeptwała.

– Dostyc tego nieróbstwa, już nabrałaś wystarczająco dużo sił. Teraz zrobisz to, po co tutaj przybyłaś.

Zdawało jej się, że zrobiła się wiotka i lekka jak puch. Tylko palec soltysa pod brodą nie pozwalał jej upaść. Słyszala swój własny głos, który niespodziewanie zabrzmiał czysto i spokojnie.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Wiem. Miałem czas, żeby to sobie dobrze przemyśleć. Nie ma innego sposobu.

– Nie możesz... Nie mogę! – Im dłużej patrzyła w jego źrenice, tym bardziej była pewna, że oszalał. – To byłoby gorsze niż koniec świata.

– Przesadzasz. – Zanim cofnął rękę, poklepał ją otwartą dłońią po policzku. – To będzie co najwyżej koniec dla pewnego szubrawego księcia, jego dworu, jego wojów, jego sług, jego nałożnic i jego psów. A brak tego wszystkiego światu wcale nie zaszkodzi.

– Nie rozumiesz! Nic nie rozumiesz! – Cały czas kręciła głową, jakby nie mogła przestać. – Jeśli Matula raz się przebudzi, nikt nie będzie umiał jej zatrzymać. Te krzaczki z kopytkami i śpiewające krowy to tylko początek. Na razie płodzi te dziwactwa mimochodem, przez sen. Kiedy odzyska świadomość, ogarnie wszystko i przerobi po swojemu!

– Tak by było – lekko wzruszył ramionami – gdyby mogła robić to, co chce. Ale my jej na to nie pozwolimy.

Zaprzęgniemy jej siłę, żeby się stąd wydostać, chociaż nie damy jej wolnej woli.

– Jej nie można ujarzmić, nie będzie słuchała niczych rozkazów!

– Też tak myślałem. Ale tylko do czasu, kiedy zobaczyłem, jak radzisz sobie z larwami anielichy, używając mocy Matuli. – Jego blizny coraz mocniej odcinały się od poszarzałej twarzy.

Ćmieluska zauważyła, że któryś z brodatych oberwańców przysłuchuje się ich rozmowie, leniwie dębując w nosie. Chyba bardziej ciekawiły go ich krzyki i wymachiwanie rękami niż same słowa, ale Ćmieluska odetchnęła głębiej i przyciszyła głos.

– To tak, jakbym chwyciła śpiącego niedźwiedzia za łapę i przejechała ci jego pazurami przez gębę. Mogłabym to zrobić, może nawet przez chwilę chełpiłabym się swoją siłą. Ale tylko do czasu, kiedy niedźwiedź otworzyłby ślepią.

Sołtys uśmiechnął się jakoś dziwnie. Ćmieluska miała ochotę chwycić w obie pięści rudawe kłaki jego brody i wyrwać ich tyle, ile się uda. Ale nie zrobiła tego. W jego uśmiechu dostrzegła coś, czego przedtem nie było, i przerażała się.

On rozumiał. Rozumiał wszystko, od samego początku – i nadal chciał to zrobić.

– Nie próbuj mnie przestraszyć, dziecko. Siedzę w gawrze tego niedźwiedzia o wiele dłużej niż ty i zdążyłem się już nawet przyzwyczaić do tego, jak posapuje przez sen. – Wiatr przerzucił jego postrzępioną grzywkę z jednej strony czoła na drugą. – Wiem, że gawra kiedyś zwał mi się na kark. Więc wolę się zawczasu przygotować. Tylko wtedy mogę spróbować ucieczki.

– Nie uda ci się. – Jeszcze mocniej przygarbiła plecy.

– Całkiem możliwe. Ale do stracenia mam tylko życie.

– Zatoczył ręką, jakby chciał jednocześnie pokazać ludzi, wał i mgłę. – Takie życie. A do zyskania zemstę.

Ćmieluska drgnęła, jej oczy błysnęły zza włosów. – Spotkałam niedawno kogoś równie szalonego jak ty. To była młoda dziewczyna, ale dorównywała ci uporem. Muszę was kiedyś poznać, byłbyś zachwycony.

– Drzę z niecierpliwości, ale będziemy musieli odłożyć to na lepsze czasy. Jeśli tylko przedtem sprawisz się dobrze.

Poczuła zmęczenie. Od bardzo dawna nie robiła nic innego poza spaniem i jedzeniem, a pomimo to trudno jej było wykrzesać siły, żeby pokręcić głową. Słyszała każde słowo sołtysa i dziwiła się, jak bardzo jest jej obojętne to, co mówi. Chciała tylko położyć się na gołej ziemi, odwrócić plecami do nich wszystkich i zasnąć.

– Nie możesz mnie do tego zmusić.

– Nie mogę. I nie będę. Po prostu cię nie zwiążę, kiedy Matula znowu zaśpiewa.

Poderwała brodę, jakby ktoś uderzył ją w podbródek.

– Ale... Nie wolno ci... – Gorączkowo szukała w głowie słów, którymi mogłaby się jeszcze przez chwilę osłonić. – Cyryl mnie zwiąże.

– Ja mam łuk, a on ma różaniec. – Sołtys wzruszył ramionami, bez pogardy i bez złości. – Przestań się miotać, dziewczyno. Pójdziesz. Lepiej zacznij myśleć o tym, co masz do zrobienia. O ile wiem, obudzenie Matuli nie powinno być dla ciebie trudne. A potem będziesz mogła pokazać, co umiesz. Musisz odwrócić jej uwagę od nas... – Wśród kmieci ktoś czknał, ktoś inny uderzył czkającego pięścią w plecy. – Ode mnie. Nie na długo, na tyle, żebym mógł uciec.

Powoli, niemal wbrew sobie znowu zaczęła skupiać myśli na tym, co mówił. Obok innych uczuć, które ją przytłaczały, zakiełkowało wątle zaciekawienie.

– Jak mam to zrobić?

– Tak, jak mnie wyleczyłaś. Za pomocą wisiorka.

Patrzyła na jego wargi, próbując odgadnąć słowa, zanim jeszcze padły.

– Mówiłeś, że go nie odnalazłeś.

– Nie. Ale wiem, gdzie jest.

Zbyt łatwo uwierzyła, że uda jej się schować, przycupnąć w ukryciu i przeczekać najgorsze. Myślała, że jeszcze wszystko jakoś się ułoży, byle tylko dobrze ją uwiąza-

li, kiedy słyszała śpiew. To był błąd. Teraz, kiedy potrzebowała wszelkich swoich sił, trudno było je wykrzesać. Wszystkie rany i zadrapania się zagoiły, była wypoczęta i najedzona, a pomimo to nie miała w sobie więcej życia, niż rozlałe babsko. Nawet nienawiść do sołtysa nie rozgrzała jej na tyle, na ile powinna. Rozumiała, że gdyby sołtys nie zmusił jej do tego teraz, ta chwila i tak by nadeszła. Zew, który niósł ze sobą wiatr, był coraz silniejszy. W końcu śpiew uwiódłby ją i wtedy nie powstrzymałyby jej żadne więzy.

Obejrzała się z grzbietu wahu na Cyryla. Stał wśród ludzi, ale z łatwością odnalazła jego spojrzenie. Było w nim napięcie i chyba odrobina żalu. Nie pomachała mu ręką, ale uśmiechnęła się blade. Miała nadzieję, że to zobaczył. Potem odwróciła się i zbiegła za sołtysem, bo jego plecy już zniknęły we mgle.

W dół zbocza nie prowadziła żadna ścieżka. Robaki udające trawę były tutaj większe, niektóre z nich sięgały Ćmieluszcze powyżej kolan. Zdawało się, że wyczuwają drgania ziemi pod krokami i chwieją się nawet wtedy, gdy nie wieje wiatr. Kopytne krzewy wyrastały wielkie i rozłożyste, a ich grube jak udo gałęzie zginęły się w stawach, kiedy przechodzili w pobliżu.

– Ostrożnie! – burknął sołtys, kiedy chciała przyjrzeć się im lepiej. – Jedno kopnięcie w głowę wgniecie ci czaszkę. I uważaj na kamienie.

Z tej strony mgła nie urywała się nagle, jak na górze, ale powoli stawała się coraz bardziej przejrzysta. Wzrok sięgał o wiele dalej. Wysoko w górze wisiał kożuch nieruchomych oparów, a pod nim, w błękitnej, pustej przestrzeni śmigały w różnych kierunkach czarne kropeczki. Niektóre wznosiły się i opadały szarpanym motylim lotem, inne szybowały pod samymi chmurami, zataczając wielkie kręgi. Całkiem nisko, prosto przed nimi wisiała nad stokiem kula, wielka jak ludzka głowa. Była ciemna, nakrapiana żółtymi plamami, a z obu jej stron błyszczały niby kawałki tęczy dwa łuki migających skrzydełek. Powietrze drgało jednostajnym buczeniem, jakby kiszki burczały w jakimś pustym brzuszysku.

Ćmieluska potknęła się o kamień, przebiegła dwa kroki i upadła na kolana.

– Leź!

Nie traciła czasu, żeby spojrzeć na sołtysa, tylko od razu posłuchała jego rozkazu. Rzuciła się na brzuch z ramionami wyciągniętymi przed siebie. Poczula na karku chłodny powiew, kiedy kamień przeleciał tuż nad nią. Uderzył w ziemię kawałek dalej, potoczył się jeszcze trochę i znieruchomiał.

– Mówiłem, żebyś uważała na kamienie. – Sołtys chwycił ją pod łokieć i pomógł jej wstać. – Nie lubią, jak się je potrąca.

Głos miał lekko schrypnięty od wcześniejszego krzyku. Poprawił na plecach łuk, zmarszczył czoło i rozgarnął stopą trawę. Biały, okrągły kamień tkwił do połowy zagrzebany w wilgotnej ziemi. Z jego gładkiej powierzchni wysunęło się kilka ślimaczych wypustek. Na końcu każdej z nich czerwieniło się okrągłe oczko. Ćmieluska dostrzegła w ich spojrzeniu wyraźną pretensję.

– Do dzisiaj mam w plecach dziurę po tym, jak pierwszy raz w coś takiego wlałem. – Sołtys splunął na kamień i wypustki się schowały. – Nie podziwiał widoków, tylko patrz pod nogi.

Cętkowana kula wzniosła się wyżej, jakby spłoszona zamieszaniem, i pobykując odleciała ciężko jak bąk. W ciszę łagodnie wlał się szum wiatru. Zabrzmiął inaczej, głębiej i bardziej przeciągle, jakby gdzieś po drodze powiew przesiewał się przez korony drzew. Ćmieluska zmrużyła oczy, próbując dojrzeć coś w głębi kotliny.

– Idziemy do lasu? – zapytała niepewnie.

– Tak jakby. – Sołtys ruszył w dół. – Jeśli upierasz się, żeby używać nazw, które tutaj niewiele znaczą.

Zanim poszła za nim, przeczekwała powracający z góry wiatr i wsłuchała się w następny, który dał z głębi. Przez chwilę miała dziwne uczucie, że to dyszy ziemia pod jej stopami.

Wklęsnięcie stoku, które ponad górnym zasięgiem mgły ledwo się zarysowywało, tutaj było całkiem wyraźne. W miarę, jak szli, z obu stron coraz wyżej podnosiły

się stromizny, obrośnięte bezbarwną szczecinią robaków. W rozproszonym świetle zbocze wyglądało jak pokryte wodorostami dno morza, nad którym przetaczają się przypływy i odpływy. Schodzili do środka zwężającego się leją, do gorącego jądra, do źródła wiatru, mgły, śpiewu i tego całego rozbuchanego, wykoślawionego życia, które z każdym krokiem gęstniało wokół nich.

Las wchłonał ich łagodnie i niemal niepostrzeżenie. Ćmieluska była zbyt zajęta szukaniem dogodnego zejścia po stromym zboczu, żeby rozglądać się wokół siebie. Widziała, że robaki były teraz grube na dwa palce, a przycmiony błękit ustępuje miejsca półmrokowi. Czekwała na orzeźwiający chłód, jaki zalega w każdej puszczy, ale zamiast tego wiatr parzył coraz większym żarem. Wilgotne, miękkie podłoże dymiło smużkami oparów, które drapały w gardle i skraplały się na rzęsach lśniąca rosą. Coraz trudniej było wyrwać grzęznące w błocie nogi, a jej płytki oddech przeszedł w rżenie.

Zatrzymała się, żeby otrzeć mokrą twarz i zawołać na sołtysa. Podniosła głowę.

Dookoła rozplenila się gęstwina. W miejscu, gdzie stała, sięgała jej powyżej pasa, ale kawałek niżej, gdzie błyszczał mokry nos sołtysa, zbita płatanina lodyg i pni zastaniała chmury. Wilgoć osiadała na liściach i nabrzmiewała trzęsącymi się kroplami, które opadając, napelniały las jednostajnym szmerem, jakby siąpił tutaj nigdy nieprzemijający deszcz.

– Nie stercz tam na widoku! – Głos sołtysa z trudem wyrwał się z gąszczu. – Złaż dalej.

Przedarła się do niego bokiem, opierając się jednym kolaniem o stok, a kiedy las zwarł się nad nią, przytrzymała się zwisających z góry pędów. Grudki ziemi staczały się przed nią, szeleszcząc w poszyciu jak uciekające myszy.

– Doszliśmy?

Ćmieluska drżała z wysiłku. Chciała usiąść i odpocząć, ale krzewy były tu tak wysokie, że straciłaby z oczu twarz sołtysa.

– Prawie. Musimy zaryć się głębiej w las.

Ćmieluska powoli łapała oddech, przed oczami prze-

stały jej migotać czerwone plamki. Oparła się o jakiś pochylony pień i odrzuciła głowę do tyłu, patrząc na błękitne pręciki światła wznające się spomiędzy liści w mrok.

– Przynajmniej nie ma tutaj tych kopiających dziwadet – westchnęła.

– Tamte rosną samotnie, nie lubią tłoku. Są za to inne. Opuściła wypełnione światłem oczy i musiała jakiś czas odczekać, zanim ciemność zszarzała. Długo patrzyła z bliska na gałęzie, a podmuch, który wtargnął między pnie, zamiast ją rozgrzać, otulił plecy chłodem.

Drzewo, o które się opierała, miało korę podobną do łuskowatej skóry węża i małe listki o lekko zawiniętych brzegach, zwieńczone pęczkami włosów, jak uszy rysia.

– Są groźne? – zniżyła głos do szeptu, chociaż wcale nie chciała.

– Różnie. – Uszate listki obróciły się wnętrzem w stronę sołtysa, wszystkie naraz. – Zresztą nie bywam tu tak często, żeby się na wszystkim znać. To drzewo, pod którym stoisz, chyba nie robi nic złego. Poza podsłuchiwaniami. Ale już do tamtej jabłonki lepiej nie podchodzić.

– Której jabłonki? – Zesztywniał jej kark, kiedy listki zastrzygły w jej stronę.

– Tamtej. Zamiast jabłek rodzi główki. Na razie są małe, lyse i mają ślepką zarosniętą błoną, ale kiedy dojrzeją... – Machnęła ręką, jakby odechciało mu się dalej mówić.

– Co? Gadaj, jak zacząłeś!

– Najpierw otwierają oczy, potem wyrastają im zęby i brody. Kiedy widzą, że coś w pobliżu się rusza, pluja jadem i jedna przez drugą wrzeszczą sprośne przekleństwa.

Małe owoce w oddali chwiały się na wietrze. Ćmieluska zamknęła oczy, ale kiedy je otworzyła, jabłonka wciąż tam była.

– Coś jeszcze?

– Pewnie. Mech, który cię oblezie po sam czubek głowy, kiedy tylko postawisz na nim stopę. Huba na pniu, która ci odgryzie palec. Wielkie szerszenie z żądlami jak krowie rogi. Małe bagienka, z wierzchu przysypane ziemią, z których wyskakuje długa łapa, chwytą cię za łydkę i...

- Dosyć.
- Czekaj, dopiero zaczynam!
- Wystarczy.

Uszate listki zmieszały się, przez chwilę każde strzygło w inną stronę. Ćmieluska przyciągnęła do siebie cienką jak wierzbową witką gałązkę, zbliżyła usta do pierwszego z brzegu listka i wyszeptała najplugawsze przekleństwo, jakiego jej przyszło do głowy. Ulżyło jej, ale tylko trochę.

- Czy tutaj w ogóle człowiek może przeżyć?
- Pewnie, że może. Ci, do których idziemy, całkiem dobrze sobie radzą. - Zawahał się, przymknął jedno oko. - Jeśli tylko zgodzimy się, że są ludźmi.

Szelesty i trzaski, które co jakiś czas rozlegały się z różnych stron, nagle przestały być dla Ćmieluski zwyczajnym graniem leśnego wiatru. Nadstawiła uszu równie uważnie jak drzewo, pod którym stała.

- Jak ich znajdziemy?
- W ogóle nie będziemy ich szukać. - Sołtys poprawił na plecach luk. - To oni nas znajdą.

•

Ostatnim śladem życia była trawa. Daleko z tyłu zostały samotne, dziwnie powykęcane drzewa, na których gnieździły się nieliczne ptaki. Jakies zwierzę o szarej sierści, może szczur, a może coś innego, zaszeleściło nagim ogonem i przepało między korzeniami. Dalej nie było już nic. Zrobiło się cicho, nawet komary nie bzyczały, jak zwykle przy wodzie. Dopiero po jakimś czasie, kiedy ten nagły spokój przestał pisać im w uszach, usłyszeli szept bagnisk.

Szkapina zdychała. Leżała na boku, z wyciągniętymi kopytami, i jednym okiem lypała na przepływające po niebie chmury. Odmieniec wiązką trawy ścierał z niej brud i pianę. Za każdym razem, kiedy przerwa między jej oddechami wydłużała się, nieruchomieł pochylony nad półotwartym pyskiem.

- Daj spokój! - Gędek wyciągnął się w trawie kawałek dalej, żując dziką wisienkę. - Musi zdechnąć. Dzwonne, że po czymś takim po prostu nie pękło jej serce.

Odmieniec wiedział, że to prawda. Jeszcze teraz, chociaż minęło już sporo czasu, wciąż miał w uszach szum wiatru i krzywił się z bólu, kiedy próbował usiąść. Wystarczyło zamknąć oczy, żeby znowu zobaczyć pod powiekami wspomnienie pędu, migoczące na przemian światłem i cieniem. Od czasu do czasu przez nogi szkapiny przebiegało drżenie, a kopyta gnioty trawę, jakby się jej zdawało, że wciąż jeszcze gna.

- Wiem o tym. - Odrzucił brudną wiązkę i skrzył nową. - Bądź pewien, że jak ty będziesz zdychał, też nie zostawię cię samego.

Gędek podniósł się na łokciach i ziewnął, z wisienką przyklejoną do dolnej wargi.

- Wiesz, gdybym miał taki wiedźmowy kij, życie byłoby o wiele prostsze. Ciekawe, co z nim można jeszcze robić, oprócz poganiania konia?

- Lepiej nigdy tego nie sprawdzaj.

Czul pod dłonią, jak mięśnie klaczy zaczynają tężeć. Jej bok uniosł się, opadł i już się nie dźwignął. Oko zmętniało, jezor wysunął się z pyska.

Wstał, otrzepał dłonie i ruszył przed siebie. Gędek poderwał się za nim, wypluwając pestkę i przeskakując nad końskim łbem.

- Czekaj, narwańcu! - Zabiegł mu drogę, sapiąc z przejęcia. - Gdzie idziesz?

Odmieniec wzruszył ramionami i wysuniętą zuchwą wskazał otwartą, pustą przestrzeń za jego plecami.

- Tam.

Bagniska zaczynały się kilkanaście kroków od nich, jakby ktoś wyrwał darr i rozlał w tym miejscu całe morze gęstego błota. Rozciągały się aż po sam widnokrąg, jak grząska, ciemna pustynia. Tu i ówdzie podnosiły się wstęgi oparów, a słońce podświetlało je ciemną zółcią. Czasem gładka powierzchnia niespodziewanie nabrzmiewała bąblem, który pękał z głośnym mlaśnięciem, rozsnuwając wokół drażniący smród.

- Czekaj, mówię ci! - Gędek cofał się krok za krokiem, bo odmieniec znowu zaczął iść, patrząc przez niego jak przez powietrze. - Nawet bebechy jeszcze nie zdążyły

mi powskakiwać na swoje miejsca po tej diabelskiej jeździe. Daj odetchnąć.

– Nigdzie cię nie ciągnę.

– To po co w ogóle wsiadałem z tobą na konia?

– Bo chciałeś. – Odmieniec zatrzymał się w chwili, kiedy pięty Gędlka zagłębiły się już w trzęsawisku. Podniósł głowę i wciągnął przez szeroki nos zapach zgnilizny. – Zejdź mi z drogi.

– To ty tak? – Gędek zatrzepotał ramionami, jakby stał na krawędzi przepaści. – Razem do Grodziska, przez ogień... A teraz tak?

Odmieniec trochę się przygarbił. Wypełniony smrodem pęcherz przysnął gdzieś bardzo blisko, zraszając ich deszczem kleistych kropeł.

– Nigdy nie zapomnę, ile ci zawdzięczam. Ale wiedźma mówiła, że na bagniskach muszę poradzić sobie sam.

– Ta starucha tylko ci zabeltała w głowie!

– Wierzę jej.

– Czemu?

– Bo mi dała nadzieję.

Wszedł w bagno. Od razu zagłębił się do połowy łydki, ale niżej podłoże wydawało się twarde. Zawahał się przed następnym krokiem, bo gęsta maź wcale nie była zimna, jak się spodziewał. Wydzielała leciutkie, ale wyczuwalne ciepło. Kiedy podniósł nogę, ślad po stopie zbliznił się z cichym cmoknięciem, a wokół łydki została obwódka ciemnozielonej, brudnej piany.

– Ja już nie mam dokąd wracać! – Gędek przykucnął, zgarbił palcem trochę błota z wierzchu i podniósł do nosa. – Blee... Cuchnie jak gnojówka.

Odmieniec już się nie odwrócił. Szedł ostrożnie, podnosząc nogi wysoko jak czapla, ale się nie zatrzymywał. Utkwił wzrok w oddali, gdzie w połączeniu z jasnym błękitem nieba bagno wydawało się prawie czarne.

Gędek przebiegł kilka kroków wzdłuż suchego brzegu, tam i z powrotem, jak pies, który boi się skoczyć na głęboką wodę.

– Utopisz się! Zobaczysz, zaraz cię wciągnie, nie zdązysz nawet porządnie się zebździć ze strachu! Jezus Ma-

ria! Co mnie podkusiło, żeby zadać się z kimś takim? – Zachłysnął się powietrzem aż do ukłucia w piersi i zawołał jeszcze głośniej: – Zaczekaj!

Odmieniec słyszał, jak tamten biegnie, rozchlapując błoto i podskakując nierówno jak świeżo urodzone źrebę. Nagle zaklął krótko, na wydechu i po trzęsawisku rozległ się plusk, głośniejszy niż wszystkie poprzednie. Na kark odmienca opadło kilka ciepłych kropeł. Kiedy obejrzał się przez ramię, Gędek z trudem dźwigał się na nogi. Cały lewy bok, połowę twarzy i włosy miał oblepione mazią.

– Wiesz, co jest najgorsze? – Nieporadnie próbował wierzchem dłoni zetrzeć błoto z powieki, żeby otworzyć oko. – Nie będzie się jak umyć. Umrę taki uwalany, jak stoję.

Odmieniec ruszył dalej, kiedy Gędek zrównał z nim krok. Wciąż patrzył prosto przed siebie, ale mięsiste obrzeżenia jego odstających uszu nabrały nowego, czerwonego odcienia.

– Jaki masz powód, żeby ze mną iść? – zapytał po długim czasie, kiedy trawiasty brzeg za nimi zwziął się do szarawej kreski na widnokręgu.

– A muszę mieć jakiś?

– Musisz. Chyba że jesteś pomyłony.

Błoto na twarzy Gędka szybko schło w pełnym słońcu. Kiedy niewyraźnie się uśmiechnął, odpadło parę małych kawałków.

– Wiesz, co poczułem, kiedy wyszedłem z ognia? – zawiesił głos, ale wcale nie czekał na odpowiedź. – Strach. Bałem się, że do końca życia będzie się za mną snuć swąd palonego mięsa.

– Mówiłeś, że...

– Wiem, co mówiłem. To wszystko prawda. Każdy z nas przyszedł tam z własnej woli. Ale to przecież ja ich powygarniałem z różnych zawsonych nor, gdzie dogorywali w ukryciu. – Milczał przez chwilę, w zamysleniu podważając paznokciem płytki zaschniętego na policzku błota. – Ciągnąłem za linę. Póki stawała opór, póty miałem nadzieję. Kiedy zwiotczała, przeraziłem się jak jeszcze nigdy w życiu. A potem zobaczyłem ciebie. To jest tak,

jakbym... Jakbym został twoim ojcem i matką jednocześnie. Rozumiesz?

Młańcicia błota pod stopami straciły swoją jednostajność, kiedy odmieniec zmylił krok. Słońce przenikało przez czerwone płatki jego uszu, jakby były przezroczyste.

– Ja nie mam rodziców.

Nie odzywali się do siebie prawie do samego zmierzchu. Ostatnie zarysy brzegu dawno utonęły w błocie, wszędzie wokół było tylko nieruchome grzęzawisko. Pełzali przez nie, przygarbieni pod pustą czaszą nieba, a powieki zaczynały im puchnąć od bezwiednie ponawianych prób, żeby zaczepić na czymś wzrok. Miejscami opary podnosiły się zwarta, siną zasłoną, otulając ich ze wszystkich stron. Były takie gęste, że kiedy odmieniec przesunął przed twarzą rękę, wyraźnie zobaczył, jak między palcami przepływają wirujące smużki. W takich chwilach przyspieszali kroku i starali się jak najmniej oddychać, póki znowu nie wydstawiali się na otwartą, nieskończoną płaszczyznę bagnisk.

Zaczęli popadać w jakieś dziwne otępienie, podobne do snu z otwartymi oczami. Nie odczuwali zmęczenia. Było tak, jakby nogi niesły ich same. Nawet przestali mrużyć oczy, kiedy tuż przed nimi wybuchały bąble. Słońce przelizgiwało się po niebie, ciche i okadzone oparami, a coraz bardziej ukośne promienie zdawały się grzęznąć w błocie. Ustał wszelki powiew, zrobiło się chłodniej. Ciepło, które buzoowało pod podeszwami, promieniując aż do kolan, kuśiło, żeby przylgnąć do niego całym ciałem i nie myśleć o niczym.

Przed wieczorem w oddali pokazały się pierwsze ogniki. Unosiły się nisko, tuż nad znikającym w mroku widnokręgiem. Miały barwę blednących o świetle gwiazd. Poruszały się, wznosiły i opadały, ale nie stwarzały nawet złudzenia życia.

– Czy to jest to, czego szukamy? – Gędek wyciągnął przed siebie palec.

Odmieniec czuł, jak wilgotna mgła, którą oddychali, osadza się we wnętrzu jego gardła lepkiem śluzem. Starał się to odkrztusić, ale niewiele pomogło.

– Nie wiem. Przekonamy się, jak tam dojdziemy.

Noc zapadała tak długo, jakby nie wiedziała, czy wolno jej ogarnąć bagniska. Gdzieś nad nimi widocznie wzeszedł księżyc, bo opary zmieniły odcień, wchłaniając jego poświatę. Ogników było coraz więcej. Miętko kołysały się w mroczniejszym powietrzu i mrugały przyzywająco.

– Coś słyszałem.

Kiedy bagno wessało ostatni, czerwony obrzynek słońca, a na niebie zgęstniały chmury, przez chwilę było całkiem ciemno. Dalekie światelka rozpały na grzęzawisku lśniące smugi, ale nie mogły rozproszyć mroku. Noc łagodnie przykryła bulgoczącą pustkę, wchłaniając w siebie opary.

A potem nagle bagnisko zaczęło świecić. Najpierw po powierzchni przelewały się tylko jakieś jaśniejsze plamy. Łączyły się, rozdzielały i nabierały mocy, podobne do ulotnej poświaty, jaka czasem wypełnia wnętrze bardzo starej wierzb. Poruszały się, choć nie było wiatru, a martwa woda stała w bezruchu, przytłoczona mazią. Czasem takie rozlewiska blasku omywały im nogi, czepiając się nogawek drobinkami światła, a wtedy zaciskali zęby i wciągali brzuchy, gotowi uciekać w ciemność. Ale nic się nie działo, tylko na łydkach wyskakiwała im gęsia skórka.

– Naprawdę coś słyszałem. – Gędek machnął ręką za siebie. – Tam coś jest.

Jego podświetlona od spodu twarz wyglądała tak, jakby wciąż jeszcze był trędowaty. Rozwlekły sposób mówienia zdradzał, że z trudem panował nad drzeniem głosu.

– Zdawało ci się, to zwykłe pluski – nastroszył się odmieniec. – Tutaj nie ma żadnych zwierząt, bo...

Urwał w pół słowa, z otwartymi ustami. Teraz i on to usłyszał. To nie był bulgot, jaki wydają przepychające się na powierzchni bąble. Raczej coś dużego czołgało się przez trzęsawisko, odrzucając na boki zwały błota i szorując brzuchem po dnie. Nie spieszyło się, przystawało, a wtedy tężejąca cisza przylegała chłodem do ich gardel i skroni.

– Nie ruszaj się. – Odmieniec bardzo powoli wypuścił powietrze. – Nie uciekaj i nie krzycz. Po prostu stój.

Cokolwiek tam było, zbliżało się. Pelzało przez ciemność, zataczając wokół nich zwięzające się koła. Leniwie rozorywało bagno, ale odmieniec czuł, że gdyby było trzeba, umiałoby przyspaść do nich jednym skokiem. Była chwila, kiedy mu się zdawało, że tuż koło jego nóg pod rozświetloną powierzchnią przesunął się jakiś wydłużony kształt, ale kiedy pochylił się i zmruczył oczy, już go nie było.

– Coś otarło się o moją łydkę! – Gędek oddychał ciężko, jakby miał za sobą długi bieg. – Takie śliskie...

Światelka nad widnokregiem przestały się poruszać, jakby na coś wyczekiwały. Przyciągały wzrok. Odmieniec próbował się temu opierać, gorączkowo szukając w sobie samym odpowiedzi na pytanie, którego jeszcze nie miał odwagi zadać, nawet w myślach.

– Jezu! – zaskomlał Gędek. – To mi wlaży w nogawkę!

Odmieniec poczuł się tak, jakby cały ten wypłukany z barw świat niespodziewanie przestał być obcy. Spojrzał na poszarzałą twarz Gędka.

– Nie próbuj z nią walczyć – odezwał się całkiem spokojnie. – Jeśli wytrzymasz, nic ci nie grozi.

– Nie słyszysz, co mówię? To mi wlazło w nogawkę i pnie się coraz wyżej!

Wyglądał, jakby zaraz miał zasłabnąć, ale wciąż stał. Wstrzymał oddech, przycisnął ramiona do boków i wpatrzył się w swoje sterzące nad bagnem kolana. Kiedy pod jego prawą nogawką pojawiło się wybrzuszenie, grube jak druga noga, z sykiem wciągnął powietrze przez zacisnięte zęby. Podniósł do ciosu pięść.

– Nie! – Odmieniec zrobił krok naprzód, a lśniący naloł wokół niego przygasł. – Jeśli ją przestraszysz, wysię z ciebie całą krew. Pęknie z przeczarcia, ale z ciebie zostanie tylko suchy wiór.

Pięść Gędka zawisła w powietrzu, a potem powolutku opadła. Wybrzuszenie pod jego nogawką podpełzło wyżej, okręcając się na wewnętrznej stronie uda.

– Czy to jakaś... pijawka? – Gędek rozstawił szerzej nogi. – Sama sobie pójdzie?

Odmieniec aż dotąd patrzył prosto w majaczące niewyraźnie białka oczu tamtego, ale teraz uciekł spojrzeniem w bok.

– Pójdzie. – Odległe światła mrugały zimno. – Jak tylko się pożywi.

Gędek rozwarł oczy jeszcze szerzej, ale zaraz potem zacisnął powieki i z bólu zgiął się w pół. Zgrubienie powiększało się bardzo szybko, szew nogawki zaczął trzeszczeć.

– Wzrzała mi się chyba prosto w żyłę! – Zawiesił nad udem dłoń o rozcapierzonych i zagiętych palcach. – Zaraz się porzygam.

Odmieniec podszedł i położył rękę na jego pochylonych plecach. Wspiął się na palce, zbliżając usta do jego ucha.

– Jeszcze chwila, przyjacielu. Pomyśl, że niektórzy ludzie robią sobie coś takiego dla zdrowia.

Szew puścił na całej długości, od kroku do kolana. Przez krótką chwilę widzieli połyskujący, czarny grzbiet. Obły kształt napećniał, odpadł i z pluskiem osunął się w bagno. Spłynęła za nim po udzie smuga gęstej krwi, ale szybko zwięzła się i urwała.

– No, to tyle! – Odmieniec klepnął go otwartą dłonią w kark. – Od tego się nie umiera. Tylko portek szkoda.

Odszedł, mieszając kolanami w pływającej z wierzchu warstwie pleśni, grubej jak kozuch na kwaśnym mleku. Gędek związał rozerwaną nogawkę jak się dało i dogonił go, klnąc między jednym i drugim sapnięciem.

– Wychleptała ze mnie tyle, aż kręci mi się w głowie. Gdyby dobrała się do ciebie, już byś nie żył. Pewnie masz w żyłach tyle krwi, co kot naszcza.

– One woła ludzką krew.

– Masz kupę szczęścia i tyle! Gdyby mnie tu nie było...

– Gędek potknął się i nieopradnie przebiegł kilka kroków, ratując się przed upadkiem. – Jak to ludzka? A twoja jest jaka?

– Inna.

– Oczadziłeś od tego smrodu czy co? A może wiedźma ci czegoś zadawała?

– Może.

Gędek umilkł na dłuższą chwilę, ale nie przestawał rzucać ukradkowych spojrzeń na twarz odmieńca. Dziwne, jakby rozpuszczone we mgle światło rozjaśniało jego wystające kości policzkowe i dwie grube faldy brwi, ale oczy przykrywał pas cienia. Szedł z nieco zadartą brodą i szeroko rozchylonymi płatkami nosa.

- Trudno uwierzyć, że jeszcze kilka dni temu błakałeś się po drodze jak zagubione szczenię - mruknął wreszcie Gędek. - Nie chcę narzekać, ale wtedy chyba byłeś przyjemniejszy w obejściu.

Odmieniec wyciągnął przed siebie obie ręce, jakby małe światełka krążyły tuż przed jego twarzą. Jego oddech stał się chrapliwy. Zanim zaczął mówić, głos kilka razy wiązał mu w gardle.

- Wiesz, czym dla mnie są tamte światła? - zapytał, a kiedy Gędek wzruszył ramionami, westchnął bardzo głęboko. - To oczyszczenie. Ty powinieś mnie rozumieć.

- Już raz mnie oszukałeś, drugi raz nie próbuj. Jesteś brzydki, ale zdrowy. Spotkasz jeszcze kiedyś jakąś miłą karliczkę, spłodzicie sobie całe stadko karzełciątek i...

- Nie o tym mówię! - Odmieniec obrócił twarz i cień w jego oczodołach pierzchnął przed światłem. - Ja potrzebuję innego oczyszczenia. Nie na ciebie, tylko w głowie.

Gędek sięgnął do rozdarcia w nogawce, żeby poprawić węzeł. Poczul, jak jego palce zagłębiają się w ciepłe błoto. Nagle uświadomił sobie, że bagno sięga mu już grubo powyżej kolan.

- Dno opada! - Zapomniał o gaciach, zbladł.

- Widzę. - Odmieniec brnął zanurzony po pas, z rozłożonymi ramionami.

- Nie możemy tam iść!

Odmieniec pochylił czolo i przedarł się jeszcze kilka kroków dalej. Stęknął, wyrzucił obie ręce do góry i zapadł się niżej. Gędek podbiegł do niego, ale zanim zdążył chwycić go za włosy, poczul, jak twarde dno ucieka mu spod stóp.

- Z powrotem! - wrzasnął. - Potopimy się!

Tylko głowa odmieńca tkwiła nad bagnem. Zakotyła się, wzbudzając na powierzchni powiększające się koła, i znowu odwróciła się w stronę światła.

- Ja płynę.

- W tej gnojówce nie da się pływać!

- Gdyby się nie dało, już byłbym na dnie.

Gędek obejrzał się za siebie, gdzie za przesiąkniętym wilgotnymi oparami mrokiem powinien być brzeg. Zdało mu się, że bagniska śmieją się z niego bełkotliwie.

Szedł za odmieńcem, póki błoto nie podniosło się pod samą brodę. Potem zacisnął szczęki, odbił się palcami stóp od dna i skoczył naprzód.

Próbował płynąć spokojnie, ale kiedy po pierwszych paru ruchach nie udało mu się wynurzyć głowy, przerażenie skuło mu lodem szpik w kościach. Rozpaczliwie szarpnął rękami i nogami, wypuścił nosem strugę pęcherzyków i szarpnął znowu. Uderzył kolanami w dno, a twoga przygniotła jego myśli, jak zwaly popiołu przyduszają dogasający żar. Smak zatęchłej wody wdarł się między wargi. Bicie własnego serca ogłuszało go. Jeszcze raz poruszył rękami, ale wiotczające mięśnie już nie mogły pokonać oporu gęstej cieczy.

Przestał się miotać.

Wtedy, łagodnie i cicho, bagno wypchnęło go do góry.

•
Taplali się na powierzchni niezdarnie, jak ślepe pisklęta wyrzucone z gniazda. Każdy ruch ręką czy nogą, każde dźwignięcie tułowia wymagało odrębnego wysiłku. Mogli mieć tylko nadzieję, że posuwają się naprzód, bo wokół nie było nic, do czego mógłby przyłgnąć wzrok. Starali się utrzymać stały kierunek, ale światełka wciąż były tak samo odległe. Jak gwiazdy.

- Słyszałem, że na takich pustkowiach świecą potępieńcy, żeby zwozić ludzi na zębę - mówił Gędek dziwnie ożywionym głosem. - Nigdy w to nie wierzyłem. No bo jaki dureń wlażyłby w bagno tylko dlatego, że z drugiej strony coś błyska?

Głowa odmieńca podnosiła się i opadała, ale szeroko otwarte oczy wciąż były utkzione w oddali. Kropeczki światła odbijały się w jego okrągłych źrenicach. Wydawało się, że nawet nie usłyszał słów Gędka, zlewających się

z jednostajnym pluskiem. Ale po długiej chwili milczenia prychnął jak zmoczony kot i zmarszczył płaskie czoło.

– Myślę, że to prawda.

– Cmokanie błota od strony Gędłka nagle stało się szybsze. Zbliżył się, rżąc z wysiłku, i wczepił się palcami w ramię odmienca.

– Nawet tak nie gadaj, bo jeszcze wykraczesz!

– Ty gadasz, nie ja.

– Gadam, żeby słyszeć ludzki głos, bo inaczej dawno bym oszalał ze strachu. Ale wcale tak nie myślę. – Z bliska było widać, że w jego oczach też tli się złotawy pył. – Umarli nie szwędają się po świecie, tylko siedzą pod kłuzcem w piekle.

Odmieniec wyslizgnął się z jego uchwytu i popłynął dalej. Bagno wokół nich wybrzuszyło się i opadło z głębokim westchnieniem.

– Nie powiedziałem, że to umarli. To zatraceni.

Tracili siły powoli, ale nieustannie. Ciepłe bagno z upływem czasu zdawało się gęstnieć, lepiąc się do skóry i rozmiękczając mięśnie. Ich ruchy zaczynały być podobne do drgawek i bezwiednych przykurczy. Coraz częściej musieli odpoczywać, odwracając się na plecy i pozwalając unosić się niewidzialnym, leniwym prądom.

– To głupie. – Szept Gędłka świstał z głębi gardła. – Będziemy pierwszymi ludźmi, którzy nie utopili się w bagniskach, ale zdechli na nich z głodu.

– Jak musisz tyle gadać, to sobie gadaj. Ale przynajmniej nie narzekaj, że się nie utopiłeś.

Między chmurami na chwilę pokazał się księżyc. Jego światło, przecedzone przez splatające się wstęgi oparów, było zielonkawe. Ale i tak ten widok przywoływał wspomnienie jakiegoś innego świata, który dla nich już prawie umarł.

– A ja ci mówię, że nie ma się z czego cieszyć. Czuję się tak, jakby bagno nie wessało mnie tylko dlatego, bo... Bo nie chce. Jestem tu obcy. Brzydzi się mną. Rozumiesz?

– Nie. – Odmieniec szarpnął się gwałtownie, jakby od jednego skoku chciał nadrobić stracony czas.

Gędłek powlókł się za nim, pokaszając i spluwając

grudkami błota. Do dnia chyba nie zostało wiele czasu, chociaż na niebie nie było jeszcze widać żadnej zapowiedzi świtu. Ale rozsiane w mroku światła zaczynały lekko błędnąć, a nisko nad bagnem gęstniała mgła. Nawet dźwięki pękających na powierzchni bąbli zmieniły się – nie były to już osobne cmoknięcia, ale przytłumiony, dokuczliwy szmer.

Odmieniec pierwszy poczuł, że w głębi coś zaczęło się dziać. Nie musiał się nad tym zastanawiać, nie musiał nawet poświęcić temu jednej przelotnej myśli. Wierznął nogami, wysuwając się z błota do połowy ciała.

– Uciekaj! – krzyknął.

Gędłek podniósł głowę i szybko zamrugł oczami, jakby właśnie obudził się ze snu. Oddychał przez otwarte usta, błędząc spłoszonym wzrokiem po nieruchomych zwalach błota.

– Co jest?

– Szybko! – Odmieniec chwycił go za włosy i mocnym szarpnięciem przeciągnął kawałek dalej. – Chcesz żyć, to uciekaj!

Skiby błota zakolysały się nieznacznie. Gędłek okręcił się wokół siebie, bezradny jak przewrócony na grzbiet żuk. Wydawało się, że czerń jego źrenic zaraz rozleje się na białka oczu. Tuż przed nim, na wyciągnięcie ramienia, pod tustym kożuchem zaczął pęcznić bąbel. Był większy niż inne. Wciąż rósł, nadymając się w martwej ciszy, a błoto odpryskiwało z niego, osiadając im na twarzach.

Kiedy wreszcie trzasnęła, cuchnący podmuch rozerwał mgłę.

– Nie oddychaj tym!

Nie wiedzieli, czy uciekają, czy tylko miotają się w miejscu. Bagno zawrzało jak kipiąca polewka. Płaty brudnej piany nawarstwiały się ponad ich głowy, znikwały w kipieli i znowu tryskały w górę. Chyba obaj krzyczeli, ale nie słyszeli własnych głosów. Błoto zalewało im twarze, a unoszące się w powietrzu drobinki wilgoci zapychały nosy i gardła.

Zdawało się, że słońce nigdy nie zdoła się przebić przez żółtoszare bałwany mgły. Gdzieś daleko na wschodzie wsączała się w ten wilgotny opar mdła jasność, która wcale nie dawała pokrzepienia. Jedna po drugiej gasły bagienne iskierki, rozwiały się światła na widnokręgu i świat powleka szarzyzna, jakby zamiast świtu nadciągał zmierzch.

Odmieniec zmusił się, żeby otworzyć oczy. Leżał na plecach, prawie całkiem zanurzony, z odchyłoną do tyłu głową i wystawioną nad powierzchnię twarzą. Było ciepło, dobrze i sennie. Od czasu do czasu leniwie przetaczał się pod nim jakiś głęboki prąd, kołysząc go pieszczołliwie, jak niemowlę. W plecy przyjemnie laskotały go pękające bańki.

Z bardzo wysoka, przytłumiony mgłą, doleciał pojedynczy krzyk wrony. Odmieniec z wysiłkiem zgiął w łokciu prawą rękę i dźwignął ją do góry, aż znalazła się w zasięgu wzroku. Była oblepiona błotem, ciężka i prawie pozbawiona czucia. Pozwolił jej z pluskiem opaść w bagno, a potem przez dłuższy czas zbierał siły.

– Gędek? – Nie był pewien, czy ze świszającego oddechu udało mu się wykrzesać zrozumiałe słowo, więc odchrząknął i spróbował jeszcze raz. – Gędek? Jesteś tutaj?

Dopiero cisza, która wchłonęła jego szept, otrzeźwiła go do reszty. Poruszył nogami i dźwignął głowę. Między czubkami swoich rozchylonych stóp zobaczył wycinek zachmurzonego, siąpiącego wilgocią nieba. Zaczepnął oddechu i skrętem całego ciała niezdarnie obrócił się na brzuch. Bagno ugięło się pod nim miękko, wchłaniając go głębiej. Rozłożył ręce, zagarniając pod siebie błotnistą wodę, ale w tej samej chwili sięgnął nogami dna. Zaparł się w mule całymi stopami i wyprostował kolana. Z ulgą poczuł, jak łagodne fale ciepła zmywają z niego odrętwienie.

Bagno nie sięgało mu nawet po pas.

Twarz Gędka unosiła się na wodzie o kilka kroków dalej. Gdyby nie to, że odcinała się siną jasnością od czerni bagna, trudno byłoby ją dostrzec. Odmieniec zbliżył się ostrożnie, starając się nie wzbudzać fali, ale i tak woda kilka razy zalala Gędkowi usta i nos.

– Przepłynęliśmy! – Pochylił się, dotykając jego czoła. – Jesteśmy po drugiej stronie.

Twarz Gędka, bez szyi, włosów i uszu, była niemal dziecięca. Jego zamknięte powieki wydawały się przezroczyste, a wąski nos sterczał w górę jak pletwa grzbietowa dziwacznej ryby. Jedną z dziurek od nosa uparcie powlekała śluzowata błonka, przemieniając się po każdym wydechu w wielobarwną bańkę.

– Niedługo odpoczniemy, ale teraz nie śpij! – Odmieniec wsadził mu dłoń pod kark i nieco unosił jego głowę, żeby wydobyć nad powierzchnię uszy. – Słyszysz mnie? Nie śpij, bo z takiego snu można już się nie obudzić.

Nagle poczuł niepokój, jakby lekki wietrzyk przeciągnął tuż nad powierzchnią bagna, chłodząc mu pośladki. Jeszcze nie umiał nazwać przyczyny strachu, ale już nie mógł się od niego opędzić. Patrzył na spokojną twarz Gędka, na jego zapadnięte policzki i posklejane błotem rzęsy, a pod każdym opuszką palca, którym dotykał skóry na jego karku, zaczynał czuć mrowienie.

Wyszarpnął rękę i odruchowo chowając dłonie za siebie, odskoczył dwa kroki w tył. Twarz Gędka utonęła, wynurzyła się i z powoli zamierzającym kołysaniem znowu osiadła w błocie. Krople brudnej wody spływały głębokimi brzdami koło ust. Bańka na dziurce od nosa urosła większa niż przedtem, pękła i już się nie pojawiła.

Ogarnął go wstręt, silniejszy nawet niż strach. Wiedział, że musi stąd odejść, nieważne dokąd, byle szybciej. Przycisnął pięści do skroni. Chciał coś jeszcze zrobić, coś sprawdzić albo choćby tylko zebrać myśli, ale każda chwila zwłoki nabrzmiewała obrzydzeniem, które niemal zwałało go z nóg.

Jeszcze zanim skończył obracać się plecami do Gędka, zrozumiał, że nie jest tu sam. W oddali znowu zakrakala wrona, na wschodzie rozdarła się chmura i błoto zaślniło w słońcu, jak powleczone szronem. Zmrużył oczy przed blaskiem, a kiedy znowu je otworzył, zobaczył na powierzchni bagna kilka cieni.

Chata, którą wskazał mu Masław, była stara i opuszczona, a jej pochyle ściany tylko dlatego wciąż jeszcze stały, że je podparto zerdziami. Kiedy otworzył drzwi, klepisko zachrobotało odgłosem uciekających myszy. Wszystkie okna były pozabijane, trochę światła wpadało tylko przez dymnik. Ale za to nikt w pobliżu się nie kręcił i Rozpruwacz mógł spokojnie odczekać kilka dni, póki we dworze wszystko się nie uładzi.

Znalazł w kąciku dzban piwa i cały garniec wystygłej kaszy ze śmietaną. Poznał robotę Gładziuchny, ale bez obrzydzenia zjadł wszystko, do samego dna. Miła pewność, że przez najbliższych kilka lat będzie mógł jeść, co zechce i ile tylko zdoła, wzmagala jego łakomstwo. Dopił piwo, przeredzoną miotłą odgarnął spod ściany śmieci i rzucił na gołe klepisko trochę wytarganej ze strzechy słomy. Wyciągnął się z głębokim westchnieniem, kładąc głowę na zgiętym ramieniu. Zasnął od razu, ale nie przestawał uśmiechać się do swoich myśli.

W marzeniach ważył w dłoni mieszek po mieszku. Wiedział, że wszystkie na pewno są tak samo pełne, ale nie mógł się powstrzymać. Leżały przed nim usypane w wielką, szarą górę, która zasłaniała słońce. Zmęczony się, rozboleła go ręka, ale nie przestawał. Dreszcz rozkoszy podchodził mu pod gardło za każdym razem, kiedy słuchał, jak przesypują się złote pieniądze. A potem nagle coś się zepsuło. Góra zaczęła się trząść, dudnić i huczeć. Wiedział, że zaraz się na niego zwali, ale nie uciekał. Nie chciał odchodzić od swojego bogactwa nawet na jeden krok.

Obudził się odrętwiały, z suchym językiem i tępyim bólem głowy. Nie przypuszczał, że piwo było aż tak mocne. Z jękiem wyprostował łokieć, na którym spał. Podniósł się na kolana, ale musiał się podeprzeć, żeby nie upaść. Smuga światła od dymnika razila w oczy.

Ktoś walił w drzwi, pomagając sobie kopnięciami. Chata trzeszczała i skrzypiała, ze strzechy sywał się kurz.

– Czego? – warknął na tyle głośno, na ile było go stać. Ból głowy zatętnił mocniej, wyciskając mu z kącików oczu łzy, ale łomotanie w drzwi ustało.

– Otwieraj wreszcie! – W głosie po drugiej stronie słychać było ulgę. – To ja, Masław.

Rozpruwacz wpuścił wielmożę, zamknął za nim drzwi i oparł się o nie barkiem, jakby się bał, że znowu same się otworzą.

– No, widzę, że nie poczekałeś na mnie ze świętowaniem. – Masław położył zgięty palec na krawędzi dzbana i zajrzał do środka.

Rozpruwacz osunął się po drzwiach na klepisko i opuszkami palców dotknął obu skroni. Odetchnął bardzo głęboko, zanim otworzył oczy.

– Co we dworze?

– A co ma być? Piekło. Chciałem przy tym zamiastaniu trochę przetrzymać Sławkę w wieży, ale tak wrzeszczała z okna, że pacholcy podstawili jej drabinę. Przeclaw chciał jej coś tłumaczyć, to go zaprawiła bykiem w nos, aż mu się puściła jucha. Od razu poszła prosto do lochu, samiućka, tylko z pochodnią i z mieczem. Twarda jest – mlasnęła językiem z podziwem. – Wróciła blada, wargi miała bielutkie. Wysłała poćić na każdą drogę, nawet na ścieżki, którymi kmiecie chadzają za potrzebą. Gdybyś ruszył w świat od razu, jak chciałeś, już byłoby po tobie.

Rozpruwaczowi zrobiło się zimno. Wstał chwiejnie, przytrzymując się ściany.

– Domyśli się, że ciągle jestem na podgrodzium, kiedy polowanie się nie uda.

– Już się domyśliła. Chciała otoczyć gród i palić chaty po chacie, żeby cię wykurzy jak szczura.

– Psiakrew! Czemu tego nie zrobiła?

– Bo ją od tego odwiódłem. Jest bardzo zapalczywa, ale to rozsądna dziewczyna. Dała się przekonać, że pilniejsze jest utwierdzenie władzy. Złoto można odzyskać, tak czy inaczej, a korony, która raz się wysłignie, już nie.

– I co? Daje sobie radę?

– Jakby się do tego urodziła. Na początek kazała wyłupić oczy strażnikom, którzy cię wypuścili za bramę.

Rozpruwacz wzdygnął się. Podniósł dzban, ale w środku nic nie zachlupotało.

– Wypuścili mnie na twój rozkaz.

– Wiem. Właśnie dlatego uprzedziłem księżniczkę i kazałem wyrwać im języki.

- Byłaby z was bardzo zgodna para.
 - Może i będzie! - Wielmoża poklepał się po grubym karku. - Na razie zdobywam jej zaufanie. I chyba mi się udaje. Ale żeby ten ożenek nie stracił na uroku, najpierw muszę ocalić gród przed tym, co kluje się pod ziemią.

Rozpruwacz znalazł w słomie niedopity kubek i wychęptał głośno zawartość, marszcząc nos. Jego wyblakłe spojrzenie nabrało trochę życia.

- Ona wie, co się szykuje?
 - Wszyscy wiedzą - wzruszył ramionami Masław. - Ale nikt nie wierzy. Nawet ci, którzy byli w krypcie. Wydaje im się, że jak nie będą o tym myśleli, to wszystko jakoś samo rozejdzie się po kościach. Tylko stara wiedza ma rozumie, co naprawdę się dzieje. Ale czy da radę to zatrzymać?

Rozpruwacz wytarł rękawem najpierw jeden, a potem drugi kącik ust. Splunął po raz pierwszy, odkąd się obudził, i zrobił to z prawdziwą przyjemnością.

- Możesz być spokojny. Jeśli w ogóle jest ktoś taki na świecie, kto może sobie dać radę, to tylko ona.

- Mam nadzieję - burknął wielmoża i nagle stracił dobry nastrój. - Zapłaciłem jej za to twoim złodziejskim zyciem i skarbem księcia na dokładkę. Dawno się znacie?

- Dawno. Można powiedzieć, że mnie odchowała. - Rozpruwacz zmarszczył brwi, jakby dziwił się samemu sobie, że tyle gada. - Stare dzieje. Nie widziałem jej już kawał czasu.

- Nie chcesz, to nie gadaj. Ale jedno mnie ciekawi, ile ona właściwie ma lat?

- Dobre pytanie. - Rozpruwacz niespodziewanie parsknął śmiechem. - Odkąd pamiętam, wygląda tak samo. Jakby miała nie dożyć następnego dnia. Myślę, że jest bardzo stara. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że ten wasz kołodziej spod ołtarza to jej znajomy.

Wielmoża w zamyśleniu pokiwał głową, patrząc na strzępek nieba w otworze dymnika. Potem założył ręce nad wystającym brzuchem i spojrzał Rozpruwaczowi prosto w twarz.

- Zmiataj. Sławka rankiem wyjechała z drużyną na

przeгляд okolicznych strażnic, masz czas do wieczora. Idź lasem i nie pokazuj gęby byle komu.

Rozpruwacz wytrzeźwiał, jakby ktoś wylał na niego wiadro zimnej wody. Poprawił pas, wytarł dłonie o koszulę i wyciągnął rękę.

- Dziękuję.

Jego dłoń zawisła w powietrzu, Masław nawet nie opuścił na nią oczu. Wzrok miał twardy, ale jednocześnie trochę daleki.

- Nie dziękuj. Kiedy tu wchodziłem, nie byłem pewny, co zrobić. Masz bardzo dużo złota, a mnie byłoby o wiele łatwiej starać się o rękę księżniczki z tymi mieszkańcami. W końcu jesteś tylko kłamliwym włóczęgą, kiedyś i tak nie minie cię katowski pieniek.

Rozpruwacz opuścił rękę i zacisnął zęby. Masław uśmiechnął się blade.

- Ale nie zrobię tego. Powiem ci, czemu, choć pewnie tego nie zrozumiesz. Ciebie mógłbym oszukać. Lubichy nigdy.

Rozpruwacz cofnął się tyłem i piętą otworzył drzwi. Jednostajny gwar podgrodzia wlał się do chaty.

- Rozumiem.

Znał drogę na pamięć. Kiedy wszedł między pierwsze, rosące na samym skraju lasu dęby i buki, odwrócił się jeszcze raz. Wały grodu wyglądały z tej odległości jak kre- ci kopiec. Wiedział, że nikt stamtąd nie mógłby go teraz dostrzec, ale i tak pomachał na pożegnanie. Sprawilo mu to radość. Ruszył dalej, a zwierające się za nim gałęzie odcinały go od słońca, otwartej przestrzeni i ludzkich głosów. Nie spieszył się. Oddychał pełną piersią, smakując swoje zwycięstwo.

Ścieżka, którą szedł, była tylko ledwo widocznym przedzeniem poszycia, pod którym leżała gruba warstwa liści i igliwia. Ale nie mógłby zabiłdzić, nawet przy bezksiężycowej nocy. Zbyt wiele razy przebywał tę drogę w marzeniach. To, co go czekało na jej końcu, dodawało mu skrzydeł.

Polanka otworzyła się przed nim zupełnie nagle, jak zapomniana plamka światła w chłodnym morzu cienia.

Szarpiący nogawki tysiącem ostrych kolców gąszcz koczyl się, a pod stopy wpełzała miękka trawa, ukwiecona miejscami niebiesko i biało.

Pośrodku polanki stało stare dębisko. Było już prawie całkiem suche, wypróchniałe od środka, z wielką wyrwą na pół pnia, jak niezagojona rana. Drzewo uparcie trzymało się korzeniami ziemi. Puściło nawet tu i tam kilka bladych listków, ale na nic więcej nie było go już stać.

Rozpruwacz podszedł powoli, ostrożnie przekraczając korzenie. Serce mu waliło, a w gardle czuł przyjemne drapanie. Zdawało mu się, że z czarnego wnętrza dziupli wydobywa się słabiotka woń, od której pocą się dłonie i pieką oczy. Jego nozdrza rozszerzyły się, wietrząc zapach złota.

Skrzat rozgarnął z szelestem wysokie trawy i wdrapał się na rozwidlenie korzenia. Wydawał się trochę zagniewany. Odsunął czapeczkę na tył głowy, przeczesał palcami brodę i spojrzał zza rzes na słońce.

– Zrobmy to szybko – mruknął. – Za dużo tutaj światła.

Rozpruwacz sięgnął do kieszeni. Wyciągnął przed siebie rękę i skinał zachęcająco głową. Na jego otwartej dłoni leżało kilkanaście czapeczek.

– Zawsze dotrzymuję słowa – uśmiechnął się. – Wybierz pierwszy, jak zwykle.

Skrzat uniósł do góry sterczące wiechcie siwych brwi. Oczy miał jednocześnie skupione i nieobecne. Bardzo głębokie, ale jakby powleczone cieniutką warstwą lodu. Odkąd się znali, jeszcze nigdy nie patrzyli sobie w oczy. To powinno wzbudzić podejrzenia Rozpruwacza. Ale nie wzbudziło.

– No, bierz! – ponaglił. – Zrobiliście swoje i należy ci się zapłata.

– Nie chcę twojej czapeczki.

To było tak niedorzeczne, że Rozpruwacz nawet nie zdążył się przestraszyć. Stał z wyciągniętą ręką i otwartymi ustami, a w głowie huczała mu pustka.

– Jak to nie chcesz?

– Dostałem lepszą. Z kitką.

Skrzat obrócił się bokiem. Z zagiętego czubka jego czapeczki zwisało kilka różnobarwnych nitok.

– E... Ale... – Rozpruwacz czuł, jak sztywnieje mu język. – Nigdy mi nie mówiłeś, że chciałbyś dostać czapeczkę z kitką!

– Nigdy nie pytałeś.

Zacisnął powieki. Nie umiał patrzeć dłużej w te małe, kie żrenice, które nie były ani ludzkie, ani zwierzęce. Zimna kropla potu zebrała mu się między łopatkami i spłynęła wzdłuż kregostupa.

– Kto ci to dał? – stęknął.

– Ja. Mógłbyś się tego sam domyśleć.

Podniósł głowę i spojrzał w stronę, skąd dochodził głos. Przez rozmazaną zasłonę lez widział twarz Stawki, wynurzającą się z głębi dziupli. Oparła brodę na rękach i lekko pokręciła głową.

– Oj, oj, tylko bez płaczu. Na to za późno. Mówiłam ci, żebyś nie był za sprytny.

Słyszał kroki wychodzących z lasu ludzi, ale nie zrobił nic. Miał ciężkie nogi i ospałe myśli. Ktoś wykręcił mu rękę na plecy i bardzo mocno związał. Ból trochę go otrzęwił. Były pewien, że słyszy za sobą sapanie starosty.

– Jak na to wpadłaś? – zapytał cicho.

Przestąpiła z nogi na nogę, a wtedy pod jej stopami we wnętrzu dębu zachrzęściły mieszki ze złotem.

– W sprawie czapeczek sam się wygadałeś. A kitki? Cóż... W końcu jestem kobietą.

Skrzat wsadził dwa palce do ust, gwizdnął głośno i zeskoczył na ziemię. Trawa poruszyła się w wielu miejscach jednocześnie, a zaraz potem pstrokate pęki nitok, wesoło furkocząc na wietrze, odpłynęły w stronę lasu. Ostatnia czapeczka już zniknęła w gąszczu, a Rozpruwacz wciąż jeszcze patrzył na chwiejący się, potrącony przypadkiem liść paproci.

– Tyle lat... – Z trudem przelknął ślinę. – Zawsze razem, a na końcu zdradził mnie dla głupiej kitki.

– To ich godność, sam mówiłeś.

Księżniczka wygramoliła się z dziupli. We włosach miała pełno patyczków, suchych liści i pajęczyn. Kiwnęła zgiętym palcem i gdzieś zza pleców Rozpruwacza wysunął się starosta. Przez ramię miał przewieszony zakończony

pętlą sznur. Mrugnął okiem i niebałym ruchem przerzucił go przez gałąź, a kiedy pętla zawisała na wysokości jego twarzy, wyszczerzył spoza niej zęby.

– Nie będę ukrywał, że czekałem na tę chwilę – powiedział.

Rozpruwacz chciał znowu przelknąć ślinę, ale już nie mógł. Prawie nie czuł strachu, tylko jakieś wielkie, przytłaczające zniechęcenie. Bolała go głowa. Sławka podeszła bliżej i wspinając się na palce, zajrzała mu w twarz. Zbliżyła usta i chyba go pocałowała, ale nie był pewien, bo na wargach miał twardą, wyschniętą skorupę.

– Powieś się go! – W całkowitej ciszy jej szepł był głośny jak krzyk.

Zachwiał się, ale nie upadł. Patrzył na to, co się dzieje, jakby to była jakaś całkiem inna baśń, w której się znalazł przez przypadek.

Kilku pacholków chwyciło starostę pod ramiona, podnosząc go w górę. Nawet nie wierzał, chyba był zbyt zdumiony. Zaciągnęli mu pętlę na szyi i naprężyli sznur. Przez krótką chwilę patrzyli w milczeniu na Sławkę, a kiedy skinęła powiekami, odskoczyli na boki.

Rozpruwacz do samego końca nie odwrócił wzroku. Zdawało mu się, że starosta wciąż jeszcze próbuje coś zrozumieć, kopiąc nogami powietrze.

Masław stał w otwartych na oścież drzwiach kościoła i patrzył na kłęczącego przed ołtarzem biskupa. Wstęgi kadzidel przewijały się między ukośnymi smugami słonecznego światła, które padało z wąskich okienek. Kościół był zatłoczony jak nigdy, ludzie stali głowa przy głowie. Na przedzie moiżni, za nimi woje, na końcu pospólstwo. Modlili się żarliwie, choć mało kto wiedział, o co – czy o powrót księcia, czy o szczęśliwe panowanie dla nowej władczyni.

Masław odwrócił się ze zmarszczonym czołem. Kmiotkowie, którzy oblepiali za nim schody, postusznie rozstąpili się przed jego brzuchem. Mocny głos biskupa i nierówne odpowiedzi tłumy w blasku słońca traciły swoją

uroczystą powagę. Brzęczały jak chmara wazek nad trzcinami. Wielmoża jeszcze raz obejrzał się na kmieci, którzy wspinali się na palce, żeby lepiej widzieć rozświetlony lasem świec ołtarz. Parsknął gniewnie. Gdyby naprawdę wiedzieli, o co powinni się modlić, ze strachu przykleiliby twarze do kamiennych płyt posadki.

Od wyjazdu Sławki nie mógł znaleźć sobie miejsca. Chciał jechać z nią, ale posłała mu tylko przeciągłe spojrzenie, w którym była kpina. Zapięko go to, wołałby już gniew albo pogardę. Kazała mu zostać i doglądać spraw na miejscu, ale wcale nie odebrał tego jako wyróżnienia. Zostali wszyscy moiżni i pewnie każdy usłyszał od niej coś podobnego. Wzruszył ramionami i poszedł za kościół, szukając cienia. Może to nawet i lepiej, będzie mógł ich mieć na oku. A zwłaszcza Przeclawą.

Przeclaw?

Skręcił w palcach końcówkę wasa, próbując sobie przypomnieć, czy widział go w kościele. Nie był pewien. To mógł być powód do niepokoju, ale przecież on sam też wyszedł, żeby zostać ze swoimi myślami. Jakkolwiek było, nie nie mógł na to poradzić. Wszystko, co miał do zrobienia, już zrobił. Pozostawało najtrudniejsze – czekanie.

Gwałtownie podniósł głowę, kiedy zdał sobie sprawę, że stoi po kolana w pokrzywach. Rozejrzał się ostrożnie, ale chyba nikt go tutaj nie widział. Z góry, przez okienko dobiegał przytłumiony szmer modłów. Masław w zamysle wessał dolną wargę. Wcale nie chciał tutaj przychodzić. Nie powinien okazywać, że to miejsce ciekawi go bardziej od innych. Ale skoro przyszedł... Przydeptał pokrzywy i jego warga z głośnym cmoknięciem wróciła na swoje miejsce.

Drzwiczki do krypty były uchylone. Czarna szpara nad progiem miała leciutki błękitnawy odcień.

Od razu wiedział, że jest bardzo źle. Może nawet tak źle, że już nic nie będzie można poradzić. Podniósł nogę, żeby kopniakiem zatrzaskać drzwiczki, ale po chwili wahania postawił ją z powrotem. To nic nie da, jeśli już zaczęło się najgorsze. Wtedy pozostanie mu tylko wrócić do kościoła i szepnąć w ucho biskupowi, żeby ogłosił koniec

świata. Ale najpierw musiał to sprawdzić, choćby ze strachu miał wypocić z siebie cały tłuszcz.

Wsadził palce w szparę i ostrożnie otworzył drzwiczki. Spodziewał się skrzypnięcia, ale zawiasy chodziły lekko, jakby świeżo nasmarowane. Schylił się i zajrzał w głąb. Schody zagłębiały się w jasność, która barwą przypominała bezchmurne niebo. Mech na ścianach obumarł i odlażył całymi płatami, ale pod nim już obrastał cegły nowy, o białych długich niteczkach, które drżały pomimo nieruchomego powietrza.

Schodził na dół z mocno zacisniętymi pięściami. Chciał czuć paznokcie wbijające się w dłonie, żeby ani na chwilę nie zapomnieć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Odgłos kroków wydawał się wsiąkać w ściany. Powietrze nie było już zatęchłe, miało lekki posmak bardzo odległego żaru, który nie spala, ale przemienia.

W krypcie było całkiem jasno. Podpora nie rzuciła cienia, jakby źródło światła było wszędzie i nigdzie. Jakieś splecione pnącza, podobne do pajęczyn o bardzo grubych niciach, obrastały wszystkie kąty i zwisały z łuków sklepienia. Wielkie strupy mchu, które nad schodami dopiero się rozpełzały, tutaj pokryły już wszystko. Ściany były miękkie i kosmate, a podłoga lekko ugięła się pod stopami. Grobowiec wyglądał jak spłaszczony pagórek, gęsto obrośnięty białą trawą, z otworem o wyszczerbionych krawędziach, w którym cicho wrzał błękit.

– Boże Wszechmogący! – wychrypiał głośno Masław i jednocześnie wciągnął głowę w ramiona. Miał wrażenie, że na dźwięk jego głosu wszystkie niteczki mchu poruszyły się. Odczekał chwilę, a kiedy nic się nie stało, powoli wyprostował kark.

– Wzywaj Go, póki można. Już niedługo nie będzie to mile widziane.

Zza podpory wyszedł Przeclaw, z ramionami założonymi na piersiach. Masław odskoczył na jego widok, a potem kilka razy poruszył bez słowa ustami, zanim udało mu się wydobyć drżący głos.

– Co ty tu robisz?

Przeclaw uśmiechnął się. Oczy miał przekrwione i bardzo błyszczące, jak przy gorączce.

– A co? Już poczułeś się nowym księciem, że wtykasz nos w nie swoje sprawy?

Coś z nim było nie tak. Nie był chyba pijany, bo trzymał się prosto, ale mówił trochę niewyraźnie, jakby trzymał w ustach nie do końca przeżute śniadanie. Na jego szyi tętniło kilka grubych żył.

– Spokojnie. – Masław podniósł otwarte dłonie. – Zobaczyłem światło w uchylonych drzwiach i zszedłem sprawdzić, co się dzieje.

Przeclaw patrzył mu w oczy, ale jego źrenice wydawały się leciutko uciekać na boki, jakby każda z nich śledziła coś innego. Masław przypomniał sobie, że widział już taki wzrok. To były oczy kata, błyszczące w otworach czerwonego kaptura, kiedy przytrzymywał na pieńku głowę skażenka.

Fala chłodu obmyła mu plecy.

– No i zobaczyłeś. – Przeclaw opuścił ręce na biodra. – Co teraz?

– Nie wiem. Musimy coś z tym zrobić.

– A nie podoba ci się tak, jak jest?

Oszalał. Pomieszało mu się w głowie ze strachu albo po prostu za dużo chlał przez ostatnie dni. Masław rozłożył ręce i zmusił się do beztrzęsowego uśmiechu.

– Jak na grób, trochę za dużo tu życia.

Skóra na policzkach Przeclawa napięła się i rozluźniła, jakby przez chwilę mocno zwarł zęby. Jego równo przycięta grzywka była wilgotna od potu.

– To początek. Będzie tego więcej, o wiele więcej.

– Powinniśmy iść po biskupa, a może... – Masław urwał, kiedy nagle dłoń Przeclawa skoczyła do boku i ostrze jego miecza ukuło go w gardło.

– Biskup tego nie zrozumie. Ale ty może tak.

Zwisające podgardle Masława zafalowało. Był bezbronny jak dziecko, nigdy nie przypasywał miecza idąc do kościoła. Ale to, że Przeclaw może mu uciąć głowę, wcale nie przerażało go najbardziej.

– Czy to... Czy ty? – Zamknął oczy, bo przez chwilę zrobiło mu się słabo. – Jak?

– Och, na wszystko jest sposób, jeśli bardzo się czegoś

chce. A ja chcę. Dowiedziałem się, że na południu, w górskiej pustelni mnisi mają prawdziwą czaszkę zatraceńca. Nie wiem, po co ją trzymali. Może na przestrożę, a może na pamiątkę po czasach, które minęły. Zdobyłem ją! – Podniósł brwi, jakby czekał na uznanie.

– Zdobyłeś?

– Ukradłem, jeśli wolisz. – Brwi mu opadły. – Zatraceńcy to dzieci Matuli. Jedyne prawdziwe stworzenie, jakie wyszło spod jej ręki. Nie miałem pewności, czy to zażądała, ale musiałem spróbować.

Masław powiódł wzrokiem po krypcie, jakby dopiero co wszedł. Oddychał nierówno, trzęsła mu się broda.

– Jezus Maria! Coś ty zrobił, głupcze?

– Wrzuciłem czaszkę do grobowca. – W jego głosie słychać było lekką skargę, że musi tłumaczyć oczywiste rzeczy. – Bardzo długo nic się nie działo, nawet nie słyszałem odgłosu uderzenia o dno. A potem nagle poczułem na twarzy gorący wiatr. Był tak silny, że gdybym się nie uchylił, chyba urwałoby mi głowę.

– Obudziliście Matule!

– Nie – odbiło mu się. – Gdyby to było takie proste, obudziłbym ją dawno temu. Ona wciąż śpi, ale już niedługo. Czuję to. Przyjdzie i nikt nie będzie wiedział, jak ją zatrzymać. Ani ty, ani księżniczka, ani biskup. Świat się znowu odmieni. Kim wtedy chcesz być?

Masław czuł, że ostrze miecza przestało uciskać mu gardło, ale nie poruszył się. Twarz Przeclawa była teraz biała, mokra i napięta. Czasem źrenice uciekały mu wysoko w górę i wtedy patrzył ślepo samymi białkami.

– Co ty gadasz, człowieku?

– Jesteśmy do siebie podobni, obaj chcemy władzy. Ale tobie brakuje odwagi, żeby po nią sięgnąć. Marzy ci się księstwo... – W brzuchu coś mu głośno zabulgotało, uderzył się pięścią w żołądek. – Kawał lasu, kilka wsi i śmiertelne podgrodzie. Ale ja pytam, jakie będzie twoje miejsce w świecie, który nadchodzi?

– Jeśli ten świat naprawdę nadejdzie, moje miejsce będzie w grobie. Twoje też, tak jak wszystkich innych ludzi. Przeclaw zatoczył się, miecz wypadł mu z ręki. Otwo-

rzył szeroko oczy i wydawało się, że upadnie na plecy, ale w porę rozstawił nogi i złapał równowagę.

– To prawda, większość zginie. Ale nie wszyscy. Niektórym nawet przydarzy się coś przeciwnego – mówił coraz szybciej i coraz mniej zrozumiale. – Zmartwychwstała, bo Matula będzie chciała być we wszystkim podobna do Boga. Zatraceńcy znowu będą się mnożyć, aż pokryją całą ziemię. Będą ją czcili, ale przecież jej to nie wystarczy. Oprócz wyznawców bogini musi mieć kogoś, kto stanie u jej boku. Pośrednika. Namiestnika. Głosiela jej woli.

Masław obejrzał się na schody, ale odegnął chęć ucieczki. Najpierw musiał dowiedzieć się wszystkiego, do samego końca.

– Coś ty ze sobą zrobił?

Przeclaw powoli przechylił się w bok, jak podcięte drzewo. Upadł sztywno, a lewa noga odstawała mu w górę, jakby wciąż stał. Z widocznym trudem poruszył szczęką. Masław musiał uklęknąć i pochylić się, żeby zrozumieć jego słowa.

– Zmieniam się... Ona mnie zmienia. Taka jest cena władzy. Nie zależy mi na moim ciele, bo i tak już zaczynałem się starzeć, ale... – wydał odgłos podobny do prucia szwu. – Ale to boli. Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Nagle szybkim ruchem złapał Masława za nadgarstek. Jego palce zwały się bardzo mocno, były zimne i sztywne jak żelazo. Wielmoża próbował się wyswobodzić, ale już po pierwszym szarpnięciu zrozumiał, że nie da rady. Musiałby chyba wywlec go ze sobą po schodach, a tego jednego nie mógł zrobić, choćby mu przyszło tutaj zdychać.

Twarz Przeclawa znieruchomiała z otwartymi ustami, których nie zamknął po ostatnim słowie. Żył na jego szyi, czole i skroniach zrobiły się grube jak powrozy. Źrenice już się nie poruszały, ale wciąż nie wyciekło z nich życie. Było w nich uniesienie, szaleństwo i ból.

Masław usłyszał ciche trzaski. Kiedy dotarło do niego, co oznaczają, szarpnął się jak zając we wnykach. Na Przeclawie w wielu miejscach naraz pękła skóra. Wyglądał, jakby ktoś ometał mu twarz czerwoną pajęczyną.

Rozdarcia bardzo szybko się powiększały, a brzogi płatów skóry odwijaly się w górę. Przeclaw chyba zaczął krzy-
czeć, ale przez jego zastygłą krtani wychodziło tylko jed-
nostajne buczenie.

Masław plakał, sięgając po porzucony miecz.

Sławka usiadła na tronie, wyciągnęła przed siebie nogi i z ulgą odchyliła się na rzeźbione oparcie. Zamknęła
oczy, jakby ogarniała ją senność.

- Zostawcie nas samych.

Woje spojrzeli po sobie niespokojnie. Odsunęli się tro-
chę od Rozpruwacza, ale nie odeszli. Długoręki Plewek
wystąpił pół kroku naprzód.

- Ale, pani, on jest...

- Powiedziała! - Zmarszczyła brwi, nie podnosząc
powiek. - I rozwiążcie go.

Rozpruwacz długo rozcieriał obolałe nadgarstki i ukrad-
kiem zerkał na drzwi, za którymi zniknęli woje. Kiedy
w końcu podniósł oko, drgnął. Sławka patrzyła prosto na
niego.

- Dziwi cię coś, cwaniaku? - zapytała po chwili mil-
czenia.

- Bardzo wiele rzeczy. - Podniósł w uśmiechu jeden
kącik ust, jednocześnie mierząc wzrokiem odległość od
otwartego okna. - A najbardziej to, że dałem się przechy-
trzyć babie, przy całym szacunku dla ciebie, księżniczko.

- Księżno! - poprawiła go. - Wprawdzie koronacja do-
piero za kilka dni, ale lepiej przyzwyczajaj się wcześniej.

- Tak, zapomniałem. To dlatego, że nie wyglądasz na
zdrugotaną śmiercią ojca.

Pochyliła się w przód, opierając łokcie na kulistych
zwieńczeniach podłokietników.

- Gdyby ojciec zginął, wyprułałabym twoje wnętrzności
i nakarmiłabym nimi wieprze.

Tego się nie spodziewał. Potrząsnął głową jak po wyj-
ściu z wody.

- Skąd wiesz, że żyje?

- Muszę wiedzieć, co się dzieje na dworze. Masław

stara się o moją rękę na tyle gorliwie, że wystarczyło po-
głądzić go po policzku i zajrzeć mu w oczy, żeby wszystko
wygadał.

- I powiedział ci też o...

- O wiedźmie? Pewnie, na samym początku. Nie
wiem, co w niej jest takiego, że wszyscy się jej słuchacie
jak owce tryka, ale na razie nie będę temu przeszkadzać.
Jeśli ona chce zmierzyć się z tym, z czym nikt inny nie
chce mieć do czynienia, niech próbuje. Mnie wystarczy
pewność, że ojciec poszedł z nią z własnej woli.

- I co? Masz nadzieję, że władzy też się rzeknie
z własnej woli?

- No, nie całkiem. - Opuściła rzęsy, oglądając swoje
paznokcie. - Będę musiała go jakoś przekonać. Zresztą to
nie powinno być trudne. On chyba ma już dość.

- Uwięzisz go?

- A po co? Spędzi sobie spokojną starość gdzieś na
oboczu, w jakimś przytulnym gródku pełnym młodzień-
kich postugaczek.

- Dla starosty nie miałaś tyłu względów.

- Przestał być potrzebny i za dużo wiedział - ucięła
twardo. - A poza tym jak mogłabym trzymać na dworze
kogoś, kto chciał obalić księcia? Mógł raz, mógłby i drugi.

Rozpruwacz przeszedł się po izbie, w zamyszeniu skro-
biąc podbródek. Kiedy się zatrzymał, był o parę kroków
bliżej okna.

- Myślę, że będziesz całkiem udaną księżną - mruk-
nął.

- A będę! - Uśmiechnęła się przelotnie. - I właśnie
dlatego nie mogłam czekać przez następne czterdzieści
lat, aż ojciec zgrzybieje. Tak jest lepiej dla wszystkich. -
Pochyliła głowę i uśmiechnęła się znowu. - Wiem, o czym
myślisz. Ale odradzam. To jest bardzo wysokie okno, poła-
miesz sobie nogi.

- Możliwe. - Rozpruwacz szybko opanował zmieszanie.
- Chciałem tylko mieć wybór, kiedy już wreszcie
zdradzisz, jaki los obmyśliłaś dla mnie.

- Nie bój się, nic strasznego. Polubiłam cię. - Roze-
śmiała się prawie wesoło i przymrużyła oczy. - Szkoła

byłoby pozbywać się kogoś, kto ma tyle sprytu, co ty. Znajdę ci jakieś zajęcie. Co powiesz na posadę nadzorcy książęcego skarbcza?

Rozpruwacz wyrzwał przez okno, a potem starannie zamknął okiennice. Umilkła wrzawa z dziedzińca, w izbie zrobiło się ciemniej.

- Nie, księżno. Zrobisz mnie nowym starostą.

Uśmiech Sławki zgasł, powoli podciągnęła do siebie nogi.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo jest jeszcze coś, o czym nie wiesz.

Spróbowała wstać, ale zamiast tego jęknęła z bólu i opadła z powrotem na tron. Wsunęła obie dłonie pod głowę.

- Co się dzieje? Ktoś mi... - Szarpnęła się, zwiotczała i dokończyła prawie płacząc: - Ktoś mi przywiązał włosy do oparcia!

Rozpruwacz nie odpowiedział. Stał z rękami w kieszeniach i czekał, aż wszystko sama zrozumie. Sławka półleżała na tronie, jakby bała się poruszyć.

- Dlaczego wróciły? - szepnęła. - Przecież dałam im to, czego chciały!

- Okpiły cię - wrzucił ramionami Rozpruwacz. - Przez cały czas dobrze wiedziały, że nie będą mogły stąd odejść.

- Ale skrzaci król...

- To nie był żaden król, tylko zwyczajny skrzat. Ktoś przecież musi mówić w ich imieniu, kiedy prawdziwy król jest w niewoli.

- W niewoli? Gdzie?

- U mnie.

Sławka chwyciła nóż, zacisnęła wargi i uciąła włosy krótko, tuż przy skórze. Przejechała dłonią po szorstkiej czaszce.

- Odrusną! - fuknęła. - Ale ciebie każe za to rwać kołmi!

- Możesz to zrobić. Tylko po co? Skrzaty pozostaną, żeby ci dręczyły do końca życia, i nie znajdziesz nikogo, kto mógłby ci pomóc.

Skoczyła do niego, piszcząc jak rozszalone dziecko, ale gniew przytępił jej czujność. Rozpruwacz uchylił się

przed ostrzem, zacisnął dłoń na jej nadgarstku, a drugą ręką objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Nóż upadł na deski podłogi.

- Zrobisz mnie swoim starostą - powtórzył, pochylając nad nią twarz. - A ja zastąpię tego głupca we wszystkim, do czego był ci użyteczny. Słyszysz? We wszystkim. I bądź pewna, że w każdej z tych rzeczy będę o wiele lepszy.

Przygarnął ją jeszcze mocniej i pocałował gwałtownie. Walczyła, wijąc się i wykręcając głowę, ale nie przestawała, póki nie nadeszła chwila, na którą czekał. Najpierw obwisła w jego ramionach, a zaraz potem wspięła się na palce i oddała mu pocałunek.

Wtedy ją puścił.

Z całej siły uderzyła go pięścią w twarz. Spokojnie wsadził dłoń za pas, chociaż czuł, jak pod okiem rośnie mu krwiak. Sławka dyszała głośno, rękawem ocierając usta. Patrzyła na niego zza rozwichrzonych włosów.

Potem schyliła się po nóż, kilka razy obróciła go w palcach i odrzuciła za siebie.

•

- To będzie dobre miejsce.

Była zbyt zmęczona, żeby od razu zrozumieć znaczenie słów sołtysa. Położyła się na plecach tam, gdzie stała, zamykając oczy i rozrzucając ramiona. W opuchniętych ze zmęczenia stopach i łydkach czuła każde uderzenie serca. Zdawało jej się, że wilgotne powietrze zamienia się w płucach w kleistą maź.

- Wstawaj! - Głos sołtysa był przytłumiony szumem, ale nie wiedziała, czy to wiatr, czy jej własna krew.

- Muszę odpocząć - wychrypięła z trudem.

- Wstawaj, głupia, bo inaczej będziesz miała na odpoczynek całą wieczność.

Czujnie otworzyła oczy. Zdążyła się już nauczyć, że trzeba brać poważnie to, co mówi sołtys. Brązowe, szare i ciemnożółte chmury były teraz tak odległe, jakby unosiły się pod prawdziwym niebem. Resztki mgły czasem zbiły się w większe obłoczki, ale szybko przepędzał je wicher. Zdziwiła się, że nie widzi nad sobą żadnych gałęzi.

Przyciągnęła do siebie łokcie, ale kiedy lekko uniosła plecy, nagle straciła oddech.

– Teraz ani drgnij! – Twarz sołtysa pojawiła się tuż nad nią, ale nie patrzył jej w oczy, tylko gdzieś niżej, na szyję. – Im mocniej się szarpniesz, tym szybciej cię zadusi.

Nie miała czym odychać, ale znieruchomiała. Czowała, jak na jej szyi coraz mocniej zaciska się gruba pętla. Język jej napęczniał, a gałki oczne zaczęły rozpychać oczodoły. Twarz sołtysa rozwiła się w popielatej zamieci. Ostatkiem siła walczyła z odruchem, żeby sięgnąć obu rękami do gardła i zedrzeć to, co ją dławiło. Wbiła zakrzywione palce w ziemię.

Uścisk zwiotczał w ostatniej chwili, kiedy już ryła piętami. Długo rzeźbiła, a każdy oddech sprawiał jej ból. Powoli rozpraszał się mrok. Podniosła drżącą dłoń do szyi i dotknęła piekącej przegi.

– Wstawaj, póki nie znajdzie cię następny.

Zobaczyła przed sobą wyciągniętą dłoń i złapała za nią kurczowo. Wstała, czknęła boleśnie i odpluła trochę zmieszanej z krwią śliny. Wyprostowała się gwałtownie, kiedy dostrzegła pod nogami długą jasnozieloną witkę.

– Nie bój się, urząłem przy samej ziemi. – Sołtys dopiero teraz schował nóż za pas. – Ale nie brakowało wiele. Gdyby nie udało mi się od razu, przy pierwszym cięciu, nie przeżyłabyś.

– Rany boskie! Co to jest?

– Nie wiem, wszystko jedno. Coś, co siedziało w ziemi i czekało tutaj na ciebie.

Stali na środku małej polanki, która czerniła się na zbozcu gołą ziemią. Była okrągła, szeroka na kilkadziesiąt kroków i prawie całkiem pusta. Tylko gdzieś tam sterczały nierówno przycięte kikuty pni, obrośnięte jakimś kielkującymi kępkami. Splotany gąszcz napierał ze wszystkich stron, wyciągając naprzód gałęzie o dziwnych kształtach.

– Karczowisko? – Ćmieluska niepewnie wpatrzyła się w cienie pod drzewami.

Nie spodziewała się, że jeszcze spotka w tej piekielnej puszczy trochę wolnej przestrzeni. Tak długo przedzierała

się przez gąszcz, aż w końcu uwierzyła, że nic lepszego w życiu na nią nie czeka. Wciągała głowę w ramiona, kiedy czyjeś zdrewniałe paluchy gmeraty jej we włosach, wyrwała nogi z kolczastych wnyków, zatykała uszy, kiedy jej się zdawało, że słyszy szepty albo śmiechy. Czasem traciła z oczu sołtysa, a wtedy cicho pojełkiwała ze strachu. Szli ciągle w dół, prosto, bez kluczenia, bez szukania ścieżek, których tutaj nie było. Zbocze robiło się coraz bardziej strome, choć pod osłoną liści nie było tego dobrze widać. Schodzili tyłem, czepiali się gałęzi, a często po prostu zsuwali się na tyłkach, wygniatając sobie drogę własnym ciężarem. Gdzieś tam niżej musiał być jakiś cel, do którego parł sołtys, ale Ćmieluska starała się o tym nie myśleć. Piekła ją twarz od setek ukłód drobnych kolców albo żudełek, od rozpalonej wilgoci kręciło się w głowie. Jakies brzęczące owady uparcie próbowały wcisnąć się jej do nosa. Na początku je odganiała, a kiedy rozbolaty ją ręce, pozwałała im wlażyć i rozgniatą je w środku, a potem wydmuchiwała, prychając jak koń.

Teraz wcale nie czuła ulgi, chociaż wreszcie uwolniła się z uścisku lasu.

– Nawet nie będzie się gdzie schować, kiedy... kiedy... – urwała i ucichła.

– Kiedy tu przyjdą? – Sołtys miał mokre włosy jak po ulewie. – Przecież o to właśnie nam chodzi. Muszą nas zobaczyć, bo inaczej zdechniemy z głodu, zanim nas znajdą.

Ćmieluska podkasała spódnicę i bardzo starannie, kawałek po kawałku wdeptała zieloną witkę w błoto.

– Na tę małą lysinę będzie im trudno trafić.

– Mylisz się. Mogliby tu przyjść z zamkniętymi oczami, gdyby było trzeba. Takie wykarczowane polanki to ich schronienie.

– Schronienie? Przed czym?

– Przed lasem – wzruszył ramionami sołtys. – Przecież gdzieś muszą spać, jeść i odpoczywać. Pilnują, żeby im te oczka nie pozarastały. Bezpiecznie jest tylko tam, gdzie nic nie rośnie.

– Mam o tym swoje zdanie. – Ćmieluska podniosła rękę do gardła.

- Po prostu miałaś pecha.
 - Mówisz, jakbyś się w tym lesie wychowywał.
 - Cóż, zachodziłem tutaj kilka razy. Lubię wiedzieć, co się wokół mnie dzieje. Przypatrzyłem się im dosyć dobrze.
 - Widziałeś wisiorek?
 - Widziałem. - Powoli pokiwał głową. - Z daleka i tylko przez chwilę, ale widziałem.
 Wiatr dmuchał tutaj o wiele mocniej niż na górze. Za każdym razem, kiedy w lesie narastał zbliżający się szum, milki i chowali pod pachami twarze przed gorącem. Ale tym razem Ćmieluska tylko przymknęła powieki, choć czuła się tak, jakby stała nad wrzącym kotłem.
 - Łzesz! - syknęła. - Tutaj nic nie można zobaczyć z daleka. Wszystko zasłania gąszcz.
 - Jak się ma dobre oczy, to można. Tam!
 Wyciągniętym ramieniem pokazywał prosto przed siebie, w niebieszczącą się naprzeciw stoku pustkę.
 Ćmieluska wpatrywała się tak długo, aż w kącikach oczu zapiekły ją łzy. Chciała je otrzeć rękawem, ale za stygła bez ruchu z uniesionym łokciem i przekrzywioną głową. Oparzy rozstąpiły się leniwie tylko na krótką chwilę, ale zobaczyła to. Zobaczyła na pewno. Daleki las wyglądał jak stary, brudny kozuch, na którym ktoś wyskubał czarne kółeczka.
 - Nie wiedziałam, że tamten stok można dojrzeć. - Opuściła rękę, nieotarte łzy spływały po jej policzkach.
 - Kiedyś doszedłem jeszcze niżej, tamtą stronę miałem w zasięgu łuku. Było już tak stromo, że laziłem na czworakach jak pies, a kiedy wracałem, tylek mi poczerwieniał od gorącego wiatru. Myślałem, że stąd jest już całkiem niedaleko do dna.
 Oparzy znowu zgęstniały i nie przejaśniały się więcej, ale Ćmieluska wciąż patrzyła przed siebie, z otwartymi ustami i zmarszczonym czołem.
 - Nie jestem pewna, ale... - Pokręciła głową, jakby chciała zaprzeczyć samej sobie. - Chyba widziałam na jednej polance po tamtej stronie jakiś ruch.
 Soltys rzucił jej krótkie spojrzenie, a potem leniwie się przeciągnął.

- Całkiem możliwe. Jeśli się nie mylisz, to oni też nas widzieli. I to dużo wcześniej.
 Ćmieluska zrobiła kilka kroków w stronę krawędzi karczowiska. Zatrzymała się, przygryzła wargę i wróciła. Pręga na jej szyi robiła się coraz ciemniejsza.
 - I co teraz?
 - Nic. Czekamy.
 - Tutaj?
 - Ty tutaj, ja między drzewami.
 Ze złością potrząsnęła głową, a brudne krople z jej włosów zaszmarały wokół niej jak deszcz.
 - Chcesz mnie tu wystawić na przynętę?
 - A masz lepszy pomysł?
 - Mam. Ty zostań, a ja się schowam.
 Soltys pochylił głowę, sciągnął z pleców łuk i kolczan. Zza jego obwisłych, zawilgoconych wąsów siniawy zacisnęły wargi.
 - Bierz! - Wyciągnął przed siebie obie ręce. - Będziesz musiała ich powystrzelać, kiedy po mnie przyjdą.
 - Wiesz, że nie umiem strzelać.
 - Wiem. I dlatego na przyszłość oszczędź mi takich dobrych pomysłów.
 Odchodził krzywo, łapiąc równowagę na grząskim zbożu. W jego głębokich śladach zbierała się woda, której powierzchnię marszczył wiatr. Nie oglądał się, Ćmieluska bardzo chciała jeszcze raz usłyszeć jego głos, zanim zniknie w półmroku.
 - Soltysie!
 Zatrzymał się, wyprostował, ale ledwie odwrócił głowę.
 - Co jeszcze?
 - A co będzie, jeśli oni nie będą mieli wisiorka?
 - Powystrzelam ich i poczekamy na takich, którzy mają.
 Ruszył znowu. Ćmielusce się zdawało, że powykrzywiane gałęzie drzew trzą z radości jedna o drugą na jego powitanie.
 - Soltysie! Czy oni naprawdę są tacy straszni, jak mówił Cyryl?
 Tym razem się odwrócił. Najpierw spojrzał w stronę, gdzie za oparami było przeciwległe zbocze, dopiero potem przeniósł wzrok na Ćmieluszkę.

– Są gorsi. Żli jak diabły, paskudni jak zaraza i na dodatek śmierdzą gorzej niż kocie gówna. Ale mają wisiołek, a my go potrzebujemy. Przesztań gadać i po prostu tam stój. To nie potrwa długo.

Przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę, ale niewiele to pomogło. Zaczynały boleć ją stopy, łydki i plecy, w ustach miała gorzką suchość. Stała twarzą do wiatru i coraz wyraźniej chwiała się w przód i w tył, ulegając jego uderzeniom. Nogi drżały jej ze zmęczenia, ale bała się usiąść albo choćby tylko przykucnąć. Oglądała się na skraj lasu, gdzie zniknął sołtys. Parę razy syknęła w tamtą stronę głośnym szeptem, ale w odpowiedzi nawet nie zaszeleściły liście.

Ogarniała ją coraz większa złość. Jeśli ci, na których czekała, naprawdę ją dostrzegli i teraz szli do niej przez gąszcz, to wcale im się nie spieszyło. Jakby była zajęciem, który złapał się we wnyki i tak czy owak nie ucieknie. Gdyby wiedziała, z której strony nadejdą, wyszłaby im naprzeciw, choćby nawet sołtys chciał jej puścić strzałę w kark. Za każdym razem, kiedy słyszała odgłos uderzenia szyszki o ziemię, nieruchomiła z wyciągniętą szyją. Ale nic się nie działo, żaden ruch nie małił cienia pod drzewami. Zniechęcenie powracało coraz silniejszą falą. Pociła się mocno, a spływające po plecach krople tak nieznośnie swędziały, że kłęta w głos. Miała przepelnięny pęcherz i z każdą chwilą coraz trudniej było jej o tym nie myśleć. Była gotowa zakasać spódnicę i zrobić co trzeba na oczach sołtysa, ale przypomniawszy sobie zieloną witkę i tylko zacisnęła zęby. Nie chciała sprawdzać, co się stanie, kiedy mocz wsiąknie w miękką ziemię.

Od razu wyczuła zmianę zapachu wiatru, choć dopiero po trzecim czy czwartym powiewie podniosła głowę. Smród był ulotny i zamierał razem z cichnym szumem, ale nie mogła się mylić. Na mgnienie oka przypomniawszy sobie jakiś dawno miniony, letni dzień z dzieciństwa, kiedy znalazła na gościńcu rozdeptanego końskimi kopytami jeża. Rój much poderwał się, kiedy nad nim przykłęknęła.

a podrażnione upałem owady uderzały w jej twarz. Dławiący zaduch poderwał ją na nogi, a potem do samego wieczora nie miała ochoty na jedzenie.

– Sołtysie, chyba idą! – zawołała przez ramię. – Jeśli to naprawdę jest ich zapach, nie pozwól im podejść za blisko.

Zmarszczyła czoło. Mógł jej odpowiedzieć. Mógł choćby wystawić z krzaków rękę i pomachać do niej na uspokojenie. Miała chęć podbiec tam i napluć w gąszcz, żeby choć na chwilę wytrącić go z tej zimnej wyższości.

Zapomniała o złości, kiedy znowu zwróciła twarz w dół urwiska. Zaduch był teraz tak mocny, że odczuła go niemal jak uderzenie w twarz. Kiedy przetaczał się wiatr, zdawało się, że ciemnieje powietrze. Szum przygasał za jej plecami, ale smród wcale nie zniknął. Był gęsty, nagrzany, wciskał się do nosa i do ust. Na długą chwilę wstrzymała oddech.

Dostrzegła ruch w zaroślach na dole i bezwiednie odetchnęła. Zatrute powietrze gwałtownie wtargnęło do jej płuc, jak woda zalewająca topielca. Zmiękły jej nogi, krople wody między łopatkami nagle zrobiły się całkiem zimne. Była pewna, że zemdleje. Nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o utrzymaniu się na nogach. Zaczęła oddychać przez usta i to trochę pomogło, chociaż zaduch wyciskał jej z oczu łzy. Niewiele widziała. Las obtańcowywał ją dookoła, kiedy próbowała zatrzymać na czymś wzrok. Bardzo chciała zwymiotować, żołądek kurczył się jej prawie tak samo szybko jak serce, ale miała zbyt ściśnięte gardło.

Następne smagnięcie gorącego wiatru wysuszyło jej łzy. Zobaczyła nagle wszystko ostro i wyraźnie, mogła śledzić zamierające kołysanie każdego listka na guzowatych gałęziach.

Wychodzili z lasu powolnym, wolim krokiem. Każdy zatrzymywał się na chwilę na brzegu polanki, jakby musiał przyzwyczaić oczy do światła, a potem ruszał dalej.

– Strzelaj! – zaskomlała jak szczeniak. – Nie mają wisiora!

Byli bardzo ciemni, nie widziała ich twarzy. Wydawało

się, że kiedy wylaniali się z gąszczu, z trudem prostowali plecy, jak kmiecie znad sochy. Niektórzy wyraźnie powłóczyli nogami. Szli w milczeniu, słyszała tylko ich dziwne, świszczące oddechy. Ich smród obezwładniał, mroził mózg.

– Na co czekasz, sukinsynu! Strzelaj!

Upadła na kolana i zalkała. Wiedziała, że nie wystarczy jej siła na ucieczkę. Smród oblepiał ją jak błoto. Zwisła głowę, z trudem walczyła z otepiałym znużeniem. Już nawet nie czuła młodości, tylko jakąś lekkość i szum w głowie.

Wyprostowała się na świst strzały. Musiała kilka razy zamruć, zanim wróciła ostrość wzroku. Skóra na karku ścierpła jej na drewno.

Jeden z nich stał o trzy kroki przed nią. Był wysoki i chudy, jego luźno zwieszona ramiona zakolebały się, kiedy powiał wiatr. Strzała weszła w jego szyję tuż pod szczęką, trochę z boku. Widziała wyraźnie każde pióro z osobna. W głowie zatrzępotała jej dziwaczna ciekawość, czy upadnie na twarz, czy na plecy. Czekwała na następny świst strzały.

Ale człowiek, który przed nią stał, nie upadał. Strzała podnosiła się i opadała razem z jego oddechem, podobnym do chrapania pijaka. Oczy Ćmieluski rozszerzyły się, serce zatłukło jak wróbel w glinianym dzbanie i umilkło. Podniosła rękę, żeby się przegnać, ale nie mogła trafić palcami w czoto.

– Wracajcie do piekła!... Matko Boska, co tutaj się dzieje...

Usłyszała gwałtowny szelest krzaków, a zaraz potem pospieszny tupot oddalających się kroków. Wiedziała, że sőtys ucieka, ale jakoś mało ją to obeszło. I tak nie mógł jej pomóc. Nikt nie mógł. Sama musiała im spojrzeć w twarz, żeby ich zapytać, czego chcą.

Wstała chwiejnie, jakby wypila kilka kubków mocnego wina w pełnym słońcu. Smród uderzał jej do głowy. Czuła, że kilku z nich stoi teraz za jej plecami. Pogwizdywali cichutko przy każdym oddechu, jakby im ktoś poutykał w gardłach piszczałki. Po raz pierwszy w życiu żalowała, że matka nie nauczyła jej żadnej modlitwy.

Podniosła oczy. Pęcherz nie wytrzymał i po nogach spłynęło jej ciepło, ale nawet tego nie poczuła.

– Witaj wśród wskrzeszeńców. Nie bój się, każdy przez to przechodzi. – Świst przed nią zamienił się w bełkotliwe, ale zrozumiałe słowa. – Najtrudniejszy jest początek.

Gnił. Gnił wszyscy. Psuli się od pięt po czubki głów. Niektórzy bardziej, inni mniej, ale woń rozkładu wisiała nad nimi jak nad padliną. Kilku miało na senej skórze ciemne plamy, jak wielkie siniaki, ale byli też tacy, u których mięso ledwie trzymało się kości. Skrzypieli, trzeszczeli, poruszali ciemnoniebieskimi wargami.

– Wiem, że jesteś zawiedziona. – Ten, który był najbliższy, sięgnął do szyi i zacisnął poczerniałe palce na strzale. – Wskrzeszenie miało wyglądać całkiem inaczej, prawda?

Pociągnął, ostrze wyszło całkiem lekko. Przez chwilę był odwrócony bokiem, a wtedy Ćmieluska czknęła ze strachu, głośno i wyraźnie. Prawa połowa jego głowy wyglądała jak jedna ropiejąca oparzelina. Nie miał z tej strony włosów, strzępek ucha zwinął się w trąbkę. Gałka oka wypadła na policzek, trzymając się na cieniutkim nerwie.

– Sprzeczką małżeńską – wyjaśnił przecznie, widząc jej spojrzenie. – Powiedziałem żonie, że pcha do pieczonogo zająca za dużo szczawiu, a ona wzięła z ognia kociołek z wrzącym sadłem i wylała mi na łeb. A ty?

Otworzyła usta, zamknęła i otworzyła jeszcze raz. Znowu czknęła, aż podskoczyły jej ramiona.

– Jak nie chcesz, to nie mów. Ale my, wskrzeszeńcy, raczej nie mówimy przed sobą tajemnic. – Wziął wiszące oko w dwa palce i przyjrzał się Ćmielusce dokładnie z góry na dół. – Wyglądasz bardzo dobrze, jeszcze nic po tobie nie widać. Trucizna?

Zaprzeczyła bardzo nieznacznym ruchem głowy. Wskrzeszeniec siorbnał tą połową nosa, w której była dziurka.

– No i prawie cię nie czuć. Długo leżałaś?

Zatapiała palcami stóp w cieplej kałuży, która szybko wsiąkała w ziemię. Miała przeczucie, że jeśli teraz się nie odezwie, w jej głowie pęknie jakaś wątła przegroda, za którą już kipi szaleństwo.

– Leżałam... Gdzie leżałam?

– W grobie, dziecko. Wyglądasz tak świeżutko, że pewnie miałaś prawdziwą dębową trumnę. Pozazdrościć.

Czkawka zdechła zupełnie nagle, jakby ktoś w pół kroku rozdeptał zabę. W ciszy, jaka zapadła, zmieszane świsły oddechów stłoczyły się wokół Ćmieluski.

– Ja żyję – powiedziała głośno.

– Jak my wszyscy. Pytam, jak długą miałaś przerwę.

– Nie miałam żadnej przerwy. Nie leżałam w grobie. – Bała się, że jeśli obstąpią ją jeszcze szczerzej, smród zwali ją z nóg. – Nie byłam martwa.

Zmieszali się. Kłapali szczękami, gulgotali, chwiali się jak strachy na wróble. Poczuli, że wielu z nich boi się jej, może nawet tak samo, jak ona ich.

– Jesteś pewna? – Wskreszeniec próbował złapać oko, ale cały czas wyslizgiwało mu się z palców. Ćmieluska zmusiła się, żeby zrobić krok naprzód, a wtedy oni, potykając się, odstąpili w tył.

– Chyba nie przeczyłabym czegoś takiego, jak własna śmierć?

Wskreszeniec uśmiechnął się zbyt szeroko i musiał potem uderzeniem pięści wbić sobie z powrotem szczękę.

– Kręci się tu jeden taki, który przeczył. Dostał w gospodzie nóż w plecy i teraz ciągle krzyczy, że wszyscy jesteśmy jego zwidami z przepicia. Wierzy, że kiedyś uda mu się wytrzeźwić i znowu wszystko będzie jak dawniej. Może ty też...

– Nie! – Tym razem pokręciła głową tak mocno, aż włosy opadły jej na twarz. – Nigdy w życiu nie byłam trupem. Przed chwilą się posikałam. Czy wy też sikacie?

Spojrzał pod jej stopy, gdzie parowała ziemia. Wsadził palec do dziury po strzale, jakby chciał się podrapać w gardle od środka.

– Nie powinnaś do nas przychodzić ani my do ciebie – mamlał teraz tak niewyraźnie, że ledwie go rozumiała. – Wybacz, wziąłem cię za kogoś innego. To dlatego, że od was z góry nikt nigdy do nas nie schodzi poza tym narwanym łucznikiem. Staramy się go obchodzić z daleka.

Wracaj do siebie i nie myśl o tym, co tutaj zobaczyłaś. Odwrócił się niezadarnie jak starzec i zaczął schodzić

w dół. Inni już znikali w lesie. Podtrzymywali się nawzajem na stromiznie, prowadzili pod ręce tych, którym robaki wyjadły oczy.

Ćmieluska odgarnęła włosy z czoła i zesłała kawałek za nimi. Grudki mokrej ziemi, które oblepiały jej pięty, odpadały przy każdym kroku. Już wiedziała, co powinna im powiedzieć.

– Jestem tą, na którą czekacie! – przekrzyczała wiatr. – Oddajcie mi wisiorek.

Zatrzymywali się, gdzie kto stał. Włosy podnosiły się im w podmuchach razem z płatami przegnitej skóry.

Strumień wyglądał na czysty. Szemrał po stoku, wymywając na zakolach wysokie skarpy i skrząc się na niebiesko w odsłoniętych miejscach. Ćmieluska odetchnęła swobodniej, kiedy upewniła się, że wszyscy wskreszeńcy są tam, gdzie ich zostawiła, kilkadziesiąt kroków niżej. Kladli się na brzuchach i chleptali prosto ze strumienia. Nie napiłaby się tej wody nawet umierając z pragnienia, gdyby nie miała pewności, że wyżej nikogo już nie ma.

Na płyciznie, gdzie woda stała, tuż nad dnem przemykały małe zabki. Wyglądały bardzo swojsko, ale kiedy chciała jednej z nich dotknąć palcem, nad powierzchnię wyskoczył długi na pół łokcia język, oparzył ją w czubek nosa i schował się z powrotem. Krzyknęła z bólu i podniosła rękę do twarzy, patrząc zezem na szybko rosnący pęcherzyk.

– Trzeba to wyssać.

Zanim podniosła głowę, poszukała na wodzie czyjegось odbicia, ale go nie znalazła. Młody kobiecy głos był miły i brzmiał całkiem zwyczajnie. Ukradkiem zmarszczyła nos, ale jedyny smród, jaki czuła, dochodził z dołu strumienia. Spojrzała przed siebie. Jej ręka opadła luźno, jakby nagle straciła nad nią władzę.

– No i czemu tak się dziwisz? – W głosie słychać było lekką urażę. – Myślałam, że już napatrzyłaś się wystarczająco dużo, żeby nie przejmować się byle czym.

Ćmieluska usiadła na piętach. Nos piekł coraz mocniej. Ochlapała twarz zimną wodą, trochę pomogło.

– Wybacz. – Coraz lepiej radziła sobie z przyjmowaniem rzeczy takimi, jakie są. – Po prostu jeszcze nigdy nie spotkałam gadającego wilka.

To była wielka samica, o wystających łopatkach, płaskich bokach i krótkiej szarej sierści. Siedziała na drugim brzegu strumienia i przyglądała się Ćmieluszcze z wywieszonym jęzorem, owijając ogon wokół zadu.

– I nie spotkasz. Przecież to nie gada ta zapchlona suka, tylko ja.

Wargi wilczycy lekko falowały, odsłaniając zęby. Ćmieluska podrapała się po czole i niepewnie rozejrzała się po zaroślach.

– To znaczy kto?

– Nazywam się Krasny Czepeczek. Głupie imię, ale jakoś do mnie przyszło od kotycki. – Wilczyca wstała i drobnym kroczkiem przedreptała się po brzegu tam i z powrotem. – Zezarył mnie wilki.

Ćmieluska przyjęła to spokojnie. Nabrała w złączone dłonie wody i zanurzyła w niej twarz, ale pieczenie ustalo tylko na chwilę.

– Smutne. Jak to się stało?

Wilczyca znowu usiadła, otulając się ogonem.

– Zwyczajnie. Miałam babkę, wdowę po bartniku, która mieszkała w lesie. Wiele razy ją przekonywałam, żeby się przeniósła do mnie na podgrodzie, ale ona się uparła. To była wredna, pomyłona starucha, z każdym rokiem gorsza. Ale nie mogłam na nią machnąć ręką, co babka, to babka. Co parę dni nosiłam jej w koszyczku jedzenie, żeby nie zmarniała z głodu w tej swojej guszy. No i w końcu doigrała się, a ja razem z nią. Wiedziałam, że jest źle, kiedy zobaczyłam otwarte drzwi chatki. Wilki dopadły ją we śnie, we własnym wyrku. Kiedy zajrzałam, konczyły ogryzać ostatnie kosteczki. Największa wilczyca podniosła okrwawiony pysk i spojrzała prosto na mnie. Potem niewiele już pamiętam, tylko wielkie oczy, uszy i zęby.

Ćmieluska skrzyżowała ręce i poglądziła się po gęsiej skórce, która wyskoczyła jej na ramionach. Teraz załowała, że za bardzo oddaliła się od wskrzeszeńców. Gdyby by-

ła pewna, że wystarczy jej na to sił, puściłaby się biegiem w dół strumienia.

– Ale... Gdzie ty właściwie teraz jesteś? – zapytała, nie podnosząc oczu.

– A gdzie mam być? W nich. Nie zdążyły mnie wy... pozbyć się. Jeszcze tego samego dnia przypętało się do mnie drugie nieszczęście. Wskrzeszenie. Byłam w kilku wilczych żołądkach naraz, więc wciągnęło pod ziemię całą watahę. Szczęście, że mogę mówić, chociaż nie mam pojęcia, jak to się dzieje.

Drugi wilk wystawił wąski pysk z zarośli po tamtej stronie, zaraz po nim następny. Zgasty błyski na wodzie, kiedy młody basior bezszelestnie wyszedł zza pleców Ćmieluski, okręcił się kilka razy w miejscu i legł z pyskiem na łapach.

– Chyba nie chcesz... Chyba nie ja?

– Masz mnie za potwora? – Wilczyca jednym susem przesadziła strumień i zbliżyła się do Ćmieluski, nisko zwieszając łeb. – Pozwalam im polować na wszystko, co się rusza i nie wygląda zbyt obrzydliwie, ale przecież nie na ludzi.

– Słuchają cię?

– Muszą. Siedzę w ich bebechach i jeśli tylko zechcę, mogę być dla nich bardzo nieprzyjemna.

Pęcherz na nosie Ćmieluski miał już wielkość orzecha i ciągle rósł. Powoli przesłaniał jej pole widzenia lewego oka. Wydawał się lekko tętnić, kiedy dotknęła go opuszką palca.

Wilczyca połaskotała jej czoło włosami na pysku.

– To trzeba przegryźć i wyssać, póki jeszcze się da. Wiedziałam już coś takiego. Będzie rosło i rosło, a jego powłoka stwardnieje. Z tym można żyć, ale tylko przez jakiś czas. Jak długo starczy twojej krwi dla was dwojga? Kiedy pęcherz zrobi się większy od twojej głowy, zaczniesz tracić przytomność. Minie jeszcze parę dni, zaśniesz i już się nie obudzisz.

– Może to wycisnę? – Dłonie jej się trzęsły, kiedy dotykała nosa.

– Będzie bardzo bolało, a potem i tak wyrośnie nowy.

Ćmieluska głośno wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Pomożesz mi?

– Nie bój się. My, dziewczyny, musimy trzymać się razem. Już to kiedyś robiłam, po tym, jak ten głupi szczeniak za tobą chciał pobawić się zabką.

Ćmieluska zamknęła oczy i nadstawiała nos, ale bardzo szybko odwróciła głowę.

– O co ci jeszcze chodzi? – Zimny nos wilczycy dotknął jej policzka.

– Jakos nie mogę przestać myśleć o... no, wiesz...

– Ach, to... – Gdyby wilczyca mogła, pewnie wruszyłaby ramionami. – Możesz o tym zapomnieć. Wilki obliźli ją się bardzo często, na pewno nie została już ani odrobinka.

Kiedy wilczyca docisnęła kiel, zabolalo samo uklucie, ale potem było już tylko lepiej. Błonka pęcherza pękła i krwawa ropa opryskała Ćmieluszcę całą twarz. Chciała się wytrzeć, ale wilczyca stanęła przednimi łapami na jej udach, ostrożnie wzięła czubek jej nosa między zęby i zaczęła ssać. Ćmieluska czuła, jak powoli ustępuje uciśk, który męczył ją od środka, gdzieś między oczami. Odetkał się nos. Zdziwiła się, że tyle tego paskudztwa już w niej siedziało. Po wszystkim została tylko mała ranka, jak po zadrażnieniu kołcem ostrężyny.

Odetchnęła przez nos, głęboko i swobodnie.

– Dziękuję. Gdyby nie ty, chyba musiałbyś to zrobić któryś z nich. – Podniosła płaski kamyczek i puściła kaczkę w dół strumienia. – A tego mogłabym nie wytrzymać. Jak ci się odwdzięczę?

– Jest coś, co możesz zrobić. – Wilczyca odwróciła się bokiem. – Mam takie miejsce na środku grzbietu, gdzie nie sięgam ani łapą, ani pyskiem. Podrap mnie, bo swędzi jak wszyscy diabli.

Ćmieluska długo czochrała ją obiema rękami, a wilczyca położyła uszy po sobie i zmrugała ślepią. Inne wilki przypatrywały się temu bez wielkiej ciekawości, trzymały się z dala od zabiegów zakola strumienia.

– Kogo właściwie swędzi, ciebie czy ją? – Ćmieluska przeczesala palcami twardą sierść.

– Ona jest mną, a ja jestem nią. Muszę dbać o nich wszystkich. Bez nich stałabym się tylko gadającą kałużą wymiocin.

Ćmieluska spróbował to sobie wyobrazić i mimo woli na chwilę jej ręce znieruchomiały. Wilczyca otrzepała się jak po wyjściu z wody, wygładziła jęczorem sterzące na bokach kołtunki i położyła się na grzbiecie, z niedbale rozrzuconymi łapami.

– Tak to już tutaj jest – ziewnęła, pokazując czarne podniebienie. – Każdy pozostaje tym, czym był w chwili wskrzeszenia. Nic się nie zmienia, ani na lepsze, ani na gorsze. Niektórzy z nich już dawno powinni rozpaść się na kawałki, a wciąż trwają. Ale są też tacy, którzy im zazdroszą.

– Jak ty?

– Nie! Ja mam swoje wilki i na dodatek nikt nie musi na mnie patrzeć. To już wiele. Ale gdzieś po tych lasach snuje się kilku rybaków, którzy wypłynęli na rzekę jedną łódką i już nie wrócili. Przeleżeli na dnie tak długo, że teraz nawet wskrzeszeńcy odpędzają ich kamieniami, bo nie mogą na nich patrzeć. Albo na przykład księżna.

– Jaka księżna?

– Och, jest trochę nieśmiała, ale za to garnie się do każdego, kto okaże jej trochę serca. Jestem pewna, że teraz siedzi gdzieś w krzakach i podsluchuje. – Wilczyca podniosła pysk i przez chwilę węszyła. – Możesz wyjść, pani. Ta miła dziewczyna chciałaby cię poznać.

Ćmieluszcę się zdawało, że przez gęste poszycie pełznie wąż. Rozejrzała się za jakimś kijem, ale wilczyca parsknęła znacząco i zbliżyła pysk do jej ucha.

– Staraj się zachowywać zwyczajnie, ona jest na to bardzo czuła. Łatwo sprawić jej przykrość.

Spod krzaków, sunąc po trawie, wyloniła się dłoń. Była ciemna i zaszuszone, jakby ktoś długo wędził ją w dymie. Poskrobała kciukiem w ziemi i ruszyła dalej. Pod skórą chudego przedramienia wyraźnie było widać kości. Zgrubienie łokcia zaczęło się w gęstwinie, ale dłoń zaparła się wszystkimi pięcioma palcami i szarpnęła mocniej. Jeszcze kawałek ramienia gładko przesunął się po trawie, a potem zdźbła wyprostowały się.

Ćmieluska wstała, lekko uniosła brudny rąbek spódnicy i dygnęła. Palec wskazujący o długim, czarnym paznokciu skinał jej w odpowiedzi łaskawie. Wilczyca zamiotła ogonem w prawo i w lewo.

– Jest zadowolona. Dawno nikt jej tak nie uszanował.
– Naprawdę jest księżną? – zapytała Ćmieluska szepcąc.

– Naprawdę. A raczej tym, co się z niej zachowało.

– A gdzie... reszta?

Opuszek palca zwiesił się smutno, kiedy Ćmieluska nie przestawała się wpatrywać w miejsce, skąd wypetziło ramię.

– Nie wiem wszystkiego. Co nieco księżna opowiedziała mi na migi, wiele można też wysnuć z plotek, jakie krążą między wskrzeszencami. Za mężobójstwo zapłaciła ćwiartowaniem, a szczątki kat rzucił do rzeki. Spłynęły z nurtem, tylko ramię zaplątało się gdzieś w sitowiu i tam doczekało wskrzeszenia.

Ćmieluszcze zrobiło się żal. Przykucnęła i pochyliła się nad zasuszoną ręką, jak nad wyrzuconym z gniazodka pisklątkiem.

– To musiał być wielki bydlak, ten jej mąż. Na pewno miała jakiś powód, przecież wygląda bardzo przyzwoicie.

– Ludzie się zmieniają, zwłaszcza po śmierci – kichnęła wilczyca, zarzucając łbem. – A księcia już poznałaś. To ten, którego wszyscy słuchają.

– On? – Ćmieluska ze zdumienia podniosła brwi. – Ani trochę nie wygląda na kogoś ważnego.

– Tutaj wszelkie pozory bardzo szybko tracą na znaczeniu, nie zauważyłaś?

Wskrzeszenci nad strumieniem zbierali się do dalszej drogi. Księżna kiwnęła na pożegnanie czterema palcami. Zwinnie obróciła się, zginając i rozprostowując łokieć, a potem odpełzała w cień. Wilki kręciły się niespokojnie, kuląc ogony.

– Miło się z tobą rozmawia, ale czas kończyć. – Wilczyca niespodziewanie liznęła ją szorstkim jęzorem po policzku. – My musimy coś upolować, a ty też masz swoje sprawy. Bywaj.

Przesadziła strumień w drugą stronę, ale zanim odbiegła dalej, Ćmieluska zatrzymała ją krzykiem.

– Czekaj! O co tu chodzi? Czasem mi się wydaje, że wszyscy wiedzą, co mnie czeka... oprócz mnie.

Czarne ślepie wilczycy były zwierzęco nieprzeniknione.
– Nie wiedzą. Mają po prostu nadzieję, że pomożesz im naprawdę umrzeć, nic więcej.

Wilki odeszły w ciszy. Zostawiły odciski w trawie ciemniejsze pręgi tropów, które błądy w oczach.

To, że nie przestraszył się pierwszego warknięcia, powiedziało mu więcej o sobie samym, niż dowiedział się przez całe dotychczasowe życie.

Stali naprzeciw niego ciasnym półkolem, krępi, niscy, z wyciągniętymi do przodu grubymi karkami i zbyt długimi rękami, które kołysały się luźno przy ugiętych kolanach. Mieli głębiej osadzone oczy, bardziej płaskie czoła i całe ciała porośnięte twardą sierścią, ale od pierwszego spojrzenia rozumiał, że to właśnie oni. Nawet ich zapach, drażniący i mocny, przyciągał go.

Przyglądali mu się uważnie, w skupieniu, ptasio przekrzywiając wielkie głowy i poruszając na boki żuchwami. Od czasu do czasu któryś z nich wychylał się naprzód, przymykał powieki i głośno węszył szerokim nosem. Nie okazywali strachu ani wrogości, tylko powściągliwe zaciękanie.

Jeden z nich wysunął się pół kroku przed resztę. Na jego policzkach, barkach i brzuchu bieleły się kępy siwiny. Podrapał się po żebrach, wywinął wargi i charknął krótko, na przydechu. Brzmiało to tak, jakby się zadławił, ale odmiencowi w skroniach zadudniła krew.

Rozumiał.
Gdzieś pod zwalami wspomnień, w zapuszczonych jamach pamięci, gdzie od wielu lat nie zaglądał, coś zaczynało kielkować. Przelknął ślinę, a potem starannie ułożył wargi i język tak, jak było trzeba. Krtań nie od razu zadrgała, jak powinna, ale to nie miało znaczenia.

Oni też rozumieli.

Kiedy poruszyli się wszyscy naraz, wokół ich kolan na powierzchni bagna plusnęły poszerzające się koła. Wydawało się, że ich stężałe twarze wciąż wyglądają tak samo, ale odmieniec umiał dostrzec nieznaczne zagęszczenia sierści wokół oczodołów i rozchylenie grubych warg. Wiedział, że się uśmiechają.

Siwy uniósł faldy brwi i prześlizgnął się wzrokiem po bagnie. Miał żółte zęby i bardziej niż inni pochylone plecy. Głośno sapnął przez nos, jak byk, kiedy zobaczył bielejącą w błocie twarz Gędkła. Na plecach i na przedramionach zjeżyła mu się sierść. Klasnął otwartą dłońią w udo, a wtedy cała reszta znieruchomiała w ciszy.

Ruszył w tamtą stronę, podnosząc włochate stopy ponad bagno i stawiając je bardzo ostrożnie, jakby sprawdzał dno. Kiedy był już całkiem blisko, w gardle zagulgotał mu warkot. Przy ostatnim kroku podniósł nogę jeszcze wyżej i postawił piętę na twarzy Gędkła. Wyprostował kolano, wduszając jego głowę w muł. Wątył strumień pecheryków powietrza z trudem przebił się na powierzchnię.

Odmieniec zachwiał się na nogach, żołądek nagle zrobił mu się ciężki, jakby natykał się kamieni. Zamknął oczy, ale to nie pomogło. Miał wrażenie, że od gwałtownego napływu skłębionych myśli puchnie mu czaszka.

– Nie! On... my... – bełkotał niezrozumiale, machając rękami. – Puść go!

Nie wiedział, w jakim języku krzyknął, ale siwy od razu cofnął stopę. Odwrócił się do odmieńca, nastroszył uszy i przyjrzał mu się uważnie z głębi oczodołów. Z tyłu na powierzchnię wyskoczyła głowa Gędkła.

– To wcale nie jest tak! – Odmieniec czuł, jak rozpacz dławi mu gardło, a drętwiejący język porusza się coraz oporniej. – Ja tylko nie chcę, żeby... Rozumiesz? Tak naprawdę to wcale nie... Hej! Zaczekajcie!

Jeden po drugim opuszczali oczy, odwracali się i odchodzili. Szli rozkołysani, cisi, nie oglądając się za siebie. Siwy ruszył ostatni. Kiedy go mijał, odmieniec z chlupotem padł na kolana. Bagno podeszło mu pod brodę. Wyciągnął w górę ręce, jakby chciał objąć siwego wpół, ale zabrakło mu siły. Albo odwagi.

– Nie odchodźcie! – prosił samymi wargami, bo słowa zlewały się z lkanem. – Nie zostawiajcie mnie. Czekalem na was przez całe życie. Teraz nie możecie... nie możecie...

Przygarbione, szarawe plecy coraz szybciej osnuwała mgła. Jeszcze chwila i chwijające się nad bagnem postacie wyglądały jak ulotne kłęby oparów. Ale odmieniec ledwie je widział, bo tzy piekły go jak ogień.

– Wracajcie! Zabijcie go! – Zerwał się na nogi, rżąc głosem szaleńca. – To tylko człowiek! Sam go zabiję, jeśli chcecie! Wracajcie...

Nie wiedział, jak długo stał w miejscu, a słona wilgoć ściekała mu z policzków w błoto. Po jego obolałej głowie snuły się samotne, chłodne myśli, które nic nie znaczyły. Gdyby miał w sobie choć trochę siły, może powłóczył się za znikającymi cieniami. Albo gdziekolwiek. A może zwyczajnie położyłby się w bagnie koło Gędkła, twarzą do dołu. Ale nie miał. Więc stał.

Chmury z wolna się przeredzały, nie uciekając w żadnym określonym kierunku, ale po prostu rozmywając się w błękitcie. Słońce wspięło się wyżej, wysuszając błoto na plecach odmieńca w twardą skorupę. Daleko, w coraz bardziej przejrzystym powietrzu, zaciemniała poszarpana krawędź ładu.

Nie usłyszał plusku wody, przekleństw, a potem kroków. Drgnął dopiero wtedy, kiedy na ramieniu poczuł dłoń.

– No, co z tobą? – W bladej twarzy Gędkła oczy świeciły niespodziewanie mocno. – Sterczysz, jakby cię tu zasadzili.

Odmieniec zatrzepotał powiekami. Na jego ubłoconych policzkach jaśniały węzowate smugi. Wydawało się, że potrzebuje dłuższej chwili, żeby przypomnieć sobie, kto do niego mówi. Potem przygarbił się mocniej i odwrócił twarz. Gędek powiódł oczami za jego wzrokiem.

– Jezu! A więc wyszło na twoje! – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Pośrodku tej pustki jest wyspa.

Odmieniec wruszył ramionami, strząsając z siebie jego dłoń.

– Jest.

Zimna obojętność w jego głosie sprawiła, że Gędek obszedł go bokiem i zajrzał mu w twarz.

– Co się stało?

– Nic.

– Czekaj, czekaj... – Ze zmarszczonym czołem obejrzał się wokół siebie. – Pamiętam, że płynęliśmy, póki z wyczerpania nie zacząłem rzygać żółcią. Chyba jakiś czas leżeliśmy brzuchami do góry, jak śnięte ryby. A potem? – Podrapał się jednym palcem po skroni. – Czy zapała nas jakaś burza?

Odmieniec zaczął iść. Nie myślał o niczym, nie miał żadnego celu, ale uczył się nadziei, że jednostajność kroków pozwoli mu jakoś od nowa wdrożyć się w życie.

– To było zatrute powietrze – burknął przez ramię, kiedy Gędek go dogonił. – W bagnach często zalega przy samym dnie. Musiało się tego uwolnić bardzo dużo, prawie nas zabiło. Mieliśmy szczęście, że się nie zapaliło.

– A te ognie, które widzieliśmy z daleka? – Gędek skrzywił się, splunął w bulgoczące błoto i przyspieszył kroku. – To też pewnie nie były żadne dobre duszki, tylko płonące wyziewy bagna. Co nas jeszcze czeka w tej milej okolicy?

– Wiem tylko, co czeka mnie.

Dno pod ich stopami twardniało, podnosząc się powoli.

– Mało się nie utopiłem, a ciebie nawet porządnie nie ochlapało. Jak zwykle. Czemu mnie wcześniej nie ocuciłeś?

Odmieniec znowu wruszył ramionami, ale tym razem inaczej, jakby dla zyskania czasu.

– Nie wiedziałem, czy żyjesz.

– Nie wiedziałeś, czy żyję? – Przez następnych kilkanaście kroków Gędek szedł na piętach, jak po zarze. – I nawet nie chciało ci się tego sprawdzić?

Dalej szli w milczeniu, odmieniec przodem, Gędek kilka kroków za nim, z zacisniętymi wargami i głową wbita w ramiona. Bagno zrobiło się płytsze, sięgając im po łydki, a potem ledwie omywając kostki. Pod warstwą gnijącego zielska coraz częściej przebyskiwała woda. Kilka razy zdawało im się, że spod stóp śmignęła jakaś rybka.

Wal ładu rósł przed nimi, jeząc się kółkami pojedynczych, małych drzewek i wysuwając im na spotkanie skaliste wypustki. Wpatrywali się w niego uważnie, oceniając dłońmi oczy i co chwila podbiegając. Z daleka weszli zapach czystych strumieni, lichej zieleni i nagrzaných w słońcu skał. Serca zabiły im mocniej, kiedy z krzaczastej skarpy prosto przed nimi strzeliło w niebo stadko małych ptaszeków.

– Ptaszyna się pożywi, to i dla nas coś się znajdzie! – Z Gędka uleciała cała zgrzyzota, kropelki potu na jego czole mrugały prawie wesoło.

Z ulgą wyszli na szarawy piasek, a kawałek dalej starannie oczyścili stopy z błota kępami suchych porostów. Usiedli na płaskim kamieniu, opierając się o siebie ramionami, i wystawili twarze do słońca. Spłoszona jaszczurka zaszeleściła w skąpej trawie.

Gędek zebrał trochę piasku i sypnął nim na wiatr.

– Wiesz już? – zapytał nagle.

Odmieniec poruszył płatkami nosa, ale nie otworzył oczu.

– Co?

– No, kim jesteś. Miałaś znaleźć odpowiedź na bagniskach. Znalazłeś?

Jasne smugi na policzkach odmieńca już się zatarty, ale powieki wciąż miał obrzmiałe i zaczerwienione. Zaszurał piętami w piasku, odsuwając się trochę w bok.

– Znalazłem.

Gędek otrzepał ręce i wstał. Zapatrzył się gdzieś daleko, ponad rozczochraną zasłonę krzewów.

– Czy oni są twoją odpowiedzią?

Odmieniec drgnął i otworzył oczy. Na tle nieba, teraz prawie bezchmurnego, lekki wietrzyk rozsznuwał kłęby dymu z ogniska.

– Oni.

– A czy... – Gędek w zamyśleniu sam do siebie poklepał głowę. – Czy powiesz mi, kim oni są?

– Zatrącający! – Odmieniec powiedział to zbyt głośno i zbyt szybko, a potem jeszcze powtórzył ledwie dosłyszalnie: – Po prostu zatrącający.

Do nocy zostało już niewiele czasu. W oddali bagno syczało i piekło się, jakby wchłaniało w siebie rozpalone do czerwoności słońce. Ptaki na gałęziach stroszyły piórka, suche trawy na brzegu szedeściły, podrywane powiewem. Od ziemi ciągnęło chłodem, a smród bagna wydawał się mocniejszy niż w dzień.

Odmieniec patrzył bykiem, jak Gędek kładł ostatnie płyty darni na plecionkę z wierzbowych witek. Pochyły dach szałas wydawał się mocny i szczelny, a popychane mchem ściany mogłyby przetrzymać nawet silny wicher. Na kamienistej, wysokiej skarpie nie groziło mu podmycie po ulewie.

– Masz zamiar tutaj zamieszkać? – Odmieniec pomyślał, że jego dawny szałas na pastwisku nigdy nie był na tyle solidny, żeby przetrwać wiosenne roztopy. – Uroczę miejsce.

Gędek przyklepał darni, odwrócił się i piętą kopnął ścianę, jakby chciał sprawdzić jej wytrzymałość.

– Od wielu lat mieszkam wszędzie tam, gdzie mnie licho zaniesie. – Udawał, że nie słyszy wyzwania w jego głosie. – Nie wiem, jak długo będziesz siedział i zamartwiał się Bóg wie czym. Ktoś przecież musi myśleć o takich zwyczajnych sprawach, jak dach nad głową. Ty możesz dalej poszukiwać samego siebie, a ja tymczasem poszukam czegoś do zarcia.

– Śmiesz cię to? – warknął odmieniec.

– Nie. Tylko myślę, że zachowujesz się jak baba. Nikt nigdy nie pozbył się kłopotów, siedząc i rozmyślając nad nimi.

– Co ty możesz wiedzieć o moich kłopotach? Jesteś zwyczajnym sadzirczepą! Nigdy byś się nie ruszył zza płotu, gdyby cię nie wyгнаło w świat parszywe choróbsko.

Gędek poszarzał na twarzy i przymrużył oczy.

– A ty to kto? Przyuczili cię do ciągnięcia krów za cycki, to teraz chcesz udawać, że jesteś lepszy? Niby czemu? Zamiast rozpamiętywać, co ci naplotła wiedźma, lepiej przypomnij sobie, jak skomlałeś wtedy, nad jeziorkiem przy gościńcu. Byłeś gotów całować moje gnijące ręce, bylebym cię nie odgonił jak psa.

– Gdybym wiedział, że przysiesz się do mnie na resztę życia, wolałbym się wtedy utopić w tamtym jeziorku! Zerwał się na nogi i zbiegł ze skarpy, obtłukując sobie kostki na wystających kamieniach. Nie wiedział, dokąd pójdzie, ale chciał być jak najdalej stąd. Potrzebował teraz samotności prawie tak samo, jak przez całe życie tęsknił za wspólnotą. Wiedział, że przez chwilę był już bardzo blisko odnalezienia tego, za czym tęsknił, ale zaprzepaścił to. Kiedy o tym myślał, miał ochotę po kolei poodgryzać własne palce.

– Wrócisz, jak ci w nocy przechłodzi tylek! – Gędek stał przy swoim szałasie z rękami opartymi na biodrach, ale nawet z daleka było widać, że cały się trzęsie. – Jeszcze mnie grzecznie poprosisz o kawałek suchego mięsca!

– Wolałbym spać w psiej budzie!

– Pasowałbyś tam, przemądrzały karle!

– Pijawka!

– Krowi giez!

Skarpa sterczała na piaszczystym brzegu samotnie i odmieniec stracił ją z oczu dopiero wtedy, gdy minął porośnięty młodymi brzoźkami cypel. Wciąż jeszcze przezuwał wyzwicka, ale już nie miał ochoty wykrzykiwać ich w stronę ciemniejącego nieba. Zbierała się w nim wściekłość i żal, dla których nie umiał znaleźć ujścia. Dobrze wiedział, że Gędek nie jest niczemu winien. Był nieważny jak drzewo albo glaz. Nie mógł ani pomóc, ani zaszkodzić.

Odmieniec podniósł głowę i przymknął oczy. Wyczuł swoim szerokim nochem w oziębiającym się powietrzu swąd dalekiego dymu. Zacisnął powieki, pod którymi poczuł wilgoć.

Spróbował sobie wyobrazić, jak zatracenicy siedzą przy dogasającym ogniu i jeden drugiemu wylapują wszy z owłosionych karków. Zamierające płomienie zabarwiają dna ich głębokich oczodołów na czerwono. Moszczą się do snu na podściółce z liści, nie myśląc o tym, że nocne niebo zaciąga się deszczowymi chmurami.

Strząsnął z siebie te myśli, jak pies wodę.

Znalazł sobie matę, osłonięte od wiatru zagłębienie pod korzeniami zwałonego drzewa i wpełzł tam na czwora-

kach. Plecy trzęsły mu się od tłumionego płaczu. Nigdy jeszcze nie było mu tak źle, nawet w najgorszych dniach na pastwisku, kiedy chłopaczyska dręczyli go najzawzięciej. Gdyby teraz spotkał Lubicę, naplułby jej w twarz za to, że go tutaj wysłała. Tylko udawała, że potrafi go zrozumieć. Naprawdę wiedziała o nim równie mało, jak wszyscy inni. Nic.

Czarne chmury spryskały wysepkę krótkim i gwałtownym deszczem. Krople zabębniły między korzeniami, ale kiedy pierwsze strużki zaczęły spływać na dół, deszcz osłabł, a potem przeminął. Górą powiał silniejszy wiatr, dmąc w mroku gniewnymi porywami. Chmury rozsuwały się opornie, skłębając się i zachodząc jedna na drugą, ale coraz częściej prześwitywały między nimi gwiazdy. Nagle, jakby ktoś podsylił ogień, zrobiło się jaśniej i okrągły księżyc wysrebrzył krople deszczówki, które drżały na liściach.

Odmieniec odetchnął głębiej, szukając w rześkim powietrzu ulgi i pokrzepienia. Zawsze lubił noc. Bez strachu pozwalał jej dotykać swojego czoła i skroni, chłodzić kark, osiadać rosą na wargach. Dawniej w takich chwilach zdarzało mu się zapomnieć, kim jest. Patrzył na jasny księżyc, do którego nie mogły się przykleić żadne ziemskie brudy, i nie myślał o niczym. Czasem widział na jego tarczy czarne cienie nietoperzy, ale częściej tylko słyszał ich piski, niekiedy tuż nad głową. Na kawałku nieba, jaki widział z wykrotu, nie było teraz ani jednego obłoku. Każda z gwiazd świeciła swoim zimnym światłem, klującym jak igielka.

Niespodziewanie zmroził go strach. Siedział skulony, z brodą opartą na rękach, a pod policzkiem czuł jeżące się na przedramieniu włosy. Przez bardzo długi czas, duży i męczący, nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Widział to samo niebo i te same gwiazdy, a przecież czuł, że wszystko się zmieniło. Ze sterczących w górę gałęzi wisiły nitki pajęczyn, lśniące od poświaty i chwijające się pod jego oddechem. Kupka zeschłych liści przetoczyła się z miejsca na miejsce, pchnięta krótkim uderzeniem wiatru. Przeciagle zaskrzypiało jakieś stare drzewo, jakby zaraz miało się zwałić.

I znowu cisza.

Odmieniec powoli podniósł się na nogi. Zawadził głową o korzeń i zastął w niewygodnym pochyleniu. Kiedy nic się nie stało, odważył się wyjrzeć na zewnątrz.

Tym razem od razu dostrzegł, że z nieba zniknęły nietoperze. Ledwie dosłyszał ostatni pisk, który rozbrzmiał gdzieś daleko i ucichł, jakby urwany w połowie. Wspiął się na śliski po deszczu pień i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Bardzo długo węszył z głową odrzuconą do tyłu, jakby chciał poczuć zapach gwiazd. Wszystkie wonie wyspy, splecione, surowe i wilgotne, zamieniały się pod jego zamkniętymi powiekami w wielobarwne smugi. Pozwalał im przepływać swobodnie i dalej szukał czegoś, co maćliby zwyczajność. Kilka razy zdawało mu się, że jest już bardzo blisko, ale za każdym razem zapach rozmywał się wśród innych. Dopiero gdy wiatr całkiem zamarł, poczuł to wyraźniej.

W nocnym powietrzu rozchodził się leciutki zapach szlamu, jaki można poczuć, kiedy dźgnie się patykiem dno stawu, a potem zbliży go do twarzy. Był tak ulotny, że gdyby odmieniec się nie starał, pewnie w ogóle by go nie wyczuł. Pokręcił głową, żeby odnaleźć kierunek, z którego napływał.

Otworzył oczy, zachwiał się i bez krzyku stoczył się z pnia między krzaczki poziome. Zdawało mu się, że czarne niebo zwiokrotniło odgłos jego upadku.

Woń szła z góry.

Od razu zaczął biec, nie czując bólu w skróconej kostce. Wywiesił suchy język i gwałtownie, jak mógł, przeskakując wystające z ziemi korzenie. Daleko po prawej stronie zapalał się rój iskier na powierzchni bagna, a prosto przed nim, na cyplu, krzywe brzoźki rzucały księżycowe cienie. Nie musiał już węszyć. Wiedział, że zapach się nasila. Wydawało mu się, że przenika przez skórę prosto do krwi, podniecając strach. Dopiero teraz serce zaczęło mu łomotać.

Poczuł dym. Białe plamy na korze brzoźek nabrały czerwonego odcienia. Po drugiej stronie cypla płonęło ognisko, głośno trzaskał chrust. Odmieniec jęknął i przez

kilkanaście kroków biegł na ugiętych kolanach, jakby do-
stał cios w plecy. Zwątpił, czy zdąży. Ghucha złość na głu-
potę Gędka na jakiś czas nawet przemogła strach. Scho-
wał język, zgrzytnął zębami i jeszcze bardziej wydłużył
krok. Nie obiegał cypla skrajem, ale przedarł się na prze-
łaj, chowając pochyloną głowę za zgiętym ramieniem i ła-
mając cieniutkie pnie drzewek.

Gędek stał nad trzaskającymi płomieniami i grzał so-
bie otwarte dłonie. Jasność splywała ze skarpy i w pobli-
żu brzegu gasiła nawet ogniki na bagnie. Chyba nie sły-
szał kroków nadbiegającego odmieńca, bo na jego krzyk
gwałtownie poderwał głowę.

– Gaś ogień!

Wyprostował się zaskoczony i niepewnie zatarł ręce.

– Czego wrzeszczysz? Mówiłem, że kiedy ci przechło...

– Gaś! – Odmieniec wskoczył na stok skarpy, ale osu-
nął się w dół razem z luźnymi kamieniami. – On tu leci!

Gędek spod uniesionej brwi jednym okiem spojrział
w niebo. Nad jego głową migotało rozgrzane powietrze.

– Słuchaj, cwaniaku, jeśli chcesz wrócić, to wystarczy
tylko...

Znowu nie dokończył, nasłuchując. Gdzieś bardzo wy-
soko, jakby pod samym księżycem, budził się wiatr. Krę-
cąc głową pochylił się i pomógł odmieńcowi wdrapać się
na skarpe. Chciał uśmiechem pokryć niepokój, ale odmie-
niec nawet na niego nie spojrział. Doskoczył do ogniska
i jednym kopniakiem rozrzucił je po całej skarpie. Pod
płonącymi szczapkami zasyczała mokra trawa.

– Ruszaj się! Trzeba to pozaduszać! – Odmieniec bie-
gał od płomyczka do płomyczka i zadeptywał je, wznieca-
jąc iskry.

Gędek przez chwilę czekał, aż przemienie narastający
szum wiatru, ale cisza już nie wróciła. Wzruszył ramiona-
mi i podniósł głos.

– Sam sobie opiekaj pięty, jeśli to lubisz!

Odmieniec rzucił mu wściekłe spojrzenie i schylił się
nad kolejną szczapkę. Nie zgasił jej. Długo prostował ple-
cy, jakby wahał się, czy naprawdę chce to zrobić. Kiedy
znowu spojrział na Gędka, nie patrzył mu w twarz, ale
gdzieś ponad jego ramieniem.

– Widzi nas.

W jego głosie był spokój, od którego Gędkowi przeszły
po karku ciarki. Odwrócił głowę, chrząkając niespokojnie.

Wicher wpełchnął mu oddech z powrotem do gardła.
Wielkie czarne skrzydła zasłoniły pół rozgwieżdżonego
nieba. Wyglądały jak zagłe wzdęte na wietrze.

– To jest smok. – Gędek poczuł na plecach gorącą
dłoń odmieńca. – Szukał nas, a ty mu ułatwiłeś sprawę.

Gędek kilka razy układał zdrewniałe wargi do pier-
wszego słowa.

– Czy nie powinniśmy... odejść stąd?

– To na nic. Zobaczył nas. Teraz już nie możemy uciec.

Czekamy.

– Na co?

– Az wybierze jednego z nas. Smoki nigdy nie zabijają
więcej, niż mogą zjeść na raz.

Gędek bardzo głośno zatarł dłonie. Skrzydła znieru-
chomiły jak u kółającego orła. Gędek chciał się cofnąć,
ale nie zrobił ani kroku. Nie wiedział, czy powstrzymuje
go ręka odmieńca, czy po prostu nie słuchają go własne
nogi.

– Zrób coś! – Zaskowytał jak szczenię, któremu nade-
pnięto na ogon. – Jesteś tutaj u siebie!

Szczapki dopalały się z cichym sykiem, który gubił się
w szumie.

– Już zrobiłem, co mogłem. Wróciłem do ciebie. Dalem
mu wybór, ale... – Tym razem odmieniec nie dokończył.

– Co? Na Boga, mów!

Gędek poczuł, jak gorąca dłoń zeslizguje się z jego ple-
ców. Zachwiał się, jakby stracił oparcie.

– Prawdziwe ludzkie mięso to w tej okolicy bardzo
wielka rzadkość.

Wiedział, że na niego patrzają. Nie mógł ich dojrzeć, bo
ukrywali się wśród poszarpanych wierzchołków białych
skał, ale czuł ich obecność. W napiętej ciszy ich oczy od-
prowadzały go od jednego załomu wąskiego przejścia do
drugiego. Podejście nie było strome, ale i tak przed każ-

dym krokiem musiał od nowa zbierać siły. Był przemoczony i głodny, a po nocy bez snu piekły go powieki. Zdawało mu się, że błądzi w płataninie kamiennych przesmyków od bardzo dawna, ale kiedy odwracał się i patrzył na bagno, jasny pasek piasku na brzegu wciąż był tuż u jego stóp. Kilka razy przy rozwidleniu wybierał złą odnogę, która kończyła się ślepo albo łukiem zwracała na dół, i potem musiał tracić wiele sił na powrót. Na ostrych kamieniach ranił sobie stopy, a jego chrapliwy oddech, uwieszony między wysokimi ścianami, szumiał jak górski potok.

Na początku, kiedy tylko zostawił za sobą wilgotny piasek, miał nadzieję, że zatracenicy wyjdą mu naprzeciw. Za pierwszym razem zapuścili się przecież aż na bagno. Ale im dłużej brnął w głąb wyspy, tym szybciej wietrzyły mu z głowy złudzenia. Wtedy byli go ciekawi, a teraz otaczała go tylko kamienna pustka. Ich oczy śledziły go z ukrycia z czujną niechęcią. Wiedział, że jeśli czymkolwiek podsyci ich wrogość, ukamienują go na ciasnej ścieżce jak wilka w paści. Unikał patrzenia w górę, starał się trzymać gołe ręce na widoku.

Ale było też coś jeszcze. Bali się. W twarz ciągle dął mu lekki przeciąg i od czasu do czasu wyczuwał w nim zapach ich potu. Nie mógł się mylić, znał go bardzo dobrze. Pamiętał go od najwcześniejszego dzieciństwa, bo to był smród jego własnego strachu, który ciągnął się za nim przez całe życie. To było bardzo dziwne doznanie, kiedy rozpoznawał w nich cząstkę samego siebie.

Z ulgą świsnął przez zęby, kiedy kamienistą drózkę porósł mech, a kawałek dalej licha trawa. Jego pokaleczone stopy odciskały krwawe ślady. Skalne ściany odsuwały się na boki i malały, coraz częściej prześwitywały w nich szczyby. Podścielone szarymi chmurami niebo z każdym krokiem szerzej otwierało się nad głową.

– Nie idź dalej, bo cię zabiję.

Zatrzymał się ze stopą uniesioną do następnego kroku, a potem bardzo powoli postawił ją na ziemi. Głos dochodził z przodu, gdzieś spoza obłego garbu, za którym otwierał się trawiasty płaskowyż. Dzielilo go od niego je-

szcze kilkadziesiąt kroków. Ukradkiem rozejrzał się na boki, ale skały były teraz zbyt daleko, żeby mógł dopaść do nich jednym skokiem.

– Stoję.

Każde słowo, jakie padło w tej gardłowej mowie, burzyło mu krew. Miał uczucie, jakby ktoś kawałek po kawałku zdrapywał zaskorupały brud na jego pamięci. Przypominał sobie jakieś urywki dawno zapomnianych opowieści, w głowie mieszały mu się twarze, głosy i obrazy.

– Idź do swoich. Nie chcemy cię tutaj.

Był prawie pewien, że znał ten język wcześniej, niż nauczył się mówić po ludzku. A potem go stracił, razem ze wszystkim innym. Zapatrzył się w samego siebie. Widział, jak spod śnieżki przeblyskuje czyste srebro.

– Nie mam żadnych swoich. Nie mam nikogo.

Nad grzbietem pokazała się głowa. Odmieniec poznał, że to jeden z tych, którzy byli na bagnach. Krzywy, poczerwiał zęb sterczał mu spod górnej wargi nawet wtedy, gdy miał zamknięte usta.

– Każdy ma jakichś swoich. Twój swój są z wielkim błotem.

– Nie przychodziłbym tutaj, gdybym gdziekolwiek miał swoich. – Odmieniec wyczuł w głosie tamtego chęć do rozmowy i odważył się zrobić kilka kroków naprzód.

– Stój! – Zatraceniec wskoczył na grzbiet i podniósł nad głowę długi oszczep. – Zabiję cię!

– Już to mówiłeś – odparł łagodnie, jakby zwracał się do Łaciatej, kiedy wierzyła przy dojeniu. – Przecież stoję. Jeśli nie chcesz pozwolić mi przejść, przywołaj tutaj waszego... waszego... – Wiedział, że zna odpowiednie słowo, ale minęło trochę czasu, zanim je odnalazł. – Przywołaj Najstarszego. Porozmawiam z nim, a potem sobie pójdę.

Zatraceniec opuścił oszczep, oparł go o ziemię i przytulił policzek do drzewca. Płowe miotłki jego brwi przesuwały się w górę i w dół, kiedy się namyślał. Na końcu wystającego zęba wisiła kropelka śliny.

– Najstarszy nie przyjdzie. – Potarł czołem o oszczep.

– Za bardzo śmierdzisz wielkim gadem.

Gdzieś z tyłu stuknął kamień. Odmieniec obejrzał się,

a wtedy zatraceniec, który wyszedł na ścieżkę za jego plecami, ugiął kolana i nadstawił swój oszczep. Inni jeden po drugim wychylali się zza skał, nad ich głowami bielili się kościane ostrza. Odmieniec zrozumiał powód ich strachu i to dodało mu pewności siebie.

– Śmierzę, bo tej nocy byłem bardzo blisko niego. Bliżej, niż teraz stoisz.

Zatraceniecy zaszmziali wszyscy naraz. Zeskakiwali na ścieżkę i podchodzili bliżej, z oczami rozszerzonymi zdumieniem. Tylko ten, który stał z przodu, nie ruszył się z miejsca. Głośno pociągnął nosem, przełożył oszczep do lewej ręki i pięścią uderzył się w pierś.

– Myślisz, że mamy puste głowy jak dzieci? Nie opowiadaj nam bajek. Nikt nie może patrzeć z bliska na wielkiego gada.

– Ja patrzyłem. Spod jego skrzydeł wiał wicher, który przewrócił mnie na ziemię. Ale nie odwróciłem oczu.

Zatraceniecy skupili się wokół niego. Wszyscy mieli otwarte usta i sapali z przejęcia. Krzywozęby lekko zbiegł ze wzgórza, ani na chwilę nie odrywając wzroku od twarzy odmienca. Zatrzymał się tuż przed nim, prawie przytkając mu nos do nosa.

– Wiesz, co ja myślę? Znalazłeś jego ślady na piasku i wytarzałeś się w nich, żebyśmy to poczuli i cię podziwiali.

Kiedy się śmiali, wyglądali jak psy krztuszące się rybiemi ościami. Potrzęsali oszczepami, poklepywali go po plecach, parskali mu śliną na kark i na twarz. Przeczekał to w milczeniu, wysoko podnosząc głowę i zaciskając zęby. Kiedy trochę przycichli, bez słowa wyciągnął przed siebie rękę. Na jego dłoni leżała szara łuska, wielka jak liść dębu.

Odskokczyli na kilka kroków do tyłu, wszyscy oprócz Krzywozębego. Kościane ostrze zatoczyło łuk i ukuło odmienca w grdykę. Nie cofnął ręki ani o włos.

– Skąd to masz? – Wargi zatracenca odwijają się po każdym słowie, jakby chciał pokazać kły.

– Ty mi powiedz. Może znalazłem tam, gdzie się wytarzałem?

– Wielki gad nie gubi łusek.

– No właśnie. – Odmieniec podniósł rękę do gardła

i dwoma palcami odsunął ostrze na bok. – Więc mi uwierzcie, że mówię prawdę. Był bardzo blisko. Prześlizgiwał się tuż koło mnie, bałem się, że mnie rozgniecie swoim cielskiem. Wyciągnąłem ręce i trafiłem palcami między łuski. Chyba nawet tego nie poczuł, ale kiedy ruszył dalej, jedna łuska trzasnęła i została mi w dłoni.

Znowu się przy nim ściętnili, teraz milczący i przygarbieni, ostrza ich oszczepów chwiały się nad ziemią. Po kolei stawali przed nim, pochylali twarze nad jego dłonią, a potem odchodzili na bok sztywnym krokiem, z odsłoniętymi zębami i zjeżonymi karkami. Wlekli za sobą po ziemi drzewca oszczepów, jakby już ich nie potrzebowali.

– Czemu cię zostawił? – Krzywozęby raz z razem mrugał jedną powieką, jakby coś wpadło mu do oka. – On tak nigdy nie robi.

Odmieniec z ulgą wypuścił powietrze. Wiedział, że ich przekonał.

– Nie byłem tam sam. Wziął kogoś innego.

Zatraceniec poruszył wysuniętą szczęką w lewo i w prawo, podłubał małym palcem w nosie.

– Tego drugiego?

– Tak.

– Tego brzydkiego?

– Tak, właśnie tego.

– Tego, który ma za małą głowę, za krótkie ręce i skórę białą jak u glisty?

– Nazywa się Gędek. – Udało mu się stumić w zarodku narastającą złość. – I jest moim przyjacielem.

Krzywozęby powoli obszedł go dookoła, jakby chciał jeszcze raz uważnie obejrzeć go ze wszystkich stron. Potem znowu przyłożył nos do jego nosa, ale zrobił to niemal łagodnie.

– Mówiłeś, że nie masz swojaków.

– Bo nie mam. Ale Gędek kiedyś mi pomógł, więc teraz nie mogę go tak zostawić.

– Znowu mówisz jak głupiec. Z twojego swojaka nie zostanie nawet kostka z palca, żebyś mógł ją sobie zawiesić na szyi.

– Nie o to chodzi. – Odmieniec pomyślał o ich grzecho-

czących naszyjnikach i na chwilę zaschło mu w gardle. – On żyje. A przynajmniej żył wtedy, kiedy porywał go smok. Bardzo długo słyszałem jego wołanie, jakby wrzeszczał do mnie spod nieba.

– Gad nie porywa, tylko zjada.

– Mówię, jak było! – parsnęła gniewnie. – Po co inaczej pchałbym się do was?

Zatrąconie długo milczał, patrząc mu z bliska w oczy. Potem wyprostował się, zarzucił oszczep na ramię i pokłwał głową.

– Chodź – powiedział. – Ale wyrzuc łuskę, bo kobiety wyczują i z daleka przywitają cię kamieniami.

•

– Musi być jakiś inny sposób!

Książę krążył w półmroku jak ryś czujący niebezpieczeństwo, dziesięć kroków tam i dziesięć z powrotem. Kopnął jakiś kamień, stukot rozniósł się pod wysokim, niewidocznym sklepieniem.

– Może i jest. – Lubicha już dawno przestała wodzić za nim oczami. – Jeżeli masz pomysł, mów.

– Jestem księciem! – Uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Oni tam, na górze, muszą mnie słuchać!

– Powiedzmy, że muszą. I co dalej?

– Opuścimy dwór i podgrodzie. Wszyscy, do ostatniego dziada. Każdy zabierze ze sobą tylko swoje bydło, swoje kury i swoje wszy. Znajdziemy jakieś dobre miejsce i pobudujemy się tam od nowa. Gdzieś, gdzie nie dzieją się takie rzeczy.

Splunął w stronę, gdzie w ciemności stały słupy niebieskiego światła. Łagodna poświata wystrzyła zarys jego nosa i posrebrzyła włosy.

– Tyle niepotrzebnych słów, a przecież wystarczy tylko jedno – powiedziała Lubicha cicho i bez złości. – Chcesz uciec.

– Nigdy przed niczym nie uciekałem! To tylko odwrót, na jakiś czas, póki nie zbierzemy sił.

Słupy światła powoli zaczynały błędnąć. W miarę jak gasty, zielony ognik na kiju Lubichy wydawał się rozżarzać.

– Uciekałeś, i to wiele razy. – Uciszyła go spojrzeniem, kiedy próbował jej przerwać. – A najwytrwalej uciekałeś zawsze przed samym sobą. Ale teraz powinienes już wiedzieć, że są rzeczy, przed którymi nie można się schować.

Omiął tamto miejsce wzrokiem tak długo, jak mógł. Spojrzał tylko raz, zaraz po tym, jak tutaj zesłi. Najbardziej go przeraziło, że ją rozpoznał. Tłumaczył sobie, że to tylko kupa starych kości, choć dobrze wiedział, że to nieprawda.

Ona wciąż była sobą.

– Trzeba ją w końcu pogrzebać, nie może tak tutaj siedzieć – mruknął.

– A pewnie, synku. – Sam się dziwił, że nie raziło go, kiedy wiedział tak do niego mówiła. – Kto ma to zrobić, jeśli nie ty?

– Nawet o tym nie myśl! – Pokazał ze strachu górne zęby. – Nie jestem grabarzem.

Lubicha westchnęła i pokręciła głową, jak nad dzieckiem, które nie chce zrozumieć, dlaczego nie wolno sikać do łózka.

– W takim razie nie zaczynaj z tą, póki nie skończysz z tamtą.

– O czym ty gadasz?

– Dobrze wiesz, o czym. Kruszyna jest gotowa, żeby cię przyjąć takim, jaki jesteś, ale nigdy nie zrobi tego wbrew matce.

Obrócił się na pięcie, jakby ktoś pociągnął go za rękaw, i po raz pierwszy przypatrzył się im obu. Matka siedziała wyprostowana, oparta o skałę, a jej wysoko podniesiona głowa z pustymi oczodołami i wiszącą szczęką wyglądała niemal dumnie. Na pustej klatce jej zeber wisiły strzępy sukni. U jej stóp, zwinięta w kłębek jak kot, spała Kruszyna.

– Myślisz, że ona mi wybaczy? – zapytał szeptem, jakby się obawiał, że wszystko, na co patrzy, zaraz się rozwieje. Światło kija padło na jego policzek. Lubicha stała teraz koło niego, chociaż wcale nie usłyszał jej kroków.

– Która z nich?

– Córka – niecierpliwie zmarszczył nos. – Dla matki jest już o parę lat za późno.

- Przekonaj się.
- O czym?
- Czy jest za późno.

Dziury w podłożu zgasły i kijek Lubichy znowu był jedynym źródłem światła. Książę zapatrzył się na niego szeroko otwartymi oczami. Nie odwrócił wzroku nawet wtedy, kiedy przed żenicami zaczęły mu się rozchodzić zielone kręgi, jak od kamienia wrzuconego w wodę. Ale kiedy w końcu zacisnął powieki, od razu ruszył przed siebie na sztywnych nogach.

Zatrzymał się tuż przed nią, bardzo blisko. Oczodoły miała puste, ale był dziwnie pewien, że księżna na niego patrzy. Bez wrogości, raczej z uwagą. Czuł, jak zaczyna mu drgać podbródek. Musiał z całej siły zacisnąć zęby, żeby nad sobą zapanować. Z boku słyszał równy oddech śpiącej Kruszyny.

- Przyszędłem. Gdziekolwiek jesteś, w niebie czy w piekle, doczekałaś się.

Sam nie wiedział, czego się spodziewać. Strach w nim odtajał, kiedy usłyszał swój własny głos, ale czuł, że to jeszcze nie koniec. Obejrzał się na wiedźmę. Stała nieruchomo, a świetlisty koniec jej kija lekko chwiał się w ciemności. Zmrużył oczy i znowu przypatrzył się księżnej. Zdawało mu się, że rozpoznaje znajomy kształt kości policzkowych i sklepienie czoła.

- Wyprawię ci pogrzeb, jakiego dotąd nie miała żadna księżna w tym kraju. Zobacysz, nasze wnuki będą o nim opowiadały swoim wnukom. I jeszcze...

Odruchowo wyciągnął przed siebie dłoń i nagle urwał, kiedy dotknął jej kościstego kolana. Strach wrócił z całą siłą, kładąc mu na gardle swoje zimne paluchy. Zgasły słowa i myśli. Na bardzo długą chwilę przestało bić mu serce, ale nie cofnął ręki.

- Jezus Maria - szepnął samym oddechem. - Co ja ci zrobiłem.

Najpierw to usłyszał, zanim zrozumiał. Cichutki dźwięk, jak przesypanie piasku z garści w garść. Zdawało mu się, że czaszka księżnej bardzo nieznacznie się poruszyła. Po chwili dotarło do niego, że to cały kościec osuwa się

w dół. Najpierw powolutku, a potem coraz szybciej, księżna rozsypywała się w proch. Obłoczek bardzo drobnego pyłu osnuł ich oboje i przez krótki czas byli całkiem sami.

W jej oczach zapaliły się iskielki i od razu zgasły. Gdyby mrugnął powieką, nie dostrzegłyby ich. Ale wiedział, co oznaczają, i odwzajemnił uśmiech.

- Matko!

Nie zauważył, kiedy Kruszyna się obudziła. Stała na ugiętych nogach, z lekko pochyloną głową, przenosząc wzrok z księcia na kupkę pyłu i z powrotem. Jej biała skóra w słabym zielonym świetle wyglądała gadzio.

- Słuchaj, ja wcale nie chciałem, żeby... - Szybko spojrział za siebie, żeby się upewnić, czy wiedźma ciągle tam stoi. - Tylko jej dotknąłem, całkiem lekko.

Pył opadał powoli, osiadając mu na włosach, brodzie i ramionach. Bardzo chciał się z niego otrząsnąć, ale na razie wolał nie robić żadnych gwałtownych ruchów. Bezwiednie obliznął wargi, skrzywił się i splunął kilka razy. Zdawało mu się, że napięte do skoku uda Kruszyny trochę się rozluźniły.

- Mówiła, że tak się stanie, kiedy odzyska swoją miłość.

Kruszyna podeszła do prochów matki od drugiej strony, mijając księcia bokiem. Przykucnęła, pośliniła palec i wsadziła go w szary proch. Książę spodziewał się najgorszego i wstrzymał oddech, ale ona tylko podniosła palec do twarzy i bardzo uważnie go obejrzała.

- Już nie będzie mogła do mnie mówić. - Łopatki zbiegły się na jej chudych plecach, kiedy zbliżyła palec do nosa, żeby go powąchać.

- Chyba nie. - Wolałby nie odpowiadać, ale przedłużająca się cisza była jeszcze gorsza. - Myślę, że ty też nie powinnaś więcej z nią rozmawiać.

Kruszyna wstała. Wyciągnęła rękę z uniesionym palcem, jakby chciała nim księciu pogrozić.

- Przyniosłeś jej to?

- Co?

- Miłość.

Przymknął powieki, żeby jeszcze raz zobaczyć tamte

iskierki w czerni oczodołów. Pamiętał je z dawnych czasów, kiedy oboje byli młodzi, a każdy dzień miał swoją odrębną barwę, zapach i smak. Zakurzyło mu się koło wąsów, kiedy niespodziewanie się roześmiał.

– Tak. Przyniosłem. – Otworzył oczy. – Co ci jeszcze mówiła?

– Że nie zostaniesz ze mną długo. Do nieba zabierze mnie ktoś inny.

Pył osypywał się z palca Kruzyny zieloną mgiełką. Kiedy książę do niej podszedł, opuściła rękę. Jej stopa drgnęła, jakby chciała się cofnąć, ale nie poruszyła się.

– Nie bój się mnie. Jesteś moją córką. – Otworzył przed nią ramiona i dokończył ciszej: – Chodź.

Przygłębła do niego od razu. Wsunął dłoń między szyćwne klaki na jej głowie, a drugą ręką mocniej przycisnął ją do siebie. Zdziwił się, że jest taka mała i chuda.

– Wystarczy tego obściskiwania – zagderła Lubicha tuż koło nich. – Kiedy w rodzinie zgoda, możemy pomyśleć, co dalej.

Kruzyna obróciła się w jego ramionach, ale nie odeszła. Jej brudne włosy łaskotały go po szyi.

– Mogłabyś na chwilę zostawić nas samych. – Książę niechętnie zmarszczył brwi. – Mamy sobie dużo do opowiedzenia.

– Kruzyna nie lubi gadania. Zresztą nie spieszyło ci się za bardzo do rozmowy przez ostatnie lata.

– Uwważaj, staruchu! Jestem ci wdzięczny za pomoc, ale...

– Dość! – Przesunęła dłoń na kiju wyżej i podniosła oczy. – Jeśli nie zaczniesz mnie słuchać, bardzo szybko stracisz to, co przed chwilą odzyskałeś.

Wiedział, że to prawda. Potrzęsnał zwieszoną głową, jakby godził się na coś wbrew sobie.

– Nie podoba mi się to. To jest... To jest głupie.

Lubicha podeszła jeszcze bliżej. Gdyby jej kij tlił się zwyczajnym żarem, osmaliby mu prawą skroń.

– Jedna droga prowadzi przez studnię, ale tamtędy nie możesz przejść niepostrzeżenie. Druga wiedzie w głąb, a tam nie masz czego szukać. Pozostaje ta, którą wyrzyły skrzaty.

– A ty? – Podniósł głowę tak gwałtownie, że Kruzyna przy jego boku poruszyła się niespokojnie. – Jak stąd wyjdiesz?

– Mam swoje sposoby.

– No to zdradź mi jeden z nich! – Uczepił się tej myśli jak ostatniej wstęgi nadziei. – Przysięgam, że przed nikim się nie wygamam.

Parsknęła z pogardą i stuknęła go kijem w głowę.

– Naprawdę myślisz, że wiedźma zostaje się w jeden wieczór? Pierwszy raz odważyłam się przeniknąć przez drewnianą ścianę po czterdziestu latach nauki. Przez mурowaną po następnych czterdziestu. Jeśli się upieras, to zacznijmy ćwiczenia od razu, ale czy na pewno masz tyle czasu?

Opadły mu barki, choć głos miał mocny i spokojny.

– Niech tam, zgoda. Jak to będzie wyglądało? Kazesz mi coś wypić?

– Zwykle tak się robi, ale wtedy czar bardzo wolno rozchodzi się po ciele, a nam się spieszy. Dostaniesz wszystko od razu do krwi.

Z włosów Kruzyny wyszedł pająk, czarny i wielki jak ludzka dłoń. Zatrzymał się koło jej ucha, z tej strony, z której książę nie mógł go widzieć. Dotknął lekko przednimi odnóżami jego ręki, ale książę tego nie poczuł.

– Do krwi? Będziesz mnie ciąć czy jak?

– Nie bój się. Trochę zaboli, ale da się wytrzymać. Byłam już tutaj wcześniej i rzuciłam urok na... – Po raz pierwszy książę zobaczył, że wiedźma jest zakłopotana. – Och, sam zobaczysz.

– Mów! Chcę wiedzieć.

– Zauroczyłam jad.

– Jaki jad?

– Pajęczy.

– To tutaj są pajaki? Nienawidzę pajaków! – Tym razem poczuł łaskotanie na przedramieniu, ale nie zwrócił na to uwagi. – Odmawiam. Wymyśl coś innego.

– Za późno. Nie bądź babą. – Wiedźma uniosta dłoń i pstryknęła palcami.

Kruzyna pogładziła księcia po policzku i uśmiechnęła

się. Chciał jej odpowiedzieć, ale wtedy nagle łaskotanie na przedramieniu przerodziło się w ognisty ból.

– Tfu! Psia służba! – Plewek ponuro patrzył zza palisady w zamgloną nocną dal. – Każdy jakoś żyje po ludzku, nawet ostatni zebrek, tylko ty, czleczko, siedz tutaj jak kura na grzędzie i gnij.

Zylak ziewnął, przeciągnął się i ospale przedreptał kilka kroków tam i z powrotem.

– Co poradzisz? Za bardzo wryłeś się starości w pamięć. Może gdybyś wtedy nie próbował ustrzelić go z łuku, dzisiaj tak by cię nie gonili.

– Lee! – Plewek wzdrygnął się z obrzydzenia. – Diabeł jakiś, nie starosta.

– Inni go sobie chwalą. Wreszcie jest jakiś ład w druzynie. No i zarcie się poprawiło.

– Diabeł, mówię ci! – Obejrzał się na boki i zniżył głos do szeptu. – A skrzatów wcale nie przegnał. Ciagle tu są. Zeszłej nocy zachciało mi się do wychodka i na dziedzińcu, we śmie, prawie na niego wlałem. Nie usłyszał mnie, bo pomrukiwał sobie coś pod nosem. Obszedłem go boki i spojrzałem na niego jeszcze raz. Właśnie pokazał się księżyc. Widziałem wszystko bardzo dobrze!

Przerwał i machnął ręką, jakby nagle minęła mu ochota do opowiadania. Ale Zylak kolnął go łokciem w zebra.

– Gadaj, jak już zacząłeś. Co zobaczyłeś?

– Był bez opaski. Skręcał w palcach kuleczki z chleba i karmił nimi skrzata.

– Zmyślasz.

– Widziałem! Skrzat siedział u niego na ramieniu. Był cały pomarszczony jak suszona sliwka. Jedną łydkę miał przykutą do łańcuszka, który wychodził starości z pustej dziury po oku.

– Schlałeś się.

– Przysięgam! Tak się przestraszyłem, że mało brakło, a nie miałbym już po co lecieć do wychodka. Ale ten diabeł chyba coś wyniuchał. Pstryknął palcami, skrzat brzęknął łańcuszkiem i wlał mu do oczodołu. Starosta założył opaskę, przyklepał i poszedł sobie.

Zylak oparł się na włócznie i pokręcił głową.

– Łesz jak pies! Zresztą wszystko jedno. Tfu! – Splunął za wał. – Psia służba, mówię.

Odwrócili się jednocześnie, kiedy zaklekotała drabina. Plewek nadstawił włócznie, ale Zylak chwycił go za łokieć.

– Czekaj, człowieku! Czego się podpalasz? To tylko Gładziuchna.

Plewek oparł włócznie o palisadę i rękawem osuszył czoło. Miał nadzieję, że w ciemności nikt nie zauważył, jak bardzo pobladła mu twarz.

– Czego latasz po nocy, głupia babo? – warknął, kiedy Gładziuchna wlała na wał. – Dźgnąłbym cię, gdyby nie Zylak.

– To już musi być bardzo źle, jeśli strażę spodziewają się napaści z tej strony wału.

Gładziuchna obciągnęła kciekę i wyszczerzyła jedyny ząb, zalotnie odrzucając włosy na plecy. Plewek wyciągnął ręce, jakby chciał ją chwycić za szyję, ale Zylak zastąpił mu drogę.

– Spokojnie, mówię! Ona przyszła do mnie.

– Czy wy... – Plewek na dłuższą chwilę zapomniał o zamknięciu ust, w oczach miał prawdziwą zgrozę.

– Nie, do czorta! Zamknij się i posłuchaj, co ma nam do powiedzenia.

Gładziuchna nie przestawała się uśmiechać. Chciała złapać Plewka za nos, ale uchylił się i trzepnął ją po dłoni. Zachichotała, wypinając piersi.

– Co się z wami porobiło, chłopaki? Wyglądacie jak zmoknięte wróble, a nie jak woje.

– Zaraz zepchnę cię z wału, jędzo!

Nadała się, oglądając się na Zylaka.

– Mówiłam ci, że będzie trząsał gaciami.

Zanim Plewek zdążył do niej doskoczyć, Zylak objął go w pól i przycisnął do palisady. Poczekał, aż przestanie wierzgać, a potem syknął mu ze złością do ucha:

– Jeśli naprawdę masz dosyć takiej służby, uspokój się. Gładziuchna mówi, że wie, jak nam pomóc.

Plewek powoli zwiotczał. Kiedy Zylak go wypuścił, otrząsnął się jak szczeniak po wyjściu z wody.

– Mnie nic już nie pomoże. Nawet nie mogę uciec z drużyny do swoich. Kiedy pomyślę o mojej teściowej, z dwojga złego wolę już nowego starostę.

– Właśnie o niego mi chodzi! – Głos Gładziuchny nagle stał się zgrzytliwy. – Trzeba się go pozbyć, żeby wszystko było jak dawniej.

Plewek wsadził ręce do kieszeni i patrząc na Żylaka, ruchem głowy wskazał babę.

– Masz tę swoją dobrą radę. Czy teraz już mogę ją zrzucić?

– Jeszcze nie skończyła.

– Opamiętaj się! Za samo słuchanie czegoś takiego Sławka każe zrobić z nas rzezańców.

Kiedy Gładziuchna zacisnęła wargi, jej zezowate oczy zrobiły się wielkie jak u żaby.

– Wcale nie każę wam go zabijać. Wystarczy otworzyć kryptę.

Milczeli, błędząc wzrokiem po swoich twarzach. Potem wszyscy troje odwrócili się bez szelestu i spojrzeli na ciemny dach kościoła, uwieńczony krzyżem.

– Byłem jednym z pierwszych, który zobaczył Masława, kiedy tamtego dnia wyskoczył z krypty. – Żylak mówił teraz szeptem. – W jego oczach było coś takiego, że... Nie chciałbym więcej tego oglądać.

Oddech Plewka zaświszczał w ciemności. Nie rozmawiali dotąd o tym, co się wtedy stało.

– Słyszałem, że coś mu odgryzło dłoń.

– Nieprawda. – Żylak pokręcił głową. – Sam sobie uciął. Widziałem na własne oczy jego okrwawiony miecz. Jucha buchała z niego jak z wiadra, ale nie pozwolił się opatrzeć, póki pachołcy nie zaparli drzwi krypty. Potem jeszcze przywalili je głazem. Zanieśli go do izby i więcej nikt go nie widział. Mówią, że często zachodzi do niego biskup, ale poza nim nie dopuszczają nawet służby.

– Mają stracha, żeby się nie rozniosło! – Głos Gładziuchny dygotał z tłumionej nienawiści. – Udają, że w krypcie nie ma, chociaż przy każdej mszy coś tłucze od spodu w podłogę, aż świece się przewracają.

Plewek przyciągnął włócznię bliżej siebie i wychylił się

lekko, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje u stóp wału.

– Niech się tłucze. Co nam do tego?

– Rozmawiałam z nim.

Zwrócili się do niej tak gwałtownie, że zderzyli się szyszakami. Żylak zamrugał szybko, jakby dopiero się obudził.

– Jak to rozmawiałaś?

– Zwyczajnie. Zeszłej nocy poszłam za kościół, położyłam się w pokrzywach i przytknęłam ucho do szpary między głazem a murem. – Oczy jej rozblęły. – Już tam był, z drugiej strony, jakby na mnie czekał.

– Kim on jest?

– Nie przedstawił się – wzszyła ramionami. – Miał miły, głęboki głos i był bardzo uprzejmy. Zawarliśmy układ. Ja go uwolnię, a on zabije Rozprawacza.

Woje chwiali się na piętach, jakby dostali po głowach pałką. Plewka pierwszy doszedł do siebie, ale zanim się odezwał, postawił drzewce włóczni między sobą a Gładziuchną.

– Czym ci się tak naraził starosta, zmijo?

– Nie miałabym mu za złe, gdyby barłoczył tylko ze Sławką. Co księżniczka, to księżniczka. Ale on podszczypuje każdą! Nawet pokojówkę, która mu wynosi nocnik. A na mnie nie spojrzal, odkąd wrócił.

Grdyka Plewka podskoczyła kilka razy. Chciał coś powiedzieć, ale Żylak szybko położył dłoń na jego plecach.

– Czemu sama nie otworzysz krypty?

– Sama to mogę sobie poprzestawiać gary, ale nie głaz.

– Skąd wiesz, że to... ten... cię nie oszuka?

– Nie wiem. – Z rozwichrzonymi włosami i twardym wzrokiem wyglądała prawie jak wiedźma. – Ale nienawidzę tego piegowatego padalca, który ze mnie zakpił, wystarczająco mocno, żeby spróbować. A wy?

Żylak bez pośpiechu podszedł do drabiny. Wsadził włócznię pod pachę, podciągnął portki i postawił stopę na pierwszym szczeblu.

– Zgoda – powiedział. – Ale mam dwa warunki.

– Co zechcesz, zlotko! – rozpromieniła się.

- Po pierwsze zapomnisz o tej rozmowie, jeszcze zanim zdążysz zleźć po drabinie.

- Masz mnie za głupią trzpiotkę? Wiem, co nam grozi, gdyby to się wydało. Coś jeszcze?

- Nigdy, choćbyś nie wiem jaką miała na to ochotę, nie zakochasz się w żadnym z nas.

Pewnie by zawrócili, gdyby spotkali kogoś po drodze, choćby błądzącego po pijaku pacholka. Ale dziedziniec był pusty, a okna dworu czerniły się glucho, jakby nikt tutaj nie nocował. Gładziuchna szła przodem, a oni za nią, nie patrząc na siebie i nie rozmawiając. Strażnicy z wałów musieli ich zobaczyć, ale nikt za nimi nie zawołał. Z każdym krokiem czuli się coraz mniej pewnie. Gdyby zamienili teraz ze sobą kilka słów, przekonaliby się, że tak naprawdę żaden z nich nie chce tego zrobić.

Ale milczeli i szli.

Od kamiennych murów kościoła ciągnęło chłodem. Kocur wyskoczył spod schodów i zniknął w dawno nie koszonej trawie. Plewka zaklął, zmieszany przezegnął się przed zamkniętymi drzwiami i ruszył dalej przez gęstniejące chwasty. Szedł teraz ostatni i wcale mu się to nie podobało. Oglądał się za siebie raz przez lewe, raz przez prawe ramię.

Głaz był ogromny. Stawka kazała go przyciągnąć wolaми aż znad rzeki. Ledwo się mieścił w wąskim przesmyku między kościołem a wałem. Gładziuchna położyła na nim dłoń i zabębniła palcami.

- Zróbcie swoje, chłopaki, a resztę zostawcie mnie.

Ani drgnął, kiedy napał na niego ramionami. Spróbował podważyć go włócznią. Pierwsza pękła, ale kiedy nacisnęli drugą, głaz lekko się poruszył. Żylak szybko wbił w szczelinę złamane drzewce i dalej poszło już łatwiej. Przetoczyli go tyle, ile było trzeba i odskoczyli trochę zbyt szybko, żeby to nie wyglądało na popłoch.

- Dobra. - Gładziuchna przecisnęła się między nimi, roztrącając ich łokciami. - Możecie wracać, ja tu jeszcze chwilę zostanę. Muszę przyjrzeć się komuś, kto ma taki miły głos.

Nie ociągali się nawet przez mgnienie oka. Liście łopla-

nu furkotały im wokół kolan, kiedy śmigali wzdłuż muru jak zające. Czuli strach pomieszany z oszołomieniem, jak dzieci, które zrobiły coś bardzo złego, ale jeszcze nie potrafią ogarnąć ogromu swojej winy.

Przy schodach kościoła zatrzymali się nagle i zajrzeli sobie z bliska w oczy.

- Tam została połamana włócznia. - Każde słowo Żylaka chrypiało trochę inaczej. - Rano ją znajdą, a wieczorem powieszają nas na haku.

Oczy Plewka biegały po twarzy Żylaka, jakby chciał policzyć jego pryszcze.

- Może Gładziuchna zabierze?

- Tfu! Zaraza, nie baba. Zakręciła nami, jak chciała. Już sam nie wiem, czy ona chce tamto diabelstwo napuścić na Rozpruwacza, czy tylko ma nadzieję, że jest ślepe i pokusi się na nią.

- No to... wracamy?

- Wracamy.

Krzywizna muru przesuwiała się przed nimi kamień po kamieniu. Potykali się co chwila, jeden drugiemu następował na pięty. Zatrzymali się, kiedy zobaczyli głaz. Był leciutko oszroniony błękitem.

Gładziuchna stała tam, gdzie ją zostawili. Drzwiczki do krypty kryły się za wygięciem muru, ale wiedzieli, że są otwarte. Brodawka na nosie baby rzucała cień, w jej zbieżnych źrenicach odbijał się niebieski blask. Słyszeli, jak jej szybki oddech urwał się nagle.

Od strony drzwiczek cicho zaczął podpełzać do jej stóp cień. Dotknął tydek, wspiął się na kolana i przesunął się dalej. Kiedy zakrył jej czoło, podniosła głowę.

- Jak to miło zobaczyć w końcu jakąś zycziwą twarz - powiedział męski, dźwięczny głos. - Gdzie twój przyjaciele?

- U... - Gładziuchna kilka razy próbowała ułożyć wargi w dzióbek, ale jakoś jej się nie udawało. - U...

- Uciekli? - Cień poruszył się. - No cóż, muszę się z tym pogodzić, że ludzie tracą głowę na mój widok. Przy najmniej z początku. A ty, piękna?

Oczy Gładziuchny zrobiły się okrągłe, jej źrenice ustawiły się prawie tak, jak powinny. Zaczęła się poruszać,

ale bardzo powoli, jak pod wodą. Okręciła się na jednej nodze i podniosła drugą do biegu, chociaż twarz wciąż obracała w tę samą stronę.

Coś chrupnęło i w następnej chwili nie miała głowy. Kiedy dostawiała stopę do stopy, z kikuta jej szyi chlustała gęsta jak błoto krew. Upadła na kolana. Zanim przewróciła się na bok, Plewek z Żylakiem usłyszeli trzask rozgniatanej czaszki.

Możni jakoś nie mogli przywyknąć do tych nowych biesiad. Sławka kazała odprawić dawnych ojcowskich grajków, bo od ich rzepolenia bolała ją głowa. Siadywała na tronie z jedną nogą podwinętą pod siebie i rozmawiała tylko z biskupem. Na tyle cicho, że nikt nie wiedział, o czym. Dawniej się nie zdarzało, żeby biskup przychodził do izby biesiadnej po wieczornych modłach. Teraz bywał prawie codziennie i samym widokiem swojej szarej twarzy o wiecznie załamanych oczach psuł wesołe nastroje. Księżniczka piła niewiele, i to zwykle jakiegoś mszalnego cienkusa, więc możni też siorbali z kielichów małymi łyчками. Wiercili się na ławach, odłupywali ze stołów drzazgi, bez zapachu skubali stygnące mięsiwa. Od kiedy zabrakło Masława i Przecława, nie było komu zagajać rozmowy. Czasem cisza robiła się tak głęboka, że Sławka rzucała im spod oka uważne spojrzenie. Spuszczali wtedy głowy i żuli wąsy.

Ale dziś było inaczej. Coś się musiało stać. Sławka zesłała do izby zła jak nadeptęta żmija. Nawet nie skinęła nikomu głową, tylko zrzuciła z tronu poduszki i usiadła na gołych deskach, sztywna i milcząca. Zaraz po niej przyszedł biskup. W głębokiej zmarszczce na jego czole zmieszczył się palec. Nie pochylił się do księżniczki jak zawsze, ale wyblakłymi oczami w czerwonych obwódkach zaczął krążyć od twarzy do twarzy. Ludzie bledli i robili w myślach krótki przegląd swoich złodziejstw, kłamstw i zaniedbań. Wiedzieli, że ktoś tego wieczoru musi zapłacić za wściekłość księżniczki. Zagadką było tylko, kto i jak. W sieni zadudniły kroki i dwie dziesiątki wojów wto-

czyli się do izby. Sprawnie rozstawili się pod ścianami, za plecami możnych. Trzymali gołe miecze i patrzyli zimnym wzrokiem prosto przed siebie, w nasyconą parą z mięsiv przestrzeżeń. Dwóch zostało przy drzwiach, zagradzając przejście skrzyżowanymi włóczniami.

Przez chwilę było całkiem cicho, jakby każdy czekał na grom z jasnego nieba. Pierwszy nie wytrzymał mały Bolko, chudy i zarośnięty jak leśne dziwo. Głośno puścił wiatry i wszystkie głowy obróciły się w jego stronę. Nawet dzieciaki na podgrodziu wiedziały, że dorobił się majątku na dostawach miodu dla dworu, skubiąc po równo księcia i bartników. Pocerwieniwał, skupił wzrok na dnie swojego kielicha i z całych sił próbował zrobić się jeszcze mniejszy.

– Otworzyć okna! – Księżniczka wyprostowała się na tronie, jakby przylgnęła plecami do niewidzialnej ściany.

Chłodny, nocny powiew trochę przejaśnił ludziom w głowach. Kiedy rozsunęły się włócznie wojów przy wejściu, zaszemrali wszyscy naraz, ale nagle znowu zapadła cisza, tym razem nabrzmiała wrogością.

Między stoły wszedł Rozpruwacz.

Jak zwykle był ubłocony, potargany i trochę podпиты, ale z jego warg zniknął drwiący uśmiešek, którym doprowadzał możnych do dławiącej wściekłości. Wiedzieli, że nocami bywa w sypialni Sławki, ale musieli to przekłnąć w milczeniu. Jako przyszła księżna mogła robić, co chciała, przynajmniej póki nie miała męża, który by ją wytargał za kudły. Gorzej, że oddała temu przybłędzie w łapy drużynę, ale przeciw temu też mogli jedynie zgrzytać zębami. W końcu chyba znajdują się wśród samych wojów tacy, którym nie jest wszystko jedno, pod kim służyć. Któryś powinien dopaść tego rudego padalca w wychodku i wsadzić mu nóż w gardło. Tyle że podobno starzy woje z nim piją, a młodzi słuchają się jak ojca. Może z czasem uda się coś zrobić, kogoś podmówić albo przepłacić, a tymczasem trzeba go ścierpieć.

Ale to nie znaczy, że wolno mu przylazić do izby biesiadnej, jak między równych sobie!

Wstał łysy Mszczuj i wyszarpnął spod ławy płaszcz, na którym przysnęło jakieś psisko. Zanim zwrócił się do Sła-

wki, ze zmarszczonymi brwiami obejrzał się na stojącego za nim woja.

– Masz dzisiaj więcej biesiadników niż zwykle, pani. Pozwolisz, że ustąpię miejsca przy stole i pójdę się położyć. Coś mnie dzisiaj strzyka w kolanie.

– Nie pozwolę! – Uderzyła pięścią w podłokietnik. – Który pierwszy ruszy tyłek, tego każę wywlec za nogi i zatłuc kijami jak lasicę pod kurnikiem.

Maszczuj ciężko klapnął na ławę. Zesmrodził się jeszcze głośniejszy niż Bolko, ale nikt nawet na niego nie spojrzał. Ludzie ukradkiem wychylali kielichy i kładli dłonie płasko na stole, żeby każdy mógł je zobaczyć. Wokół tych, którzy żyli blisko z poprzednim starostą, niezauważenie robiło się luźniej.

– Znaleźliśmy ich, pani. – Głos Rozpruwacza niemal raził spokojem w dusznej od ludzkich wzyweń ciszy.

Sławka oparła dłonie na kolanach i lekko pochyliła się naprzód.

– Obu?

– Obu – odpowiedział z wyraźnym wahaniem. – Ale tylko jednego będzie można przepłacać. Przeleżał pół nocy i cały dzisiejszy dzień w sitowiu nad rzeką. Kiedy go stamtąd wygarnialiśmy, miotał się jak szczupak. Przeszedł do siebie co nieco dopiero wtedy, kiedy mu dałem po pysku i siłą wlałem w niego pół gąsiora wina.

– A drugi?

– Nie żyje.

– Kazałam wylapać ich żywcem!

Rozpruwacz spojrzał Sławce w oczy i wzruszył ramionami.

– Psy szybko wytropiły go w lesie, ale potem musieliśmy jeszcze przecesać chaszczę, bo kulili ogony pod siebie i nie chcieli podejść. Siedział w paprociach i już... Już nie był sobą. Zaczynała na nim pękać skóra. Posłałem do wsi po beczkę smoły, kazałem go oblać i podpalić. Tyle.

Sławka wstała i zeskoczyła ze schodków, prowadzących do tronu. Pochyliła się do pierwszego z brzegu wielmożny i zbliżyła twarz do jego twarzy.

– Jak nie przestaniecie bzdzić, każę wam powkładać zatyczki!

Lewą ręką zacisnęła sobie nos, a prawą wyszarpnęła jego miecz. Przeszła na środek izby i zarzuciła sobie ostrze na ramię jak kosę.

– Dawać mi go tutaj!

Wprowadzili człowieka z rękami wykręconymi na plecy i spętanymi aż po łokcie. Nie miał szlomu ani pasa, ale wielmoże poznali w nim woja. Musiał być bardzo wyczerpany, bo zachwiał się, kiedy podtrzymujący go strażnicy cofnęli się o krok. Upadł na kolana ze zwieszoną głową. Sławka wyciągnęła do przodu miecz i samym czubkiem ostrza dźwignęła jego brodę.

– Jak się nazywasz?

– Żyłak.

Śmierdział winem, potem i rzeźnym mulem.

– Ty otworzyłeś kryptę?

– Ja. – Przelknął ślinę tak mocno, aż poruszyły mu się uszy. – Razem z Plewkiem. Namówiła nas kucharka.

– Gładziuchna? – Sławka opuściła ostrze na podłogę i oparła łokcie na rękocyści. – Ta bez głowy?

– Ta.

– Po co?

Ramiona Żyłaka podniosły się w ciężkim westchnieniu. Widać było po nim, że nie dba o to, czy go powieszają, ale przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Chcieliśmy, żeby on kogoś zabił.

Szeptły możnych zaszeleściły i umilkły. Księżniczka przykucała przed związanym wojem, kładąc sobie miecz na kolanach.

– Mnie?

– Nie, pani! – Gwałtownie potrząsnął głową i wskazał oczami w bok. – Jego.

Rozpruwacz stał pod ścianą, leniwie obgryzając nabity na koniec noża kawał mięsa. Kiedy wszyscy obejrżeli się na niego, rzucił ochlapł psu i starannie wytarł ostrze o płaszcz Bolka.

– Spodziewałem się czegoś takiego – powiedział z pełnymi ustami. – Nie zapomina się tak łatwo kąpiei w wychodku.

Sławka, mrucząc oczy, potarła brodą o rękocyści.

– Jeśli tak było, to czemu... – zawiesiła w zakłopotaniu głos. – Czemu mój starosta ciągle jeszcze cieszy się dobrym zdrowiem?

– To... Ten... Powiedział, że każdy człowiek sam może spełniać swoje marzenia, jeśli naprawdę tego chce. – Żyłak zastukał kolanami po deskach. – A potem na nas chuchnął.

– Tak zwyczajnie?

– Zwyczajnie, ale bardzo mocno. Aż się poprzewracaliśmy. Odszedł sobie spokojnie, nawet się nie obejrzał. Bardzo się przeraził, bo... Zaden z nas nie chciał stać się taki jak on. Uciekliśmy na podgrodzie, a potem do lasu. Kiedy Plewek... Kiedy z Plewkiem zaczęło się dziać coś złego, zostawiłem go w gąszczu i schowałem się nad rzeką.

– To już wiem. Teraz jest ważne, dlaczego z Plewkiem tak się stało, a z tobą nie. Dostałeś mniejszy chuch czy jak?

Kiedy Żyłak podniósł powieki, w oczach miał łzy.

– Nie wiem, pani.

– No to ja ci powiem, chłopcze.

Nikt nie zauważył, kiedy do izby wszedł Masław. W pierwszej chwili go nie poznali, bo zapinał teraz pas o kilka dziurek ciasniej, a włosy i zarost całkiem mu zbieleły. Ale kiedy zobaczyli obwiązany kikut jego ręki, zamarli bez ruchu, jak kto siedział.

Zbliżył się do Żyłaka i położył jedną dłoń na jego głowie.

– Pozostałeś człowiekiem, bo wcale nie masz w sobie tyle nienawiści, jak ci się wydaje.

– Cieszę się, że już ci lepiej. – Sławka zwróciła na Masława oczy, wąskie jak czarne kreseczki. – Ale, o ile pamiętam, zabroniłam ci wychodzić z izby.

Nie przestraszył się, nawet podniósł kąćki warg w lekkim uśmiechu.

– Potrzebujesz mnie teraz bardziej niż kogokolwiek innego. Tylko ja wiem, co naprawdę się tu dzieje. On mi to powiedział, kiedy już przestawał być Przecławem. – Podniósł głos, żeby przekrzyczeć wzrastający gwar. – Jeśli w zakamarkach waszych gnuśnych dusz kryją się żądze,

których wstydziecie się nawet sami przed sobą, teraz jest czas, żeby je zaspokoić. Matula pomoże wam spełnić wszystkie wasze rojenia, nawet te najplugawsze!

Ludzie powoli cichli. Ktoś przytomniejszy odbił beczkę z winem i teraz wszyscy tłoczyli się wokół niej. Sławka wyrwała najbliższemu wielmoży kielich z rąk i wypila go duszkiem.

– Zawsze myślałam, że tamtemu cwaniakowi chodziło o mnie. – Nie otarła czerwonej kropli, która wisiła u jej dolnej wargi.

– Ja też tak myślałem. Ale on chciał władzy, a ty miałaś mu to ułatwić. Teraz zdobędzie ją bez ciebie. Stanie się potężniejszy niż wszyscy nasi władcy spod ołtarza razem wzięci.

– A ty? Mam wierzyć, że nie zależy ci na władzy?

– Pewnie, że zależy – przyznał, ani na chwilę nie spuszczać oczu. – Ale nie zapominaj, że odrąbałem sobie dłoń, żeby nie stać się czymś takim jak on.

Sławka odstawiła pusty kielich na stół, ktoś od razu podsunął jej następny. Podniosła go, ale zatrzymała rękę w połowie drogi do ust.

– Myślisz, że mógł obchuchać więcej ludzi?

– Na pewno. Na podgrodzie, po wsiach, wszędzie, kórędy przejdzie. Choć niektórym zapewne tylko pourywa głowy. Wróci, kiedy tylko spotężnieje na tyle, żeby uderzyć na wały twojego grodu razem ze swoją watahą.

Sławka wylała kielich na podłogę. Dwa psy rzuciły się, żeby wylizywać kałużę.

– Będę na to gotowa. Póki co, każę zabijać każdego, kto wygląda dziwnie.

– To może nie wystarczyć. Po przemianie nie wszyscy muszą wyglądać tak przerażająco jak on. Myślę, że większość z nich prawie się nie zmieni. Być może Plewkowi wyrosłyby skrzydła, żeby mógł nocą wlecieć do izby starosty i zadłgać go we śnie. Nie wiem. Trzeba mieć oczy szeroko otwarte.

– Diabli nadal! – Sławka uderzyła płazem miecza w ławę, psy rozbiegły się ze skłoniem. – Przecież ta zaraza może mi się rozplenić w grodzie w kilka dni. Tutaj

prawie każdy pieści w duszy jakąś swoją podłość, za którą oddałby wszystko. Nie ma żadnej rady?

– Jest.

Biskup wstał zza stołu. Na jego szarej twarzy pojawiły się rumieńce.

Szli po wklęsłym huku urwiska. Byli już chyba bardzo blisko, bo ostatnie kłaczkę mgły dawno rozmyły się w błękicie. Stok z drugiej strony zielenił się zbitym poszyciem. Wydawał się tak bliski, że w chwilach ciszy między uderzeniami wiatru można by usłyszeć stamtąd krzyk człowieka. Ale nie było komu wołać, nawet czarne koła wypalenisk zostały wyżej.

– Przed kim on się chowa? – Ćmieluskę onieśmielała przestrzeń, cisza i bezruch. – Mówiłeś, że to jeden z was.

Wskreszeniec szedł pierwszy. Stawał kroki tak niezdarne, jakby zaraz miał się przewrócić i już więcej nie wstać, a mimo to nie posuwał się wcale wolniej, niż ona. Nie odwrócił się, założył tylko zwisające oko za kikut ucha, jak niesforny kędziorek.

– Był jednym z nas.

– Był?

– Dopóki nie ukradł wisiora. Teraz się nas boi.

Odkąd zostali sami, Ćmieluszka umiała na długie chwile zapomnieć, z kim rozmawia. Przyzwyczała się do jego bełkotliwego głosu i świszczącego oddechu. Nawet smród był o wiele mniejszy niż wtedy, gdy otoczyła ją cała gromada wskreszeńców. Ot, jak u rzeźnika w upalny dzień. Miała wrażenie, że gdyby tylko wystarczyło na to czasu, mogłaby go nawet polubić.

– A wy?

– Co my?

– Czemu się mnie boicie?

Wskreszeniec potknął się, jego oko znowu zsunęło się na policzek. Tym razem odwrócił się do niej całym ciałem, powoli i sztywno.

– Przecież jestem tu z tobą.

– Wiesz, o czym mówię. Kiedy się dowiedzieliście, że nigdy nie byłam trupem, od razu zawróciliście w las.

Odkasznął, charknął i splunął czymś, co na pewno nie było śliną. Nawet nie starał się otrzeć obryzanej brody.

– To nie strach, dziecko. To wstyd. Gdybyś wyglądała jak my, zrozumiałabyś.

Wiedziała, że powinna teraz coś powiedzieć, ale nie umiała znaleźć odpowiednich słów. Zamiast tego opuściła wzrok. Słyszała, jak wskreszeniec rusza dalej, ciężko powłócząc nogami.

Ufała mu, ale nie wierzyła, że powiedział wszystko. Od samego początku sapał niechętnie, kiedy wypytywała go o wisiora. Od razu zgodził się zaprowadzić ją do kogoś, kto go ma, ale na większość pytań odwracał się do niej głuchym uchem.

Las się zmieniał. Rzedł, ale za to pnie drzew robiły się grube jak u starych dębów. Wyglądały zwyczajnie, choć korę miały czarną, jakby osmałił ją zar. Szło się o wiele lepiej niż w gąszczu. Zatrzymywali się tylko po to, żeby odwrócić się plecami do wichru i przeczekać uderzenie goraca. Wskreszeniec pokazywał jej kościstym paluchem drzewa i krzewy, do których lepiej nie podchodzić. Zbachali wtedy w górę lub w dół, obchodząc takie miejsca z daleka. Ćmieluszka wiedziała, że w pojedynkę już dawno ugrzęzłaby gdzieś po drodze. Wydłużała krok, żeby być bliżej niego.

Coraz częściej myślała o jedzeniu. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni się najadła, ale ssanie w żołądku powoli przestawało być jedynie dokuczliwością. Nie była pewna, czy wskreszeniec jedzą, ale jeśli nawet czasami to robili, bała się zapytać, co.

Zatrzymała się, kiedy nagle umilkło szuranie stóp.

– Jesteśmy na miejscu.

Niechętnie rozejrzała się wokół siebie. Znowu zrobiło się mroczniej, bo gałęzie drzew splatały się w górze jak dach. Kawalek dalej stok urywał się, za nim była już tylko przepaść.

– Jestem głodna.

– To dobrze. Do tego, co chcesz zrobić, lepiej być na czczo.

– Jeśli wiesz, co chcesz zrobić, powiedz mi! Ja nie mam pojęcia.

Nie odpowiedział od razu, jakby najpierw musiał coś przemyśleć. Poczłapał w miejscu, potem rozłożył ręce.

- Po prostu idź.

Wspięła się na palce, żeby zobaczyć, co jest za krawędzią urwiska.

- Na dół?

- On tam czeka. Jeśli jesteś tą, za którą się podajesz, nie powinnaś się bać.

- A jeśli nie jestem?

- Wtedy umrzesz. Ale wierz mi, mogłaś trafić gorzej. - Zdawało jej się, że mrugnął do niej tym okiem, które było na swoim miejscu. - Idź.

Podeszła kilka kroków naprzód. Stoki wielkiego leja zbiegały się tutaj w okrągłym przewężeniu, które ziało pustką jak studnia do piekła. Otwór miał rozmiary wioskowego placu, a jego ściany obrastały bezbarwne porosty. Ostre światło biło z głębi jak luna nad niebieskim pozarem.

- Nic mi więcej nie powiesz? - Dotarła już prawie do celu, ale wiedziała, że ostatni krok będzie kosztował najwięcej. - To może chociaż kopniesz mnie w tyłek?

Kroki wkrzeszenia, zamiast się zbliżyć, chrzęściły coraz dalej. Zmusiła się, żeby nie patrzeć, jak odchodzi. Myślała, że to już wszystko, ale po dłuższym czasie jeszcze raz usłyszała z oddali jego głos.

- Nie patrz w dół! Choćbyś miała wydrapać sobie oczy, nie patrz.

Ruszyła, nie zostawiając sobie czasu do namysłu. Cokolwiek miało się stać, niech wreszcie się stanie. Zostawiła za sobą strach, głód i zmęczenie, jak niepotrzebne rupiecie, których nie zabiera się w podróż. Z każdym krokiem coraz lepiej widziała urwistą ścianę po tamtej stronie studni. Zastanowiła się, czy porosty są na tyle mocne, żeby utrzymać jej ciężar. Podniosły się teraz wszystkie na wietrze i przez chwilę wyglądały jak falujący łan.

Wiatr?

Rzuciła się płasko na ziemię, zanim wicher przewalił się przez krawędź urwiska. Powietrze zadudniło, jakby ktoś przegonił nad nią stado koni. Gdyby stała, uderzenie

mogło połamać jej zebra. Przeczekała grzmot wichury z twarzą wtuloną w ramię, ale zanim ucichł szum lasu, zaczęła się czołgać. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak porosty znowu osiadają na gładkich ścianach. Podniosła się na kolana, żeby posuwać się szybciej. Teraz musiała bardzo się spieszyć. Tutaj, nad samym urwiskiem wiatr był najgorszy, jak spieniona woda na porohach, ale dalej powinno być lepiej. Jeszcze trochę, byle tylko przeleź przez krawędź, uwiesić się na porostach i przylgnąć do ściany.

Była pod ziemią na tyle długo, że nauczyła się odmierzać porywy wiatru własnym tętnem. W ostatniej, cichej jak śmierć chwili zrozumiała, że nie zdąży.

Powracająca nawałnica zdarła ją ze stoku jak klepkę z dachu. Przez mgnienie oka widziała swoje pięści zacisnięte na kępach trawy, potem coś szarpnęło ją za nogi i wyrzuciło w górę. Wydawało jej się, że w wyciu wiatru słyszy piskliwy śmiech dziecka. Zaraz potem zadzwoniła jej w uszach cisza. Chwila, kiedy wisiła swobodnie w powietrzu, jak nikomu niepotrzebny pyłek, była bardzo krótka. Zatrzepotała ramionami i zaczęła spadać. Wyraznie widziała uciekające stoki, krawędź urwiska, owłosioną porostami ścianę. Wyrzuciła przed siebie ręce bez żadnej świadomej nadziei, ale zacisnęła palce na porostach dokładnie w tej chwili, w której powinna. Wyrpięła się aż do bólu w krzyżach, ale nie odpadła.

Odczekała z zamkniętymi oczami, aż ustanie huczenie w głowie, potem spróbowała odetchnąć. Z trudem udało jej się wepchnąć do płuc odrobinę powietrza. Gardło miała zakleszczzone między obojczykami, przed oczami zaczynał gęstnieć cień. Wiedziała, że nie uda się jej podciągnąć na tyle, żeby oddychać swobodnie. Czula, jak porosty kawałek po kawałku wyslizgują się z dłoni. Bezradnie szukała jakiegos oparcia dla stóp, skrobiąc ścianę. Napięte mięśnie grzbietu zakłuły ostrym bólem. Podciągnęła jedno kolano, wparła je w urwisko i spojrzała pod siebie.

To było tak, jakby dwie szpile niebieskiego żaru wbiły się jej w żrenice. Zdążyła zacisnąć powieki, ale oszołomiona bólem, prawą ręką sięgnęła do twarzy. Nie odpadła od ściany tylko dlatego, że kilka łodyg wplotło się między mokre od potu palce drugiej dłoni.

- Krzycz!

Z całej siły uderzyła czołem o urwisko, żeby odetkać uszy. Czekala, a porosty wysuwały się z jej ręki leniwie jak zaskrońce.

- Nie mogę cię zobaczyć, więc krzycz!

To nie było złudzenie, naprawdę słyszała ten głos. Szarpnęła się rozpaczliwie jak płotka na wędcę.

- Tutaj! - zachrypiła. - Dłużej nie wytrzymam...

Gdzieś poniżej zaszeleścili porosty, a zaraz potem usłyszała kilka uderzeń w urwisko. Chciała odemknąć powieki, ale kiedy wpuściła przez rzęsy trochę błękitu, ból przeniknął prosto do wnętrza jej głowy.

- Nie patrz! Mów do mnie. Idę po ciebie. - Głos wciąż był tak samo daleki, ale porosty szeleścili teraz tuż pod jej piętami. - Mów, nie przestawaj.

Nie trzymała się już, ale wisiła na zagiętych opuszkach czterech palców. Usłyszała cichy trzask, zaraz potem drugi. Wiedziała, że to pękają lodygi.

Trzy palce.

Oddech, trzask, ziemia osypująca się na nabiegłe krwią powieki. Dwa palce, mokre i drżące z wysiłku.

- Spadam.

Powiedziała to prawie spokojnie. Poczula wszystko naraz - ulgę w rozprostowanych palcach, laskotanie porostów na twarzy, żar na piętach i twardy cios wiatru. Zanim wichur porwał ją jak zeschnięte liście, ktoś objął ją w pasie i przycisnął do urwiska. Spódnica załopotala jej przy twarzy i opadła z powrotem. Ćmieluska nagle zdała sobie sprawę, że już nie wisi, ale stoi.

- O wiele prościej było zawołać na mnie z góry. Mało brakowało, żeby przez ten twój capi skok wszystko diabli wzięli.

Wciąż miała przed oczami tylko ciemność. Głos, który słyszała, przypominał miauczenie starego kocura o zdartym gardle. Chciała odwrócić się w jego stronę, ale wtedy czyjaś dłoń zacisnęła się na jej przedramieniu.

- Nie ruszaj się, bo zlecisz. Nie ma tutaj za wiele miejsca.

Powoli obróciła głowę z lewa na prawo i z powrotem

Z jednej strony słyszała głos, z drugiej czuła dotyk ręki. Była ślepa dopiero od paru chwil, ale właśnie teraz po raz pierwszy zrozumiała, jak trudne jest życie bez wzroku.

- Ilu was jest? - zapytała niepewnie.

Uścisk na jej przedramieniu zniknął, jakby spłoszony. Zostało po nim odczucie zimna i jakiegoś dziwnego lekkości.

- Nie masz ważniejszych spraw na głowie, co? - W miauczenie wkradło się trochę zgrzytów. - Mam tutaj to twoje świecidełko.

Opleciony porostami występ skalny był bardzo wąski, ale wklęsłość ściany tworzyła płytką wnękę, która dawała osłonę przed podmuchami. Kiedy Ćmieluska wcisnęła się w miękką, suchy kąt i podciągnęła kolana pod brode, ogarnął ją zaciszny spokój. W oczach wciąż miała tylko ciemność, od czasu do czasu przetykaną niebieskimi rozbłyskami, ale nie martwiła się tym. Obracała w palcach kamienną główkę. Wiedziała, że małe ślepka świecą tak mocno, jak nigdy dotąd, chociaż w dotyku były całkiem zimne. Płynęło z nich ukojenie i jakaś niewzruszona pewność, że to, co ma się stać, jest już bardzo blisko.

- Nie będę cię poganiać, dziecko, ale zwlekać też nie ma po co. Takie rzeczy robią się tym trudniejsze, im więcej się o nich rozmyśla.

Ćmieluska z niechęcią oderwała czoło od kolan i zwróciła twarz w stronę głosu. Nie mogła się pozbyć męczącego poczucia, że skądś zna ten sposób mówienia, twardy i narzucający swoją wolę. Słowa były chropawe i chwila mi niezrozumiałe, ale przerwy między nimi miały jakiś nieuchwytny odcień swojskości.

- Nie jestem twoim dzieckiem - burknęła niecierpliwie, bo nie mogła zgarnąć w jedną całość rozłączających się myśli. - Bądź tak dobry i zamknij się na chwilę. Muszę się zastanowić.

Szum porostów zbliżał się, wzmagał, a potem przemieniał się w tomatanie wichru. Ćmieluska za każdym razem przytrzymywała się zielska, ale czuła tylko ciepłe laskotanie na gołych stopach.

– Nie bój się. Mnie nie porwało przez tyle czasu, to i ciebie nie zwieje. – Głos dochodził teraz z przeciwnego kąta wnęki.

– Czemu nie jesteś razem z innymi wskrzeszającami? W kupie rażniej.

– Musiałam mieć pewność, że cię spotkam. Wiedziałam, że w końcu zejdziesz na samo dno.

Ćmieluska zacisnęła wisiorek w pięści i oparła głowę o ścianę.

– Nie mówili mi, że jesteś babą. – Nie rozumiała, dlaczego nagle zaczęło jej tak mocno walić serce. – Jak się nazywasz?

Usłyszała szelest, a potem coś jakby westchnienie. W napięciu chłonęła ciszę, a kiedy wreszcie padły słowa, zrobiło jej się zimno i gorąco w tej samej chwili.

– Nie mówili, bo nie chcieli cię straszyć. Ale ty nie zajmuj się głupotami, dziecko. To, co zostawiasz za sobą, nie ma teraz żadnego znaczenia.

Wisiorek wyslizgiwał się z jej spotniałych palców, kiedy podnosiła go do twarzy. Nigdy jeszcze nie leczyła sama siebie, ale musiała spróbować. Poczula na czole dwie niebieskie plamki, jak lekko swędzący dotyk chłodu. Musiała kilka razy głęboko odetchnąć, zanim zapanowała nad drżeniem dłoni. Kiedy to się udało, odczekała jeszcze chwilę, aż obie plamki skupią się w jedną. Potem powolutku opuściła światełko na swoją prawą żrenicę.

– Co ty robisz? – Kroki nierówno zadudniły na skalnej półce, ale zatrzymały się gdzieś w połowie drogi.

– Chcę odzyskać wzrok. – Ćmieluska prawie nie poruszała wargami. Myślała tylko o tym, żeby utrzymać dłoń nieruchomo.

– Nie potrzebujesz tego! Tak jest lepiej.

Rozpraszenie się ciemności wcale nie było przyjemne. Bezpieczną czerń darł na strzepy ostry niebieski blask. Wypełniał wszystko, wydawał się przenikać przez usta i nos do płuc. Z wolna Ćmieluska zaczynała widzieć jakieś zatarte kształty, jeszcze pozbawione głębi. Rozpoznała krawędź występu, a na drugiej ścianie kołyszące się nitki porostów. Nic, na co patrzyła, nie rzucało cienia.

jakby światło padało ze wszystkich stron naraz. Opuściła rękę z wisiorem, przetarła powiekę i zamrugała. Przygryzła wargę, odwróciła głowę.

Aż do ostatniej chwili walczyła z przecuciem, które osiadało jej gdzieś w brzuchu warstwą zimnego ciężaru. Ale kiedy spojrzała, zrozumiała, że od samego początku wiedziała, co zobaczy.

Stara, znoszona kiecka gospodyni miała błękitny odcień, ale Ćmieluska знаła na niej każdą łatę i każdy szew. Umiała nazwać wszystkie polewki, które zaplamily fartuch. Wstała, czepiając się porostów. Mroźny skurcz coraz mocniej zaciskał jej gardło. Jeszcze czekała, że może coś się stanie, światło ułoży się jakos inaczej albo podmuch wiatru zmiecie to, na co patrzyła. Ale nic takiego się nie zdarzyło.

Gospodyni nie miała głowy.

– Mogłabyś chociaż raz uwierzyć mi na słowo, przemądrzała kwoko!

Głos dochodził gdzieś spoza niej, z kąta wnęki. Gospodyni zgarnęła spódnice i nieporadnie odeszła na bok. Po dwóch krokach zderzyła się z ścianą. Usiadła z wyprostowanymi nogami, zaplatając ramiona na piersiach, jakby chciała pokazać, że już jej wszystko jedno.

Ćmieluska ciężko upadła na kolana, aż szczęknęły zęby. Głowa gospodyni w przekrzywionym czepeczku patrzyła na nią z kąta, marszcząc brwi.

– Tylko mi się teraz nie rozmędlaj – burknęła, a bezgłowe ciało pogroziło jej z drugiej strony palcem. – Wdziałaś już przecież paru wskrzeszeńców, nie ma się nad czym roztkliwiać.

Ćmieluska przesunęła się na kolanach do przodu, a wtedy matka zerwała się na nogi i podbiegła do kąta. Podniosła głowę za czepek i wsadziła ją sobie pod pachę.

– Nie podchodź! Nie będzie żadnych czułości. W moim stanie nie za bardzo nadaję się do tego, żeby mnie obścisnąć.

Ćmieluska oparła ręce na ziemi i zwiesiła głowę. Nie mogła płakać. Nie mogła nic.

– Wiedziałam, że tak będzie. – Gospodyni ze złością

przełożyła głowę spod jednej pachy pod drugą, ale dalej próbowała już mówić łagodniej. – Stuchaj, dziecko. To wszystko i tak nie jest na nasze głowy, na twoją ani na moją. Nie staraj się tego pojąć. Po prostu jesteśmy tutaj, bo tak chciał Bóg.

Ćmieluszka podniosła oczy. Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby matka mówiła o Bogu. Zdawało jej się, że brwi gospodyni lekko się rozeszły, a oczy pojaśniały.

– Ufasz mi? – Teraz głos brzmiał prawie tak samo, jak dawniej.

Łkanie, które zaczęło szarpać Ćmieluszkę gdzieś od środka, nie mogło wydostać się na zewnątrz. Podskakiwały jej barki i trzęsła się broda, ale udało się jej milcząco skinać głową. Wyciągnęła przed siebie ręce, a wtedy matka zrobiła krok w tył i stanęła na samym skraju przepaści.

– Ufasz mi bardziej niż komukolwiek innemu?

Prawa połowa ciała gospodyni znalazła się w bijącej z dołu strudze oślepiającego światła. Skóra na jej odsłoniętym ramieniu wyglądała czysto, gładko i młodo. Poznikały plamy na kiece, nawet łaty wtopiły się w tło.

Ćmieluszka wyprostowała plecy. Wyczuwała pod kolanami leciutkie drżenie skały, kiedy w czeluści potężniał szum porostów.

– Tak – powiedziała. – Ufam ci.

Gospodyni oparła sobie głowę na biodrze jak niemowlę i jedną ręką poprawiła czepek. Jej spódnica załopotała na wietrze. Uśmiechnęła się, położyła głowę na dłoni i wyciągnęła wyprostowane ramię nad przepaścią.

– Trzeba pokonać Matulę, żeby wszystko było jak dawniej. Ale żeby ją pokonać, musimy pozwolić jej się wcielić.

– Jak?

– Z tamtych nieboraków na górze wysie całą jurmość, jaka jej będzie potrzebna przy narodzeniu.

– A ciało? Skąd weźmie ciało?

– Zrobisz jak ja! – Gospodyni musiała przekrzyczeć gwidzanie wichru. – Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale to jedyne wyjście. Dla nas wszystkich.

Podmuchił zerwał czepek, a w chwilę potem podrzucił głowę, lekko jak wydmuszkę. Pusta dłoń opadła, ale bezgłowe ciało wciąż stało na krawędzi występu. Wicher umilkł. Spadająca głowa przemknęła, zanim Ćmieluszka zdążyła zawiesić na niej wzrok. Długo potem, furkocząc tasiemkami, przeleciał czepek. Ciało gospodyni przechyliło się do przodu, jakby chciała go złapać, chociaż ręce trzymała przyciśnięte do boków. Przewracała się bardzo powoli, jak ścięte drzewo. W ostatniej chwili, zanim jej stopy oderwały się od podłoża, rozłożyła ramiona i poszybowała w dół, jak sokół na stadko gołębi.

Ćmieluszka wstała. Nie jęknęła ani nie zachwiała się. Zdawało jej się, że ręce i nogi ma lekkie, jak pod wodą. Otworzyła pięść z wisiorkiem. Ścisnęła go tak mocno, że na wnętrzu dłoni został jej czerwony ślad główki. Ślepia łśniły wyzywająco, ale nie wrogo. Zawiesiła rzemyk na szyi i wpuściła wisiorek pod ubranie, na gołe ciało.

W chwili, kiedy chciała skoczyć, coś miękkiego uderzyło ją w czoło.

– Łap! Szybko!

Przed jej twarzą chwiała się nogawka jakichś starych gaci. Ćmieluszka odwróciła się, przesuwając pięty nad przepaścią, i spojrzała w górę. Powiązane ze sobą szmaty sięgały aż do samego brzegu urwiska. W miejscu, gdzie zniknęły za krawędzią, pokazała się czyjaś głowa, z kapturem naciągniętym głęboko na oczy.

– Odezwiij się! – Szmaty zakołysały się mocniej. – Nie mogą patrzeć, bo mi wypali oczy!

Poznała Cyryla. Drgnęła jej noga i przez dłuższą chwilę walczyła o równowagę, młóćąc ramionami powietrze. Wreszcie udało się jej stanąć pewnie, ale nie zrobiła nawet pół kroku do przodu.

– Czego chcesz? – zapytała ochryple.

– Dzięki Bogu! – Zwiesił prawą rękę i okręcił sobie szmatę wokół przedramienia. – Bałem się, że już cię nie dogonię. Wspinaj się! A jak nie masz siły, to opasaj się tym i jakoś cię wciągnę.

Stumiała pokusę, żeby spojrzeć w dół. Przez płótno dotknęła wisiorka.

– Niepotrzebnie przyszedłeś. Wracaj do ludzi.
– Nic nie rozumiesz? – Wychylił się bardziej. – Tam już nie ma po co wracać! Sołtys zdradził. Zgotował tym nieborakom piekło, choć oni jeszcze o tym nie wiedzą.

Znowu się zachwiała. Nogawka trąciła ją w policzek, uczepliła się jej kurczowo.

– To nie jest tak... – Zawahała się, patrząc na wygniecione w kącie niszy miejsce. – Ja nie mogę wrócić. Mam tu do zrobienia coś bardzo ważnego. Idź stąd.

– Wylaź na górę, nie mamy czasu! – Brzegi jego kaptura odwinęły się i musiał odwrócić głowę w bok. – Zaraz znowu powieje, a wtedy zginieemy oboje!

– Nie boję się śmierci.

Cyryl wysunął się prawie do pasa, przytrzymując się porostów. Wydawało się, że jeśli zrobi jeszcze jeden ruch, spadnie. Ćmieluska słyszała jego przyduszone sapanie.

– Podślucałem, o czym rozmawialiście – powiedział o wiele ciszej.

– Idź! – Ćmieluska warknęła jak pies dźgnięty patykiem między oczy.

– To wcale nie była twoja matka. To był trup. Kukielka. Zabawka Matuli. Żadna matka nie kazałaby własnemu dziecku robić czegoś takiego.

Ćmielusce zmiękły kolana, chwyciła szmatę obiema rękami. Teraz już bardziej wisiała, niż stała. Cyryl musiał wyczuć, że dzieje się z nią coś złego, bo zamilkł na dłuższy czas. Kiedy się wreszcie odezwał, szeptał ostrożnie, jakby mówił do pochliwego żrebiecia.

– Jeśli to zrobisz, już nigdy nie zobaczysz matki. Ani na tym, ani na tamtym świecie. Matula potrzebuje twojego ciała i twojej duszy, żeby się wcielić. Ale musisz jej się oddać z własnej woli, inaczej nie będzie miała nad tobą władzy. Rozumiesz? Ona cię zwodzi. Wie, kogo postawić na twojej drodze, żebyś przestała ufać własnemu rozsądkowi. – Przerwał i jedną ręką odrzucił kaptur na plecy. Miał białą twarz, a wokół jego zaciśniętych powiek zbiegała się pajęczyna zmarszczek. – Chodź, mała. Jeszcze nie jest za późno.

Nagle otworzył oczy. Kiedy niebieski żar wypalał mu

żrenice, nawet nie poruszył wargami. Powoli, jak klujący się z poczwaraki motyl, na końcu jego nosa zebrała się kropla krwi. Oderwała się, zabarwiła na błękitno i rozbiła się na czole Ćmieluski. Zaczął się osuwać i wtedy zobaczyła nad jego karkiem pióra strzały.

Spadał głową w dół. Węzły szmat zabębniły Ćmielusce po plecach, jeden po drugim. Miała wystarczająco dużo czasu, żeby pewnie stanąć obiema nogami na skale i odrzucić nogawkę.

Nie zrobiła tego. Z rozwianymi włosami czekała na szarpnięcie, które pociągnie ją w ogień.

•
Nie słyszeli sołtysa, kiedy wspinał się na obwałowanie. Walczyli o to, komu będzie wolno rozłupać ostatnią kość, żeby wydtubać z niej szpik. Bili się wszyscy przeciw wszystkim, jak gromada zdziczałych psów. Wrzaski i przekleństwa rozchodziły się daleko po otwartym stoku. Dopóki używali pięści, kopniaków i zębów, nikt nie ustępował. Nawet mały garncarz Rduch, z uszami odstającymi jak skrzydła motyla i wąsikami zwisającymi do połowy pierśsi, zresznie bódł w tłoku łokciami. Czasem ktoś na chwilę odpadał i chwiejnym krokiem szedł pod wał, ale tylko po to, żeby z grubsza obetrzeć głowę albo wyciągnąć palcami kiwający się ząb. Zaraz potem znowu rzucał się w kurżawę bitki.

Slepek był pierwszym, który podniósł kamień. Odwrócił się i obciążoną ręką trzasnął w skroń najbliższej stojącego Gmerka. Żyłasty chłopina bez jęku upadł na plecy, z otwartymi oczami i podniesionymi brwiami, jakby się czemuś dziwił. Ludzie odskoczyli na wszystkie strony, ale nie dalej jak kilka kroków.

Slepek w milczeniu podniósł kość, rozglądając się spośrodku. Ostukał ją kamieniem z grudek ziemi i wsadził sobie za pas.

– Koniec swarów – mruknął. – Szpiku jest niewiele nawet dla jednego, więc nie pchajcie się z łapami.

Patrzyli na powiększającą się pod głową Gmerka kałużę ciemnej czerwieni. Nie padło ani jedno słowo, kiedy

krzyżowali spojrzenia za plecami Ślepaka. Potem bezładnie rozproszyli się między wałami, przygarbieni i z pochylonymi głowami, ale kiedy znowu zacieśnili krąg wokół zbója, każdy trzymał kamień.

Dwie wielkie krople potu, które jednocześnie spłynęły z obu stron jego nosa, wsiąkły w rozwichrzoną brodę. Ostrożnie odołożył kamień i podniósł otwarte dłonie.

– No, co wy? – W poplochu przebiegał wzrokiem od twarzy do twarzy, jakby chciał znaleźć tę jedyną, do której mógłby się zwrócić. – Podzielimy się. Każdy dostanie szczyptę szpiku na paznokcie.

Udało mu się uchylić przed pierwszym kamieniem, ale zawadził stopą o Gmerka i upadł na kolana. Wyrwał zza pasa kość i rzucił im pod nogi.

– Dobra, ja już nie jestem głodny! Dzielicie się sami! Kaszlnął dziwnie, świszcząc, kiedy kamień odbił się od jego pleców. Próbował osłonić rękami głowę i nawet przez jakiś czas udawało mu się, ale tylko przedłużył tym odruchem swoją mękę.

Druga, rozleglejsza kałuża z oporem wsiąkała w wilgotną ziemię.

Kość wyraźnie bielila się na czarnym podłożu. Najbliżej miał do niej Rduch, wystarczyłby jeden skok. Drgnął, ale w tej samej chwili wszyscy wysunęli do przodu napięte karki. Nisko przy ziemi snuł się ciężki zapach krwi i potu. Jakieś wielkie ptaki kołowały pod chmurami, jakby szykowały się na zer.

– Wystarczy! – Głos sołtysa był spokojny, ale bardzo twardy. – Widzę, że wróciłem w samą porę, żebyście się nie powybijali.

Wyglądali, jakby każdemu z nich dał po gębie. Jedni trzepotali powiekami, inni czerwienili się. Niektórzy siedali na ziemi i spuszczały głowy, jak wyrostki przyłapano na kradzieży jabłek w cudzym sadzie.

– Myśleliśmy, że przepadłeś na dobre. – Rduch po raz ostatni obejrzał się na kość. – Głodujemy. Upolowałeś coś?

Sołtys nie zszedł do nich. Stał na wale z dłońmi splecionymi na karku i przyglądał się im uważnie, jakby liczył, czy żadnego nie brakuje.

– Mogliście sami ruszyć się z nory.
– Tylko ty masz łuk.

– Tutejsze zwierzęta są bardzo ufnie. Można je równie łatwo zatłuc kamieniami, jak człowieka.

Nikt nie spojrział w stronę dwóch trupów. Rduch skreślił w palcach końcówkę wąsa.

– Nie jest dobrze waleś się we mgłę. Cyryl poszedł i przepadł jak pieniążek w gospodzie.

Sołtys nie spuszczał z niego wzroku. Wydawało się, że nad czymś rozmyśla.

– Naprawdę nikt z was nie zauważył, że mgła się roziała? – Strzyknął śliną przez zęby.

Wszyscy naraz poderwali głowy. Chmury o barwie pleśni wisiały nieruchomo, a krążące ptaszyska rozorywały skrzydłami ich kłęby. Błękitne powietrze było czyste i przejrzyste jak górski strumień.

– Nie podziwia się widoków, kiedy w brzuchu pusto – niepewnie wzruszył ramionami Rduch.

– Bzdura. Gdybym zostawił wam tutaj całą górę mięsa, tak samo skoczylibyście sobie do gardeł. Przestaliście wdychać zatrute opary i wzburzyła się w was krew. Wiecie, o co byłaby następna kłótnia? O babę.

Szybko spojrzeli po sobie. Nie dostrzegli na swoich twarzach żadnej widocznej różnicy, poza rozbitymi nosami i wargami, ale czuli, że sołtys ich nie okłamuje. Spoczone plecy przyjemnie chłodził im wiaterek, całkiem inny od rozgrzanych podmuchów, które ulotniły się razem z mgłą.

– No właśnie. Gdzie ona jest? – Rduch wspiął się na palce i opadł na pięty. – Schowałaś ją gdzieś dla siebie, kostropata gębo?

Sołtys opuścił ręce. Pióra strzał nad jego ramieniem furkotały wesoło. Grdyka na obrośniętej szyi poruszyła się mocniej, ale oczy zmrużyły się w kpiącym uśmiechu.

– Nie myślałem, że to właśnie ty okażesz się największym bałamutnikiem. Przystań przebierać nogami i obejrzyj się.

Anielicha wyładowała na grzbiecie wału prawie bez szelestu. Przykucnęła, opierając się rękami o ziemię, ale

prawie od razu wstała i wyprostowała się. Miętko i z wdziękiem złożyła skrzydła na plecach.

Oddechy ludzi stały się płytkie i wilgotne. Dreptali, jakby chcieli ugnieść ziemię na klepisko. Westchnęli wszyscy z głębi piersi, kiedy obok pierwszej anielichy cicho jak zjawą spłynęła druga. Obie były nagie i jednakowo piękne. Na ich czerwonych, pełnych wargach drżały uśmiechy, w których była jednocześnie tkliwość i lubieżność.

– Czy one... – Rduch oblizał się szeroko. – Będą chciały?

– Nie marzą o niczym innym. A najbardziej lubią takie małe bojowe kogutki jak ty.

Rduch podbiegł do wału i zaczął niezdarnie wspinać się na pochyłość. Na skroniach spuchły mu niebieskie żyłki.

– A ty? – Obejrzał się przez ramię w połowie drogi. – Robiłeś to już z nimi?

– Pewnie.

– Mają skrzydła. – Rduch wypluł wasy, które powłaziły mu do ust, kiedy gwałtownie łapał powietrze. – Trochę to dziwnie wygląda.

– Ale niczemu nie przeszkadza, możesz mi wierzyć. Najwyżej trochę się pomna.

Przestrzeń nad ich głowami pociemniała od setek skrzydeł. Anielichy opadały spod chmur i obsiadały wał jak kury grzędę. Było ich coraz więcej, tłoczyły się w ciżbę, przepychały i obsuwały po wale. Sotys zeskokczył na drugą stronę w ostatniej chwili, kiedy powiew skrzydeł już targał mu włosy. Na miejscu, gdzie stał, natychmiast osiadła anielicha.

Po raz ostatni spojrzął na wał, kiedy wszedł już wysoko na stok. Wyglądał jak okrągła kupka łajna, którą oblaży jakieś skrzydlate żuczki. Śmiechy i okrzyki zadowolenia niesły się daleko w przejrzystym powietrzu. Ktoś zanucił sprośną piosenkę. Anielichy wciąż sypały się z chmur, jak pierze z rozdartej poduszki.

– Używajcie sobie, chłopaki – powiedział półgłosem sotys. – Używajcie do upadłego.

Nie wiedział, ile ma czasu, ale kiedy wszedł między pierwsze otwory kopaczy, zaczął się spieszyć. Nie podoba-

ła mu się ta całkowita cisza. Była tak gęsta, że niemal widział, jak smuży się z ziemi ku chmurom niebieskimi, rozchybotanymi wstążkami. Kopytne krzaczki wyglądały na przywidłe, robaczki udające trawę plużyły się jak zboże po gradobiciu. Kiedy pochylił się nad jedną z dziur, stężony smród rozkładu tak mocno buchnął mu w twarz, że aż pozieleniał.

Teraz zaniepokoił się naprawdę. Bez gorącego tchnienia Matuli wszystko tu marniało szybciej, niż się spodziewał. Jeśli cały stok wygląda podobnie, może być już za późno. Wtedy będzie musiał poszukać jakiegoś zacisznego miejsca, żeby podciąć sobie żyły.

Wyżej było trochę lepiej. Trawa rosła bujniej, a każde źdźbło drżało leciutko, jakby z niecierpliwości. Prosto spod stóp sotysa czmychnął jakiś gryzoń, w biegu rozłożył wielkie uszy i łopocząc nimi wznosił się w powietrze. Do miejsca, gdzie stok łączył się z chmurami, było stąd już bardzo blisko.

Purchawy wyglądały tak samo, jak pierwszego dnia, kiedy je odkrył. Wielkie, białe, szaro cętkowane kule były rozrzucone po stoku, o kilka kroków jedna od drugiej. Sporo było jeszcze młodych, z bladziutkimi cętkami i pomarszczoną powierzchnią. Gdyby chciał, mógłby na nich usiąść okrakiem. Ale stare, dojrzałe, napęczniałe mięszem przewyższały go chyba dwukrotnie.

Znalazł skupisko takich, jakich potrzebował – niezbyt przerośniętych, zwartych, ale już gotowych do rozsiewu. Po tym, co widział niżej, musiał się przekonać, czy wszystko jest z nimi w porządku. Podszedł do purchawy, która wyrosła trochę na ubożu, jakby nie lubiła tłoku. Odchylił tułów do tyłu, osłonił rękami twarz i kopnął ją lekko czubkiem stopy.

Wystrzeliła w górę z przeciągłym jękiem, podobnym do dźwięku zwolnionej cięciwy. Na jej miejscu chwiał się goły pęd. Był gruby i skrecony jak sprężyna, jego końcówka sięgała sotysowi do twarzy. Podniósł głowę. Purchawa ciągle jeszcze wznosiła się pod chmurę, ale już wytracała prędkość. Wyglądała jak nakrapiany szarością księżyc. Na krótką chwilę, kiedy zawiła nieruchomo w powietrzu,

sołtys zacisnął zęby. Nagle purchawa wybuchła, jakby ktoś trzasnął białym. Drobne strzępki zaszeleściły na stoku jak krótki, rzęśisty deszcz. Wielka, płaska pestka purchawy, o zwięzających się końcach i powierzchni poślubionej zawiązanymi rowków, łagodnie unosiła się w powiewach wiatru. Nad nią rozwinęła się szara plachta, wzdęta jak żagiel. Gęsta siateczka cieniutkich pędów, która rozpinała się między krawędziami plachty a pestką, z dołu wydawała się upleciona z pajęczych nici.

Sołtys nie czekał, aż pestka wylądnie. Wiatr mógł ją znieść gdzieś bardzo daleko, poza zasięg wzroku. Do następnej purchawy podczołgał się na brzuchu. Ostrożnie rozgarnął trawę, starał się oddychać powoli i spokojnie. Wyjął strzałę, sprawdził kciukiem ostrze i przyciskając brodę do ziemi, wyciągnął przed siebie ramię. Pod purchawą zalegała ciepła ciemność, ale wiedział, że musi mu się udać za pierwszym razem. Przygryzł wysunięty koniuszek języka, wstrzymał oddech i przesunął ostrzem z lewa na prawo, jak kosą.

Sprężynująca lodyga, przecięta tuż nad ziemią, opadła mu na dłoń miękkimi splotami. Odrzucił ją za siebie jak zdechłego węża. Teraz już purchawa nie mogła wyskoczyć mu sprzed nosa. Wstał i napał na nią całym ciałem. Najciężej było poruszyć ją z miejsca, ale kiedy już zaczęła się toczyć, wystarczyło tylko pilnować, żeby za bardzo nie rozpędziła się na stoku.

Bał się, że będzie musiał długo biegać od dziury do dziury, zanim znajdzie taką, która nie jest zacopowana padliną kopacza. Znowu miał szczęście. Z daleka dostrzegł bezbarwne cielsko robaka, do połowy wywleczone na trawę. Potoczył purchawę w tamtą stronę, omijając większe wyboje. Nie obawiał się, że kopacz mu ucieknie. Wiedział, że zdycha.

Pewnie mógłby wydobyć go z dziury żywcem i kopniakami zepchnąć po stromiznie, ale nie chciał patrzeć w jego ślepią, jeśli nie musiał. Zabił go z daleka. Strzała po strzałę zagłębiała się w miękkim boku, ale robak przestał się miotać dopiero wtedy, kiedy sołtys zaszedł go od przodu i trafił prosto w jego rozwartą, okrągłą pysk.

Ważył chyba tyle co koń, ale ślizgał się po śluzie jak po lodzie. Pierścień po pierścieniu mlaskał, przechodząc przez krawędź otworu. Kiedy wreszcie sołtys pochylił się nad czarnym wnętrzem, zamiast smrodu poczuł na czole orzeźwiający przeciąg.

Podtoczył purchawę i zepchnął ją do dziury. Zmieściła się, ale utknęła trochę dalej, tak jak się spodziewał. Zszedł za nią, przelamując obrzydzenie przed dotknięciem zimnego, rozmazanego na ścianach śluzu. Kilкома szybkimi nacięciami wykroił z powierzchni purchawy płat naskórka, zagłębił ramiona w miękkim mięszu i zaczął wydobywać go na zewnątrz. Pracował szybko, jakby w każdej chwili spodziewał się poczuć na karku śmiertelne uderzenie żaru. Kiedy uznał, że wystarczy, wsadził w wygrzebaną dziurę nogi. Długo wsuwał się do środka, moszcząc sobie miejsce. Zanim przecisnął się na drugą stronę pestki, po raz ostatni rzucił za siebie okiem.

Zdawało mu się, że błękit idzie w górę stoku jak spieniona fala przypiływu. Objął pestkę rękami i nogami, przywarł do niej policzkiem i zamknął oczy.

Wejście do jaskini było niewielkie i ukryte wśród kolczastych krzewów, ale odmieniec wypatrzył je z daleka. Wydeptana w trawie ścieżka wila się wśród porożrzucanych głazów na ostatnim, łagodnym podejściu. Odruchowo przyspieszył kroku, ale idący na przedzie Krzywozęby odwrócił się nagle i wbił swój oszczep w sam środek ścieżki.

– Wystarczy – burknął krótko. – Tutaj zaczekasz.

Gwizdnął cicho jak czyzyk. W ciemnym otworze pokażała się mała główka dziecka, zaraz potem trzy następne. Schowały się, kiedy ktoś warknął na nie ostro z wnętrza jaskini.

Najstarszy przeszedł przez niskie wejście zgięty w pół. Kiedy stanął pod gołym niebem, podniósł plecy tylko niewiele wyżej. Schodził powoli, drobnymi kroczkami, a kiedy wyłonił się z cienia krzewów, jego biała sierść pojaśniła w słońcu. Nie podpierał się kijem, chociaż wyraźnie kulną na lewą nogę i przystawał przy każdym głazie dla zacerpnięcia oddechu.

Zbliżył się, charcząc i pokastując, ale nie od razu podniósł wzrok na odmieńca. Błysnął na zatrzańców nagimi dłońmi, a oni bez słowa ruszyli w górę, do jaskini. Tylko Krzywozęby zwlekał, ale i on poszedł, kiedy Najstarszy zmarszczył brwi. Obejrzał się kilka razy, przerzucając oszczep z jednego ramienia na drugie.

Kiedy otwór jaskini wchłonął chrzęst ich kroków, Najstarszy przyłożył lewą rękę do pleców i przekrzywił głowę, patrząc odmieńcowi w twarz.

– Wróciłeś.

To nie było pytanie. Zatrzańcowi trzęsły się wargi i policzki, ale odmieńiec był pewien, że przez chwilę jego mętne oczy rozświetliła radość.

– Mylisz mnie z kimś innym. – Zrobiło mu się nagle żal starego, miał ochotę położyć dłoń na jego łysawej czasce. – Jestem obcy, przyszedłem prosić cię o radę.

Najstarszy prychnął, trochę gniewnie, a trochę z rozba-
wieniem.

– Wiele razy zastanawiałem się, co weźmiesz od nas, a co od nich. – Przedramieniem otarł kącik ust. – Teraz widzę, że oni na pewno dali ci brak pokory wobec starych.

Jego słaby głos czasem zamierał prawie do szeptu, ale było w nim też coś, co kazało słuchać. Odmieńiec czuł, że czerwienieje mu koniec nosa.

– Potrzebuję pomocy. Ostatniego wieczora...

– Czternaście lat. Albo nawet piętnaście? – Zatrzań-
niec chyba go nie słyszał, a może po prostu nie zwracał na jego słowa uwagi. – To bardzo długo jak dla dziecka. A jednak nie zapominałeś.

Odmieńiec otworzył usta, ale nie powiedział ani słowa. Nagle zrozumiał, że właśnie dzieje się to, o czym śnił przez tyle nocy. Powinien czuć radość albo chociaż ciekawość, ale dusił go tylko strach. Na dnie żołądka zaległ mu ciężki chłód. Mdlilo go przerażenie, choć prawda była na wyciągnięcie ręki.

Najstarszy szeroko otworzył wodniste oczy, jakby chciał dostrzec coś, czego dotąd nie zauważył.

– Czy odnalazłeś go? – Jego źrenice błędziły po twarzy odmieńca.

– Ale... kogo?

– Ojca. Pytam, czy odnalazłeś swojego ojca.

Całkiem niespodziewanie przestał się bać, ale wcale nie było mu lepiej. Ślina, którą z trudem przetykał, zrobiła się gorzka. Nie chciał słuchać pytań. Chciał odpowiedzi.

– Nie. Odnalazłem was.

Zatrzańciec opuścił głowę, oczy znowu mu przygasły. Zrobił ruch, jakby chciał odwrócić się i odejść, ale w pół kroku zmienił zdanie. Odmieńiec musiał zbliżyć ucho do jego warg, bo słowa gubiły się w urywanym oddechu.

– Żle, że go nie odnalazłeś. Bardzo źle. To chyba znaczy, że on umarł. Inaczej byś go spotkał, na pewno. Każdy zatrzańciec umie odnaleźć swojego ojca. Nosi w sobie jego zapach i jego głos, choćby nawet nigdy go nie widział. A ty przecież jesteś w połowie zatrzańcem. – Przerwał i przez jakiś czas przyglądał się swojemu cieniowi na ścieżce. – Niemądrze zrobiłeś, że wróciłeś. Nie powinieneś tutaj nigdy przychodzić. Nie możesz już wejść między nas. Twoja matka też by tego nie chciała.

Odmieńiec prawie przygłnął uchem do jego dźwięku.

– Moja matka? Znasz moją matkę?

– Każdy znał twoją matkę. Była dobra i cicha. – Wciągnął zapadnięty brzuch jeszcze głębiej i zakasłał. – Zabiłem ją.

Kiedy odchodził, odmieńiec patrzył za nim do samego końca, póki nie zniknął w jaskini. Zdawało mu się, że w czasie rozmowy zatrzańciec zniechęcał jeszcze bardziej. Pomyślał, że gdyby teraz uderzył pięścią w jego suchy kark, już by nie wstał. Podbiegł za nim kilka kroków, ale poplątały mu się miękkie nogi. Usiadł na kamieniu i schował twarz w dłoniach.

Usłyszał szuranie kroków dopiero wtedy, kiedy były już bardzo bliskie. Podniósł czerwone, ale suche oczy. Krzywozęby patrzył na niego uważnie, jakby na coś czekał.

– Czego chcesz? – skrzywił się niechętnie odmieńiec.

Krzywozęby przykucnął naprzeciw niego. Zamiast oszczepu miał krótki łuk. Zerwał żółtą główkę miecza, powąchał ją, a potem zjadł, głośno mlaskając.

- Dziwnie rozpaczasz - powiedział.
 - Co?
 - Nie powinno się rozpaczać w ciszy, bo od tego może pęknąć głowa.
 - Będę rozpaczał, jak mi się podoba. - Odmieniec wyprostował plecy.
 - Jak chcesz. Ale lepiej by było, jakbyś sobie powył. Tylko ludzie rozpaczają w ciszy.
 - Może jestem bardziej człowiekiem, niż na to wyglądam!
 - Może. - Zatrąconiec poskrobał się brudnym pazurem po zębie. - Ale matka rozpaczala po tobie inaczej. Wdrapała się na drzewo i wyla przez trzy dni i trzy noce, aż niosło się po bagnie.
 Odmieniec oparł brodę na rękach i zapatrzył się w dal, gdzie na krawędzi trawiastego płaskowyzu bielily się skały.
 - Widziałeś ją? - zapytał cicho.
 - Pewnie. Była też moją matką.
 Odmieniec rzucił mu tylko jedno szybkie spojrzenie, a potem wbił wzrok w ziemię. Wiedział, że Krzywozęby patrzy teraz roziskrzonymi źrenicami w przeszłość, i bał się poruszyć, żeby go nie wyrwać z transu.
 - Co tu się stało? - wyszeptał.
 - Dawno temu przyszli ludzie. Bardzo wielu ludzi. Nie zdarzyło się to nigdy przedtem ani nigdy potem. Usłyszeli gdzieś o wielkim gadzie i zapragnęli go zabić.
 - Czemu?
 - Różnie się o tym mówi. - Poruszył uszami, jakby wsłuchiwał się we wspomnienia. - Podobno ludzie wierzą, że jego jad daje nieśmiertelność.
 - A nie jest tak?
 - Nie. Jego jad odgania śmierć, ale tylko przez krótki czas. To nieważne. - Przynął się bliżej. - Myślę, że oni zwyczajnie nie mogli ścierpieć, żeby coś im przypominało o świecie, który przeminął. Dlatego chcieli zabić wielkiego gada. Jak było, tak było. Kiedy przyszła noc, nasi wytkuli ich oszczepami. Byłem mały, ale patrzyłem na to z daleka. Pamiętam, że potem przez wiele dni kruki zlatywały się aż z tamtej strony bagna.

- Ale... Przecież oni mogli uwolnić was od smoka!
 - Mogli. I co z tego? Człowiek i zatrąconiec nie mogą żyć pod tym samym niebem i oddychać tym samym powietrzem. Dopóki nikt nie wie o tej wyspie, możemy tu trwać. Jeśli wieść o nas rozlecie się między ludźmi, wytracą nas w ciągu roku.
 Z jaskini wysliznęło się kilkoro dzieci. Poszturchując się łokciami podeszły bliżej, przesakując od głazu do głazu. Miały lyse brzuszki i główki, ale twarze równie pomarszczone, jak u dorosłych.
 - Te są może ostatnie, jakie tu dorastają. - Krzywozęby rzucił w ich stronę garścią żwiru, aż pouciekały z piśkiem. - A wszystko przez naszą matkę. Miała za dobre serce. Kiedy poszła razem z innymi kobietami obdzierać trupy ludzi, znalazła wśród nich jednego, który jeszcze żył. Zamiast dobić kamieniem, zaciągnęła go między skały i tak długo doglądała, póki nie wydobrzał. Może nikt by się o tym nie dowiedział, gdyby... - potrząsnął głową. - Człowiek uciekł, jak tylko odzyskał siły, a matka urodziła ciebie.
 Dzieciaki znowu zaczęły się skradać. Szeleściły w krzakach i strzygły uszami, ale Krzywozęby nawet nie spojrział w ich stronę.
 - Przez to umarła? - Odmieniec nie czuł nic więcej oprócz tępego bólu głowy. - Przeze mnie?
 - Nie od razu. Mój ojciec chciał ją zabić, jak tylko zobaczył twoją gładką skórę z lichymi kępkami sierści, ale Najstarszy nie pozwolił. Powiedział, że najpierw musi cię odchowac, bo ty nie jesteś niczemu winien. No i wyrastałeś tu z nami, jak jeden z nas, chociaż każdy wiedział, kim jesteś. A kiedy miałeś dwa lata, najstarszy wziął cię pod pachę i poszedł na bagna. Wszyscy myśleli, że cię utopił. Dopiero teraz wiemy, że doniósł cię aż na tamten brzeg. Kiedy wrócił, pognął matkę do wielkiego gada. - Oczy Krzywozębego były całkiem nieruchome. - Pamiętam, że zanim odeszła, dziękowała mu. Nie chciała już żyć.
 Odmieniec wstał. Krzaki zaszeleściły i dzieciaki rozbiegły się z głośnym tupotem. Chciał stąd odejść, jak najszybciej. Ale nie wiedział, dokąd.

– Lepiej by było, gdyby mnie wtedy utopił. Krzywozęby w zamyśleniu pokiwał głową.

– Zawsze myślałem tak samo. Za każdym razem, kiedy zamykałem oczy, widziałem matkę, która siedzi na drzewie kiwając się w przód i w tył. Słyszałem jej wycie.

– Wstał ciężko i spojrzał odmińcowi prosto w oczy. – Nienawidziłem cię. Wyobrazałem sobie, jak żyjesz między ludźmi, jak się śmiejesz u boku swojego ludzkiego ojca i jak brzuch ci rośnie z obzarstwa.

Odmińciec chciał coś powiedzieć, ale Krzywozęby podniósł w górę bezwłosą dłoń.

– Nie mów. Wiem, że było inaczej. Nie umiałeś znaleźć ojca, a brzuch też ci za bardzo nie urósł. – Uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia. – Już ci nie zazdroścę tak bardzo.

Odmińciec widział jego twarz jak przez mgłę. Odwrócił się i zaczął iść prosto przed siebie. Czuł, że potyka się o jakieś kamienie, kolczaste krzaki szarpały mu nogawki. Po raz pierwszy od wielu dni mocno i szczerze zatęsknił za dotknięciem krowiego pyska na zgięciu szyi.

– Znowu się zachowujesz jak człowiek. – Widział oczy Krzywozębego przed sobą, czuł jego dłonie na ramionach, ale ledwie słyszał słowa. – Chcesz uciec od czegoś, przed czym nie ma ucieczki.

– Nie wiem, co mam robić. – Odmińciec z trudem rozkleił wargi. – Byliście moją jedyną nadzieją.

Zatrzeniec puścił go dopiero wtedy, kiedy poczuł, że nie osuwa mu się w rękach. Znowu się uśmiechnął.

– Chcesz wiedzieć, co robi prawdziwy zatrzeniec, kiedy nie umie sobie sam poradzić?

Odmińciec pokręcił głową. Oddychało mu się już swobodniej.

– Idzie po pomoc do starszego brata.

•

Pasma skalistych wzgórz, przecinające wyspę na pół, wyrastało z trawiastej płaszczyny jak ściana. Pocięte czarnymi zlebami stoki nie były wysokie, ale bardzo strome. Miejskami, gdzie na półkach i w szczelinach zebrało

się trochę ziemi, chwiała się na wietrze splecione warkocze porostów. Natrętnie bzyczały komary, czasem poderał się do lotu jakiś przestraszony ptak, ale poza tym było cicho.

– Tam? – Odmińciec zadarł głowę, ale oślepiło go słońce zapadające za wyszczerbioną grań.

– Tam. – Kiedy weszli w cień skał, z ziemi podniósł się chłód, jakby dopiero niedawno stopniał tutaj śnieg. Krzywozęby wyraźnie ściszył głos. – Byłem tu tylko kilka razy w życiu. To nie jest dobre miejsce.

Nie musiał tego mówić. Odmińca oblażał gęsia skórka, kiedy przestał czuć pod stopami nagrzaną trawę. Zadrzał. Miał dziwne uczucie, że źródło zimna jest w nim, a nie na zewnątrz. Chłodny powiew, który ciągnął od skał, cuchnął stęchlizną jak w dawno nie wietrzonej piwnicy.

– Czy musimy włączyć tam, na górę? Nie można go jakoś wywabić?

Coraz lepiej umiał rozpoznawać odcienie grymasów, w jakie układała się twarz zatrzenieca. Wiedział, że lekkie rozdzięcie płatków nosa oznacza zniecierpliwienie.

– Nikt tego nie próbował. Ale nawet gdyby nam się udało, co z tego? Umiesz latać? – Krzywozęby nie oczekiwał odpowiedzi, ale i tak zrobił przerwę na podniesienie brwi. – Teraz śpi. Jeśli naprawdę chcemy się do niego dobrać, to tylko tak.

Kiedy podchodzili do urwiska, odmińciec miał wrażenie, że cisza zgęstniała. Zanim położył dłoń na zimnej i chropawej powierzchni, obejrzał się. Skupiska białych skałek wyglądały jak porzucane w trawie kamyczki. Nie umiał odnaleźć wzrokiem miejsca, gdzie była jaskinia.

– Czy ludzie zawsze myślą o tym, co zostawiają z tyłu? – Krzywozęby wsunął się bokiem w wąską szczelinę w skale, jego głos zadudnił jak w studni.

Odmińciec poczuł się nieswojo, kiedy stracił go z oczu. Jeszcze raz omiół wzrokiem rozświetloną przestrzeń na dole i przecisnął się za nim. Ogarnął go półmrok, podobny do rozwlekłego zimowego zmierzchu.

– Tak ci się spieszy, jakby to była twoja sprawa, a nie moja – burknął umyślnie twardo, żeby dodać sobie odwagi.

Krzywozęby prychnął w mroku jak rozszluszczony koń.
– Mielśmy jedną matkę! Nie wiem, jak jest u ludzi, ale u nas to wystarczy, żeby twoje sprawy były moimi.

Podejście było długie i zmusne, ale wcale nie takie trudne, jak zapowiadało się z dołu. Na obu bokach pęknięcia znaleźli wiele nierówności i wgłębień, gdzie mogli zaczepić stopy i dłonie. Pięli się w górę jak ciężkie żuki po pniu drzewa, powoli i z mozolem. Odmieniec widział nad sobą brązowe poduszeczki bosych stóp Krzywozębego, spomiędzy palców wystawały kępki sierści. Musiał przywierać brzuchem do skały, kiedy prosto w oczy sypały mu się drobne kamyczki i ziemia. W zębach trzeszczał mu piasek. Kłął po cichu, zaciskając obolałe palce na ostrych krawędziach występów. Przed sobą i z obu boków miał skałę, ale jego mokre plecy chłodził wiatr. Nie oglądał się. Kilka razy ześlizgnęła mu się spocona dłoń i serce wypychało się do gardła, ale wtedy mocniej rozstawał nogi i osuwał się tylko kawałek niżej.

Krzywozęby stęknął i sprzed oczu odmieńca zniknęła najpierw jedna, a potem druga włochata stopa. W czoło uderzył go kamień, za chwilę zobaczył nad sobą wyciągniętą dłoń.

– Trzymaj. Jesteśmy na miejscu.

Przez dłuższy czas odpoczywał. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami i słuchał uderzeń serca. Kiedy przycichły, usiadł i podniósł sine palce do ust. Chciał na nie pochuchać, ale nawet nie zacerpnął powietrza. Wstał na drżących nogach, ciemnożółte słońce świeciło mu prosto w twarz.

To wyglądało tak, jakby skaliste pasmo pękło wzdłuż grzbietu na dwoje. Wyrwa była szeroka na kilkadziesiąt kroków i ciągnęła się w obie strony tak daleko, jak sięgał wzrok. Po same brzegi wypełniała ją mętna, zielonkawoszara woda, nad którą bzyczały komary i ważki. Powierzchnia była nieruchoma, przy krańcach gęsto porośnięta rzęsą, ale bliżej środka wyraźnie odbijały się przepływające po niebie obłoki.

– Chryste! Wiedziałeś o tym? – Odmieniec przykucnął podpierając się końcami palców, bo skała między urwi-

skiem a wodą była wąska jak wiejska kładka nad strumieniem. – Jeśli to pęknięcie sięga podnóża skał, tutaj jest tyle wody, co w dużym jeziorze!

Krzywozęby podniósł kamień i rzucił go w ciemną głębię. Zniknął prawie bez plusku, a poszerzające się na powierzchni koła ugrzęzły w rzęsie.

– Czasami, przy wielkiej ulewie, woda przelewa się przez brzegi. Grzmi wtedy w zlebach i szczelinach jak burza, a dzieciaki ze strachu chowają głowy za plecy matek. – Ugiął kolana, kiedy uderzył mocniejszy wiatr. – Wiedziałem, jak to wygląda, choć żaden z nas nigdy się tutaj nie wdrapał.

Odmieniec też podniósł kamień, ale rozmyślił się w połowie zamachu. Podrzucił go w dłoń i odłożył koło nogi.

– Czy on gdzieś tam jest?

– Na samym dnie, zagrzebany w mule.

– Nie wiedziałem, że smoki umieją oddychać pod wodą.

– Nie umieją. Wstrzymują oddech, kiedy śpią. Czasem nawet na kilka miesięcy.

Odmieniec przygryzł dolną wargę do białości i spojrzał uważniej na Krzywozębego.

– Po co mnie tutaj przyprowadziłeś? Gędek nie jest rybą. Jeśli nawet smok nie upuścił go gdzieś po drodze, już dawno go utopił.

Zatrzeniec nie odwrócił wzroku. Czy miał lekko przekrwione po wspinaczce.

– Mogło tak być, ale ja w to nie wierzę. Wielki gad nie rusza padliny. Jeśli go zawłókił do siebie, na dno, na pewno przedtem go ukąsił. A wtedy... – Wzruszył niecierpliwie ramionami. – Gadzi jad to gadzi jad. Gdybyś teraz wyrwał swojemu przyjacielowi serce, nie zaszkodziłoby mu to.

– Ładna opowieść, tyle że nie wiemy, czy prawdziwa. To bajoro jest zbyt mętne i zbyt głębokie, żeby w nim nurkować.

Krzywozęby dużym palcem prawej stopy musnął powierzchnię wody. Ciemne rozdarcie na brudnozielonej płamie rzęsy zablizniło się powoli.

– Pewnie. Bałbym się tam, na dole, nawet otworzyć oczy, żeby nie zobaczyć zbyt wiele.

– Tutaj coś jeszcze żyje oprócz smoka? – Odmieniec cofnął się na sam skraj urwiska. – Przecież to wygląda jak gnojówka. I śmierdzi prawie tak samo.

– Sam się przekonaj.

Odmieniec poczuł, że jego pięty wiszą nad przepaścią, zamachał rękami i zrobił pół kroku naprzód. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że oplecione czerwonymi żyłkami źrenice zatrzaśnięte tylko na pierwszy rzut oka są podobne do ludzkich.

– Gadasz bzdury. Lepiej wracajmy.

Krzywozęby nie poruszył się. Stał między odmieńcem a zejściem do żlebu, przepływający za nim obłok wydawał się otulać mu głowę.

– Kiedy wisiłeś jeszcze u matki przy cycku, inne dzieciaki cię nie lubiły. Wiesz czemu? – Rozstawił nogi szerzej i założył ramiona na piersi. – Wcale nie dlatego, że wyglądałeś trochę inaczej. Zazdrościły ci, bo umiałeś zmuszać gołębie, żeby przynosiły ci z tamtej strony bagna słodkie czereśnie.

Odmieniec obejrzał się niespokojnie, kiedy woda cicho zachlupotała o skałę. Wiatr wypychał pod rzęsę małe wałki fal.

– Myślałem, że to dla was nic niezwykłego. Że wszyscy rozmawiacie ze zwierzętami.

– Nie. Tylko ty jeden. Odmieniec. – Ostatnie słowo zabrzmiało równie pogardliwie jak w mowie ludzi.

– To już minęło. Wyrosłem z tego albo zapomniałem.

– Takich rzeczy się nie zapomina, to jest dar od Matuli. Ale można to w sobie na jakiś czas przytłumić, jeśli głowę wypełniają inne myśli. – Krzywozęby strzepnięciem uszu odgonił komara. – Miałeś kobietę?

– No... – Poczul ciepło na policzkach. – Nie.

– A może jakąś bardzo chciałeś mieć?

– Nie twoja sprawa.

– No właśnie, domyślałem się tego. – Zatrzaśnięcie pokłwał głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał. – Słyszałem, że z ludźmi tak się dzieje. Kiedy tracą swoją kobietę, bardzo długo się martwią, zamiast od razu wziąć sobie następną.

– Gównu się na tym znasz!

– Na pewno gorzej od ciebie. – Nawet nie podniósł głosu, tylko lekko przymrużył jedno oko. – A już w ogóle nie rozumiem, jak można bez obrzydzenia dotykać kobiety, która nie ma sierści.

– Gdzieś tam ma.

– Mniejsza o to. Ważne, że całkiem zamuliła ci głowę. Ale takie rzeczy z czasem mijają, nawet u ludzi. Teraz znowu jesteś panem swoich myśli. Przekonaj się.

Odmieniec wyszczał przez zęby kilka ludzkich przekleństw, ale po chwili posłusznie opadł na kolana. Wiedział, że Krzywozęby nie przepuści go do zejścia, jeśli tego nie spróbuje. Podwinął rękaw do łokcia, pochylił się i zanurzył dłoń w wodzie. Nie była aż taka zimna, jak się spodziewał. Rzęsa oblepiła mu nadgarstek, poruszył palcami.

– Nic z tego nie będzie. – Rzucił zatrzaśniętym spojrzeniem spode łba, wolną ręką ubił na karku komara. – Gdybym umiał robić coś takiego, kazałbym tym krwiopijcom zreć ciebie, a nie mnie.

– Zostaw złość na boku, zamknij oczy i ucisz głowę.

Nie musiał już tego mówić. Odmieniec otworzył usta, kiedy poczuł na skroniach łagodne, znajome ciepło. Opierał się temu przez chwilę, marszcząc czoło, jakby nie wierzył samemu sobie. Ponad ulgą i radością było zdumienie, że od tak dawna nawet tego nie spróbował. Po tem przymknął powieki i z cichym westchnieniem zanurzył się w mrok.

Zobaczył je od razu. Było ich więcej, niż mógł przypuszczać. Większość pełgała bladej światłem tuż pod powierzchnią wody, poruszając się leniwie jak podświetlone słońcem drobinki kurzu. Inne, większe i jaśniejsze, czaiły się w głębi, a czasem przecinały ciemność rwanymi skokami. Ale to jeszcze nie było to, czego potrzebował. Zachlupotał dłonią, a potem zanurzył rękę po łokieć. Szeroko zamieszał w rzęsie.

Dostrzegł ją nagle, jakby cały czas była blisko. Aż dotąd umiała się przed nim ukryć, choć teraz świeciła jasno jak pochodnia. Była wielka i silna, na pewno umiałaby

zejść aż na samo dno. Ale wyczuwał też w niej bezrozumną, zastarzałą złośliwość i na chwilę zwątpił, czy sobie z nią poradzi.

Krzywozęby musiał dostrzec napięcie jego pleców, bo szybko położył mu dłoń na głowie.

– Widzisz ją, prawda? Nie bój się – szeptał spokojnie. – Poradzisz sobie. Ona ma bardzo dobre ślepie. Będziesz mógł nimi patrzeć nawet tam, gdzie dociera tylko odrobina światła.

Wzdrygnął się, kiedy poczuł miękki dotyk na wierzchu dłoni. Nie powinien tego robić, ale rozchylił powieki. Zobaczył, jak wokół jego przedramienia powoli owija się różowa macka. To był tylko zwężający się koniuszek, lśniący w słońcu i od spodu obrośnięty przyssawkami, ale odmieniec czuł jej siłę. Wiedział, że jeśli tylko będzie chciała, jednym szarpnięciem wciągnie go pod wodę.

– Nie patrz! – warknął mu w ucho Krzywozęby. – Ty rządysz, nie ona. Każ jej opaść na dno. Niech patrzy, a potem wraca.

Stoczył krótką walkę, ale bardziej z własnym strachem niż z nią. Kiedy rozpoznała w nim wolę silniejszą od swojej, poddała mu się od razu.

Macka zsunęła się z jego ręki, zostawiając na skórze zaczerwienione ślady parzydełek. Rzęsa zakółsała się i znieruchomiła.

•

Zmierzchało, kiedy przyszedł do siebie. Słońce zachodziło z drugiej strony skał, ale kiedy spojrzał w górę, widział przesuwające się nad granią obłoki o czerwonych brzuchach. Nie pamiętał, jak udało mu się zejść. Chyba Krzywozęby zniósł go na plecach. Odmieniec objął głowę rękami i ścisnął z całej siły.

– Rany boskie, więcej czegoś takiego nie zrobię... – Kiedy zamykał oczy, zdawało mu się, że spada do czarnej studni. – Daj mi wody.

Krzywozęby ułożył mały stosik z drewniek, dorzucił trochę suchych porostów i krzemieniami skrzesał ogień. Rozdmuchał go ostrożnie i dopiero potem spojrzął przelotnie na odmienca.

– W okolicy nie ma innej wody niż ta. – Skinął za siebie, na szybko czerniejącą ścianę. – Lepsze są nawet psie szczyny Masz, nazrywałem ci gruszek.

To były dziczki, twarde i malutkie jak żółędzie, ale z każdej udało się wycisnąć kilka kropel gorzkawego soku. Poczuł się trochę lepiej, kiedy ustąpiło bolesne świdrowanie w skroniach. Miał ochotę poszukać sobie jakiejś norry, wczłgać się do niej i przespać noc, ale wiedział, że Krzywozęby mu na to nie pozwoli.

– Nie boisz się rozpałać ognia? – zaniepokoił się nagle.

– Poprzedniej nocy Gędek zrobił to samo.

Zatrzaśnięcie pokazało mu w uśmiechu górne dziąsła.

– Jeśli kiedykolwiek znajdziemy się między ludźmi, będziesz mi mówił, co mam robić. Ale na razie to ty słuchaj mnie. – Dorzucił jeszcze parę gałązek. – Wielki gad jest bardzo stary. Po każdym locie musi odpoczywać nie krócej niż przez trzy dni.

Odmieniec przysunął się bliżej ognia. Drżąca jasność wypełniła mu oczy, ale nie mógł się rozgrzać. W zapadającej ciemności zacierają się zarysy skalnych załomów, a źleby były już całkiem czarne.

– Opowiedz mi, co zobaczyłeś. – Głos Krzywozębego nieprzyjemnie zagrzynał mu w uszach.

– Nie ma nic do opowiadania. – Wzruszył ramionami, siłując się na obojętność. – Jest tak, jak mówiłeś. Smok zarył się w miękkim dnie, tylko łeb został na wierzchu.

– To wiem bez ciebie. – Krzywozęby pochylał się, jego twarz przesunęła się z mroku w blask. – Opowiedz mi o człowieku.

Aż do tej chwili myślał, że jakoś uda się zbyć zatraconca. Nie musiał przecież kłamać, wystarczyło nie mówić całej prawdy. Chciał zapomnieć o tym, co widział. Ale teraz niespodziewanie przestraszył się, że mógłby na zawsze zostać sam na sam z tym, co miał w głowie.

– On też tam jest. – Jakaś ćma z osmalonymi skrzydełkami wpadła do ognia i jeszcze przez chwilę cicho trzepotała się w zarze. – Widziałem go.

– Czy ludzie naprawdę nie umieją porządnie opowiadać? Co w takim razie robicie wieczorami? Postaraj się. Opowiedz tak, żebym ja też to zobaczył.

Krzywozęby był chyba bardziej zawiedziony niż zły. Wygarnął patykiem emę z ognia, podniósł ją za nadpalone skrzydełko i zawiesił nad otwartymi ustami. Wtedy odmieniec zacisnął powieki.

– Tam jest prawie całkiem ciemno – zaczął szeptem, odchrząknął i dalej mówił już głośniejszym głosem: – Na początku wiedziałem tylko, gdzie jest góra i dół. To znaczy, ośmiornica wiedziała. Potem zobaczyłem małe światełko. Kiedy się zbliżyło, na chwilę zrobiło się jaśniej. To była jakaś dziwna ryba, nigdy takiej nie widziałem. Miała wielkie zębate szczęki, a między nieruchomymi ślepiami jakiś wyrostek, który świecił. Patrzyła na mnie, a ja na nią. – Grdyka mu podskoczyła. – Ośmiornica ją zezała i zaczęła opadać jeszcze niżej. Czulem, że porusza się z coraz większym trudem, woda zrobiła się gęsta jak smota. Widziałem jeszcze kilka światełek, ale wszystkie przepływały wysoko w górze. Ośmiornica chciała wracać, ale nie pozwoliłem jej. Czulem jej strach. Dno było już bardzo blisko, muskała je ramionami. Wypłoszyła z muty jakieś dziwadło, płaskie i falujące, które odpłynęło kawałek dalej i znowu przywarło do dna. Nie widziałem go, ale umiałem wyczuć kształt i ruch.

Przerwał, jakby teraz musiał wysilić pamięć. Nie otworzył oczu, ale i tak wiedział, że Krzywozęby na niego patrzy. Zwiesił niżej głowę.

– Wtedy nagle ośmiornica zaczęła świecić. Na obrzeżach każdej przyssawki zapaliły się małe guzki, jakby ktoś obsypał ją iskrami. To było bardzo słabe światło, jak poświata gwiazd odbita w śniegu, ale wystarczyło. Zobaczyłem płaskie dno. Wodorosty chwiały się, kiedy ośmiornica przepływała nad nimi. – Znowu zamilkł, żeby się upewnić, że ogień wciąż trzaska. – No, a dalej leżał smok. Najpierw pomyślałem, że to tylko podłużny zwal muty naniesiony jakimś głębokim nurtem, ale potem zobaczyłem jego łeb. Leżał trochę przechylony na bok, widziałem jedno zamknięte oko i czarną krechę pyska. Na jego nozdrzach bardzo powoli rosła bańka powietrza, potem oderwała się i poleciała do góry. Tuż przy pysku pojawił przednią łapę i tam... – urwał.

Krzywozęby pozwolił mu kilka razy głębiej odetchnąć, zanim trącił go w ramię.

– Mów.

– Miał wyciągnięte pazury, jak kocur. Ścisnął między nimi stopę Gędlka. Mocno. Jak w kleszczach.

– Zył?

– Zył. – Odmieniec otworzył oczy, ale patrzył w ogień tak, jakby go nie widział. – Szarpał się przez cały ten czas, kiedy na niego patrzyłem. Myślałem, że właśnie dogorywa. Wyglądał, jakby się dusił. Miał oczy jak kurze jaja i sine wargi. Podniesione włosy chwiały mu się tak samo jak wodorosty. Machał rękami. Chwytał się za gardło, targał na sobie ubranie. Czekalem, kiedy się wreszcie wypręży, a potem zwiotczeje. Czekalem bardzo długo. Nie wiem, jak to się stało, że nie oszalałem od tego. A potem Gędłek zobaczył ośmiornicę. Wyciągnął do niej rękę. Widziałem, że błaga, żeby go pozarła. Ona też to wiedziała. Oplotła go nawet mackami, ale zmusiłem ją, żeby go zostawiła.

Krzywozęby wyprostował się i jego twarz znowu schowała się w ciemności.

– Dobrze zrobiłeś.

Odmieniec pokręcił głową, ale jego źrenice ciągle nieruchomo patrzyły w żar.

– Nic nie rozumiesz. On cierpi tak, jak nigdy jeszcze nie cierpiał żaden człowiek. Dusi się. Naprawdę się dusi, ale nie może umrzeć. Czuje, jak pękają mu płuca. Walczy o oddech, chociaż wie, że go nie złapie. I nie umiera!

– Dobrze zrobiłeś – Krzywozęby powtórzył głośniejszym głosem. – Nie umarłby, nawet gdyby zjadła go ośmiornica. Pomyślałeś o tym, co wtedy by czuł? Jedyne, co go może zabić, to soki trawienne wielkiego gada. Ale przecież właśnie przed tym chcemy go ocalić, prawda?

– On jest w piekle! Musimy coś zrobić! – Odmieniec zerwał się na nogi, jakby nagle odkrył, że siedział na mrowisku. – Musimy szybko coś wymyślić! Jeśli to potrwa za długo, on straci rozum. Nikt czegoś takiego nie wytrzyma!

– Nie martw się. Tak czy tak o świcie będzie po wszystkim, bo skończy się moc jadu. Chyba że...

- Chyba że co?
 - Uspokój się. Wypuścimy wodę.
 - Nie uspokoję się! Siedzimy tu sobie jakby nigdy nic, kiedy on... - Na chwilę szczeka mu opadła, jakby zrobiła się zbyt ciężka. - Co powiedziałeś?
 - Powiedziałem, żebyś się uspokoił. Chodziło mi o to, żebyś nie podskakiwał i nie krzyczał.
 - A dalej?
 - Ze wypuścimy wodę.
 Odmieniec obejrzał się powoli raz przez lewe, raz przez prawe ramię, a potem wskazał kciukiem za siebie, na skałę.
 - Stąd?
 - Głupie pytanie. A niby skąd?
 Odmieniec pokiwał głową i prawie obojętnie wruszył ramionami, chociaż nos miał rozdęty z podniecenia.
 - Jasne. Jak to zrobisz?
 - Nie ja, tylko ty. - Krzywozęby uchylił się, dym z ogniska poleciał mu w twarz. - Ściągniesz piorun.
 Odmieniec odruchowo spojrział w niebo. Pod obłokami jeszcze tliły się ostatnie błyski czerwieni, ale gasty w oczach.
 - Nic prostszego. - Wydął wargi. - Zawsze tak robię, kiedy mi się nudzi.
 Zatrzaconiec odrzucił patyk i starannie wytarł dłonie w sierść na pośladkach.
 - Nie kpij - odezwał się spokojnie, ale twardo. - Sam bym to dawno zrobił, gdybym mógł. Ale tobie powinno być o wiele łatwiej.
 - Jestem gotowy! - Gwałtowny przyływ nadziei sprawił, że odmiencowi zdrzął głos. - Mów, co mam robić. Szybko!
 Krzywozęby przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, skrobiąc się pazurem po wypukłej brwi.
 - Miotasz się jak dziecko, od rozpacy do radości - westchnął. - Wiesz chociaż, co to jest piorun?
 - Wiem. Błyska, grzmi i wali w drzewa. - Odmieniec przestąpił z nogi na nogę.
 - Czyli nie wiesz nic, jak cała reszta ludzi. Piorun to

gniew Matuli. Kiedy ona się złości, niebo się rozdziera, a ziemia drży.
 - Słyszałem, że... - Zawahał się, bo nie chciał urazić Krzywozębę. - Ze Matula już od dawna nie może się złościć.
 - Nie może. - Na krótko spotkali się oczami. - Ale jej gniew pozostał. Jest wszędzie, unosi się w chmurach. Nie można go ułagodzić. Można go tylko podsyć, a wtedy zamienia się w piorun.
 - I ja mam go podsyć?
 - Ty.
 - Jak?
 - Musisz obrazić Matulę.
 Przez długi czas żaden z nich nie dokładał do ognia i na zbiegających drewniakach z wolna zamierały płomyki. Chłodna noc zacieśniała się dookoła.
 - Każdego dnia obrażają ją setki ludzi i jakoś nie trafia ich grom.
 - Błuznić przeciw Matuli można tylko w mowie zatraconców. Język ludzi nie różni się niczym od szczekania psów, nie rozumie go nikt oprócz nich samych.
 - Skąd możesz wiedzieć, że to nie są tylko bajki, jeśli nikt nigdy tego nie próbował?
 Krzywozęby warknął z głębi gardła, nie otwierając ust. Obszedł ognisko, chwycił głowę odmieńca w obie dłonie i przyciągnął jego czoło do swojego.
 - Jesteśmy braćmi, ale matka chyba nie obdzieliła nas rozumem po równo! Przed chwilą prawie rozplakaleś się z bezradności. Pokazuję ci, jak można skrócić mękę tamtego człowieka, a ty wydziwasz. Masz dziury w mózgu czy jak?
 - Zrobię to! - Odmieniec wyrwał się. - Ale jeśli nic z tego nie wyjdzie, sam skoczę ci z urwiska na łeb zamiast pioruna!
 - Zostaniesz tutaj, na dole - odparł Krzywozęby, jakby nie zauważył jego wybuchu. - Przecież nie chodzi o to, żebyś zginął. Ale tylko ty możesz to zrobić. Znasz naszą mowę i nie jesteś zatraconcem, więc błuznierstwo przejdzie ci przez gardło. Stań pod tą ścianą i wykrzycz to, co trzeba, a ja zatkam sobie uszy.

Odmieniec podszedł do skały i oparł się na niej obiema rękami.

– Jaką masz pewność, że mnie nie spali? – Obliznął wargi.

– Rąbnie tam, wysoko, gdzie ściana jest najcieńsza.

Odmieniec podniósł głowę. Zdawało mu się, że nad grzbietem skały sterczy na tle ciemnoniebieskiego nieba czarna kreska.

– Co tam jest?

– Byłem gotowy od lat na taką chwilę. – Zatrąceniec uśmiechnął się z zadowoleniem. – Tamci ludzie, którzy przyszli po wielkiego gada, przydźwigali ze sobą żelazną klatkę. Może zmieściliby tam jego łeb, ale nic więcej! – parsknął, wytarł nos. – Potem ludzi zjadły kruki, a klatka rdzewiała na brzegu. Pewnego dnia poszedłem tam, wylałem jeden pręt i ukryłem go tutaj w krzakach. Dziś nadszedł czas, kiedy wreszcie mogłem go zatknąć na górze.

– Po co?

– Jak to po co? – Po raz pierwszy był szczerze zdziwiony, jego uszy rozplaszczyły się na czaszce. – Nie wiesz, że żelazo przyciąga pioruny?

Odmieniec dotknął czołem urwiska. Pomyślał o świecących rybach, które w ciszy pływają z drugiej strony, i zakreślił mu się w głowie.

– Nie znam żadnego bluźnierstwa.

– To udawaj, że mówisz o swoim ojcu. Na pewno coś ci przyjdzie do głowy.

•
Sławka siedziała na łożu ze skrzyżowanymi nogami i końcem noża czyściła paznokcie. Od czasu do czasu spod oka patrzyła na zamknięte drzwi sypialni. Była zła. Cały dzień spędziła w zatęchłej zbrojowni, próbując pod stertami zardzewiałego żelastwa znaleźć coś, co jeszcze nadawało się do użytku. Niewiele tego było. Przez całe lata gnuśnego spokoju do zbrojowni chyba mało kto zaglądał. Kiedy wreszcie pod wieczór wyszła na dziedziniec, gardło miała podrażnione od wdychanego kurzu, a włosy

poprzetykane pajęczynami. Chciało jej się płakać, ale wobec milczącego półokręgu wielmożów, którzy czekali przed drzwiami zbrojowni, nie mogła okazać słabości.

– Masz trzy dni, żeby doprowadzić to wszystko do porządku. – Odszukała wzrokiem za plecami innych bladą twarz zbrojmistrza. – Kiedy wejdziesz tu następnym razem, od lśnienia mają rozboleć mnie oczy.

Kiedy odgrodziła się drzwiami od ich ukradkowych spojrzeń, pozwoliła sobie na kilka ciepłych, słonych łez. Rozczesała włosy, splukała gardło winem i dopiero wtedy poczuła się trochę lepiej. Burknięciem odgoniła spręż progu służkę z wieczera, zzuła skórznie i w blasku świecy przyjrzała się swoim połamanym paznokciom.

– Tak to właśnie jest. Niby wszyscy cię słuchają, ale tak naprawdę tylko ty jedna harujesz jak wyrobnicza.

Odłożyła nóż, oparła dłoń na kolanach i zamknęła oczy. Nie było dobrze, jeśli własne myśli brzęczały jej w uszach jak komary.

– Ale, między nami mówiąc, sama tego chciałaś. Mogłaś spokojnie jeszcze kilka lat przyzuczać się do rządzenia pod moim okiem. A ty co? Zamotałaś się w jakiś szczeniacki spisek.

Sławka powoli otworzyła oczy. Długo patrzyła prosto przed siebie pustym, nieruchomym wzrokiem.

– Upiłam się – odezwała się wreszcie szeptem. – Upiłam się.

Książę siedział na rzeźbionym szczycie łoża, od niechcenia stukając piętą o piętę. Był małeńki jak kciuk. W słabym świetle ciężko było dostrzec wyraz jego twarzy. W małych porciętach, z cienutkimi nitczkami wąsów, wyglądał jak szmaciana laleczka.

– Nie bój się. To naprawdę ja – mówił cicho i piskliwie, ale zrozumiale. – Nie będę robił ci wyrzutów. Szczerze mówiąc, nawet jestem ci wdzięczny, że uzerasz się za mnie z tą całą leniwą zgrają. Wiem, jak to smakuje.

Sławka bała się poruszyć, żeby przypadkiem nie strącić go na podłogę. Już nie wątpiła, że jest prawdziwy. Tyłko on mógł tak dobrze rozumieć, co czuła. Wyciągnęła przed siebie najmniejszy palec i bardzo leciutko dotknęła piersi księcia.

Nie zniknął i nie rozwiął się w powietrzu.
 – Co ci się stało? – Wiedziała, że to głupie pytanie, ale jakoś nic lepszego nie wpadło jej do głowy.
 – Z nas dwojga ty wyglądasz o wiele gorzej. – Wzruszył ramionami. – Władza ci nie służy.
 Bezwiednie pokiwiała głową i nie odrywając wzroku od księcia, sięgnęła po kielich. Przetykała wino głośno i zachlannie.
 – Kto ci to zrobił? – Otarła wargi rękawem, jej głos zabrzmiał trochę pewniej.
 – Wiedźma. Prawdziwa, stara, mądra wiedźma. W dzisiejszych czasach nie spotyka się takich często.
 – Znajdziemy ją! – Sławka podniosła głos, ale kiedy książę skrzywił się i zawiercił palcem w ucho, dokończyła ciszej: – Nic się nie martw. Dorwę ją i zmuszę, żeby cię odczarowała.
 – Zawsze mówiłem, że dobre z ciebie dziecko, tylko wciąż jeszcze masz pstro w głowie. – Książę pochylił się, zmierzył wzrokiem odległość i zeskoczył na poduszkę. – Zaoszczędzę ci czasu i sam cię do niej zaprowadzę. Jeśli chcesz dobrze rządzić, przyda ci się kilka mądrych rad. Ubieraj się.
 Książę pstryknął w powietrzu palcami. Zza poduszki cicho wysunęła się Dziecina, potarta tylnymi odnóżami odwłok i podeszła bliżej. Książę poklepał jej stwardniały grzbiet, a potem wskoczył na nią, siadając okrakiem, jak w siodle.
 – Zamknij buzię, bo ci mucha wleci. – Podniósł oczy na Sławkę i poprawił dosiad. – Nigdy nie miałem lepszego wierzchowca. Wszędzie wlezie.

•
 Cięciel siedział na zboczu nadrzecznej skarpy, zły jak parchate szczurzyśko. Żarty go komary, pot na plecach swędział i paliła wściekłość. Od świtu moczył haczyk w wodzie, zarzucał to tu, to tam – i nic. Próbował już wszystkiego. Zmieniał przynęty, zaglądał do starych, sprawdzonych miejsc albo wyszukiwał nowe. Czasem ze złością siekł rzekę wędką jak batem, a czasem zanurzał

haczyk powolutku i bez plusku. Spluwał przez ramię, krzyżował palce lewej ręki, przypominał sobie najdziwniejsze zaklęcia, jakie pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Nie nie pomagało. Można by pomyśleć, że rzeka wymarła w ciągu jednej nocy, gdyby nie srebrne grzbiety ryb migające tuż koło haczyka.
 – Niech to wszystko chora suka obszcza! – zaklął na całe gardło. – Licho się na mnie uwzięło czy jak?
 Wyrwał haczyk z wody, wstał i z rozmachem kopnął pusty koszyk, który przekoziółkował w powietrzu i klasnął o powierzchnię wody na samym środku nurtu. Od razu pożałował swojego gniewu. Koszyk był dobry, ciasno pleciony, prawie nowiutki. Pogroził rzecze pięścią, zarzucił wędkę na ramię i odwrócił się w stronę ścieżki.
 Az się wzdrygnął, kiedy zobaczył Zotzichę. Stała na skarpie i patrzyła prosto na niego. Jedną rękę opierała na biodrze, a drugą od niechcenia trącała czubki wysokich traw. Słońce świeciło prosto na nią i nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy, ale zdawało mu się, że jest uśmiechnięta.
 – Czego się gapisz, babo? – Od razu poczul ulgę, kiedy mógł zwymyślać kogoś, kto ma uszy. – Nie masz w chacie niczego do roboty?
 Nie odpowiedziała. Jej jasne włosy załsnęły, kiedy odrzuciła je do tyłu. Podkasła kieckę i zaczęła schodzić ścieżką w dół. Złość rozpałała się w Cięcielu, jakby ktoś rozdmuchał zar. Nie lubił, kiedy baba się nie słucha. Przełożył wędkę do lewej ręki, a prawą, zaciśniętą w kula, schował za plecy.
 – Chodź, chodź! – syknął po cichu, tylko do siebie. – Zaraz ci skrzywię ten głupi uśmiech.
 Kiedy zeszła niżej, w cień, mógł ją zobaczyć lepiej. Mimo woli podniósł w zdumieniu brwi. Jej uśmiech wcale nie był taki głupi jak zawsze. Jaśniał spokojem, zadowoleniem i pewnością siebie. Na głowie miała wianek upleciony z kaczeńców i stokrotek, za uchem gałązkę bzu. Szła lekko i zgrabnie, jakby miała o dziesięć lat mniej.
 Cięciel rozluźnił pięść i podrapał się po czubku głowy.
 – Znalazłaś w łopianach za chlewem bezculkę mojego

piwa? – rzucił bez przekonania. – Jeśli brakuje choć tyka, wytargam ci wszystkie kudły!

Wydawało się, że Zolzicha go nie słyszy. Oczy miała błyszczące, a policzki zaróżowione. Bez strachu podeszła całkiem blisko, zdjęła wianek i położyła go na włosach Cięciewa.

– Szukałam cię, szczupaczku.

Młasnął głośno zamiast odpowiedzi. Kiedy po raz ostatni tak go nazwała? Chyba bardzo dawno temu, może jeszcze zanim zamieszkali w jednej chacie. Dziwnie oszłomiony potrząsnął głową. Zapach wianka był tak mocny, że niemal upajał. Komary gdzieś zniknęły, wokół zrobiło się rześko i cicho. Nagle nabrał ochoty, żeby ją pogłaskać po policzku, ale kiedy podniósł rękę, rozmyślił się. Udał, że coś poprawia przy wędze.

– Jak tam stara? – burknął, oglądając haczyk. – Zwymyśla cię, że ją zostawiłaś samą przy robocie.

Spojrzał na nią spod oka. Jeśli cokolwiek poza biciem mogło zmacić jej radosne uniesienie, to tylko wspomnienie starej. Była babką Zolzicha, a może ciotką, nigdy nie starał się tego dociekać. Dostała mu się w posagu razem z próchniejącą chatą, kilkoma wyszczerbionymi garnkami i wytłuszczonej kocurem. Była kłótniwa, nieużyta i skrzeczała jak żaba. Od pierwszego dnia, jaki spędzili pod jednym dachem, marzył, żeby zdechła. Wiedział, że to marzenie jest jedną z ostatnich rzeczy, jaka jeszcze łączy go z Zolzichą.

– Nie zwymyśla. – Jej uśmiech był teraz trochę drżący, jak u panny młodej w noc poślubną. – Urwałam jej łeb. Kotu też.

Ze znużeniem pokiwała głową. A jednak dorwała się do tego piwa. Nie było od niej nic czuć, ale baby przecież mają jakieś tam swoje sposoby.

– Chodź, wracamy. – Odechciało mu się bicia, poczuł się zmęczony i jakiś wymięty. – Dzisiaj jęzda przejedzie się na nas obojgu, bo nie nic złowiłem i na dodatek zgubiłem koszyk.

Stała na środku ścieżki, nie zeszała mu z drogi. Wodziła wzrokiem po jego twarzy, jakby bardzo ją zaciekawił. Nie podobało mu się to.

– Nie mamy do czego wracać. – Rozdęły jej się płatki nosa i powiększyły źrenice. – Podpalilam chatę.

Zbladł, cofnął się nad samą wodę i wspinając się na palce, spojrzął ponad skarpa na wierzchołki drzew. Przy bezwietrznej pogodzie słup dymu był czarny i gęsty.

– Jezusie! Głupia babo, ty to naprawdę zrobiłaś... –

Cofnął się jeszcze kilka kroków, stając po kolana w wodzie. Rozejrzał się na boki, wzdłuż brzegu, ale wszędzie było pusto. Bał się. Strach ogarnął go już na samym początku, kiedy tylko zobaczył ją na skarpie, ale dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Z zacziśniętym gardłem parzył na dym.

– Wybrałam. – Poprawiła gałązkę bzu za uchem, a wtedy Cięciew zobaczył na jej dłoni pozasychane rdzawe plamy. – Teraz ty musisz wybrać, szczupaczku.

Nabrała powietrza, wzdęła policzki i dmuchnęła. Zanim Cięciew zdążył zrozumieć, co się stało, zobaczył własne nogi w górze i znalazł się pod wodą. Zerwał się, prychnąjąc i ocierając powieki. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest brzeg, a gdzie głębia. Zolzicha mówiła cicho, ale miał wrażenie, że każde słowo wypala mu w uszach dziurę.

Kątem oka na błyszczącej w słońcu powierzchni dostrzegł jakiś cień. To był koszyk. Chwiał się na drobnych falach, a na jego kablączku przysiadły zielone wazki. Nie tonął, jakby w ogóle nie nabierał wody. Zbliżał się powoli środkiem rzeki, tam, gdzie nurt był najsilniejszy. Cięciew pomyślał, że może uda się go zahaczyć, kiedy będzie przepływał najbliżej. Nabrał tchu, żeby zawołać do Zolzicha o wędkę, ale zamiast krzyku wypuścił z siebie powietrze jak przekluty rybi pęcherz.

Koszyk płynął pod prąd.

– Co za licho? – Wielkimi krokami dobiegł do brzegu.

– Widzisz to samo co ja?

Zolzicha ani na chwilę nie odwróciła od niego oczu. Jej spojrzenie onieśmielało. To było bardzo dziwne, jakby przez znajome źrenice patrzył ktoś całkiem obcy.

– To twój koszyk. – Skinęła głową tak lekko, że Cięciew poznał to tylko po zmianie układu cieni na jej twarzy. – Weź go.

Zakręciło mu się w głowie. Stup dymu ponad lasem już wiał i zmieniał się w przezroczyście kłęby, które znikaly w słońcu. Czasem dobiegały aż tutaj krzyki ludzi, bardzo dalekie i zniekształcone. W ustach czuł mulisty smak rzeki. Usiadł na brzegu z nogami w wodzie i ochlapał sobie twarz.

Koszyk był już prawie na wysokości miejsca, w którym siedział Cięciel. Jakiś mały wir okręcił nim raz i drugi, wciągnął głębiej, a potem wypłuł na powierzchnię. Z mozołem, pokonując siłę nurtu, koszyk zaczął zbliżać się do brzegu.

Cięciel wsadził paznokcie kciuka między zęby i czekał, odgryzając po kawałku. Bał się Zolichy, bał się rzeki i bał się samego siebie. Gorączkowo starał się znaleźć jakieś wyjaśnienie dla tego wszystkiego, co się działo, ale nie mógł. Chwilami był bardzo blisko, pozostawał tylko małeńki kroczek, ale brakowało mu odwagi, żeby go postawić.

Koszyk zaszurał dnem na płyciźnie, kablączek przechylił się i zneruchomiał. Wydawało się, że utknął na łasze piasku, ale wtedy niespodziewanie podmyła go większa fala i przyniosła prosto do stóp Cięciela.

Wyrwał nogi z wody i przysiadł w mokrym piasku na piętach. Blisko brzegu jakaś duża ryba wyskoczyła nad powierzchnię, zakreśliła błyszczący łuk i z chlupotem opadła do rzeki. Po chwili zobaczył ją jeszcze bliżej, jej ostry grzbiet sterczał nad wodą. Uderzyła ogonem, wygięła się w prawo i w lewo. Na chwilę stracił ją z oczu, ale zaraz klasnęła bokiem na zielonawym piasku obok koszyka. Przez jakiś czas leżała nieruchomo, z otwartym pyszczkiem i wylupiastym okiem wpatrzonym w niebo. Mimo strachu Cięciel pochylał się, żeby lepiej ocenić jej wielkość. Była ogromna, przez całe życie udało mu się złapać podobną może ze dwa razy.

Szarpnęła się, wyskoczyła w górę na dwa łokcie i upadła na drugim boku. Skoczyła znowu, objając się o kablączek. Za trzecim razem udało się jej. Łuski mignęły w słońcu i zgasły, kiedy zniknęła w ciemnym wnętrzu koszyka. Plecione dno zaskrzypiało pod jej ciężarem.

Następna ryba wzburzyła płytką wodę. Parła w stronę brzegu, ryjąc pyskiem w piachu i odpychając się ogonem.

– Przestań! – Cięciel zerwał się na nogi i podbiegł do Zolichy. Wargi mu się trzęsły, jakby zaraz miał się rozplakać. – Pokumałaś się z diabłem? Gada!

Szybkim ruchem modliszki objęła dłońmi jego głowę. Nie spodziewał się, że może być w niej tyle siły. Pod skórą na jej przedramionach widział naprężone ścięgna, czuł na czaszce ucisk każdego jej palca z osobna.

– To twój koszyk, szczupaczku. – Na jej twarzy nie widać było żadnego wysiłku. – Czemu nie chcesz go wziąć?

Wcale nie czekała na odpowiedź. Powoli, wpatrzona w jego źrenice, zaczęła podnosić go w górę. Krew zalomotała mu w skroniach, oczy powiększyły się, a język zgrubiał. Próbował ją uderzyć, młóć rękami na oślep, ale pięści odbijały się od niej jak od napiętej skóry bębna. Zobaczył czubek jej głowy, z kilkoma złotymi platkami po wianku wplątanymi we włosy. Chciał wbić jej kolano w żołądek, ale bał się postawić cały ciężar ciała na jednej nodze. Pięty miał już w powietrzu, dotykał ziemi tylko palcami stóp. Niemal czuł, jak wydłuża mu się szyja i w karku zaczynają trzeszczeć kręgi. Nie mógł oddychać, oczy uciekały mu do góry. Spojrzał na niebo i zdążył jeszcze zobaczyć, jak zaciąga się czernią.

Klapnął piętami o ziemię, złapał oddech i zaraz potem poczuł gwałtowne, bolesne tętno w końcówkach wszystkich palców. Zolicha ciągle trzymała dłoń na jego głowie, ale już go nie ścisnęła tak mocno. Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył jej nieruchomą twarz z zamkniętymi powiekami.

– Psy – powiedziała szeptem. – Słyszysz psy.

Puściła go. Upadł na kolana, zgiął się w pół i zwymiotował z czołem przyciśniętym do trawy. Podparł się łokciami i chciał podnieść głowę, ale szyja była jeszcze zbyt wiotka. Przewrócił się na bok, a potem na plecy.

Wściekle, zmieszane ujadanie nagle ogarnęło go ze wszystkich stron. Kilka razy poczuł na piersi i na brzuchu klujące stąpnięcia psich łap. Walka była krótka, ale bardzo zażarta. Słyszał chrapliwe oddechy, czasem ury-

wany skowyt. Wysoko pod pierzaste obłoki wleciał psi łeb, zakręcił się powiewając jęzorem i upadł gdzieś dalej. Ciepła jucha chlusnęła mu na twarz. Coś ciężkiego rozchlapało wodę przy brzegu, oszalały jazgot psów skupił się nad rzeką i zmieszał z odgłosem końskich kopyt.

– Uszła, suka! – Męski głos wzbil się ponad hałas.

Cięciel usłyszał, jak ktoś zeskakuje z siodła, a potem jeszcze kilka ciężkich kroków. Pochyliła się nad nim siwa głowa.

– Cały jesteś?

Przytaknął oczami. Ktoś pomógł mu wstać, podtrzymał go pod ramiona. Kilkanaście psich trupów z pourywanymi głowami leżało na burej od krwi trawie. Te, które przeżyły, powłaziły przednimi łapami w wodę i weszły, wyciągając szyje.

– Skoczyła do rzeki. – Siwy otarł czoło rękawem i wtedy Cięciel zobaczył, że nie ma lewej dłoni. – Znałeś ją?

– To moja baba...

Siwy zaklął i trochę się cofnął, jakby chciał mu się lepiej przyjrzeć.

– Tehnęła na ciebie?

Cięciel rozejrzał się spod opuszczonej głowy. Zaniepokojone zapachem krwi konie biły się ogonami po zadach. Woje pochylali się nad łękami, czekając na jego odpowiedź.

– Tak czy nie? – Siwy położył dłoń na mieczu.

Cięciel dotknął palcami obolałego karku, w oczach zaświeciły mu łzy.

– Chciała mi urwać głowę.

Siwy z trzaskiem schował wysunięty do połowy miecz. Kiwnął dłoń, pacholek podprowadził mu konia. Sapnął wskakując na siodło i jeszcze raz spojrzął z góry na Cięciela.

– Masz szczęście, chłopie. Oparłeś się pokusie. Jeśli jeszcze kiedyś spotkasz swoją lubą, pokaż jej plecy i gnaj przed siebie najszybciej, jak umiesz.

Odjechali w pośpiechu. Psy pobiegły za nimi cicho, bez szczekania, z pyskami przy ziemi.

Cięciel niezdarnie wspiął się na skarpe. Mięśnie karku

sztywniały, coraz trudniej było mu poruszać głową. Żeby się obejrzeć, musiał odwrócić się cały.

Kałuze krwi bardzo szybko wysychały, robiły się z nich spękane skorupy. Na spokojnej rzece wezbrała większa fala, z sykiem rozpląszczyła się na piasku i spłynęła, zabierając ze sobą koszyk. Przez jakiś czas chwiał się jeszcze na powierzchni, a potem zatonął.

Ulewa trwała przez cały dzień. Słońce przepadło gdzieś za czarnymi chmurami, które szczelnie okryły niebo, a nieprzerwane potoki wody waliły w dach dworu, jakby chciały go wgnieść do środka. Dziedziniec wypełniła wielka błotnista kałuża, kipiąca pod smagnięciami deszczu. Od czasu do czasu, kiedy pod chmurami rozpalala się błyskawica, na ścianę dworu padał zębaty cień palisady, ale zaraz potem wszystko znowu okrywał szary półmrok. Ludzie i zwierzęta pochowali się, gdzie kto mógł, tylko kilku nieszczęsnych strażników garbiło się na wałę.

Sławka stała przed otwartym oknem sypialni. Chwilami, kiedy powiał wiatr, ukręcone z wody bicze muskały jej twarz, ale nie cofała się.

– Zamknij wreszcie okiennice, bo zimno tu jak w psiar-ni. – Rozpruwacz przeciągnął się, aż zaskrzyphiało pod nim łożo.

Sławka nie odwróciła się, tylko lekko poruszyła palcami splecionych na plecach dłoni.

– Jak ci źle, to wracaj do siebie.

Rozpruwacz podniósł się trochę i podłożył sobie pod plecy poduszkę. Sięgnął pod łożko po nóż i czubkiem ostrza zaczął dłużyć w zębach.

– Coś dzisiaj taka kłótnica? – mruknął. – Stercz tam sobie choćby pół nocy, jak chcesz.

Sławka podniosła wzrok na niebo. Trudno było zgadnąć, czy słońce już zaszło. Kiedy do izby spadał podmuch, płomyczki świec kurczyły się, jakby szukały schronienia w wytopionych zagłębieniach.

– Byłeś już? – zapytała niespodziewanie.

– Gdzie?

- U biskupa.

Rozpruwacz zahaczył nożem o dziąsło, zaklął i starał palcem kropelkę krwi. Bardzo długo badał językiem ran-
kę, ale kiedy wreszcie spojrzął na nieruchome plecy Sławki, wiedział, że ona wciąż czeka na odpowiedź.

- Nie byłem. - Skrzywił się i wyciągnął rękę po kielich. - To nie dla mnie.

- Mój rozkaz był jasny. Kto chce zostać na dworze, musi iść do biskupa. Każdy wielmoża i każda praczka.

Rozpruwacz wychylił kielich i rozejrzał się za gaciami, ale nie było ich nigdzie pod ręką. Z westchnieniem opadł na poduszkę.

- Nie da się wypowiadać na rozkaz.

- Inni mogli.

- Ale nie ja. Zbyt młodo zacząłem grzeszyć, żeby teraz przypomnieć sobie wszystko na jedno twoje życzenie.

- Dobrze wiesz, że to nie jest moje życzenie, ale konieczność. Po tej stronie wału każde sumienie musi być czy-
ste jak u niemowlaka. To nasza jedyna obrona.

- Nie wierzę w to! Jak ktoś już nosi w sobie ziarno zdrady, to pod tchnieniem Matuli zawsze wykiełkuje, choćby klękał przed biskupim uchem dwa razy dziennie. A jak się ma dobre zamiary, to niczemu nie przeszkadza, że się dawniej trochę namąciło tu i ówdzie.

- Czasem mi się zdaje, że ty w ogóle w nic nie wierysz. - W zadumie założyła włosy za ucho, ale po chwili się wyprostowała. - Mniejsza z tym. Albo się wypowiadasz, odprawisz pokutę i dostaniesz rozgrzeszenie, albo wynosisz się z mojego łóżka. I z mojego życia też.

Rozpruwacz wyskoczył na podłogę, jakby ktoś nawrzucał mu pod koc pokrzyw. Znalazł w kącie swoje zmięte gacie i przez dłuższy czas walczył z nogawką, podskakując na jednej nodze. Ubrał się, sącząc przez zęby niewyszukane przekleństwa. Spłoszone płomyki świec targaly się na wszystkie strony. Zaciągnął pas, napełnił kielich po same brzegi i wypił duszkiem. Podeszedł do drzwi, ale zanim je pchnął, odwrócił się jeszcze raz. Skłonił się lekko, kładąc prawą dłoń na piersi.

- Nie będę cię więcej nachodził, pani. - Był już cał-

kiem spokojny, dobierał słowa z układną obojętnością. - Ale bądź łaskawa nie zapominać, jak narodziła się nasza umowa. To pomoże nam zachować poprawne stosunki, jakie powinny łączyć księżną i jej starostę. Nie jestem szczeniakiem, którego można przegnać jednym kopniakiem, kiedy już się znudzi.

Pochwycił jej wzrok i drgnął zaniepokojony. Jeszcze jej takiej nie widział. Czy miała pociemniałe i bardzo dalekie, jakby myślała o czymś całkiem innym.

- Straszysz mnie? - zapytała.

- Nie. Po prostu ci przypominam, jakie niemiłe potrafią być skrzaty, kiedy im się popuści cugli.

Całkiem niespodziewanie Sławka uśmiechnęła się, a potem obiema rękami odgarnęła odrastające włosy do tyłu. Ruszyła do Rozpruwacza z przekrzywioną głową, kołysząc biodrami. Podeszła tak blisko, że poczuł zapach deszczówki unoszący się z jej wilgotnych brwi. Był przygotowany, żeby chwycić za nóż prędzej niż ona, ale Sławka wspięła się na palce i objęła go za szyję.

- Wchodzisz z brudnymi nogami do mojego łóżka. - Ogrzała mu oddechem najpierw jeden policzek, a potem drugi. - Rozchlapijesz czerwone wino na moich bielutkich poduszkach. Znajduję klaki z twoich włosów na brzegu mojego ulubionego kielicha. Dłubiesz w zębach jak wieśniak. I po tym wszystkim jeszcze próbujesz mi grozić? Naprawdę, wszystkim chłopom przewraca się w głowach, kiedy tylko dostaną to, o co im chodzi.

Poczuł we włosach jej palce, a na ustach miękki dotyk warg. Objął ją gwałtownie i wtulił twarz w jej szyję. Podawał się miłemu ciepłu, które rozlewało się w nim od środka, ale przez cały czas jakąś małą trzeźwą cząstką uwagi pilnował rąk Sławki. A zwłaszcza jej kolana.

- Nie chcę się z tobą kłócić - szepnął jej w ucho. - Ale nie próbuj więcej przerabiać mnie na kogoś, kim nie jestem, z pomocą biskupa czy bez.

Pocałowała go długo, przyciągając jego głowę ku sobie, i pieszczotliwie podrapała po karku.

- Zdejmij to - westchnęła leniwie.

Rozpruwacz sięgnął do sprzączki u pasa, ale wtedy nagle zobaczył jej źrenice tuż przed swoimi.

- Nie to. - Wsunęła palce pod opaskę z tyłu jego głowy. - To!

Rzucił się plecami na drzwi, ale nie zdążył. Sławka zdarła mu opaskę przez głowę i nawet nie patrząc, rzuciła przez całą izbę za okno. Jej rozgniecione pocałunkiem wargi były białe, a oddech urywany. Mocno dźgnęła Rozpruwacza palcem w brzuch.

- No co jest, starosto? Gdzie się podział twój zapal?

Stał jak kolek, zaslaniając dłońią oczodół. Wolną ręką sięgnął za siebie do zasuw przy drzwiach, ale tylko po to, żeby się upewnić, czy dobrze trzyma.

- Nie wyglupiaj się - powiedział dziwnie drżącym głosem. - Zawołaj przez okno na jakiegoś pachołka i każ mu przynieść opaskę.

- Wtydzisz się? - Szturchnęła go znowu, jeszcze mocniej. - Niepotrzebnie. Prawdziwego chłopca nie szpeci żadna rana. Jak dla mnie, możesz chodzić bez opaski. Ona cię tylko postarza.

Chciał się wysunąć bokiem, ale Sławka oparła się obiema rękami o drzwi, biorąc go między ramiona. Zmrużyła oczy, jakby chciała zajrzeć przez szpary między jego palcami do ciemnego wnętrza.

- Możesz wyjść, skrzaci królu! - Jej mokre wargi prawie dotykały jego dłoni. - Zwracam ci wolność.

Druga ręka Rozpruwacza z głośnym kłaśnięciem przywarła do pierwszej.

- Co ty? - wydyszał. - Co ty?

Wierzch dłoni wyrzucił mu się, jakby coś naparło od środka. Jego jedyne, szeroko otwarte oko z napiętym oczekiwaniem wpatrywało się w przestrzeń. Sławka odchyliła się rękami od drzwi i oparła pięści na biodrach.

- Jeśli on w tej chwili nie zabierze swoich łap, pozwalam ci załatwić tam w środku wszystkie potrzeby, z jakimi zwykle chodzi się w ustronne miejsca.

Rozpruwacz znieruchomiał, jakby wsłuchiwał się w samego siebie. Chyba przestraszył się tego, co usłyszał, bo ze stłumionym przekleństwem oderwał ręce od twarzy. Wykręcił szyję i oparł brodę na obcyzyku.

W czarnym oczodole najpierw pokazały się maleńkie

pięty. Skrzat ostrożnie wychodził tyłem, szukając oparcia dla stóp na wystającej kości policzkowej Rozpruwacza. Przytrzymując się wąsów zlął niżej i stanął na jego ramieniu. Łańcuszek przy lydce dźwięczał cichutko.

- Miło mi cię poznać, pani! - Poprawił czapkę i odetchnął pełną pierśią. - Tym milej, że znam cię bardzo dobrze ze słyszenia.

Nawet w słabym świetle świec było widać, że Sławka mocno się zarumieniała.

- Gdybym wiedziała, że nie jestem sam na sam z tym załganym brudasem, byłabym bardziej wstrzeźliwa w tym, co mówię i co robię. - Nie podniosła oczu na twarz Rozpruwacza. - Ale mniejsza o to. Chcę cię prosić o pewną przysługę.

- Domyślam się. - Poglądził białutką brodę. - Szkoda mi moich skrzatów, bo wiem, że zadomowiły się już we dworze. Niektóre nawet pobudowały sobie gniazdko na strychu. Ale cóż... w moim położeniu nie będę się targować. Wyniesiemy się jeszcze tej nocy.

Łańcuszek zabrzączał, kiedy Rozpruwacz pokręcił głową.

- Nie wierz mu. Skrzaty mają łgarstwo we krwi. - Zamknij się, chamlu, kiedy rozmawiają władcy - odparła Sławka gładko, nie podnosząc głosu, i wyciągnęła w stronę skrzata najmniejszy palec. - Mam twoje królewskie słowo?

Skrzat położył dłoń na jej paznokciu i głęboko skinął głową.

- Słowo.

Wzięła łańcuszek w dwa palce i zbliżyła go do oczu, jakby chciała ocenić grubość ogniw. Oko Rozpruwacza zezowało niespokojnie.

- To pochodzi ze skrzaciej kuźni! - Król potrząsnął obręczą na lydce. - Najlepiej będzie, jak rozkują mnie moi kowale. Szkoda tępić twoje noże, pani.

- Zgoda. - Sławka okręciła sobie łańcuszek wokół palca i zacisnęła pięść.

- Co ty chcesz zrobić? Chyba nie...

- A pewnie, że tak. - Dopiero teraz spojrzała prosto na niego. - To nie powinno być bardziej bolesne niż wyrwanie zęba.

Szarpnęła. Rozpruwacz stęknął i tyłem głowy uderzył w drzwi. Na końcu łańcuszka chwiało się okrwawiony, kolczasty zaczepek.

- I po krzyku - podała łańcuszek skrzaciemu królowi. Jego pomarszczona twarz skurczyła się w uśmiechu. Skłonił się, czubek jego czapeczki zachwiało się wesoło. Potem zniknął, jakby w ogóle go nie było.

- Zrobiłaś bardzo wielki błąd. - Rozpruwacz starł rękawem z policzka wąską stróżkę krwi. - Chciałaś mnie upokorzyć, ale to zemści się tylko na tobie. Od dziś nie będziesz miała jednego spokojnego dnia.

- Sądziś ludzi po sobie. I skrzaty też. - Wzruszyła ramionami. - Wiesz, co mnie najbardziej w tobie drażni? Bierzesz mnie za głuszą od siebie.

- Bo zachowujesz się jak podłotek, a nie jak księżna! - Poślinił palec i wsadził go sobie do oczodołu, dłubiąc gdzieś w głębi ze zmarszczonym czołem. - Jak się dowiedziałas?

- Od Zylaka. Podobno Plewek cię podejrztał któregoś wieczoru, kiedy byłeś bez opaski.

- Przynajmniej będziesz wiedziała, komu podziękować, kiedy za jakiś czas odechce ci się żyć. - Ciosem łokcia odbił zasuwę. - Ja odchodzę. Mam tego dosyć.

- Zabezpieczyłam się. Jest skrzacia miętka na przywabienie skrzatów, jest też inne ziółko na odstraszanie.

Rozpruwacz wyszedł, zatrząskując za sobą drzwi. Nie było go na tyle długo, że zdążyła podejść do łoża, wygładzić poduszkę i położyć się. Wiedziała, że wróci. Słyszała jego kroki w błocie pod oknem, pośród szumu słabnącego deszczu. Potem znowu zaskrzyptały schody i cicho uchyliły się drzwi.

- Kto ci powiedział o ziele?

Z mokrej opaski Rozpruwacza kapłała woda. Wyglądał, jakby w czasie krótkiej drogi na dół i z powrotem postarzał się o kilka lat. Sławka patrzyła na niego przez chwilę, z dłońmi wsuniętymi pod kark.

- Chodź tutaj. - Przesunęła się, robiąc mu miejsce koło siebie.

Bez hałasu zamknął drzwi i zaciągnął zasuwę. Zbliżył się do łoża, ale nie usiadł.

- Kto? - powtórzył. - Znam tylko jedną wiedźmę, która wie o takich rzeczach.

- Będziesz musiał pogodzić się z tym, że teraz znamy ją oboje.

Kłapnął ciężko na brzeg łoża, oparł łokcie na kolanach i zwiesił głowę.

- Co ci jeszcze mówiła?

- Wiele rzeczy. Na przykład to, że naprawdę nazywasz się Biesidełko. To ładne imię, czemu go nie używasz?

Długo milczał. Z jego twarzy na deski podłogi kapłała woda.

- Stare dzieje - mruknął wreszcie i spojrzał na nią koso. - Co teraz z mną zrobisz?

Szybkim ruchem chwyciła go jedną ręką za włosy i mocno pociągnęła w tył. Zanim zdążył coś zrobić, przyciotła go sobą.

- Po raz pierwszy jesteśmy naprawdę sami, a ty pytasz, co chcę zrobić? - Chwyciła jego nadgarstki i przycisnęła do łoża.

- Ale... Myślałem, że my już... nie tego.

- Zamknij się! - Okryła jego twarz swoimi włosami. - Mam czas tylko do świtu.

Jej pocałunek odebrał mu oddech na bardzo długi czas. Potem przeciągnął się pod nią leniwie i potarł nosem o jej nos.

- A co będzie o świcie?

- Kiedy dzwon wybiję jutrznię, pójdziesz do spowiedzi. - Musnęła rzesami jego przymkniętą powiekę. - Prawda?

•

- Jesteś zła.

Odmieniec odezwał się tak cicho, że Krzywozęby wcale nie musiał zatykać uszu, żeby tego nie usłyszeć. Dotykał lekko skąty łopatkami, bał się oprzeć całym ciężarem. Zdawało mu się, że urwisko jest cieniutkie i krucho jak skorupka jajka tuż przed wykluciem pisklęcia. Wsunął prawą nogę do przodu i przeniósł na nią ciężar ciała, żeby w razie czego nie tracić czasu na zrobienie pierwszego kroku.

– Jesteś zła! – powtórzył głośniejsze.

Zatrącając się o rzuć kamieniem dalej, przyciskając dłońmi do policzków zagięte na dół uszy. Z zadartą głową wpatrywał się w szczyt urwiska. Od czasu do czasu opuszczał oczy na odmienca, ale nie wyglądało na to, żeby się niecierpliwił. Gdzieś w ciemności rozkumkały się ząby. Wiszące nieruchomo chmury wydawały się o wiele bliższe niż za dnia.

Odmieniec roztarł na nosie kroplę potu. Dałby głowę, że jeszcze o zmierzchu niebo było prawie całkiem czyste.

– Jesteś głupia! – Podniósł pięść, ale nie był pewien, czy powinien wyrażać chmurom, czy ziemi. – Prawdziwa bogini nigdy nie dałaby się przepędzić z tego świata!

Krzywozęby zaczął się cofać, ale po kilku krokach potknął się i usiadł na ziemi. Ani na chwilę nie oderwał rąk od uszu. Odmieniec pochylał się, gotów do ucieczki na pierwsze, odległe burczenie burzy. Ale czas mijał, odmierzany urywaniem oddechem, a niebo wciąż było ciche. Komary bzyczały całymi chmarami, jakby wcale nie zanosilo się na deszcz.

– Albo jesteś głucha, albo wcale ciebie nie ma! – Wyprostował się i machnął ręką do zatrącańca. – Równie dobrze mógłbym wymyślić stracha na wróble.

Ruszył przed siebie. Był zniechęcony i zły, że tak łatwo dał się omamić niedorzecznym wymysłom tych zaszczutych niedobitków, które uchowały się wśród bagien. Tłumaczył sobie, że na ich miejscu też wierzyły każdej opowieści, w której tkwiło źdźbło nadziei. Ale niech ten głupek wreszcie przestanie zatykać uszy, bo...

Nie usłyszał grzmotu, po prostu odczuł go jak nagły ciężar zwalający się na barki. Huk był zbyt potężny. Na chwilę zrobiło się jaśniej niż w dzień. Odmieniec upadł na kolana. Wyraźnie widział każdą grudkę ziemi i cieniutkie łodyżki jakichś trujących grzybków. Powietrze zrobiło się za gęste, żeby nim oddychać. Odwrócił głowę i zdążył jeszcze zobaczyć czerwone, rozgałęziające się pęknięcia nieba. Odetkały mu się uszy, kiedy grzmot już przebrzmiewał, jak zamierająca lawina kamieni. Niebo zgasło, zostawiając pod powiekami ból.

Zerwał się i od razu zaczął biec. Widział krawędź urwiska tylko przez krótkie mgnienie oka, między oślepiającą jasnością a czernią, ale to wystarczyło. W miejscu, gdzie przedtem był pręt, grom wykruszył głęboką wyrwę. Biała kipiela chlusiła się całą siłą, wypukając kamienie i rozrywając urwisko do dna. Ryk uwolnionej wody, który z początku brzmiał jak pogłos grzmotu, bardzo szybko dorównał mu potęgą.

Kiedy woda podcięła mu tydki, odmieniec zrozumiał, że nie ucieknie. Jeszcze przez chwilę udawało mu się łapać równowagę, ale siła prądu była tak wielka, że wyrwała mu grunt spod nóg. Powierzchnia wody podnosiła się gwałtownie. Huk wałacego się urwiska wstrząsnął powietrzem, a zaraz potem czarna fala, wielka jak góra, rzuciła odmieniecem w ciemność.

Bał się, że wściekły nurt rozerwie go na kawałki. Czasem wypływał na powierzchnię, a wtedy siekł go deszcz małych odprysków skalnych, które żądliły jak osy. Spienione wiry ścigały go w głąb, waliły o ziemię i przyniatały ciężarem, od którego trzeszczały mu zębra. Długie śliskie wodorosty oplątywały mu szyję, o jego twarz ocierały się jakieś pokryte tuszkami cielska. Nie otwierał oczu, rozpaczliwie miał w wodę rękami i nogami, żeby dostać się na powierzchnię. Za każdym razem, kiedy w ciżbę wdzierał się ryk, wiedział, że znowu mu się udało. Szybko łykał powietrze i spod ociekających rzęs próbował dostrzec coś w mroku, póki nie pochłonęła go kipiąca toń.

Była chwila, kiedy pomyślał, że to już koniec. Jakiś większy wir zakręcił nim, wessał w siebie i zakleszczył głowę w dół między gałęziami drzewa. Błysnęła mu myśl, że powódź chyba zalała całą wyspę, jeśli fala jest aż tak wysoka. Zrobił wysiłek, żeby się uwolnić, ale po kilku pierwszych ruchach poddał się, wypuszczając przez nos strugę bąbli. Woda wbiła go w ciasne rozwidlenie pnia, nic nie mógł zrobić. Pozostała jeszcze słaba nadzieja, że następny wir wyrwie go stąd, ale zgasła szybciej, niż odmieniec zdążył w nią uwierzyć.

Kipiela uspokajała się. Prąd coraz słabiej szarpał zwiotczale ręce i nogi odmienca, a potem zanikł, pozwalając im swobodnie unosić się w stojącej wodzie.

Zamiast ulgi odmieniec poczuł zwierzęcą trwogę. Umiął wstrzymać oddech o wiele dłużej niż większość ludzi, ale przecież nie bez końca. Nie wiedział, jak szybko woda nad nim opada. Zdawało mu się, że na mokrych piętach poczuł powiew wiatru, ale kiedy poruszył nogami, złudzenie przysło. Każdy skurcz serca był teraz silniejszy od poprzedniego. Postanowił, że odliczy jeszcze dziesięć uderzeń, a potem pozwoli wodzie wedrzeć się do płuc.

Było ósme, kiedy ktoś chwycił go za obie stopy i pociągnął w górę. Szorstki pień zdarił mu skórę z policzka. Zdał sobie sprawę, że usłyszał własny jęk, i z dziką radością wciągnął w siebie chłód nocy. Oddychał szybko i płytko, z dziwnym odgłosem, podobnym do dmuchania w pękniętą piszczałkę.

– Coś ty jej takiego powiedział? – Zatrzeniec siedział na wyższej gałęzi tego samego drzewa, sierść miał mokrą i gładką. – Myślałem, że spali całą wyspę.

Odmieniec podciągnął się, przerzucił przez gałąź nogę i usiadł koło niego. Poszukał wzrokiem urwiska, ale wszystko przykrywała brudna toń. Na jej powierzchni, tu i tam, kotłowały się jasne brzuchy ryb. Gdzieś tam sterczały nad wodę czuby najwyższych drzew, których korzenie wytrzymały napór powodzi.

– Zrobiłem tylko to, czym zawsze można dopiec silniejszemu, kiedy wszystko inne zawodzi. Zlekceważyłem ją.

Zatrzeniec z obrzydzeniem odepchnął stopą jakąś rybę, która ledwie poruszając ogonem podплыnęła na boku do drzewa. Guzek na jej wypustce rozjarzył się i zgasł.

– Nie jesteś taki głupi, jak na człowieka. Ale tej nocy lepiej niczego więcej nie lekceważ, jeśli chcesz przeżyć.

Zwiesił się na rękach i stanął na gałęzi poniżej. Powierzchnia wody opadała powoli, ale nieustannie, osadzając na pniu śliski szlam. Schodzili za nią ostrożnie, gałąź po gałęzi. Czasem spokojną tonięć jakiś niespodziewany ruch, a wtedy obaj podkurczali nogi. Coraz więcej ryb otrząsało się z ogłuszenia. Miotły się w płytkiej wodzie, nad obcym dnem, a ich ogniki wyglądały jak zbyt słabo rozdmuchany żar. Chmury rozeszły się i niebo znowu pojaśniało od księżyca i gwiazd. Nad wodę z wolna wysuwa-

ły się grzbiety pagórków, огоłocone z krzaków i trawy. Mokre stoki wyglądały jak cielska zdechłych potworów. Grube jak ludzkie ramię warkocze wodorostów zaczęły się o kamienie, a potem rozciągały po ziemi za opadającą wodą, szybko schnąc pod łagodnym wietrzykiem. W nieckach i zagłębieniach między pagórkami pozostawały małe, oddzielone od siebie bajorka. Woda w nich wrzała i bulgotała od stłoczonego życia, ale z każdą chwilą coraz słabiej.

Zeskoczyli na ziemię, zagłębiając się po kostki w cuchnącym mule. Zaraz potem pierwszy kruk zaklął skrzydłami, siadając na wystającym kamieniu. Przekrzywiając łebek przyjrzał się z bliska rybce, która rozchłapywała kałużę. Rozcapierzył skrzydła, uderzył dziobem i chlapanie ustało.

– Minie wiele czasu, zanim uporają się z padliną. Lepiej nie myśleć, co będzie, kiedy przygrzeje słońce. – Krzywozęby ruszył krętą wstęgą ładu między bajorkami. – Chodź. Musimy zdążyć, zanim się obudzi.

Szli z trudem, kotłując się i szeroko rozkładając ramiona. Oblepione mulem stopy ciążyły coraz bardziej, wodorosty oplątywały się wokół łydek jak wnyki. Powietrze szybko wypełniało się topotem skrzydeł i ochrypłymi krzykami wron. Przed nimi na tle nieba czerniało rumowisko obrzeżone mrugającymi gwiazdami.

– Ten łomot pewnie było słychać nawet z drugiej strony bagna. – Odmieniec mimo woli zwolnił kroku. – Jakim cudem gadzina to przespala?

– Nie wiem. Tak już z nim jest. Starzy zatrzeniecy opowiadają, że wielkie gady żyły na świecie, kiedy ziemia dopiero stawała się taka, jaką znamy. Trzęsły się lądy, wysychały morza, zapadały się góry i rosły nowe. Wszędzie był ogień i grzmot. Może właśnie z tamtych czasów został mu mocny sen?

– Niech sobie śpi, póki go nie... – odmieniec zaklął i upadł na jedno kolano. – Czekaj! Zaplątałem się.

Wodorosty trzymały tak mocno, że nie mógł wyszarpnąć nogi. Spróbował rozluźnić splot ręką, ale nagle cofnął dłoń, jakby coś go ugryzło.

– Co jest?

Odmieniec nie ruszał się, jego ręka wciąż wisiała w powietrzu. Kitki na uszach rozwinęły się jak ogon gruchającego gołębia.

– To nie wodorosty. Dotknąłem przyssawki.

Krzywozęby pochylał się nad jego nogą. Sam koniuszek macki ośmiornicy owinał się wokół lydki, dalej ramię grzęzło w mule i znikało w wodzie. Na środku bajora, tuż nad powierzchnią, białły się dwie okrągłe plamki ślepi.

– Nie bój się. – Zatrąceniec rozejrzał się za większym kamieniem. – W wodzie mogłaby zrobić z tobą wszystko, ale tutaj jest za słaba nawet na to, żeby podnieść ramię. Zaraz ją rozgnieciemy.

Odmieniec spojrział na bajoro, ale jakoś nie mógł długo patrzeć w tamtą stronę. Poruszył nogą. Zdawało mu się, że uchwyt macki słabnie.

– Zaczekaj! – Powstrzymał Krzywozębego, który podniósł kamień do ciosu. – Co z nią będzie?

– A co cię to obchodzi? Zniszczyłeś jej świat, dla niej to już koniec. Zdechnie jak cała reszta. – Powiodł ręką z kamieniem dookoła, gdzie nad każdą pluskającą kałużą zbierały się chmary ptaków. – Ale nie od razu. Jest bardzo duża i będzie powoli schła. Ptaki zabiorą się do niej dopiero wtedy, kiedy nie będzie już miała sily, żeby kłapać swoim wielkim dziobem. Rozszarpia ją żywcem, kawalek po kawalku.

Odmieniec ostrożnie przyciągnął do siebie nogę. Bezładna macka ześlizgnęła się w mul.

– Czemu mnie chwyciła? Przecież nie dla zabawy.

Zatrąceniec odrzucił kamień i wysunął do przodu szczękę.

– Myślisz, że cię poznała?

– Prosi, żebyśmy ją zabili.

Odmieniec wstał, odwrócony plecami do bajora. Zatrąceniec wspiął się na palce i wyrzucił ponad jego ramieniem.

– Jak dla mnie, to po prostu się gapi.

– Masz łuk. Zrób tak, żeby przestała się gapić.

Ramię osunęło się głębiej w wodę tuż po tym, kiedy

brzęknęła ściwiwa. Krzywozęby przewiesił łuk przez plecy i wzruszył ramionami.

– Możesz się odwrócić, ona już nie patrzy. Trafiłem między ślepi. Ale więcej nie każ mi marnować strzał dla takich głupawych ludzkich zachcianek.

Odmieniec bez słowa ruszył w stronę rumowiska, o wiele szybciej niż przedtem.

– Chryste! – Usiadł okrakiem na kamieniach, jakby potrzebował odpoczynku.

W płytkiej wodzie odbijało się drugie, nienaruszone urwisko. Mokra ściana, pełgająca odbitym, księżycowym światłem, pokryta była od podnóża aż po szczyt tysiącami muszelek. Niektóre były małe jak paznokcie, inne tak ogromne, że mogły się w nich zmieścić dorosły człowiek. Wszystkie poruszały się powoli, w milczącym popłochu, całkiem bezradnie na parującej skale. Spod skorupki wysuwały się wilgotne czułki, szczypce i wypustki, a potem chowały się wszystkie naraz, kiedy powiał silniejszy wiatr.

Pod urwiskiem leżał smok. Wydawał się o wiele większy niż wtedy, kiedy odmieniec oglądał go w nieprzejrzytej wodzie ślepiami ośmiornicy. Leżał rozciągnięty, lekko odwrócony na bok, z pyskiem płasko ułożonym na dnie. Od chrapów do nasady zwięzającego się ogona mógł mieć ze sto kroków. Na grzbiecie, pokrytym twardą skorupą zachodzących na siebie fusek, złożył skrzydła, jakby otulił się nimi do snu.

– Na naszej krwi tak się wypasł. – Krzywozęby pierwszy stanął w sięgającej do kolan wodzie. – Ale teraz zapłaci za te wszystkie lata, kiedy żerował na nas, jak chciał.

Dno było kamieniste i śliskie, przy każdym kroku jakieś stworzenia w ostatniej chwili umykały spod stóp. Odmieniec kilka razy prawie upadł, ale nawet nie spojrzął pod nogi.

– Wygląda jak martwy – powiedział cicho, kiedy podszli bliżej.

Smok miał powieki tak mocno zaciśnięte, że trudno byłoby wepchnąć między nie ostre noża. W miejscu, gdzie się łączyły, utworzyła się pokryta śluzem fałda. Chrapy, jaśniejsze i pozbawione łuski, zwały się jak u fok. Na odsłoniętym boku leżały podkurczone łapy, grube i krótkie, ze schowanymi do połowy pazurami.

Zatrzeniec przystanął. Ręce mu się lekko trzęsły, kiedy sięgał po strzałę, ale jego oczy błyszczały uniesieniem.

– Nie, bracie. Smoki nigdy nie umierają we śnie.

Z drugiej strony gada coś głośnie plusnęło. Zbyt głośnie, żeby to mogła być ryba. Krzywozęby nałożył strzałę na cięciwę, a odmieniec cofnął się o krok.

– Czy to naprawdę ty? – Głos Gędkła dobiegł gdzieś zza położonych na płask uszu smoka. – Powiedz chociaż jedno słowo po ludzku, żebym mógł w ciebie uwierzyć!

Odmieniec poczuł gorąco na policzkach, jakby ktoś przytłapał go na złodziejstwie. Zdał sobie sprawę, że na długi czas po prostu zapomniał o Gędklu. Nie tak, jak w rozrządzeniu czasem zapomina się o czymś ważnym. Wyparł go całkiem z pamięci, jakby wcale się nie spodziewał, że go tutaj spotka.

– To ja – zająknął się, przestraszony.

– No to czemu charczysz jak łoś, który się zabiera do krycia! – Gędek wystawił głowę i nieufnie przyjrzał się zatrzeniecowi. – Czy to twój przyjaciel?

– Brat. – Odmieniec powoli się rozluźnił. Pierwsze od dawna słowa wypowiedziane w mowie ludzi przysły mu z niespodziewaną trudnością, ale czuł, że dalej pójdzie gładko.

– O! – Gędek wstał i łokciami oparł się na głowie smoka. – Robi się coraz ciekawiej.

– A co z tobą?

– Nic. Siedzę sobie i cieszę się świeżym powietrzem. Możesz sobie wyobrazić, jak smakuje powietrze? To jest jak...

Urwał z przytłumionym stęknieniem, jakby chciał odkaslnąć, ale nie mógł. Odmieniecowi przeleciały po plecach ciarki, kiedy zobaczył jego rozszerzone źrenice.

– Gędek!

Dostrzegł strzałę w jego gardle dopiero wtedy, kiedy z kącika otwartych ust Gędkła pociekła ciemna strużka krwi. Powoli, jakby z namysłem położył się brzuchem na łbie smoka, a potem osunął się do wody.

Odmieniec skoczył, obiegł pysk smoka i przypadł do Gędkła. Podniósł go na tyle, żeby jego twarz była nad powierzchnią wody. Już nie żył. Oczy miał otwarte i patrzył gasnącymi źrenicami w gwiazdy.

– Zostaw padlinę krukowi. Mamy jeszcze dużo do zrobienia.

Łuk Krzywozębego znowu wisiał na plecach. Zatrzeniec mówił spokojnie, ale miał lekko pochylone barki i wysuniętą głowę, jakby na coś czekał.

Odmieniec wstał. Patrzył w miejsce, gdzie zatoneła twarz Gędkła, tak długo, póki czarna woda całkiem się nie wygładziła. Potem podniósł wzrok.

– Jesteś zwierzęciem – odezwał się ani trochę głośniejszym niż zwykle. – Wszystko, co się o was mówi, to prawda. Powinno się was wytepić do nogi.

Zatrzeniec parsknął, ale nie roześmiał się. Daleko za jego plecami, na rumowisku, jeden po drugim pojawiały się przygarbione cienie. Nie starali się iść cicho. Stracali przed sobą kamienie i wskakiwali do wody.

– Mogłbyś wrócić między nas, byłeś już bardzo blisko. Przez ostatnią noc mówileś i myślałeś jak zatrzeniec. Co się nagle zmieniło?

– Wolałbym być psem niż zatrzeniecem. Psy przynajmniej nie zdradzają.

– Zdrada? – Krzywozęby ze złością kopnął wodę, kilka kropel spadło odmieniecowi na twarz. – To ściwier, które zabiłem, było człowiekiem! Musisz zrozumieć jedno: albo przetrwają oni, albo my. Tych dwóch światów nie da się wymieszać.

– Zdradziłeś mnie, nie jego.

– Bo nie miałem czasu czekać, aż się namyślisz, kim właściwie chcesz być! – Słowa Krzywozębego brzmiały jak warknięcia. – Nadchodzi dzień, o którym śniliśmy od wiełu pokoleń. Matula się budzi, żeby oddać nam nasz świat. Każdy, kto spróbuje się temu sprzeciwić, zginie. Nawet mój brat! A teraz idź stąd.

– Nie mam dokąd.
– Sam tego chciałeś. Puszczam cię żywego przez pa-
mięć naszej matki. Ale pilnuj się, żebyśmy nigdy więcej
się nie spotkali.

Odmieniec odwrócił się i zaczął brnąć przez wodę
w stronę wielkiej ściany urwiska. Zmieszane głosy zatra-
ceńców odbijały się od niej i wracały zniekształcone, jak
jakiś bełkot ze świata duchów. Zbiegli się chyba wszyscy,
jacy żyli na wyspie, razem z dziećmi i starcami. Nie ucie-
kał przed ich włóczęgami i strzałami. Wiedział, że nic mu
nie zrobią. Bał się, że po prostu będą omijać go wzrokiem,
jakby w ogóle nie istniał.

Chyba w jakimś obronnym odruchu na chwilę stracił
świadomość, bo kiedy nagle wyrosła przed nim ściana,
niemal uderzył w nią nosem. Usłyszał jednostajny szum
tysięcy pełzających stworzeń. Przypomniał mu się odgłos,
jaki znał jeszcze z pastwiska, kiedy jesienią wiatr wymia-
tał z lasu suche liście. Musiało być już bardzo niedaleko
do świtu, bo różnorodne kształty muszli zacieraly się w szar-
zyźnie. Ślimaki słaby, odpadały od ściany i roztrzaski-
wały się o płytkie dno.

Coś dużego wynurzyło się z wody tuż koło jego kolan.
Gdyby nie rąbek słońca, który właśnie pokazał się nad
rumowiskiem, być może straciłby zbyt wiele czasu. Od-
skoczył w ostatniej chwili i ociekające wodą, ciemnoczer-
wone szczypcy przecięły tylko powietrze. Były tak wiel-
kie, że pewnie mogłyby objąć pień grubego drzewa. Ich
ostre krawędzie zachodziły na siebie jak nożyce.

Zaszedł ogromnego raka od boku, starając się nie plu-
skać. Para szczyptic szukała go po omacku, rozwierały
się i zamykały ze szczękami. Wyczekał na odpowiednią
chwilę, kiedy były opuszczone i zwrócone ku sobie. Woda
była mocno zamulona i musiał skakać na wyczcucie, ale
udało mu się za pierwszym razem. Poczul pod piętami
twardą skorupę na grzbiecie, rozstawił nogi i usiadł okra-
kiem. Szczypcy wystrzeliły w górę wysoko ponad jego gło-
wę i na jakiś czas zastęły w krańcowym rozwarciu. Od-
mieniec był teraz poza ich zasięgiem. Poczul drżenie sko-
rupy, kiedy odnóża gwałtownie przebierały w mule, ale
rak był zbyt osłabiony, żeby się spod niego wysunąć.

Odmieniec ścisnął go kolanami, pochylił się i położył
dłoń na jego wypukłym karczuchu.

– Nie wierzaj – wyszeptał. – Teraz jesteś mój.
Nie cofnął ręki, póki szczypcy nie zamknęły się cicho
i bez chlupotu zanurzyły się w wodzie. Odczekał jeszcze
chwilę z zamkniętymi oczami. Poruszał wargami, jakby
w myślach rozmawiał sam z sobą. Potem lekko kopnął
raka piętą w prawy bok.

Na powierzchni wody powstała mała fala, kiedy odwró-
cał się przodem do smoka.

Zatrzańcy biegali wokół gada, wrzeszcząc i poklepując
się z radości po plecach. Dzieciaki wdrapywały się na jego
grzbiet i piszcząc zjeżdżały na tyłkach po śliskich bokach.
Niektórzy pluli mu na pysk, inni podnosili cienką koń-
cówkę jego ogona i chłostali się nią po plecach jak biczem.
Setki kruków, spłoszone krzykiem, krążyły nad nimi we
wstającym słońcem powietrzu.

Naznosili na rumowisko drewna i rozpalili duży ogień.
Rozłożyli wokół kilka włóczni, wtykając grot do zaru.
Powoli cichli, kobiety brały dzieci na ręce i odchodziły na
bok. Kiedy przydzwigali długi łańcuch, uginając się pod
jego ciężarem, a potem z trudem przewlekli go smokowi
pod szyją, odmieniec zrozumiał, że zatrzańcy wcale nie
chcą zabić gada.

Położył się na grzbiecie raka, zostawiając nad powierz-
chnią tylko nos, uszy i oczy.

Zapletli łańcuch na smoczym karku bardzo mocno, ze-
łazne ogniwa wciskały się między łuski. Kilkunastu naj-
mocniejszych zatrzańców chwyciło za luźny koniec. Na-
prężyli łańcuch do oporu, aż wielki łeb lekko uniósł się do
góry. Inni wyciągali z ognia włócznie o czerwonych gro-
tach.

Teraz zrobiło się całkiem cicho. Odmieniec słyszał ich
sapanie, kiedy szli przez wodę, niosąc nad głowami dy-
miące włócznie. Ustawili się przy łbie, po dwóch z każdej
strony, i zbliżyli rozżarzone ostrza do opuszczonych po-
wiek. Odmieniec poderwał głowę.

– Chcą go oślepić! – gadał w podnieceniu sam do siebie, jak za dawnych czasów na pastwisku. – Chcą go ujaźnić, żeby ich słuchał!

Przedtem przyjrzał się dobrze tym powiekom z bliska i wiedział, że nie uda im się ich przebić. Mogli go co najwyżej zadrasnąć. Ale oni też o tym wiedzieli. Odmieniec zmrużył oczy, kiedy na otwartej dłoni brata zobaczył małe pudeleczko, chyba splecione z trzciny. Zatrącańiec potrząsnął nim koło ucha, a potem zbliżył na chwilę do rozgrzanej włóczni, aż uniosła się smużka dymu. Wściekle buczenie kilkunastu szerszeni poniosło się po wodzie aż do odmienca. Zatrącańcy zamruczeli wszyscy naraz, kiwając głowami.

– Obudzą go! – Odmieniec zrobił ruch, jakby chciał wstać, ale po chwili znowu klapnął w wodę. – Zmuszą go, żeby utworzył ślepią.

Bardzo długo okadzali mu chrapy dymem z płonących wiązek jakiegoś zielska. Wydawało się, że nic z tego nie będzie, kilka razy przerywali i spierali się przyciszonymi głosami. Ale wreszcie rozległy się dwa bardzo głośno cmoknięcia, jedno po drugim, kiedy otworzyły się nozdrza. Pierwszy oddech smoka zasyczał jak kłębowisko żmij. Zatrącańcy powrzucaли płonące wiązki do wody i rozbiegli się na boki.

Tylko Krzywozęby pozostał. Kciukiem odrzucił wieko pudeleczka i szybkim ruchem przyłożył go do otwartych chrapów. Smok nie przerwał wdechu, aż wkleśło zassane denko. Bzyczenie szerszeni na chwilę wzmogło się, a potem zamilkło.

Zatrącańcy przy łańcuchu poprawili uchwyt i zaparli się piętami w mule. Ci, którzy trzymali włócznie, przgarbili się nad smoczym łbem, gotowi do ciosu. Niebo ogołociło się z ptaków, jakby wyczuły to, co miało się stać. Dzieci wdrapywały się matkom na plecy i wystawiały spoza ich ramion tylko płaskie główki o rozpalonych ślepkach.

Im dłużej nic się nie działo, tym szybciej ulatniało się napięcie. Ogniwa poluzowanego łańcucha znowu zanurzyły się w wodzie, stygnące groty włóczni traciły czerwien.

Dzieci się wierzycy, któreś zaczęło się głośno przekomarać. Krzywozęby zajął jednym okiem do pudeleczka, a potem odrzucił je za siebie. Ze zmarszczonym czołem nachylił się i przyłożył ucho do nozdrzy smoka.

Podmuch był tak silny, że odrzucił go na kilka kroków. Pychając wodą podniósł się na kolana i odruchowo stał z policzka żółto-czarną miazgą, z której sterczały owadzie skrzydełka. Zastonił łokciem twarz, bo smok parsknął, jakby znowu chciał przedmuchać chrapy. Ale zamiast tego mlasnął, pokazując długie na łokieć zębiska, i utworzył ślepią.

Zatrącańcy wiedzieli, że za pierwszym razem muszą trafić w wąskie, rozciągnięte z góry na dół źrenice. Natarli bez okrzyku, ślizgając się na mule. Kiedy uciekali, ścigał ich rosnący cień podnoszący się łba.

Musiało minąć trochę czasu, zanim gad zrozumiał, co się dzieje. Podniósł połowę swojego długiego cielska i zawisł w powietrzu, z łańcuchem wznajającym się w gardło. Na podkurczonych przednich łapach lekko wysuwały się i chowały pazury. Drzewca włóczni, sterczące z obu ślepi, wyglądały jak kocie wąsiska, które wyrosły w złym miejscu. Przez krawędzie dolnych powiek, porośnięte pozlepianymi śluzem włoskami, zaczynała przelewać się krew.

Chyba dopiero teraz wyparowały z niego resztki snu i poczuł ból. Napiął grzbiet i podniósł się na tylne łapy. Zatrącańcy, którzy trzymali łańcuch bliżej, zamachali w powietrzu nogami, ale reszta utrzymała się na ziemi. Z podłużnych ogniw odpadały płatki rdzy. Smok stęknął, szarpnął się jeszcze raz, ale łańcuch nie puścił. Z hukiem zwałił się na grzbiet do płytkiej wody.

Zatrącańcy znów odskoczyli na długość łańcucha, wyrwijąc wysoko stopy, jakby biegli we wrzątku. Dopadli do nich ci, którzy wbili włócznie w ślepią. Wiedzieli, że to dopiero początek i teraz znacznie się najgorsze.

Woda zakipiła, kiedy smok kilka razy wściekle obrócił się wokół własnej osi. Deszcz śmierzącego mułu obryzgał nawet kobiety, które kulily się pod samym rumowiskiem. Żelazna pętla przesunęła się wyżej po grubej szyi, ale utknęła na poszerzeniu szczęk. Gad podniósł się, a spły-

wająca z jego grzbietu woda szumiała jak wodospad. Przednie łapy rozjechały mu się i upadł na pysk, ale bardzo szybko podniósł się znowu.

Kiedy się miotał, włócznie łamały się jak patyczki. Ostrza wciąż tkwiły w krwawych strzępach tego, co jeszcze przed chwilą było ślepiami. Rozdziawił paszczę, na ostrych końcach dwóch najdłuższych zębów błysnęły krople jadu. Wciągnął gwałtownie powietrze, aż zmarszczyła się powierzchnia wody, i ryknął przeciągle.

Z urwiska posypały się ślimaki, jakby skała zaczynała się walić. Dzieci wysuwały się matkom z rąk, zatracone kulili się na kolanach i zatykali uszy. Niektórzy wsadzali głowy pod wodę. Ale ci, którzy trzymali łańcuch, nie mogli zrobić nic. Ryk trwał, jakby nigdy nie miał się skończyć. Kto poczuł w uszach krótki trzask, jak dźwięk pękającego włosa, z ulgą prostował barki. Głuchota była wybawieniem.

Kiedy zaczęły rozkładać się wielkie czarne skrzydła, zrobiło się prawie ciemno. Ogarnęły połowę nieba, opadły i podniosły się znowu. Silny jak wicher podmuch na chwilę odebrał zatraconcom oddechy, a rozchodząca się kłóść fala wielu z nich zwała z nóg. Długi ogon ze świstem przeciął powietrze z prawa na lewo. Jakiś kulejący starzec nie cofnął się na czas i jego głowa chlapnęła w wodę jak strącony kwiat mlecza. Gad machnął skrzydłami jeszcze mocniej i wszystkimi czterema łapami odbił się od ziemi.

Przez chwilę wydawało się, że da radę. Obwieszony zatraconcami łańcuch uniósł się, tylko dwóch czy trzech dotykało jeszcze stopami dna. Ale oszołomiony bólem i ślepotą smok źle rozłożył siły. Jego zad podniósł się w górę, choć zakotwiczony na łańcuchu łeb pozostał nad wodą. Jeszcze walczył o odzyskanie równowagi, trzępiąc skrzydłami jak przypalona nad ogniem ćma, ale widać było, że szybko słabnie. Zawadził prawym skrzydłem o wodę, na mgnienie oka zawisł w powietrzu, przęcąc ogon, a potem zwałił się na dół. Nie upadł na łapy, ale na bok, bardzo ciężko. Od wstrząsu z rumowiska stoczyło się trochę kamieni.

Jeszcze raz się podniósł, ale już nie tak szybko. Jego prawe skrzydło leżało płasko na powierzchni wody, jakby zwichnięte albo złamane. Dźwignął łeb i nastroszył uszy. Przez jakiś czas słuchał w ciszy, dysząc przez chrapy. Spróbował przednią łapą dotknąć ślepi, ale zaraz ją opuścił, jakby rozumiał, że to nic nie pomoże.

Bez ostrzeżenia, cicho i miękko jak ryś skoczył przed siebie. Dosięgnął zębami dwóch zatraconców, którzy stali najbliżej. Pierwszy umarł od razu, przecięty na pół kłapieniem szczęki, ale drugi jeszcze przez jakiś czas bulgotał pod wodą, przyciśnięty łapą do dna. Nawet nie próbował mu pomóc, nie mogli stracić więcej ani jednej pary rąk przy łańcuchu. Cofnęli się w pośpiechu, póki ciężkie ogniwa nie wyloniły się z wody. Zmrużyli oczy, przygięli kolana i czekali.

Łatwo umknęli przed drugim skokiem. Wystarczyło zrobić kilka kroków w bok, żeby smoczy pysk zarył się w mule. Smok jeszcze raz się zebrał i niezdarnie uderzył na ślepo, ale pchał go naprzód już tylko upokorzenie, a nie chęć walki. Zatracone usuwali mu się z drogi, naprzęzali łańcuch, ocierali twarze z błota i znowu odbiegali na bok.

Padł z wyczerpania, kiedy słońce było już w połowie drogi w górę. Przy ostatnim skoku potknął się przednimi łapami, przetoczył przez łeb i tak już pozostał, leżąc na grzbiecie. Wypinał brzuch jak szczeniak, który czeka na pieszczoty. Zatracone przy łańcuchu siadali w wodzie, gdzie kto stał. Wszyscy mieli oczy nabiegłe krwią i sierść sztywną od schnącego w upale błota. Coraz więcej czujnie pochylonych postaci wylaniało się z załomów rumowiska. Krag kobiet, dzieci i starców powoli się zacieśniał.

Krzywozęby podniósł ramię, żeby wszyscy na niego spojrzeli.

– Jeszcze nie! – zawołał. – Trzeba sprawdzić, czy naprawdę się poddał.

Kiedy poruszona krokami zatraconca woda dotknęła smoczego łba, uzębiona szczeka drgnęła. Brzuch podnosił się wysoko w ciężkim oddechu. Smok miał uszy pod wodą i kiedy je bezwiednie nastroszył, z obu stron pyska zakrę-

cicy się małe wiry. Klapnął ostrzegawczo końcówką ogona, ale równie dobrze to mogły być przedśmiertne drgawki jakiejś ryby. Krzywozęby nie zatrzymał się, póki nie wszedł w cień półotwartego pyska. Tracił czubkiem stopy ułomek włóczni, który wystawał z gadziego oka. Smok wyprężył wszystkie łapy i przez chwilę przebierał nimi w powietrzu.

– Jesteś nasz. Czy wiesz o tym?

Ogon smoka poruszył się pod wodą, w chrapach coś mu zacharczało.

– Musisz zrozumieć, że od dziś wszystko się dla ciebie zmieniło. Pozwolimy ci żyć, jeśli zapomnisz o swojej dumie. Będziesz nam służył.

Wydawało się, że smok zasypia. Oddech mu się wyrównał, a krwawy prześwit między powiekami zaczął się zwać. Krzywozęby zanurzył w wodzie obie ręce, skrzywił się z wysiłku i wyszarpnął nad powierzchnię jedno smocze ucho. Poczekał, aż cieknie z niego błoto, i zbliżył twarz do ciemnego wnętrza.

– Budzi się Matula, idzie wielka wojna – mówił teraz ciszej, nikt inny nie mógł go słyszeć. – Zemścisz się za wszystko. Za całe swoje życie wygnańca. Będziesz mógł zreć tyle ludzkiego mięsa, ile zmieścisz w brzuchu. Ale tylko z nami. Bez nas nie złowisz sobie nawet myszy.

Smok odwrócił łeb tak szybko, że Krzywozęby nie zdążył nawet podnieść nogi. Stał teraz wewnątrz rozwartego gadziego pyska. Sterczał nad szczękami od pasa w górę, czuł ułkanie ostrych zębów na poślądkach i na brzuchu. Koniuszek czarnego, lepkiego jezora bardzo lekko dotknął jego biodra, jakby tylko sprawdzał ciepłotę i smak.

Łańcuch zagrzechał, kiedy zatracone porwali się na nogi. Krzywozęby dał im znak ruchem samych powiek, żeby zostali na miejscach.

– Ja to wszystko wymyśliłem. – Drugie ucho, które teraz było nad wodą, samo skierowało się w jego stronę. – I ja kazałem ci oślepić. Jeśli taka licha zemsta ci wystarczy, gryź.

Jezor cofnął się, a zęby ułożyły go mocniej. Wciągnął brzuch, na ile mógł.

– Zatracone i tak się odrodzą, ze mną czy beze mnie. Ale ty jesteś ostatni. Z dalekich stron ojcowie będą przyprowadzać dzieci, żeby pokazać im twoje kości.

Przestał czuć nacisk zębów, kiedy od zbyt długo wstrzymanego oddechu już zaczynało mu się kręcić w głowie. Pysk powoli obrócił się chrapami ku niebu, zwarły się szczęki. W całkowitej ciszy Krzywozęby wdrapał się na szyję gada, a stamtąd na jego brzuch. Lewą ręką chwycił się wystającego pazura, a zaciśniętą pięść prawej podniósł wysoko w górę.

– Tak odmienia się świat! – zawołał ochryplym głosem, w którym dopiero teraz wyzwalalo się całe napięcie.

Odpowiedział mu radosny, wrzaskliwy zgłęk. Dzieciaki pierwsze rzuciły się naprzód, jazgocząc i walcząc łokciami o pierwszeństwo. Kobiety brały się pod ręce i podskakiwały w miejscu, obnażając ze szczęścia białe zęby. Wszyscy, którzy mieli włócznie, walili drzewcami o powierzchnię wody jak cepami, jakby chcieli wytłuc ostatnie ryby. Ktoś wyszukał w mule odcięty smoczym ogonem głowę starca i podniósł ją w górę za sierść nad czołem, żeby on też mógł napatrzeć się na to zwycięstwo.

Tylko zatracone przy łańcuchu rozglądali się z krzywymi, niepewnymi uśmiechami. Byli głusi i nie bardzo rozumieli, co się dzieje. Kiedy jeden z nich nagle coś krzyknął, krótko i gardłowo, prawie nikt nie zwrócił na niego uwagi. Tylko Krzywozęby przechylił się przez smoczą łapę, próbując machnięciem ręki uciszyć resztę.

– Co się stało?

Zatrzeniec nie mógł go usłyszeć, ale dostrzegł ruch jego warg. Podniósł na wysokość twarzy zaciśnięte dłonie. W obu trzymał końce przeciętego łańcucha.

Krzywozęby nie tracił czasu na złażenie, zeskokzył prosto do wody, w locie podciągając kolana pod brodę. Przewrócił się, ale wstając, trzymał już w rękach strzałę i łuk. Widział, jak zatrzeniec z łańcuchem pochyla się nagle, jakby zobaczył coś pod powierzchnią wody. Wprostował się i otworzył usta do krzyku, ale nie zdołał wydobyć głosu. Niespodziewanie zrobił się o głowę niższy, jakby dno pod nim stało się grząskie. Upadł na plecy, a jego nogi

podniosły się ponad wodę. Obie były równo obcięte w polowie łydek.

Kiedy Krzywozęby podbiegł do niego, był już nieprzytomny. Zatrzańcy nie ruszyli się, tylko pootwierali usta. Wciąż zaciskali palce na ogniach niepotrzebnego łańcucha.

Wtedy Krzywozęby zrozumiał. Okręcił się na pięcie, jednocześnie nakładając strzałę. Wielki rak wpełzał po wzdętym boku smoka, z przyklejonym do grzbietu odmieńcem. Na krawędziach rozwartych szczyptic z daleka było widać kępki zlepionej krwią sierści zatrzańcy.

Krzywozęby puścił strzałę. Odbiła się od czerwonej skorupy raka jak od kamienia. Szybko nałożył następną, tym razem mierząc w kark odmieńca. Kiedy rozprostowywał palce, wiedział, że się spóźnił. Odmieniec śmignął naprzód między szczypticami i stoczył się po szyi gada w dół. Był teraz w osłoniętym miejscu, blisko smoczego ucha.

Krzywozęby zaczął biec. Gwałtowna fala, sięgająca mu do pasa, odrzuciła go w tył. Kiedy się pozbierał, odpluwając błoto, smok stał już na łapach. Rozpostarł skrzydła z taką szybkością, że najbliższe stojące dzieciaki koziołkowały w powietrzu, porwane podmuchem.

Z jego szyi zwiślał przecięty łańcuch. Lśnił w słońcu, jakby był ze srebra.

Niewiele pamiętał z tego pierwszego lotu. Podskakiwał między smoczymi skrzydłami bezwładnie jak kukła, ale nie bał się ani trochę. Przez jakiś czas ponad gwizd wiatru przebijają się wrzaski ogłupiałych ze strachu ptaków. Obejrzał się tylko raz, na samym początku. Zobaczył małeńkie, zadarte główki zatrzańców i białą pianę na wzburzonej wodzie. Kiedy podniósł głowę, mógł ogarnąć wzrokiem całą wyspę, od brzegu do brzegu. Czuł swobodę i radość, jak skazaniec, którego po wielu latach wydobyto z lochu.

A potem nagle smok złożył skrzydła i skierował się pyskiem w dół. Runął ku ziemi, jakby tam czekało na niego ocalenie. Odmieniec zrozumiał, że to koniec. Nie poczuł

nic więcej oprócz zawodu, który rozplywał się w ustach jak gorzki smak niedojrzałego orzecha.

Cielsko smoka wyprężyło się, gwałtownie rozłożone skrzydła zagrzmiały jak burza. Odmieniec odbił się w górę, na jedno mgnienie oka zawisł w pustce, leciutki jak dmuchawiec, a potem upadł plecami w śmierdzące bagno.

Przez długi czas było ciepło, cicho i spokojnie, więc leżał bez ruchu. Kiedy zaczął się dusić, dotarło do niego, że to jeszcze nie jest ta ostatnia chwila. Przyjął to bez wielkiej radości. Usiadł, pokonując ból w obtłuczonych barkach, a kiedy nasycił płuca ciężkim od oparów powietrzem, rozejrzał się.

Znalazł smoka tylko dlatego, że usłyszał ciężkie chrapanie jego nozdrzy. Gad przygnał do dna kawałek dalej, w głębszym miejscu, gdzie bagno mogło go przykryć prawie w całości. Nad powierzchnię wystawał tylko kolczasty grzebień i kawałek pyska. Odmieniec z trudem dojrzał do niego przez gęste blocko. Zanurzył rękę w miejscu, gdzie powinien być łeb, i położył dłoń między uszami.

– To nic nie da – powiedział głośno. – Musisz zebrać siły i lecieć dalej. Znajdą cię tu.

Zaskoczony pochylił się niżej, kiedy poczuł pod palcami niewyraźne mrowienie. Wiedział, co to może oznaczać. Zamknął oczy i wstuchwał się w ciszę.

– Mów, jeśli możesz – szepnął.

Minęło dużo czasu, zanim wreszcie westchnął, usiadł i oparł się o bok smoka. Bagno podeszło mu do połowy piersi, pod plecami czuł twardy wzór łuski.

– Dobrze. Zaczekamy do nocy, jeśli nie chcesz lecieć za dnia. – Ułożył się wygodniej, oparł głowę. – Nienawidzę tego miejsca, ale jakoś wytrzymam do zmroku.

Ruszyli dalej, kiedy czerwona smuga od zachodzącego słońca zaczęła gasnąć na bagnie.

Nie spodziewał się, że poderwanie smoka do lotu przyjdzie mu aż tak łatwo. Ale napawał się swoją mocą tylko przez chwilę. Szybko zrozumiał, że nie ma w tym jego za-

slugi – smok zrobił to, co chciał. Nie uległ, ale przyjął pomoc. Pomimo bólu i wściekłości umiał rozpoznać jedyną drogę, która prowadziła do ocalenia. Zabrał odmieńca, bo potrzebował jego oczu, tak samo jak odmieńiec potrzebował skrzydeł.

Na początku bał się, że odpadnie od śliskiego grzbietu. Podczołgał się do karku, zacisnął palce na rogowym grzebieniu i wparł czubki stóp pod łuski. Jakoś się utrzymał, ale musiał się podciągać po każdym uderzeniu czarnych skrzydeł. Nie otwierał oczu. Słyszał, jak z tyłu długi ogon chłoszcze noc, jakby chciał postrzącać gwiazdy. Zimny wiatr targał mu włosy i nogawki, zatkały się uszy. Chyba jęczał, może nawet krzyczał, ale w tym ogłuszającym szumie i łopocie ginął jego głos.

Półki się wznosił, grzbiet smoka był naprężony i twardy jak skała. Jego nozdrza pracowały głośno i nierówno, zagarniał pod siebie powietrze płachtami skrzydeł z głuchym stękanem, które odmieńiec wyczuwał jako powtarzające się drżenie łusek. Ale potem nagle wszystko się zmieniło, jakby wyskoczyli z burzy w pogodną noc. Skrzydła rozłożyły się szerzej i znieruchomiały, tylko ich krawędzie falowały lekko pod naporem wiatru. Grzbiet zwiózł i zmiękł, a gadzi oddech stał się cichy i łagodny jak szmer kwitnącego sadu. Powietrze oziębiło się. Plecy odmieńca szczypał lodowaty wiatr, ale od spodu grzało przesączaające się między łuskami ciepło. Umościł się wygodniej, poklepał smoka po wyciągniętej szyi i przyłożył czoło do jego nagranego karku.

Widział pod zamkniętymi powiekami smoczą świadomość, jak wielką kulę łagodnego blasku, który nie łączył się z mrokiem w zadne półcień i szarzyzny. To była bardzo stara jasność, starsza, niż umiał sobie wyobrazić. Niczego nie oświetlała i nie ogrzewała, podsycała swój ogień samą sobą. Od wieków trwała w odłączeniu od świata, obojętna i samotna. Ostatnia.

Nie umiałby trafić na miejsce nawet za dnia, ale wiedział, że nie musi się tym martwić. Smok pruł skrzydłami ciemność pewnie jak bocian, który po zimie wraca do swojego gniazda. Nie wahał się ani przez chwilę. W dole

przemknęło tłące się niebieskawe bagno, urwało się i po świetle rozlała się czerń. Z rzadka mrugało jakieś zabląkane światełko, ale zniknęło tak szybko, jakby zdmuchiwał je szum smoczych skrzydeł. Ślizgali się wytrwale przez pustą, zimną noc, choć odmieńcowi chwilami zdawało się, że wisi nieruchomo wśród gwałtownych poświstów, a ponad nim powoli obracają się gwiazdy.

Zaczął się już niepokoić, czy nie stoczy się w otchłań, kiedy zmorzy go sen, ale właśnie wtedy w oddali rozniecił się świt. Prawie od razu ogarnął połowę nieba, gasząc gwiazdy i wydobywając z mroku obłoki. Odmieńiec objął ramieniem wystający kolec grzebienia i ostrożnie wychylił się na bok.

Niemal wessała go szarżąca próżnia. Jednym rzutem ciała podciągnął się z powrotem i zacisnął drżące kolana na gadzim grzbiecie. Zdążył zobaczyć ciemnozieloną połąć puszczy, która gnała w tył, rozlewając się w zamazane smugi. Za nimi włókł się po dachu lasu bardzo wydłużony skrzydlaty cień.

Smok niespodziewanie pochylił łeb i odmieńiec musiał schować twarz przed spotężniałym wichrem. Przycisnął policzek do łusek, po każdym uderzeniu smoczego serca przetykał ślinę. Prawe skrzydło nieznacznie zmieniło położenie, a całe cielsko przechyliło się lekko na bok. Spod przymrużonych powiek odmieńiec patrzył na słońce, które zaczęło zataczać nad widnokretem koło. Zrozumiał, że smok szuka miejsca do lądowania. Pomyślał, że powinien mu pomóc, ale nie miał odwagi, żeby wychylić się jeszcze raz. Wstrzymał oddech, czekając na wstrząs.

Gdyby nie to, że w pewnej chwili wyczuł pod łuskami ruch łopatek i usłyszał miękkie uderzenia łap o ziemię, niczego by nie zauważył. Smok przeszedł od lotu do biegu płynnie, bez jednego szarpnięcia. Spokojnie wytracał prędkość, lekko wachlując podniesionymi skrzydłami. Zwolnił, z łoskotem opuścił ogon na ziemię i złożył skrzydła na bokach. Zatrzymał się. Dwa razy przedmuchał nozdrza, postawił uszy i bardzo ostrożnie położył się na brzuchu, jakby nie był pewny podłoża.

Odmieńiec. Potem przełożył przez smoczy grzbiet zdrę-

twiała nogę i zsunął się na ziemię. Znowu powstał w miejscu przez jakiś czas, póki ziemia nie przestała chwiać się pod jego piętami. Odetchnął, odwrócił się i otworzył oczy.

Nad pastwiskiem wisiła cisza pogodnego świtu. Rzeka szumiała, między trzcinami pluskała woda. Na skraju lasu było jeszcze całkiem ciemno, ale odmieniec szybko wypatrzył stadko strwożonych krów. Ostonił ręką oczy. Był słaby ze zmęczenia i niewyspania, nie mógł rozpoznać żadnej z nich. Zatoczył się i ruszył przed siebie. Smok nadstawił uszy i przesunął pysk po trawie w jego stronę.

Ciche skrobnięcie kopyta o ziemię dobiegło gdzieś z boku. Odmieniec odwrócił się i nagle cała jego słabość rozplynęła się we wstającym słońcu.

– Ale wyrosło z ciebie byczysko! – Wyciągnął dłoń. – Nie przywitasz się?

Byk niechętnie podniósł zwieszony łeb. Starał się patrzeć jednocześnie na smoka i na odmieńca. Jeszcze raz wyrwał kopytem kępę trawy, ale widać było po nim, że nie wie, co się dzieje.

– Zrobisz jeszcze krok, a weźmie cię na rogi. – Głos Grubej Jagny był mrukliwy jak zawsze. – To nie jest twój byczek, tamtego dawno diabli wzięli.

Stała przed szafasem, między dwoma cebrzykami, jakby dopiero przed chwilą postawiła je na ziemi. Odmieniec skoczył do niej z wyciągniętymi ramionami, ale w połowie drogi zwolnił, a potem zatrzymał się. W nieruchomej, okolonej chustą twarzy tkwiły chłodne oczy.

– Wróciłem... – powiedział niepewnie i mimo woli się zaczerwienił.

– Widzę. Ale po co?

Patrzył na jej usta, jakby nie rozumiał słów. Zdawało mu się, że pokryta krowimi plackami trawa parzy mu stopy.

– Tu jest moje miejsce.

Gruba Jagna pokręciła głową, węzeł chusty prawie zniknął w fałdach jej podbródka.

– Już nie. Zaraz po tym, jak odszedłeś, kmiencie wybili krowy i spalili je razem ze wszystkim, czego dotykałeś. Myślą, że to ty sprowadziłeś na soltysa nieszczęście, i boją się, żeby nie przeszło też na nich.

Ani razu nie spojrzała w stronę smoka, jakby w ogóle go tutaj nie było.

– Ty wiesz, jak było naprawdę. Mogłaś im powiedzieć.

– Tak ci się tylko wydaje. Widywałam się z tobą codziennie, więc mnie też chcieli przepędzić. Pozwolili mi zostać tylko dlatego, że nie było pod ręką nikogo na twoje miejsce.

– Pasiesz krowy? – Odmieniec poruszył brwiami. – Ty, soltysowa baba?

Żeby schylić się po cebrzyki, musiała opuścić oczy. Kiedy z trudem wyprostowała plecy, jej twarz wydawała się ciemniejsza.

– Idę do wsi zanieść mleko – rzuciła cicho, ruszając w stronę piaszczystej ścieżki. – Kiedy wrócę, ma cię tu nie być. I zabierz ze sobą to dziwadło, które gniecie mi trawę.

Mijała go powoli, sapiąc jak niedźwiedź. Z bliska dostrzegł, że ma obwisłe policzki i sine wargi. Zatrzymała się w pół kroku, jakby coś wypatrzyła w trawie. Mleko w rozchybotanych cebrzykach chlupotało od krawędzi do krawędzi.

– Spotkałeś go jeszcze... potem? – zapytała.

Nie opierała się, kiedy wyjął z jej dłoni uchwyt cebrzyka. Odgarnął palcem złoty kozuch i pociągnął bardzo długi lyk. Ciepły, ożywczy dreszcz spłynął mu aż do pięt.

– Widziałem. – Odetchnął, napił się znowu. – Uratował mi życie.

Nie pokazała po sobie nic, może tylko lekko podniosły się jej ramiona. Przez chwilę patrzyła w milczeniu na przesuające się po ścieżce cienie obłoków. Potem sięgnęła do szyi i niecierpliwie szarpnęła za węzeł chusty, jakby ją dusił. Jej siwiejące przeredzone włosy rozpuściły się na plecy. Bez chusty nie wyglądała tak staro, jak zwykle. Odwróciła się w stronę smoka i po raz pierwszy spojrzała prosto na niego. Jej blade wargi powoli nabierały czerwieni.

– Jak go obłaskawiłeś? – zapytała.

– Opowiem ci, ale to zajmie trochę czasu. Nie śpieszysz się nigdzie?

- Nie. - Coś jakby uśmiech błysnęło w jej oczach. Bez strachu zbliżyła się do wielkiego cielska. Obeszła go dookoła, mrużąc do siebie pod nosem. Podniosła z trawy końcówkę bezwładnego ogona, obejrzała z bliska i ostrożnie odłożyła. Tu i tam nacisnęła łuskę, wygładziła dłoń faldę na złożonym skrzydle. Kiedy zatrzymała się koło łba, jedno smocze ucho poruszyło się, rzucając na nią cień.

- Widzę, że nie za bardzo o niego dbasz - rzuciła przez ramię. - Jeśli ma przeżyć, trzeba mu oczyścić rany w ślepiach z drzazg i błota, a potem przemęczyć wywarem z rumianku.

Postawiła cebrzyk przed smoczym pyskiem. Chrapy zmarszczyły się, a po chwili wysunął się długi na trzy łokcie język. Zanurzył się w cebrzyku, potem zniknął w pysku, ociekając białymi kroplami i wysunął się znowu.

- To na razie musi mu wystarczyć. - Gruba Jagna pieścizotliwie wytargała smoka za ucho. - Potem zawołamy byczka. Jest taki głupi, że tak naprawdę nigdy go nie polubiłam.

Odmieniec stanął przy niej. Smok chleptał mleko, pomrukując z głębi gardła jak kocur.

- Wiesz ci tego nie daruję.

Przelotnie obejrzała się na drogę. Niespodziewanie objęła odmienca ramieniem i przycisnęła do swojego szerokiego biodra. Był tak zaskoczony, że zeszytytniał i wstrzymał oddech.

- Muszę ci powiedzieć o sołtysie coś bardzo ważnego. - Rozczochrała mu włosy. - Powinłam to zrobić już dawno temu, ale nigdy nie miałam odwagi.

•

- Drugi dzień nie wychodzi! Trzeba to sprawdzić! Ludzie napanili na płot sołtysa tak mocno, że zaczął trzeszczeć. Zeszli się od razu całą kupa, jakby byli zmówieni. Z tyłu jazgotały baby, a przy samym płocie tłoczyli się kmiecie. Ich oczy były dziwnie rozbiegane, kiedy nowy sołtys przenosił wzrok z twarzy na twarz.

- Ludzie! - zawołał wreszcie, przestępując od środka

próg chaty i zatraskując za sobą drzwi. - Uciszcie się i niech gada jeden.

Podparł się pod boki i patrzył na nich w milczeniu. Miał na czole głęboką zmarszczkę i długie, powiewające na wietrze wąsy, jak przystoi poważnemu chłopu. Może właśnie za te wąsy wybrali go na miejsce tamtego nieszczęśnika, którego usidliła anielicha.

- Gruba Jagna przepadała!

Sołtys zmruczył oczy i podszedł bliżej.

- Pokaż się, a nie wołaj zza pleców!

Ludzie zaszemrali, spluwając i drapiąc się po skołtunionych głowach. Rozstępowali się powoli, skrzypiąc piętami w piachu wioskowego placu. Krepy, zarośnięty po same uszy Rys za późno zauważył, że został sam. Błysnął oczami na prawo i na lewo, ale kiedy nie udało mu się złapać niczyjego wzroku, porywczco zarzucił grzywę.

- Nie ma Grubej Jagny! - powtórzył, zbliżając się do płotu. - Nie przyniosła mleka ani wczoraj, ani dziś.

- Zauważyłem. - Sołtys przyglądał wąsy. - I co z tego?

- Trzeba iść i zobaczyć, co się stało.

- Ano trzeba. Po to robicie zbiegowisko? Ty idź albo ktokolwiek inny.

Prawie wszyscy naraz splunęli, a potem długo ocierali wargi, chowając twarze w rękawach. Chrzakali, jakby każdemu zaschło w gardle. Ucichli, kiedy spomiędzy bab wyszła mała, chuda Językłata. Zwykle kmiecie unikali jej ciętego ozora, ale teraz jeden przez drugiego zachęcał ją wzrokiem, żeby mówiła.

- Ty jesteś sołtysem - zatrajkotała piskliwym głosem, od którego świerzbiły uszy. - Sam idź.

Sołtys prychnął pogardliwie, aż mu podskoczyły wąsy.

- Ja? Na pastwisko? To może od razu mam wydoić krowy?

Językłata nabrała pełne płuca powietrza, rżąc jak odratowany topielec. Ludzie znali ten odgłos i zawczasu powciągali głowy w ramiona. Kiedy wrzasnęła, przechadzające się po placu kury pouciekały w pokrzywy, krztusząc się gdakaniem.

- Co mi tu będziesz prycał, trutniu jeden! Gruba

Jagna może tam leży chora albo już całkiem zmarniała, a ty sobie spokojnie obśliniasz wasy? Jak się boisz, to nie obnoś po wsi swojej napuszonej gęby! Trzeba było brać się za plectenie łyka, a nie pchać się na sołtysowanie!

Usta Języklaty otwierały się tak szeroko, że w środku zmieściłaby się zaciśnięta pięść. Sołtys czuł pokusę, żeby schować się przed nią za drzwiami, ale nie mógł tego zrobić przy ludziach. Kiedy zapadła cisza, potrząsnął głową, żeby pozbyć się brzęczenia w uszach.

– A czego miałbym się bać? Byczek jest głupi, ale przecież na swojaka nie uderzy.

Języklata odwróciła się i wspięła na palce, jakby chciała kogoś dostrzec ponad głowami bab.

– Gzik! – Jej głos przez długą chwilę tłukł się między plotami. – Wylaź mi tu.

Fukając i szeleszcząc kieckami, baby wypchnęły przed siebie przestraszonego chłopaka. Przeszł powąz z nogi na nogę, żeby opanować drżenie kolan, i bezwiednie odgarniał z czoła opadające kosmyki.

– Mów! – Języklata trzepnęła go w ucho, chociaż nie sięgała mu nawet do ramienia.

– Tam u niej ktoś jest – odezwał się chłopak spod zwieszanej czupryny. – Zakradłem się trzcinami i nic nie mogłem zobaczyć, ale słyszałem głos.

– No to co? – Sołtys oparł łokieć na płocie. – Grubej Jagnie wolno mieć gości.

– Ale... – Gzik dotknął czerwonego ucha. – Ja poznałem ten głos. To był pokurcz.

Sołtys charknął nosem i splunął przez lewe ramię, a potem dla pewności jeszcze się przeżegnał.

– Ludzie, co z wami jest? – Ze złością kopnął plot. – Uwierzyliście w gadanie przyglupa?

– Chłopak słyszał pokurcza na własne uszy. – Ojciec Gzika, mrukiwy chłop z bielmem na jednym oku, podniósł w górę palec, żeby dodać sobie powagi. – I wcale nie jest głupszy od twojego Leszka.

– Jest. Leszek nie tapla się w trzcinach, żeby podejrzeć gołą babę, jak się kapie.

– To taki wiek. – Stropiony kmieć opuścił palec. – Każdy kiedyś to robił.

– Ale żeby podglądać Grubą Jagnę, trzeba być przyglupem!

Po raz pierwszy zbiorowym kiwnięciem głowami ludzie zgodzili się z sołtysiem. Spojrzeli na Gzika z zaciekawieniem. Wydawało się, że od czerwonego ucha zapłonęła cała jego twarz.

Języklata z całej siły wbiła chudy łokieć w zebra chłopca.

– Gadaj wszystko, tak jak nam!

– Rozmawiali o różnych dziwnych rzeczach, których nie rozumiałem – wyjąkał Gzik, bliski płaczu. – A najwięcej gadali o smoku.

Zapadła długa cisza. Ośmielone kury po kolei wystawiały z pokrzyw dzioby. Kmiecie cmokali, jakby smakowali ostatnie słowo Gzika. Sołtys powoli wyszedł zza plotu, stanął przed chłopakiem i chwytając go pod brodę, podniósł jego głowę.

– Co mówili? – zapytał lekko zachrypniętym głosem.

– Nie wiem... Bałem się, że mnie znajdą. Ale potem usłyszałem taki dziwny odgłos, jakby długie syczenie. Coś zaczęło schodzić od pastwiska do rzeki. Po każdym kroku marszczyła się woda między trzcinami. Wtedy uciekłem. Myślałem, że będą mnie gonić, ale oni tylko się śmiali.

– Śmiali się? – Sołtys zacisnął mocniej palce na jego brodzie. – Jesteś pewny, że słyszałeś śmiech Grubej Jagny?

Gzik teraz już chlupał na cały głos. Sołtys puścił go i marszcząc brwi, uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Tam naprawdę coś musiało się stać! Nie wierzę w tego smoka, ale... nikt nigdy nie widział, żeby Gruba Jagna się śmiała.

– Już nie musisz tam iść.

Przez długi czas ludzie nie chcieli uwierzyć, że to powiedziała Języklata. Podejrzliwie przyglądali się stłoczonej cizbie bab za jej plecami. Ale tylko ona jedna stała z wyciągniętym ramieniem, pokazując palcem w niebo.

– Nie musisz – powtórzyła cichutko, jak zahukana dziewczynka. – On tu leci.

Spojrzeli tam, gdzie wskazywała, ponad las. Komuś głośno się odbiło, ktoś jęknął, ale reszta stała w skupionym milczeniu, jak nad otwartą trumną.

– E tam! – Sołtys przekrzywił głowę, jakby w ten sposób lepiej mu się patrzyło. – Coś wisi nad drzewami, ale nie widać co, ani nawet czy leci do nas. Może taka dziwna chmura?

Kmiecie zaszurali nogami, aż podniósł się pył, i wpatrzyli się w daleki, czarny cień z nową nadzieją. Wyglądało to jak plamka, która na zmianę rozplaszczała się i grubiała. Młoda Jarzębicha, która miała najlepsze oczy, wyciągnęła chudą szyję.

– Trzepie skrzydłami! – Zawiesiła głos, a kiedy się upewniła, że wszyscy wstrzymali oddechy, dokończyła uroczyście: – I wywija ogonem.

– To może jeszcze mruga do ciebie okiem? – ześlodził się sołtys, nie wiadomo na co. – To ptak. Bardzo duży ptak.

– Nie ma takich wielkich ptaków. – Rys wsadził kciuk do ust. – Drzewa pod nim wyglądają jak drzazgi.

– A skąd ty możesz wiedzieć, że nie ma, głupi capie? Przez całe życie nie wychodziłeś poza wieś dalej jak do pierwszych rozstajów!

– Każdego roku chodzę przy odpuście na jarmark i słucham, co się po świecie dzieje – lekceważąco wzruszył ramionami Rys. – Kupcy wiedzą wiele, a nigdy nie mówili o...
– Zbliża się, ludzie! Leci prosto na nas!

Nie potrzebowali już oczu Jarzębichy, sami to widzieli. Czarny kształt powiększał się, cieniutkie z tej odległości płatki skrzydeł poruszały się w górę i w dół. Nadlatywał z wolna, szerokim zakolem, jak orzeł kołujący nad zdobyczą. Pies uwiązany na łańcuchu przy chacie sołtysa podniósł się na sztywnych łapach, a potem nagle zaczął wściekle ujadać, bez wstępnych powarkowań i pokazywania kłów. Kury w popłochu rozbiegły się po placu, rozczepiając skrzydła i szurając brzuchami po ziemi.

– Jest zielony! – Jarzębicha miauczała teraz jak kocur w marcu. – Ma czarne skrzydła! Widzę cztery łapy!

Blask ukłuł ich w oczy, kiedy smok wzbil się ponad rzucany przez chmury cień. Słońce zapalało się na nim jak na powleczonej lodem kałuży. Zakreślił na niebie ognisty łuk, a kiedy po drugiej stronie wioski znowu ogar-

nał go cień, światło zgasło. Ludzie westchnęli jednym, wspólnym oddechem grozy.

– No i widzicie? No i widzicie? – Sołtys aż się popłul, podskakując na piętach. – To nic takiego! Tylko wielki latający jaszczur z długim ogonem!

Rys oderwał na chwilę wzrok od nieba. Jego uniesiony palec wyrażał największą powagę, na jaką umiał się zdobyć.

– Czyli smok.

Teraz już wyraźnie słyszeli łopot skrzydeł. Na uniesionych twarzach poczuli powiew wiatru. Widzieli gadzi pysk, podkurezone łapy i ogon tnący ze świstem powietrze. Sołtys niepewnie zatarł ręce i zaczął się cofać, póki nie dotknął plecami płotu.

– Jak zwał, tak zwał. Jeśli nie zezarł Grubej Jagny, nam też nic nie zrobi.

– Skąd wiesz, że nie zezarł? – wtrącił się Rys.

– Przecież Gzik mówił!

– Myślałem, że nie wierzysz przyglupom.

Sołtys szarpnął wąsy, odepchnął Rysia i wepchał się między ludzi. Był błydy, ale wyglądał, jakby coś postanowił.

– Słuchajcie! – Podniósł w górę obie ręce. – Niech każdy zostanie na swoim miejscu. Jak zaczniecie biegać i krzyczeć, tylko go rozwściecycie. Pokojuje sobie, ponucha, zobaczy, że nie ma tu nic ciekawego, i odleci.

Kmiecie stali zbici w ciasną gromadę i podnosili głowy coraz wyżej. Smok zrobił jeszcze jedno koło, węższe niż przedtem, a potem złamał lot i zawisł prosto nad wioskowym placem. Zobaczyli czarne spody jego skrzydeł i wypięty brzuch.

– Spokojnie! – Sołtys poklepał po ramionach ludzi, którzy stali najbliżej niego. – Nawet na nas nie patrzy.

Wąsy połaskotały go po uszach, kiedy wzmógł się wiatr. Smok zaczął powoli obniżyć lot. Pracował teraz skrzydłami mocniej, jego ogon wił się jak wąż. Z placu wzbila się kurzawa, łopiany tulily się do płotów. Pies na łańcuchu już dawno przestał szczekać i miotał się na wpół uduszony, wybaluszając ślepia. Wielki cień, wypełniony wichrem i łopotem, objął przerażonych kmieci.

– Chwyćcie się pod ręce, bo nas wymiecie! – Sołtys musiał krzyknąć na całe gardło, żeby go usłyszeli. – Nie patrzcie w górę! To się zaraz musi skończyć!

Nikt nie zamknął oczu, chociaż kurz wciskał im się pod powieki. Smok był tak nisko, że gdyby ktoś odważył się wleźć na płot, mógłby dotknąć zakrzywionego pazura. Ogon kilka razy uderzył o ziemię, odciśkając w niej głębokie bruzdy.

Tylko ci, którzy w porę dostrzegli poszerzający się otwór u nasady ogona, zdążyli zasłonić twarze.

Smocze łajno opryskało ich jak cuchnący, kleisty deszcz. Było tego dużo, bardzo dużo. Taplali się, oczekali, z trudem rozlepiali powieki.

Szum skrzydeł cichł w chmurach. Niektórzy byli pewni, że słyszeli w nim szaleńczy śmiech Grubej Jagny. Żelazne kółko z nozdrzy byczka potoczyło się po piachu, stuknęło w płot i upadło.

Dziedziniec przal się w spiekocie południa, kiedy biskup pokazał się wreszcie w drzwiach kościoła. Na chwilę zamknął oczy, przechodząc ze świątynnego półmroku w jasność. Jego wysokie białe czoło było porane zmarszczkami, a na wklęsłych policzkach szarzał kilkudniowy zarost. Spojrzał na długi, zawijany ogonek milczących ludzi, który ciągnął się od schodów przez połowę dziedzińca. Nie udało mu się złapać niczyjego wzroku. Wszędzie, gdzie się zwrócił, widział zwieszane głowy i oczy wbite w ziemię. Niektórzy coś mamrotali pod nosem, ale biskup wiedział, że to wcale nie musi być modlitwa.

Dostrzegł Sławkę w cieniu dworu. Siedziała na odwróconym korycie, żuła źdźbło trawy i od czasu do czasu oganiała się od much. Ruszył w jej stronę, potykając się na brzdach wyschniętego po nocnej ulewie błota. Księżniczka wstała na jego powitanie, ale biskup machnął ręką i podesunął sobie pieniek.

– I jak? – Sławka, nie patrząc, wskazała ruchem głowy kościół. – Coś wolno idzie.

Schowwał twarz w dłoniach i kilka razy kiwnął się

w przód i w tył. Kiedy na nią spojrział, zobaczyła, że ma zaczerwienione powieki, a w brzdach koło jego nosa zebrał się brudny pot.

– Ano wolno. Niektórzy z nich robią to po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat i nawet nie wiedzą, od czego zacząć.

Puszysty koniec trawki zachwiał się, Sławka zmarszczyła brwi.

– Jesteś pewien, że to... zadziała? Popatrz na ich gęby. Wielu przyszło tylko dlatego, że nie zostawiłam im wyboru.

– Prawie wszyscy. Właśnie dlatego wlecze się to jak krew z nosa. Muszę sam przegrzebywać się aż do dna ich zapaskudzonych sumień, a potem jeszcze wzbudzić żal za grzechy i doprowadzić do szczerzego postanowienia poprawy.

– I co dalej? Oddadzą, co nakradli? Pouznawają bachory, których narobili po wsiach? Zaczną się miarkować w jedzeniu i piciu?

Biskup przyjrzał się jej zmęczonymi oczami. Potarł dłońmi kolana i klepnął się w uda.

– Najtrudniej jest na samym początku, kiedy trzeba własne grzechy zobaczyć wyraźniej od cudzych. – Wstał. – Na mnie czas, bo ogonek zaczyna się rozlać. Ale ty, pani, pamiętaj, że starców, kaleki i księżniczki spowiadam bez kolejki.

Odwrócił się jeszcze na schodach, kiedy usłyszał dudnienie kopyt w bramie. Skinął z daleka głową zeskakującemu z konia Masławowi i zanurzył się w chłodną ciemność.

Sławka spod przymrużonych powiek szybko przeliczyła psy. Wróciła najwyżej połowa z tych, które wyszły wczoraj. Miały pokrwawione pyski, poranione boki i grzbiety. Ślaniały się na łapach z wywieszonymi jezorami, kładły się w pył dziedzińca i już nie wstawały. Psiarczycy musieli na rękach nosić je do studni, żeby obmyć ich rany.

Masław podeszedł do księżniczki, zdjął szyszak i odrzucił go za siebie ze złością, jak dziurawy garnek.

– Jest coraz gorzej! – Twarz miał umazaną błotem. – Na każdego zabitego zdrając tracę kilkanaście psów, a czasem i człowieka. Przybywa ich szybciej niż much na pad-

linie. Nawet psy głupieją i nie wiedzą, za którym tropem gonić.

Sławka podała mu kielich, ale odtrąciła jej rękę, wziął od pacholka wiadro wody i wylał sobie na głowę.

– Nawet kiedy już jakiegós udaje się ubić, nie znika mu z gęby ten pogardliwy uśmiech, jakby miał mnie za śmiecia. – Parsknął, zaczesał do tyłu mokre włosy. – A najgorsze są dzieciaki. Nigdy nie uciekają, zawsze walczą do samego końca.

Sławka wzruszyła ramionami i sama wypila wino. Przez jakiś czas ze zmarszczonym czołem słuchała skomlenia psów.

– Od początku ci mówiłam, że tak będzie. Szkoda twojej szarpaniny.

– Wiem, co mówiłaś! – syknął. – Ale przecież trzeba coś robić. Nie możemy czekać, aż rozplenią się po całym kraju, bo wtedy już tego nie opanujemy.

– Biskup mówi...

– Biskup oszukuje sam siebie. Być może uda mu się na kilka dni ocalić nasze głowy, ale to nic nie zmieni. Jesteśmy zgubieni.

Sławka spojrzała na niego ostro. Wszystkie głowy w kolejce przed kościołem odwróciły się w ich stronę.

– Przestań jęczeć, Masławie, bo ludzie na nas patrzą. Nie potrzebuję tu krakania, tylko męstwa.

Przez chwilę wydawało się, że wielmoża wybuchnie. Poczzerwieniał, nadął się i zagruchał jak gołąb przy zalotach. Ale okłapił po trochu, kiedy zobaczył, że księżniczce nie drgnęła nawet powieka. Wypuścił powietrze i obejrzał się na krwawą kałużę przy studni. Ktoś wyszedł z kościoła, ktoś wszedł, ogonek zakotywał się i postąpił krok naprzód.

– Mówisz tak, jakbyś wiedziała coś, o czym ja nie wiem. – Masław przyglądał się swoim zniszczonym butom.

– Jestem panią tego grodu – powiedziała prawie wesoło. – Muszę wiedzieć o wszystkim, co tu się dzieje. Albo co się dopiero stanie. Chodź, przejdziemy się.

Ruszyła przez dziedziniec, pogwizdując sobie cicho, jakby cieszyła się słonecznym dniem. Masław odprawił

pacholka i podreptał za nią. Zdziwił się, kiedy minęła wejście do dworu. Dogaonił ją za rogim, gdzie w padającym od wału cieniu stały gęsto upchane stajnie, szopy i składy. Było tu spokojnie i pusto, prawie wszyscy ludzie od rana stali przed kościołem.

– Wybierasz dziwne miejsca na przechadzki.

Teraz, kiedy opadło wzburzenie, Masław pożałował, że nie napił się wina, którym go częstowała. Przez kilka ostatnich dni i nocy bardzo mało odpoczywał, znużenie rozpełzało mu się po kościach.

– Zastanawiałeś się, po co Matuli potrzebni są ci wszyscy zaprzedańcy, tacy jak Przeclaw? – Sławka prowadziła bez pośpiechu wąskim, ciemnym przejściem między drewnianą a stodołą.

– Chce mieć wyznawców.

– Wyznawców już ma, tych samych, co przed wiekami. Nigdy do końca ich nie wytępiłiśmy. Łatwo mogą się odrodzić. Kiedy zabraknie ludzi, znowu wszędzie będzie ich pełno.

– Wszystko jedno – zniecierpliwił się. – Co mnie to obchodzi? Wtedy wszyscy już będziemy martwi. Chyba że przydarzy się nam coś jeszcze gorszego.

– Ciężko się z tobą rozmawia – pokręciła głową Sławka. – Jakym już gadała z trupem. Może wybrałam złego człowieka?

Przez chwilę szli w milczeniu. Za nimi grzał się w słońcu prześwit dziedzińca, przed sobą mieli burą ścianę wału.

– To dlatego, że ja patrzyłem im w oczy, a ty nie – mruknął wreszcie Masław. – Ale mów. Jestem gotów uwierzyć w najbardziej niedorzeczną rzecz, jeśli ty też w nią wierzysz.

– To mi wystarczy – uśmiechnęła się do niego. – Matula ich potrzebuje, żeby wyostać się na świat.

– Myślałem, że sama sobie z tym poradzi.

Zatrzymali się u zarośniętego zielskiem podnóża wału, koło wychodka z rozchybotanymi drzewczkami. Sławka stuknęła piętą w wydeptaną na trawie tysińkę.

– Wiesz, co jest pod nami?

– Piekło.

- Można tak powiedzieć - stuknęła jeszcze raz. - Z wierzchu warstwa ziemi, a potem gruba skała. Ale niżej jest pusto. Cały wielki, podziemny kraj, do którego nie sięga moja władza. Siedzimy nad nim od pokoleń i nawet nie mamy o tym pojęcia.

Masław nieufnie zajrzał pod jedną i pod drugą stopę.

- Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy?

- To jest jak garnek, który stoi na wygasłym palenisku - ciągnęła, pominawszy jego pytanie. - Wielki kocioł z kamienną pokrywą. Przez całe wieki był spokój, ale właśnie teraz w kotle zaczyna bulgotać. Ktoś rozpałił ogień.

Masław obwiązany kikutom potarł się po skroni.

- Ona się narodzi z tego waru?

- Tak, ale to potrwa jeszcze jakiś czas. A kiedy w kotle wrze, trzeba trochę odemknąć przykrywkę, żeby para miała ujście. Dlatego robale podziurawiły okolice. Jak tylko na dole wszystko dobrze się uwarzy i polewka w kotle będzie gotowa, zaprzedańcy będą mogli otworzyć drzwi dla Matuli. Ale nie wcześniej.

- Czemu?

- Wszystko by wykipiotało. A wtedy niech Bóg ma w opiece tych, którzy nie zdołają stąd uciec.

- Czekaj, czekaj... - Masław chodził w kółko, jakby czegoś szukał. - Drzwi? Jakie drzwi?

- Dziura w ziemi, która prowadzi w głąb, prosto do miejsca, gdzie wciela się Matula. Jest zacopowana i bardzo dobrze ukryta, ale na pewno istnieje. Ktoś musi otworzyć ją od naszej strony, żeby Matula mogła się wydostać.

- A jeśli nikt nie przetka dziury? Matula się nie narodzi?

- Narodzi się. - Sławka rozłożyła ręce i roześmiała się na cały głos. - Ale będzie musiała zostać tam, na dole, gdzie jej miejsce. Pewnie trochę potrząśnie się pod nami ziemia, tu i tam strzyknie trochę pary, ale nic więcej. A Matula obumrze jak ziarno, które wykiełkowało na piachu.

Masław położył dłoń na mieczu i podniósł głowę.

- Więc zrobimy tak, żeby nie miał jej kto wypuścić! Wybijemy sucze bękarty do nogi.

- To piękne, co mówisz. - Klepnęła go po ramieniu. - Ale niemożliwe. Sam to niedawno powiedziałeś.

- Potrzebuję więcej psów i ludzi!

- Nie mam więcej psów, a ludzi mi szkoda. Nie, Masławie. Łatwiej bronić dostępu do dziury. Tak długo, jak będzie trzeba.

Wielmoża otworzył usta i przygarbił się czujnie.

- Wiesz, gdzie ona jest? Jezu, księżniczko! Ty chyba kumas się na boku z samym diabłem.

- Po prostu przekonałam się, że w tym kraju mogę znaleźć lepszych doradców niż moi wielmoże.

- Jestem głupi jak kozi zad, że w ciebie wątpię! - Wyprężył się, oczy mu błyszczały. - Gdzie to jest? Od razu zbiorę drużynę i pojedziemy.

- Nie musisz nigdzie jechać.

Uniosła brwi i czekała, kiedy sam się domyśli. Masław pokręcił gwałtownie głową, aż zatrzęsała się jego dolna warga.

- Tutaj? W grodzie?

- Ciszej! - Położyła palec na ustach. - Oprócz nas dwojga nikt nie musi o tym wiedzieć. Biskup dokonuje cudów nad tą zgrają szubrawców, ale nawet przez jego sito może przemknąć się jakaś plewa. Dlatego jesteś mi potrzebny. Tylko tobie odważę się zaufać na tyle, żeby postawić cię na najważniejszej straży.

- Ale, pani... - Masław obejrzał się na zaulek, którym przyszli. - Trzeba przecież bronić wałów! Oni się na nas rzucą jak wilki na rannego jelenia.

- Rozpruwacz się tym zajmie. - Podniosła dłoń, nie dopuszczając go do głosu. - Zrozum! Wiem, że walczyłbyś najdzielniej ze wszystkich. Ale twoje zadanie jest o wiele ważniejsze. Musisz mieć oczy szeroko otwarte i śmiałość, żeby poderznąć gardło każdemu, kto zbliży się do dziury. Każdemu! Nawet mnie.

W przejściu zadudniły kroki. Z daleka dostrzegli biegnącego pacholka. Wymachiwał rękami i coś krzyczał, ale dopiero po chwili zrozumieli, co.

- Zaczęło się, pani! Są już na podgrodziu!

Masław zrobił krok w tamtą stronę, szarpnął wąsy i zawrócił.

– Jestem na twoje rozkazy, pani. – Twarz miał zaciętą.
 – Gdzie?
 Sławka krótkim kopniakiem wbiła drzwi wychodka do środka. Wściekle zabrzęczała chmara spłoszonych much.
 – Tu.

•
 Z początku nie wyglądało to groźnie. Ot, zwykła bitka na podgrodzium, jakich każdego dnia wybucha wiele. Ostatnio kmiecie brali się za bary częściej niż dawniej. Wystarczała byle zaczepka, a już wyrwali z plotów żerdki. Każda robota rozlaziła się im w rękach, zaniedbywane dzieciaki przetaczały się całymi stadami po nadrzecznych legach, ale bez zwykłego wrzasku.

Nad strzechami gęstniała niepewność, między chatami snuł się strach. Niby nikt nie wiedział nic pewnego, bo z dworu wyciekały tylko skape i niejasne wieści, ale i tak wieczorami ludzie powtarzali sobie szeptem na ucho rzeczy, od których ciepła skóra. Patrzyli na grodowe wały spode łbów, a kiedy odwracali głowy w stronę kosmacącego się w oddali lasu, ukradkiem mamrotali pod wąsem parę słów modlitwy albo czegoś innego... Jak kto umiał.

– Gdyby mieli choć trochę rozumu, powinni przeczekać to wszystko gdzieś w guszy. – Rozpruwacz patrzył z wysokości wałów na dwóch kmieci, którzy na zabloconym obejściu skakali sobie do oczu jak wróble. – Co ich tu trzyma?

Zyłak podniósł na Rozpruwacza zmęczone oczy. Opierał się na włóczni jak starzec na lasce.

– Przy grodzie najbezpieczniej. W razie czego zawsze można schować się za bramę.

– Tym razem będzie inaczej. Niech lepiej ktoś zejdzie i ogłosi im, póki czas, ze... – Rozpruwacz wyprostował się i zmarszczył brwi. – Co tam się dzieje, do diabła?

Kmiecie okładali się pięściami w milczeniu, bez zwisik i przekleństw. Za plotem obejścia powiększała się gromada ciekawskich, ale nie było słyhać zwykłych przy takich bitkach okrzyków zachęty. Nikt nie napierał na plot, ludzie stali bladzi i dziwnie skupieni.

– Tłuką się, jakby to lubili. – Rozpruwacz szybko przeslizgnął się wzrokiem po całym podgrozniu i znowu zatrzymał oko na zbiegowisku. – Znasz któregoś z nich?

– Nie wiem... Mają za bardzo pokrwawione gęby, ale to chyba obcy. Nigdy przedtem ich nie widziałem.

Jeden z kmieci potknął się i upadł pod ścianą stodoły. Wstał na tyle szybko, że uniknął kopniaka w żołądek. Kiedy wyprostował się, podniósł oburącz nad głowę cep. Ludzie cofnęli się od plotu, nawet na wałach zrobiło się całkiem cicho, jakby wszyscy czekali na to, co teraz się stanie.

Cep wyleciał w górę, zatoczył łuk i uderzył w głowę bezbronnego kmiecia. Odgłos ciosu był tak silny, że odbił się od wałów i poleciał aż nad rzekę, gdzie rybacy podnosili znad sieci zgięte karki. Takie uderzenie powinno zabić tura.

– Niech zamykają bramę – odezwał się Rozpruwacz szeptem, nie wiadomo czemu. – I pošlij kogoś po księżniczkę. Już czas.

Oguszony kmięć zatoczył się, ale nie upadł. Potrząsnął głową, chwycił opartą o plot motykę i skoczył do walki. Ludzie puciekali do chat, jakby nagle oberwała się nad nimi chmura.

Zadyszana Sławka szybko wspięła się po drabinie. Przez chwilę patrzyła na krzyżujące się w dole cienie motyki i cepa, ale nie wyglądała na bardzo zaskoczoną.

– Gdybym mogła dostać pięć setek takich twardogłowców do drużyny, ruszyłabym choćby na samego cesarza. O! – Pokazała palcem. – Temu wyższemu motyka rozszarpała brzuch i zaraz zacznie się ślizgać na własnych bebeczach, a chyba nawet tego nie zauważył.

Rozpruwacz odwrócił się plecami do podgrodzia. Rzucił Zyłakowi kilka krótkich rozkazów. Zaraz potem łomotanie setek stóp na wałach zagłuszyło skrzypienie zamykanej bramy.

– Na cesarza też przyjdzie pora, nie martw się – mruknął. – Ale dopiero po tobie, więc jeśli masz ochotę, czuj się wyróżniona.

– Czemu biją się między sobą?

Rozpruwacz dopiął mocniej pas, wziął od pachotka szyszak i tarczę.

– Są tylko ludźmi, mimo wszystko. Póki nie ma jeszcze wodza, chcą się wyszumieć. Widać urywanie głów bliżnim jest zabawne tylko przez jakiś czas.

Sławka obejrzała się na kościół. Ludzie pchali się w drzwi, jakby nagła skrucha przypiekała im sumienia. Przeglądali się bieganinie na dziedzińcu i walczyli o lepsze miejsce, spychając się ze schodów.

– Wezmę paru wojów i zejść na podgrodzie. – Księżniczka podeszła do drabiny. – Zawsze to będzie o dwóch zaprzedańców mniej.

– Nigdzie nie pójdziesz. Brama jest zamknięta i od tej chwili nikt nie wejdzie ani nie wyjdzie.

– Zglupiałeś? Ja władam tym grodem, nie ty. Zrobię, jak zechcę.

– A ja jestem starostą. – Rozpruwacz nie patrzył na nią, sprawdzał rozmieszczenie wojów na wałach i przy bramie. – Mam za zadanie obronić gród i zrobić to, choćby wbrew tobie.

Podniosła rękę, jakby chciała uderzyć go w twarz, ale Rozpruwacz był szybszy. Płynnym ruchem wsunął na głowę szyszak.

– Nie próbuj mi wymyślać, bo nie mogę ci nawet nie odpowiedniego odszekać. – Mrugnął do niej jedynym okiem ze szczeliny między blachami. – Jestem po sprawie.

– To dobrze, bo gdybyś nie był, kazałabym zrzucić cię z wałów na tamtą stronę. – Starala się mówić oschle, ale na krótką chwilę roześmiały się jej oczy. – Idę tam. To nie będzie chwalebna bitwa, miecze przeciw cepowi.

Rozpruwacz chwycił ją mocno za włosy nad karkiem i przyciągnął do siebie. Kilku najbliższych wojów musiało to widzieć, ale chrzęszcząc żelastwem obrócili się plecami.

– Wiesz, czym się zdobywa posłuch w drużynie? Wcale nie siłą, pięścią i donośnym głosem. Trzeba im dać dobre zarcie, pełny gąsior i chętną dziewczynę. U mnie to mają, a u ciebie nie. Jak myślisz, za kim pójda, kiedy się pokłócimy?

– Ty gnido! – zawarczała, prawie nie poruszając wargami. – Chyba skrżaci król wydtubał ci mózg, kiedy spałeś! To ci się nie uda.

– Lepiej tego nie sprawdzajmy.

– Wcale nie byłeś u spowiedzi, kłamliwy wieprzu! Nie powąchałeś kadzidla nawet z daleka.

Puścił ją, ale ciągle patrzył jej z bliska w oczy. Guzy na jego szyszaku gniotły ją w czoło.

– Byłem. Właśnie dlatego wciąż jestem tutaj, a nie gdzieś daleko stąd. Ja...

Uderzenie kamienia w szyszak było tak silne, że żrenica Rozpruwacza uciekła w górę. Osunął się na ziemię, ale szybko zwalczył chwilowe zaćmienie. Usiadł, ściągnął szyszak i obejrzał wgniecenie. Było większe niż pięść.

Pięgi Rozpruwacza pociemniały, nagłym kopnięciem podciął Sławce nogi. Zanim upadła, zdążyła zobaczyć kamień przecinający pustkę dokładnie w miejscu, gdzie przedtem była jej głowa. Na kolanach i łokciach podczołgała się do palisady i przez szparę wyjrzała na podgrodzie.

Kmiecie już się nie bili. Stali ramię w ramię, podrzucali w dłoniach kamienie i uśmiechali się. Sławce na chwilę zrobiło się zimno. Była pewna, że mimo odległości obaj patrzą jej prosto w oczy. Ze zduszonym przekleństwem przygłębła plecami do palisady.

– Co to ma być? – Trafiła stopą kamień, jakby chciała sprawdzić, czy z każdej strony wygląda tak samo. – Nie można aż tak celnie rzucać!

Rozpruwacz spróbował wcisnąć na głowę szyszak, ale wgniecenie blachy uwierało go w obrzęknięte miejsce. Skrzywił się i machnięciem dłoni odprawił zaniepokojonego Zylaka, który nadbiegał zgięty w pół.

– Powiedz tamtym na dole, że nie można, bo chyba o tym nie wiedzą. – Wyjrzał przez szparę. Jego rude włosy z tyłu głowy pozlepiła krew. Niespodziewanie odskoczył od palisady i zawołał z całych sił: – Tarcze w górę!

Wydawało się, że na chwilę niebo pociemniało, a zaraz potem grad kamieni załomotał na wzniesionych tarczach jak kopyta spłoszonego stada krów na drewnianym moście. Kilkunastu wojów, którzy nie zdążyli się oslonić,

z rozbitymi głowami stoczyło się z wału na dziedziniec. Zaciekawione psy obwąchiwały ich nieruchome twarze o szeroko otwartych oczach.

Sławka podniosła jeden kamień i odrzuciła go za palisadę, chociaż wiedziała, że nie doleci nawet do najbliższej chaty.

– Skąd ich się tyłu wyroiło? Chyba nas otoczyli!
– Byli tu przez cały czas. – Rozpruwacz wciągnął ją pod swoją tarczę. – Wyglądają jak zwyczajni kmiecie.
– To jak odróżnimy naszych od zdrajców?
– Bardzo łatwo. Zanim doliczysz do dwóch tuzinów, naszych tu nie będzie.

Podgrodzie zaczerniło się od ludzi. Wychodzili z chat i wychylali się zza plotów, żeby dowiedzieć się, co się dzieje. Biegali bez celu, potrącali się, jedni drugim coś tłumaczyli, wymachując rękami. Nad jednostajny szum nawoływać i biadoleń coraz częściej przebijały się pojedyncze ostre krzyki. Przerażeni ludzie pochylali się nad bezgłowymi ciałami, ale bali się ich dotykać. Patrzyli sobie w poszarżate twarze, oglądali się na wały. Nie wiedzieli, kogo ścigać ani przed kim uciekać.

Z góry wszystko było widać o wiele lepiej. Podniesione, uśmiechnięte twarze odcinały się od czerni tłumu. Nie było ich bardzo wiele, może setka, może dwie. Bez pośpiechu zawęzali krąg wokół grodu. Szli przez ciżbę, jakby płynęli, rozgarniając ludzi zamachami ramion. Od czasu do czasu, kiedy grzęzli w jakimś większym zatorze, brali pod pachę czyjś kark i krótkim skrzętem tułowia odrywali głowę. Rzucali ją w tłum, chlapiąc krwią, a wtedy w okamgnieniu robiło się przed nimi pusto.

Sławka oderwała oczy od szpary i rozmazała na skroni kroplę potu.

– To dziwne, ale kiedy tylko wyjrzę, czuję na sobie ich wzrok.

Rozpruwacz wysunął miecz i uważnie przyjrzał się ostrzu pod słońce, jakby szukał na nim jakiejś skazy.

– Dalej chcesz tam schodzić? – Na jego twarzy migotały błyski odbitego światła.

– Zostaw swoje docinki na później. – Sławka przygryz-

ła wargę i wzruszyła ramionami. – Znasz się na obleżeniach?

– Kiedyś nie zapłaciłem w gospodzie za wypite piwo i potem psy gospodarza przez pół nocy oblegały mnie w srazcu.

– I co?

– Nic. Podałem się na dogodnych warunkach.

– Z tymi tam raczej się nie dogadamy, więc lepiej wymyśl coś innego.

– Tu nie ma co myśleć, tylko trzeba się bić. Najlepiej, jak umiemy.

– Psiakrew! Ostatnią porządną wojnę ojciec prowadził jeszcze przed moim urodzeniem. A wałów nikt nie umacniał chyba od pół wieku. – Związała włosy, nałożyła uszkodzony szyszak Rozpruwacza i dobiła go pięścią. – Trzeba warzyć smołę.

– Nawarzona.

– No to przydźwigać belki.

– Przydźwigane.

– Ponabijać je gwoździami.

– Ponabijane.

– E... hm... – Sławka odepchnęła nogą drabinę, która z trzaskiem zwała się na dziedziniec. – No to zwycięstwo albo śmierć!

– Nieźle ci idzie jak na początek – pochwalił ją Rozpruwacz, ale bez wielkiego zapału. – Tylko z drabiną przesadziłaś. Co zrobisz, jak zachce ci się... No wiesz?

– To nie potrwa na tyle długo.

– Skąd wiesz?

– Bo mnie śwędzą pięty.

Spojrzał na nią zdziwiony, ale kiedy Sławka pokazała palcem ziemię, zrozumiał. Ukłąkł, pochylił się i przyłożył ucho do wału.

– Burczy jak daleka burza. – Znowu przymknął oczy i przez chwilę nasłuchiwał. – Nie podoba mi się to.

Hataś na podgrodziu wciąż się wzmagał. Kmiecie zaczęli pojmować, co się dzieje. Niektórzy próbowali przyśkakiwać do zaprzedańców z siekierami i widłami, ale za każdym razem głowa śmiałka leciała wysoko pod niebo,

zraszając ludzi czerwonym deszczem. Coraz szybciej tłum ściekał z grodowego wzgórza do lasu jak wielka, ciemna fala odpływu. Ci, którzy szli w przeciwną stronę, już nie musieli torować sobie drogi w ścisku. Były wśród nich baby i starcy, gdzieś tam zabieliła się nawet głowa dziecka. Coraz lepiej było widać radosne uniesienie na ich twarzach, rozgrzanych wspinaczką. Opuszczali wzrok tylko po to, żeby podnieść następny kamień. Tam, gdzie zza palisady wychylała się czyjaś głowa, z furkotem opadał kamienny rój, odtupując drzazgi.

Brama zatrzęsała się od gwałtownych uderzeń wielu pięści. Sławka z Rozpruwaczem nie widzieli, co się dzieje pod wałem, ale dobrze słyszeli rozdzierające krzyki i błagania. Żylak przybiegł prawie na czworakach, kamienie dudniły w ślad za nim.

– To nasi kmiecie! – wydyszał. – Nie zdążyli uciec do lasu, teraz już się nie przedrą! Trzeba ich wpuścić.

Sławka otworzyła usta, ale w tej samej chwili Rozpruwacz przytknął ostrze miecza do nosa Żylaka.

– Który pierwszy dotknie bramy, będzie wisiał.

Sławka podskoczyła i szybko wyjrzała przez palisadę. Kiedy znowu przypadła do ziemi, przez długi czas wydawało się, że wał rozpadnie się pod nawałą kamieni.

– On nie łże, tam są zwyczajni ludzie! – krzyknęła, kiedy łomot trochę przycichł. – Klęczą pod bramą i proszą o litość. Otwórz im!

– Stać! – Rozpruwacz splazował po karku Żylaka, który już biegł z powrotem. – Nie wiemy, kim oni są. Nikt nie wie.

Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie krzyki zabijanych kmieci, kiedy na drżących nogach przywłócił się Żylak. Wyglądał, jakby najtrudniejsza część tej dziwnej wojny już była poza nim.

– Nie pomyliłeś się. – Ciężko usiadł obok Rozpruwacza. – Kiedy przekonali się, że nie otworzymy bramy, dwóch spośród nich wstało z klęzek i wybili resztę. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ślizgali się w krwawym

błocie i śmiali się z nas, jakby to było jakieś weselne mordobicie.

Sławka sapała głośno. Jej policzki przybrały niezdrowy zielonkawy odcień.

– Dlaczego nie mogę mieć zwyczajnego życia, jak wszystkie inne księżniczki? – Poskrobała mieczem po palisadzie. – No wiesz, tańce, uczy, polowania i takie tam.

Rozpruwacz zrobił ruch, jakby chciał ją przygarnąć, ale rozejrzał się po wałach i tylko odchrząknął niepewnie.

– To nie dla ciebie. Zanudziłabyś się na śmierć.

Sławka pozieleniała jeszcze bardziej. Podparła się rękami i wydała dziwny odgłos, jakby tłumiła czkawkę.

– Mogłam sobie odpuścić dzisiejsze śniadanie. – Oddychała płytko, urywanie. – Przepraszam, ale jest mi niedobrze.

Podczołgała się do krawędzi wału i pochyliła się nad dziedzińcem. Podniosła się prawie od razu, kiedy kolo jej ramienia stuknęła przystawiona drabina. Zamknęła oczy i przez chwilę walczyła sama ze sobą. Chyba wygrała, bo skrzyżowała nogi i odetchnęła głęboko.

Rozpruwacz drgnął, kiedy zobaczył wychudzoną twarz biskupa. Jedną ręką pomógł mu wyjść na wał, ale drugą położył na jego karku, nie pozwalając mu się wyprostować. Biskup podkasał szaty i przykucnął.

– Zrobione! – Oczy mu błyszczały, jakby miał gorączkę. – Jeśli choć jeden człowiek ulegnie pokusie, dam sobie ogolić głowę i pójdę na prostego mnicha.

– Nie powinienes tu przychodzić. – Na policzki Sławki powoli wracały rumieńce. – Zaraz się zacznie.

– Sam wiem, co powinienem, dziecko. – Lekko opuścił zbrązowiałe powieki i przyjrzał się jej uważnie. – Zostałaś tylko ty. Nie przyszłaś do mnie, więc ja przyszedłem do ciebie.

– Jestem księżniczką! Nie potrzebuję twojej pomocy. Nie zdradzę przecież sama siebie.

– Żeby wadać, potrzeba namaszczenia – nastroszył się biskup. – A ja ci go nie udzielię, jeśli uznam, że jesteś za głupia. Na kolana, moja panno!

Rozpruwacz otworzył usta, żeby się wtrącić, ale nie

zdążył nic powiedzieć. Krótki, przyduszony krzyk Żylaka potoczył się po wałach.

– Leżał!

Nie było żadnych podchodów, kluczenia ani próbnych natarć. Uderzyli od razu z całą siłą, ze wszystkich stron. Nie mieli broni, sznurów i drabin. Wczepiali się po prostu końcami palców w ścianę wału i pięli w górę jak wielkie karaluchy. Niektórzy odpadali i łomotali plecami o ziemię, ale wstawali, otrzepywali gacie i wspinali się znowu. Szli w ciszy. Od czasu do czasu zadzierali głowy i wyszczerzali zęby w uśmiechu, a patrzący na nich z góry woje bledli, jakby stanęli oko w oko z kostuchą.

Pierwsi z zaprzedańców byli już w połowie wysokości wału, kiedy błysnął w słońcu podniesiony miecz Rozpruwacza.

– Smoła!

Woje dźwignęli kotły i przechylili je nad palisadą. Czarny, lepki wrzątek rozlał się po ścianach szerokimi potokami. Gorąca para na chwilę przesłoniła widok, a kiedy się rozwiła, ludzie ostrożnie wychylali głowy i patrzyli w dół.

Kilkudziesięciu zaprzedańców leżało pod wałem. Nie krzyczeli, nie jęczeli, tylko powoli przebierali rękami i nogami, jak czarne żuki, które ktoś poprzewracał na grzbiecie. Kilku udało się wstać, ale smoła zalepiła im oczy i chwiejnie kręcili się wkoło, wyciągając przed siebie ramiona. Inni, którzy nie odpadli od wału, przywierali twarzami do ściany, a smoła kipiła na ich głowach, karkach i plecach. Niezdarnie próbowali zdrzeć z siebie parzącą skorupę, ale kiedy odrywali od ściany dłonie, osuwali się w dół.

Reszta wciąż się wspinała. Usuwali się z drogi czarnym, pełznącym jeżozorem, deptali po barkach tych, którzy już ugrzęźli w smole jak muchy w żywicy. Zbliżali się. Było słychać, jak wydrapują paznokciami w wale szczeliny dla zaciepienia palców.

Rozpruwacz uniósł nad głowę wielki kłoc, gęsto ponabijany ostrymi kolcami. Spuścił go po wale bez patrzenia, ale udało mu się strącić od razu trzech. Przeżyli upadek,

choć byli bardzo mocno poranieni i chyba mieli połamane kości, bo nie mogli wstać.

Za wał poleciały teraz puste kotły, a za nimi wszystko, co było pod ręką. Kiedy skończyły się belki, pacholcy donosili kosze pełne kamieni. Kiedy zabrakło kamieni, brali ławy, garnki, podkowy, skrzynie, kowadła – co tylko znaleźli. Nasączali szmaty lojem, podpalali je i puszczały na wiatr. Jakiś przestraszony dymem koń wypadł ze stajni i w zamieszaniu złamał nogę, więc jego też wciągnęli sznurami na wał i zrzucili tam, gdzie na ścianie było największe rojowisko zaprzedańców.

Szło już na wieczór, kiedy wreszcie mogli być pewni, że udało im się odeprzeć pierwsze natarcie. Okaleczone ciała zaprzedańców leżały drgającym kołem wokół grodu, jakby zaczynała się tam budowa nowego wału. Zdychali długo, opornie i bez skargi. Niektórzy jeszcze podnosili karki, ale oczy już im gasły. Czasem któryś zatrzepotał się na ścianie, a potem zwisiał bezwładnie w swojej czarnej, stygnącej otulinie smoly.

Rozpruwacz oparł czoło na palisadzie. Czuł się znudzony i wypalony od środka, ani trochę nie cieszyło go zwycięstwo. Drażniły go radosne pohukiwania wojów.

– Kolo ciebie!

Poderwał głowę na krzyk Żylaka. Dwa kroki od niego przez palisadę przeleżał zaprzedaniec. Smoła wypaliła mu oczy i nos, długi na pół łokcia gwóźdź sterczał mu z czoła. Kiedy równocześnie wbiło się w niego kilkadziesiąt strzał, bez żadnego odgłosu wyrzucił w górę ramiona. Stoczył się z palisady na wał i upadł twarzą do ziemi. Rozpruwacz sięgnął po nóż, ale wtedy zaprzedaniec nagle uniósł głowę i tchnął.

Jego słaby oddech owiał Rozpruwacza wielobarwną mgielką. To było przyjemne, jak kojąca obietnica raju. Łagodny opar wnikał głęboko, docierał na samo dno myśli, gdzie nie ma już żadnej obłudy, jest tylko goła dusza.

Otrząsnął się z wielkim trudem. Czuł się tak, jakby sam gwałtem wyrwał z siebie na pół zapomniane dziecięce marzenia. Wiedział, że to będzie jeszcze bardzo długo bolało. Może przez całe życie.

Otworzył oczy i rozejrzał się. Sławka klęczała, na jej złożonych pod brodą dłoniach pobielwały paznokcie. Biskup dwoma palcami kreślił nad jej głową znak krzyża.

Sołtys był przygotowany na to, że będzie gorąco, ale nie spodziewał się aż takiego żaru. Licha osłona, za jaką się schował, bardzo szybko zawiodła. Najpierw rozgrzał się mięsz, stracił swoją zwartość i zamienił się w płynną papkę. Parzył palce jak bulgoczące na wolnym ogniu powidła. Skórka purchawy zmarszczyła się, oklapła i przylgnęła do zacisniętych na pestce dłoni sołtysa. Zapiękło, jakby ktoś owinał mu ręce wyciągniętą z wrzasku ścierką. Uderzył z całej siły czołem w pestkę, żeby zagłuszyć ból, ale nie cofnął rąk. Wiedział, że gdyby teraz się poddał i uciekł w głąb korytarza, zyskałby tylko kilka chwil ulgi. Potem i tak dognałaby go płonąca błękitnym ogniem pożoga. Musiał wytrzymać, choćby nawet w tym ukropie zaczęły mu odlażać paznokcie.

Mało nie zemdlął, zanim poczuł pierwsze uderzenie. Pestka drgnęła, jakby z drugiej strony ktoś w nią kopnął. Zaraz potem wstrząs powtórzył się, tym razem o wiele mocniej. Głowa sołtysa odskoczyła do tyłu, odruchowo dotknął językiem złamanego zęba. Zapomniał o bólu, poprawił uchwyt i przywarł do pestki najściślej, jak się dało. Czuł, jak jej twarda, pomarszczona powierzchnia zaczyna drzeć pod rosnącym naporem. Przestał oddychać, zamknął oczy i zacisnął zęby.

Nie zdążył usłyszeć grzmotu i nawet nie poczuł, jak wyparowuje mięsz. Przez mgnienie oka zdawało mu się, że sklepienie zwaliło się na niego i przygniotło mu pierś. Potem chyba na jakiś czas stracił świadomość, ale to nie trwało zbyt długo. Musiał wreszcie zaczerpnąć oddechu, a wtedy od razu ocuciło go ostre ukłucie pod pękniętym zębem. W uszach brzęczał mu nie kończący się świst, tak wysoki, że ledwie słyszalny. Zrozumiał, że ruszył. Przetrawił najgorsze i cokolwiek teraz się stanie, nie zależy już od niego.

Wyraźnie poczuł łagodne wygięcie korytarza, grubo wy-

moszczone słuzem. Płynnie przechylił się głową w przód. Ból pod zębem na chwilę przeszył go mocniej, ale kiedy stępsiał, oddychało mu się o wiele łatwiej.

Koniec przyszedł niespodziewanie, zaznaczony tylko cichym cmoknięciem słuzu, kiedy opuszczał wylot korytarza. Brzęczenie osiągnęło najwyższy ton i urwało się, jakby pękła przeciągnięta cięciwa. W plecy sołtysa uderzył prawdziwy, zimny, huczący wiatr.

Mimowolnie zacisnął mocniej ręce i nogi. Tylko dzięki temu nie odpadł, kiedy śliska pestka zaczęła gwałtownie wirować w pustce. Skończył się dławiący napór na pierś, ale bezwładne koziołkowanie wcale nie było lepsze. Sołtys nie wiedział, czy wciąż się wznosi, czy już opada. Góra i dół mieszały się ze sobą. Wydawało mu się, że słyszy jakieś krzyki czy śmiechy. Żołądek podchodził mu pod gardło. Czasami, na bardzo krótko, ogarniała go całkowita ciśza, chłodna i kojąca. Za każdym razem miał nadzieję, że już tak zostanie, ale wichura znowu ciskała nim jak suchym liściem.

Lot ku niebu nie skończył się nagle, ale wygaszał powoli, jakby zmęczony swoim własnym rozpędem. Przycichł wiatr. Pestka kręciła się coraz wolniej, a wreszcie zniurchomiała w pół obrotu. Na długą, rozkoszną chwilę sołtys zawisł swobodnie pod bezchmurnym niebem. Nie myśląc o bólu, nabrał pełne płuca rześkiego powietrza, poczuł na karku ciepły dotyk prawdziwego słońca.

Otworzył oczy od razu, kiedy zaczął spadać. Zobaczył wielką łańcuch zielonego lasu, zakrzywioną wstęgę rzeki i małe kółeczko grodowych wałów. Znowu ogłuszył go grzmot wiatru, pęd powietrza wycisnął mu łzy. Przywarł policzkiem do pokrytej resztkami mięszu powierzchni pestki.

– Otwórz się – szepnął.

Właściwie nie powinien się bać. Wszystkie purchawy, jakie wypróbował na dole, otwierały się. Ale ta była przecież inna. Urznął jej łodygę, a cała reszta wypaliła się jeszcze na ziemi. Podciągnął się wyżej, spróbował inaczej ułożyć ręce i nogi. Bodnął pestkę piętami jak opornego konia.

– Otwórz się!

Spadał coraz szybciej. Na plecach wybrzuszyła mu się wypełniona wiatrem koszula, palce cierpły z zimna. Nie patrzył w dół. Nie chciał wiedzieć, jak blisko jest ziemia.

– Otwieraj się, ty robaczywa samosiejko!

Usłyszał trzask. Pod palcami, na górnej, zgrubiałej krawędzi pestki wyczuł pęknięcie. Uciekł z dłoń w samą porę. Płachta wyrzeliła w górę, pestka szarpnęła mocno, jakby chciała wyrwać się z jego objęć. Osunął się trochę niżej, ale nie puścił. Spojrzał przez lzy na wielką, zieloną czaszę, która przesłoniła słońce.

Sołtys podciągnął się, ucałował pestkę i objął ją kolanami tuż ponad najgrubszym miejscem. Podniósł rękę i zahaczył palce o jedno z włókien.

– A teraz zobaczymy, czy dajesz sobą powodzić.

Przez ramię obejrzał się w dół. Zbladł i splunął głośno, żeby rozgonić strach. Był bardzo blisko. Widział strzechy podgrodzia i cisbę ludzi na stoku. Słyszał nawoływania, ale nie starał się ich zrozumieć. Leciutko pociągnął za włókno, czasza przechyliła się i pestka łagodnie zakręciła w prawo. Pod stopy sołtysa wsunęły się wały i kawałek grodowego dziedzińca.

Jakaś strzała świsnęła mu przed nosem i przewierciła w czaszy małą dziurkę. Wychylił się mocno i zawołał w stronę błyszczących w słońcu szyszaków, jak tylko mógł najgłośniej:

– Nie strzelaj, durniu! Swój!

Kiedy wrzucili pestkę do ognia, najpierw długo kopcila szarym dymem, a potem z trzaskiem pękła na dwoje wzdłuż zgrubiałej krawędzi. Białe wnętrze spopieliło się, buchając niebieskim płomieniem.

– Muszę mówić z księciem!

Sołtys nawet nie próbował się wyrwać. Leżał na brzuchu, z policzkiem w błocie, a kilkanaście włóczyń dociskało go do ziemi, klując grotami w plecy. Wystarczyłoby, żeby teraz głośniej zaburczało mu w brzuchu, a zadźgałoby go bez mrugnienia powieką.

– Dużo wymagasz jak na kogoś, kto bez zaproszenia spada z nieba. Może na początek ja ci wystarczę?

Sołtys widział tylko buty człowieka, z którym rozmawiał, ale głos wydał mu się znajomy. Ostrożnie podniósł głowę i natychmiast poczuł chłód żelaza na skroni.

– Nie jestem jednym z nich. Chcę pomóc. Wiem o Matuli więcej niż ktokolwiek inny.

– Czas są takie, że mało kto jest tym, za kogo się podaje. Ale ty masz szczęście. – Buty zbliżyły się, ktoś podniósł głowę sołtysa za włosy. – Ja cię znam.

Oko Rozpruwacza było zaczerwienione od dymu, a zarost pozlepiany smolą. Sołtys uniósł lewą brew, ale to była jedyna oznaka zdziwienia, na jaką sobie pozwolił.

– Złego diabła nie bierze – mruknął. – Tym lepiej. Prowadź do księcia.

– Nie wiem, gdzie ostatnio bywałeś, ale chyba niełatwo tam o nowe wieści. Teraz mamy księżniczkę.

– Wszystko jedno. Prowadź, mówię, nie ma czasu na przekomarzania.

Rozpruwacz pochylił się nad nim. Wszystkie groty, nawet ten na skroni, docisnęły się mocniej.

– Chuchnij.

– Co? – Dziesiątki małych, białych blizn odcinały się teraz wyraźniej na pocerwieniałej z gniewu twarzy sołtysa.

– Słyszałeś.

– Nie jestem pijany, głupcze!

– Chuchnij. – Rozpruwacz zbliżył twarz jeszcze bardziej i zniżył głos do szeptu. – Albo każę ci przygwoździć do dziedzińca.

Sztynne jak igielki kłaki w brodzie Rozpruwacza nie poruszyły się, kiedy sołtys z bliska dmuchnął mu w twarz. Odczekał jakiś czas ze zmarszczonym czołem, potem wyprostował się i otrząpał dłoń.

– Puśćcie go.

Zaledwie wstali, pod ich nogami zakotłosa się ziemia. Wstrząs był krótki, ale na tyle mocny, że popękały wielobarwne szkiełka w oknach kościoła i przewróciło się kilka drabin.

– Matula prosi się na świat. – Sołtys poruszył ramionami, jakby chciał strząsnąć z pleców ślady po ukłuciach.

Na wałach wszczął się jakiś ruch. Woje wystawiali głowy za palisadę, inni pięli się pospiesznie po drabinach, aż trzeszczały szczeble. Rozpruwacz dostrzegł Żylaka, który kopniakami poganiał pacholków wynoszących z dworu resztki potrzaskanych sprzętów, drzwi i łoża. Przywołał go, chwycił sottysa pod łokieć i pchnął do przodu.

– Dajcie mu jakiś miecz, ale miejcie go na oku. Niech pokaże, po czyjej jest stronie. Jeśli zobaczysz coś podejrzanego, ubij go na miejscu.

Sławka stała na wale i patrzyła w dal. Usłyszała kroki Rozpruwacza i skinęła mu głową, ale nie odwróciła się. Zdjęła szyszak i nasadziła go na zaostromy koniec pala.

– I co tam? Skąd się wziął? – zapytała, kiedy Rozpruwacz stanął koło niej.

– Jeszcze nie wiem, nie miałem czasu go wypytać. Ale chyba wszystko z nim w porządku.

– Poza tym, że lata.

– Ostatnio dzieje się wiele dziwnych rzeczy. – Rozpruwacz ocenił dłonią oko. – I zdaje się, że to nie koniec.

Od strony lasu nadchodzili zaprzedańcy. Wytaniali się spomiędzy drzew, łączyli w luźne kupy i szli powoli przez opuszczone podgrodzie. Jakaś pomyłona psina ujadła ochryple i próbowała ich kasać po łydkach, póki ktoś kopniakiem nie złamał jej karku.

– Spodziewałem się, że przyjdą następni, ale żeby ty... – Rozpruwacz pokręcił głową. – Trzeba będzie rozebrać ściany dworu, bo już nie mamy czego rzucić im na fby.

– Szkoda czasu. – Sławka niecierpliwie brzęknęła paznokciem w szyszak. – Patrz tam, na pagórek pod lasem.

Rozpruwacz poznał Przeclawa od razu, chociaż tamten bardzo się zmienił. Był chyba o połowę większy od innych ludzi, jego skóra miała błękitnawy odcień, a włosy lśniły jak wyczyszczone srebro. Stał na pagórku samotnie, z rękami założonymi na piersiach, i patrzył na gród.

– Może udałoby się go drasnąć z luku. – Rozpruwacz przymrużył oko. – Pamiętam, że nasz latawiec bardzo dobrze strzela.

– Przeclaw przejąłby się tym nie bardziej niż drzazga

w tyłku. – Sławka odwróciła się nagle do Rozpruwacza. – Nie rozumiesz? Jeśli on jest na miejscu, to znaczy, że są już wszyscy.

Przyjrzał się jeszcze raz stokom wzgórza. Zaczynały się już zaczerniać jak rozgrzebane mrowisko.

– Czy ty próbujesz mnie pocieszać?

Niespodziewanie wspięła się na palce, znalazła na jego policzku czystsze miejsce i pocałowała go.

– Nigdy nie trać wiary w swoją księżniczkę. Muszę ci przyznać, że nieżył z ciebie smolarczyk, ale teraz moja kolej. Możesz się umyć.

Ziemia znowu się zatrzęsała. Szyszak na palu zatłotał, podskoczył i stoczył się po wale. Rozpruwacz przeslizgnął się wzrokiem po skulonych pod palisadą wojach.

– Zdziwiłbym się, gdybyś choć raz powiedziała mi całą prawdę na samym początku. O co chodzi tym razem?

– Każ odsunąć płytę nad wejściem do skarbcza, rzuć linę i wyciągnij kogoś, kto tam czeka. Weź ze sobą jakąś czarną chustę, ona ma bardzo wrażliwe oczy.

Rozpruwacz w zamyśleniu skubał brode, kręcił ze smoty kuleczki i pstrykał nimi na podgrodzie.

– A potem?

Sławka spowazniała. Odwróciła się w stronę lasu.

– Potem przekonamy się, czy naprawdę masz w drużynie taki posłuch, jak ci się wydaje.

•
Masław dreptał po udeptanej ziemi tam i z powrotem, trzy kroki w jedną stronę, trzy kroki w drugą. Odgłosy bitwy docierały tutaj przytłumione, ale ponad dachami szop wzbijały się kłęby pary i dymu. Łatwo odgadywał, w którym miejscu zaprzedańcy podleźli najwyżej – trzask łamanego drewna i krzyki wojów wypełniały wąskie przejścia. Wyrwał wtedy miecz i biegł w tamtą stronę, ale za każdym razem zatrzymywał się na pierwszym zakręcie i wracał. Kłął na cały głos, jednym ciągiem, z krótkimi przerwami na oddech. Muchy na desce już nawet nie podrywały się, kiedy podchodził. Wiszące na jedynym skrzywionym zawiasie drzwi skrzyptały pod naporem wiatru.

Ale potem, kiedy zapadła cisza, było jeszcze gorzej. Masław kosił mieczem osty, pluł na muchy i wściekał się, że Sławka nie przyszyła do niego pacholka z wiadomością. Dałby wiele, żeby móc teraz choć na chwilę rzucić okiem na dziedziniec i na wały. A co, jeśli tam już jest po wszystkim? Może właśnie teraz zaprzedańcy rozlążą się po dworze, węsząc w pustych izbach? Ech, żeby choć słówko!

Skoczył, jakby mu wlaża do buta szczypawka, kiedy wreszcie usłyszał w zaułku kroki. Wbiegł do wychodka, podniósł drzwi i jednym pociągnięciem wpasował je na swoje miejsce, aż zgrzytnęło drewno. Muchy rozpierzchyli się ociężale, uderzając w półmroku o jego twarz. Wgramolił się na deskę, stanął w rozkroku ponad dziurą i zaparł się plecami o tylną ścianę. Na ostrzu miecza błyskały paski światła, wpadającego przez szpary.

Kroki zbliżyły się, zaszurały na łysinie przed drzwiami i ucihły. Masław uniósł miecz wyżej i ostrożnie wsunął sam czubek ostrza w szparę. Nie było tu miejsca na zamach, ale miał nadzieję, że jeśli pchnie, trafi prosto w szyję.

Pukanie było leciutkie, bez cienia natarczywości. Masław kikutem odgonił sprzed nosa jakąś tłustą muchę.

– Idź w krzaki – rzucił półgłosem. – Najadłem się zielonych śliwek i trochę tu posiedzę.

Patrzył w napięciu, jak szpary po kolei gasły i znowu jaśniały, kiedy ktoś po drugiej stronie drzwi przestąpił z nogi na nogę. Znowu usłyszał pukanie, teraz dłuższe i głośniejsze.

– Otwórz, synu. Nie będziemy przecież tak gadać.

Masław poznał głos biskupa. Ręka mu drgnęła. Wyjął ostrze ze szpary, podniósł o dwa palce wyżej, na drewno, i dopiero wtedy nacisnął. Zardzewiały zawias nie wytrzymał, drzwi powoli przechyliły się i z hukiem upadły na ziemię.

– Spowiadałem się dziś o świcie. Od tego czasu trochę nagrzyszyłem plugawym językiem, ale nie poważniejszego.

Biskup zajrzał do wychodka, uśmiechnął się lekko i pokijał głową.

– Ja to robię na siedząco, ale każdy ma swoje sposoby.

– Odsunął się na bok. – Wyjdź.

Masław zeskokczył z deski i żeby pokryć zmieszanie, z hałasem odsunął nogą wywalone drzwi.

– Księżniczka cię przyszyła? – Sprawnym uderzeniem kikuta strącił muchę i bardzo dokładnie rozgniół ją piętą.

– Już myślałem, żeście o mnie zapomnieli.

– Nie jestem niczym gościem. Przyszedłem, bo mam z tobą do pogadania.

Masław wyprostował się czujnie. Spojrzał w niebo, jakby chciał wiedzieć, czy nie zbiera się na deszcz, od niechcienia przeszedł się parę kroków. Ale kiedy przystanął, opierając miecz między rozstawionymi stopami, wychodek miał prosto za plecami.

– Chyba żaden z nas nie ma dziś czasu na pogawędkę.

Biskup uśmiechnął się szerzej, pokazując nadpsute zęby. Znużenie i zwykły wyraz zaciętego uporu gdzieś ulotniły się z jego twarzy, oczy lśniły świeżo i prawie młodzieńczo. Podniósł w górę obie ręce, szerokie rękawy zjechały mu aż do łokci. Chciał położyć dłonie na głowie Masława, jak do błogosławieństwa, ale wielmoża cofnął się gwałtownie.

– Co cię gryzie, synu? – Biskup rozłożył ramiona i oparł pięści na framudze. – Mnie możesz powiedzieć.

Masław cofnął się jeszcze trochę i usiadł na desce, jednocześnie wysuwając przed siebie miecz.

– Co ty... Czy ty?... – mówił niewyraźnie, musiał pokonać opór dziwnie zdrętwiałej szczęki. – To niemożliwe.

– Możliwe! – Biskup pokijał głową, patrząc na niego z łagodną zachętą. – Szewc bez butów chodzi. Rozgrzeszyłem wszystkich, ale nie mogłem wypowiadać sam siebie. Dostałem się pod tchnienie zaprzedańca przypadkiem, na wale. Jeden jedyny raz, ale wystarczyło. I wiesz co? Wcale nie żałuję.

Masław uderzył głębokim wypadem całego tułowia, ale biskup był szybszy. Lekko odchylił się w bok i miecz przeszedł koło jego ucha. Złapał za ostrze, zacisnął pięść. Masław rozpaczyliwie szarpnął za rękojeść, ale miecz nawet nie drgnął, jak wmurowany w ścianę. Biskup ostrożnie, ale stanowczo wyjął mu go z dłoni, jakby odbierał dziecku szkielko, którym mogłoby się pokaleczyć.

– Zawsze cię lubiłem, Masławie. – Odrzucone żelazo zabrzączało gdzieś w ostach. – Masz więcej rozumu niż cała ta wataha darmozjadów. Szkoda twojej głowy. Po prostu pozwól ogarnąć się temu, co nadchodzi. Przekonasz się, czym jest prawdziwe szczęście. Na początek odrośnie twoja dłoń.

Chłodne palce biskupa dotknęły jego skroni. Muchy gdzieś się wyniosły. Zadrżała ziemia, a z ciemnej głębi pod deską coś głośno zabulgotało.

– Co ty chcesz zrobić? – wyrzucił wielmoża.

Oczy biskupa były teraz bardzo uważne, czarne kropczki źrenic klęły jak żądła. Kiedy chuchnął, z jego ust uniosła się błękitna mgielka, jak na mrozie.

– Najpierw osuszmy tę dziurę, a potem przekopujemy się. We dwóch pójdzie nam bardzo szybko. Tylko mnie teraz nie zawieźdź i pokaz, że nie myliłem się co do twojego rozumu.

Masław zamknął oczy. Poczul się tak, jakby zapadał w ciepły, barwny sen. Wszystkie jego troski i udreki rozmywały się w czarownym blasku, który umiał osuszyć każdą łzę. Potrzeba było tylko jednego kroku, żeby pograć się w nim i wreszcie przestać się bać.

Wielmoża nagle zarzucił biskupowi ramiona na kark, podkurczył kolana i rzucił się na plecy. Wiedział, że spróchniała deska nie wytrzyma podwójnego ciężaru. Kiedy spadali razem głowami w dół, prosto do cuchnącej czeluści, mocno objął biskupa rękami i nogami. Przywarł do niego z całych sił.

Gęsty gnój wchłonął ich miękko, prawie bez plusku. Zwarła się nad nimi ciepła czarna cisza. Opadli jeszcze trochę głębiej, ale nie sięgnęli dna. Wtedy biskup szarpnął się po raz pierwszy. Wierzył nogami, wypuścił strugę bąbli. Masław czuł, jak prężą się jego mięśnie, twarde jak żelazne łańcuchy. Gdyby biskup mógł znaleźć jakieś oparcie, wyrwałby się bez trudu i wydostał na powierzchnię.

Ale nie mógł.

•

Ostatnie kilka obrotów korwą Rozpruwacz musiał zrobić sam, bo wszyscy pacholcy uciekli od kołowrotu. Wypelniony ludźmi dziedziniec rozszemrał się i uciął. Biała głowa Kruzyny, przewiązana czarną szmatą, wysunęła się z chłodnego otworu jak foczy pysk z przerebli. Kiedy urwało się skrzywienie kołowrotu, Kruzyna bezradnie wyciągnęła ręce, po omacku szukając oparcia. Rozpruwacz stał najbliżej, ale zamiast podać jej dłoń, niespokojnie drapał się pod pachą. Sławka odepchnęła go, objęła ramionami plecy Kruzyny i pomogła jej stanąć na ziemi.

– Witaj na górze! – powiedziała odrobinę zbyt szybko, żeby to zabrzmiało swobodnie. – Na początku nie wszystko ci się tutaj spodoba, ale przyzwyczaisz się.

Kruzyna obróciła twarz w stronę głosu i przechyliła głowę. Słuchała z otwartymi ustami, ale trudno było po niej poznać, czy rozumiała słowa. Drżała po każdym powiewie wiatru, chociaż słońce grzało mocno. Sławka ściągnęła swój płaszcz i okryła nim jej chude łopatki. Kruzyna przesunęła palcami po gładkiej tkaninie. Napotkała dłoń księżniczki i zawahała się. Bardzo powoli, jakby namyślała się nad każdym ruchem, dotknęła jej twarzy, warg, włosów i oczu. Potem skinęła głową, jakby to, co wyczuła, uspokoiło ją.

– Miło cię wreszcie poznać, siostrze. – Zmrużeniem powiek Sławka nakazała pacholcom, żeby zasunęli płytę. – Jesteś pod moją opieką i nic ci nie grozi. Nie odstąpię cię nawet na krok. Ale tymczasem to ja potrzebuję twojej pomocy. Masz to?

Kruzyna zanurzyła dłoń w swoje splecione, nigdy nie rozczesywane włosy. Wydobyła coś białego, co z daleka wyglądało jak mała kość. Wrogi pomruk przeleciał przez tłum, ale ludzie umilkli, kiedy Sławka odwróciła się do nich ze zmarszczonymi brwiami.

– To tylko szczyrca czaszka, z otworami pozalepianymi gliną – krzyknęła głośno, żeby usłyszeli ją nawet ci, którzy stali pod samym wałem. – W środku jest proch. Każdy z was dostanie małą szczyptę na włosy. Dzięki temu będziecie bezpieczni, nie ruszy was żaden zaprzędniec.

Ludzie patrzyli po sobie, jakby szukali kogoś, kto jakoś lepiej im to wszystko wytłumaczy. Wreszcie których z wielmożów wychylił głowę zza tarcz i szyszaków.

– Co to za proch?

– Tego nie musicie wiedzieć. – Sławka stanęła na płycie, żeby lepiej ją widzieli. – Ważne, że działa.

Tłum stał w skupieniu, bez ruchu, wpatrzony w małą, podłużną czaszkę o wyszczerzonych ząbkach. Dla każdego było jasne, że muszą uwierzyć księżniczce na słowo, cokolwiek powie i cokolwiek każe im zrobić. Ale spokojny, lekko rozwlekły głos Rozpruwacza zburzył tę ich pewność.

– Ja chcę wiedzieć. – Stał oparty o kołowrót, z szyszakiem głęboko nasuniętym na czoło, a jego oko ginęło w cieniu. – Dopóki walczyliśmy, nie zadawałem pytań i robiłem wszystko, co należy do starosty. Ale kiedy wdajesz się w czary, zaczynam być ostrożny... – przerwał, wyprostował się i skinął głową: – ...moja pani.

Prawie wszyscy wielmoże krzywni się z oburzenia, ale woje zamruczeli na znak zgody. Sławka opuściła rękę. Kiedy się odezwała, jej głos już nie był tak pełny i dźwięczny.

– To nie jest wiec, starosto. Wydałam rozkaz.

– Nie chcę ci w niczym uchybić, pani, ale w sprawach czarów są tęższe głowy od twojej. Na przykład biskupia. Bardzo chętnie dowiedziałbym się, co on ma o tym do powiedzenia. – Rozpruwacz zawiesił głos i pozwolił ludziom oswoić się z tym, co usłyszeli. – Tylko że biskup zniknął. Próbowałem go odszukać, ale nikt nie wie, gdzie jest.

Sławka zbłądła, zeskoczyła z płyty i podeszła blisko niego.

– Co ty wyprawiasz? – wyszczała szeptem.

– Nic. Tak jak radziłaś, sprawdzam, czy drużyna mnie słucha.

– Nie mogłeś wybrać sobie innej pory na klótnie?

– Ja się nie klóczę. Ja tylko ci nie ufam.

Podniosła nogę, wbiła piętę w jego śródstopie i odwróciła się do ludzi. Przez chwilę słuchała, jak Rozpruwacz klnąc podskakuje na jednej nodze za jej plecami. Kiedy uznała, że widzi w tłumie wystarczająco dużo uśmiechów, odrzuciła włosy do tyłu.

– Ludzie! – zawołała. – Mielicieście naprzeciw siebie wroga, z którym nikt nigdy nie walczył, a mimo to biliście się dzielnie. Nie pozostawie takich zasług bez nagrody. Do końca życia nie będziecie musieli się zastanawiać, czy stać was na wieczór w gospodzie, czy nie.

Podnieśli w górę miecze i włócznie, jakby dopiero teraz okrzykiwali nową władczynią, jak to od wieków było w zwyczaju. Sławka wysłuchiwała długiego dudnienia o tarcze, a potem uciszyła ich podniesieniem dłoni.

– Każdy z was widział, ilu nowych zdrajców wysypało się z lasu. Wiecie, że nie możemy dłużej się bronić. – W dwóch palcach podniosła szczurzą czaszkę, jak drogocenny kamień. – To są prochy kobiety, która przed laty zaprzedała się Matuli. Potem opamiętała się i o własnych siłach podniosła w upadku. Właśnie dlatego żaden z nich nie odważy się nas dotknąć, póki będziemy pod jej opieką. Ta moc nie potrwa długo, może dzień, może dwa, ale będziemy mieli wystarczająco dużo czasu, żeby odejść daleko stąd.

Patrzyli na nią, jakby na ich oczach zstąpiła z obłoków. Wspinali się na palce, kiedy rozkruszyła glinianą zatyczkę, wzięła na paznokcie odrobinę szarego pyłu i strząsnęła go sobie na włosy.

Kiedy skończyła posypywać Kruszynę, pierwsze rzędy stały już z szyszakami w rękach, pochylając głowy.

Rozpruwacz podkuśtykał do Sławki i przez jakiś czas w milczeniu patrzył, jak odmierza szary pył na spocone ły.

– Ucieczka? – Wzruszył ramionami. – Spodziewałem się po tobie czegoś więcej.

Sypała uważnie, z wysuniętym końcem języka, żeby nie uronić ani odrobinki.

– Czasami trzeba trochę ustąpić, żeby potem tym więcej zyskać. Ale ja wcale nie wymagam, żebyś rozumiał się na takich zawiłościach.

– Przecież nic nie zyskujesz, nawet jeśli zadziała ten twój diabelski popielec! Przeclaw rozpanoszy się we dworze, a za nim cała reszta.

– O to właśnie teraz chodzi, żeby tu weszli. Wszyscy, co do jednego.

Woje zginali karki i odchodzili z dłońmi przyciśniętymi do ciemienia, jakby się bali, że wiatr rozwieje im włosy. Rozpruwacz odprowadzał wzrokiem każdego z nich.

– Co ty knujesz?

– Nie każ mi wierzyć, że jesteś aż tak mało domyslny. Nie czujesz, co się dzieje pod twoimi stopami?

Rozpruwacz podniósł górną wargę i wstuchwał się w burczenie z głębi ziemi. Chciał znowu wrzucić ramionami, ale zamiast tego drgnął. Odsunął szyszak z czoła, odstawiając oko.

– Jesteś szalona – powiedział z przekonaniem.

Sławka nie odrywała wzroku od szurzącej czaszki i kolejno podsuwających się głów.

– Uwielbiam, jak mnie chwalisz – uśmiechnęła się. – Nie ma innego sposobu, żeby wytępić to paskudztwo do nogi.

– To rozumiem. Ale co potem? – Położył dłoń na jej ramieniu. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co chcesz rozpętać?

– O nic się nie martw. Uwolnimy Matulę tylko po to, żeby ją zabić. Tym razem na zawsze.

– Jej nie da się zabić!

– Pogadamy o tym kiedy indziej. – Lekko wstrząsnęła szurczym czerepem i zajrzała do środka. – Jeśli tylko wystarczy dla ciebie prochu. Przejiera dno, a ty jesteś na końcu kolejki.

Kiedy Sławka kazała otworzyć bramę, pierwsi zaprzedańcy już podchodzili pod wały. Zalewali podgrodzie jak błotna lawina. Pręc naprzód, przewracali ploty, rozdeptywali kury i gęsi. Wydawało się, że teraz nic już ich nie zatrzyma i przeleją się przez wał, choćby musieli wspiąć się po zwałach trupów.

A jednak przystanęli na zgrzytliwy dźwięk rozchylających się skrzydeł bramy.

– Rany boskie! – Rozpruwacz pochylił się nad Sławką, parząc oddechem jej ucho. – Obyś się nie pomyliła, bo inaczej Przeclaw wybrukuje sobie naszymi czaszkami dziedziniec.

Zaprzedańcy stali przed bramą zwartym, nieruchomym tłumem. Ich uśmiechy z bliska wyglądały jak pośmiertnie wykrzywione twarze nieboszczyków. Oczy mieli lekko przymglone jak kałuże, które liznął pierwszy przymrozek.

Zanim zobaczyli Przeclaw, najpierw zza uchylonych wrót wypelznął jego cień. Był tak głęboko czarny, jakby na piasku dziedzińca rozlał się kawałek nocy. Jakiś zablakany trzmiel, który prosto ze słonecznego blasku dostał się w półmrok, przestał brzęczeć i z cichym pnięciem uderzył o ziemię.

– Gość w dom, Bóg w dom! – Przeclaw stanął w otwartej bramie.

Sławka musiała podnieść głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Urósł i bardzo się zmienił. Rysy mu zgrubiły, jakby kości policzkowe i szczeka rozrosły się bardziej, niż powinny. Jego wielkie jak kurze jajka oczy były lekko wtrzeszczone i gęsto oplecione pajęczynką czerwonych żyłek. Miał na sobie jakieś krzywo pozszywane łachy, rękawy sięgały mu niedaleko za łokcie. Głos dudnił dziwnie, jakby Przeclaw mówił z wiadrem na głowie.

– Gość? – Za plecami Sławki stali wszyscy woje, ale nie czuła ani jednego oddechu. – Nie pamiętam, żebyś cię zapraszała.

Przeclaw zrobił krok naprzód. Był bosy, na jego stopach u nasady palców wyrastały kępki włosów. Cień przesunął się i na trzmielu znowu padło słońce, ale jego rozcapierzone skrzydełka już się nie poruszyły.

– Nie potrzebuję zaproszenia. Jestem panem tego grodu.

Sławka wzięła pod rękę Kruszynę i obie wyszły mu na przeczew.

– Wybacz, coś mi się chyba poplątało, bo aż do tej chwili miałam się za księżniczkę – zaśmiała się swobodnie. – Ale teraz rozumiem, że błądziłam. Oddaję ci dwór. Tylko nie jestem pewna, czy taki wielki tyłek jak twój zmieści się na tronie.

Przeclaw podniósł ciężką pięść, ale Sławka nawet nie zmyliła kroku. Kruszyna dreptała obok niej z zawiązanymi oczami, zbyt długi płaszcz wlokł się za nią po dzie-

dzińcu. Przeclaw przymknął jedno oko, jakby chciał dobrze trafić od pierwszego uderzenia. Kiedy Sławka weszła w obręb cienia, wyprostowała plecy. Przeclaw wziął zamach, ale w chwilę potem powoli opuścił ramię.

Nad głowami Sławki i Kruszyny tliły się języki błękitnego płomienia. W słońcu były przezroczyście i prawie niewidoczne, ale w cieniu nabierały mocy.

– Za mną! – Rozpruwacz rzucił za siebie szybki rozkaz. – Nie gadać i nie gapić się na boki.

Zaprzedańcy rozstępowali się przed Sławką bez oporu. Za nią, dwójka za dwójką, szli woje. Kiedy przechodzili przez cień Przeclawa, czuli pod stopami chłód, jakby deptali po szronie. Patrzyli w ziemię, łokcie przyciskali do boków. Od czasu do czasu czuli na policzkach gorące tchnienia, ale wciskali głowy głębiej w ramiona i szli dalej.

Nagle spadł im na plecy ryk Przeclawa.

– Nie wyszłgniesz mi się tak łatwo, ty przebiegła zmi-
jo! – wrzeszczał z całych sił, a ludziom się zdawało, że od jego krzyków chwieje się daleka grzywa lasu. – To, co cię chroni, rozwieje się szybciej, niż myślisz! A wtedy cię znajdę! Słyszysz? Znajdę cię i przybiję za język do mojego podnóżka!

•

Lasy wokół grodu pełne były wystraszonych kmieci. Podgrodzie opustoszało. Wszyscy zaprzedańcy wtoczyli się za wały i zatrzasnęli za sobą wrota, ale i tak nikt nie odważył się wrócić, żeby ratować, co się da z dobytku. Trupy leżały w pałącym słońcu, nawet zdziczałe psy weszły tylko niespokojnie na skraj lasu, nie zapuszczając się między chaty.

Ktoś przyprowadził Sławce konia w uprzęży, który chyba od kilku dni błakał się po puszczy. Grzywę miał sztywną od zaschniętej, nie swojej krwi. Kiedy księżniczka wskoczyła na siodło i ludzie zobaczyli ponad sobą jej spokojną, pewną siebie twarz, zaczęli wierzyć, że może jeszcze ich czeka coś lepszego niż to, co jest. Z krzaków co jakiś czas wylazły całe gromady przygarbionych stra-

chem ludzi, o rozbieganych oczach i zasmarkanych nosach. Całowali strzemiona księżniczki i przyłączali się do pochodu. Nikt nie pytał, dokąd idą. Byle między swoimi i jak najdalej od grodu.

Nie wyglądało na to, żeby udało im się szybko zostawić za plecami grozę. Unikali gościńca, szli leśnymi drózkami, ale i tak wszędzie napotykali ślady tego, co się stało. Kilka razy droga wiodła przez wyludnione przysiółki, gdzie gęstniał trupi zaduch, a z obu stron szczyrzyły zęby ponabijane na ploty głowy. Przesuwali się przez takie miejsca w milczeniu, baby kieckami zastaniały dzieciom oczy. W guszcy oddychali swobodniej, chociaż tutaj też wyczuwali przez skórę napięte oczekiwanie. Kiedy przystawali, spod ściółki butwiejących liści słyszeli cichy szmer, jakby pod ich stopami kipiała jakieś utajone życie. Czasami przez las przechodziło mocniejsze drzenie i wtedy wszystkie ptaki wzbijały się do lotu, trzepocąc skrzydłami ponad koronami drzew. Oglupiałe sarny przebiegały w poprzek ścieżki, koń pod Sławką prawie przysiadł na zadzie.

Ściemniało się, kiedy doszli na miejsce. Z daleka zobaczyli zielony ogień, który w zapadających ciemnościach podświetlał od spodu liście drzew.

– Wiedziałem, że bez niej się nie obejdzie. – Rozpruwacz klepnął konia w zad i zszedł na bok, przepuszczając ludzi.

Lubicha wybrała dobre miejsce na noc – szerokie, trawiaste, obrzeżone dwoma strumieniami i skąpo zadrzewione. Mogliby się tutaj spokojnie rozłożyć nawet wtedy, gdyby było ich dwa razy więcej.

– Nie za blisko? – Sławka zeskoczyła z konia i podbiegła do wiedźmy. – To tylko pół dnia drogi od grodu.

– Wystarczy. – Lubicha przez dłuższą chwilę patrzyła na kmieci, którzy z podwiniętymi nogawkami brnęli przez wodę. – Mało was. Myślałam, że przyprowadzisz całe podgrodzie.

– Rozpierzchli się po lesie. Zaraz o świcie rozesłę wołów, żeby pozbiali, ilu tylko się uda, ale to potrwa jeszcze kilka dni.

Rozpruwacz stawał nad strumieniem straże, pokrzkując ochryple. Kiedy rozpalili się pierwsze ogniska, koniec kija Lubichy przygasił, a potem szerniał.

– Nie mamy tyle czasu.

– Jak to nie mamy?... Przy grodzie siedzą w krzakach setki ludzi! – Sławka dotknęła skroni i zmarszczyła czoło.

– Kiedy to ma się stać?

– Tej nocy.

Cienie ludzi chwiały się na trawie, niebo pstrzyło się gwiazdami. Sławka rozejrzała się wokół niespokojnym wzrokiem, jakby nagle przestało się jej podobać, że rozmawia z wiedźmą sam na sam.

– Nie mówiłaś mi, że to będzie tak szybko. Mogłabym wyszukać więcej kmieci, a tak... a tak... – Bezradnie potrząsnęła głową.

Wiedźma zaszurała kijaszkiem, uniosła drżącą dłoń i suchymi palcami lekko musnęła policzek Sławki.

– Nie mogłam tego wiedzieć. Nikt nie mógł. Ale teraz czuję to w kościach. Słyszysz, jak trzeszczy ziemia. Albo zrobimy to od razu, albo będzie za późno.

Sławka odwróciła się, jakby chciała odejść. Na połowę jej twarzy padł blask ognia i na chwilę pod okiem błysnął ślad wilgoci. Otarła rękawem policzek i nagle pochyliła się nad Lubichą, próbując w ciemności odnaleźć jej wzrok.

– Gdzie ojciec?

– Już wyruszył.

– Chciałam mu życzyć powodzenia – Sławka ze złością zacisnęła wargi. – Ciebie chyba nie za bardzo obchodzą takie głupie ludzkie słabości?

Wiedźma tym razem nie podniosła ręki. Ostukała kijek o pień drzewa, żeby strząsnąć kilka mokrych liści, które oblepiły go u dołu.

– Zapominasz, że twój ojciec nie jedzie na koniu. Musi mieć czas, żeby tam dotrzeć, a potem jeszcze przemknąć się niepostrzeżenie do wychodka w Grodzisku. Jeśli uda mu się w porę odetkać dziurę i wypuścić Matulę, wygramy.

– Jakim cudem się przekopie? Jest taki małeńki!

– Dałam mu woreczek proszku, który wybucha. Skruszy najtwardszą skałę, to powinno wystarczyć.

Sławka odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała na gwiazdy.

– No nic – westchnęła. – Może to i lepiej. Nagadam mu, jak wróci.

Kijaszek zawisł w powietrzu przed następnym stuknięciem. Wiedźma odezwała się ciszej, po raz pierwszy nie patrząc Sławce prosto w twarz.

– Kiedy po raz ostatni z nim rozmawiałaś?

– Już po tym, jak zrobiłaś go malutkim. – Księżniczka parsknęła krótkim, udawanym śmiechem. – Miło było popatrzeć na niego z góry.

– Powinien był ci powiedzieć, że już go nie zobaczysz. Uśmiech Sławki topniał powoli, jakby zastęglę mięśnie twarzy stawiły opór.

– O czym ty mówisz? – zapytała szeptem.

– Z takiej wyprawy się nie wraca.

Twarz Sławki wyglądała teraz jak biała plama z ciemną kreską ust. Księżniczka powoli wysunęła miecz.

– Jego też chcesz zabić, jędo? Nie wystarczy ci, że polowa podgrodzia nie przeżyje tej nocy?

– Wie, po co idzie. Chce to zrobić.

– Nie pozwolę na to! – Uniesiony w górę miecz rozpalili się na czerwono. – Konia!

Kijek Lubichy podskoczył i zaraz potem znowu łagodnie osiadł w jej dłoni. Wytracony miecz wbił się w ziemię kilka kroków dalej. Najbliżej siedzący ludzie, którzy na krzyk Sławki podwracali głowy, próbowali dojrzeć coś w mroku, ale kiedy nic więcej się nie stało, pogrążyli się z powrotem w zbawczym ośpieniu.

– To ja chciałam iść, ale on się nie zgodził. – Lubicha chwyciła dłoń Sławki i ścisnęła ją nadszpiewanie mocno. – Powiedział, że to jego robota i za nic w świecie nie odda jej obcym. Jest prawdziwym księciem, tacy nie rodzą się często w ostatnich czasach. Wiem, że to trudne, ale spróbuj być posłuszną jego woli. Choć raz.

Rozpruwacz biegł niestrudzenie od ogniska do ogniska, jakby wszystko spoczywało tylko na jego barkach. Pohukiwał na wojów, rąbał toporem kłocę drzewa, zajrzał

nawet do rannych i chorych. Pilnował, żeby ze skromnych zapasów wyniesionych z Grodziska każdemu dostała się taka sama garstka rozmoczonej kaszy. Krążył i krążył, chociaż ludzie coraz częściej kładli się pokotem i w mroku musiał deptać po śpiących.

Jakoś tak się działo, że droga wciąż na nowo wypadala mu koło przewróconego pnia, na którym siedziała wiedźma. Wydawało się, że Lubicha drzemie z czołem opartym na kijaszku. Nie poruszyła się, choć Rozpruwacz kilka razy prawie ją potrafił. W ciemności wyglądała jak każda inna zmęczona staruszka, która nie pragnie niczego więcej, jak tylko spokojnie doczekać do świtu.

Było już chyba grubo po północy, kiedy Rozpruwacz zwolnił kroku przy pniu. Oddechy śpiących mieszały się ze sobą, cienie kiwających się nad strumieniem wojów gasiły odbite w wodzie gwiazdy. Zatrzymał się i jakby od niechcenia, lekko kopnął w pień. Osypujące się próchno zaszeleściło w paprociach, ale zgarbione plecy Lubichy nawet nie drgnęły. Rozpruwacz przysunął się bliżej i podniósł nogę do następnego kopnięcia.

Niemal się przewrócił, kiedy wiedźma nagle się odezwała.

– Chcesz pogadać, to siadaj. – W jej głosie nie było śladu rozespania.

– Siedzisz tak cicho, że musiałem sprawdzić, czy wszystko dobrze. – Nie wiadomo czemu poczuł się jak podglądacz, ale usiadł okrakiem na pniu. – Nie trzeba ci czegoś?

– Nie bój się. Wiedźmy nie umierają tak po prostu, ze starości.

Rozpruwacz pokiwał głową, pociągnął nosem i splunął. Wyciągnął nóż i odhupał kilka kawałków wilgotnej kory.

– A co słychać... tam? – zapytał, nie podnosząc głowy.

– Gdzie?

– Wiesz, gdzie. U rybaków.

– Aaa, tam. – Chyba odwróciła twarz w jego stronę, bo słyszał ją teraz wyraźniej. – Dobrze.

Duży płat kory z trzaskiem odskoczył od pnia.

– Morze im darzy?

– Darzy.

– A poza tym? Wszyscy zdrowi i... w ogóle?

Wiedźma przez chwilę milczała. Rozpruwacz miał wrażenie, że mimo ciemności uważnie przygląda się jego twarzy. Niespodziewanie poczuł jej rękę na swoim kolanie.

– Dlaczego po prostu nie zapytasz o to, co naprawdę chcesz wiedzieć? – nachyliła się ku niemu. – Wstydzisz się?

– Pójdę już – mruknął, wstał i odszedł kilka kroków. Przystanął, kiedy usłyszał za sobą szelest kiecki Lubichy. Nie odwrócił się, ale chłonał każde jej słowo.

– Kościuch umarł kilka lat temu. Miał dobrą śmierć. Kiedy przyszedł jego czas, pożegnał się ze wszystkimi i spokojnie zamknął oczy. Zarkowi z Rudawką szczęści się, aż miło popatrzeć. Musieli rozbudować chatę, bo z Rudawki dzieci wyskakują tak łatwo, jak pestki ze śliwki. Rok w rok nowe, tej zimy przybyło dwudzieste. Lestek z Pestkiem też w końcu się poženili, chociaż długo kręcili nosami, zanim znaleźli dla siebie panny. Musiały być takie same, bo kiedy próbowali przymierzać się do różnych, zawsze kończyło się na bitce o to, która ładniejsza.

Dym znad ogni leciał prosto w niebo, ale Rozpruwacz czuł, jak piecze go oko.

– A Boruta?

– Z nim było najgorzej. – Lubicha przez chwilę zwlekała z odpowiedzią. – Kiedy uciekłeś, każdego wieczoru wychodził na drogę, podkulał ogon i czekał na ciebie. Świat, marniał w oczach i nie było na to żadnej rady. Wreszcie zdechł, ale do samego końca wodził ślepiami po twarzach ludzi, jakby kogoś szukał.

Rozpruwacz długo zmagął się z czymś, co zaciskało mu gardło i laskotało w nosie. Miał ochotę pobiec w noc, ale wiedział, że od takich myśli nie da się uciec.

– To nie była moja wina. – Odetchnął bardzo głęboko, jak po wynurzeniu się z wody. – Nie umiałem żyć ich życiem. Od samego początku ciągnęło mnie w świat. Nie chciałem uciekać, ale Zarek się uparł, że nigdzie mnie nie puści.

– Bo uważał cię za swojego syna, a ty miałeś dopiero dwanaście lat.

- Trzynaście.

- Nieważne. Nie powinienś zostawiać ich bez słowa, jakby byli dla ciebie obcy. A już na pewno nic by ci nie ubyło, gdybyś potem od czasu do czasu zajął do wsi. Byłoby całkiem inaczej.

- Wiem, ale... To nie takie proste. Przez pierwszych kilka lat nie wracałem, bo robiłem rzeczy, których do dzisiaj się wstydzę. Nie mógłbym im spojrzeć w oczy. Potem chciałem wrócić, wiele razy, ale jakoś tak... Nie miałem odwagi. Mijał rok po roku i bałem się, że już dawno o mnie zapomnieli.

- Nie zapomnieli. Chaty byś pewnie nie poznał, ale twoje wyrko ciągle stoi puste. Nikt go nie zajął.

Rozpruwacz odwrócił się do wiedźmy i wyciągnął ramiona. Chciał ją podnieść i przytulić do siebie, jakby była małym dzieckiem.

Nagle ziemia poderwała się jak spłoszony zając. Rozpruwacz stracił równowagę i upadł na plecy. Nie rozumiał co się stało, postępując gramolił się na kolana. Spojrzał na wiedźmę i zdziwił się, że widzi ją wyraźnie jak w dzień. Usłyszał krzyki ludzi, w lesie z trzaskiem przewracało się jakieś drzewo. W kącie oka uwierało go coś, jak drzazga. Odwrócił głowę i zamarł z otwartymi ustami.

W oddali wyrósł ponad puszcze wielki słup niebieskiego ognia. Był ogromny, niebo nad nim pojaśniało prawie do białości. Oplatała go ruchliwa sieć żółtych i czerwonych błyskawic. Urósł jeszcze bardziej, przebił chmury, ale zaraz potem zaczął się skłębicać, jakby zapadał się sam w siebie.

Dopiero teraz nadleciał odgłos grzmotu, tak potężny, jakby świat rozpadał się na części. Wydawało się, że przybladłe gwiazdy sygną się z nieba ognistym deszczem. Razem z grzmiotem spadł na ludzi gorący wiatr, parząc im twarze i wzbijając kurzawę suchych liści. Myśleli, że to koniec, że teraz rozstąpi się ziemia i zobaczą pod sobą czerwone oczy Złego. Niebieski dzień, który wstał pośrodku nocy, teraz przygasł, a w koronach drzew zaszeleścił opadający z nieba popiół. Bardzo szybko pokrył wszystko czarnym nalotem - trawę, rozdmuchane ogniska i ludzi.

Kiedy ziemia przestała się trząść, nic nie przerywało ciszy. Dzieci nie plakały, ptaki nie kwiliły, wilki nie wylały. Zamarły nawet przyduszone czarnym kozuchem strumienie.

•

Słońce z wolna, jakby niechętnie wychyliło się nad las. Jakiś ośmielony światłem ptaszek wyskoczył spomiędzy poszarzałych liści i bijąc skrzydłami nierówno jak motyl, pomknął na wschód. Rąbek słońca wydawał się bardzo bladej, a na jego krawędzi pojawiła się wyraźna błękitna otoczka.

Lubicha wstała z pieńka i bez słowa ruszyła przed siebie. Szła nieporadnie, prawie nie podnosząc stóp. Każdym krokiem mieszała popiół z suchymi liśćmi, wlokący się za nią kijaszek rył ciemny ślad. Z trudem przebrnęła strumień. Kiedy zanurzyła się w gąszczu, wielkie paprocie zwarły się wysoko ponad jej przygiętymi plecami.

- Nie dojdzie, padnie gdzieś po drodze - splunął sołtys i poszedł za nią.

Sławka pokręciła zwieszoną głową, ale nie zrobiła nic więcej. Sołtys zdążył wejść po kostki w brudną wodę, kiedy Rozpruwacz rzucił krótki rozkaz. Jeden z wojów stojących na brzegu pochylił włócznię, ostrze zawisło przed twarzą sołtysa.

- Gdzie leziesz? - warknął Rozpruwacz.

- Oslepię na drugie oko? Wiedźma ledwo idzie, trzeba jej pomóc.

- Nigdy nie sądz jej po wyglądzie. - Rozpruwacz stanął na brzegu i z obrzydzeniem spojrział na zwalę czarnego błota. - Ja ją znam.

Sołtys zachlupotał w wodzie, odwracając się plecami do włóczni. Założył ramiona na piersi i przyjrzał się Rozpruwaczowi, wydymając w pogardzie dolną wargę.

- A skąd ci przyszło do głowy, że możesz mnie pouczać? - zapytał zimno, bez podnoszenia głosu. - Kiedy ty siedziałeś w Grodzisku z ryjem w korycie, ja na dole nadstawałem łeb za was wszystkich.

- Coś słabo nadstawałeś. Ty jeden wróciłeś stamtąd

żywy. A może to nie jest przypadek? Może się tam z kimś zgadates i teraz tylko udajesz, że jesteś po naszej stronie? Każdy wie, że masz słabość do anielich.

Kmiecie przyglądali się im z daleka i nie słyszeli słów, ale rozumieli, co się dzieje. Utkwili przestraszone oczy w Sławce i dopiero wtedy, jakby wbrew sobie, księżniczka podniosła głowę.

– Wystarczy! – Ocieżale zesła nad strumień. – Soltys robił na dole tylko to, co mu kazala Lubicha.

– Skąd wiesz? – Rozpruwacz ruchem głowy nakazał wojowi podnieść włócznię, ale nie wyglądał na przekonanego.

– Od niej.

– Dziwnie szybko zmieniają się twoje nastroje. Jeszcze wieczorem machałaś jej nad głową mieczem, a teraz za jej wstawianictwem chcesz puścić wolno tego piekloszczyka.

Sławka spojrzala na słońce. Wydawało się, że wąty blask już nigdy nie będzie mógł rozgrzać świata.

– Po prostu zrozumiałam, czym naprawdę jest ta wojna – powiedziała nadszperzanie łagodnie. – Wierzę wiedźmie, ale czuję, że za zwycięstwo każdy będzie musiał zapłacić własną cenę.

Klasnęła w dłoń. Nadbiegł Żylak, ślizgając się na przyprószonej popiołem trawie. Kiedy podniosła oczy, na jej twarzy już nie było wahania.

– Będziesz mnie zastępował, póki nie wrócę.

Żylak podrapał się pod szyszakiem i otworzył usta, jakby to pomagało mu w myśleniu.

– Odchodzisz, pani?

– Tylko na jeden dzień. Ja, soltys i starosta. No i Kruszyna. Wiem, jak na nią patrzycie, i boję się, że w końcu któregoś zaświerzbi ręka.

– Ale, pani...

– Cicho. Nie mam tu nikogo innego, komu mogłabym zaufać. Jeśli zdam władzę na któregoś z wielmożów, reszta się zakotłuje. Ale ciebie będą słuchać. Jeśli zobaczysz jedno krzywe spojrzenie, od razu wal płazem przez pysk.

Żylak podciągnął gacie, poprawił pas i wyprostował się.

– Jakie są twoje rozkazy, pani?

– Patrz na wodę. – Sławka położyła mu dłoń na ramieniu. – Jeśli wieczorem zobaczysz, jak zachód słońca odbija się w strumieniu, bierz ludzi i wracaj do... Tam, gdzie był gród.

– A jeśli o zachodzie woda wciąż będzie mętna?

Sławka nie odpowiedziała. Klepnęła go w policzek, westchnęła i obróciła się w stronę lasu.

– Kaz siodłać konia – powiedziała cicho.

Kruszyna przez dłuższy czas siedziała skulona na grzbiecie klaczy za plecami Sławki, trzymając się jej pasa. Szeroki księżyc płaszcz rozłożył się na końskim zadzie. Nie skarżyła się na nic, ale na pewno cierpiała. Gwałtownie odwracała głowę w stronę każdego głośniejszego dźwięku. Wiele razy sprawdzała, czy nie obluźował się węzeł czarnej szmaty na twarzy.

– Ona jest jak na pół oswojona wilczyca. – Soltys obracał w palcach strzałę. – Na razie słucha księżniczki. Ale kto wie, co zrobi, kiedy zgłodnieje?

Szli z Rozpruwaczem ramię w ramię, kilka kroków z tyłu. Popiół skrzyptał pod ich stopami, sypał się z liści i chrzęścił w zębach. Wokół było cicho i pusto. Od czasu do czasu znajdowali odcisnięte w czarnym nalocie tropy zwierząt, ale wszystkie prowadziły w przeciwną stronę.

– Chciałem ją podsadzić, kiedy wsiadała na konia. – Rozpruwacz otrząsnął się na samo wspomnienie. – Pokazała mi zęby. Zwyczajnie, jak zwierzę. Gdyby Sławka jej nie uspokoiła, pewnie by mnie ugryzła. Tfu! Przecież już zrobiła swoje, mała diablca, wyprowadziła nas z obłędu. Nie wiem, po co jeszcze ją ze sobą wlecemy.

– Księżniczka tak po prostu jej nie przegna. Są siostrami.

– Prędzej uwierzę w koniec świata niż w siostrzane uczucia Sławki – mruknął Rozpruwacz.

A jednak bez Kruszyny nie znaleźliby Lubichy. Nie wyruszyli w drogę od razu, wiedźma zdążyła się oddalić. Ale potem nie napotkali żadnego śladu stóp albo choćby odcisku kijaszka, jakby Lubicha rozplynęła się w powietrzu.

Musieli iść za nią na wycucie i z każdą chwilą rósł ich niepokój.

Kiedy Kruszyna nagle zsunęła się z konia i nisko pochylona pobiegła między drzewa, sołtys naciągnął łuk. Nie mógłby chybić, nie zdążyła uciec daleko. Ale zanim puścił cięgiwę, spojrzął zezem na księżniczkę.

– Ani mi się waż! – warknęła Sławka, zeskakując na ziemię.

Rozpruwacz klepnął sołtysa w plecy.

– Trzeba było strzelać. Potem jakoś byś się wytłuma- czył, że nie dostyszałeś rozkazu.

– Pewnie. A ty byś mnie z przyjemnością powiesił, bo o kata w tej okolicy trudno.

Wiedźma leżała na plecach, do połowy zagrzebana w popiele. Kruszyna uniosła jej głowę i położyła sobie na kolanach, a Sławka zdmuchnęła z jej twarzy pył. Rozpruwacz z sołtysiem nadbiegli w chwilę potem, napelniając trupi las tupotem i sapaniem.

– Żyje, ale jest bardzo słaba! – Sławka podniosła na nich pełne strachu oczy. – Przecież ona nie może... My bez niej...

– Gdzie kijaszek? – Rozpruwacz rzucił się na kolana. – Szybko!

Wyplątali go z krzaków kawałek dalej. Był cały zabłocony i chyba pojawiło się na nim kilka nowych pęknięć. Rozpruwacz oskrobał nożem grubszy koniec, poślinił kciuk i dotknął białego drewna. Skinął głową sam do siebie, kiedy pokazał się w tym miejscu zielony ślad. Cienutkie jak włos kreseczki układały się w wyraźny odcisk palca.

– Widziałem, jak Lubicha postawiła kiedyś na nogi rybaka, którego wszyscy mieli już za nieboszczyka. Zawsze chciałem zrobić coś takiego. Odwróćcie się.

Zbliżył koniec kijaszka do czoła Lubichy i zamknął oczy.

Zielona błyskawica na krótko połączyła niebo z ziemią. Kijaszek szarpnął się w dłoń Rozpruwacza, jakby na chwilę ożył, ale udało mu się go utrzymać. Poczuli zapach spalenizny, z kija uniosła się smużka dymu.

– To nie jest zabawka, synku! – Wiedźma otworzyła oczy i usiadła, jakby kładła się tylko dla odpoczynku. – Masz szczęście, że nie urwało ci ręki. Zdaje się, że żadne z was nie lubi słuchać rad starszych.

Odebrała mu kijaszek i powoli wstała. Przyjrzała się im wszystkim po kolei.

– Wyglądałaś, jakbyś... – Sławka szybko umilkła pod wzrokiem wiedźmy.

– Od jakichś stu lat tak wyglądam! – zaskrzeczała gniewnie Lubicha. – Żyję tylko dzięki sile, jaką daje mi kijaszek. Ale teraz będę potrzebowała całej mocy do czego innego, dlatego jakoś muszę się bez niego obejść. I obejść się, jeśli tylko wy przestaniecie pchać się tam, gdzie was nikt nie prosi.

Zrobiła dwa chwiejne kroki, a potem upadła na kolana. Szary pył wzbił się wysoko ponad jej głowę. Nie podchodzili bliżej. Odcisk palca na oskrobanym z błota końcu kija szybko bladł.

– No dobrze! Samiście tego chcieli! – Wiedźma potrząsnęła siwą głową i uśmiechnęła się słabo. – Dawajcie mi tu konia. Już dosyć się naczłogałam.

W miarę, jak szli, popiółów było coraz mniej, ale za to drogę zagradzały sterty obłamanych gałęzi i całe przewrócone pnie. Chaty we wsiach, które mijali, miały pozrywane strzechy i skrzywione ściany. Coraz częściej znajdowali wypalone w ściółce czarne placki, pośrodku których tkwiły małe jasnoniebieskie kuleczki.

– Już zastygły i stwardniały. – Lubicha z końskiego grzbietu trąciła kijaszkiem jedną z nich. – W nocy to były kropkle płynnego ognia.

Poszli dalej ze spuszczonej głowami. Tu już były najbliższe okolice Grodziska i Sławka rozglądała się za jakimś znajomym widokiem, ale wszystko tutaj się zmieniło. Drzewa leżały pokotem, jak łąka po sianokosach, z czubami zwróconymi w jedną stronę. Tu i tam widzieli ślady krótkich, gwałtownych pożarów, które przyduziła poranna ulewa. Czasami spod gęstwiny liści czerwienili się jakieś

rozwłózione szczątki, ale nie zatrzymywali się, żeby sprawdzać, czym są. Powietrze było chłodne i przejrzyste jak po burzy. Słońce schowało się za chmurami, ale wciąż prześwitywał jego niebieski krag. Zdawało się, że to jakaś zia żrenica przygląda się z góry światu.

Kiedy droga na dobre utknęła w płataniu polamanych pni, koń nie mógł dalej iść. Pognali go z powrotem, a Rozpruwacz na zmianę z sołtysiem ponieśli Lubichę na plecach. Trochę gderała, ale szybko umilkła. Zwiotczała, zamknęła oczy i nie otwierała ich nawet wtedy, kiedy podawali ją sobie z rąk do rąk. Sławka chciała zabrać od niej kijaszek, ale dostała szturchańca w nos.

Wyszli wreszcie z powalonego lasu na otwartą przestrzeń i rozejrzeli się w milczeniu.

Nie zobaczyli podgrodzia. Miejscami sterczały na czarnej pochyłości wypalone zręby chat, ale nic więcej. Tam, gdzie przedtem płynęła rzeka, teraz wilo się pośród łyłych brzegów puste koryto. Cały wierzchołek wzgórza, na którym przez wieki rozrastało się Grodzisko, zniknął. Nie było wału, dworu, nawet drogi na zboczu. Ziała w tym miejscu pustką ogromna kolistą wyrwa, a przez jej brzegi prześlizgiwały się małe smużki niebieskiego dymu, jak węże uciekające z czeluści.

– To była tylko kupa starych desek i kamieni. – Sławka chyba bardziej chciała dodać otuchy sobie niż towarzyszom. – Wybudujemy nowy gród. Ważne, że Przeclaw z wszystkimi swoimi przydupasami też poleciał w chmury.

Wspięli się po zboczu ze ściśniętymi gardłami. Czuli się jak ostatni ludzie na całym wymarłym świecie. Lubicha ocknęła się z niespokojnej drzemki, wsunęła kijaszek pod pachę i utkwiała zażawione oczy w krawędzi wyrwy. Nie było wiatru, nie było szumu lasu ani pluskania rzeki. Nie było nic.

Ostatnich kilkanaście kroków przeczołgali się na brzuchach, chociaż ziemia była tutaj jeszcze gorąca. Ostrożnie wychylili głowy znad urwiska.

Ściany wyrwy opadały stromo w dół. W wypełnionym parą i dymem wnętrzu nie dostrzegli dna. Po plecach spływały im krople lodowatego potu.

– Tam jest. – Lubicha wyciągnęła w dół kościsty paluch. Mrużyli oczy, ale niczego nie zobaczyli. Wiedźma opuszcila kijaszek w głąb wyrwy i wyszeptala pod nosem jakieś zaklęcie. Stało się tak, jakby opar zniknął, a lej wypełnił się zielonym światłem. Widzieli teraz wszystko bardzo wyraźnie, każdy załomek i każdą nierówność ścian, nawet pojedyncze pyłki krążące w powietrzu.

Znieruchomieli z brodami przyciśniętymi do krawędzi. Ćmieluska wisiała dużo niżej, jedną ręką uciepiona jakiegoś występu w ścianie. Pod jej bosymi stopami otwierała się błękitna głębia. Widzieli tył jej zwieszanej głowy i jasny kark.

– Spadnie! – Rozpruwacz dźwignął się na łokciach.

– Nie martw się o nią. – Lubicha poruszyła kijaszkiem, jakby chciała lepiej oświetlić ściany. – Wisi tak od nocy, to powisi jeszcze trochę.

– Chyba coś jej poszło nie tak.

– Czego się spodziewałeś? Jest oszołomiona i słaba. Miała przyjść na świat łagodnie, od razu otoczona wyznawcami, a teraz jest sama i bezradna. Musi najpierw zebrać siły, żeby wspiąć się wyżej.

– To może ją po prostu strącimy kamieniami? Mogłoby się udać. – Sołtys przymknął jedno oko, mierząc odległość.

– Może i tak. Ale to by ją powstrzymało tylko na jakiś czas. Najwyżej na kilka tysięcy lat.

– Jak dla mnie, to wystarczy.

– A jak dla mnie, nie – ostro spojrzała na niego wiedźma. – Zbyt wielu ludzi zginęło, żebyśmy teraz mieli wybierać łatwiejszą drogę. Musimy pozbyć się jej raz na zawsze.

– Jak?

– Wiedźma podłożyła sobie dłoń pod kark i odchyliła głowę, jakby w ten sposób łatwiej jej było oddychać.

– Macie sznur? – zapytała.

•
Ćmieluska złapała koniec sznura od razu, kiedy tylko zakotyłał się przed jej twarzą. Było w tym coś nieludzkie-

go, jak w owadzim odruchu. Ani razu nie spojrziała w górę, jakby bardziej ciekawiła ją oddalająca się czelusć. Rozpruwacz z sołtysiem przeciagnęli ją przez krawędź wyryw do połowy ciała i odskoczyli do tyłu.

Wyczołgała się dalej o własnych siłach, a potem skuliła się na ziemi z rękami przy twarzy. Jasne włosy rozsypały się wokół głowy.

– Nie wygląda groźnie. – Sołtys bez pośpiechu zwił sznur na łokciu.

– Jest jak niemowlę. – Wiedźma pólleżała, Kruszyna podtrzymywała ją pod pachami. – Ale tylko na razie.

Ćmieluska stęknięła głęboko, jak po ciosie w żołądek, a potem nieporadnie wstała. Spojrzała na nich, ale tak, jakby ich tutaj wcale nie było. Nogi rozjeżdżały się jej na śliskim stoku jak kociakowi, który dopiero uczy się chodzić. Poruszała wargami, chociaż nie mówiła ani słowa.

– Wcale się nie zmieniła. – Rozpruwacz niespokojnie dreptał w miejscu. – Szkoda dziewczuchy. Lubilem ją.

– Ty chyba lubiłeś każdą, która się do ciebie uśmiechnęła – nastroszyła się Sławka i przykucnęła przy wiedźmie. – Zróbmy to.

Koniec kijaszka Lubichy rozjarzył się o wiele mocniej niż przedtem. Był tak jasny, że nie dało się zatrzymać na nim dłużej wzroku. Wiedźma wygięła się do tyłu w ramionach Kruszyny, na jej wargach pokazały się pęcherzyki białej piany. Z zielonej, oslepiającej kuli światła posypały się warkoczki iskier, które gasły, zanim dotknęły ziemi. Z samego jądra jasności wystrzelił cieniutki promień i nieomylnie jak język polującej ropuchy przykleił się do Ćmieluski.

Wyprostowała się, przycisnęła ramiona do boków. Widać było, że próbuje opierać się mocy kijaszka. Uniosła głowę, zapatrzyła się w niebo. Zmarszczyła z wysiłku nos i odsłoniła zęby.

– Uważajcie! – Krzyk Sławki roztrząsał napiętą ciżbę. – Zaczęło się!

Czoło Ćmieluski opłoty zgrubiałe żyły. Musiała wspierać się na palce, żeby nie stracić oparcia pod stopami. Lubicha osunęła się bezwładnie na kolana Kruszyny, żrenice

uciekły jej w górę. Wypuściła kijaszek z dłoni, ale on wcale nie upadł. Stał lekko pochylony w stronę Ćmieluski, a zielony promień łączył go z nią jak pępowina.

Ćmieluska wciąż patrzyła w niebo. Na jej twarzy nie było widać strachu. Po raz ostatni zachrobotała palcami stóp o ziemię, a potem zawisła w powietrzu.

Unosiła się w niebo, z każdą chwilą coraz szybciej.

•

Sławka wciąż patrzyła w to miejsce na niebie, gdzie przed chwilą rozmyła się w błękitie czarna kropczka.

– Czemu ona go zabrała?

– Nikt nie chce być samotny – mruknął sołtys. – Nawet bogini.

Księżniczka pochylała się nad nieprzytomną wiedźmą, drżącą dłońią odgarnęła jej siwy kosmyk z czoła.

– Co z nią?

– Żyje. – Sołtys tracił nogą kijaszek, który leżał w popiele przysypany i nikomu niepotrzebny. – Ale dogorywa. Dała z siebie więcej, niż mogła.

– Psiakrew! – Sławka uderzyła pięścią w ziemię, aż podmiósł się pył. – Jakoś nie chce mi się cieszyć z takiego zwycięstwa.

Kruszyna stała z podniesioną brodą i otwartymi ustami, pod skórą na jej białych skroniach tętniła krew. Łokcie miała lekko uniesione, jakby szykowała się do ucieczki albo do walki.

– Co ona robi?

– Nie wiem. Chyba nasłuchuje.

– Ale czego? Przecież...

Wymienili szybkie, zaniepokojone spojrzenia i wpatrzyli się w niebo. Nie czekali długo. Najpierw usłyszeli szum, a potem na brzegu wielkiej skłębionej chmury zgęstniał cień. Powoli wysunął się smoczy pysk, podkurczone łapy i rozpostarte skrzydła.

– Czulem, że coś za gładko poszło! – Sołtysowi udało się nałożyć strzałę na cięciwę dopiero za trzecim razem. – Nie ruszajcie się, to może nas nie zobaczy.

Kruszyna nagle opuściła głowę i odwróciła się twarzą do nich. Jej głos był chropawy, ale bardzo spokojny.

– Wracaj.
– Zamknij się, ludojadzie! – Ostrze strzały sołtysa kreśliło na niebie krzywe koło. – Gdyby coś poszło źle, zostawię ostatnią strzałę dla ciebie.

Kiedy smok zniżył lot, ponad stokiem wzbija się ogromna kurzawa i wolno spływała w dół. Przez chwilę nie widzieli, ale wyraźnie usłyszeli uderzenie ogona o ziemię i chrobot pazurów.

Zadymka rozwinęła się, odstawiając koczasty zarys grzbietu i płaski łeb, złożony na przednich łapach.

– Mam tego dosyć! – Sołtys przyciągnął pierzasty koniec strzały do ucha. – Tym razem zrobię to po swojemu.

Kilka cieni zsunęło się po boku smoka, wzdłuż złożonego skrzydła. Sołtys zmarszczył czoło i wysunął koniec języka. Słyszał zbliżające się człapanie, ale jeszcze czekał, żeby strzał był pewny.

– Witaj, ojczu. Nie musimy zaraz się obściskować, ale chociaż udawaj, że się cieszysz.

Sołtys zachwiał się na dźwięk tego głosu jak przy silnym wietrze.

– Ty?

– Ja. – Odmieniec wylonił się z kłębow pyłu, ogarnął wszystkich jednym spojrzeniem i pokiwał głową. – Zdaje się, że zdążyłem w ostatniej chwili.

Za jego plecami pokazała się Gruba Jagna. Obok niej stała Ćmieluszka, wyprostowana, spokojna i obca.

– Coście narobili? – Sołtysowi dziwnie trzęsła się broda, kiedy mówił. – I skąd ty tu... A Gruba Jagna? Jak?

– Wypadło nam po drodze. Złapaliśmy Ćmieluskę już nad chmurami, prawie nie było tam czym oddychać.

Sławka zacisnęła zbiegłe wargi.

– To nie jest już żadna Ćmieluszka, chłopcze – odezwiała się urywanym głosem. – Nie wiem, kim jesteś, ale zrobiłeś największy błąd w swoim życiu.

Odmieniec podszedł do niej, mijając sołtysa. Dotknął czoła wiedźmy i smutno pokiwał głową.

– Kazała mi szukać mojej własnej drogi – szepnął. – Nie wiedziałam, że kiedy wreszcie mi się uda, najpierw będę musiał przeciwstawić się właśnie jej.

Kruszyna zbliżyła się cicho i miękko jak kot. Podniosła obie dłonie i przesunęła palcami po twarzy odmieńca.

– Ja wiem, kim ty jesteś. – Po raz pierwszy zobaczyli jej uśmiech. – Matka mi o tobie mówiła. Przeszedłeś, żeby mnie zabrać do nieba.

Odmieniec nie przestraszył się ani nawet nie zdziwił. Poglądził ją po policzku.

– Jeśli tego chcesz, chodź z nami. Tam, gdzie zamieszkamy, będzie ci dobrze.

– Zaraz! – Sławka niezdarnie próbowała sięgnąć po miecz. – Nie rozporządzaj się tak łatwo moją siostrą, dziwolągu!

Odmieniec uśmiechnął się do księżniczki.

– Jeśli to naprawdę jest twoja siostra i szanujesz ją, pozwól jej wybrać.

– Oczadziłeś? Popatrz na nią! Jeśli nawet kiedyś się znaleźcie, to już nie jest ta sama dziewczyna. To bogini. Umie kochać tylko siebie.

– Wiem – skinała głową odmieniec. – To właśnie nas łączy, bo ja też kocham tylko ją.

– Idźcie wszyscy choćby do diabła! Jeśli tylko zabierzysz stąd Matule, nie będę się do niczego wtrącać. – Sławka znowu opadła na plecy, długo nie mówiła. Skrobała mieczem w popiele, jakby chciała dogrzebać się do gołej ziemi. – O wszystkim już postanowiłem. Po co wróciście?

– Gruba Jagna uparła się, żeby zapytać o coś sołtysa.

•

Mała, gęsta kropla smoczego jadu drżała na wardze Lubichy i nie chciała spłynąć do ust. Rozpruwacz zbliżył rękę, ale wtedy nagle wiedźma otworzyła oczy i mocno chwyciła go za nadgarstek.

– Zabierz brudny paluch! – Zlizwała kroplę i nastroszyła brwi. – Trzeba było to zachować dla kogoś, komu się bardziej przyda.

– Nie ma tu nikogo takiego – oświadczyła Sławka, wychylając się zza pleców Rozpruwacza.

Zapadła już noc. Niebo oczyściło się z chmur, ale księżyc był cieniutki jak paznokieć i dawał niewiele światła.

- To by było na tyle. - Lubicha odebrała Rozpruwaczowi kijaszek i rażno wstała. - Minie trochę czasu, a dziura we wzgórzach sama się zapadnie. Do rzeki wróci woda, deszcze zmyją popioły. Będziecie znowu żyli jak dawniej.

Wierzyli każdemu jej słowu, ale milczeli. Może jeszcze przyjdzie czas na świętowanie, jutro albo za kilka dni. Ale jeszcze nie teraz. Nie tej nocy.

- Jednego nigdy nie zrozumieć. - Rozpruwacz w ciemności pociągnął nosem. - Czemu ten dureń sołtys z nimi poleciał? Miałem go za całkiem rozsądnego chłopca.

- Nikt nie chce być samotny - odezwała się cicho księżniczka. - Tak powiedział.

Wiedźma zaczęła schodzić ze wzgórz. Nie ruszyli za nią, ale kiedy odeszła trochę dalej, Rozpruwacz potrząsnął głową.

- A ty? - zawołał. - Nie ciekawi cię, co tu się stało? Byłaś przecież nieprzytomna.

Przeszła jeszcze kilka kroków i zatrzymała się.

- Tylko udawałam. Słyszałam każde słowo.

- Udawałaś? Ale po co?

- Bałam się, że mnie też podkusi... Ten ich świat dziwolągów, gdzie dużo rzeczy będzie o wiele prostszych. - Westchnęła, jakby litowała się nad samą sobą. - A przecież beze mnie byłibyście jak sieroty.

Epilog

Morze huczało jednostajnie, spienione fale rozbijały się na kamienistym brzegu. Czarne chmurzyska, podobne do kłębow dymu, przewalały się po niebie. Zimny deszcz, podcinany wiatrem, siekł skały.

- To wszystko? - Sołtys powiódł ręką dookoła, woda kapiała mu z brwi. - Kupa kamieni pośrodku morza?

Kruszyna stała na płaskim kamieniu, z rozkrzywionymi ramionami i twarzą wystawioną na deszcz. Ugięła kolana jak w tańcu. Na jej białych policzkach z wolna rozpałały się rumieńce.

Smok leżał na płyciźnie, z pyskiem opartym na przybrzeżnej skale. Mruczał z zadowolenia, kiedy białe grzywaczki łaskotały mu boki. Odmieniec podrapał go po chrapach, uśmiechając się do swoich myśli.

- Na początku będzie trudno, ale z czasem jakoś się urządzimy. Ćmieluska okrzepnie, dojdzie do siebie i szybko sprawi, że ta wysepka ożyje. Będzie nam tu jak w raju.

Gruba Jagna podeszła do sołtysa, objęła go od tyłu i przytuliła policzek do jego pleców.

- Albo rodzina, albo szeroki świat - odezwała się bardzo łagodnie. - Przecież sam wybrałeś.

- Nie o to chodzi! Od świata nie da się uciec. Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale prędzej czy później ktoś tu przyplynie. Co wtedy?

- Nikt nie przyplynie - wzruszył ramionami odmieniec. - To miejsce ma bardzo złą sławę. Podobno legną się tu topieluchy.

- Chryste! Może naprawdę się legną?

- To przestana, kiedy pocują smoka.

– Obyś się nie pomylił, synu. Matule trudniej ujarzmić niż jakiegoś tam byczka. Jeśli zechce, odejdzie.

Odmieniec powoli zbliżył się do Ćmieluski. Stała wyprostowana, przemoczona kiecka oblepiła jej biodra. Patrzyła w szarą dal, gdzie rodziły się fale.

– Nie odejdzie. – Ujął jej dłoń. – Ćmieluska nie umarła. Wciąż tu jest, głęboko ukryta i uspiona. Zawsze była silna. Trzeba ją tylko rozbudzić, a wtedy bogini nigdy nie zawładnie tym ciałem do końca.

– Łatwo się gada! Jak to zrobisz?

– Zwyczajnie.

Odmieniec rozchylił ociekające deszczówką włosy Ćmieluski, wspiął się na palce i pocałował ją. Nie poruszyła się, ale kąćki jej ust uniosły się leciutko.

Ulewa nie ustawała, rwące potoki bulgotały w rozpadlinach i jarach. Nad morzem snuł się siny półmrok, tylko nisko nad widnokregiem, przytłoczony czapą chmur, pokazał się pierwszy skrawek błękitnego nieba.

Odmieniec jest wyrzutkiem.

Nie ma domu, nie ma rodziny, nie ma nawet imienia. Ludzie nim pomiatają, tylko zwierzęta go rozumieją. Nie czeka na nic lepszego. A jednak to właśnie w nim drzemie dziedzictwo dawnych czasów, wspomnienie pierwszych dni. To jego skarb, ale i przekleństwo.

Nie można być dzieckiem dwóch światów. Trzeba wybrać.